


1957-2007



PÓŁ WIEKU W GÓRACH



W majestacie gór, w ich obliczu,
biorąc za świadków ten ogień płonący
i Was przyjaciele
ślubuję przed Wami i mym sumieniem;
Być przewodnikiem!
Prowadzić ludzi w góry,
być Im przyjacielem i opiekunem.
Uczyć Ich gór, prawdziwej miłości do nich,
a także pokory przed ich potęgą.
Dzielić się z Nimi szczęściem i radością,
które góry niosą,
Budzić w Nich pragnienie poznania
oraz wrażliwość na piękno i prawdę.
Dbać o Ich zdrowie, życie i bezpieczeństwo
bardziej niż o swoje własne.
To właśnie jest moim szczerym
i świadomym pragnieniem.

*Tekst ślubowania, autorstwa Andrzeja Wielochy,
złożonego przez absolwentów kursu 1980/81
podczas „Pogoni za blachą” 04.04.1982 roku
w bacówce na Jasieniu.*



Uczestnicy spotkania jubileuszowego w Wetlinie 25 maja 2007 roku, fot. A. Leszczyński

Prezes odbiera z rąk najstarszych przewodników jubileuszowy bochen chleba, od lewej: Radek Baranowski (593), Wiesław Zazdrośniński (5), Andrzej Matjas (2), Elżbieta Skiba (10), fot. A. Leszczyński



Zarząd obdarowany jubileuszowym bochnem, od lewej: Radek Baranowski (593), Lila Mazurkiewicz (623), Agnieszka Skieterska (580), Szymon Chojnacki (603), Marek Cichy (624), Kuba Organ (609) i Krzysz Lisak (600), fot. A. Leszczyński



Pół wieku w górach 1957-2007

**czyli dzieje
Studenckiego Koła
Przewodników Beskidzich
w Warszawie**



pod redakcją
Andrzeja Wielochy

Warszawa
2007

Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Andrzej Wielocha

ISBN 978-83-85141-19-8

176 publikacja SKPB

© by Studenckie Koło Przewodników Beskidzich
Warszawa 2007

Stowarzyszenie Studenckie Koło Przewodników Beskidzich w Warszawie
ul. Smocza 27, 01-048 Warszawa
zarzad@skpb.waw.pl
www.skpb.waw.pl



Słowo od redaktora

Ta książka miał oczywiście być całkiem inna. Zabierając się do jej opracowania widziałem oczyma wyobraźni dzieło sumujące pięćdziesięcioletnie dokonania pokoleń przewodnickich, strzeżone syntez i przenikliwe analizy fenomenu jakim niewątpliwie było i jest SKPB. Marzyły mi się teksty, w których autorzy próbowali by wyjaśnić, co przez te 50 lat było powodem istnienia Koła, jaka idea go spajała. Co go różniło od innych podobnych organizacji.

Wszak my nigdy nie byliśmy normalnym kołem przewodnickim, to znaczy takim, do którego organizator imprezy lub klient przychodzi żeby wynająć przewodnika. U nas sytuacja była prawie zawsze odwrotna. Można powiedzieć, nie wiele mijając się z prawdą, że to raczej przewodnicy „wynajmowali” uczestników po to, żeby mieć alibi dla zrealizowania wymyślnego przez siebie programu. W tym celu musieli i nadal muszą brać na siebie całą sferę organizacyjną „bywania w górach”, a także obowiązek przekonania potencjalnych uczestników do swoich pomysłów.

W normalnych kołach ludzie zdobywają uprawnienia przewodnickie po to, by wcześniej czy później mieć z tego jakieś zyski. U nas z tych blisko 700 osób, które przewinęły się przez Koło, chyba nikt nigdy nie był nawet przez krótki czas zawodowym przewodnikiem. Co nawet wśród kół studenckich jest ewenementem. Wszystko, co przez pięćdziesiąt lat w Kole zrobiono – a trochę tego było – zrobiono całkowicie społecznie. Czy to nie jest fenomen? To przecież aż prosi się o jakąś krytyczną analizę, o badawcze oko socjologa. Niestety nie tym razem. Może za kolejne dziesięć lat. A może po prostu wcześniej ktoś zrobi doktorat z SKPB, bo o ile wiem prac magisterskim powstało już kilka.

Czy w takim razie Kronika przynajmniej oddaje całe bogactwo spraw i idei, które się przez te 50 lat przez Koło przewinęły. Też nie, a jeżeli to na pewno w niewielkiej tylko części, dużo mniej niż bym chciał. Prawie nic na przykład nie ma o organizowanych przez Koło rajdach narciarskich. Za mało jest o *Złazie Kampinoskim*, czego mi na pewno nie przebaczy liczne grono jego wiernych zwolenników. Nie ma też wiele o kolejnych siedzibach Koła, o salach, w których odbywały się zebrania i o kawiarniach, w których spotykaliśmy się po zebraniach. Na więcej uwagi zasługiwały z pewnością kolejne „szlaki” – *Krasy Slovenska*, Rumunia, Bułgaria i ich ewolucja, *Rajd Wakacyjny*, *Biuletyn SKPB* czy choćby nawet taki FC SKPB. Można by pewnie jeszcze długo wylizczać. Na pewno są też i takie tematy, które nie przychodzą mi nawet do głowy, a które zdaniem innych powinny się w Kronice znaleźć.

Myślę, że krytycznych uwag pod adresem redaktora będzie dużo. Dziwne by było, gdyby było inaczej, biorąc pod uwagę rozmiar oczekiwań. Może się na przykład wydawać, że sprawom sprzed

wielu lat poświęcono w Kronice więcej uwagi, niż tym sprzed kilku. Pewnie tak. Tu nic nie mam na swoje usprawiedliwienie. Młodzież może jedynie pocieszyć, że będą mogli o sobie więcej napisać na stulecie Koła, co starszym raczej nie będzie już dane.

Wybaczenie więc niedoskonałość, ludzka wszak rzeczą ona jest. Mam jednak cichą nadzieję, że Czytelnik znajdzie w tej książce choć trochę z kołowej atmosfery mieniającej się przecież dzień w dzień przez te pięćdziesiąt lat wszystkimi kolorami tęczy.

Chciałbym serdecznie podziękować tym wszystkim, którzy mi pomagali w dotarciu do informacji, oraz tym, którzy udostępнили mi swoje zdjęcia i materiały. Tych ostatnich jednocześnie gorąco przepraszam, za to, że nie wszystko, co mi przekazali w Kronice się znalazło. Nie gniewajcie się, gdybym jednak zamiesił w Kronice wszystkie zdjęcia, które do mnie trafiły, musiałaby ona liczyć co najmniej dwa razy tyle stron.

Andrzej Wielocha blacha 250



Rok po roku

czyli zwięzła historia

Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie

Prehistoria

1955 rok

Na początku roku 1955 zrodziła się koncepcja umożliwienia turystom-studentom poznania Bieszczadów Zachodnich. Po rekonesansie w maju 1955 roku, w okresie wakacji wyruszyły na szlaki bieszczadzkie dwa pierwsze turnusy prowadzone przez Marka Ławińskiego i Ryszarda Dutkiewicza. Turnusy te zabierały z Zagórza cały zapas żywności, ponieważ na trasie można było liczyć na zaopatrzenie tylko w pieczywo (w Cisnej, Kalnicy i Stuposianach). Trasy turnusów przebiegały z Komańczy przez Chryszczatą, Cisną, Połoniny Wetlińską i Caryńską, Halicz, Stuposiany i Otryt do Czarnej.

1956 rok

Na przełomie lutego i marca Rada Naczelna ZSP zorganizowała w Michałowicach (Karkonosze) I Ogólnopolski Kurs dla studenckich przewodników górskich ze wszystkich środowisk akademickich. Tereny turystyczne Polski podzielono między poszczególne środowiska akademickie. Warszawie przypadły w udziale Pojezierze Mazurskie, Góry Świętokrzyskie, Beskid Niski i Bieszczady. W lipcu i sierpniu wyruszyło 10 obozów bieszczadzkich oraz dwa w Beskid Niski. Bazą turystyczną były prywatny dom i stodoła, odnajęte na czas akcji od gospodarza w Zagórze. Pełnomocnikami akcji z ramienia RN ZSP byli w lipcu Marek Ławiński, w sierpniu Ryszard Dutkiewicz. Trasy turnusów przebiegły podobnie do ubiegłorocznych, obejmując dodatkowo Łopiennik, Wielką Rawkę oraz pasmo Żukowa.

Historia

1957 rok

II Ogólnopolski Kurs dla przewodników górskich odbył się w lutym w Karpaczu. W maju zorganizowano pierwsze przewodnickie przejście nowych tras bieszczadzkich (Czarna – Polana – Hulskie – Sękowiec – Dwernik – Dol. Caryńczyka – Ustrzyki Górne – Rozspaniec – Połonina Bukowska – Sianki – Dol. Sanu – Halicz – Tarnica – Wlk. Rawka – Wetlina – Kalnica – Jasło – Cisna – Rosocha – Hyrlata – Dol. Solinki – Wola Michowa – Nowy Łupków). W lipcu i sierpniu wyruszyło 12 turnusów bieszczadzkich i cztery beskidzkie wahadłowo na trasie Zagórze – Komańcza – Krynica i z powrotem. Baza podobnie jak w roku ubiegłym mieściła się w Zagórze w stodole. Pełnomocnikiem akcji był Leszek Kopczyński. Przewodnicy prowadzili turnusy po dowolnie obranych trasach na terenie całych Bieszczadów.

Bieszczady, sierpień 1958



Po akcji letniej powstał „Klub Lewej Nogawki” pod przewodnictwem Andrzeja Kunca. Istniało także nieformalne grono „Wielkiego Bractwa”, składające się z przewodników, którzy prowadzili obozy bieszczadzkie. Na jesieni 1957 roku z tych dwóch grup zostało utworzone **Koło Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych** przy RO ZSP w Warszawie. Koło liczyło 22 członków, a jego prezesem został Wojciech Kulicki. Zorganizowano także stałe szkolenie z zagadnień historycznych, przyrodniczych, geograficznych i etnograficznych.

1958 rok

Prezes Wojciech Kulicki

Koło zorganizowało wędrowny obóz narciarski w Beskidzie Śląskim, którego kierownikiem był Leszek Kopczyński. Dla kandydatów na przewodników RN ZSP zorganizowała III Kurs Centralny w Szklarskiej Porębie.

W maju odbyło się przewodnickie przejście Bieszczadów oraz przejście Beskidu Niskiego. Kierownikiem obu przejść był Wojciech Kulicki.

W okresie wakacji wyruszyło na trasy 12 turnusów bieszczadzkich i 2 obejmujące Bieszczady i Beskid Niski. Pełnomocnikiem akcji był Wojciech Kulicki. Baza mieściła się w prywatnym domu w Zagórzcu.

Rok 1958 był ostatnim, w którym od uczestników obozów bieszczadzkich wymagano sprawdzonych kwalifikacji turystycznych (kandydaci na uczestników obozów wędrownych musieli odbyć dwie wycieczki kwalifikacyjne i dopiero w wypadku pozytywnej oceny dokonanej przez przewodnika, mogli ubiegać się o skierowanie). Ponadto był to ostatni rok, w którym turnusy wyposażone były w pałatki namiotowe.

We wrześniu RN ZSP zorganizowała wyjazd w Góry Kaukazu dla najlepszych przewodników. Ze środowiska warszawskiego pojechało 8 osób.

1959 rok

Prezes Wojciech Kulicki.

W lutym w Beskidzie Śląskim odbył się narciarski obóz wędrowny dla przewodników prowadzony przez Andrzeja Kopicznego.

Dla kandydatów na przewodników RN ZSP zorganizowała kolejny Kurs Centralny w Szczyrku. W kwietniu odbyło się przejście przewodnickie Beskidu Niskiego prowadzone przez Andrzeja Kopickiego. W maju przejście Bieszczadów prowadził Wojciech Kulicki.

Po raz pierwszy zostają zorganizowane w Bieszczadach obozy kempingowe oraz obozy wędrownie robotniczo-studenckie, połączone z pracą społeczną. W sumie na trasy wyruszyły 52 turnusy (w tym 12 studenckich, 13 robotniczo-studenckich, 24- kempingowe i 4 w Beskidzie Niskim). Pełnomocnikiem akcji był Wojciech Kulicki. Baza centralna mieściła się w Zagórz pod namiotami. Bazy namiotowe zorganizowano w Przysłupie, Wetlinie i Ustrzykach Górnych. W każdej z baz turnusy spędzały dwa do czterech dni robiąc wycieczki na okoliczne szczyty. Bazy były też miejscem zaopatrzenia turnusów wędrownych, które po raz pierwszy wyposażone zostały w namioty 2-osobowe.

W październiku zorganizowano I Studencki Rajd po Roztoczu Lubelskim, którego kierownikiem był Wiesław Zazdrościński. Udział wzięło ok. 150 osób.

Dla najlepszych przewodników odbyła się wycieczka do NRD w Góry Harzu.

1960 rok

Prezes Bolesław Pleban.

RN ZSP zorganizowała kolejny V Kurs Centralny w Wiśle-Malince.

W maju został zorganizowany **I Ogólnopolski Rajd Studencki w Bieszczadach**, w którym wzięło udział 85 osób, a jego kierownikiem był Wiesław Zazdrościński.

Przewodnickie przejście Beskidu Niskiego prowadzili Zbigniew Jawor i Andrzej Ciosnak.

W miesiącach letnich na trasy Bieszczadów wyruszyły 52 turnusy w tym 24 wędrownie i 28 campingowych. Bazy mieściły się w Zagórz, Wetlinie, Ustrzykach Górnych i Dwerniczku. Pełnomocnikiem akcji był Wiesław Zazdrościński.

W listopadzie odbył się **I „Jesienny Złaz Kampinoski”**, mający odtąd stanowić tradycyjne zakończenie letniego sezonu turystycznego w środowisku warszawskim. Wzięło w nim udział 200 uczestników, a kierownikiem był Henryk Supronowicz.

1961 rok

Prezes Bolesław Pleban.

Kolejny Kurs Centralny RN ZSP odbył się w Pasiece.

Złaz Wiosenny w Lasach Celestynowskich prowadził Tomasz Walat (ok. 100 uczestników).

W maju zorganizowany został II Rajd Bieszczadzki z zakończeniem w Cisnej. Liczy on 100 uczestników, kierownikiem był Andrzej Kopicki.

Latem na szlaki wyruszyły 54 turnusy. Bazy rozmieszczone były w Zagórz (namioty nad Osławą), Chmielu, Ustrzykach Górnych i w Wetlinie. Pełnomocnikiem akcji był Wiesław Zazdrościński.

Przejście Bieszczadów prowadzili Krzysztof Osuch, Roman Uhera i Krystyna Błaszowska.

W listopadzie na II „Złaz Kampinoski” wyruszyło 250 osób, a kierownikiem była Elżbieta Skiba.

1962 rok

Prezes Henryk Supronowicz.

Zarząd wybrany został na okres dwóch lat, a w jego składzie znaleźli się Krzysztof Błaszowski, Bolesław Pleban, Andrzej Smirnow, Andrzej Szcześniak, Ewa Beynar.

Kurs Centralny odbył się w Wiśle-Głębcach.

Na „Złaz Wiosenny” w Lasach Bolimowskich przybyło ok. 150 osób.

W maju Koło wzięło udział w organizacji Ogólnopolskiego Rajdu Szlakiem Gwardii Ludowej

Bieszczady, Połonina Wetlińska, sierpień 1961, fot. W. Orsetti



z zakończeniem w Tomaszowie Mazowieckim, członkowie Koła prowadzili trasy piesze rajdu. W lipcu i sierpniu przewodnicy poprowadzili 50 turnusów. Pełnomocnikiem akcji był Henryk Supronowicz. Bazy rozmieszczono w Zagórze, Smereku, Ustrzykach Górnych i Zatwarnicy.

Kolejny III „Rajd Bieszczadzki” odbył się po raz pierwszy jesienią, w terminie 4-10 października. 120 uczestników przemierzało 6 tras (w tym jedną w Beskidzie Niskim) dochodząc do Dotzycy, skąd po zakończeniu „Expressem Bieszczady” dojechali do Rzepedzi. Kierownikiem rajdu był Henryk Supronowicz.

Na kolejny III „Złaz Kampinoski” w listopadzie wyruszyło ok. 250, uczestników. Kierownikiem zjazdu był Jerzy Wicher.

W grudniu odbył się egzamin w Rzeszowie, na którym 18 członków Koła zdobyło uprawnienia państwowe przewodnika beskidzkiego.

1963 rok

Prezes Henryk Supronowicz

RN ZSP zorganizowała VIII Kurs Centralny w Karłowie. W maju odbył się „Złaz Wiosenny” w Puszczy Białowieskiej liczący ok. 150 uczestników, którzy po zwiedzeniu Parku Narodowego wyruszyli do Narewki i Orzeszkowa. Kierownikiem była Zofia Szajuk.

Przejście bieszczadzkie prowadziła w czerwcu Elżbieta Misiak.

Pełnomocnikiem akcji letniej, obejmującej 32 turnusy, był Andrzej Smirnow. Baza w Zagórze po raz pierwszy wyposażona została w domki campingowe. Pozostałe bazy umiejscowione były w Buku, Starym Siole i Ustrzykach Górnych. Przewodnicy prowadzili także wędrownie obozy młodzieżowe.

Na IV Bajd Bieszczadzki w październiku przybyło ok. 200 osób. Zakończenie odbyło się w Dotzycy, kierownikiem był Henryk Głowacki.

IV „Złaz Kampinoski” w listopadzie otrzymał imię tragicznie zmarłego w tym roku członka Koła, zasłużonego działacza turystyki młodzieżowej i studenckiej, **Andrzeja Harskiego**. W imprezie wzięło udział ok. 500 osób, kierownikiem był Jerzy Korejwo.

W grudniu na walnym zebraniu nazwa Koła zmieniona została na **Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich** przy RO ZSP i OM PTTK w Warszawie.

1964 rok

Prezes Jerzy Wicher.

W styczniu zorganizowany został narciarski obóz szkoleniowy w Foluszu, którego kierownikiem był Jerzy Korejwo.

W kwietniu odbył się „Złaz w Puszczy Białej” (kierownik Andrzej Elantkowski), a w maju „Złaz na Kurpiach” (kierownik Zofia Szajuk). W obu tych imprezach uczestniczyło ok. 650 osób.

Przejście przewodnickie w Bieszczadach prowadzili Witold Michałowski i Joanna Szendel.

Akcja letnia obejmowała tylko 8 turnusów wędrownych w Bieszczadach i 4 w Beskidzie Niskim. Pełnomocnikiem akcji była Elżbieta Misiak-Bremer.

W lipcu na bazie w Zagórzu funkcjonował hotel turystyczny, a w sierpniu ogólnie dostępna baza turystyczna w Ustrzykach Górnych.

W sierpniu poprowadziliśmy 10-dniową trasę biwakową na XI Rajdzie Przyjaźni w Bieszczadach organizowanym przez rzeszowskie PTK. Kierownikiem trasy był Wiesław Zadzrosiński.

Na V Rajd Bieszczadzki przybyło w październiku około 450 osób. Kierownikiem rajdu była Bożena Pluskota, a zakończenie odbyło się w Dotzycy.

W V „Złazie Kampinoskim” im. Andrzeja Harskiego z zakończeniem w Lesznie, uczestniczyło ok. 700 osób, a kierownikiem był Tomasz Kowalik.

Odbył się kolejny egzamin przewodnicki w Rzeszowie, w wyniku, którego siedmiu członków Koła zdobyło, a kilku innych rozszerzyło uprawnienia państwowe.

1965 rok

Prezes Witold Michałowski

oraz m.in. wiceprezes ds. szkoleniowych Waldemar Ufnalski.

Kolejny narciarski obóz szkoleniowy odbył się w lutym na Hali Lipowskiej. Kierownikiem był Henryk Mrowiec.

W maju odbył się I „Rajd w Beskidzie Niskim” z zakończeniem w Bieczu. Udział wzięło 250 osób, a kierownikiem był Jan Banasiak. W związku z Rajdem ukazał się wydany pod red. Lesława Karsta, a opracowany przez członków Koła „Informator – Beskid Niski”. Przewodnickie przejście Bieszczadów prowadził Stanisław Szen.

Akcja letnia, której pełnomocnikiem był Jan Banasiak obejmęła 8 turnusów wędrownych w Bieszczadach i 4 w Beskidzie Niskim oraz kilka samodzielnych grup wędrownych. Bazy zlokalizowane były w Zagórzu (centralna), w Ustrzykach Górnych, Smereku, Tworylnem, Tyliczu k/Krynicy. Czynne było już także schronisko pod Łopiennikiem. Na bazie w Zagórzu działał po raz pierwszy terenowy referat weryfikacyjny GOT.

Letem zorganizowane zostało szkolenie taternicze dla członków Koła. Udział w nim wzięło 16 osób.

We wrześniu 7 przewodników (m.in. Lesław Karst i Małgorzata Smirnow) wzięło udział w wycieczce do Rumunii w Góry Fogaraskie.

VI „Rajdem Bieszczadzkim” kierowała Zofia Szajuk, jej zastępcą był Jerzy Wicher a sekretarzem Jacek Skiba. W rajdzie wzięło udział około 550 osób. Trasy obejmowały po raz pierwszy Pogórze Dynowskie, a zakończenie odbyło się w Myczkowcach.

W VI „Złazie Kampinoskim” im. Andrzeja Harskiego wzięło udział 800 osób. Kierownikiem był Tomasz Kowalik.

Sfinalizowano sprawę nowych **bluz przewodnickich**. Wybito także **blachy Koła**.

9 członków Koła zostało przyjętych w poczet członków kandydatów Grupy Bieszczadzkiej GOPR.

1966 rok

Prezes Zofia Szajuk

oraz wiceprezesi Henryk Mrowiec i Stanisław Szen, sekretarz Jerzy Korejwo, skarbnik Stanisław Malarecki, a także Kazimierz Posadzki i Witold Michałowski.

Zorganizowano dwa obozy narciarskie w grudniu w Ustrzykach Górnych i w kwietniu na Hali Gąsienicowej. Kierownikami obozów byli Andrzej Elantkowski i Władysław Polok.

W marcu odbyła się autokarowa wycieczka szkoleniowa po miastach rzeszowszczyzny z udziałem krakowskiego SKPT. Kierowniczką wycieczki była Małgorzata Wicher.

W kwietniu odbył się Zjazd „Powitanie Wiosny” z zakończeniem w Nieporęcie. Udział w imprezie wzięło ponad 350 uczestników, kierownikiem był Kazimierz Posadzki.

II Ogólnopolski „Rajd w Beskidzie Niskim” z zakończeniem w Bieczu, w którym wzięło udział 600 turystów ze wszystkich środowisk akademickich w Polsce. Kierownikiem rajdu był Marek Borkowski.

W Bieszczadach poprowadzono 12 turnusów centralnych, kilkanaście grup wędrownych oraz 7 baz nolegowych (Nowa Wieś k/Dukli, Wola Niżna k/Jaślik, Komańczy, Ustrzyki Górne, Smerek, Tworylne i Zagórz).

Przejście przewodnickie Bieszczadów prowadził Jerzy Korejwo.

Powołana została w Kole grupa Straży Ochrony Przyrody. W skład jej weszło 47 przewodników.

W VII „Rajdzie Bieszczadzkiem” udział wzięło 800 osób. Kierownikiem był Stanisław Malarecki, zastępcą Kazimierz Posadzki a sekretarzem Elżbieta Skiba, zakończenie odbyło się w Lesku.

VII „Zjazd Kampinoski” im. A. Harskiego ściągnął do Leszna ok. 900 uczestników, kierownikiem rajdu był Waldemar Ufnalski.

1967 rok

Prezes Przemysław Pilich.

W lutym odbył się narciarski obóz wędrowny – kurs przodowników narciarskich PTTK, na którym uprawnienia zdobyło 7 osób.

W marcu odbył się narciarski obóz szkoleniowy w Szczyrku. Kierownikiem obozu był Marek Borkowski.

Również marcu zorganizowany został pierwszy rajd narciarski w Bieszczadach pod nazwą „Narciarski Zwiad”. Udział w nim wzięło 30 osób. Kierownikiem był Jerzy Korejwo.

W złazie „Powitanie Wiosny”, który odbył się w Lasach Bolimowskich wzięło udział ok. 200 uczestników. Kierownikiem złazu był Wojciech Wiatr.

III „Rajd w Beskidzie Niskim” ściągnął na zakończenie ok. 500 uczestników z całej Polski. Kierownikiem rajdu był Andrzej Matjas.

Akcję letnią w Bieszczadach i Beskidzie Niskim prowadzili Jan Banasiak. Objęła ona tylko 12 turnusów centralnych oraz kilkanaście grup wędrownych. Bazy namiotowe zlokalizowane były w Ustrzykach Górnych, Smereku, Sękowcu k/Zatwarnicy, Komańczy, Woli Niżnej i Nowej Wsi k/Dukli. Baza centralna w Zagórzcu została gruntownie przebudowana i wyposażona w nowe domki campingowe „Grań”.

I Rajdem Wakacyjnym z zakończeniem w Smereku, w którym wzięło udział ok. 120 uczestników kierowała Zofia Szajuk.

VIII „Rajd Bieszczadzki” z zakończeniem w Lesku, Baligrodzie i Dołżycy – prowadzi Bogdan Major. Przed poszczególnymi zakończeniami odbyła się manifestacja uczestników rajdu pod pomnikiem Świerczewskiego w Jabłonkach (ok. 900 uczestników).

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie zorganizował Tomasz Kowalik (900 uczestników).

1968 rok

Prezes Jerzy Korejwo.

I Rajdem Narciarskim kierował Jerzy Korejwo, a wzięto w nim udział 20 uczestników.

Złaz „Powitanie Wiosny” się nie odbył. Jeśli nie wiesz czytelniku (młody) dlaczego, to zerknij do książki od historii.

IV Rajd „Beskid Niski” zorganizował Paweł Iljin, a udział w nim wzięło ok. 800 uczestników. Zakończenie w Bieczu uświetnili konni uczestnicy rajdu Studenckiego Klubu Jeździeckiego (Medyka – Biecz).

Przejścia przewodnickie prowadzili Jerzy Korejwo, Witold Michałowski i Waldemar Ufnalski.

W akcji lato prowadziliśmy 42 obozy, pełnomocnikiem był Jan Banasiak a bazy zlokalizowane były w Zagórzcu, Komańczy, Smereku, Dukli, Woli Niżnej, Ustrzykach Górnych i Sękowcu.

II Rajdem Wakacyjnym z zakończeniem w Zatwarnicy, w którym wzięło udział ok. 400 uczestników kierował Wiesław Prichodko.

IX „Rajdem Bieszczadzkim” z zakończeniami w Lesku i Dołżycy kieruje Julian Bystrzanowski, uczestników 920.

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie zorganizował Tomasz Kowalik (1200 uczestników).



Przejście bieszczadzkie 1968, trasa Olszany – Brylińce, fot. J. Sztajski

1969 rok

Prezes Jan Kwiatowski

Rajd „Powitanie Wiosny” odbył się w Lasach Bolimowskich.

V Rajd „Beskid Niski” zorganizowała Elżbieta Grajewska, a udział w nim wzięło ok. 700 uczestników.

Przejście przewodnickie w Beskidzie Niskim prowadził Przemysław Pilich, a w Bieszczadach Waldemar Ufnalski.

W akcji lato prowadziliśmy 12 turnusów centralnych oraz nieokreślona ilość obozów wędrownych, pełnomocnikiem był Wiesław Prichodko a bazy zlokalizowano w Zagórzcu, Komańcu, Smereku, Wołkowyji, Ustrzykach Górnych i Sękowcu.

III Rajdem Wakacyjnym z zakończeniem w Zatwarnicy, w którym wzięło udział ok. 200 uczestników kierowała Barbara Jankowska.

X „Rajdem Bieszczadzkiem” także z zakończeniami w Lesku i Dołżycy kierował Julian Bystrzanowski, a uczestników było 800.

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie zorganizowali Witold Faran i Adam Skrzecz (800 uczestników).

1970 rok

Prezes Andrzej Stanek

„Powitanie Wiosny” połączone z „Marzanną” odbyło się w Liwie, a kierowała nim Wiesława Fałkowska.

Rajd „Beskid Niski” zorganizował Jacek Wybraniec (ok. 600 uczestników).

Przejście przewodnickie w Beskidzie Niskim prowadzi Przemysław Pilich, a w Bieszczadach Szczepan Marczyński i Janusz Lewandowski.

W akcji lato prowadziliśmy 12 turnusów oraz nieokreślona ilość obozów wędrownych, pełnomocnikiem był Wiesław Prichodko a bazy zlokalizowano w Zagórzcu, Komańcu, Smereku, Wołkowyji, Ustrzykach Górnych, Łubnem i Sękowcu.

IV „Rajdem Wakacyjnym” z zakończeniem na Przysłupie, w którym wzięło udział ok. 200 uczestników kierowała Irena Ziębińska.

W wyprawie do Jugostawii w góry Šar Planina wzięli udział Krzysztof Druzgalski, Willi Orsetti, Jacek Czaplicki, Adam Skrzecz, Marek Bąkowski i Andrzej Chrobak.

XI „Rajdem Bieszczadzkiem”, który był jednocześnie rajdem XX-lecia ZSP i nosił oficjalną nazwę „Beskidy Wschodnie”, a kończył się w Sanoku, kierowali Paweł Iljin i Elżbieta Grajewska (uczestników 800).

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie zorganizował Jacek Czaplicki (1100 uczestników).

Przejście w Beskidzie Niskim 1970, fot. Sz. Marczyński



1971 rok

Prezes Julian Bystrzanowski

oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Wojciech Marczewski, wiceprezes ds. turystycznych Jacek Czapllicki, sekretarz Elżbieta Dudzińska, skarbnik Grzegorz Jung oraz Tomasz W. Łękwski.

Rajd „Powitanie Wiosny” połączone z „Marzanną” odbył się ponownie w Liwie, a kierował nim Tomasz W. Łękwski – wspólnie z UKT „Unikat”.

Rajdem „Beskid Niski” kierowali Krystyna Chiger i Jerzy Krawczyk.

Przejście letnie prowadzili Tomasz Wojciech Łękwski i Adam Kulewski oraz jako dojeżdżający Szczepan Marczyński.

W akcji lato prowadziliśmy 12 turnusów oraz 62 obozy wędrownie, pełnomocnikiem był Wiesław Prichodko, zastępcą Janusz Lewadnowski, finansami kierowała Wiesława Fałkowska, a bazy zlokalizowano w Zagórze, Komańczy, Smereku, Wołkowyji, Ustrzykach Górnych i Sękowcu.

Przejście przewodnickie w Beskidach Zachodnich prowadzili Wojciech Wiatr i Marek Skłodowski.

V „Rajdem Wakacyjnym” z zakończeniem w Zawoju, w którym wzięło udział ok. 200 uczestników kierowały Helena Jaślan i Jolanta Sznajder.

XII Rajdem „Bieszczady” z zakończeniami w Lesku i Dołżycy kierowali Małgorzata Klimunt i Krzysztof Druzgalski (uczestników 600). **Ukazał się pierwszy tom „Połonin”**

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie organizował Jacek Czapllicki (700 uczestników).

„Zakończenie Sezonu” w Kampinosie robity Jolanta Sznajder i Helena Jaślan.

Odbyły się dwa obozy zimowe: stacjonarny w Szczyrku dla 13 osób, który prowadziła Krystyna Chiger i wędrowny w Beskidach Zach. dla 9 osób który prowadziła Krystyna Lady-Drużycka.

Komisji egzaminacyjnej przewodniczył Przemysław Plich a sekretarował Janusz Lewandowski.

W maju 1971 r. odbył się pierwszy egzamin państwowy w Krakowie – zdała cała czwórka: Wojciech Marczewski, Janusz Lewandowski, Józef Drewniak i Bogdan Mościcki.

1972 rok

Prezes Tomasz Wojciech Łękwski,

oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Bogdan Mościcki, wiceprezes ds. turystycznych Adam Kulewski, sekretarz Zofia Goliger, skarbnik Małgorzata Klimunt oraz Olgierd Czeczot i Adam Mateńko. W maju dołączył Krzysztof Porada.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownik Zosia Goliger, zakończenie w Mysłakowie.

Rajd „Beskid Niski” – kierownicy Adam Kulewski i Adam Mateńko (ok. 550 osób). **Ukazał się pierwszy tom „Magur”.**

Przejście letnie prowadzili Janusz Lewandowski, Wojciech Łękwski i Adam Kulewski.

W akcji lato prowadziliśmy 10 turnusów oraz nieokreśloną ilość obozów wędrownych, pełnomocnikiem była Wiesława Fałkowska-Prichodko przy niejkiej pomocy Krzysztofa Wojtasa i Antoniego Rogali, a bazy zlokalizowano w Zagórze, Komańczy, Smereku, Wołkowyji, Ustrzykach Górnych i Sękowcu.

Koło przejęło budynek Domu Kultury w Komańczy z przeznaczeniem na schronisko turystyczne, którego opiekunem został Krzysztof Ołtarzewski. W schronisku odbył się obóz zimowy kursu.

I „Jarmark Bieszczadzki” – kierownik Tomasz Jagieliński.

Kierownikami VI „Rajdu Wakacyjnego” z zakończeniem na Szczerbanówce byli Jolanta i Jan Lipszycowie.

XIII Rajd „Bieszczady” z zakończeniami w Teleśnicy Oszarowej, Majdanie, Komańczy i Ustrzykach Dolnych zorganizowała Małgorzata Klimunt (uczestników 600).

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie zorganizowała Teresa Woźniak (700 uczestników). Kierownictwo kursu 72/73 stanowili Witold Marczak i Irena Krynicka.

Z okazji swojego XV-lecia Koło zostało odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Obóz zimowy odbył się w Szczyrku, a kierownikiem był Tadeusz Walecki. Komisji egzaminacyjnej w dalszym ciągu przewodniczył Przemysław Pilich, a sekretarzem był Wojciech Marczewski.

1973 rok

Prezes Bogdan Mościcki,

a w składzie Zarządu Teresa Woźniak wiceprezes ds. szkoleniowych, Adam Kulewski wiceprezes ds. turystycznych, Irena Krynicka sekretarz, Jan Bazył Lipszyc skarbnik oraz Krzysztof Dudek i Krzysztof Wojtas. W trakcie kadencji na miejsce Krzysztofa Wojtasa, który został pełnomocnikiem Akcji Letniej, do Zarządu wszedł Jerzy Szwagrzyk.

Obozem zimowym w Komańczy kierował Bogdan Mościcki.

Za „Komisję Wydawniczą” odpowiadał Tomasz W. Łękowski.

II „Rajd Narciarski” zorganizował Szczepan Marczyński dla 34 uczestników.

W marcu **spłonęło schronisko w Komańczy.**

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownik Jerzy Wesołowski, zakończenie w Cegłowie.

IX Rajd „Beskid Niski” zorganizowały Katarzyna Piwnicka i Jerzy Szwagrzyk (ok. 550 uczestników).

Akcja letnie w Bieszczadach liczyła 12 obozów a pełnomocnikiem był Krzysztof Wojtas.

Bazy zlokalizowano w Zagórzcu, Komańczy, Smereku, Wołkowyji, Ustrzykach Górnych, Sękowcu, a także w Szerbanówce (z siedzibą w Zubraczem) i w Woli Niżnej (z siedziba w Dołżycy k/Komańczy) oraz w Zydranowiej.

Przejście letnie prowadzili Adam Kulewski i Jerzy Szwagrzyk.

II „Jarmark Bieszczadzki” – kierownik Włodzimierz Ogonowski oraz Adam Kulewski, Jerzy Szwagrzyk, Edmund Kuna, Krzysztof Ołtarzewski, Tomasz Jegieliński; udział wzięło ok. 600 osób.

W akcji letniej po raz pierwszy ruszyły 4 obozy na Słowację.

Przejście w Beskidzie Niskim 1974, fot. W. Jasiński



- VII „Rajdem Wakacyjnym” z zakończeniem w Huczvicach, w którym wzięło udział ok. 200 uczestników kierowała Alicja Socha.
- Wyprawa do Jugosławii w góry Baba i Prokletije – kierownik Andrzej Huczko oraz Janusz Szałajski, Janusz Drużycki, Ryszard Bachowski, Halina Kazberuk.
- Przejście w Beskidach Zachodnich prowadził Tadeusz Pyrcak.
- XIV „Rajd Bieszczadzki” miał dwa zakończenia – wrześniowe w Polanach i październikowe w Roztokach Dolnych, a kierowali nim Jerzy Will i Michał Olpiński (750 uczestników).
- „Złaz Kampinoski” – kierownictwo Adam Skrzecz (ok. 550 osób).
- Kierownictwo kursu 73/74 Tadek Pyrcak, Katarzyna Niemirowicz-Szczytt i Krzysztof Porada.
- „Zakończenie Sezonu” odbyła się w Kampinosie.
- Komisją Wydawniczą kierował Tomasz W. Łękowski.
- Ukazało się 7 biuletynów pod redakcją Magdaleny Dietrich.
- Członkowie koła wzięli udział w akcji zainicjowanej przez TS „Politechnik” zatytułowanej „Odkrywamy powtórnie Bieszczady”.

1974 rok

- Prezes Grzegorz Jung,
- oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Tadeusz Pyrcak (od października Krzysztof Porada), wiceprezes ds. turystycznych Edmund Kuna (od czerwca Jan Bazyl Lipszyc), sekretarz Adam Kulewski, skarbnik Juliusz Marszałek oraz Irena Krynicka i Barbara Gabryl.
- Obóz zimowy w Suchej Dolinie – kierowniczka Magda Dietrich.
- Obóz kursu w Nasicznem – kierownik Witold Marczak.
- III Rajd Narciarski – kierownik Jan Bazyl Lipszyc (30 uczestników).
- Rajd „Powitanie Wiosny” w Lasach Garwolińskich (zakończenie w Rudzie Talubskiej), kierownik Leszek Brzostowski „Prezes”.
- X rajd „Beskid Niski” – kierownicy Edmund Kuna i Jerzy Will, 14 tras 550 osób.
- Przejście przewodnickie w Beskidzie Niskim prowadzili Witold Marczak i Krzysztof Porada, w Bieszczadach Wojciech Wiatr i Jerzy Will, w Beskidach Zachodnich zaś Adam Kulewski.
- W obozie UCPA we Francji wzięli udział Julian Bystrzanowski, Adam Kulewski, Bolestaw Szafranski (Alpy), Jolanta i Jan Lipszycowie (Pireneje).
- Ruszył po raz pierwszy szlak „Werchowina” (obozы spędzały tydzień w bazie „Werchowyna” na Zakarpaciu a przez kolejny tydzień wędrowały po Wyhorlacie), pełnomocnikiem był Michał Ignatowicz – 8 obozów.
- Słowacja – pełnomocnik Maria Lipszyc, 8 obozów.
- Akcja Letnia w Bieszczadach – pełnomocnik Jan Marciniak, zastępca Krzysztof Stanek, 10 obozów.
- Bazy namiotowe: Zagórz, Barwinek (za Zyndranową), Solinka (za Szczerbanówkę), Wola Wyzna, Zatwarnica, Ustrzyki Górne, Smerek, Łubne, Zawój, Horodek (nad zalewem za Wołkowyje), Prełuki (za Komańczę), Łopiennik i Otryt Górny. Pełnomocnikiem bazowym był Tadeusz Halpern.
- VIII „Rajdem Wakacyjnym” z zakończeniem w Huczvicach, w którym wzięło udział ok. 150 uczestników kierowała Alicja Socha.
- Wyprawa w góry Iranu – kierownik Andrzej Huczko, uczestnicy Wiktor Hibner, Zdzisław Pietruszka, Adam Skrzecz, Waldemar Ufnalski (masyw Tachte-Solejman, Sewalan, Demawend).
- XV „Rajd Bieszczadzki” zwany odtąd „**Połoninami**” miał zakończenia w Dołżycy, Roztokach Dolnych i Teleńnicy Oszarowej, a kierowali nim Juliusz Marszałek i Mieczysław Żochowski (ok. 400 osób).

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie zorganizowała Jolanta Lipszyc (ok. 600 osób).
„Zakończenie Sezonu” w Kaliszkach – kierownik Zofia Goliger.
Redakcja Biuletynu – Magdalena Dietrich i Bogdan Mościcki.
Na jesieni Komisją Egzaminacyjną SKPB zaczął rządzić (na długie cztery lata) tandem: Adam Kulewski – przewodniczący i Jerzy Will – sekretarz.
Obóz zimowy 74/75 (święteczny) w Szklarskiej Porębie – kierownik Ryszard Bachowski.

1975 rok

Prezes Mieczysław Żochowski,
oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Paweł Gajowniczek, wiceprezes ds. turystycznych Juliusz Marszałek, sekretarz Wojciech Czermiński (od września Andrzej Wielocha), skarbnik Bożenna Tyczyńska oraz Wojciech Jasiński (od września Jacek Kałużko) i od maja Irena Wielowiejska.
Obóz zimowy kursu w Lisznej kierownik Bogdan Mościcki.
IV „Rajd Narciarski” prowadzą Katarzyna Starosta i Zbigniew Urbaś „Gibon”.
Projekt wioski turystycznej w Łopieniec autorstwa Olgierda Łotocki wygrał konkurs MKiS na najlepsze zagospodarowanie obiektów zabytkowych.
Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownik Tadeusz Hoffman, zakończenie w Rawce.
Rajd „Beskid Niski” – kierownicy Wojciech Czermiński „Szczota” i Mieczysław Sakowski (638 osób).
Sprzedano 100 pierników, po raz pierwszy na plakacie znalazła się sylwetka bieckiego ratusza.
Przejście przewodnickie w Beskidzie Niskim prowadzili Krzysztof Porada i Paweł Gajowniczek.
Akcja letnia w Bieszczadach 12 obozów, pełnomocnik – Krzysztof Stanek (z-ca w lipcu Andrzej Wielocha, w sierpniu Ryszard Cędrowski).
Bazy namiotowe: Zagórz, Barwinek (za Zyndranową), Solinka (za Szczurbanówkę), Wola Wyzna, Złatarnica, Ustrzyki Górne, Smerek, Łubne, Zawój, Horodek (nad zalewem za Wołkowyję), Prelu-ki (za Komańczę), Łopiennik i Otryt Górny. Pełnomocnik bazy w Leszek Wasilewski „Cygan”.
Przejście w Bieszczadach Juliusz Marszałek i Zdzisław Pietruszka.
Pełnomocnik szlaku „Krasny Slovenska” Michał Ignatowicz, zastępcy Grażyna Hołownia i Jacek Szczap.
IX „Rajdem Wakacyjnym” z zakończeniem na Tyskowej, w którym wzięło udział ok. 150 uczestników kierował Adam Kulewski.
Obóz szkoleniowy w Rumunii – kierownicy Krzysztof Porada i Tadeusz Pyrcak.
Wyprawa „Iran 75” – kierownik Irena Krynicka (pasmo Sicalanu i Demawend).
XVI „Potoniny” miały zakończenia w Dołżycy, Roztokach Dolnych i Teleśnicy Oszarowej, a kierował nimi Waldemar Staniewicz (ok. 500 osób).
„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Lesznie zorganizował Jan Bazyl Lipszyc (450 uczestników).
„Bał Przewodnicki” w klubie „Mospan” robiła i „Zakończenie Sezonu” w Zalesiu Dolnym robiła Zofia Goliger.
Obóz zimowy 75/76 (święteczny) w Szklarskiej Porębie – kierownik Ryszard Bachowski.

1976 rok

Prezes Adam Kulewski,
oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Marek Król, wiceprezes ds. turystycznych Zofia Goliger, sekretarz Andrzej Wielocha, skarbnik Bożenna Tyczyńska oraz Józef Wróblewski i Włodzimierz Oleszkiewicz.
Wydano nowe legitymacje Koła.



Przejście w Beskidzie Niskim 1976, fot. P. Gajowniczek

Obóz zimowy kursu odbył się w Wierchomli Małej (żółtaczka w Bieszczadach) – kierownik Wojciech Jasiński. Z powodu żółtaczki odwołano też Rajd Narciarski.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownik Krzysztof Serafin, zakończenie w Szczypiornie a w meczu z SKPŚ 3:2 dla nas.

Rajd „Beskid Niski” – kierownicy Edmund Kuna i Jerzy Szwagrzyk (413 uczestników, 17 tras).

Przejście w Beskidzie Niskim – Paweł Gajowniczek, Marek Król, Zofia Goliger, Krzysztof Porada.

Przejście letnie – kierownik Zofia Goliger oraz Zdzisław Pietruszka, Krzysztof Porada i Bogdan Mościcki.

Pełnomocnik akcji rumuńskiej – Krzysztof Segit, 6 obozów bazowych i 4 biwakowe. Pełnomocnik akcji słowackiej „Krasny Slovenska” Andrzej Wielocha, 12 obozów, obozy po raz pierwszy startowały z bazy w Muszynie-Złockiem.

„Rajd Wakacyjny” – kierownictwo Alicja Socha i Maciej Szalewicz, i w dolinie Anieś (Rumunia) Włodzimierz Ogonowski.

Na obóz UCPA pojechali Ryszard Bachowski, Marek Król, Bolesław Szafrański oraz Krzysztof Dudek, Elżbieta i Andrzej Huczko.

W Bieszczadach prowadziliśmy 6 obozów bazowych i 4 biwakowe – pełnomocnik Wiesława Prichodko.

Obóz szkoleniowy w Rumunii – Bogdan Mościcki i Krzysztof Segit.

Bazy: Zagór, Muszyna-Złockie (za Barwinek), Łubne, Prełuki, Rostoki Grn. – Kiczka, Zawój, Zastawna (prowadząca Joanna Domachowska zwana Chudą), Ustrzyki Górne, Berehy Grn. i Maniów (za Solinkę) oraz schronisko pod Łopiennikiem.

Przejście w Beskidach Zachodnich – Paweł Gajowniczek.

XVII rajd „Połoniny” odbył się we wrześniu i w październiku z zakończeniami w Dołżycy, Rostokach Dolnych, Teleńcy Oszarowej i w Terce, a kierował nim Juliusz Marszałek (ok. 400 osób).

Kierownikiem kursu 1976/77 został Paweł Gajowniczek, zastępca ds. turystycznych Marek Kupiszewski, a sekretarzem Agnieszka Łochowska.

W październiku prezesem Rady Przewodniczej został Bogdan Mościcki a sekretarzem Wojciech Marczewski.

„Złaz Kampinoski” z zakończeniem w Zaborowie zorganizowali Maria Keller i Jacek Szczap (400 uczestników).

„Zakończenie Sezonu” odbyło się w Zalesiu Dolnym.

Obóz narciarski 1976/77 w Rabce – kierownik Ryszard Bachowski.

1977 rok

Prezes Andrzej Wielocha,

oraz wiceprezesi Jerzy Will i Mieczysław Sakowski, sekretarz Zenon Jurków, skarbnik Agnieszka Łochowska oraz Maria Keller i Zdzisław Pecul.

Rajd „Powitanie Wiosny” w Puszczy Kozińskiej z zakończeniem w Kociołkach – kierownicy Waldemar Łabuda i Karol Reczek. W meczu przegraliśmy 1:3.

Przejście przewodnickie w Beskidzie Niskim prowadzili Paweł Gajowniczek, Krzysztof Porada i Maciej Szalewicz.

Rajd „Beskid Niski” zorganizowali Jolanta Flissikowska i Jacek Kowalczyk, zakończenie poprowadzili Piotr Laskowski i Józef Wróblewski (450 uczestników).

Przejście letnie w Bieszczadach prowadzili Witold Michałowski, Stanisław Iwaniszewski, Grzegorz Jung i Jan Bazyl Lipszyc.

Pełnomocnikami akcji letniej w Bieszczadach byli Małgorzata Zięborak i Maciej Szalewicz.

Alina Dobrowolska prowadziła obóz szkoleniowy w Tatrach.

Pełnomocnikami „Krasów Slovenska” byli Zofia Mozga i Krzysztof Dudek.

Pełnomocnikami akcji letniej w Bieszczadach byli Małgorzata Zięborak i Maciej Szalewicz.

Na UCPA wyjechali Andrzej Stanek i Marek Ucieszyński oraz Teresa i Krzysztof Wojtasowie.

XI „Rajd Wakacyjny” w Bieszczadach – kierownik Janusz Skowronek.

Wyprawa w Hindukusz z okazji XX-lecia Koła – kierownik Edmund Kuna, uczestnicy Jacek Kowalczyk, Piotr Laskowski, Wojciech Lewandowski, Zdzisław Pietruszka, Andrzej Sikora, Krzysztof Stanek, Bożenna Tyczyńska, Andrzej Wielocha.

Wyprawa do Iranu, kierownik Leszek Górniak – tak naprawdę to do Pakistanu i Indii (Kaszmiru). Aladag – Bogdan Mościcki.

Przejście w Beskidach zachodnich: Magda Porada, Paweł Jagiełło, Marek Kupiszewski.

Rajd „Połoniny” zorganizowały Zofia Goliger i Beata Szwereny.

„Złaz Kampinoski” zorganizował Jacek Szczap.

Jubileusz XX-lecia Koła zorganizowano w „Jodłowym Dworze” pod Świętym Krzyżem – kierownik Wojciech Strożek.

Komisja Wydawnicza – Piotr Laskowski, Józef Wróblewski, Zdzisław Pecul.

W I edycji konkursu na najlepsze wydawnictwo studenckie o charakterze turystycznym otrzymaliśmy nagrody za „Wschodnią Słowację” i „Magury 74”.

Obóz zimowy Koła 77/78 odbył się w Korbielowie pod kierownictwem Ireny i Romana Comi.

1978 rok

Prezes Edmund Kuna,

oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Paweł Jagiełło, wiceprezes ds. turystycznych Jacek Szczap, sekretarz Ola Buczma, skarbnik Małgorzata Korsak oraz Janusz Zarzycki i Krzysztof Kleszcz.

Kierownictwo Kursu – Marek Kupiszewski, Marek Król.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownik Janusz Pieczerak.

W kwietniowym biuletynie artykuł Marii Keller i Jana Jabłkowskiego o zmianie nazw w Bieszczadach.

Przejście w Beskidzie Niskim – Maciej Szalewicz, Zbigniew Derecki, Stanisław Iwaniszewski
Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Barbara Rudzińska i Jerzy Hanusek.
Przejście bieszczadzkie – Maciej Szalewicz, Zbigniew Derecki, Elżbieta Misiak-Bremer.
Pełnomocnikami akcji letniej w Bieszczadach byli Krzysztof Stanek i Iwona Kozakiewicz.
Pełnomocnicy obozów na Słowacji – Agnieszka Łochowska i Ola Buczma.
Pełnomocnicy obozów w Rumunii – Tomasz W. Łękawski, Barbara Gabryl i Krzysztof Segit.
Komisja Wydawnicza – Iwona Kozakiewicz, Krzysztof Dudek, Juliusz Zębora, Piotr Laskowski.
Redakcja Biuletynu – Jerzy Wesołowski i Grażyna Hołownia.
Rajd „Połoniny” – kierownik Zdzisław Pietruszka.
Obóz w Norwegii – kierownik Andrzej Huczko.
„Złaz Kampinoski” – kierownik Jolanta Lipszyc.
W konkursie na najlepsze wydawnictwo studenckie o charakterze turystycznym otrzymaliśmy nagrody za śpiewnik „Hej góry, góry”, za „Magury 78” oraz za całokształt działalności wydawniczej.
Na Walnym Zebraniu w listopadzie 1978 roku Krzysztof Porada otrzymał pośmiertnie tytuł honorowego członka SKPB i ustanowiono nagrodę jego imienia za ciekawe inicjatywy programowe.
We wnioskach pojawiał się postulat opracowania przez Koło „Encyklopedii Bieszczadzkiej” oraz organizacji szlaku „Kaszmir”.
Kierownik kursu 79/80 – Marcin Sobkowski, kierownik turystyczny Małgorzata Korsak, sekretarz Urszula Jarmuł.
Obóz zimowy Koła na Śnieżnicy prowadził Ryszard Bachowski.

1979 rok

Prezes Juliusz Marszałek,
oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Marek Kupiszewski, wiceprezes ds. turystycznych Zbigniew Pojmański,
sekretarz Barbara Rudzińska, skarbnik Andrzej Sikora oraz Krzysztof Kleszcz i Zbigniew Kieras.
Powołano kapitułę orderu im. Krzysztofa Porady w składzie Magdalena Porada, Julian Bystrzanowski, Andrzej Huczko, Bogdan Mościcki. Pierwszym nagrodzonym został **Krzysztof Segit** za akcję Koła w Rumunii.
Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownicy Piotr Wiśniewski i Andrzej Zapałowski.
Przejście w Beskidzie Niskim – Stanisław Iwaniszewski i Jacek Kowalczyk.
Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Jerzy Hanusek i Ewa Piątkowska, kierownik zakończenia w Bieczu Andrzej Wielocha, ok. 450 uczestników. Pociąg rajdowy.
Przejście bieszczadzkie – Witold Michałowski, Jerzy Hanusek, Jerzy Korejwo.
Pełnomocnikami akcji letniej w Bieszczadach byli Małgorzata Zięborak i Krzysztof Stanek.
Pełnomocnicy obozów na Słowacji – Zofia Mozga i Paweł Gajowniczek.
Pełnomocnik obozów w Rumunii – Krzysztof Dudek.
Ruszają pierwsze obozy „**Akcji Opis – Łemkowyna**” organizowane przez Andrzeja Wielochę.
Obóz w Norwegii prowadzą Zofia Mozga i Ewa Piątkowska.
Przejście w Beskidach Zachodnich – Stanisław Iwaniszewski i Jacek Kowalczyk.
Rajd „Połoniny” – kierownicy Piotr Janko i Jan Swianiewicz.
„Złaz Kampinoski” – kierownicy Janusz Szporer i Jan Gołąb.
Obóz w górach Aladag (Turcja) prowadzi Bogdan Mościcki.
Kierownictwo Kursu stanowią Marek Kupiszewski, Marcin Sobkowski.
Zakończenie sezonu w Ryni kierownicy Emilia Lin i Jerzy Wesołowski.

Obóz zimowy 1979/80 w Szwajcarce w Sudetach, kierownik Michał Bayer.
Redakcja Biuletynu – Danuta Koperska i Wojciech Juszczyk.

1980 rok

Prezes Barbara Rudzińska,

oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Stanisław Iwaniszewski, wiceprezes ds. turystycznych Piotr Jan-ko, sekretarz Jacek Kowalczyk (od kwietnia Wojtek Juszczyk), skarbnik Jan Swianiewicz oraz Janusz Lonc i Wojciech Juszczyk a od kwietnia Piotrek Wiśniewski.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownictwo Anna Zatorska i Paweł Luboński. FC SKPB pokonało SKPS 7:0 (bramki Piotr Janko 4, Zbigniew Lonc 2, Jan Swianiewicz 1).

Przejście w Beskidzie Niskim – Stanisław Iwaniszewski, Marek Kupiszewski, Józef Wróblewski, Marcin Sobkowski.

XVI rajd „Beskid Niski” – kierownicy Marek Patrzykont i Paweł Majewski, zakończenie w Bieczu zorganizowali Bogdan Mościcki i Jerzy Wesołowski (420 uczestników).

Przejście w Bieszczadach – Juliusz Marszałek, Marcin Sobkowski.

Akcja Letnia – łącznie 36 obozów. Po raz pierwszy „**Akcji Opis – Nadsanie**”

Pełnomocnicy: Bieszczady – Agnieszka Łochowska i Piotr Wiśniewski, „Łemkowyna” i „Nadsanie” – Krzysztof Kleszcz, „Krasny Slovenska” – Jolanta Lipszyc i Ewa Piątkowska, „Rajd Wakacyjny” (reaktywacja) – Adam Kulewski i Zbigniew Lonc, „Riła” (po raz pierwszy) – Jerzy Wesołowski.

Obóz Lofoty’80 w górach Szwecji i Norwegii – kierownicy Edmund Kuna i Zbigniew Kieras.

Dwa obozy do Jugosławii: Prokletije – Paweł Jagiełło, Marcin Sobkowski oraz Alpy Savińskie – Paweł Kurowski i Małgorzata Zięborak.

Przejście „Łuku Karpat” – kierownik Andrzej Wielocha, uczestnicy Zdzisław Pecul, Wiesław Tomaszewski, Piotr Kurowski i Jerzy Montusiewicz (z SKPB Lublin).

Rajd „Połoniny” – kierownik Zofia Mozga, kierownik zakończenia Jan Bazyl Lipszyc.

„Złaz Kampinoski” – kierownictwo Andrzej Krzysiak i Marian Brzozowski.

Nagrodę im. Krzysztofa Porady otrzymał **Andrzej Wielocha** za zorganizowanie „Przejścia Łuku Karpat”.

W konkursie na najlepsze wydawnictwo studenckie o charakterze turystycznym otrzymaliśmy nagrody za „Połoniny 79” i śpiewnik „XV Beskid Niski”.

Kierownictwo Kursu – Marcin Sobkowski, Małgorzata Korsak.

Kurs przewodnicki dla Łodzi.

Obóz zimowy w Zawrotdniu.

1981 rok

Prezes Jan Swianiewicz,

oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Ewa Piątkowska, wiceprezes ds. turystycznych Zbigniew Lonc, sekretarz Wiesław Tomaszewski, skarbnik Urszula Jarmuł oraz Paweł Wroński i Jerzy Kwieciński.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownictwo Andrzej Wiesiołek i Krystyna Roguska.

Przejście w Beskidzie Niskim – Wiktor Marczak, Paweł Jagiełło.

XVII rajd „Beskid Niski” – kierownik Jerzy Wesołowski i Piotr Wiśniewski, 570 uczestników, zakończenie Anna Ostrowska i Robert Matejko („Intermedia plebejskie”).

Przejście bieszczadzkie – Piotr Janko, Ewa Piątkowska, Jan Swianiewicz.

Pełnomocnikami akcji letniej w Bieszczadach byli Jerzy „Mały” Wesołowski i Piotr Wiśniewski.

Pełnomocnicy obozów na Słowacji – Jolanta Lipszyc i Agnieszka Łochowska.



Przejście w Beskidzie Niskim 1981, fot. arch.

Pełnomocnicy obozów w Rumunii – Zbigniew Lonc i Krzysztof Segit.

„Beskidzki Rajd Wakacyjny” – Adam Kulewski.

Wyprawa w góry Turcji – Aladag kierownik Marcin Sobkowski.

Rajd „Połoniny” – kierownicy Jerzy „Mały” Wesołowski, Wojciech Juszczyk.

„Złaz Kampinoski” – kierownicy Robert Matejko i Marzena Giełczewska.

W konkursie na najlepsze wydawnictwo studenckie o charakterze turystycznym otrzymaliśmy nagrody za „Połoniny 80” i „Cerkwie drewniane w Karpatach”.

20-21.11.1981 – wycieczka na Przysłop w Beskidzie Niskim połączona z poświęceniem remontowanej przez środowisko akademickie cerkwi.

13.12.1981 – wprowadzony stan wojenny ogranicza działalność Koła.

Sylwester w leśniczówce „Na 7 morgach” koło Garwolina.

1982 rok

Prezes Ewa Piątkowska

oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Janusz Pieczerak, wiceprezes ds. turystycznych Jerzy M. Wesołowski, sekretarz Paweł Wroński, skarbnik Wojciech Komorowski i członkowie Robert Matejko, Leszek Smykowski.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownicy Maciej Wiśniewski i Renata Anna Piotrowska.

Nadzwyczajne Walne 27.04.1982 – decyzja o wystąpieniu ze struktur SZSP.

XVIII rajd „Beskid Niski” – Wojciech Juszczyk i Anna Ostrowska, zakończenie Paweł Luboński, Ewa Włodarczyk, Marzena Giełczewska – opóźniony ze względu na liczne formalności (9-16.05.1982) – 329 uczestników.

Kierownictwo Kursu – Zbigniew Kieras (odwołany), Urszula Jarmuł, Marzena Kuśnierz (do 03.82); powołani od 03.82: Jerzy Kwieciński, Leszek Smykowski, R.A. Piotrowska.

Przejście w Beskidzie Niskim – Marek Kupiszewski, Adam Kulewski, Józef Wróblewski, Małgorzata Korsak.

Przejście w Bieszczadach – Paweł Wroński, Jan Swianiewicz.

W akcji lato poprowadziliśmy 27 obozów w kraju, w Rumunii i w Bułgarii.

Pełnomocnik akcji letniej w Bieszczadach i Bułgarii – Jerzy „Mały” Wesołowski.

Pełnomocnik obozów w Rumunii – Wiesław Tomaszewski.

Obozy wędrowne w Beskidzie Niskim, Sądeckim, Gorcach i w Sudetach, Rumunii, Bułgarii.

Wyprawa w góry „Virunga” kierownik Marcin Sobkowski.

XXIII rajd „Potoniny” – kierownictwo Maciej Wiśniewski Ewa Włodarczyk, 21 tras, 324 uczestników.

Obchody jubileuszu XXV-lecia SKPB odbyły się w ośrodku „Skalny” w Jadwisinie – kierownik Bogdan Mościcki.

Koncert zespołu „Łemkowyna” na Akademii Muzycznej – po raz pierwszy w Warszawie, zorganizowany przez Krzysztofa Kleszcza, Andrzeja Wielochę.

XXIII „Złaz Kampinoski” – Paweł Luboński, Bogdan Wajland, Bogdan Bereza-Jarociński.

Nagrodę im. Krzysztofa Porady otrzymali **Ewa Piątkowska-Jako** za batalię o lokal Koła i **Krzysztof Kleszcz** za akcję „Łemkowina”.

Komisja Wydawnicza – Maria Lissowska, Stanisław Wieczorkowski.

Koło przystępuje do Federacji Akademickich Klubów Turystycznych.

1983 rok

Prezes Tomasz Szumniak, a od czerwca Ewa Włodarczyk, oraz wiceprezes ds. szkoleniowych Krystyna Roguska, wiceprezes ds. turystycznych Monika Nyka, sekretarz Elżbieta Mackiewicz, skarbnik Ewa Włodarczyk oraz Paweł Luboński i Piotr Jełowicki.

Kierownictwo Kursu – Paweł Łuboński, Paweł Wroński.

10 lutego 1983 zmarł na Szerokim Wierchu w trakcie prowadzenia obozu kursu Janusz Lonc.

Rajd „Beskid Niski” – kierownik Anna Zatorska (Kamińska). Pociąg rajdowy.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Robert Matejko i Juliusz Marszałek.

Wyprawa „Etiopia 83” – od września 83 (właściwie „Naokoło Etiopii”).

Komisja Wydawnicza – Paweł Luboński (od lutego 1983).

„Złaz Kampinoski” – Tadeusz Wicherek „Maestro” i Maciej Włodarczyk „Sierściuch”.

Nagrodę im. Krzysztofa Porady otrzymał **Stanisław Kryciński** za „Nadsanie”.

Przejście w Bieszczadach 1983, fot. arch.



W „Konkursie na najlepsze wydawnictwo studenckie o charakterze turystycznym” otrzymaliśmy nagrody za „Kronikę XXV-lecia”, „Ikony” i całokształt działalności wydawniczej w zakresie opracowań szkoleniowych.

Kierownik kursu – Andrzej Ochremiak.

1984 rok

Prezes Bogdan Mościcki

oraz sekretarz Paweł Swianiewicz, skarbnik Krystyna Mierzejewska (od maja Paweł Luboński), a także Tadeusz Wicherek, Urszula Jarmuł, Robert Matejko i Zbigniew Zalewski.

Obozy zimowe kursu w Koninkach – Zbigniew Kieras i Zbigniew Pojmański.

Obóz szkoleniowo-narciarski Koła w Koninkach – Jacek Nieckuła.

Rajd „Powitanie Wiosny” – Ryszard Bachowski i Janusz Szporer.

Rajd „Beskid Niski” – Robert Luśnia, Jolanta Pawłowska, Marek Boniński, Wojciech Maciąg, 456 uczestników. Pociąg rajdowy.

Przejście w Beskidzie Niskim – Monika Nyczanka i Andrzej Ochremiak.

Pełnomocnik akcji letniej w Bieszczadach – Jerzy Wesołowski i Robert Luśnia, w Beskidzie Niskim – Wojciech Juszczyk, na Słowacji – Janusz Zarzycki, w Rumunii – Leszek Sikorski.

Przejście bieszczadzkie – Witold Michałowski, Maciej Włodarczyk, Zbigniew Lonc.

Obóz szkoleniowy w Rumunii, w Górach Marmaroskich prowadzi Andrzej Wielocha.

Rajd „Połoniny” ok. 250 osób, kierownik Wojciech Morawski, na zakończenie „Jarmark Sanocki” w MBL-u.

Bazę w Berehach Grn. prowadzili Krystyna i Janusz Drużyccy, a w Komańczy Jan Marciniak i Jacek Krzyżanowski.

Nie odbył się XXV „Złaz Kampinoski”, a właściwie to się odbył, ale organizowany przez Klub Seniorów.

Komisja Wydawnicza – Paweł Luboński oraz Paweł Fedak, Robert Luśnia, Wojciech Morawski, Tadeusz A. Olszański, Jolanta Pawłowska, Stanisław Wieczorkowski, Andrzej Wielocha.

Brygada wysokościowa kierowana przez Edmunda Kunę zarabia na działalność Koła.

Koło przestało pełnić funkcję Komisją Turystyki Górskiej OM PTTK.

Kierownictwo kursu 84/85 Janusz Szporer oraz Paweł Swianiewicz i Mariusz Birski „Harnaś”.

1985 rok

Prezes Paweł Luboński,

sekretarz Stanisław Borawski, skarbnik Andrzej Wiesiołek, oraz Monika Nyczanka (szkolenie), Ewa Włodarczyk i Piotr Antoniak.

Obóz narciarski w Rumunii – Jerzy Kwieciński i Jacek Nieckuła.

W kwietniu obóz szkoleniowy na Słowacji prowadzą Ewa Bednarz i Wojciech Komorowski.

Rajd „Powitanie Wiosny” Stanisław Kryciński i Mariusz Barkowski.

Przejście w Beskidzie Niskim – Krystyna Roguska, Piotr Antoniak, Jerzy Rejman.

Rajd „Beskid Niski” – kierownik Ewa Bednarz. Pociąg rajdowy. Zakończenie Wojciech Morawski i Krystyna Bednarek „Lavinia”.

Wmurowanie ufundowanej przez Koło tablicy poświęconej pamięci Kazimierza Pułaskiego w cerkwi w Izbach i uroczystość na jej odstonięcie – kierownik Andrzej Wielocha.

Pełnomocnicy: Rumunia – Michał Bayer, Słowacja – Janusz Zarzycki, Bułgaria – Piotr Roszczenko, Bieszczady – Paweł Swianiewicz.

Rajd „Połoniny” – kierownicy Krystyna Bednarek „Lawinia” i Piotr Roszczenko, zakończenie Elżbieta Mackiewicz.

Biuletyn – Krystyna Bednarek „Lawinia” i Piotr Roszczenko.

Koło sfinansowało zakup sprzętu dla Domu Dziecka w Elblągu.

1986 rok

Prezes Wojciech Juszczyk,

sekretarz Anna Raczkowska, skarbnik Bogusław Wajland „Wajdelota”, oraz Elżbieta Mackiewicz, Jolanta Wilczek, Andrzej Czempirski „Ignac” i Robert Janaszek.

Wielkanocna wycieczka Koła do Lwowa zorganizowana przez Andrzeja Wielochę, prowadzona przez Pawła Jagiełłę.

W kwietniu impreza na Przełęczy Orłowicza z okazji 80-lecia AKT Lwów.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Mariusz Birski, Marek Boniński i Ewa Kurowska.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Wojciech Morawski i Paweł Swianiewicz.

Rajd „Połoniny” – niestety nie wiadomo, kto był kierownikiem.

W listopadzie w kolejnej edycji „Konkursu na najlepsze wydawnictwo studenckie o charakterze turystycznym” organizowanym przez Komisję Akademicką ZG PTTK nagrody otrzymały przewodniki „Romania. Karpaty Marmaroskie autorstwa Adama Kulewskiego i Andrzeja Wielochy, „Aladag. Najwyższa część gór Taurus w Turcji” pod red. Bogdana Mościckiego, oraz „Magury 86” i „Łemkowie i Łemkowyna. Materiały do bibliografii”.

Kierownikiem kursu był „Pan” Marek Patrzykont.

1987 rok

Prezes Robert Janaszek,

sekretarz Dariusz Raczko, skarbnik Tomasz Staniszewski „Trzy Świnki” oraz Maciej Matus, Krzysztof Maziński, Krzysztof Wiecha i Ewa Kurowska.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownik Tomasz Staniszewski.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadził „Pan” Marek Patrzykont i Krzysztof Łysoń „Krzysoń”.

Rajd „Beskid Niski” – kierownicy Krzysztof Wiecha i Krystyna Roguska.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Robert Janaszek, Paweł Wroński i Bogusław Wajland.

Wiosną – 6 obozów na Słowacji (z BTZ PTTK i Almaturom).

Ukazuje się pierwszy tom „Płaju”.

Latem – 9 obozów „Tylko w Bieszczady”, 7 „Krasów Slovenska”, 5 „Góry Bułgarii”, 2 obozy „Nad-sania” w tym **pierwszy obóz konserwatorski**, ponadto 5 obozów na Słowację jesienią.

Rajd w Beskidzie Żywieckim – Ewa Kurowska, Andrzej Czempirski.

Rajd „Połoniny” – kierownik Elżbieta Mackiewicz.

„Złaz Kampinoski” – kierownik Jacek Nieckuła.

Wyprawy do Japonii oraz do Chin.

Obóz szkoleniowy na przodownika GON – kierownik Adam Kulewski.

Jubileusz XXX-lecia w Józefowie – organizatorzy Wojciech Juszczyk, Bogdan Mościcki, Witold Michałowski, w programie m.in. synna „Opera SKPB” z librettem Bogdana Mościckiego.

Sesja „Cmentarze z I wojny światowej w Beskidzie Niskim” w Wysowej, której kierownikiem był Bogdan Mościcki.

Rekonasansowy obóz do Rumunii – Maciej Wiśniewski.

Źródłem dofinansowania działalności Koła były pieniądze wypracowane przez „Brygadę wysoko-

ściową” Edmunda Kuny oraz pieniądze z BPIT „Almatur”.

Z pieniędzy wypracowanych przez brygadę sfinansowano:

- remont cmentarzy w Beskidzie Niskim i Bieszczadach,
- dwa obozy dla wychowanków Państwowego Domu Dziecka w Elblągu,
- dwa obozy „Nadsania” oraz zwrot kosztów dla przewodników prowadzących obozy z BTZ PTTK.

We wrześniu w kolejnej edycji „Konkursu na najlepsze wydawnictwo studenckie o charakterze turystycznym” organizowanym przez Komisję Akademicką ZG PTTK nagrodę główną otrzymały „Cmentarze wojskowe z okresu I wojny światowej w rejonie Beskidu Niskiego i Pogórza” Romana Frodymy, a także nagrodzono inne nasze publikacje – „Pierwsza wojna światowa w Karpatach” oraz „Szlakiem żydowskich zabytków Podkarpacia”; nagrodzono też artykuł Tomka Kowalika o historii Górskiej Odznaki Turystycznej zamieszczony w pierwszym tomie „Płaju”.

Biuletyn redagowała Anna Raczkowska.

1988 rok

Prezes Jacek Kłoszewski,

oraz wiceprezes d/s szkoleniowych Bogdan Mościcki, wiceprezes d/s turystycznych Krzysztof Wiecha (od października Jerzy Rejman), sekretarz Tadeusz Wojciechowski, skarbnik Zbigniew Dźwigala i Jerzy Rejman.

Rajd „Powitanie Wiosny” – Anna Zatorska i Tomasz Staniszewski.

Rajd „Beskid Niski” z zakończeniem w Nowicy – Piotr Waydyk (Kogut), Paweł Witczak.

Przejście w Beskidzie Niskim – Paweł Wroński, Piotr Antoniak, Maciej Matus.

Przejście bieszczadzkie – Krzysztof Łysoń, Tomasz Staniszewski, Marek Waśkiel.

Pierwszy obóz szkoleniowy w Gorgany i Czarnohorę – kierownik Adam Kulewski.

Wyprawy – Grecja i Włochy, Jugosławia, Indonezja, Norwegia (3 grupy) Tajlandia, Nepal.

Rajd „Połoniny” – Anna Skrocka (Trochimiuk), Zofia Kosiorek i Alicja Roniewicz (Staniszewska), zakończenie w Łopience (odpuść), ognisko w Zagórzcu (ok. 500 uczestników).

„Złaz Kampinoski” – kierownik Joanna Perkowska.

Rajd „Białe Połoniny” – kierownik Robert Janaszek.

Kierownictwo kursu 88/89 stanowią Zofia Kosiorek i Anna Skrocka (Trochimiuk).

Na walnym wręczono Koło „Medal Komisji Turystyki Górskiej PTTK”

1989 rok

Prezes Jerzy Rejman

oraz sekretarz Zbigniew Dźwigala, wiceprezes od szkolenia Bogdan Mościcki, wiceprezes turystyczny Anna Skrocka (Trochimiuk), skarbnik Paweł Witczak i członek Jarosław Kaczkowski.

Sesja przewodnicząca o Ziemi Przemyskiej „Pogórze” (12-23.04.1989), oficjalnie firmowana przez OM PTTK (bo się Tomasz Staniszewski obraził), ale *de facto* robiona przez Koło.

W maju autokarowa wycieczka na Spisz organizowana przez Komisję Wydawniczą, a prowadzona przez Tadeusza Trajdosa.

Rajd „Białe Połoniny” – kierownik Robert Janaszek.

Rajd „Powitanie Wiosny” – kierownictwo Agnieszka Maślanka i Paweł Łodziński, ok. 50 uczestników.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Jarosław Kaczkowski, Elżbieta Mackiewicz i Agnieszka Maślanka, ok. 300 uczestników.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Anna Skrocka (Trochimiuk) i Paweł Wroński.

Drugi obóz szkoleniowy w Gorgany i Czarnohorę – kierownik Adam Kulewski.

Rajd „Połoniny” – kolektywne kierownictwo w składzie Jacek Kłoszewski, Paweł Majewski, Joanna Perkowska, Ewa Kurowska, Alicja Roniewicz (Staniszewska), Piotr Koperski i Anna Skrocka (Trochimiuk), ok. 200 uczestników.

W listopadzie „Spotkanie Czarnohorskie” organizowane przez Komisję Wydawniczą w Muzeum Etnograficznym.

Kierownictwo kursu 1989/90 Zofia Kosiorek, Agnieszka Ciesielska, Zbigniew Dźwigała, Paweł Łodziński, Alicja Roniewicz (Staniszewska), Anna Skrocka (Trochimiuk), .

1990 rok

Prezes Anna Skrocka (Trochimiuk),

oraz wiceprezesi d.s. turystycznych Robert Olszewski i Michał Milczarek, wiceprezes d.s. szkoleniowych Bogdan Mościcki (rezygnacja w styczniu), sekretarz Zbigniew Dźwigała, skarbnik Paweł Witczak i Jerzy Rejman (rezygnacja w styczniu).

Rajd „Przywitanie Zimy” – kierownik Tomasz Szatrawski.

Sylwester 89/90 – „Łemkowyna” w Muszynie – kierownik Anna Ostrowińska.

W lutym „Spotkanie Spiskie” w Muzeum Narodowym organizowane przez Komisję Wydawniczą.

Rajd „Beskid Niski” – kierownicy Robert Olszewski, Agnieszka Respondek, Katarzyna Stolarska i Piotr Szulewski, 180 uczestników wędrowało na 13 trasach.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Paweł Wroński, Anna Skrocka (Trochimiuk) i Marek Kalupa.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Dariusz Raczko, Małgorzata Mielszko i Zofia Josiorek.

W ramach Akcji Lato, obóz akcji „Łemkowyna” prowadziła Anna Ostrowińska, zorganizowano także wyjazdy w Gorgany i Czarnohorę oraz wyprawę w Ałtaj.

Rajd „Połoniny” – liczył 9 tras i 70 uczestników, a kierownikiem był Michał Milczarek.

„Złaz Kampinoski” organizowali Zofia Kosiorek, Jacek Niekuła i Alicja Staniszewska. Były 4 trasy, a na nich 130 uczestników.

Kurs 90/91 kierownictwo: Robert Olszewski, Marek Kalupa, Piotr Szulewski, Agnieszka Respondek, Jarosław Ciołek „Perełka”.

Biuletyn redagowała Katarzyna Stolarska „Robaczek”.

1991 rok

Prezes Marek Patrzykont, a od kwietnia Tomasz Kostrzewski

oraz wiceprezes i sekretarz Piotr Koperski, skarbnik Agnieszka Kornata i Tomasz Szatrawski.

Rozpoczyna się dzierżawa chatki w Bartnem.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Anna Trochimiuk i Agnieszka Ciesielska.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Robert Olszewski, Agnieszka Respondek i Krzysztof Świerczyński.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Piotr Szulewski i Marek Kalupa.

Kurs 91/92 kierownictwo: Tomasz Kostrzewski, Krzysztof Świerczyński (Świerszcz).

Rajd „Połoniny”, liczył 10 tras, a zakończenie odbyło się w Nasicznie.

Powstaj zespół „Werchowyna”, m. in. z inicjatywy i z udziałem członków Koła.

Koło zostało zarejestrowane jako Stowarzyszenie Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w Warszawie.

1992 rok

Prezes Robert Olszewski

oraz Paweł Trochimiuk, Piotr Szulewski, Aneta Smolarz, Krzysztof Dźwigała i Katarzyna Stolarska.

Przejście w Bieszczadach 1993, od lewej: Iza (?), Grażyna Góra, Piotr Wrona, Konrad Feliksbrodt, fot. arch.



XXVIII rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Rafał Długaszek, Jan St. Baran i Agnieszka Czarnecka oraz Ewa Karasińska, ześrodkowanie w Bielance.

XXXIII rajd „Połoniny” – kierownictwo Aneta Smolarz, Krzysztof Dźwigała, Dariusz Figura, Robert Olszewski.

Kierownictwo kursu 1992/93 – Jan Baran (do wiosny), Agnieszka Ciesielska, Paweł Trochimiuk, Anna Skrocka (Trochimiuk).

Z inicjatywy Pawła Wrońskiego i Bogusława Wajlanda przy Warszawskiej Regionalnej Radzie Przewodniczej powstała komisja egzaminacyjna, wyłoniona głównie z członków Koła, która egzaminowała (do 1998 r.) na III i II klasę przewodniczką.

Pojawiają się kołowe „polary”, czerwone z biało-czarnym paskiem na lewym ramieniu.

1993 rok

Prezes Krzysztof Dźwigała

oraz Marcin Wasil skarbnik, Dariusz Figura sekretarz.

Rajd „Beskid Niski” – Grzegorz Tyliński i Danuta Życzyńska, ześrodkowanie w Radocynie.

Rajd „Połoniny” – kierownik Marcin Wasil.

Wycieczka autokarowa na Zakarpacie (11-16 listopada) „Synewirskie Jezioro”, organizatorzy Andrzej Ochremiak, Anna Trochimiuk, Paweł Wroński, Bogusław Wajland.

Kierownictwo kursu 93/94: Jan St. Baran, Agnieszka Czarnecka, Grażyna „Misia” Góra (Bukowska), Justyna Świdzińska (Pontek) – do kwietnia 94.

1994 rok

Prezes Krzysztof Dźwigała,

oraz Paweł Pontek wiceprezes, Maciej Czaplicki skarbnik oraz Konrad Feliksbrodt sekretarz i Dariusz Figura.

XXX rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Konrad Feliksbrodt i Danuta Życzyńska, ześrodkowanie w Osławicy.

Rajd „Połoniny” – kierownik Piotr Wrona.

Kierownikiem kursu 1994/95 był Maciej Czaplicki, Anna Trochimiuk i Paweł Wroński.

1995 rok

Prezes Piotr Wrona „Jabbuchy”,
oraz Maciej Czaplicki – skarbnik, Agnieszka Kornata, Artur Więckowski, Marcin Kornecki, Grzegorz Cieślik
Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Grzegorz Cieślik i Sławomir Michalik, ześrodkowanie tras
w Gładyszowie.

Rajd „Połoniny” – kierownictwo Anna Trochimiuk i Paweł Wroński, zakończenie w Teleśnicy Sannej.
Kierownictwo kursu 1995/96 stanowili Piotr A. Wrona i Maja Skomorowska (Graniszewska).

1996 rok

Prezes Maciej Czaplicki,
oraz Michał Grycz, Aleksandra Sadowska, Martyna Dzieciół, Wojciech Dorabialski i Magdalena
Rusyan.

XXXII rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Martyna Dzieciół, Wojciech Dorabialski, Maciej Czaplicki,
Robert Olszewski, ześrodkowanie w Ozennej.

Na przełomie maja i kwietnia rusza **pierwszy „Beskidzki Trakt” – Górski Rajd Licealistów
Warszawy**. Kierownictwo rajdu – Artur Więckowski, Marcin Karnecki, Agnieszka Czarnecka, Jan
St. Baran.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Maja Skomorowska, Ignac Gajo, Robert Olszewski i Paweł
Trochimiuk.

Rajd „Połoniny” – kierownictwo Wojciech Dorabialski, Krzysztof Dźwigata, Jakub Gąsiorowski, Sła-
womir Michalik i Adam Panasik.

II „Beskidzki Trakt” jesienią w Gorcach, kierownictwo Artur Więckowski, Marcin Karnecki, Agniesz-
ka Czarnecka, Jan St. Baran, Joasia Adamczyk.

Po dłuższej przerwie wychodzą kolejne „Magury” pod red. Macieja Filochy.

Kierownictwo kursu 1996/97 – Martyna Olszewska „Dzieciół”, Maja Skomorowska (Graniszew-
ska), Wojciech Dorabialski.

1997 rok

Prezes Mariusz Pietrzak „Dzidek”,
oraz Aleksandra Sadowska – wiceprezes, Jakub Gąsiorowski – sekretarz, Michał Grycz – skarbnik,
a także Maciej Filocha i Sławomir Michalik.

III „Beskidzki Trakt” w kwietniu w Bieszczadach – kierownictwo Agnieszka Czarnecka, Artur Więc-
kowski, Joanna Adamczyk, Marcin Karnecki.

Przejście w Beskidzie Niskim Maciej Czaplicki, Martyna Dzieciół, Tomasz Szatravski.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Katarzyna Migdańska, Wojciech Dorabialski i Adam Panasik,
ześrodkowanie w Izbach.

Przejście w Bieszczadach Sławomir Michalik i Wojciech Dorabialski.

IV „Beskidzki Trakt” jesienią w Pieninach – kierownictwo Joanna Adamczyk, Maciej Kubacki, Agnieszka
Płatkowska, Adam Panasik, Arkadiusz Majewski, Michał Missala.

Rajd „Połoniny” – kierownik Wojciech Dorabialski, ześrodkowanie w Duszatynie.

Wyprawa w Pireneje.

Wycieczka autokarowa na Ukrainę 16-19.10, Żółkiew – Jaremcze – Worochta – Lwów, organiza-
torzy Robert Olszewski, Aleksandra Sadowska.

Reaktywuje się Komisja Wydawnicza w składzie Jakub Gąsiorowski, Sławomir Michalik i Ola Sadowska.

Kierownictwo kursu 1997/98 – Sławomir Michalik, Jakub Gąsiorowski, Adam Panasik i Aleksandra Sadowska.

1998 rok

Prezes Jakub Gąsiorowski,
oraz wiceprezes Daria Tylikowska (Michalik), skarbnik Adam Panasik, sekretarz Maciej Kubacki oraz Sławomir Michalik.

W lutym 1998 roku w Zawadce Rymanowskiej odbył się obóz zimowy dla dzieci poszkodowanych przez powódź w 1997 roku na Dolnym Śląsku.

V „Beskidzki Trakt” wiosną we wschodniej części Beskidu Niskiego – Joanna Adamczyk, Arkadiusz Majewski i Katarzyna Migdalska, Andrzej Matyka, Michał Missala.

Przejście w Beskidzie Niskim Robert Olszewski, Jakub Gąsiorowski i Maciej Filocha.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Maciej Kubacki, Daria Tylikowska i Mikołaj Łaniewski, ześrodkowanie w Olchowcu.

Przejście w Bieszczadach Martyna Olszewska i Sławomir Michalik.

VI „Beskidzki Trakt” w Beskidzie Wyspowym i Gorcach – jesień Arkadiusz Majewski, Joanna Adamczyk, Andrzej Matyka, Katarzyna Migdalska.

Rajd „Połoniny” – kierownik Sławomir Michalik, ześrodkowanie w Bystrem k/Michniowca.

Wyprawy Ural Polarny, Bajkał i Sajany Wschodnie, Karelia zimą – Jezero Ładoga i Jezero Onega.

Kierownictwo kursu 1998/99 – Adam Panasik, Maciej Kubacki, Agnieszka Płatkowska i Daria Tylikowska (tylko do połowy).

1999 rok

Prezes Sławomir Michalik
oraz wiceprezes Daria Tylikowska (Michalik), skarbnik Adam Panasik, sekretarz Mikołaj Łaniewski-Wołk, a także Piotr Kardaś i Maciej Szreter.

Przejście w Beskidzie Niskim Maciej Filocha, Jakub Gąsiorowski i Sławomir Michalik.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Piotr Kardaś, Aneta Zafuga i Tomasz Wielga, ześrodkowanie w Regetowie Wyznim.

„Beskidzki Trakt” VII Rajd w Bieszczadach – wiosna Andrzej Matyka; Joanna Adamczyk, Michał Rutkowski, Arkadiusz Majewski.

Przejście w Bieszczadach Marcin Karnecki, Agnieszka Czarnecka, Adam Panasik i Piotr Koperski.

Rajd „Połoniny” – kierownik Adam Panasik, ześrodkowanie w Solince.

„Beskidzki Trakt” VIII rajd w Beskidzie Sądeckim – jesień Andrzej Matyka; Joanna Adamczyk, Michał Rutkowski, Arkadiusz Majewski.

Wyprawa – Iran, Turkmenistan.

Koło uzyskuje stałe upoważnienie Wojewody Mazowieckiego do prowadzenia szkoleń przewodników beskidzkich.

Kierownictwo kursu 1999/2000 – Jakub Gąsiorowski, Adam Panasik (tylko do połowy).

2000 rok

Prezes Adam Panasik, a od października Krystyna Kowalska jako pełniąca obowiązki, oraz wiceprezes Agnieszka Płatkowska, skarbnik Jan Dobrzański, sekretarz Magdalena Kobierecka (Wielga), a także Maciej Nowakowski i Karol Jasiński.

Rusza po raz pierwszy baza namiotowa w Regetowie

Wyprawy – ptw. Kolski zimą; Gruzja i Armenia, Nepal, Syria, Liban, Jordania.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Adam Panasik i Mikołaj Łaniewski.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Maja Długołęcka, Maciej Nowakowski, Janek Dobrzański, ześrodkowanie w Zawadce Rymanowskiej.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Joanna Adamczyk, Adam Panasik, Maciej Filocha i Mikołaj Łaniewski.

XLI rajd „Połoniny” – kierownictwo Magdalena Kobierecka, Mikołaj Łaniewski, Rafał Cieślak, Michał Skrzyniarz, ześrodkowanie w Łopience.

XXXVI Złaz Kampinoski im. Andrzeja Harskiego – kierownictwo Zocha Kosiorek.

Kierownictwo kursu 2000/01 – Agnieszka Płatkowska, Maciej Kubacki, Maciej Nowakowski, Adam Panasik.

2001 rok

Prezes Karol Jasiński

oraz Jan Dobrzański – skarbnik, Maja Długołęcka – sekretarz i Maciej Nowakowski.

Akcja „Góry dzieciom” – obóz wędrowny dla dzieci z warszawskich domów dziecka organizują Lena Kobierecka i Tomasz Wielga „Trombka”.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Joanna Adamczyk, Agnieszka Czarnaeka, Marcin Karnecki, Waldemar Graniszewski.

Rajd „Beskid Niski” kierownik Michał Skrzyniarz, Małgorzata Gutkowska i Mikołaj Łaniewski, ześrodkowanie w Zdyni.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Aneta Załuga, Maciej Nowakowski, Daria Michalik i Agnieszka Ciesielska.

Rajd „Połoniny” – kierownictwo Marta Glanda, Anna Jawor, Jan Dobrzański, ześrodkowanie w Moczarach.

Koło rezygnuje z dzierżawy chaty w Bartnem.

Wyprawy – Kirgizja (Tien-Szan), Mongolia – Ałtaj mongolski (okolice Munch-charjchan-uul) i góry Chentej), Kaukaz: Elbrus i doliny Wierchnego Baksanu, Bajkał i Góry Bajkalskie, Indie i Nepal (drogą lądową przez Turcję, Iran, Pakistan).

XXXVII Złaz Kampinoski im. Andrzeja Harskiego – kierownictwo Zocha Kosiorek.

Kierownictwo kursu 2001/2002 – Krystyna Kowalska, Michał Grycz, Maciej Godlewski i Tomasz Szatrawski.

2002 rok

Prezes Tomasz Wielga

oraz Maksymilian Kulesza – skarbnik, Magdalena Badowska – sekretarz i Mikołaj Łaniewski.

Po blisko 10-letniej przerwie wychodzą kolejne „Połoniny” (redakcja Jędrzej Gąsiorowski).

Wyprawy – Ałtaj (Kurajski i Sewieroczujski grzbiety), Sajany Wschodnie i Bajkał, Kaukaz – Elbrus.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Jakub Gąsiorowski, Anna Gąsiorowska, Adam Panasik i Aneta Załuga.

Rajd „Beskid Niski” ześrodkowanie w Hucie Polańskiej, kierownictwo Magda Badowska, Rafał Dąbrowski.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Maciej Godlewski „Gore”, Adam Panasik i Łukasz Węctawski „Szwajcar”.



Przejście w Bieszczadach 2002, fot. A. Smoła

Rajd „Połoniny”, ześrodkowanie Wola Michowa, kierownictwo Zosia Kowalska, Dorota Janiszewska (Węctawska).

20 listopada członkowie Koła pod wodzą Anety Załugi zakładają **Społeczny Komitet Odbudowy Cmentarza na Rotundzie**.

Kierownictwo kursu 2002/2003 – Magdalena Kobierecka (Wielga), Łukasz Węctawski.

2003 rok

Prezes Zofia Kowalska

oraz wiceprezes Jędrzej Gąsiorowski, skarbnik Artur Janusz, sekretarz Dariusz Gatkowski i Michał Skrzyniarz.

Przejście wiosenne w Beskidzie Niskim prowadzili Magdalena Kobierecka, Tomasz Wielga i Adam Filip. Rajd „Beskid Niski” – kierownicy Dariusz Gatkowski i Jędrzej Gąsiorowski, ześrodkowanie w Owczarach. Przejście bieszczadzkie prowadzili Magdalena Kobierecka, Mikołaj Łaniewski i Michał Skrzyniarz. Rajd „Połoniny” – ześrodkowanie w Dwerniku, kierownictwo Asia Matuszewska, Tadek Joniewicz, Łukasz Sztern.

XV Beskidzki Trakt jesienią – kierownictwo Dariusz Gatkowski.

Akcja „Góry dzieciom” – Radosław Baranowski „Baranek”, Tomasz Anuszewski „Bubu – Budyń”, Magdalena Kobierecka „Lena”.

Wyprawy – Nepal (Khumbu), Burjacja (Sajany – Tunkijskie Golce i Bajkał), Attaj.

Slajdowiska SKPB – po kilkuletniej przerwie wznawia Małgorzata Gutkowska

XXXIX Złaz Kampinoski im. Andrzeja Harskiego- kierownictwo Zosia Kowalska i Maciek Godlewski.

Kierownictwo kursu 2003/2004 – Anna Jawor-Joniewicz, Michał Skrzyniarz, Adam Panasik, Mikołaj Łaniewski-Wołk.

2004 rok

Prezes Jędrzej Gąsiorowski

oraz wiceprezes Przemysław Gzyra, skarbnik Karolina Juszczyk, sekretarz Radosław Baranowski i Dariusz Ekonomiuk.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Anna Jawor, Zofia Kowalska i Mikołaj Łaniewski.
XL rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Izabela Dąbrowska (Adamczyk), Jerzy Guterman, Radosław Baranowski, Joanna Matuszewska, zakończenie w Olchowcu.

Przejście w Bieszczadach prowadzili Jędrzej Gąsiorowski i Artur Janusz.

Akcja Lato – kierownictwo Marysia Bilewska (ob. Gąsiorowska), Dorota Janiszewska (ob. Węclawska), odbyło się 15 obozów i 5 wycieczek weekendowych

XVI „Beskidzki Trakt” – kierownik Joanna Matuszewska.

Rajd „Połoniny” – kierownictwo Krystyna Kupiszewska, Andrzej Tymoczko, Artur Janusz, ześrodkowanie w Berekach Górnych.

XVII „Beskidzki Trakt”jesienią - kierownik Piotr Kłosowicz

Wyprawy – Kamczatka (rejon Kluczewskiej Sopki, Awaczyńska i Mutnowska gr. wulkanów), Kirgizja (Alajski grzbiet); Uzbekistan, Boliwia (Cordillera Real, Parinacota), Peru (Cordillera Vilcabamba), Chile i Argentyna – Patagonia (Carretera Austral, Lago Desierto, Los Glaciares, Torres del Paine, Tierra del Fuego).

XL Złaz Kampinoski im. Andrzeja Harskiego organizują Zosia Kowalska i Maciek Godlewski.

Kierownictwo kursu 2004/2005 – Karolina Juszczyk, Magdalena Badowska.

2005 rok

Prezes Zofia Kowalska

oraz Dariusz Gatkowski – wiceprezes, Izabela Dąbrowska (Adamczyk) – skarbnik, Jacek Dryk – sekretarz, Jędrzej Gąsiorowski i Artur Janusz – członkowie.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Adam Panasik, Jędrzej Gąsiorowski, Dariusz Gatkowski „Mister” i Magdalena Badowska.

Rajd „Beskid Niski” – kierownictwo Piotr Kłosowicz, Krzysztof Lisak, ześrodkowanie w Dołżycy.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Dariusz Gatkowski „Mister”, Karolina Juszczyk i Mikołaj Łaniewski.

Akcja Lato – 15 obozów, 2 wycieczki weekendowe

Przejście w Bieszczadach 2005, fot. arch.



Rajd „Połoniny” – kierownictwo Zofia Kowalska, Radosław Baranowski oraz Joanna Matuszewska i Szymon Chojnacki, ześrodkowanie w Wetlinie.

Projekt „Młodzież górą(om)” pod kierownictwem Dariusza Ekonomiuka, czyli akcja edukacyjna dla dzieci z warszawskich domów dziecka.

Wyprawy – Ural Subpolarny zimą, Tadżykistan (Hisarro-Alaj i Pamir), Jakucja, Kilimandżaro, Indie (Ladakh), Chiny: Wutai Shan i Seczuan, Gruzja i Armenia.

XLI Złaz Kampinoski im. Andrzeja Harskiego organizuje Darek Gatkowski.

Kierownictwo kursu 2005/2006 – Justyna Karamuz, Aneta Załuga, Krzysztof Lisak, Rafał Dąbrowski.

Koło uzyskało status **Organizacji Pożytku Publicznego**.

2006 rok

Prezes Radosław Baranowski, oraz wiceprezes Agnieszka Skieterska, skarbnik Szymon Chojnacki, sekretarz Jakub Organ oraz Krzysztof Lisak.

Przejście wiosenne w Beskidzie Niskim prowadzili Aneta Załuga, Magdalena Badowska i Piotr Kardaś.

XLII rajd „Beskid Niski” z ześrodkowaniem w Regetowie – kierownictwo Krystyna Kupiszewska, Tomasz Smykowski i Paweł Wrzeszcz.

XVIII Beskidzki Trakt – prowadzący Krzysztof Lisak.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Anna Jawor, Radosław Baranowski, Adam Panasik, Jędrzej Gąsiorowski i Tadeusz Joniewicz.

Akcją Lato kieruje Agnieszka Skieterska, odbyło się 12 obozów i 4 wycieczki weekendowe.

XLVII rajd „Połoniny” z zakończeniem w Wołkowie – kierownictwo Monika Przemyska, Ania Romaniuk, Piotr Kardaś, Wojciech Saletra.

Wyprawy – Australia (Mt. Kosciuszko), Gruzja (Mały Kaukaz) i Armenia (Aragac), Tuwa i Sajany, Ałtaj (Siewieroczujski grzbiet), Boliwia (góry Apolobamba i Góry Królewskie).

XLII Złaz Kampinoski im. Andrzeja Harskiego organizują Marek Cichy (kierownik) oraz Lila Mazurkiewicz.

Kierownictwo kursu 2006/2007 – Dariusz Gatkowski, Jędrzej Gąsiorowski.

W dniu 24 listopada zakupiona została chatka w Teodorówce.

2007 rok

Prezes Radosław Baranowski, oraz wiceprezes Agnieszka Skieterska, skarbnik Szymon Chojnacki, sekretarz Jakub Organ oraz Liliana Mazurkiewicz, Marek Cichy, Krzysztof Lisak.

Przejście w Beskidzie Niskim prowadzili Anna Jawor-Joniewicz, Tadeusz Joniewicz, Alicja Słoma, Jędrzej Gąsiorowski.

XLIII rajd „Beskid Niski” z ześrodkowaniem w Wisłoku Wielkim – kierownictwo Justyna Leszczuk, Patrycja Kardasz, Jakub Szewczyk.

Przejście bieszczadzkie prowadzili Dorota Węclawska (Janiszewska), Krzysztof Lisak, Andrzej Affek i Justyna Karamuz.

Akcją Lato kieruje Marek Cichy, odbywa się 11 obozów i 4 wycieczki weekendowe.

Obchody 50-lecie Koła pod patronatem prezydenta Warszawy oraz rektorów UW i PW.
Jubileuszowy Tydzień Slajdów na Uniwersytecie Warszawskim 26-30 marca (Auditorium Ma-

ximum). Jubileuszowy Tydzień Slajdów na Politechnice Warszawskiej 16-20 kwietnia. Górski zjazd przewodników w Wetlinie 26-27 maja 2007. Wystawa prezentująca dorobek Koła eksponowana w dniach 8 -13 października w Auli Głównej Politechniki Warszawskiej, a od 15 do 27 października w nowej Bibliotece UW. „50 lat w górach” - koncert piosenki turystycznej, 13 października 2007, Aula Główna Politechniki Warszawskiej.

Wyprawy do: Kirgizji (Hissaro-Altaj), Chin (Pamir, Mustagh Ata), Uzbekistanu (Zachodni Tien-Szan), Iran (Góry Elburs, Damawend).

Rajd „Połoniny” główny koordynator – Michał Skrzyniarz, wykonanie – kursanci 2006/07, ześrodkowanie w Łopience.

XLIII Złaz Kampinoski im. Andrzeja Harskiego organizują Marek Cichy (kierownik) oraz Lila Mazurkiewicz i Adam Leszczyński

Kierownictwo kursu 2007/2008 Dariusz Gatkowski, Anna Romaniuk i Dorota Węclawska.

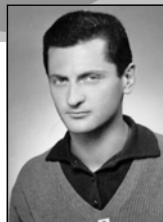


Przejście w Bieszczadach 2007, fot. M. Bielawski.



Tomasz Kowalik blacha 54

W pięćdziesiąt lat później – złoty jubileusz



Jubileuszowy wpis do księgi pięćdziesięciolecia dzisiejszego Stowarzyszenia Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w Warszawie – bo tak po latach brzmi jego nazwa – nie będzie pozbawiony słów dużych a nawet wielkich, z oglądu osobistego wielu z nas także wzniosłych, ale też sentymentalnych i całkiem banalnych. Będzie po prostu, na ile tylko możliwe przy takiej okazji, jak najmniej odświętny, ale jednak przeładowany opisami najważniejszych zdarzeń, jakie do swej własnej historii wpisali nasi poprzednicy.

Najważniejszy dlatego, że to „wędrowanie po kraju by go poznać” – jak nauczali dawniej krajoznawcy – było dla wielu z nas młodzieńcze, szczere, pierwsze, dlatego niezapomniane, wspomniane za pomocą coraz bardziej zawodnej pamięci, starych fotografii i „opowiadane wnukom”. Z wielkim szacunkiem dla tych, którzy wędrują po „wiecznie niebieskich połoninach”, ale i dla tych, którzy się od nich uczyli i prowadzą dziś – po ciągle jeszcze i oby jak najdłużej - „zielonych beskidzkich płajach”. Tu w Polsce, i gdziekolwiek na świecie, wedle zasady „najciekawiej jest tam, na szczytach gdzie jeszcze nas nie było”. Zawsze jednak bardzo daleko, gdzie z dolin nie sięga ani wzrok, a ze szczytów widać oddalone horyzonty, tam, gdzie sięga tylko nasza pamięć i nasze wyrażone lub skryte marzenia.

Wszystko to spisałem dalej z całym szacunkiem dla najmłodszych naszych naśladowców, „dopiero co przewodników beskidzkich”, ale zawsze z wdzięczną pamięcią o tych, którzy są – lub z ważnych powodów nie mogą być – z okazji jubileuszu z nami. Każdy z młodszych ma plany na swoją miarę, starsi rozmaity życiowy, zawodowy i naukowy dorobek, rozliczne tytuły i odznaczenia, a przede wszystkim tytuły „ojców założycieli”, wiek słuszny i sędziwy, a potomstwo liczone na dwa pokolenia. W istocie rzeczy – niewiele nas różni.

Tekst „ku pamięci”, dla naszych następców, warto wzbogacić słowami z klasycznego źródła. Sięgam do poźółkłej książeczki z 1982 roku – „Z historii Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie 1957-1982” – które jako nasze 96 wydawnictwo uświetniało jego 25. lecie. Autor tekstu „Kawał życia” – Jerzy Korejwo napisał, że jego pierwsze spotkanie z „ludźmi z Koła” było dziełem przypadku. Dodał nieco dalej, że „owa górską służba [w roli ratownika] jest naturalną konsekwencją tego, co dało mi Koło: przewodnickiego wykszolenia, opiekuńczego stosunku do ludzi, miłości i szacunku dla gór”. Ktoś kiedyś powiedział, że „samotność jest dopiero wtedy, gdy nie masz już kogo spytać – a pamiętasz?”

Jego osobisty „wpis do pamiętnika” z okazji „srebrnego jubileuszu” Koła to zarazem przestanie, pozdrowienie, zachęta do wspomniania. Napisał wtedy: „I warto, by już niedługo, podczas jubileuszu 50-lecia SKPB (będzie to w roku 2007), wszyscy ci, którzy dopiero co otrzymali prze-

wodnickie ostrogi lub dopiero o nich marzą – mogli także z satysfakcją powiedzieć, że Koło – to był kawałek życia. I by także – jakie by ich nie spotkały na życiowej drodze zaszczyty lub kłęski – mogli z dumą i łezką sentymentalnej zadumy spojrzeć zawsze na pieczołowicie przechowywany wśród domowych pamiątek niewielki trójkątny znaczek, z wpisaną weń bieszczadzką cerkiewką...” Takie słowa stają się jednaką mądrością, naszą zbiorową i każdego osobno – bez względu na ilość przebytych kilometrów i trudy napotkane na szlakach – mądrością na dalsze dni i lata zwyczajne, bez jubileuszowych słów i nut. Oby ciągle jeszcze los pozwolił, a nam się chciało, z zapałem krajoznawcy wędrować po wielu nieznanym lub wielokrotnie przetartym szlakach turystycznych. I oby szlaki naszego życia były jak najdłuższe w czasie i przestrzeni.

Pewne jest – po wielu minionych latach – że w ówczesnych warunkach, gdy przestały obowiązywać dokuczliwe i absurdalne zakazy sięgania do historii, wielce pożyteczne było czerpanie z dorobku polskich turystów i krajoznawców z ostatniego ćwierćwiecza dziewiętnastego i początku dwudziestego stulecia. Dziś już stare, bo przecież ponad stuletnie, doświadczenia Akademickiego Klubu Turystycznego – założonego we Lwowie w 1906 roku – użyźniły coraz bardziej jałową glebę, a zwłaszcza rozległy zagon polskiej turystyki i krajoznawstwa. Możliwe i coraz bardziej owocne było przypomnienie i naśladowanie chlubnych dokonań dawnych akademików w Karpatach Wschodnich i Tatrach, z biegiem czasu także w górach Europy i w górach na innych kontynentach. Dziś wiemy, że ten narastający przez dziesięciolecia ogromny dorobek i jego sumowanie po upływie następnego pięćdziesięciolecia, jest istotną częścią polskiej kultury fizycznej, krajoznawstwa, grubym tomem w dorobku polskiej turystyki.

Mijały kolejne pokolenia, jedno po drugim zmiany obyczajowe sprawiały, że wędrowanie zakurzonymi gościńcami i bezdrożami po kraju przestało być uznawane za zachowanie niegodne osób wykształconych przez mieszczańskie zasady obyczajowe. Zanim powstało Towarzystwo Tatrzańskie (1873-4) turystyka nieśmiało zajmowała miejsce wśród modnych zachowań towarzyskich. Te pokolenia zbierały dorobek w swoistych dla siebie warunkach, poszukiwały odpowiedzi na wiele

Bieszczady 1958, gotujemy obiad, fot. arch.



pytań. Zawsze ważnych – o swoją tożsamość kulturową przez wędrowanie, odkrywanie, zwiedzanie, podziwianie, studiowanie „wielkiej księgi przyrody” i dziejów ludzi, ich dokonań i dorobku. Im bliżej do naszych czasów tym więcej turystyki i krajoznawstwa w środowisku akademickim. Nic zatem dziwnego, że niebawem pojawiły się określenia „turystyka akademicka” lub „studencka”.

Pierwsi akademicy, studenci przewodnicy beskidzcy w latach pięćdziesiątych poprowadzili swoich rówieśników i przyjaciół w Bieszczady i Beskid Niski. A były to regiony pozbawione odwiecznych gospodarzy po – wojennym i powojennym spustoszeniu ich siedzib i pacyfikacji. Przewodnicy i ich rówieśnicy byli na nowo ich odkrywcami. Powód zapału do poznawania naszych „nowych kresów” był w swej istocie zarówno prosty, jak młodzieńczo romantyczny. Tak jak dziś i wtedy, nasi poprzednicy byli stęsknieni za swą własną swobodą w tej przestrzeni, podziwiali panującą w niej coraz bardziej niepodzielnie dziką przyrodę. W tych stronach byli badaczami przeszłości, klasycznymi krajoznawcami. Chłonili wszystko to nowe z ciekawością i zapałem badaczy starych dziejów, zdumieni gwałtownością niedawnych dramatów. Zaskakiwały ich jednakowo spotkania z ludźmi i osobliwością przyrody i krajobrazu. A to wszystko na południowo wschodnich górskich kresach Polski pobudzało do młodzieńczych zmagania z przestrzenią i trudami górskich wędrówek, gdy trzeba było grzbiet obciążyć wszystkim, co turyście niezbędne.

Dopiero w dziesięć lat po pierwszych beskidzkich przewodnikach jedno z wielu ale niezwykle, bo poetyckie świadectwo o ziemi, przyrodzie, krajobrazie, tradycjach, kulturze i ludziach rubieży naszego kraju, wystawił poeta. Niebawem zamienione zostało na popularną piosenkę

*[...] I czerwień kalin jak cyrylica pisze
I na trombitach jesień głosi bór
Że jedna jest tylko mądrość
Dzieło zdjęte z gór*

„Budowanie lasu”, Jerzy Harasymowicz, 1965

Ani się obejrzelśmy, a to w czym tkwimy sami od pięćdziesięciu lat, ma swój język, obyczaj, obrosło w tradycje, literaturę, rozliczne i o ogromnym dorobku instytucje. W polskiej skali turystyka akademicka ma w rodowodzie – skromnie własnymi siłami przypomniany w 2006 roku – stuletni dorobek intelektualny, a często i materialny.

Przed pięćdziesięciu laty charakterystyczne dla turystyki studenckiej były wędrówki w te strony, gdzie dotąd nie było wolno chodzić z mapą i busołą. Były to – dla przypomnienia młodszym – czasy, gdy wszystkie nasze pogranicza były „tabu” politycznym i administracyjnym. Mistrzami dla swoich rówieśników w swoistym „ziemiophile” obśmiewania, obchodzenia i wręcz lekceważenia zakazów, bardzo szybko z powodu rozbudzonych zainteresowań swobodną turystyką i coraz wyższą falą potrzeb, stali się ci, którzy chcieli wędrować dalej niż obowiązywały zakazy i ograniczenia. Często o tych kresowych górach nie wiedzieli wiele więcej od swych podopiecznych, ale od czego „otwarta głowa” i zdrowa rywalizacja. Jednak mieli cechy odkrywców nieznanymi terenów i niejako z natury rzeczy i podziału ról na wycieczce, byli opiekunami mniej z nimi oswojonych. Przewodnicy i przewodnictwo – to skłębiony splot cech osobowości, umiejętności praktycznych, zapału do przewodzenia innym, umiejętnych organizatorów życia w specyficznych warunkach uprawiania turystyki i krajoznawstwa. Tym bardziej atrakcyjnego, że w górach.

Nie ma co ukrywać, że turystyka studencka weszła bujnie na ugorach – politycznych, obyczajowych, ekonomicznych, w latach 1953-1957, w tzw. wczesnych latach pięćdziesiątych. Gdy w 1948 roku doszło do wymuszonego połączenia wielu działających w uczelniach stowarzyszeń akademickich w Federację Polskich Organizacji Studenckich, to ona zajęła się z nadania władz i ale

i rozpoznania własnych potrzeb, zaspokajaniem ogromnych potrzeb socjalnych i kulturalnych. Chodziło o organizowanie turystyki, wypoczynku, dzielenia pomocy stypendialnej państwa. A w górach – jak wiadomo od wielu pokoleń – „pełniej rozkwita myśl wolna”. W 1950 roku powstało Zrzeszenie Studentów Polskich, które wchłonęło razem z formami działania i tradycjami, tkwiącą w uczelniach od wielu lat *Bratnią Pomoc* i inne zróżnicowane w barwach politycznych organizacje. Pod koniec 1950 roku nastąpiło zjednoczenie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Polskie Towarzystwo Turystyczno Krajoznawcze.

Z biegiem czasu okazało się, że ani ZSP – uznawanie za specyficzny „związek zawodowy uczących się dorosłych”, ani PTTK jako organizacja masowa, nie były w stanie zaspokoić potrzeb studentów na odpowiadające im formy spędzania czasu wolnego, wypoczynku, kultury fizycznej i opieki zdrowotnej.

Na pobyt w sanatorium, obóz narciarski czy wakacyjne górskie dwutygodniowe wczasy wędrownie ZSP-PTTK mogli liczyć „zakwalifikowani” – najlepsi w nauce z legitymacją organizacji studenckiej, zaangażowani w pracy społecznej, nienaturalnie ugrzeczniejszeni studenci. Nietrudno zgadnąć, że „to nie było to”, potrzeba niezależności i poszukiwanie czegoś własnego, według wzorów z dawnych lat, jak niegdyś w Akademickim Klubie Turystycznym. Stary dobry wzór okazał się przydatny w pół wieku później, w nowych czasach i na miarę nowych potrzeb. Nie tylko „bieszczadzki magnes” przyciągnął studentów z wielką siłą. Na niemalże dziewicze bieszczadzkie szlaki, na połoniny, w roztoki i ostępy, w maju 1955 roku poszły pierwsze grupy amatorów kresowej swobody i osobliwości. Marzenia o uprawianiu turystyki „bez gorsetu” studenci początkowo nieśmiało, a z czasem coraz liczniej w kilku środowiskach akademickich, zaczęli organizować i zaspokajać w PTTK, początkowo poza uczelniami, a niebawem w formie akademickich kół i oddziałów tej organizacji. Pierwsze takie ogniwa powstały w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (w 1953), w Poznaniu – Oddział Akademicki (1954). 14 grudnia 1954 roku na zebraniu amatorów różnorodnych form turystyki uchwalono powstanie studenckiego Koła PTTK przy PW, które zarejestrowano pod numerem 139 w Oddziale Stołecznym. Przewodniczącym był Mieczysław Łukasik, zastępcami Leszek Kopczyński i Wojciech Matusiak.

Druga grupa organizatorów coraz bardziej usamodzielnionej turystyki studenckiej w Warszawie powstała dzięki działaniom „medyka” Marka Ławińskiego i „prawnika” Ryszarda Dutkiewicza, który w Radzie Naczelnej ZSP odpowiadał za organizowanie pierwszych grup tzw. wczasów wędrownych. W 1955 roku, w wstępnym wiosennym rozpoznaniu warunków w terenie i tras, na szlaki wakacyjnych wędrówek w Bieszczady, Tatry, Pieniny, Sudety ruszyli studenci uczelni z Wrocławia, Poznania, Krakowa, Warszawy. Przed wakacjami 1956 roku na niewiele miejsc w takich obozach kandydowało ponad 300 osób. W dwóch pierwszych „turnusach bieszczadzkich” wzięło udział kilkunastu studentów Politechniki. Do udziału kwalifikowano po rozmowie ujawniającej doświadczenie turystyczne kandydata, a następnie około 60 z nich przeszło „próby terenowe” w Puszczy Białej, tj. wycieczkę jednodniową i wycieczkę z biwakami.

Szczęśliwcy wyruszyli z Zagorza i Komańczy, przez Chryszczatą, obie Połoniny, Otryt, z Ustrzyk Górnych na Halicz, ze wszystkim co nieodzowne na szlaku na plecach, bez namiotów, zaopatrując się w żywność w Cisnej, Kalnicy, Stuposianach, Wetlinie. Pierwszymi tzw. akcjami wakacyjnych obozów wędrownych w Bieszczadach w 1955 roku kierowali Ławiński i Dutkiewicz. W 1956 roku wyruszyły one z początkowej „bazy” w Zagórz, z wynajętej w tym celu starej stodoły, a szefem akcji był Leszek Kopczyński. Ich ekwipunek był ubogi, zaspokajał podstawowe potrzeby. Okrycie stanowiła brezentowa wojskowa płaszcz-pałatka, do ochrony przed deszczem, wiatrem i nocnym



Bieszczady 1958, przeprawa przez San, fot. arch.

chłodem przy ognisku. Na nogach mieli trampki, bezużyteczne w trudnym terenie, na sobie ubranie „uniwersalne” na słotę i pogodę. Na plecach zapas wszelakiego dobra do wyżywienia się w ciągu dwóch tygodni, bowiem po drodze tylko nieliczne sklepy, pozwalały na uzupełnienie zapasów.

Z najstarszych przekazów kronikarskich wędrowek wiadomo, że niejako drugą bazą nodelgową do odpoczynku przed wyjściem na Halicz była stajnia i kurnik, zapewniające więcej niż skromne, a raczej prymitywne, warunki do odpoczynku w osoblwym folwarku strażnicy Wojsk Ochrony Pogranicza w Ustrzykach Górnych. W takich warunkach działali pionierzy bieszczadzkich szlaków.

To właśnie oni, jeszcze bez formalnego przeszkolenia i jakichś uprawnień, jako grupy przyjaciół ze wspólnej wędrowki, nazwali się „Wielkie Bractwo” i „Klub Lewej Nogawki”, któremu przewodził Andrzej Kunc. Dzięki tym doświadczeniom w Bieszczadach i Beskidzie Niskim z tego kręgu przyjaciół wywodzili się naturalni kandydaci na przewodników następnych obozów wędrownych w Tatrach, Beskidzie Śląskim, Pieninach i Gorcach. Byli to m.in. Włodzimierz Dylis, Wojciech Kulicki, Halina Wiączek, Tadeusz Łętocha, Wojciech Matusiak, Wojciech Wojtysiak. Komisja Wczasów ZSP i koło uczelniane PTTK sprawiły, że turystyka studencka w Warszawie nabierała rozmachu organizacyjnego.

Organizowanie coraz liczniejszych imprez i obozów wędrownych wymagało zapewnienia im przewodników obeznanych z terenem, sposobami ich prowadzenia, finansowania, przekazywania – zgodnie z tradycjami polskiego krajoznawstwa – informacji geograficznych, historycznych, udzielania pierwszej pomocy. W takich okolicznościach doszło do zorganizowania na przełomie lutego i marca 1956 roku przez Komisję Turystyki Rady Naczelnej ZSP pierwszego Centralnego Kursu dla Przewodników Studenckich w Michałowicach koło Karpacza. Do podniesienia poziomu umiejętności i rozwijania studenckiej turystyki w warszawskim ośrodku akademickim, mieli się przygotować wspomniani Włodzimierz Dylis, Halina Wiączek, Mieczysław Łukasik, Wojciech Kulicki. Kursanci dostali podstawową wiedzę z historii turystyki, geografii turystycznej, znajomości polskich gór,

metodyki przewodnictwa, terenoznawstwa, finansowania turystyki studenckiej, pierwszej pomocy i ratownictwa.

Aby zapobiec niezdrowej konkurencji, nakładania się terminów imprez w atrakcyjnych rejonach, uniknięcia tłoku w nielicznych schroniskach, w Michałowicach nastąpił „podział stref wpływów”. Najbardziej atrakcyjne regiony kraju na zasadzie koleżeńskiej umowy przypisano organizatorom turystyki akademickiej. Środowisku warszawskiemu przypisano Bieszczady i Beskid Niski, Góry Świętokrzyskie, Wielkie Jeziora Mazurskie i Pojezierze Suwalsko-Augustowskie.

Już podczas wakacji 1956 roku w Beskidzie Niskim wędrowały 2, a w Bieszczadach 10 obozów wędrownych. Także jesienią tego roku w Bartkowie zakończył się z udziałem 200 osób pierwszy większy Rajd Świętokrzyski studentów PW, a w zimie rajd narciarski z udziałem 50 osób, którym kierowali Szymon Nowakowski i Mieczysław Łukasik. Jesienią 1956 roku niezależnie o wspomnianych obozów w Beskidzie Niskim, jakby na potwierdzenie i dla doskonalenia wiedzy z kursu w Michałowicach, odbyło się tzw. przejście przewodnickie. Brali w nim udział Włodzimierz Dylis, Wojciech Kulicki, Tadeusz Łętocha i Halina Wiączek.

Zebrane w pierwszych latach doświadczenia organizatorskie, a zwłaszcza przewodnickie pod znakami ZSP i PTTK nie tylko w Warszawie, doprowadziły do formalnego utworzenia studenckich kół przewodników turystycznych. Jesienią 1957 roku, po drugim z kolei obozie szkoleniowym w Michałowicach i egzaminie takie uprawnienia uzyskali początkowo tylko dla potrzeb środowiska warszawskiego Tadeusz Bogumił, Tęsa Gnys, Leszek Kopczyński, Andrzej Kopicki, Andrzej Matias, Andrzej Padzik, Jacek Jusiewicz. W takiej sytuacji, gdy grupa doświadczonych przewodników była coraz liczniejsza, dojrzał pomysł utworzenia w warszawskim środowisku akademickim osobnego koła przewodników.

Równocześnie w ZSP i PTTK krystalizują się nowe formy organizacyjne turystyki akademickiej „na wysokim szczeblu”. Od 1956 roku zaistniało Biuro Podróży i Turystyki, jako wyspecjalizowana agenda Komisji Wczasów, Turystyki i Sportu w Radzie Naczelnej ZSP. Wszak trzeba było coraz bardziej sprawnie organizować tzw. turystykę krajową, przede wszystkim wakacyjne obozy wędrownie i zimowe obozy narciarskie.

Po wspomnianym wcześniej kursie w Michałowicach w październiku 1957 roku powstało **Koło Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych** przy Radzie Okręgowej ZSP w Warszawie. Jego pierwszym prezesem został Wojciech Kulicki, wymieniony wcześniej kilka razy jako jeden z najbardziej aktywnych działaczy turystycznych w warszawskim środowisku akademickim. Było to trzecie z kolei w kraju akademickie koło przewodników, pierwsze w listopadzie 1955 roku pod przewodnictwem Włodzimierza Kulczyckiego powstało Studenckie Koło Przewodników Górskich w Krakowie. 16 stycznia 1957 roku powstał (formalnie zarejestrowany 30 stycznia 1959 roku) – odnowiony na wzór AKT ze Lwowa – Akademicki Klub Turystyczny we Wrocławiu. Składał się z Sekcji Górskiej i Koła Przewodników, niebawem Studenckiego Koła Przewodników Sudeckich. Pierwszym prezesem był Jan Marek. Ten klasyczny model naśladowano także w następnych latach w Gliwicach, Łodzi, Szczecinie, Warszawie, Olsztynie.

Przejawem naśladowania tradycyjnych wzorów organizacyjnych, zarówno w uprawianiu turystyki oraz wyrażonych także w nazewnictwie, było utworzenie Akademickiego Klubu Turystycznego w Warszawie, działającego w latach 1958-1960. Jego prezesem był Andrzej Smirnow. Krótkotrwały żywot tego klubu był spowodowany zapewne konkurencyjnym działaniem wielu innych kół i klubów. Nakładanie się struktur o niemal takich samych celach działania, głównie w tych samych terenach górskich, prowadziło do rozproszenia sił organizacyjnych, a nawet do sytuacji konfliktowych.

Od 19 stycznia 1960 roku zaczął działać Oddział Międzyuczelniany PTTK w Warszawie. Jego pierwszym prezesem był Jan Szukalski, zastępcami Janusz Koziół i Krzysztof Sierakowski, sekretarzem Joanna Kotowicz – studenci Politechniki Warszawskiej. Oddział był dotowany ze środków ZG PTTK, które służyły finansowaniu imprez oraz turystycznych obozów dla starszej młodzieży szkolnej, przygotowując sobie tym sposobem aktywistów, którzy rozpoczną studia na warszawskich uczelniach. Oddział skupił powstające kolejno uczelniane koła tej organizacji i specjalistyczne kluby turystyczne, np. Klub Autostopowy „Klakson”, który prowadził punkt sprzedaż książeczek autostop i bazę namiotową dla jego uczestników w Warszawie, a skromne dochody przeznaczano na zakup sprzętu turystycznego do wypożyczalni.

Swoistym znakiem czasu w latach 1959-1965 były liczne inicjatywy organizacyjne, które wyrażały się w dążeniu studentów poszczególnych uczelni, a nawet wydziałów, do tworzenia własnych wydziałowych klubów turystycznych oraz kół PTTK.

W 1961 roku powstał Akademicki Klub Narciarski przy Radzie Okręgowej ZSP i Oddziale Międzyuczelnianym PTTK. Jako pierwsi przewodniczyli klubowi Michał Ziębiński i Ewa Beynar. Miał na celu popularyzowanie narciarstwa, tzw. akcja otwartych stoków, szkolenie instruktorów, organizowanie rajdów, imprez i obozów narciarskich w górach. Szkolenie narciarskie prowadziło także Koło Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych w celu pozyskania specjalistycznej kadry dla zimowych obozów szkoleniowych, wypoczynkowych oraz imprez narciarskich.

Tak w latach 1956-1960 utrwalały się struktury, programy działania, zasięg, daty kalendarza stałych imprez, wyznaczając swoisty rytm turystyki akademickiej – czyli w okresie wakacji, ferii świątecznych i ferii semestralnych oraz w ciągu roku akademickiego. Nawiązywanie do wzorów Akademickiego Klubu Turystycznego sprzed półwiecza oznaczało także swoiste formy i styl, a przede wszystkim wyróżnianie się niezależnymi strukturami, których władze wybierano w cyklu corocznych walnych zebrań wyborczych i sprawozdawczych z powodu dużej rotacji typowej dla środowiska akademickiego wyznaczonej przez rytm studiów i znaczną liczbę osób po dyplomach wychodzących z uczelni do nowych miejsc pracy w całym kraju.

Bieszczady 1958, pakowanie plecaków na bazie w Zagórze, fot. arch.



Coraz pełniejsza samodzielność organizacyjna studenckiego oddziału PTTK, komisji Wczasów, Turystyki i Sportu ZSP, liczne kluby turystyki kwalifikowanej i turystyczne na wydziałach, nie zamykała drogi do nowych form działania, a nawet konkurencyjnych dla jako tako okrzepłych w warszawskich uczelniach i środowisku, o dorobku istotnym, liczącym się jako wybitny w skali krajowej w dziedzinie popularyzacji turystyki. Według ocen z lat 60. w warszawskich uczelniach na studiach dziennych, zaocznych i wieczorowych studiowało ponad 61 tysięcy osób. Już podczas akcji letniej w czasie wakacji 1962 roku, prowadzonej przez Koło Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych, w 24 obozach wędrownych i 24 kempingowych w Bieszczadach i Beskidzie Niskim wzięło udział ponad 1 tys. osób. Jednocześnie szacunkowe wyliczenia mówią o udziale 20 procent warszawskich studentów w organizowanych własnymi siłami imprez i obozów turystycznych w wielu regionach kraju.

Ogółem np. w 1962 roku, nakłady wspomagające turystykę studencką w Warszawie wynosiły 572 tys. złotych, a w 1964 roku 1,15 mln złotych. Wpłynęło z działalności turystycznej odpowiednio 83 i ponad 1 mln złotych. Dzięki takiej sytuacji finansowej możliwe było hojniejsze dofinansowanie akcji letnich obozów wędrownych, wyposażenie i uruchomienie wypożyczalni sprzętu turystycznego oraz wykonanie remontu i wyposażenie w nieodzowny sprzęt pierwszego, nie tylko dla potrzeb studentów warszawskich, schroniska turystycznego pod Łopiennikiem w Bieszczadach.

W ciągu kilku lat w oddziale skupiło się wielu doświadczonych przewodników, zarówno studentów jak i absolwentów, którzy uzyskali uprawnienia przewodników i organizatorów turystyki. To umożliwiło utworzenie komisji i referatów turystyki górskiej, pieszej i kajakowej – najbardziej popularnych w środowisku akademickim. W 1965 roku powstał Terenowy Referat Weryfikacyjny Górskiej Odznaki Turystycznej. Przewodnicy GOT pełnili swoje obowiązki w bazie w Zagórzcu w sezonie obozów wędrownych oraz podczas tradycyjnych rajdów górskich w Bieszczadach i Beskidzie Niskim.

Ważnym wydarzeniem było w grudniu 1962 roku nadanie 18 członkom Studenckiego Koła Przewodników – po egzaminie przed komisją regionalną w Rzeszowie – pierwszy raz w warszawskim środowisku akademickim uprawnień przewodników państwowych III klasy. Osobliwość tego zdarzenia polegała też na tym, że studencka grupa przewodników powstała formalnie w znacznej, największej wśród siebie podobnych, odległości od górskiego rejonu działania w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. Ze względu na dalszy rozwój organizacyjny turystyki akademickiej nie tylko w Warszawie, ale także w relacjach z innymi środowiskami akademickimi w kraju na polu niezależnej turystyki, nadaniu tych uprawnień można przypisać znaczenie „kroku milowego”. Można też uznać, że uprawnienia tego rodzaju to swoiste „świadcstwo dojrzałości”.

W ten sposób Koło miało formalną podstawę do zmiany swego statusu, tj. z grupy amatorów, ograniczonych formalnie w swojej misji do warszawskiego, a szerzej do środowiska akademickiego w całym kraju, stało się w 1963 roku **Studenckim Kołem Przewodników Beskidzkich**. W nowej sytuacji jego działalność regulowało porozumienie z 1962 roku między Radą Naczelną ZSP a Zarządem Głównym PTTK oraz *Regulamin studenckich kół przewodników* z 1962 roku. Istotny udział w opracowaniu tego porozumienia oraz określeniu roli studenckich przewodników, miał delegowany do tych uzgodnień Andrzej Jacek Harski, współzałożyciel Oddziału Międzyuczelnianego PTTK w Warszawie. Jego imieniem w 1964 roku nazwano tradycyjną imprezę „na zakończenie sezonu”, z zasady listopadowy „Złaz Kampionoski”. Ustalono przynależność organizacyjną Koła do Oddziału Międzyuczelnianego PTTK i Rady Okręgowej ZSP w Warszawie, a do zakresu uprawnień i obowiązków przede wszystkim organizowanie w rozmaitych formach turystyki górskiej, doskona-



Bieszczady 1958, pierwszy biwak pod pałatką, fot. arch.

lenie wiedzy i umiejętności przewodnickich członków Koła, szkolenie swoich następców i prowadzenie akcji górskich letnich obozów wędrownych, baz namiotowych i schroniska pod łopiennikiem, w którym gospodarzem był Witold Cygan.

Każdy jubileusz, żeby nie wiem jak godny był sam jubilat, był, jest teraz i na pewno – bez obawy o dużą pomyłkę – będzie za kolejne ileś tam lat okazją do wspomnienia. O sprawach banalnie prostych, o wydarzeniach jeżących włosy na głowie i bardzo wzniosłych, o czynach na miarę bohaterów. Zawsze jednak taki jubileusz będzie skażony niedopowiedzeniami, zdarzenia mimo usilnych starań pozostaną za mgłą minionych lat i utoną w morzu naszej niedoskonałości pamięci. Nie sposób doliczyć się, ile czynów z tej prawdziwej historii będziemy sławić, a ile także nieświadomie zapomnieliśmy. Na pewno liczne z nich przekazemy, ogólnie rzecz biorąc – naszym potomnym. Oczywiście – ku własnej chwale, ku przestrodze i nauce, dla zaznaczenia swego miejsca, ale też z życzliwości i dobrego serca następcom. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy – nie powiemy, bo nie zapisaliśmy, czy to w pamięci, czy to „na papierze”, czy na „nośnikach elektronicznych” foto, audio i wideo, wszystkiego. A mam dziwne przeczucie, że to po prostu niemożliwe.

Jednak, mimo wszystko to, co nieodwracalne, jak upływający czas:

*Sadźmy róże, sadźmy róże
Długo jeszcze temu światu
Szumieć będą śnieżne burze,
Sadźmy je przyszłemu latu ! [...]*

To jedna trzecia wiersza jednego z zacnych naszych przodków na turystycznych bezdrożach i ledwie wydeptanych ścieżkach. To właśnie 175 lat temu Seweryn Goszczyński – jako jeden z coraz liczniejszych w następnych latach twórców wielu dziedzin sztuki – pokazał wielu swoim współczesnym i potomnym drogę ku górcom. Poeta czasów romantycznych, jako uciekinier po powstaniu listopadowym z Warszawy, z ukrycia w dworze Tetmajerów w podhalańskiej łopusznej, w 1832 roku wędrował i spisał „Dziennik podróży do Tatrów”. Zasłużył sobie na miano odkrywcy, ale nie tyle tajemniczych wtedy gór lecz góralszczyzny. Podziwiana przez niego kultura ludności

podhalańskiej znalazła się w naszej literaturze narodowej i na wyżynach kultury polskiej.

Czy mierzone połową stulecia to wszystko, co udało się zrobić na beskidzkich szlakach, w Bieszczadach i Beskidzie Niskim, kilkunastu pokoleniom zaangażowanym w sprawy codzienne turystyki akademickiej, jest „sadzeniem róż...przyszłemu latu”? Nie wyrokujmy, bez względu na wielkość naszego, i w pewnym stopniu także ważnego dla wielu innych – jubileuszu. Przecież nie tylko w tych kresowych górach z naszej przyczyny stawało się dorobkiem całego środowiska akademickiego. To część polskiej turystyki i krajoznawstwa, drobna lecz dla nas jakże ważna część naszej osobistej, a zarazem wielkiej polskiej kultury. Musimy bowiem doliczyć to wszystko, co się stało dzięki naszym poprzednikom, oni też zbierali niemałe plony w tej dziedzinie – to przecież razem już sto lat. Zapisane na licznych kartach, w wielu nieznanych księgach, a jednak nie do łatwego sumowania w liczbach, do ogarnięcia jedną myślą, nie do wypowiedzenia w choćby najbardziej uroczystych i wzniosłych, słowach.

Warszawa, luty – marzec 2007 roku



Baza namiotowa w Woli Niznej, drogowskaz na Pik Pilicha, fot. arch.

Waldemar Ufnalski „Kaczor” blacha 84

Kilka wspomnień



Szanowny Kolego!

Pamięć ludzka jest zawodna i z czasów mojej działalności w kole PTTK nr 1 (na Politechnice) oraz w SKPB pozostały mi raczej barwne obrazy niż logiczna całość. Z okazji niedawnego 50-lecia koła PTTK odbyło się spotkanie w Wildze i nieco odkurzyliśmy stare dzieje; w wielu przypadkach Koledzy opowiadali o wydarzeniach, w których uczestniczyłem, co stwierdzałem z pewnym zdziwieniem. Nie jest to wynik demencji ale raczej przestawienie się od 37 (już) lat „na wodę” i związania z innymi ludźmi i innymi wydarzeniami. Losy SKPB śledzę aktualnie na stronie www i naprawdę cieszę się niewątpliwymi sukcesami skpbowców – świat się zmienił od czasu gdy przemykałem się krzakami na Przełęcz Użocką, aby spoglądać smętnie na „ciąg dalszy Bieszczadów”. Postaram się więc zapisać jedynie kilka refleksji i obrazów – możesz je wykorzystać w dowolny sposób.

Na studia do Warszawy przyjechałem jesienią 1960 z uroczą Pszczyny, gdzie jako „repatrianci zza Buga” wylądowaliśmy chyba w roku 1946. Z Pszczyny jest blisko w Beskid Śląski (Szyndzielnię widać było przez okno). Mój klasowy kolega Jaś Jakubowski był synem prezesa pszczyńskiego koła PTTK – i tak się zaczęło. Ani jego ojciec, ani moja matka nie protestowali przed naszymi wpięciem oraz wakacyjnymi wędrownkami „autostopem” (kto teraz jeszcze pamięta na czym to polegało?). Tak do matury zwiedziłem trochę Polski – gruntownie bliskie góry latem i zimą (na ślądówkach) oraz Sudety (a raczej otoczenie Kotliny Kłodzkiej). „Eksternalną” imprezą było piesze przejście w roku 1958 trasy Bielsko-Biała – Skrzyczne – Barania Góra – Zwardoń – Wielka Racza – Piłsko – Babia Góra – Turbacz – Peniny – Zakopane. Zrobiłem „mały złoty GOT” a po maturze wybrałem się na studia do Warszawy (mama ukończyła w roku 1935 filologię klasyczną na Uniwersytecie Warszawskim i „studia w Warszawie” były dla mnie czymś w rodzaju „ziemi obiecanej”).

Teraz wątek turystyczny. Do Warszawy przywoziłem rower wyścigowy i z braku gór rozpocząłem poznawanie okolic Warszawy – głównie samotnie, bo w akademiku (obecny *Alcatraz* na placu Narutowicza) nie było wielu rowerzystów. Razem ze mną na tym samym Wydziale Chemicznym PW (i w tym samym roku 1960) rozpoczął studia znany wszystkim Przemek Pilich – mieszkaliśmy po sąsiedzku. Dostyc szybko otrząsnąłem się ze stresu „studenta pierwszorocznego” i już w maju 1961 pojechałem na Rajd Świętokrzyski (wtedy była to impreza na 2000 osób, dni rektorskie na PW, specjalny pociąg... itd.), a jesienią na Złaz Kampinoski (II – mam plakietkę; jest na niej ZSP AKT, a nie ma SKPB; SKPB na plakietkach tego zjazdu pojawiło się chyba dopiero ok. roku 1970 – dlaczego?). Poznałem ówczesne „legandy”: Krzyżanowskiego, Cygana, Pioruna (to nazwiska nie ksywy), Orsettiego i rozpocząłem działalność w kole PTTK nr 1 (mieszczącym się wówczas w niezapomnianym kiosku na PW) oraz na swoim macierzystym wydziale. „Współrobi-

tem” imprezy i obozy wydziałowe oraz „obstugiwałem” trasy kolejnych „Rajdów Jesiennych” (od pierwszego w roku 1962 na Suwalszczyźnie) i „Powitania Wiosny” (też od pierwszego) oraz „Świętokrzyskiego” (przez kilka lat prowadziłem trasy – ech łażą się kręci w oku).

W międzyczasie kolega Przemek poczuł „zew SKPB” (chyba w roku 1962) i bardzo szybko oddał się SKPB „ciałem i duszą” (co zresztą zaważyło na jego karierze studenta – ale o tym nigdzie nie wspominaj). Ja byłem znacznie bardziej umiarkowany, ale „dla towarzystwa Cygan dał się powiesić” lub jak wolisz „dobry przykład cuda działa” i jesienią 1964 zgłosiłem akces do SKPB. Brałem udział w kursie a następnie w „przejściu przewodnickim” latem 1965 (prowadził je Staszek Szen). Był to rocznik Bogdana Majora, Kazia Posadzkiego, Zbyszka Franza. Gdzieś zimą był tzw. egzamin wewnętrzny i dostałem blachę numer 84 (mam ją do dziś).

W „starych śmieciach” znalazłem „biuletyn nr 3” (z października 1966), w którym przeczytałem, że byłem kierownikiem trasy na VII „Rajdzie Bieszczadzkim” oraz kierownikiem VII „Rajdu Kampinoskiego” (plakietkę z jeleniem projektował o ile pamiętam Bogdan Major). Mimo pewnego umiarkowania, wynikającego z porównywalnego zainteresowania chemią i turystyką (to mi zostało do dziś) działałem w Kole dosyć intensywnie przy organizacji imprez i wycieczek szkoleniowych. Tu małe, ale barwne bo zapisane w pamięci, wspomnienie.

„Wynalazcą” sobotnio-niedzielnich wycieczek szkoleniowych dla kolejnych kursów kandydatów do SKPB był chyba Wittek Michałowski albo ówczesna prezes Zosia Szajuk. Odbываły się one w sezonie późnojesiennie-zimowym, a znając Witka można sobie wyobrazić ich „niepowtarzalny styl” polegający na forsowaniu wpływ terenów podmokło-bagniowych, co WM uznawał za „stały fragment gry”. Ukoronowaniem tej kategorii była dwudniowa „wycieczka kondycyjna” (dobra nazwa) polegająca na pokonaniu „non stop bez spania” ok. 50 km (styczeń-luty). Pamiętam taką w górach Świętokrzyskich. Każdy instruktor miał grupę kursantów (ok. 20 osób) poruszającą się niezależnie. Wziąłem ostre tempo – mniej więcej w połowie trasy (to jest około drugiej w nocy) jeden z kursantów wyznał głośno i szczerze, że on nie lubi chodzić po krzakach, a szczególnie po błocie, nie lubi w ogóle nosić plecaka i chodzić z nim szybko szczególnie pod górkę – lubi natomiast spać w nocy po smacznej kolacji. Ogół uznał to za ekstrawagancję. Koło południa w niedzielę byliśmy ok. 6 km od Kielc – widać było wieże kościołów; siąpił marznący deszcz i byliśmy ubłoceni po kolana. Na pętli autobusu miejskiego, widoczną w odległości ok. 500 m zajeżdżał właśnie autobus. Od pętli dzieliło nas zalane wodą pole i kilka poprzecznych rowów „odwadniają-cych”. Miałem chwilę słabości i zawołałem – *panowie jak zdążymy na ten autobus to jedziemy nim na dworzec PKP i pierwszym pociągiem do Warszawy*. Zdażyliśmy, niektórzy mokrzy do pasa – jak widać trening metodą WM nie poszedł na marne.

Tak *a propos* „treningu metodą WM”. Chyba na tym „przejściu z beczką” WM udzielił następującej wskazówki metodycznej przyszłemu przewodnikowi SKPB. Jeżeli pada deszcz i „turnus” narzeka na przemoczone buty, to należy sforsować „wpław” kilka głębokich potoków (najlepiej San na wysokości Tworylnego) – jak im zamokną... powiedzmy kolana, to zapomną o mokrych butach.

Teraz o „przejściu z beczką” (lato 1968 – rocznik Ryśka Bachowskiego, Ani Kozioł, Bolka Szafranski). Kurs był bardzo liczny; kierownikiem był WM i zaproponował Jurkowi Korejwie i mnie funkcje instruktorów. WM (którego uważałem wówczas za niedościgniony wzorzec) wbił się na szczyt swoich możliwości i dla mnie była to niezapomniana impreza. Oto kilka obrazów.

Jednym z „nowych elementów” tej imprezy były jednoosobowe „zawody na orientację”. Polegały one pokonaniu określonej trasy „na czas w pojedynkę”; metodą kontroli był („wynaleziony i wdrożony” przeze mnie) system „kasowników MZK” zbliżony do stosowanego w warszawskich



Egzekucja „Gęsi Pościgowej”, 1965, stoją Jerzy Korejwo, Andrzej Stanek i Waldemar Ufanlski, fot. J. Szafrąński.

tramwajach. Każdy kursant dostawał taśmę papieru natomiast na punktach kontrolnych (zaznaczonych na mapie, które należało odnaleźć) wisiąły płytki z wywierconą konfiguracją otworów – ich odrysowanie na taśmie było dowodem znalezienia punktu. Te płytki musiał powiesić instruktor. Aby było się o co ścigać WM wymyślił, że jeżeli kursant pokona trasę szybciej niż instruktor wieszający płytki, to ten będzie obsługiwał kursanta do końca przejścia (chyba miał mu czyścić buty). Na zawodach „na Otrycie” z końcem na Tworylnem (wówczas praktycznie dzikim i bez dróg) padło na mnie. Miałem niezłe „zdrowie” oraz dosyć dobrą znajomość terenu i się uratowałem ale zapasu zostało mi tak z 15 min (na trasie ok. 6 godzinnej); byli na tym przejściu „szybcy kursanci”. Do wieczora na

Tworylnem nie zameldowała się kursantka o wdzięcznej ksywce „Gęś Pościgowa”. WM trzymał fason i nie zdradzał objawów paniki, ale, to on ponosiłby odpowiedzialność z ewentualny wypadek i jego konsekwencje (z perspektywy czasu wydaje się, że wysyłanie kursantów pojedynczo w dosyć puste wówczas góry nie było dobrym pomysłem). Rano WM zarządził „akcję”. Ja z dwójką „najszybszych” miałem pokonać trasę zawodów „wstecz” szukając ewentualnie „zwłok” (wieszałem „kasowniki” więc w zasadzie powinienem dobrze pamiętać trasę); Jurek Korejwo miał zasuwac do Zatwarnicy (wówczas najbliższy telefon) i chyba alarmować GOPR. Wystartowaliśmy biegiem i mokrzy do kolan wspinaliśmy się na stok Otrytu, gdy dogonił nas Bolek Szafrąński (chyba on) z okrzykiem „Jest Gęś Pościgowa”. Otóż była ona bezradna wobec Otrytu i kilka razy „wracała do punktu wyjścia” nie mogąc znaleźć głównego grzbietu (był to wówczas teren nieoznakowany, z siecią porośniętych 20-tetnim lasem ścieżek i „dróg końskich” niezaznaczonych na mapie). W końcu zrezygnowała i zaczęła obchodzić Otryt dookoła (przez Rajskie) – rano dotarła na Tworylne. WM wydał okrutny wyrok – klaps od każdego uczestnika – zachowała się dokumentacja fotograficzna egzekucji (wykonana przez Bolka Szafrąńskiego).

Pamiętam jeszcze kilka obrazów w tym drugie zawody „na orientację” z noclegiem pod gołym niebem (w rejonie Łopiennika) ale będę się streszczał i przejdę do „zakończenia przejścia z beczką”.

WM zaplanował na zakończenie „baraninę z piwem” przy ognisku tyle, że na przełęczy między Szerokim Wierchem i Krzemieniem „przy źródółku” (była tam wówczas wystawiana na lato namiotowa goprówka). Kupił beczkę (dębową) piwa, pożyczył tzw. pipę czyli urządzenie do nalewania, które zaskładał w Ustrzykach (oczywiście Górnych) i posłaliśmy wszyscy na Wołosate kupować na bacówce barana (ściślej dwa). Wtedy na lato przywożono w Bieszczady owce z Podhala. Po długich targach zostały kupione i oprawione (kupowało się barana wypatroszonego, oczywiście bez skóry – jego pieczenie to był niezapomniany akcent obozu, który niemal zawsze praktykowaliśmy na swoich „turnusach”). Jurek Korejwo wziął barany i z zasadniczą grupą kursantów (którzy wzięli nasze graty osobiste) poszedł prosto „na przełęcz” zakładać obóz, a WM ze mną i „kwiatem kursantów” wrócił do Ustrzyk po beczkę. Byliśmy tam umówieni z „wybitnym działaczem” (było



Z beczką piwa na Szerokim Wierchu, 1965 r., Szczepan Marczyński, Witold Michałowski, Bolesław Szafrąński, Ryszard Bachowski, ??, ??, fot. arch.

to przecież po marcu 68 i „działacze” zaczęli bardziej kontrolować raczej „bezpartyjne” środowisko SKPB). Cekał z kierowcą (i samochodem) ale jak zobaczył beczkę, podniósł jeden koniec improwizowanego „bambusa” i upewniono go, że piwo to będzie ale pod Tarnicą, to przypomniał sobie nagle, że ma nie cierpiące zwłoki sprawy w.... i szybko odjechał.

Był wieczór i ruszyliśmy do góry. Nie przypominam sobie kiedy zostało zrobione zdjęcie całej ekipy z beczką – krajobraz Szerokiego Wierchu (w tle chyba Halicz) – ludzie z plecakami. Kierunek się nie zgadza; nie zgadza się też pora dnia – jestem niemal pewien, że Szeroki Wierch z „pełną beczką” pokonywaliśmy już po zmroku. To chyba było zrobione w powrotnej drodze i beczka jest już pusta. Zdjęcie Jurka Korejwy i mnie „z beczką”, które Ci wysłałem zostało zrobione w Ustrzykach wcześniej, kiedy z Jurkiem robiliśmy „bambus” do transportu. Transport dostarczył niezapomnianych przeżyć; dębina też coś waży; beczkę na „bambusie” niosła dwójka zmieniana co 10 min. Jak się „Generał” poślizgnął i go przygniotło, to wydał taki kwik, że wydawało się że już nie wstanie. Za to zakończenie następnego dnia było rewelacyjne; sceneria połonin, na środku na podwyższeniu beczka piwa, kupa mięsa pieczonego na ognisku i WM ze mną na czworakach wyrwijący sobie z zębów (dosłownie) surową wątrobę.

Rok później WM został wybrany Prezesem SKPB a ja wszedłem do Zarządu i prowadziłem „przejście” latem 69 (był to rocznik Andrzeja Huczki, Krzyśka Porady, Ewy Loth). Nie było ono tak barwne – chyba bałem się ryzykować „zawody na orientację w pojedynkę”; zresztą zapytaj o to uczestników.

Jeszcze jeden obraz z WM w tle. Byłem wówczas kandydatem – ratownikiem GOPR. WM (też chyba jeszcze kandydat). Było bardzo mokre lato (chyba 1969) – pamiętam, że zgnili mi „zawraty”. Kończyłem dyżur na goprówce „pod Tarnicą” czyli przy źródelku. Były to wtedy dwa „necka” lekko przeciekające. Było po południu, kiedy WM jeszcze z kimś przyszedł nas zmienić – lało równo bez przerwy. WM przeżywał wtedy „początek końca okresu godowego”, tzn. szykował się do drugiego ożenku. Pakowałem graty, kiedy WM poprosił mnie abym po zejściu do Ustrzyk sprawdził czy nie ma do niego listów (wtedy była latem poczta objazdowa, która do Ustrzyk



Trasa na rajdzie „Beskid Niski” w 1970 r., fot. S. Marczyński



Pochód pierwszomajowy w Bieczu na zakończenie rajdu „Beskid Niski” w 1969 r., z flagą ZSP Krzysztof Druzgalski, obok Wiesława Juško, za nimi z transparentem Ryszard Dworzyński, fot. S. Marczyński



Zakończenie rajdu „Beskid Niski” w Bieczu w 1977 r., fot. arch.



Nadzwyczajny pociąg osobowy (rajdowy) z Biecza do Warszawy Wschodniej w 1978 r., fot. W. Jasiński



Przyszły prezes Koła Karol Jasiński przed plakatem rajdu „Beskid Niski” w 1985 r., fot. W. Jasiński



„Czołg” na ześrodkowaniu rajdu „Beskid Niski” w Wisłoku Górnym w 2007 r., fot. arch.



Ześrodkowanie rajdu „Beskid Niski” w Regetowie w 2006 r., *fot. arch.*



Ognisko na ześrodkowaniu rajdu „Beskid Niski” w Wisłoku Górnym w 2007 r., *fot. A. Wielocha*



„Stoń” w wykonaniu przewodnickim ??, ??, A. Majewski ??, S. Michalik ??, fot. A. Zająca



„Gąsienica” w wykonaniu przewodnickim ??, fot. arch.



Bieszczadzka ciuchcia z uczestnikami rajdu „Połoniny”, fot. J. Szatajski



Raid „Połoniny” 2005. Stoją P. Majchrzak, A. Skieterska, K. Kowalska, L. Szaniawska, P. Mierzejewski, M. Witkowska, M. Grycz, klęczy M. Lemańska, fot. arch.



Na ześrodkowaniu „Połonin” 2006 r. w Wołkowyi ??, ??, fot. arch.



Ognisko na ześrodkowaniu radu „Połoniny” w Solince w 1999 r., fot. arch.



„Czołg” na ześrodkowaniu „Połonin” w 2006 r. w Wołkowyi, fot. P. Kardaś



Biuro rajdu na ześrodkowaniu „Połonin” w 2006 r. w Wołkowyi, M. Wielocha i P. Bielawski, fot. P. Kardaś

docierała dosyć późno po południu). Listy miałem posłać przez turystów następnego dnia – o ile znajdę wariatów, którzy przy takiej pogodzie zechcą pójść na Halicz. Pakując dalej plecak doznałem ostrego ataku „fantazji motojeckiej” i zaproponowałem WM, że jak będą listy, to mu je jeszcze dzisiaj przyniosę z powrotem, ale... nie lubię się gnieść w przeciekającym namiocie, więc on aby zrobić miejsce, weźmie płachtę biwakową i pójdzie z tymi listami nocować na Halicz. Zgodził się bez wahania. Dobrze ugnojony dotarłem do Ustrzyk – listy oczywiście były; widocznie zakochane kobiety lubią się przypominać obiektowi miłości. Pożyczyłem na bazie SKPB lampę naftową – tzw. „nietopezza” używanego przez furmanów do oświetlania furmanek, powiesiłem go na kiju, zapaliłem i po 2 godzinach byłem ponownie pod Tarnicą. Było już ciemno, padało równo i myślałem, że WM wymięknie i poprosi o łaskę. Ale nie wymiękł. Wziął śpiwór, płachtę, moją lampę oraz oczywiście listy i zniknął w ciemności. Rano wypatrzyłem go przez lornetkę na trawersie Krzemienia jak wracał – był raczej nieco przemoczony. Takie to były zabawy onego lata z udziałem WM.

W trakcie pisania tego tekstu przypominał mi się jeszcze jeden obraz. Latem wystawiano bazy (chyba 4-6 sztuk) namiotowe (Łopiennik w odbudowanej jesienią 1965 roku chałupie „obsmedlu” – kto dziś wie co to było ? – z Łopiennika, też zostało mi trochę obrazów ale to może innym razem). Moim zdaniem najlepsza była baza w Woli Niżnej prowadzona przez wiele lat przez kogoś (chyba) z poza SKPB ale z fantastycznym poczuciem humoru. Atrakcją tej bazy, położonej nad brzegiem potoku na płaskim i dosyć mokrym terenie były trzy obiekty

1. Kibelek „stawojka” będący makietą samochodu o wdzięcznej nazwie „mercedes” stojącą na środku sąsiedniej polany; dopiero w fazie końcowej użytkownik spostrzegął, że jest to kabriolet a na skraju polany czekają mieszkańcy bazy.

2. Kąpielisko z wodą do kolan (była nieduża tama z kamieni) zaopatrzone w napis „Kąpiel surowo wzbroniona” (dla młodego pokolenia nie znającego absurdów PRLu – jest to dowcip niezrozumiały) oraz „tablicy ze sprzętem ratunkowym” w postaci lekko napompowanej dętki rowerowej oraz durszlaka (metalowego cedzaka używanego w kuchni do odcedzania makaronu); dla zainteresowanych wycieczek bazowy ratownik urządzał pokaz ratowania topielca.

3. Pík Pilicha jako atrakcja turystyczna dla przygodnych turystów (raczej nie przewodników SKPB). Przy wejściu na bazę była tablica z „profesjonalnym” oznaczeniem początku szlaku, podanie czasu dojścia, na drzewie był namalowany pierwszy znak.... itd. Szlak kończył się kilkaset metrów dalej i po pokonaniu zarośli pokrzyw naiwny turysta wychodził na podmokłą łąkę, na której stała makietka wieży triangulacyjnej (tak ze 3 m wysokości) z napisem Pík Pilicha, a na skraju łąki czekali na niego pozostali mieszkańcy bazy.

Jak piszę, to przypominają mi się kolejne obrazy, ale czas kończyć wspominki. Działalność w SKPB zakończyłem wyjazdem do Iranu (1974 – organizował Andrzej Huczko). Od roku 1969 zacząłem systematycznie skłaniać się „ku wodzie” – nie trzeba nosić plecaka; człowiek się mniej poci i piwo łatwiej schłodzić. Jeszcze nieduży epizod górski miałem na Saharze (Hoggar) ucząc synów Beduinów przez sześć lat termodynamiki i programowania.

Życie wiecznie.

Szanowny Kolego!

Zachęcony przez Ciebie zmusiłem do ekstemalnego wysiłku moje szare komórki i przypomniałem sobie gdzie zeszkadowałem różne graty. Znalazłem tam nawet swoją legitymację przewodnika beskidzkiego (nie używaną od mniej więcej 35 lat; wynika że egzamin „państwowy” w Rzeszowie zdawałem ok. 27 czerwca 1968 roku) oraz legitymację RO ZSP z roku 1968, w której napisano, że byłem wówczas v-prezesem SKPB (o ile dobrze pamiętam ds. szkolenia).



Beczka piwa, a z nią autor Waldemar Ufnalski i Jerzy Korejwo, 1965, fot. J. Szatajski.

Ten drugi fakt przypomniał mi „mój niewielki wkład w niepowtarzalny styl SKPB” z tego okresu i obraz, który zrelacjonuję. Otóż w tym czasie (obecnie chyba też) świeżo upieczeni skpbowcy licytowali się numerem blachy koła – kto ma niższy numer. Kiedy ja byłem kursantem, to zasadniczo po zdaniu egzaminu „kołowego” blachy przydzielano, w obrębie rocznika kursu, w porządku alfabetycznym; z racji nazwiska czułem się, o ile pamiętam, „strasznie pokrzywdzony”. Kiedy zostałem wspomnianym v-prezesem, to postanowiłem tę dyskryminację alfabetyczną zlikwidować i wymyśliłem osobiście (naprawdę) imprezę nazwaną „pogonią za blachą”. Wewnętrzny egzamin kursantów był zimą (pewnie w nim brałem udział i pytałem o „panoramki” czyli „co widać ze szczytu w kierunku?”; miałem dobrą pamięć wzrokową). Egzaminu wewnętrznego w 68 roku nie pamiętam (może egzaminowani coś pamiętają) ale dobrze pamiętam pierwszą „pogoń za blachą”. Był luty (pewnie 1969) – zima była solidna, mróz i śnieg po kolana. W sobotę wczesnym popołudniem (wtedy w soboty były zajęcia na uczelniach) świeżo upieczeni skpbowcy i instruktorzy (był na pewno WM i Jurek Korejwo) wsiadli do pociągu Warszawa – Ostrołęka i pojechaliliśmy „w nieznanę”. Ja dla każdego zespołu (chyba dwuosobowego) przygotowałem białą kartkę papieru (A4) z naniesioną siatką kilometrową taką jak na wojskowych „setkach”. Na kartce była naklejona fotoreprodukcja mapy „wigowskiej” z roku 1935 obejmująca teren 2x2 km (fragment lasu – blisko lewego brzegu Narwi mniej więcej na wysokości Różana) z zatartymi nazwami. Na pustej części kartki był zaznaczony punkt z napisem „tu jesteś”, natomiast na fotoreprodukcji był punkt (skrzyżowanie dróg leśnych) z informacją „tam się dowiesz gdzie jest ognisko”. Odległość między punktami „startu” i „zdobycia informacji” była 6-10 km. Położenie obu punktów było zgodne z mapą. Wypuszczaliśmy „pościgowców blachy” na kolejnych przystankach wręczając tę „niby-mapkę”.

Dla nowego pokolenia skpbowców wyjaśnienie. W tym czasie nie istniały mapy „turystyczne” np. Puszczy Białej a posiadanie „setki wojskowej” (oczywiście sprzed II Wojny Światowej czyli „wigowskiej”) było niepodważalnym dowodem, że jej posiadacz jest szpiegiem pracującym za

brudne dolary na rzecz wszystkich możliwych „wrażych wywiadów”. Ja tę „setkę” dostałem od „emeryta – turysty” – miał akurat okolice Różana – nie było więc wyboru innego terenu.

WM i JK wysiedli gdzieś na początku i pognali powiesić na „punkcie informacyjnym” plakat z informacją „gdzie jest ognisko” (było jeszcze parę kilometrów dalej), odgarnąć śnieg i rozpalic ognisko. Miał być bigos, herbata i ciastka „od Wróbla” (ciastkarnia przy ul. Noakowskiego naprzeciw budynku Starej Chemii PW, gdzie wówczas już pracowałem i do dziś pracuję). Ja wysiadałem na ostatnim przystanku z 6-8 „goniącymi za blachą”. Miałem solidny plecak a w nim poza śpiwo-rem, ciuchami na zmianę.. itd, dodatkowo tak chyba 150-200 ciastek (głównie tortowych bo takie lubię) oraz kilka litrów spirytusu. Jak wspominałem byłem wówczas młodym asystentem w Zakładzie Chemii Fizycznej na Wydziale Chemicznym PW. Niestety etanolem „spożywczym” zarządzał profesor, natomiast etanol bezwodny był ogólnie dostępny w magazynie zakładowym. Tu wyjaśnienie – etanol odwadnia się przez destylację azeotropową po dodaniu benzenu, które ślady zawsze zostają. Produkt nie jest toksyczny ale niesmaczny, powoduje kosmicznego kaca, w czasie którego osobnikowi odbija się jak z rury wydechowej starej syrenki. Coś tam napisałem na zamówieniu do magazynu i pobrałem kilka litrów tzw. „benzenówki” dla zwiększenia „efektu rozgrzewającego” herbatki. Cóż, byliśmy na ogół bez grosza a „mamusia już w dzieciństwie nauczyła mnie oszczędności”.

Było już ciemno; ruszyłem ostro oczywiście drogą prosto „do ogniska”; znałem jego położenie i nie miałem zamiaru kopać się w głębokim śniegu z ciastkami na plecach. Po kilkuset metrach w świetle ostatniej latarni zauważyłem, że „pościgowcy blachy” też nie mają takiego zamiaru i, co logiczne, wybrali wariant skrócony „za przewodnikiem prosto do celu”. Nie miałem szans się urwać; zostawiałem ślady „zawratów” i miałem cięższy plecak. Szybko uknułem „szatański plan”. Zboczyłem z kierunku i w najbliższej wsi poszedłem w odwrotnym kierunku, a za najbliższym zakrętem wszedłem na podwórkę jakiś zabudowań, zapukałem od tyłu do jakiejś chałupy z zapytaniem o drogę, oczywiście do stacji kolejowej. „Pościgowcy blachy” minęli mnie i poszli chyba w stronę raczej czarną dal. Wróciłem biegiem na trasę i po 2-3 godzinach już byłem przy ognisku. Było solidne (WM to umiał robić) w obszernym dole otoczonym wałem odgarniętego śniegu i był już gorący bigos oraz herbata. Wyjąłem ciastka i „benzenówkę”. WM zaserwował wzmocnioną herbatkę – zrobiło się ciepło i leniwe.

Stopniowo do ogniska docierali „pościgowcy blachy”; numery w obrębie rocznika przydzielano zgodnie z tą kolejnością, naprawiając niesprawiedliwość porządku alfabetycznego. Niektórzy do-
tarli rano – nie wiem czy były to ofiary mojego manewru. Nie doczekałem do końca – zmęczony i solidnie rozgrzany herbatką zasnąłem chyba nawet nie zapinając do końca swojego puchowego śpiwor-ka. Rano teren wyglądał jak pobojuwisko – wszyscy spali w śpiworach smacznie na śniegu (chyba efekt synergiczny zmęczenia i herbatki). Ten obraz pamiętam dobrze – ciekawe co z tego zostało w pamięci „pościgowców blachy”.

Tyle tego, żyj wiecznie.

Szanowny Kolego!

Do Łopiennika mam stosunek osobisty, więc odkurzę kilka obrazów – nie wiem czy nadają się do opublikowania (może w wersji złagodzonej). Przed chwilą odkopałem „w śmieciach” swój indeks i oryginał dyplomu „mgr inż.”, na którym widnieje stwierdzenie, że egzamin dyplomowy zdałem 30 października 1965 roku, z czego wynika niezbicie, że ruina „obszmelu” na boczny-
ramieniu południowego stoku Łopiennika opadającym w kierunku Dołżycy została zakupiona (za jakąś symboliczną kwotę) przez RO ZSP w Warszawie – latem 1965 roku.

Dla młodych wyjaśnienie co to jest „obsmeld”? Jest to mianowicie skrót od „posterunek obserwacyjny – meldunkowy”. W połowie lat pięćdziesiątych historia zimnowojenna osiągnęła szczyt a propaganda oficjalna – kres górny idiotyzmu. Między innymi (to naprawdę – prawda !), oficjalnie wmawiano nam, że „Amerykanie zrzucają na spadochronach szpiegów a na nasze pola kartofli (chyba luzem bez spadochronów) – stonkę ziemniaczaną”. Wobec niedostatku stacji radarowych, na południowych stokach przygranicznych górów budowano „obsmeldy” z których wypatrywano metodą konwencjonalną (przez lornetkę) amerykańskie samoloty ze szpiegami i ewentualną stonką ziemniaczaną. W takim to właśnie celu zbudowano wymionioną chałupę mogącą pomieścić w bardzo spartańskich warunkach pluton (20 osób) wojska. Kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz (chyba latem 1964), była to ruina bez okien i drzwi, fragmentu dachu...itd. Jej atrakcją była natomiast wysoka wieża obserwacyjna (grańka na której stał budynek była dobrze zadrzewiona wysokimi bukami) z litego drewna, z dużą platformą na szczycie, z której był wspaniały widok na pasmo graniczne.

Po „kupnie” RO ZSP zatrudniła kilku CHBC (czytaj „habece” – co było używanym wówczas skrótem od „charakterystyczny bieszczadzki człowiek”) do odbudowy chaty. CHBC był na ogół nieco sfrustrowanym człowiekiem w wieku różnym, który doszedł do wniosku że „normalne” życie jest szare i bez sensu, a prawdziwie wolnym jest się wyłączenie w Bieszczadach i realizować, z różnych powodów, w praktyce tę ideę. Praca dorywcza (zioła, jagody, grzyby, robotnik leśny) zapewniała mu minimum egzystencji; nie miał zresztą wygórowanych wymagań socjalno-ekonomicznych. CHBC byli dosyć solidarni w biedzie i mieli na ogół ciekawe życiorysy z zaskakującymi „zakrętami”. Wspominany przez Fregatę Leon pochodził z Sosnowca, „w poprzednim wcieleniu” chyba był górnikiem. Jak sam opowiadał na wiosnę pewnej niedzieli wysejł po papierosy, popatrzył na słońce, poczuł obrzydzenie do pracy w przemyśle ciężkim w ogólności i nie informując małżonki czekającej z rosółem w domu... pojechał w Bieszczady. „Piotrek Francuz” przepracował ok. 25 lat w kopalniach północnej Francji, nabawił się pylicy (chyba miał jakąś rentę inwalidzką z tej racji), wrócił do Polski, posłyszawszy o Bieszczadach i przyjechał. Ponieważ jestem „francuskojęzyczny”, uprawiałem w chacie z Piotrkim „lektorat” ze szczególnym uwzględnieniem przekleństw, co zapewniło mi to 10 lat później uznanie Francuzów podczas pobytu zawodowego w Montpellier. Piotrek bardzo ładnie śpiewał francuskie piosenki „biesiadne” akompaniując sobie przy pomocy dwóch łyżek do zupy, trzymany w jednej ręce, którymi wybijał rytm. Kim był w poprzednim wcieleniu Olgierd – nie pamiętam; jego „idee fixe” była odbudowa cerkwi na Łopience. Piszę o CHBC bez cienia złośliwości; byli to ludzie, którzy źle czuli się w „swojej własnej” skórze i mieli odwagę „wybrać wolność w Bieszczadach” – czy dobrze zrobili tego nie mogę ocenić. Byli oni elementem niepowtarzalnej atmosfery tego czasu – terminy „pojechać w Bieszczady” i „pojechać w Beskid Żywiecki” miały zupełnie inny sens emocjonalny. Może ktoś, kto poznał ich lepiej – napisze więcej.

Po otrzymaniu dyplomu miałem podjąć pracę w Zakładzie Chemii Fizycznej PW, robiłem dyplom u jej kierownika, który „załatwił mi etat przed skończeniem studiów”, tak abym nie wpadł w łapy „pełnomocnika ds. zatrudnienia”. Przez 5 lat jakoś udawało mi się być „dobrym studentem” i organizować turystykę. Studiowałem ostro w okresach złej pogody a organizowałem i uprawiałem turystykę w okresach dobrej ... i jakoś wychodziłem na swoje w obu dziedzinach. W czerwcu 1965 pojechałem jako kursant na „przejsie” SKPB (miał to być „krótki wyjazd”) i straciłem zdrowy rozsądek – do Warszawy wróciłem we wrześniu. Opieprzony solidnie przez szefa przez sześć tygodni prawie nie spałem, napisałem do końca pracę i zdałem parę egzaminów, ale jak obroniłem dyplom to



Schronisko pod Łpoennikiem, fot. arch.

byłem raczej zielonkawy. Szef spojrział na mnie jak właściciel na konia, który zaraz padnie i zakomunikował, że mam wracać „w te swoje góry”, zregenerować się i wrócić po Nowym Roku.

Tego samego dnia (ok. 10 listopada) pojechałem nocnym pociągami do Zagórza i wyładowałem na Łpoenniku. Tam „pracowano ostro” nad odbudową chaty. Były już okna, dach i piec kuchenny. Robiono prycze i budowano schody do źródła. Tu wyjaśnienia „techniczne”. W chatę nie było prądu elektrycznego a w pobliżu chaty nie było wody. Bardzo słabe źródło było tak ok. 50 metrów (15 pięter) niżej, patrząc na południe po lewej stronie na dole jaru o raczej stromych ścianach – do niego budowano schody (podcinano grunt, wbijano kołki, układano z kamieni stopnie). Chata po odbudowie miała kuchnię z piecem i wspianym stołem „roboty ciesielskiej” z grubego drewna, izbę z pryzami (tak na 20 osób) oraz dwa mikro-pokoje „na górze” w szczycie dwuspadowego dachu – w każdym mogło spać na materacach leżących na podłodze 4-6 osób. Bardzo polubiłem tę chatę ale, co chyba wynika z opisu „technicznego”, nie nadawała się ona zupełnie na schronisko, w którym można by kwaterować „zwykłych turystów” – i nigdy nie stała się takim schroniskiem. Już w czasie budowy stała się „ostoją CHBC oraz krewnych i znajomych Królka”, co wspominam ciepło bo zaliczałem się do „znajomych K”.

Wieczorami do chaty (w której było ciepłutko i przytulnie) przychodzili zaprzyjaźnieni z Leonem i Piotrkim okoliczni lub przechodni CHBC, przynosili „co tam mieli” i „przy świecy” a gdy tej zabrakło przy świetle otwartych drzwiczek pieca, opowiadali „różne ciekawe rzeczy” o sobie, innych CHBC oraz ogólnie o „sensie życia”. Atmosfera była niepowtarzalna, dla mnie lekko schizofreniczna; czułem się nieco jak bohater „Komu bije dzwon” Hemingway’a. Około północy byłem przekonany, że wracać do Warszawy i pracować na PW jest kompletnym marnowaniem, krótkiego przecięcia, życia. Rano na ogół nieco bolała mnie głowa, schodziłem te 50 m do źródła napić się zimnej wody, co przywracało mi bardziej racjonalistyczne spojrzenie na rzeczywistość.

Chyba po dwóch tygodniach spakowałem graty, kupiłem solidny zapas żarcia w Cisnej i ruszyłem samotnie „w puste jesienno-zimowe Bieszczady”. Niemal nie było jeszcze śniegu. Miałem płachtę biwakową, puchowy śpiwór i toperek. Biwakowałem na ogół po opuszczonych o tej porze roku bacówkach – do dzisiaj pamiętam niepowtarzalne uczucie samotnych nóg przy ognisku w praktycznie „bezludnych” górach. Tydzień spędziłem „w worku” czyli za Bukowym Berdem

– wtedy nie było tam żadnych dróg tylko zarośnięty młodym lasem nasyp kolejki leśnej do Sianek; smętnie spoglądałem z nad Przełęczy Użockiej na ciąg dalszy Bieszczadów.

Na Łopiennik wróciłem tak mniej więcej tydzień przed Bożym Narodzeniem. Odbudowę chaty zakończono. Przyjechali ludzie z RO ZSP na „odbiór robót”; pracę uznali za wykonaną i wykonawcom wypłacili gotówkę. Przeczuciałem co się święci i chciałem wcześniej zwiać do mamy na Boże Narodzenie, ale się nie udało – już polubiłem chatę oraz jej mieszkańców i zostałem. Impreza odbyła się w Dołżycy u niejakiego Micka (mieszkańca Dołżycy, który miał konia i podwoził tzw. „końską drogą” materiały budowlane do chaty). Kiedy wszedłem do chatupy Micka i zobaczyłem górę pieczonej baraniny oraz dwie skrzynki wódki (chyba na 8 osób) to straciłem wszelką nadzieję – po maksimum godzinie straciłem również świadomość. Obudziłem się koło północy; ktoś siedział przy stole, reszta leżała w pozach mniej lub więcej malowniczych. Ubrałem się i poszedłem do hotelu robotników leśnych; były to baraki przy szosie „u stóp Łopiennika”. Lekki mróz, niebo pełne gwiazd; te 100 m drogi udało mi się pokonać w pozycji pionowej – przewodnik górski ma przecież rozwinięty zmysł równowagi. Hotel prowadził były student Politechniki Warszawskiej, którego miłość do Bieszczadów był silniejsza od miłości do nauk technicznych i został CHBC. Poznaliśmy się wcześniej i jako fachowiec od imprez polecił mi, w razie konieczności, swoje usługi hotelowe. Zapukałem do jego okna....i znowu miałem przerwę w świadomości. Obudziłem się około południa, napiłem się ze stojącego przy łóżku dużego dzbanka zimnej wody, udało mi się nie wykorzystać stojącego obok dużego kubka (jak już mówiłem szef hotelu był fachowcem) i ruszyłem pod górkę do chaty. Po drodze była tak zwana „ścianka” czyli 20 metrowy (w pionie) odcinek stoku – stromy i śliski o tej porze roku. U stóp ścianki spali słodko obejmując, nie tyle czule, ile mocno, co cieńsze buki uczestnicy imprezy – mieli imperatyw kategoryczny powrotu do chaty, ale „ścianka” ich zmogła.

Pojechałem do mamy na Boże Narodzenie, ale w drugi dzień świąt wróciłem na Łopiennik. Miał tam przyjechać obóz studentów Wyższej Szkoły Muzycznej. Miałem być na nim „instruktorem turystycznym”. Na szczęście przyjechali bez nart, więc nie miałem żadnych szans uprawiać z nimi turystyki narciarskiej na zalesionych stokach Łopiennika; muzycy to ludzie raczej subtelni, delikatni i na ogół z „dobrych domów”. Turystykę narciarską uprawiałem więc samotnie; wychodząc i wracając obserwowałem przyszłych dyrygentów jak stojąc przed bukami, na których przypięli partytury, machali łapkami. Wyjaśniali mi, że orkiestra nie jest konieczna gdyż oni słyszą muzykę. Topienie śniegu do umycia się, kibielek „wolnostojący” oraz noszenie wody ze źródelka dały im „szkołę przetrwania”. To był pierwszy i nie wiem czy nie ostatni obóz zimowy na Łopienniku.

Pisząc o chacie nie można pominąć Zbója, owczarka podhalańskiego. Kochał on „turnusy” a *skpbowców* w szczególności i witał ich bardzo „dynamicznie”. Chętnie biegał za obozami przechodzącymi latem przez chatę. O ile dobrze pamiętam zginął w Dołżycy na szosie potrącony przez samochód.

Jeszcze dygresja na temat kibelek. Jak wiesz Koło latem stawiało i obsługiwało bazy nodegowe. Normalnie kopano latryny o architekturze zależnej od inwencji wykonawców. Chyba w roku 1968 pełnomocnikiem akcji letniej był Janek Banasiak (Dżon Bi), który wykonał projekt „składanego przenośnego kibelek” i znalazł profesjonalnych wykonawców. Powstały wygodne, funkcjonalne obiekty o pięknych proporcjach – wręcz małe dziełka architektury nazywane „fundacją Johna B”; były one chrzczone jak transatlantyki; pamiętam trzy nazwy „Zatwarnica”, „Nasiczne” i „Kalnica” – genialne. To też oddaje atmosferę czasu; dlaczego tylko premier Sławoj-Składkowski miał się unieśmiertelnić projektując kibelki – nie pozwól aby Janek Banasiak został zapomniany.

Węcej niczego już nie będę pisał. Pozdrowienia.

Irena Matjas blacha 50, Jerzy Korejwo blacha 35

Akcja letnia



Jeśli powędrujecie z któryms z przewodnickich weteranów przez Bieszczady – nadejdzie niechybnie taki moment, kiedy na niepozornej łączce oko zamgli mu się mgiełką refleksji, po czym usłyszycie: *A wiecie – tu właśnie... zaraz, zaraz, w którym to było? Ahą, chyba w sześćdziesiątym piątym... miałem tu biwak. A tam dalej stała baza – patrzcie, jeszcze stoją kotki po ogrodzeniu. I – „sam je wbijałem”* – doda ze śmieszną dumą, jakby te spróchniałe kawałki drewna przez pomyłkę jeno nie trafiły przynajmniej do izby pamiątek w Zagórzcu...

Coś, co sprawiało, że „górale spod Warszawy”, przewodnicy czuli się autentycznie w Bieszczadach gospodarzami – to była akcja letnia. I tak chyba pozostało. Przedwyjazdowy rwetes, nocna gehenna na przepelnionej sprzętem i ludźmi ciężarówce, kilkudniowa harówka w Zagórzcu, gdzie ręce puchły od spuszczenia na nieśmiertelnym bloczku setek kilogramów sprzętu ze strychu u Jurka Batrucha, kołowrotek kolejnych samochodowych rejsów po całych Bieszczadach i Beskidzie Niskim. A jeśli jeszcze do tego byłeś w obsłudze bazy – moment czarnej rozpaczy, gdy pozostawiony na ogromnej stercie rzuconego byle jak sprzętu i czujący pierwsze krople czerwcowego deszczu, patrzyłeś osłupiały za znikającą już ciężarówką – znakiem cywilizacji i z kolei nieufnym spojrzeniem obmacywałeś otaczające niewielką polankę krzaki... Aż wreszcie po kilku dniach z tego bałaganu zawsze wyłaniał się logiczny ciąg namiotowych baz – i ruszały turnusy.

Dzieje letnich akcji bieszczadzkich sięgają dalej, wstecz niż historia koła. Zaczęło się to w 1955 r. – gdy przerażone i zdumione babiny zagórzańskie stłumionymi szeptami: *Pani, pani – to chyba przymusowe, biednieńcyże oni...!* przeprowadzały objuczonych worami uczestników dwóch pierwszych bieszczadzskich turnusów. A było czego ich żałować. W plecakach musiał zmieścić się zapas żywności na całą dwutygodniową wędrówkę. Marek Ławiński i Ryszard Dutkiewicz – oto nazwiska przewodników tych pierwszych obozów, którzy przetarli szlak dalszym wędrówkom. Niestety – ze względów technicznych nie możemy wymienić ich obu złotymi zgłoskami.

Pierwsza baza mieściła się w Zagórzcu, w prywatnym domu – a właściwie w należącej do gospodarza stodole. Stąd brało się sprzęt, tu zjeżdżali się uczestnicy obozów. Zagórz – to koniec „cywilizowanego świata”. Jedzenie w jedynej knajpie, zakupy żywności, ostatnia noc na sianie w stodole. Następnego dnia zaczynała się wędrówka. Przewodnicy ustalali trasę według własnego uznania. Najczęściej jednak po długich oczekiwaniach i kilku przesiadkach, turnus okazjnymi samochodami dobijał do Komańczy (o regularnej komunikacji autobusowej nie było oczywiście mowy) i stamtąd dopiero ruszał w góry. Na 17-osobowy obóz zabierano około ćwierć tony żywności. Samego chleba ładowano w plecaki ok. 100 kg, poza tym tłuszcz, makarony, konserwy, marmolada w drewnianych skrzynkach... Dziewczęta, a było ich zawsze kilką na turnusie, dźwigały swój „przydział” na równi z kolegami. Waga plecaków zaczynała się często od 20 kg – co nikomu nie psuło humoru. Po drodze z Komańczy do Ustrzyk Górnych zapasy można było – przy odrobi-

nie szczęścia – uzupełnić w Cisnej lub Kalnicy. Całymi dniami nie spotykało się ludzi: jeden z turnusów w czasie dwutygodniowej wędrowki natrafił jedynie na dwóch turystów na Połoninie Wetlińskiej.

Odpozynek następował w Ustrzykach Górnych. W tamtych latach jedynymi budynkami były tu zabudowania strażnicy WOP; znajdowała się ona tam, gdzie dziś stoi schronisko PTTK. Strażnica składała się ze stojących do dziś domu i stołówki oraz trzech baraków, zajmowanych przez żołnierzy i konie. Obok domu dowództwa stał... kurnik i on to właśnie był miejscem wypoczynku sytych górskich wrażeń i często przemokniętych studentów. Nie zanotowano wypadku, aby nie zmieścił się tam któryś z obozów, choć pomieszczenie przeznaczone do spania miało nieco ponad 8 metrów kw. powierzchni. Dalej studenci szli na Halicz, potem do Stuposian – gdzie była jedyna w okolicy piekarnia – a dalej przez Otryt w okolice Polany i Czarnej, skąd można było wyostać się czasem przygodną ciężarówką.

Wyposażenie turystów było nader skromne. Plecaki bez stelaży, drelichowe skafandry, trampki. Przez pierwsze cztery lata akcji bieszczadzkiej nie było namiotów (nie mówiąc o materacach), spało się przy ogniu w zawoju z pałatki i koca lub w opuszczonych, często na wpół zrujnowanych domach. Biwaki na polanach urządzano pod dachem zrobionym z czterech pałatek, opartym na gałęziach; pod śpiącymi dwie pałatki – w ten sposób mogło nocować sześć osób. Robiło się też większe hangary z szesnastu pałatek.

Od tamtej pory rok w rok turnusy studenckie, prowadzone przez warszawskich przewodników, przemierzają szlaki i bezdroża Bieszczadów i Beskidu Niskiego. Podczas jednej akcji jest 12 obozów, podczas innej – 52, zawsze jednak uczestnicy wywożą z gór niezapomniane wrażenia i bakcyła górskiej turystycznej przygody, a specyfika bieszczadzkiej wędrowki powoduje, iż często po jednym turnusie są oni baraniej doświadczonymi wędrowcami niż starzy deptacze zachodnio-beskidzkiej turystycznych traktów.

Akcja letnia rozwija się, porasta w piórka. Rok 1958 jest ostatnim, w którym bieszczadzkie studenckie turnusy śpią pod pałatkami i ostatnim zarazem, w którym od uczestników obozów wymaga się sprawdzonych umiejętności turystycznych. Rok 1959 – centralna baza w Zagórzcu z wynajętej stodoły i prywatnego domu przenosi się pod namioty; powstają letnie bazy namiotowe w Przysłupiu, Wetlinie i Ustrzykach Górnych, ruszają – obok biwakowych – pierwsze turnusy

Szczepan Marczyński prowadzi turnus przez Szeroki Wierch (1969 r.), fot. arch.



bazowe. Rok 1963 – baza w Zagórzcu wyposażona zostaje całkowicie w domki campingowe typu „psia budka” (obecnie smętne ich pozostałości sklecane są co roku na niektórych basach); jest to zarazem ostatni rok, w którym liczba centralnych turnusów bieszczadzkich wynosi kilkadziesiąt (dokładnie 32). W 1965 r. – uruchomione zostaje w systemie baz studenckie schronisko w niezagospodarowanej dotychczas chatce pod Ło-piennikiem, na Zagórzańskej bazie egzystować zaczyna Terenowy Referat Weryfikacyjny GOT, obok turnusów centralnych – w Bieszczady wyruszają pierwsze „grupy samowędrownie”; po raz pierwszy postawione zostają letnie bazy w rejonie Beskidu Niskiego. I wreszcie 1967 r. - od którego nie da się chyba odnotować w akcji letniej istotniejszych zmian, kiedy to po plebiscycie wśród członków koła (Zagórz czy Ustrzyki Dolne) baza centralna pozostaje w Zagórzcu oraz wyposażona zostaje w nowe domki campingowe typu „Grań”, a rozpoczęte inwestycje przekształcić ją mają w regularny camping nad Oslawą.

Tak w telegraficznym skrócie można wypunktować ważniejsze etapy rozwoju bieszczadzkiej akcji. Co zawierało się pomiędzy nimi? Nie da się zmieścić na kilku kartkach pełnej kroniki tych 18-letnich górskich przygód, które były przecież zasadniczą treścią naszej przewodnickiej i organizatorskiej pracy. Pozwólcie, więc, że rzucimy na papier zaledwie garść refleksji i wspomnień.

Turnusy. Jak daleko sięgnie się pamięcią – rozpoczęcie każdego z nich było dla zagórzańskej bazy małym świętem. Grono rozwalonych na środku bazy przewodnickich „koneserów” sprawnie i wprawnie taksowało każdą pojawiającą się na horyzoncie „sierotę”, dyskretnie (choć nie zawsze) oceniając ubiór i wyposażenie. Czasami trafiała się prawdziwa gratka: młody i wyrosnięty „byczek” z woreczkiem turystycznym, zdolnym pomieścić chusteczkę do nosa i drugie śniadanie – albo dziewczę w gustownej sukieneczce i klapkach ze zgrabną walizką w dłoni. Przyjmowano ich wesoło, ale bez złośliwości. Wystąpi po pionierki lub, w ostateczności, trampki, obdarzeni pokaznym plecakiem z bazowego magazynu – nader często ci właśnie „omyłkowi” przybysze stawali się pod umiejętną przewodnicką opieką najbardziej wydarzonymi uczestnikami swych turnusów.

Wieczorem następował moment uroczysty – pierwsze obozowe ognisko. Zjawiali się na nim tradycyjnie wszyscy mieszkańcy zagórzańskej bazy – „gadkami” i śpiewami wprowadzając nowicjuszy w bieszczadzką legendę. Obowiązkowo był obecny (gdzież te tradycje) pełnomocnik akcji, witający uczestników na „swoim” terenie, nie szczędzący pouczeń i dobrych rad. A potem – gdy echo piosenek coraz słabiej wracało odbite od zaostawskiej „Łysej Góry” – następowała tradycyjna wyprawa z dreszczykiem: północna wycieczka do ruin klasztoru. Dusza świątobliwych ojców karmelitów wierciła się zapewne niespokojnie w mroku – w najdogodniejszej dla siebie porze jak na złość płożone latarkami, szeptami a czasem i krzykiem trwoży. Pomysłów przewodnikom nigdy bowiem nie brakło. Raz kilka co trwożliwszych turnusowych dziewcząt o mało nie połamano nóg na wysokiej klasztornej skarpie, gdy w ślad za przewodnicką „gadką” o złym szlachcicu, którego dusza tu pokutuje właśnie w pogodnej lipcowej nocy, buchnął niespodziewanie wielki, błękitny płomień. Wykonawcy owego dowcipu zapomnieli jednak, że była to sobota – i cały następny dzień biegali żebząc o pożyczony denaturat, którego parę butelek spłonęło w klasztorze. Innym razem nad pełną mniszych kości skrzynią w klasztornych podziemiach nastrój grozy przysł, dzięki niedosłej medycce, która bez krzty szacunku chwycić jąła poźółtkę szczątki, wykrzykując w głos ich łacińskie nazwy.

A potem turnusy szły w góry. Nocowały na dolinnych i szczytowych biwakach, forsowały przełom Wetliny do Zawoju i południowe stromizny Tarnicy, podziwiała szypoty Hylatego i słuchały nocnych gwizdów pociągów pod Przetęczą Użocką. Przedzierały się przez morza pokryw w Rosochatem i zarośla niepozornego grzbietu Fajek. Patrzyły zadumane na stojącą w miejscu carskich

wróć starą wialnię w cerkiewce w Smolniku i odcyfrowywały starocerkiewne napisy na szczątkach porąbanego ikonostasu w Skorodnem. Wygrzebywały stare łąski karabinowe z austriackich okopów na stokach Rozsypańca, okrzykami zachwytu płoszyły jelenie pod Wetlińską i zbijały się w ciałniejszą grupkę na widok niedźwiedźnich śladów na Bukowcu. Zawadzały o bazy...

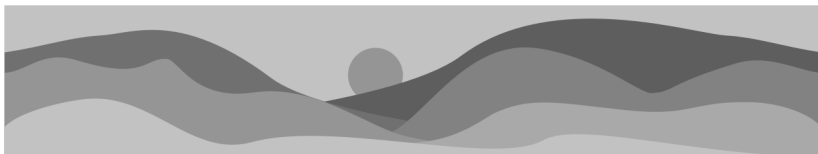
Bieszczadzkie bazy. Każda miała odrębny charakter, każda inny urok. Gwarne Ustrzyki Górne i Smerak – gdzie wieczór w wieczór wesoly tłum obsiadał bazowe ognisko i „na żebaczy sejm” ściągali liczni włóczykije z sąsiednich obozowisk, gdzie bazowych budziły odgłosy pierwszego porannego autobusu, a uczestnicy nocujących sporadycznie wycieczek autokarowych domagali się umywalni, jadalni i elektryki w kibeklu.

I inne. Baza w Buku – gdzie w bród przez Solinkę zajeżdżała wywrotką w gości na ognisko galeria przepysznych bieszczadzkich typów. Tu Jurek „Warszawiak” wspominał swoje kolejne dziewczyny i zawodził smętnie na organkach, podpity Piotr „Francuz”, reemigrant z Montesules-Mines, wyśpiewywał na okrągło Marsylianę, a tolerowany ledwie przez resztę bractwa były profesor lwowskiego gimnazjum kłął płacząco los, który ściągnął go na tory kolaboracji i złamał życie – stawiając, zamiast na szkolnej katedrze, przy pile tarczowej. Baza z Tworylnem – gdzie każdy nie planowany gość budził sensację, skąd na poobiedni spacer na piwo biegało się 4 godziny, gdzie nocami podpici juhasi próbowali zaglądać „na dziewczuski”, „Babcia” Pydziński snuł wielogodzinne opowieści o tym, jak z szeregow AK trafił do leśnych band, potem do ograbiania gminnych sklepików i wreszcie do ruin tworylniańskiego filmowego rancha, zmienionego potem w schronisko „Szept”. Czasami nudę letnich popołudni uatrakcyjniała strzelanina milicyjnej obławy, polującej na zbiegłych organom ścigania „spółdzielców” tworylniańskich. Podstawę menu zaś stanowiły tu świeże pstrągi, ciągnięte co rano z Sanu przez wrocławia Dzikla.

Można tak nieskończenie snuć nić bazowych wspomnień. Nieskończenie też można wspominać turnusy. Były wśród nich takie, które przechodziły do legendy; turnus Henia Głowackiego – którego 8 uczestniczek plus praktykantka obrządały swego przewodnika-jedynaka jak mogły, podsuwając pod nos jedzenie, nosząc mu cięższe rzeczy, gotując superwymyślne potrawy, a w zamian – zmuszając swego „pana i władcę” do regularnego mycia. I będący swoistym przeciwieństwem turnus Andrzeja Harskiego, którego 22 męskich uczestników (wśród nich jeden murzyn) chodziło po szlakach, ucząc kultury turystycznej – polecając mówić schodzącym turystom „dzień dobry”, każąc wracać się po porzucone na postoju puszki i papierki. Czy prowadzona przez Werę Lechman męska grupa wędrowna z jednej ze szkół muzycznych – na której nieszczęsna przewodniczka sama rąbała drzewo, paliła ogniska, gotowała...

I jeszcze jedno. Gdy mówimy o akcjach letnich – nie sposób, choć to nasz przewodnicki jubileusz – pominąć towarzyszy naszych letnich przygód. To bazowi – ci, którzy bez zarzutu sprawowali swe obowiązki, będąc nam, przewodnikom, najlepszymi przyjaciółmi na bieszczadzkim szlaku. Niektórzy z nich niejednego mogliby nauczyć podejścia do gór i do ludzi, zaradności... Tacy ludzie, jak Staszek Linowaki, jak Janusz Wójcik*, utrwaliłi się w naszej pamięci nie tylko swoją postawą – ale realnym wkładem w bieszczadzką turystyczną działalność.

Kronika studenckiej turystyki górskiej SKPB Warszawa, Warszawa 1972, str. 11-19



Jan Kwiatowski blacha 15

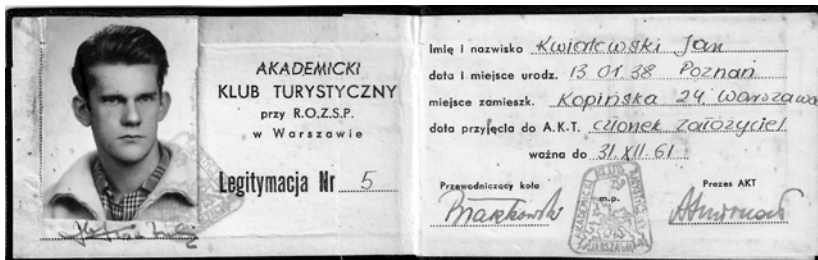
O ile dobrze pamiętam...

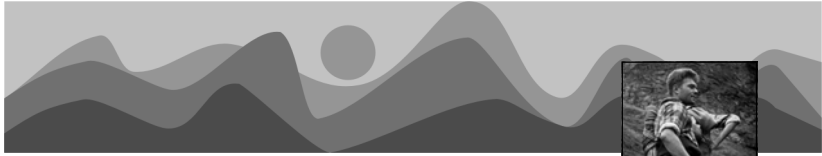
O ile dobrze pamiętam – mogę się w szczegółach mylić, to było tak:

Na początku było Studenckie Koło Przewodników Obozów Wędrownych przy RO ZSP i Oddziale Międzyuczelnianym PTTK. W tym okresie w innych ośrodkach działały Akademickie Kluby Turystyczne (Wrocław, Katowice). W Warszawie zrodziła się idea, aby przy Radzie Okręgowej ZSP utworzyć AKT, w ramach którego istniałoby Koło Przewodników. Taką ideę forsowały ówczesny aktyw Koła (kol. kol. Krzysztof Błaszowski i Andrzej Smirnow „Czarny”, a częściowo Henryk Supronowicz „Debil”). Idea ta zakładała, że Koło będzie dość elitarną agendą AKT. Stało się – Akademicki Klub Turystyczny utworzono (w załączeniu reprodukcja mojej legitymacji), ale nie podjął on praktycznie działania. Wymienieni koledzy dążyli do uniezależnienia AKT od Rady Okręgowej i Oddziału Międzyuczelnianego PTTK, co wywołało konflikty w łonie aktywu i Zarządu Koła (co to jest aktyw – to jest klika, do której należymy, a co to jest klika? To aktyw, do którego nie należymy). W wyniku konfliktu z działalności wycofali się Krzysztof i Grażyna Błaszowski oraz Andrzej Smirnow, którym zarzucono brak lojalności w stosunku do RO i OM PTTK.

Było to z dużą szkodą dla środowiska – Krzysztof posiadał swoistą charyzmę, i ja – pomimo, że byłem jednym ze sprawców tego konfliktu – zarówno wówczas, jak i dziś, bardzo żałuję, że sprawy przybrały taki obrót.

Wracając do rzeczy: w okresie tym nie myślano o odznakach Koła, a skupiono się na projektowaniu znaczka AKT. Przyjęto projekt Krzysztofa Błaszowskiego z kwiatem goryczki, nawiązujący w formie i treści do znaczków innych AKT (na legitymacji jest stempel w postaci znaczka AKT). Po upadku, a raczej rozmyciu się, koncepcji AKT utworzono SKPB i wówczas powrócono do sprawy blach. Pierwsze blachy (50 szt.) wydano jedynie aktywnym wówczas członkom, uwzględniając rok ich wstąpienia do Koła. Ponieważ „nieaktywni” nie otrzymali blach, ja mam dość wysoki numer. Mam, a raczej miałem, gdyż przy okazji jakiejś imprezy, czy też wystawy blachę ode mnie pożyczono i nigdy nie wróciła.





Witold Michałowski „Michał” blacha 17

Kraina Biesów



Bieszczady, to była taka XX-wieczna odmiana ussuryjskiej tajgi i ukraińskich Dzikich Pól, kraina zarosłych burzanem pogorzeliisk, podmokłych zarośli, gdzie kluczyło się po ścieżkach leśnego zwierza, wśród głuchych ostępów i rozsypanych się w proch zmarłych od mrozu buków, szukając samotności, przygody, możliwości bezpośredniego obcowania z naturą i sprawdzenia samego siebie. Nie góry, nie step i nie tajga, a Bieszczady. Pisane małą literą. To było to, co należało naprawdę chronić, ocalić dla przyszłych pokoleń. Zajmowały promile powierzchni naszego kraju. Kiepskiej, nieurodzajnej ziemi, borów z małowartościowym drzewostanem. Bez zabytków, folkloru i zagospodarowania turystycznego. Nieporównane, fascynujące, unikalne. Jesienią wszechwładne panowanie na drogach łączących ludzkie siedziby obejmował chlupoczący żywioł – błoto. W tłustej, ciężkiej, brunatnej mazi grzęzły po osie pojazdy, tępowały nogi zwierzęta. Człowiek też nie mógł dać jej rady. Chyba że wezwał na pomoc Biesia. Bies rządził tą krainą. Przenikał do ludzkich dusz, kusił do złego: rozboju, mordy, rabunku. Kupcy z naddunajskich nizin, wędrujący na północ z barytkami wina, bezlitośnie łupieni przez opryszków, polecali duszę Panu Bogu, gdy przyszło im przekradać się przez Bieszczady.

Błądząc po Maguryczynie i Krasnej, trafiałeś na ślady okopów z lat I wojny światowej, przetrzoną odłamkiem granatu aluminiową manierkę, ludzki czerep.

Gdy cały kraj przystępował do odbudowy zniszczeń ostatniej wojny, tu płonęły wsie, ginęły kobiety, dzieci. Łzy i krzywda ludzka wołały o pomstę do nieba. Świątynie, gdzie czczono brodatych świętych, dzieliły los mieszkańców. Dziś ikony z sanockiego muzeum znane są w całej Europie. Ocalałe z pożogi cerkiewki pieczętowiec odnawia się i konserwuje. Atrakcja turystyczna. Egzotyka.

Zarastają szuwarem Duszatyńskie Jeziora. Nikt już nie wierzy, że to Żyły na ognistej kuli uderzył ongiś z głuchym łoskotem w Steciw Las. Stara Haratyna widziała go ponoć. Kiedy się pojawił ziemia drżała i dzwony same dzwoniły. Zerwała się góra, chresty – krzyże odtąd na niej stawiali. Skalne rumowisko z Chryszczatej zatarasowało strumień Olchowaty. Zatopiony został szmat boru. Martwe, sterczące z wody kikuty drzew są pamiątką po kataklizmie sprzed kilkudziesięciu lat: Steciw Las na zboczu Chryszczatej znajdował się na trasie przelotu meteorytu. Błotnistej dna jeziora nie badał nikt. Może tkwią tam odłamki ciała kosmicznego.

Wschód słońca chodziło się oglądać na Halicz. Szczękając z zimna zębami, skuleni, siedząc w okopach z czasów I wojny światowej, oczekiwanie skracaliśmy nadzieją, że jak tylko się rozjaśni dostrzeżemy światła Lwowa. Pasowanie na rycerza dawała wyprawa do „Worka”, na „grób hrabiny”. Niedaleko od Przełęczycy Użockiej, przytulona jednym bokiem do niewielkiego strumyczka, przedziwnym zrzędzeniem losu ostała się nagrobna płyta Klementyny z Kalinowskich Strońskich. Dojść do niej było trudno. Łany pokrzyw, sosnowe młodniaki, wysokie trawy, zarośla pokrzyw i łopianów broniły dostępu.

Szło się tam na trzy, cztery dni, wracało po tygodniu albo dwóch. Po chleb czasem posyłano umyślnych do najbliższej piekarni w Stuposianach, ponad trzydzieści kilometrów w jedną stronę. „Worek”... zarosły zupełnie młodymi drzewkami, przedwojenny gościniec, krzyżujące się tropy dzikiego zwierza. Bezruch, cisza i spokój zielonego morza. Zbite z grubych bierwion myśliwskie chatki na Muczmem, Wołowcu, nad Neryłowem. Parę bacówek, w których jesienią mieszkalem z ukochaną dziewczyną. Skrzypiący „trianguł” na Jeleniowatem, na którym wyznawała miłość.

Przy żarzących się paru konarach długo w ciepłą noc można było słuchać tajemniczych szepcót karpackiego boru, szmeru kryształowo czystych strumieni, głosów dzikiego zwierza. Samotność jest wartością rzadką. Coraz rzadszą i coraz bardziej cenną. W „Worku” mogłeś być sam. Zupełnie sam. Bezwzględna, naturalna selekcja. Ostre kryterium wagi plecaka i umiejętności chodzenia po górach. Bez żadnych punktów dodatkowych. Ci, którzy tam docierali, mogli być śmiało zaliczani w poczet Bractwa Wielkiej Przygody.

Biegu wydarzeń nic nie zmienia, choć czasem może zebrani w gronie przyjaciół z nostalgią wspominamy, ile trudu kosztowało przejście grzbietu Otrytu, noszenie dwutygodniowego zapasu chleba, czy odnajdywanie tonącego w oceanie łopianów i pokryw nikłego śladu ścieżki, prowadzącej przez dawną wieś Wołosate. Pozostały po niej tylko zapadające się coraz głębiej rumowiska cegieł, osmalone, butwiejące belki i resztki przycerkiewnych cmentarzy a w zdziczałych sadach bieleły ludzkie kości, pola uprawne zarastał jałowiec, a w watach podhalańskich juhasów wypasających owce płonęły resztki ikonostasów.

Zarastają zielskiem, tarniną, szybko puszczacą co rok świeże pędy olchą. Nie żałujemy dawnego Wołosatego, krytych słomą kurnych fémkowskich chyz, ludzkiej nędzy, chorób i zabobonów tak strasznych, że nie sposób uwierzyć, iż istniały

Takie Bieszczady przetrwają tylko w legendzie. One właśnie miały być atrakcją dla dewizowych cudzoziemców. Ostatnią w Europie enklawą „pierwotnej, karpackiej puszczy”. Takich Bieszczadów już nie ma i nie będzie, choć dla wielu z nas pozostaną na zawsze krainą pierwszej w życiu i być może ostatniej **Wielkiej Przygody, Wielkiej Miłości, Wielkiej Próby.**

Wspaniałą pamiątką z najpiękniejszych, górnych i chmurnych lat młodości.

Biwak opuścili przed świtem. Roztopiali się w wilgotnej mgie jak zjawy. Padało od tygodnia. Niebo przybrało jednolity, ponury, stalowoszary koloryt. Parowały poroście burzanem zdziczałe pola. Po drugiej stronie doliny Sanu rozległe, rozłożyste barłozżył Otryt. Stopy grzęzły w rozmiękłej, gliniastej brei. Na przełęczy opary mgieł przegoniły bicze ulewy. W dole, tam skąd przyszli, majączyły rozwaliska cerkwi świętej Paraskiewii. Nieco bliżej resztki drewnianych szop i ogrodzeń. Pozostałości planu filmowego kiczu. Rancho Texas! Namoknięte wory plecaków ciążyły niemiłosiernie. Rzemienne napięte pasy wpijały się w barki, przyginały do ziemi, tamowały oddech, zapierały dech w piersiach. Pod wieczór dotarli do kosmatego polipa Magury Stuposiańskiej. Wysokopienny bór tłumił dźwięki. Na rozległej polanie znikły w zielonym kobiercu koleiny dawno nie używanej drogi. Rozrzucone po jej obu stronach kępy pokrzyw, wzrostu człowieka wskazywały miejsca, gdzie kiedyś wznosiły się ludzkie siedziby. Czubkami butów potracali resztki żeliwnych garnków, przedziewałe obręcze beczek, murszejące poźółtkie kości. Schodzili korytem strumienia, które spuszczone zбочem pnie wielkich drzew zmieniały w rynnę wystaną lepkiem, tłustym błotem. Do celu dotarli już prawie po ciemku. Smolne szczapy płonącego ogniska rzucały w niebo snopy iskier. Parowała odzież. W osmalonym kociołku bulgotała woda. Rzucona garścią na wrzątek herbata zapachniała niebiańskim aromatem. Noc mieli spędzić w starym, opuszczonym baraku. Parę lat



Biwak na Tworylnem (1968 r.), fot. J. Szałajski.

temu był w nim posterunek wojsk pogranicza. Drewniana, piętrowa wieloosobowa nara – przyca pokryta resztką butwiejącej słomy. Ława przy ścianie, leżący na krzyżakach blat stołu z nieheblowanych desek i okrągły, blaszany piecyk z rurą wystawioną przez okno uzupełniały umeblowanie wnętrza. Kilkunastoosobowy turnus studenckich wczasów wędrownych, banda śmiertelnie znużonych i mokrych widziałeł z trudem upchała się jakoś w pustym pomieszczeniu. Na reszki mysich biesiad i cuchnące puszkach po konserwach, walające się po podłodze, nikt uwagi nie zwracał. W ciemności i tak trudno byłoby je zauważyć. Pragnął tylko spać. Zapaść w bezruch, letarg w nirwanę. I pozostać w niej. Na zawsze. Na wieki. Zapomnieć. Kamienny sen przyszedł prawie natychmiast.

To było tak niedawno. Prawie wczoraj. Jeszcze na szczycie wzgórza, wyłączwszy silnik wystużonego fiata, z wizgiem opon pokonywał ostatnie agrafki serpentyn. Komańcza 11 kilometrów. Parę minut jazdy. Musiał tam wrócić. W cieniu gęstego listowia buków błysnęły blachą kopuły unickiej świątynki. Pustej. Zabitej na głucho ćwiekami. Boga wygnano z niej ćwierć wieku temu. Wyszczuto psami i ogniem granatników. Zostały fragmenty ikonostasu i parę rozprutych kulami podobizn brodatych świętych. Tylko w wyższych partiach, tam gdzie nie mogły dosięgnąć owce. Wapienno-białkowy podkład ikon smakował im bardzo. Przez parę lat nocami wewnątrz opuszczonej przez prawosławnego Pana Boga ruiny służyło za „koszar” dla wełnistych czworonogów. Zaganił je tam juhasi Franka Sarny. Redyk spod Murzasichla baca przywoził w te strony kolejną. Z czasem cerkiewka zupełnie opustoszała. Nikomu nie była potrzebna. Korniki kończyły to, co zaczęli ludzie. Wyznawcy rzymskokatolickiego Boga nie czuli się w niej dobrze, a dawnych wiernych pozostało mało. Ciągłe się bali. Ukrywali mowę i obyczaj ojców. Czasem tylko w knajpie w pobliskiej Rzepedzi nad bełtem wspominali Czurmę, co kazał po miejscowemu śpiewać i do cerkwi młodych wyganiał. Ale nie ma go już. Do syna pojechał. Za ocean. Mądry był człowiek, dużo widział. Hrynia nawet znał. Na poboczu zamajaczyła dziewczęca postać. Spodnie. Długie włosy. Plecak. Może to ona? Dodał gazu. Nie, to niemożliwe. Została przecież w N. Sam ją tam zawiózł. Ot, wakacyjna przygoda. Taka, co pozwala na osiągnięcie stanu błogiego zadowolenia i wiary we własne męskie siły. Jeszcze za studenckich czasów jedna taka data mu góralską spinę.

Z prawdziwego srebra. Ręcznie przez mistrza Byrcyna kutą. Pod przewodniczką „blachą” ją nosił. Kobiety zawsze intrygowała. Skąd? Dlaczego? Bajeczkę jakąś zmyślał. Dużo ich znał. Piękno gór i połonin. Piotunowy step, zarosła łopianów i pokrzyw tam, gdzie ongiś wznosiły się ludzkie siedzi-by. To działało na wyobraźnię. Było nowe, niecodzienne. A koniec zawsze taki sam. Potem parę listów. Jakaś pocztówka. Czasem łyż.

Do Komańczy przyjechała z koleżanką. Miejscowi znali jej dziadka. Nazywali go profesorem. Jeszcze za cesarsko-królewskiej Austrii skończył uniwersytet w samym Wiedniu. Uczył łaciny i greki. Zimą polował na kuny i tchórze, stawiając łapki pod słomianymi strzechami łemkowskich chyz. Na starość zamieszkał sam w niedużym dworku w pobliżu cmentarza, na którym niedawno pochowano ostatniego unickiego bat'kę Kaleniuka. Dworek spalili tacy jedni ludzie z tryzubami na czapkach. Przyszli skądś spod Lwowa. Boh z nimi.

Rozgrzana do czerwoności kuchenna płyta żeliwnego piecyka dająca rozkoszne ciepło jeszcze była gorąca. Dominował słodkawy odór suszonych skarpet. Nikły odbłask naftowej lampy z ledwością oświetlał małą izbę. Wyraźnie ktoś pukał do drzwi. Pukanie się powtórzyło. Bardzo ciche. O tej porze? Już prawie północ. Lekki stuk usłyszeli też inni. Podkreślił knot naftowej lampy. Mamy gościa. Przez ledwo uchylone drzwi wsunęła się ociekająca wodą postać i przytulona do jej nóg przemoczona do cna mała, wynędzniała psina. Przybysze proszą aby im odstąpić nieco miejsca na podłodze koło piecyka. Rumor budzi wszystkich. Częstujemy nowoprzybyłych pozostałą na dnie gara resztką przypalonej zupy. Temu czworonożnemu tak bardzo przypadła do smaku, że starannie wylizał również pokrywę. Nikt nie zauważył, kiedy człeczyna, powiesił na klamce zamykając za sobą drzwi przyniesiony węzełek. Ktoś, wychodząc „za potrzebą”, niechcący strącił go na ziemię. Reakcja przybysza była gwałtowna i nieoczekiwanie brutalna. Uderzeniem kija odtrącił rękę, która chciała zawinąć podnieść. Szajbus jakiś czy co? Zapalam latarkę, kierując snop światła na podłogę. Coś się na niej poruszyło. Chyba złudzenie. Właściciel węzłka sam go podnosi. Z grzeczności pytam, co ma tam tak cennego. Odpowiedź wprawia w osłupienie. Żmije. Po prostu żmije. Łapał je na zamówienie jakiegoś instytutu. Pan Mikołaj, bo przy zawieraniu znajomości tak się przedstawił, przyswoił sobie tę umiejętność na w Stepach Minusińskich. Po wkroczeniu bolszewików do Lwowa zesłano tam całą jego rodzinę. Miał wówczas niespełna dziesięć lat. Przeżył tylko

Przejsie Bieszczadzkie 1968 r. Od lewej: Janusz Lewandowski, Witek Michałowski, Trejbic, z tyłu Wojtek Kownatka i zastójny Janek Nelken, fot. J. Szatajski.



on. Dzięki żmijom. Sprzedawał je koreańskim kotłochodziakom jako „wsad” do wódczanych nalewek. Starczało ledwo na chleb. Widząc niedowierzanie w moich oczach, demonstracyjnie rozwiązuje szmaciany pakunek. Gwałtownie cofam nogi. Chyba zbyt energicznie. Prosi, aby nie wykonywać żadnych nagłych ruchów, bo w ten sposób można zdenerwować jego podopieczne. To są naprawdę dobre, czyste i pocziwe stworzenia boże. Już zupełnie obudzone dziewczęta zaczynają nerwowo popisukiwać. Właściciel pełzającej menażerii jest wyraźnie urażony. Niewyraźnie bełkocąc i śliniąc się przy tym nieco, przekonuje, że żmije nie są groźne. O, proszę!!! Zdecydowanym ruchem podnosi za ogon dorodny, blisko metrowej długości okaz. Głowa gada spoczywa na ziemi i wyraźnie kieruje się ku mnie. Głodny szuka żeru. Jednocześnie reszta jego towarzyszek i towarzyszy usiłuje dać drapakę we wszystkie możliwe strony. Sytuacja wymyka się z rąk. Jak najbardziej dosłownie. Liczę wijące się ogony. Cztery. Pięć. Nie, chyba sześć... Jeden znika między plecakami. Oczy, nie tylko dziewczyn, robią się coraz bardziej okrągłe. Przybysz zajmuje pozycję strategiczną. Przy jedynych drzwiach. Muszę coś zrobić. Przecież, było nie było, odpowiadam za tych ludzi. Nikt już nie śpi. Wszyscy wleźli na górną prycę i z napiętą uwagą zajmują się inwentaryzacją miłych zwierzątek. O, jest ich znowu sześć. Nie, pięć. Ktoś deklaruje, że za cholere nigdy nie zejdzie na ziemię i nie założy butów. Ktoś inny na głos rozważa, czy przypadkiem bieszczadzkie żmije nie naśladują swoich afrykańskich koleżanek i nie wpełzają na drzewa. Nogi prycz zrobiono, jak na złość, z solidnych, drewnianych żerdzi... Usiłując panować nad emocjami staram się jak najtagodniej, acz zdecydowanie apelować do pana Mikołaja o zebranie z powrotem do węzełka całego towarzystwa. Przecież ktoś przypadkiem może nadepnąć niewinne stworzenie i zrobić mu krzywdę. Uszkodzonego nikt nie kupi. Nadepnąć? Bosą stopą? Buty dawno już wszyscy mieli zdjęte. Suszyły się rozłożone wokół piecyka. Mało prawdopodobne. Argument o obniżonej wartości uszkodzonego towaru okazał się dobrany trafnie. Coś jednak w moim głosie musiało zabrzmieć fałszywie. Gdy w myślach rozkoszuję się chwilą, gdy będę drania razem z jego bagażem wyrzucał na dwór, dociera do mnie propozycja. Niech pan ją weźmie. Jest w okresie godowym. Spragniona miłości. Niech się pan nie boi. Dobry Bóg stworzył dobre zwierzęta. Tylko ludzie uczynili z nich bestie na swoje podobieństwo. Ręka przybysza wraz z owiniętą wokół niej niedużą żmijką spoczęła na moim kolanie. Mimowolnie drgnąłem. Gad podniósł małą, kształtną główkę i wydał z siebie syk. Proszę myśleć o niej przyjaźnie. Ona to będzie czuła. Być może. Strużki potu spływały z moich pleców do miejsca, na którym siedziałem. Kilkanaście par oczu, obserwujących wydarzenie, wyrażało tylko jedno uczucie. Masz za swoje. Uczestnicy turnusu nie mogli mi darować tempa marszu, w jakim pokonałiśmy ostatnie kilkanaście kilometrów. Udając kamienny spokój, nie cofam leżącej na kolanie ręki. I nie patrzę w jej kierunku. Czuję natomiast jak wolno przepęzła na nią śliska chropowatość. Mam podwinięte rękawy koszuli, a to zmierza do cieplejszego miejsca. Słyszę w uszach uderzenia pulsu mego bijącego serca. Gad zresztą też. Jest wyraźnie zaniepokojony. Syczy. Mijają długie, cholernie długie minuty. Zawiedziona w miłości daje się w końcu namówić na powrót na rękę właściciela. Musiała zachować zapach jakiegoś żmijowego przystojniaka. Gdy zawiązany powtórnie węzełek wrócił na kłamkę, nie miałem sumienia wyrzucać na wzmagającą się ulewę nocnego przybysza z resztą jego menażerii. Z biegiem lat zaprzyjaźniliśmy się. Spotykałem go najczęściej w „worku”, nad Negrylowem, Muczmem, Tarnawie.

Granica to była wielka świętość. Za czasów PRL-u nie wolno się było nawet do niej zbliżać. Przebiegała po niezbyt wysokich górskich grzbietach. Wąską, krętą ścieżynką przemykała wzdłuż dawno nie koszonego pasa bujnych traw i jeżyn porastających leśne przecinki. Naruszenie jej

uważano za ciężkie przestępstwo. Komendant strażnicy WOP-u do Wetliny przyjechał bezpośrednio po ukończeniu szkoły oficerskiej. Z własnej i nieprzymuszonej woli. Zabiegał nawet o to. Mundur zrzucił dopiero wtedy, gdy jego formację przemianowano na Straż Graniczną. Jak zwykły mawiać, na stróża się nie nadawał. Dowódcą był wzorowym. Podważli starannie wygoleni, czysti. Regulaminowo umundurowani. Tylko wojskowe buty mieli zwykle bardzo brudne. W bieszczadzkich górach błoto jest zawsze, a podkomendni kapitana słynęli z tego, że można było się na nich było natknąć w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu granicznego szlaku od Kremenarosa po Matragonę.

To tu występuje unikalne zjawisko – kaptaz. Wody polskiego strumienia przeciąga na południową stronę Karpat słowacki Ung. Tamtędy właśnie miała przejść „pieremyczka” rosyjskiego gazociągu do Velkich Kapuszan. Niezwykle rzadko występujące hydrologiczne zjawisko ulec miało zagładzie. Kaptaz budowniczym wielkiej rury do niczego nie jest potrzebny. W czasach, gdy integralności terytorialnej kraju noszącego nazwę PRL strzegli chłopcy kapitana, nikt jeszcze o „Jamalskim korytarzu” nie słyszał. Ale przemysł istniał. Głównie butów, wibratorów i horolezek. Szpanerskich, niebieskawych plecaczków z żółtą obramówką. Przemycano i inne towary. Zakazane wydawnictwa, walutę i piwo. Znakomite. Chłodne, pniące się, z miodową goryczką. Knapja z *vyczapem* była widoczna z granicznego grzbietu. Niespełna godzina drogi w dół. Ścieżka wiła się przez gęsty bukowy las i jakieś zagajniki, a potem blisko zabudowań słowackiej już wsi wypadła na świeżo koszone łąki. Do najbliższego przejścia granicznego wówczas właśnie świeżo otwartego w Barwiniku należało jechać wiele godzin samochodem. Mieć z sobą paszport, zaproszenie, wykupione zawczasu korony, poddać się odprawie, wypełnić deklaracje. A *vyczap* był w zasięgu ręki. Gdy nad splukanymi letnimi nawałnicami połoninami zaczynało grzać słońce, grzało na dobre. Plecaki ciążyły niemilosernie. Cięży gzy. Bielaty od soli wydzielanej przez spocone ciała brązowo-brunatne przewodnickie koszule. Gardło wysychało na wiór. Podświadomość zdecydowanie działała na wyobraźnię. Skutecznie... Nie pomagał widok długich nóg idących przodem dziewcząt. Wspomnienie cierpkiego grzechu, dręczyło ciało, opanowywało umysł i... skręcało się z granicznej ścieżki. Działał kaptaz!!!

Wopistom tego robić nie było wolno. Mieli zakaz. Mogli łapać przestępców tylko wtedy, gdy opici piwem jak baki wracali na polską stronę. I sprowadzać ich z kontrabandą na dół. Do komendanta. Udowodnienie przestępstwa przemytu jest proste, jeśli jest towar. W instrukcji postępowania z podejrzanymi o nielegalne przekroczenie granicy nie figurował zakaz siusiania. Kontrabanda, nie pozostawiając śladu, wsiąkała w leśną ściółkę. Kapitan wiedział o wszystkim. Odgrażał się, że sporządzi protokół, spowoduje odebranie przewodnickich uprawnień, zamknie do aresztu, powiadomi zakład pracy i rektora uczelni i nie pożyczycy chleba, gdy do jedyne go sklepiku w Wetlinie akurat nie dowiozą. To było najpoważniejsze ostrzeżenie. Za przyczyną studenta imieniem Bazyl, posiadacza kieszonkowego zegarka z dedykacją dla 44 potomka rabinackiego rodu, a dziś gwiazdy krajowego dziennikarstwa, nastąpiła zmiana w treści kapitańskich raportów. Prowadziliśmy razem bazę w Berehach. Bazyl, popadł w *vyczapowe* uzależnienie. Konflikt z kapitanem i jego podkomendnymi narastał.

Los zrządził, że pewnego razu zawitał na naszą bazę Rajd Drogowców i Transportowców. Wiele setek turystycznego ludu. Bulgoczące skrzynki z zaopatrzeniem dowoziły zakładowe nyski. Było gwarnie, rojno i wesoło. Zanim zapłonęły ogniska, tknęło mnie, by sprawdzić, kogo tak naprawdę dopinguje zgromadzona po obu stronach przepływającego w sąsiedztwie namiotów strumienia gromada zdobywców bieszczadzkich gór. Wytrwale młócili kamieniami wodę. Celowali do czegoś.



Od czasu, do czasu turnus trzeba dopieścić, fot. arch.

Piżmowca? Żmii? Już miałem zacząć wygłaszać reprimendę, gdy usłyszałem metaliczny brzęk. Towarzyszył mu jęk zawodu. Młodzież chciała się rozerwać. Ustawili w dnie potoku pionowo pocisk haubicy dużego kalibru. Wyciągnęli go z okopu pod Jawornikiem. Cały zardzewiały. Tylko tępo zakończony zapalnik z gniazdami na płaski klucz pokrywała żółtawa maź smaru konserwującego. Rzeczywiście, rozrykowa sztuka. I to nawet bardzo. Przerwałem zabawę. Skonfiskowałem znaleźsko. Umysłny pojechał rowerem, zawiadomić kapitana. Gdy ten przyjechał służbowym „ułazem”, była już noc. Razem obejrzeliśmy trofeum. Rajdowcy dobrze celowali. Kamienie zdołały nadwerężyć zapalnik. Każdy gwałtowny wstrząs mógł spowodować wybuch. Rzykownie byłoby w tej sytuacji wieźć pocisk samochodem. Wybuch mógł nastąpić przy gwałtownym wstrząsie. Asfaltu na szosie do Wetliny dawno nie naprawiano. Po zimie wyrwy w jego nawierzchni tworzyły rozległe kraterki. Niewypał przetrzymałby chyba tylko parę podskoków ułaza. No, może paręnaście. Pojazd przydał się jednak. Jego reflektory oświetliły szosę. Kapitan niósł pocisk oburącz przed sobą. Całe siedem kilometrów. Nie chciał zaryzykować pozostawienia rozrykowej sztuki w przydrożnym rowie.

Po odejściu do cywila został w Bieszczadach. Dlaczego tak szybko posiwiął, opowiadać nie chce.

Jurka Dwa Tysiące też znali wszyscy. Właściciele knajp i melin z Ustrzyk Dolnych, Czarnej, Lutowisk i Smolnika, czasem nawet gotowi byli dać mu „na krechę”. Był człowiekiem honoru. Po otrzymaniu emerytury zwracał dług co do grosza. Za pijaka uważano go od zawsze. Kiedyś rzekomo pracował. W parku maszynowym nadleśnictwa. Reperował silniki detek i stalińców. Trifarmatorów jeszcze nie znano. Miał opinię znakomitego mechanika. Parę godzin po wypłacie urywał mu się film. Gdy już przepił wszystko, co zarobił, gdy ostatniego zaskórniaka wysuwał a kieszeni. Gdy niebo nie chciało się uzalić nad jego ciężką dolą i całodzienne poszukiwanie jelenich zrzutów nie dawało rezultatów, przychodził kryzys. Ponura speluna w Dwerniku była w tym czasie ostatnią nadzieją i przystanią. Prawie domem i jedyną radością życia węglarzy z otrzyckich mielerzy, robotników leśnych i kulawego Józka zduna. W niej pod wieczór Jurek zaczynał swój tabędzi śpiew: chłopaki pożyczcie dwa tysiące. Tylko dwa tysiące. Zaledwie dwa tysiące. Przed denominacją wartość pudełka zapatek. Piwa nie kupił, ale dwa tysiące do dwóch tysięcy... I tak został *Jurkiem Dwa Tysiące*. Odchodząc na emeryturę dostał prawo zamieszkiwania wzniesionej z potężnych bierwion chaty na północnych stokach Trohańca. Obsadził ją modrzewiami i zaczął budować na pobliskim potoku staw. Chciał w nim hodować pstrągi. Najczęściej brakowało na paliwo dla spychacza sypiącego ochronny wał. Żyliśmy w przyjaźni. Gdy kończyłem budowę domu w Lutowiskach, przywiózł mi wyrotkę prezent. Wnosiło go trzech drwali. Stałową liną wyrwali z ziemi sosnowy korzeń.



Witold Michałowski jako pogromca byków, 1968, fot. J. Szalajski.

Jurek oczyścił go, wyrównał, opalił tam, gdzie trzeba, napuścił skalnym olejem i uzbroił w parę żarówek. Można było go od razu powiesić pod stropem. „Korzenne” żyrandole *Jurka Dwa Tysiące* są sławne. Kobiety też artystę kochały zawsze. Bez wzajemności. Smukły, żyłasty. W czarnym kapeluszu i z barwną chusteczką na szyi. Prawdziwy macho. Odwiedzającym go damom, tym, co zbierały jagody lub szukały schronienia przed wymiarem domowej sprawiedliwości, mającej postać ciężkiej dłoni ukochanego, zawsze był gotów udzielić gościny. Jeśli potrafiły jako tako machać miotłą, ugotować rosół i upiec udziec sarny, która przypadkiem znalazł zaplątaną we wnyki na leśnej ścieżce, zapraszał damę do zawczasu przygotowanego łoża. Był to szeroki, przykryty baranymi skórami, drabiniasty wóz. Stał w kuchni. Na czterech kołach. Blisko pieca. Bez dyszla. Nie starczało dla niego miejsca. Gospodarz lubił czytywać własne poezje. Damy chichotały, gdy z poważną miną opowiadał ostatni sen: „Śniło mi się, żem wóz, a to mara broi, budzę się, wozu nie ma, tylko dyszel stoi”. Na początku minionej dekady *Jurek Dwa Tysiące* uległ metamorfozie. Przystał wyruszać w piwno-wódczane rajdy, szlając się po knajpach. Wpadł. Jedną z wizytujących go na drabiniastym wozie została matka. Postanowił, że dziecko musi pamiętać trzeźwego ojca. Malca pielęgnował niezwykle pieczołowicie. Uczył go chodzić. Poznawać rośliny. Kwiaty. Drzewa. Nazywać chmury. Słuchać wichru. Przyjaźnić z duchem lasu. Opowiadał o Besie. Czas płynął. Chłopiec musiał pójść do szkoły. Jego mama miała dość życia w przemarzającej zimą drewnianej rudrze. Była kiedyś nauczycielką. Wróciła więc z dzieckiem do miasta. Tak bywa. Jurkowi kumple darowali paroletnią abstynencję. Znow było tak jak zawsze. Normalnie.

Gdy w stanie wojennym z Bazylem prowadziłem bazę namiotową w Berehach, wznieśliśmy z drewnianych żerdzi bramę odtwarzającą anagram imienia Władimira i Olgi, czyli tryzub. Anagram na tle Połoniny Caryńskiej rysował się pięknie. Poszedł donos do rzeszowskiej bezpieki. Bazyl

sporo się napocił aby wytłumaczyć komu trzeba, że nie zamierzaliśmy gloryfikować UPA. Prawie mu się udało. Niestety SB-ków spisujących raport, od strony bazowego ogniska dobiegł śpiew:

Hej ty ojcze atamanie, Ukraina śpi w najlepsze.

Śpią sokoły na kurhanie i stanęła woda w Dnieprze.

Bazyl zdrętwiał. Przyszła chluba krajowego dziennikarstwa już liczył lata odsiadki. Raport nie został dokończony. Esbek podszedł do ogniska. Dostał kubek herbaty i podjął melodię. Miał nawet dobry głos. Wśród śpiewających nikt nie był Ukraińcem. Natomiast najbliżsi paru siedzących przy ogniu osób stracili życie z rąk tych, którzy nosili przypięty na czapkach znak Tryzub.

Przeważająca większość przecudnej urody drewnianych unickich cerkiewek zniszczyły w Bieszczadach i Beskidzie Niskim za wiedzą władz PRL regularne oddziały Ludowego Wojska Polskiego. W Birczy skąd pochodzi matka mego najstarszego syna oraz w Lutowskich dzieło się to na moich oczach w połowie lat siedemdziesiątych. Nie tylko w Zawadce Morochowskiej polscy żołnierze zagnali do cerkwi cywilnych mieszkańców aby spalić ich żywcem. Miał to być odwet za wyczyny UPA. Nie oszczędzono nawet rodzin dwóch byłych żołnierzy Legionów Piłsudskiego.

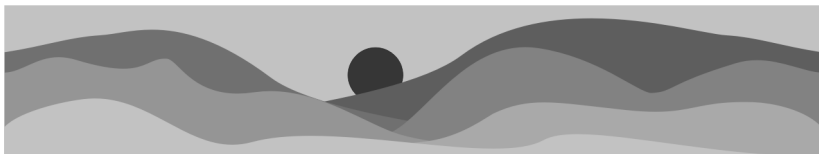
Karpacka dżungla zadziwiła i zachwyciła swego czasu sir Johna Hunta, zdobywcę Mont Everestu, oraz pewnego księdza o znanej dziś na całym świecie twarzy, z którym kiedyś razem suszyliśmy wibramy przy płonącym ognisku pod Hnatowym Berdem.

Pozostawienie skrawka kraju dla tych, którzy wędrują z plecakami i uwielbiają sypiać gdzieś w leśnej kniei, a nie na polu campingowym przy rurze wydechowej samochodu sąsiada, mogło być opłaczalne. Również dla przyrody.

A nad Sanem i Hulskiem kozackie dumki przy ogniskach śpiewane będą zawsze.

Drużyna SKPB, Zofia Szajuk, Witold Michałowski i ??, odbiera I nagrodę
w Wojskowym Rajdzie Sprawnościowym w 1964 r., fot. arch.





Ewa Beynar-Czczott

49 lat z Bieszczadami w tle

Najpierw parę danych technicznych. Przede wszystkim co najważniejsze lokalizacja w rejonie Bieszczadów 325,4 km rzeki San. A co tam miało powstawać? Jedną z większych budowí socjalizmu, budowla hydrotechniczna, czyli odpowiadająca mojemu wykształceniu. Zaczynała się budowla zapory i elektrowni wodnej w Solinie. Zapora miała być betonowa t. zw. „ciężka” czyli o przekroju trójkątnym. Ściana odwodna niemal pionowa, odpowietrzna o nachyleniu 1: 0,75. Na lewym brzegu poniżej zapory zaprojektowano elektrownię przewidzianą do pracy w szczytach poboru energii, wyposażoną w cztery turbiny (z czego dwie są rewersyjne czyli przepompowujące również wodę do góry). Początkowo moc elektrowni była obliczona na 120 MW obecnie po modernizacji moc ta została zwiększona do ok. 140 MW. Zapora o długości 664,8 m i maksymalnej wysokości (mierząc od poziomu fundowania) 82 m piętrzy wodę do wysokości 60 m i tworzy zbiornik o powierzchni zalewu 2105 ha o całkowitej pojemności 474 000 000 m³. Zbiornik obejmuje dorzecze Sanu i Solinki, tworząc liczne zatoczki na doptywających do niego potokach. Poniżej zapory w Solinie już przed wojną (drugą światową) rozpoczęto budowę znacznie niższej zapory ziemnej w Myczkowcach tworzącej zbiornik mający być „zbiornikiem dolnym” dla Soliny. Ze zbiornika tego w godzinach małego zapotrzebowania na energię elektryczną woda jest przepompowywana do „zbiornika górnego” czyli solińskiego. Wydaje się to niezbyt logiczne, ale biorąc pod uwagę różnicę cen energii w różnych godzinach w ciągu doby, okazuje się bardzo korzystnym rozwiązaniem. Budowę zapory w Myczkowcach zakończono praktycznie w 1960 roku i wtedy rozpoczęło się przygotowywanie placu budowly pod zaporę w Solinie.

No i właśnie w tym czasie, jako młody inżynier, zamiast nudzić się w godzinach 8 do 16 w biurach Instytutu Gospodarki Wodnej w Warszawie wyruszyłam w bardziej interesujące mnie rejony kraju. Najpierw stanowiłam samodzielną placówkę naukową mojego Instytutu w laboratorium w Myczkowcach, gdzie kończono opracowywanie materiałów z budowly, a następnie zatrudniłam się jako inspektor w nadzorze inwestycyjnym na Solinie. Budowę finansował resort Górnictwa i Energetyki, jeden z bogatszych w kraju.

Bieszczady były mi nieobce już od paru lat to znaczy od roku 1958 kiedy na kursie na prawo jazdy poznałam pewną panią Aśkę Kotowicz (studującą w Szkole Służby Zagranicznej, była kiedyś taka), która uświadomiła mi, że istnieje Koło przewodników, co to nie dość, że sami chodzą po górach, to jeszcze innych studentów prowadzą. Chodzenie po górach nie było wtedy moją specjalnością. Zajmowałam się żeglarstwem (w tym również regatowym) i wydawało mi się, że góry nadają się raczej do wykorzystania zimą do poruszania się na nartach. Koleżanka Aśka zaproponowała mi wspólną wyprawę Wielkanocną na Halę Gąsienicową celem zweryfikowanie poglądów. Podchodziliśmy pod Jaworzynkę i przysięgałam sobie, że już nigdy w życiu na taka poniewierkę się nie dam namówić. Ale jak już weszliśmy i zakotwiczyliśmy w schronisku u Bustryckiej



Przejsście bieszczadzkie – Cisna, maj 1958 r., pierwszy od lewej Wojciech Kulicki, fot. arch.

(już go nie ma) zaczęło mi się trochę podobać. Szczególnie, że w tymże lokalu, w narciarni na werandzie biwakowało Krakowskie Koło przewodników z Adamusem czyli Ryśkiem Głowackim oraz Zdzichem Rynem na czele. Było śpiewanie, wygłupianie, oblewanie, krokusy. Trasę Hala – Zakopane i z powrotem pokonałam wtedy jeszcze kilkakrotnie i zapomniałam o postanowieniu, że już nigdy.

Po chwalebnyim zdobyciu prawa jazdy na motocykl, a przy okazji, ale bez żadnego przekonania o celowości na samochód, trzymałam się dalej razem z Aśką. Zostałyśmy do dziś przyjaciółkami. Więc logiczne było, że czasie wakacji udałam się autostopem w Bieszczady, by zawaletować na turnusie u Zbyszka Jawora, czyli przedmiotu uczuć Aśki. Na turnusie było fajne towarzystwo, poznałam wtedy moją kolejną przyjaciółkę Verę Lechtman – studentkę medycyny. Była tam też słynna Blablacja, o której mało kto wiedział, że nazywa się Elżbieta Kostrzyńska. Przygody zdarzały się przeróżne. Najbardziej utkwiła mi w pamięci noc, którą z powodu deszczu postanowiliśmy spędzić w baraku robotniczym w Dołżycy. I jak tylko zalegliśmy w ścianie oddzielającej nas od sąsiedniego pomieszczenia zrobiła się dziura, przez którą klasa robotnicza w stanie wskazującym chciała nas obejrzeć przewidując zapewne „momenta” i ewentualne w nich uczestnictwo. Niestety nie spełniłmy oczekiwań tylko zwinęliśmy byle jak dobytek i nawialiśmy w deszczowy plener.

Po turnusie u Zbyszka i paru innych imprezach zaczęłam się pojawiać na Krakowskim w Radzie Okręgowej, gdzie się przewodnicy gromadzili no i zapisałam się na kurs, który odbywał się w Wiśle Malinca. Zjechały tam takie osobistości jak Andrzej Harski, Heniek Supronowicz, Verka, wspomniany już Ryn i inni znakomici Krakowianie oraz moja skromna osoba. Wykłady były nudnawe z przewagą opowieści o socjalistycznej turystyce. W kadrze pojawiały się osoby stanowiące prototyp obecnego ugrupowania „Ordynacka”. Zajęć terenowych nie było zbyt wiele. Krakowianie umilali sobie wieczory uczestnicząc w posiedzeniach Kółka Rolniczego „Jasna Przyszłość”. Kółko zajmowało się dyskusją nad referatami, które były przedstawiane w szklanych opakowaniach. Przed rozpoczęciem dyskusji Adamus podawał przewodniczącemu – Niechwiejowi Łaskawcy – główne tezy to znaczy „PP” czyli przezroczystość płynu i „ZZ” czyli zdolność żygania. Po zatwierdzeniu tezy odbywała się „dyskusja”. Pewnego wieczoru przedstawiono skromne opakowanie, które miał jak zwykle zaprezentować Adamus. Przyjrzał się dokładnie i zawyrokował: „Uryna Ryńa”. I rzeczywi-

ście miał racje. Do dyskusji nie doszło. Kurs się skończył a nawiązane wówczas przyjaźnie pozostały. Niestety niektóre trwały krótko. Koledzy jak Harski czy Andrzej Kamienobrodzki uczestniczą bezpłatnie w 50 leciu Koła przyglądając się imprezie z niebieskich połonin.

Po kursie jak to bywa w zwyczaju wiosną odbyło się „przejście”. Nasze prowadził Antek Osuch. Nie należało do tych wyryp obrośłych legendą. No i zaczęło się przewodnicze życie. Organizacja rajdów, turnusy, baza w Zagórze. Najśmieszniejszy był zimowy Rajd Świętokrzyski, który niezwykle starannie i autorytatywnie organizował Michał Ziębiński. Dopracowana w szczegółach impreza z przyczyn obiektywnych (kompletny brak śniegu) musiała zmienić charakter, ale plan został wykonany i stosowne trasy przebyte. Po tym rajdzie odbyło się Pierwsze Zimowe Akademickie Przejście Bieszczadów. Też z odpowiednią podbudową teoretyczną przygotowaniem dietetycznym (racje dzienne żywnościowe) oraz doбором odpowiedniego wyposażenia. Namioty Himalaya o wadze 8 kg każdy miały zabezpieczać zdrowy sen na wysokości, materace dmuchane wagi ok. 1,5 kg, i td. W rezultacie przypadało po 29 kg na osobę mienia wspólnego plus własne rzeczy osobiste. W przejściu uczestniczyło 7 osób. Ja byłam jedyną osobą płci pięknej, a że akurat *Dzień kobiet* wypadał, kiedy byliśmy w pobliżu sklepu koleddy obdarowali mnie półkilogramowym prezentem. Ale za to spałam w trzosobowym namiocie z Luckiem Siporskim i Krzysiem „Laleczką” (Dumałą). Trasa miała wieść z Komańczy na Halicz i jeszcze dalej. Z powodów znów obiektywnych mogła się jako narciarska rozpocząć w Smreku. Na górę Smerek jakoś wleźliśmy, ale pierwsze zjazdy spowodowały całkowitą awarię prawie wszystkich plecaków. Wtedy obowiązywały „tarnowskie” pierwsze znane nam modele ze stelażem. Niestety obliczone były na nieco mniejsze obciążenia zwłaszcza te dynamiczne, spowodowane nagłymi upadkami. Późną nocą dowlekliśmy się do chatki na Połoninie Wetlińskiej. Tam staraliśmy się maksymalnie zlikwidować obciążenie zjadając co się dało. Plecaki odrestaurowano za pomocą sznurków tak, że następnego dnia zjazd do Berechów nie spowodował awarii. Do Ustrzyk dowlekliśmy się starą drogą. Asfaltowej obwodnicy nikt sobie wtedy nawet nie wyobrażał. Wiosenne wezbrane potoczki nie ułatwiały tej podróży. Nie pamiętam czy założyliśmy bazę wysuniętą w Ustrzykach, ale na przełęcz pod Tarnicą dotarliśmy chyba w dwóch etapach. Zabiwakowaliśmy tam w naszych wspaniałych Himalayach i czyniliśmy wypadki na lekko po okolicy. A że była to akurat niedziela z Ustrzyk koło południa przybyli bez obciążenia na wycieczkę narciarską nasi znajomi już zasiedzieli w Bieszczadach Oldek Czczott i Remek Opacki. Nie zachwycili się naszą wyprawą w sposób oczekiwany i spadli szybko na dół, aby w poniedziałek zameldować się w robocie. Nam powrót do Ustrzyk zajął trochę czasu, ale się obyło bez większych przygód. Nie licząc sporów ideologicznych prowadzonych przez kierownictwo, czyli Michała i Andrzeja Smirnowa „Czarnego”.

Potem był jeszcze Rajd wiosenny też bardzo starannie przygotowany. Poprzedzony prelekcjami na tematy historyczne z dziedziny stosunków polsko-ukraińskich. Ślady po tych prelekcjach znajdują się w aktach IPN i świadczą o wszechstronnych zainteresowaniach niektórych uczestników. Rajd był dużym sukcesem organizacyjnym, przybył liczny tłumek z całego kraju. Dyplomy uczestnictwa stanowiły rysunki wykonane przez dzieci ze szkoły w Cisnej. Odbyła się akcja letnia, baza w Zagórze, turnusy bazowe i wędrownie. No i jesienią przeniosłam się na stałe w Bieszczady na siedem lat.

Początkowo mieszkalam w „Casablance” czyli obecnym Hotelu Energetyk w Myczkowcach, następnie dostałam mieszkanie w osiedlu eksploatacyjnym w Solinie. Wolne soboty wtedy jeszcze nie były znane, więc na chodzenie po górach zostawało czasu niewiele. Wyruszało się w sobotę po robocie, a w poniedziałek na siódmą rano należało podpisywać listę obecności. Autobus dojeżdżał

najdalej do Cisnej od strony Leska i do Czarnej od strony Utrzyk Dolnych. Mieliśmy ciężkie życie. My to znaczy mnóstwo młodych ludzi, których w Bieszczady wygnało z Warszawy i innych nizinnych okolic. Nikt nie umiał sprecyzować o co chodziło, wszyscy mieli dość miejskiej nudy. Zainteresowania zawodowe były drugorzędne. A mieszkaliśmy dość od siebie daleko. Od Turaszówki – Miśka, po Teleśnicę Oszarową (tam nauczycielką był Aśka Sielska z Lublina). W Sanoku sprzęt rolniczy badał w chwilach wolnych od zajmowania się nowopowstałym GOPR-em Oldek, w Lutowskich zamieszkiwała słynna rodzina Osieckich i Woj Wojciechowski. Później za budowę obwodnicy zabrał się Bronek Bremer z Wieśkiem Dziarmagą. W Lipiu uczyła Monika Godyńska, a w Ustianowej Remek Opacki. No a schronisko w Ustrzykach Górnych prowadzili Marysia i Kazio Hartmanowie i tam na ogół pojawialiśmy się co niedziela. Widywaliśmy się co najmniej raz na tydzień pokonując w różny sposób dzielące nas odległości. Po niedługim czasie prawie wszyscy nabyliśmy jednośladowe pojazdy, głównie marki WFM, a co ambitniejsi SHL. Parę dni temu byłam z wnukiem w Muzeum Motoryzacji i miałam okazję odświeżyć sobie wspomnienia o tych wspaniałych maszynach. Niestety zimą korzystaliśmy z firmy PKS, co w przypadku powrotu od Hartmanów wymagało wyjścia ze schroniska około godziny 23, aby dotrzeć na autobus do Czarnej odchodzący o 5 rano. I tą metodą każdy do swego miejsca pracy na 7 z trudem docierał. Stosunki w robocie miewaliśmy dość egzotyczne. Koledzy nie bardzo rozumieli po co się z tymi worami wólczyli jak nam za to nie płacą. A my znów nie bardzo rozumieliśmy jak można tego nie robić. Nad każdym z nas czuwało oko siły przewodniej, co w przypadku mojej budowy nawet było wyobrażone. Mianowicie na fundamencie dźwigu linowego górującego nad placem budowy był wyobrażony słynny afisz z młodzieńcem za kołem sterowym. Pod nim widniał napis „Wysiłkiem klasy robotniczej zamienimy siłę wody Sanu w energię elektryczną”.

Budowa początkowo rozkręcała się z dużymi oporami. Zmodernizowano najpierw stację kolejową w Uhercach, a robotnicy nazwali ją Wygnanka i tak chyba do dziś się nazywa. Tam odbywał się przeładunek cementu z wagonów do silosów i rozładunek wszystkich materiałów budowlanych. Z Wygnanki wybudowano drogę do Soliny przez Orelec i Bóbrkę. Powstało osiedle robotnicze i biurowce w pobliżu wsi Solina i osiedle eksploatacyjne w dole nad Łobozewką. Po zbadaniu możliwości wykorzystania miejscowych złóż kruszywa okazało się że nie jest ono zbyt odpowia-

Przejście bieszczadzkie po kursie w Szklarskiej Porębie, Cisna, maj 1958 r., fot. arch.



jące normom przewidzianym dla betonów hydrotechnicznych. Należało żwir płukać przed dostarczeniem go do betoniarni, a piasek dowożono z Huty Komorowskiej, aż z okolic Rzeszowa. Uruchomiono też kamieniołom w Bóbrce. Po tych czynnościach wstępnych i po wybudowaniu sieci dróg w rejonie przyszłej zapory przystąpiono do pierwszych wyłomów pod zaporę. Uruchomiono betoniarnię, powstało laboratorium betonów, zainstalowali się inżynierowie w biurach i powoli z ziemi zaczął się wyłaniać maszyn zapory. Sama budowla jest posadowiona na ławicy piaskowca wyjątkowo akurata w tym miejscu mocnego i mało spękanego. Ławica ta jest nieznacznie załamana, co spowodowało konieczność załamania w planie osi zapory. Zapora składa się z 43 pionowych sekcji, z których większość ma szerokość 15 metrów. W betonowym masywie znajdują się cztery galerie kontrolne, usytuowane od siebie w pionie co ok. 20 m. Z najniższej galerii były wykonywane iniekcje mające na celu zespolenie podłoża z korpusem. Komunikacja między galeriami odbywała się za pomocą schodów i dźwigów towarowych. Do przepuszczania wody przez zaporę służyły dwa denne upusty oraz cztery przelewy powierzchniowe. W sekcjach zapory w rejonie elektrowni zamontowano stalowe rurociągi doprowadzające wodę do turbin.

Bardzo powoli powstawała ta budowla, ale jak na tamte czasy specjalnych opóźnień nie było. Dla dostawy wyposażenia elektrowni produkcji czeskiej (wówczas czechosłowackiej) należało przystosować drogi dojazdowe. Mosty miały za małą nośność, wystąpiła konieczność wykonania specjalnego przejazdu przez San w rejonie Postołowa. Wybetonowano tam drogę i przeprawę przez rzekę koło mostu. Wszystkie elementy oraz beton były transportowane dźwigiem linowym obejmującym swoim zasięgiem całość budowy zapory i elektrowni. Było to duże przedsięwzięcie i wymagało sprawnej organizacji. Kadra inżynierska była na ogół niezbyt leciwa, kierownictwo na ogół miało staż na innych budowach. Należy przyznać, że do roboty podchodziliśmy z niemałym zaangażowaniem i zainteresowaniem, czując przy tym pewną odpowiedzialność za własne decyzje. Kluczowe etapy w trakcie budowy takie jak przełożenie koryta Sanu czy rozpoczęcie piętrzenia przeżywaliliśmy wspólnie bez przymusu. Nie mogło się w tamtych czasach obyć bez zakończenia jakichś etapów robót dla uczczenia np. 22 lipca, ale niezbyt się akurat tym wzruszaliśmy. Większość kadry inżynierskiej była oczywiście partyjna, co skutkowało koniecznością uczestniczenia w zebraniach, ale również dawało możliwość dostania talonów na nieosiągalne dobra głównie samochody.

Osobna kasta to byli robotnicy. W tym socjalistycznym ustroju nie dawało się zauważyć aby byli zbyt rozpieszczani. Mieszkali w wieloosobowych pokojach w oddzielnych blokach lub barakach. Na plac budowy dowożono ich ciężarówkami, podczas gdy panów inżynierów przewoził autobus. Budowa trwała nieprzerwanie cały rok na trzy zmiany. Betonowanie zimową nocą nie było bardzo przyjemne. Inżynier mógł sobie w biurze posiedzieć nie musiał przez 8 godzin tkwić na mrozie rozprowadzając beton. Przed każdymi świętami odbywało się ich „odpracowywanie” czyli nieprzerwana robota przez kilka tygodni również w niedziele. Po to by między Wigilią a Nowym Rokiem mieć wolne. Wtedy odczuwało się jak ważnym jest obowiązkowe świętowanie jednego dnia w tygodniu. Pod koniec okresu „odpracowywania” chodziliśmy wszyscy niezbyt przytomni i otepiali.

Mniej więcej równoległe z powstawaniem zapory w Sanoku powstawała Grupa Bieszczadzka GOPR. Organizowali ją ratownicy zakopiańscy Krzysztof Berbek, Gienek Strzeboński, Jerzy Szubert, Władek Roj, Józef Uznański i inne górskie znakomitości. Grupa tworzyła się z miejscowych zapaleńców pod dowództwem Karola Dziubana, do których dołączali się przyjezdni. Z warszawskich kręgów pierwszy był Czeczott, później wkręciłam się ja, następnie Bremerowie Miśka i Broniek. Ale my byliśmy też już miejscowi. Po paru latach nastąpiła inwazja SKPB i tak się jakoś

porobiło, że przepis o konieczności zamieszkiwania w rejonie działania grupy został pominięty. Na dyżurkach pojawiali się Jurek Korejwo, Wileńko Orsetti, Zośka Szajuk, Wiesiek Skubisz, Andrzej Matias, Witek Michałowski, Krzysiek Wojtas i pewnie jeszcze inni których nie bardzo pamiętam. Grupa się zaktywizowała, warszawiacy się zaznaczyli, ale nie wszyscy potrafili się zaaklimatyzować i większość po pewnym czasie zanikła. Niezłomny Wileńko trwa do dziś aktywnie uczestnicząc w pracach Zarządu Grupy. Ostatnio zyskał tytuł Członka Honorowego. Inni się kręcą jako weterani w stanie spoczynku.

Budowę zapory zakończono w 1968 roku mniej więcej równoległe ze niestawnymi wydarzeniami marcowymi. Nie dotrwałam do zakończenia i jako pani Czeczott powróciłam do stolicy. Wkrótce zjechali też Bremerowie, zaraz po tym jak Miśka udzieliła wywiadu do którejś z gazet pod hasłem „Za nic nie zmienię schroniska w Wetlinie na warszawskie M4” (przez parę lat prowadziła to schronisko, goszcząc między innymi kwiat polskiego dziennikarstwa i wielu przyszłych znanych opozycjonistów). Inni też się porozeżdżali po świecie.

Ale w Bieszczady wracamy, kiedy możemy. Przywoziliśmy tam dzieci, żyliśmy w kotłochozach pokazując potomstwu góry naszej młodości. Teraz powracamy z wnukami. Tylko nie przyswajamy jarmarcznej atmosfery na koronie zapory, tabunów odwiedzających chatkę na połoninie, płatnych drzwi do lasu i zatłoczonych parkingów.

„Beskidzkie panny” przed bramą UW, od lewej Olga Braniecka „Pepita”, Elżbieta Czuczęło-Skiba (Osuchowska), Marta Korejwo „Cinek”, Zofia Szajuk (Pietraszek), Wiesława Juśko (Watecka) „Wienia”, fot. arch.



Lesław Karst blacha 25

Dwa wspomnienia



Jak powstał pierwszy informator o Beskidzie Niskim w 1965 r.

Bieszczady owiane nimbem dzikości i niedostępności były oczywiście pierwszym rejonem naszego zainteresowania. Przybliżaliśmy je studentom w czasie wakacyjnych Akcji i jesiennego Rajdu. Przydzielony nam pod opiekę Beskid Niski był trochę zapomniany jako może za łatwy dla nas.

Z początkiem lat 60 następowało organizacyjne krzepnięcie koła. Umieliśmy już organizować duże imprezy. Bieszczady po kilku latach zostały przemierzone wzdłuż i w szerz. Uzyskiwanie państwowych uprawnień przewodnickich zmusiło do poszerzenia wiedzy teoretycznej i praktycznej o Beskidzie Niskim. Przyszedł wreszcie dobry czas dla Beskidu Niskiego. Podjęto więc decyzję o organizowaniu drugiego sztandarowego rajdu SKPB tym razem na wiosnę począwszy od 1965 r.

W kole jak zwykle nastąpił podział ról i obowiązków związanych z organizacją Rajdu. Mnie przypadła rola przygotowania informatora i załatwienia spraw niezbędnych dla jego wydania. Nie mieliśmy wtedy żadnych doświadczeń wydawniczych no i ograniczone środki. Zawartość merytoryczną rozdziałów opracowaliśmy sami na podstawie nielicznych przewodników i wydawnictw archiwalnych i lokalnych. Jak w każdym typowym przewodniku przewidzieliśmy część ogólną, opisy najciekawszych miejscowości, umieszczenie zdjęć, panoram, mapę Beskidu Niskiego i plan Bieszczad, gdzie planowane było zakończenie Rajdu. Jako motto zamieściliśmy wiersze M. Białoszewskiego i J. Harasymowicza związane z Beskidem Niskim Projekt okładki opracował nasz kolega Andrzej Matjas.

Technikę wydawniczą oparliśmy na dostępnej technice powielaczowej. Tekst był pisany na maszynie na „blachach” a druk, zszywanie i obcięcie wykonany w spółdzielni „Tekst”. Zdjęcia czarno białe wykonane były luzem i wklejane po wydrukowaniu. Podobnie wklejane były panoramki i mapa po wykonaniu oryginału na kalce technicznej i wyświetleniu na papierze światłoczułym.

Oczywiście każde wydawnictwo musiało być sprawdzone, zaopiniowane i dopuszczone do druku przez Departament Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki (kopia w załączeniu) i potem przez Biuro Kontroli Prasy i Publikacji.

Jakość tego wydawnictwa może nie była najlepsza co wynikało z dostępnej „metody chałupniczej”, ale wyszedł całkiem zgrabny mini przewodnik i nie musimy się go wstydzić. Stał się zresztą zaczątkiem działalności wydawniczej koła.

Jak zdobyłem „worek”.

Na początku lat 60-tych, w środowisku przewodników przejście „worka” było swego rodzaju nobilitacją, podobnie jak zdobycie ważnego szczytu.

Można było tam dojść pasmem granicznym od Rozsypańca, aż za Opołonek lub doliną Sanu. Były jednak pewne przeszkody. „Worek” był formalnie strefą nadgraniczną i znalezienie się tam

wymagało zgody WOP-u. Granica była pilnowana głównie przez pograniczników radzieckich. Istniał pas zaoranej ziemi z zasiekami z kolczastego drutu, ale zbliżał się on do granicy dopiero przy przełęczy Użockiej. Wzdłuż pasma granicznego położony był w dole, u jego podnóża od strony radzieckiej. Na górze Pliszka znajdował się ich punkt obserwacyjny skąd ścieżka na granicy (szczególnie ponad granicą lasu) była doskonale widoczna. Zdarzało się, że turnus, który się tam zapuścił był przechwytywany na dalszym odcinku w lesie i sprowadzany do strażnicy. Po przestuchaniach i decyzjach na odpowiednich szczeblach delikwenci byli odstawiani na polską stronę, ale już poza Bieszczadami i była to spora strata czasu.

Z kolei rejon Muczneho był tzw. „ostoją zwierzyny rządowej” pilnowany przez wojsko i praktycznie niedostępny dla turystów.

Pozostawał więc w miarę bezpieczny teren od przełęczy Użockiej wzdłuż Sanu do rejonu Bukowca. Parku Narodowego jeszcze wtedy nie było i przyroda się sama broniła. Oczywiście nie było żadnych dróg leśnych w tym rejonie. Zdobycie końca „worka” wymagało kilkunastu godzin marszu oczywiście na dziko.

Mnie również nie opuszczały ambicje pokonania „worka”.

No i wreszcie w 1964 r. prowadząc kolejny obóz wędrowny zaplanowałem to przejście bazując na biwaku na przełęczy pod Tarnicą. Rozbite namioty zostawiliśmy pod strażą 2 ochotników. Wyszliśmy ok. 4 rano. Mieliśmy sporo szczęścia bo szczyty pokrywała gęsta mgła. Pozwoliła nam ona na przejście granicą aż do Opołonka bez zwrócenia uwagi pograniczników. Dopiero przy przełęczy mgła ustąpiła i wyrzało słońce. Przy zasiekach stali pogranicznicy, ale szliśmy już w bezpiecznej odległości od granicy. Zastaliśmy tam całe tany dorodnych czarnych borówek i mieliśmy deser do posiłku. Przedzierając się dalej wzdłuż Sanu doszliśmy w rejon Bukowca a dalej ramieniem schodzącym od Halicza na główny grzbiet.

Na grzbiet doszliśmy już po ciemku. Nad głowami mieliśmy wspaniale ugwieżdżone niebo. Po „złapaniu” ścieżki grzbietowej powrót do namiotów na przełęczy pod Tarnicą był już przyjemnym spacerkiem w porównaniu z całodziennym przedzieraniem się przez bezdroża.

Uczestnicy obozu byli bardzo zmęczeni, ale i dumni że uczestniczyli w tej wyprawie, no a ja, że plan udało się bezpiecznie zrealizować.

Warszawa, dnia 12 kwietnia 1965 r.

MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI

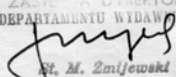
Departament Wydawnictw
 Nr
 DW-V-42/226/65

Zrzeszenie Studentów Polskich
 Rada Okręgowa

W A R S Z A W A
 Krak.Przedm.24

W załatwieniu pisma z dnia 5 b.m. Departament Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki uprzejmie komunikuje, że nie zgłasza zastrzeżeń w sprawie wydania **i n f o r m a t o r a** o Beskidzie Niskim w nakładzie 200 egz.

Do wiadomości:
 GUKPiW

ZASTĘPCA DYREKTORA
 DEPARTAMENTU WYDAWNICTW

 M. Zmijewski



Bronisław Bremer blacha 12

Pożegnanie



Gdyście odjeżdżali, dwunastogodzinna ulewa właściwie już się skończyła. Ziemią nadal jednak przytłaczały ciężkie, nabrzmiałe, granatowe chmury. Szyły nad Solinoką, przeciskając się między Czakowem i Kiczera, zasłaniając daleką bryłę Korbani. Rzeka, rozrosła w ciągu ostatniej nocy, toczyła z wielokrotnionie masy burej wody. Przywieźliście pogodę i zabieracie ją z sobą.

Rozstania w deszczu są podwójnie przykre. Zostawiają wrażenie jakiegoś skończonej beznadziejności. Zupełnie jak w tej piosence: „deszczyk pada, pustka w domu, nie pomoże nic nikomu”...

Starliśmy się odwlec chwilę pożegnania. Może i wy tak zupełnie cichutko liczyliście na to, że autobus ucieknie? A przecież w nielicznych wolnych godzinach, kiedy byliśmy razem, najbardziej pochłaniała nas lektura zeszytów tygodników. Zresztą to chyba stara prawda, że bardziej się odczuwa brak bliskich osób, niż ich obecność.

Szczęściem, znalazła się ta butelczyna albańskiego koniaku. Mieliśmy nim wypić strzemiennego — ale, co było do przewidzenia — nie wytrzymał. Gdy krew popłynęła trochę szybciej — wówczas „łysy” nas wyciągnął. Księżyc w pełni — śmieszny, opasty leniwiec. A jednak potrafił nas odmienić. Poszliśmy jak lunatycy na dach, a Tołsta miała być kalenicą.

Gdyśmy wychodzili, niby żartem rozglądałem się, czy przypadkiem ktoś mnie nie wypatrzy. Niby żartem, ale to wcale niełatwo przekonać ciekawskiego, że zupełnie normalny człowiek, który od szóstej rano ma poważnie pracować, może o dwunastej w nocy wybierać się na Tołstą. A zresztą skąd ta pewność, że jesteśmy zupełnie normalni? Normalni ludzie przecięli zboczce Tołsty tą niby-drogą, którą mozolnie wspinaliśmy się w górę, grzęznąąc po kostki w lepkiej mazi. Oni wiedzieli po co tam włąza.

Kochani leśni ludzie.

Dla nich piękny, rosty buk o fantastycznie poskręcanych dolnych konarach, o gładkiej i połyskującej w księżycowym świetle skórze, na której grają cienie guzowatych narośli, nie będzie obiektem ciełych zachwyty.

Dla nich to jest pewna kubatura drewna, składająca się na wysoki w Bieszczadach odsetek lasów przesztorębnych. Lasów ciągle zbyt trudno dostępnych.

Potem siedzieliśmy na ostatniej platformce wieży triangulacyjnej. Na szczęście nikt jeszcze nie zdążył przybić tu tabliczki; „wejście na wieżę wzbronione”. Nie musieliśmy zatem łamać przepisów. Zresztą przed zjawieniem się tabliczki wokół podstawy wieży zaczynają się gromadzić puste butelki, puszki po konserwach i inne odpady cywilizacji. Tutaj natomiast przedzieraliśmy się jeszcze przez dziewicze gaje pokrzyw i tarniny.

Siedzieliśmy zwrócenymi twarzami na południe. „Łysy” ulokował się naprzeciw, a dookoła rozpościerała się zamglona panorama. Raczej wyczuwalimy niż widzieliśmy dalekie, znajome grzbiety

i szczyty. Otryt, niepodobny do siebie w perspektywicznym skrócie, północne odnóża Wetlińskiej, Smerek, Połoma, Korbania i dziesiątki innych. Wszystko tonęło w seledynowej mgiełce. Był absolutny spokój.

Z tytu, za nami, mrugała światłami reflektorów Solina. Wielkie zbiorowisko normalnych ludzi – niektórzy wrócili właśnie z kina, z klubu czy kawiarni, inni śpią teraz pod wacianymi kołdrami, albo słuchają radia przed zaśnięciem. Pozostali nieustannie napełniają betonową mieszanką wielkie kubły kolejki linowej. Zapora wyszła z ziemi, w oczach pnie się w górę. Już niedługo spiętrzone wody Sanu i Solinki ukradną spory kawał starego krajobrazu. ,

Przed nami góry o zatartych konturach, pogłębione czernią nocy doliny i przebyskująca miejscami nitka rzeki. Cisza, spokój, ukojenie. To, co znaleźliśmy w Bieszczadach dziesięć lat temu, do czego wracaliśmy co roku.

Czyż mogłem wówczas opowiadać o tym, co zakrył przed nami przyjazny płaszcz nocy? O tym, jak wysoko podeszły uprawne pola, o nowej szosie, która niedługo przepołowi leżącą pod nami baśniową krainę? Najpierw została zarzucona pętla, teraz następuje ćwiartowanie. Chodziliśmy kiedyś dolinami Solinki, Hylatego, Smereka, Rabskiego czy Terebowca. Teraz wyją tam na wysokich obrotach silniki, a nogi grzęzną w rozrobionym błocie. Normalni ludzie wprowadzają normalne życie. Albo dolina Caryńczyka. Gdy podchodziłem nią pierwszy raz na Przysłup, ujrzałem wizję naszego spółdzielczego (!) rancza. Fakt, że to było bardzo dawno i marzenia były bardzo młodzińcze. Albo stara ustrzycka buda. W zimie śniegiem zawiewało przez szpary w ścianach, latem, leżąc na baranich skórach, które tam bacia przechowywał, można było przez dach liczyć gwiazdy na niebie. Prosiłem w ubiegłym roku Kazka, żeby pozostawił chociaż kamienny próg. Ale dla ilu ludzi byłby on pamiątką, a nie zawalidrogą? Teraz w normalnym, przyzwoitym, schronisku nocują normalni turyści. Gdy w milczeniu siedzieliśmy na triangule, czy myśleliście o tym samym?

Potem schodziliśmy nad Terkę, ale po wyjściu z lasu zalegliśmy powtórnie. Zatrzymała nas odkryta przestrzeń, na której jakby przyczytały się do skoku czarne sylwetki jałowców.

Ziemia była sucha i ciepła.

Leżąc na wznak, wyszukiwaliśmy znajome gwiazdozbiory. Gdzieś od Połomy dochodziło dalekie wycie wilka. W odpowiedzi wolnemu pobratymcowi ujadają w dole wiejskie psy. Może się odgrażały w bezsilnej złości tańcuchowych oportunistów? Gdzieś z bliska dobiegł nas chrapliwy pomruk jelenia. Raz, drugi. Czekaliśmy w napięciu. Może wyjdzie? Jeszcze jedno pożegnanie – z latem. Czuby brzóz już żółcieją. Buki, klony, jawory dołączają się wnet do malarzkiej orgii. Niebieszczej kulkę tarniny, nabraty rumieńców grona jarzębiny. Nabrzmiąte życiowymi sokami byki będą się snuły doliną Sanu w poszukiwaniu partnerek, lub rywala. Przyspieszający bicie serca ryk będzie rozdierał nocną ciszę. Może ten, na którego wyjście czekamy „padnie w ogień”, jak mawiają myśliwi? Przysporzy nam cennych dewiz, a pieniądź zawsze się liczy w normalnym gospodarstwie. Ciekawe, ile dostaniemy za tego pierwszego żubra. Licytacja pewnie będzie ostra. Może pięć, może dziesięć, a może pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Następne, być może, będą już tańsze. A miś z Otrytu?

Interes się rozwija. *It is wonderful! Exotisch!* Poczekajcie, już niedługo będziemy mogli poleżeć w cieniu dowolnie wybranej cerkiewki w supercerkiewnym skansenie w Smolniku. Za godziwą opłatą, oczywiście.

Nie mówiliśmy o tym wszystkim. Milczeliśmy wsłuchani w ciszę. Gdyśmy zesli w dolinę Solinki, wschodzące słońce różowito zbierające się obłoki. Po lasach niedźwiedzie kurzyły fajki. Opary dźwigały się w górę na deszcz.

Każda bajka się kończy. Nie chcę się przyrównywać do królewicza, ale tak jak on z nastaniem świtu zamienia! się bodajże w zieloną żabkę, tak na mnie czekała skóra normalnego człowieka. Takiego, któremu nie wylęgnie się we łbie pomysł nocnej wycieczki na Tostą.

Mijałiśmy rozkraczone w brunatnej glinie zwaliste cielska spychaczy. Zielone kabiny wywrotek potyskiwały kropelkami rosy. Za godzinę znów ważna będzie marka betonu, stopień zagęszczenia gruntu, wskaźnik piaskowy żwiru. Denerwować mnie będzie przedłużający się postój koparki z powodu awarii, opóźniające się dostawy materiałów. Będę zgrzytał zębami na widok turystów (może takich jak wy?), którzy Wykupią ostatnie bochenki, chleba w sklepie gminnej spółdzielni.

Burza z ulewnym deszczem nie będzie zachwycającym wyzwoleniem sił przyrody, lecz kłeską żywiołową, opóźniającą wykonanie planu finansowego i rzeczowego, budowę szosy, która wprowadza nowe, normalne życie. Ściąga osadników, sprowadza turystów, umożliwia eksploatację bogatych bieszczadzskich lasów.

„Ratio et emotio” (każda myśl wsparta łąciną robi wrażenie pogłębionej). Spięcie normalnej teraźniejszości z romantycznymi wspomnieniami i nierealnymi marzeniami.

Smutne było rozstanie z wami. Podwójnie przykre dlatego, że padał deszcz. I chyba dlatego, że pożegnanie z wami zawsze będzie pożegnaniem z częstką tamtych, naszych Bieszczadów.

Za rok, gdy wrócicie, samochodziarze będą docierali znów o kilka kilometrów głębiej w bieszczadzką knieję. Przybędzie traktorów, knajp, wufemek i domków campingowych. Granica ciszy i spokoju znów podejdzie o kilkadziesiąt metrów w górę.

Ale i dla nas jeszcze starczy miejsca. Gdy nas tysy znowu odmieni, odnajdziemy te Bieszczady, które są tylko nasze.

Przyjeżdżajcie.

Światowid. Magazyn turystyczny Rok XV nr 9 27.02.1966, s.7

Baza namiotowa na Tworylnem w 1965 roku, fot. L. Karst.



Wilhelm Ortt
Wawerska 35.
Osiedle Pąkajin 70

Zarząd Oddziału Międzynarodowego PTTK

Wawerska

Krakowskie Przedmieście 22/24.

Upojnie proszę o wycofanie jednego plecaka
z magazynu Oddziału Międzynarodowego do dnia 15.X.1966.

Wilhelm Ortt

Wawerska; 10. 11. 65.

Alkaphysz miłemu
Karłi do olud 31.11.65.
Jers. R. Ortt

Widziem i przysięgam
do wiadości
10-11-1965.



Jerzy Wicher z plecakiem „marzeń”, fot. arch.

Wilhelm Mieczysław Orsetti blacha 18

Epizod



Do Koła przyszedłem jesienią 1960 r. Panował tu niezwykle nastrój nieustannego działania, co zasadniczo kontrastowało z marazmem codziennego życia. W Kole był widoczny autentyzm, który odróżniał je od ówczesnego życia pełnego fałszu i pozorów.

Egzamin kwalifikacyjny na kurs zdałem zupełnie nieźle – pamiętam, że Krzysztof Błaszowski pytał mnie o Jurę Krakowsko-Częstochowską. W skład rocznika, o którym piszę, oprócz mnie wchodził: Marian Pyziel, Krystyna Hryniewska, Henryk Głowacki, Karol Truszczyński, Jan Banasiak, Zofia Szajuk, Elżbieta Misiak, Janusz Frydecki, Wiesław Skubisz, Elżbieta Skiba, Michalski (imienia nie pamiętam), Wiesław Świtek, Witold Michałowski, Aneta Michalunio, Andrzej Szalewicz, Jacek Krzyżanowski, Bronisław Bremer, Jan Kwiatowski i chyba Urszula Kańska – podaję w przypadkowej kolejności, tak jak sobie przypominam. W lutym 1961 r. pojechalśmy na kurs przewodnicki do Przesieki w Karkonoszach. Kursy te organizowane były wówczas przez Biuro Wczasów Podróży i Turystyki przy Radzie Naczelnej ZSP, „Almatorem” nazwane dużo później. Koncepcja kursów centralnych skutkowałą bliższym poznaniem i życiem tych środowisk, które związane były z górami. Myślę tu o środowiskach: warszawskim, wrocławskim, katowickim i krakowskim. Z kursu mam bardzo miłe wspomnienia, choć dyscyplina była wielka i czas był wypełniony całkowicie. Pogoda była wspaniała, nastroje również, a Karkonosze zimą – piękne.

Po powrocie do Warszawy Koło nas pochłonęło. Turystyka wyszła zdecydowanie na pierwszy plan naszego życia. Organizując imprezy każdy z nas ogromnie wiele się przy tym uczył i zdobywał różne umiejętności, które potem – a nawet teraz – stały się bardzo przydatne. Poznani wówczas ludzie okazali się być zawsze niezawodni i pomogli mi w życiu niejednokrotnie.

W maju pojechalśmy na Rajd Świętokrzyski, a stamtąd na przejście przewodnickie. Część bezpośrednio z Kielc w Bieszczady i grupa ta wiozła sprzęt biwakowy. Druga część jechała z Warszawy i wiozła wyżywienie dla nas wszystkich na czas około tygodnia. Mieliśmy się spotkać gdzieś między Komańczą a Jeziorkami Duszatyńskimi. Aura była raczej marna – akurat nastąpiło gwałtowne załamanie pogody i dotychczasowe przyjemne ciepło zmieniło się w mgłę, mżawkę i chłód a nawet mróz. Wyruszyliśmy z Komańczy. Rozpytywana ludność miejscowa twierdziła, że rano widziała grupę turystów na czerwonym szlaku. Mieliśmy nadzieję, że to nasi. Po nocy spędzonej w pociągu, po całym dniu marszu, bardzo zmęczeni i głodni, w środku nocy poczuliśmy zapach dymu. Jeszcze chwila i spotkaliśmy się. Gdyby tak się nie stało to „my” poszlibyśmy spać z pustymi żołądkami w nadmiernej liczbie namiotów a „oni” drzemaliby w deszczu przykryci puszkami konserw turystycznych, margaryną i słoikami dżemu (albo drżemu – tak jak to, przez wiele lat, widniało w menu gospody w Zagórzcu). Przejście, które prowadzili Grażyna Łoszakiewicz-Błaszowska, Andrzej Szczesniak i Roman Uhera było bardzo znojne. Pogoda przez cały czas była zimna, deszczowa i mglista, raczej kompletny brak widoczności, bardzo ciężkie plecaki z kiepskim i niesfunkcyj-



Maria Smirow „Marcysia”, Wilhelm Orsetti „Willi” i Andrzej Smirow „Czarny”, 1961 r., fot. arch.

nalnym sprzętem turystycznym (na szczęście część udało się wysłać z Cisnej do Warszawy), wszechobecne błoto, konieczność stałego przekraczania wiosennych potoków, noszenie zapasów żywności na wiele dni, brak dróg, mostów i komunikacji. Dlatego też słabo poznaliśmy teren. Ale nie było tak źle, bo były też uroki tych dni. Przejście skończyło się w Smolniku nad Sanem i wtedy, kiedy wyjeżdżaliśmy rozpogodziło się. W Bieszczady wróciliśmy parę tygodni później; tym razem na Rajd młodzieżowy i wówczas aura w pełni dopisała.

Akcja letnia była naprawdę duża. W ciągu lipca i sierpnia wychodziło 60 turnusów w Bieszczady i kilka lub kilkanaście w Beskid Niski. Oznaczało to, że były dni, w których startowały trzy obozy. W zasadzie wszystkie turnusy zaczynały się w Zagórzcu, więc na bazie był nieustanny ruch i turystów i przewodników. Były to turnusy wędrownie z pełnym sprzętem biwakowym, ale później organizowano również turnusy nocujące w bazach noclegowych nazwane kiedyś przez Zośkę Szajuk obozami samowędrownymi. Te pierwsze – cięższe i trudniejsze – były dla nas atrakcyjniejsze, bowiem organizacja życia turnusu nie była zakłócana przez czynniki zewnętrzne. Żywały one tak bardzo uczestników, że zdarzały się liczne przypadki (mniej również się to przytrafiło), że po zakończeniu uczestnicy odmawiali wyjazdu i koczowali na bazie w Zagórzcu jeszcze tydzień lub dłużej, ale już za własne pieniądze. Chodziło się, więc na kąpiele na Bednarzę, bo Ostawa była wówczas bardzo czystą rzeką, lub na spacer, np. na zamek Sobień.

W tamtych czasach, pomimo oddania do użytku obwodnicy bieszczadzkiej, występowały olbrzymie kłopoty komunikacyjne. Dostanie się do autobusu z turnusem było bardzo trudne. Autobusy były zawsze przepełnione i jeździły nieregularnie a kierowcy woleli brać ludzi miejscowych lub ogłaszali: „z plecakami nie biorę”. Stąd właściwie jedyna droga wyjścia z turnusem prowadziła przez dworzec kolejowy w Zagórzcu, obok którego widniał wówczas wielki napis RYTM KOLEI PULSEM GOSPODARKI. Jechano w stronę Komańczy, Beska lub Ustrzyk Dolnych lub wychodziło z Zagórzca na piechotę, aby dojść do Wetliny, Cisnej, Ustrzyk Górnych lub Berehów. Dość często chodzono dolinami rzek. Prowadziły przez nie stare drogi a same doliny, zupełnie niezniszczone, były przepiękne i kusity wspaniałymi propozycjami biwakowymi. Niestety, często i drogi i miejsca biwakowe były bagniste lub podmokłe. Tak było z bazą noclegową ZSP w Ustrzykach Górnych

w 1962 r., która, w połowie akcji, musiała być przeniesiona w inne miejsce z powodu pogrążenia się w błocie. Zresztą, kilkanaście lat później, przytrafiło się to również bazie harcerek w Ustrzykach Górnych. Łóżka zapadły się całkowicie w grunt i oparty się siennikami o nasiąknięte błoto. Ale, przecież chodziło się głównie na Połoniny. Wiodły na nie liczne, lecz nikłe i strome ścieżki. A tak jak i teraz ich szczyty dostarczały wspaniałych widoków, ale również niezwykłych ilości czarnych jagód. Turnusy to uwielbiały. Tamte miejsca zarosły dziś bujną trawą a i strażnicy parkowi nieco utrudniają stare procedery.

Trzeba też wspomnieć o niezwykłych relacjach między przewodnikami. Łączyła ich ogromna życzliwość, wielka przyjaźń i cechowała wielką słowność i rzetelność. Jeżeli ktoś coś obiecał to na pewno się ze zobowiązania wywiązał, choć nie zawsze punktualnie, bo marna komunikacja bardzo to utrudniała. Ale prawdziwymi trudnościami, z którymi musiano się uporać, była aprowizacja. Rzutowały one w wielkim stopniu na życie obozu. Sklepów było mało a towarów jeszcze mniej. Za to były ogromne kolejki. Zrobienie zakupów zajmowało ok. 6 godzin, a kupienie chleba nieraz cały dzień. Leżąc w rowie i czekając na przywiezienie pieczywa można było często obserwować, nawet krwawe, zmagania robotników leśnych z juhasami z pobliskich i dalszych bacówek. Zaczynali od piwa i dosyć szybko znajdowali powód do niezgody, kończący się rękoczynami.

Chcę jeszcze wspomnieć o trzech sprawach związanych z akcją. Lata były bardzo upalne, chyba gorętsze niż teraz. Aby zapewnić sobie marsz w nieco mniejszym skwarze wprowadzano tzw. „czas turnusowy” tzn. przesuwano wskazówki zegarków o dwie lub nawet o trzy godziny do przodu. Powodowało to, że kładliśmy się spać z zachodem słońca, a dyżurni wstawali przed trzecią. O czasie rzeczywistym trzeba było sobie przypominać tylko wtedy, kiedy chciało się coś kupić lub gdzieś pojechać.

Druga sprawa: to repertuar piosenek śpiewanych przy ogniskach. Poziom ten był beznadziejny – przeważały piosenki typu „Ghana”, „I słucha Waryński...” lub „Abecadło”, czyli: *Armia nasza jest zwycięska, Berlin miasto w gruzach leży, Cytra przyrząd to do grania, Deska przedmiot to kanciasty, Egipt jest krainą bajek,...* itd. Na dodatek okropnie fałszowano, a gitary nie były w modzie. Na piosenki nastrojowe trzeba było poczekać około 10 lat.

I trzecia: w Bieszczadach przebywało się przez cały lipiec i sierpień, a niektórzy nawet część września. Na ogół przewodnik prowadził dwa lub trzy turnusy. Resztę czasu spędzało się na bazach.

Tak było w lecie. Wiosną organizowano Rajd Bieszczadzki (lata 60 i 61) i Złazy Powitanie



Baza w Zagórzy 1961 rok, w środku stoi W. Orsetti, fot. arch.

Wiosny a od 1965 r. Rajd Beskid Niski. Jesienią odbywały się Rajdy Bieszczadzkie i Złazy Kampińskie. Były to imprezy bardzo liczne – często przekraczające 1000 uczestników.

Na nartach przewodnicy z Koła zaczęli jeździć dosyć późno. Kto miał sprzęt i umiejętności ten uczestniczył w imprezach AKN-u. W samym Kole imprezy narciarskie zaczęto organizować ok. 1965 r. i wśród nich wyróżnić trzeba coroczne obozy wędrownie. Przez wiele lat organizowała je Małgorzata Wicher, a instruktorem był Jurek Sadowski – „Gad”. Za ich przyczyną przemierzaliśmy, na nartach, prawie całe polskie góry – od Sudetów po Bieszczady.

Na początku lat sześćdziesiątych Bieszczady były niesłychanie modne. Przyjeżdżali tu turyści poszukujący uroków niezniszczonej przyrody i odpoczynku. Przyjeżdżali również ci, co chcieli tu pracować. Ludzie byli Bieszczadami urzeczeni. Ten pęd nie ominął również członków ówczesnego Koła Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych w Warszawie. W Bieszczady, do pracy, przyjechali Ewa Beynar, Michał Ziębiński, Broniek Bremer i Elżbieta Misiak. Przyjechał też Olgierd Czczott, który do Koła nie należał, ale był z nim związany poprzez udział w studenckim ruchu turystycznym.

Jesienią 1961r. powstała i zaczęła się organizować Grupa Bieszczadzka GOPR. Jej ratownicy często odwiedzali nasze bazy noclegowe. W Zagórzcu pokazywał się Adam Trebenda, nieodżałowany Andrzej Kurek zwany Duśkiem, Jerzy Batruch i nieco później Aleksander Żubryd a w Ustrzykach Górnych – trzech bracia Osieccy - Kazimierz, Tadeusz i Władysław oraz Kazimierz Hartman. Bazy odwiedzali też Ewa Beynar, Oldek Czczott, Remigiusz Opacki i inni. Tak jak to wtedy było, we wszystkich polskich górach, na goprowców patrzono z pewną zazdrością i podziwem.

Pierwszymi osobami z SKPB, które zostały przyjęte do Grupy Bieszczadzkiej GOPR byli Ewa Beynar (grudzień 1961) i Broniek Bremer (sierpień 1963). Oboje pracowali w bieszczadzkich przedsiębiorstwach – Ewa przy budowie zapory w Myczkowcach i Solinie a Broniek przy budowie tzw. „ciąciwy”, czyli szosy Hoczew – Czarna. W maju 1965 r. Naczelnik Grupy Bieszczadzkiej Karol Dziuban był zaproszony na zakończenie Rajdu w Beskidzie Niskim. To spotkanie doprowadziło do przyjęcia do GOPR, w czerwcu tego roku, kolejnych członków Koła. Byli to: Jan Banasiak, Janusz Frydecki, Andrzej Matias, Witold Michałowski, Wilhelm Orsetti, Władysław Polok, Wiesław Skubisz, Zofia Szajuk i Stanisław Szen.

W rok później, w lecie 1966, przyjęci zostali Jerzy Korejwo i Elżbieta Misiak-Bremer, czyli Miśka. Było nas wtedy już 13 osób z Koła. Jesienią 1969 dołączyli do nas Waldemar Ufnalski i Jan Nelken, a latem 1973 – Krzysztof Ohtarzewski. W 1978 przyjęci zostali Janusz Wójcik i Krzysztof Wojtas oraz, w 1979 – Jan Jabłkowski a dwa lata później – Zbigniew Kieras, który niebawem przeniósł się do Grupy Tatrzańskiej. Ostatnią osobą z SKPB Warszawa przyjętą do Grupy Bieszczadzkiej był Jan Bazyl Lipszyc – w 1983r. Do wymienionych osób dołączyć muszę jeszcze dwie, które nie były przewodnikami, ale były bardzo blisko związane z Kołem i studenckim ruchem turystycznym. Pierwsza to, już tu wymieniony, Oldek Czczott. Przyjechał w Bieszczady wtedy, gdy Grupa się tworzyła i odegrał w tym dziele wielką rolę. Był wiceprezesa Zarządu Grupy i członkiem Zarządu Głównego GOPR w Zakopanem. Druga osoba to Grzegorz Chudzik. Przewodnikiem też nie jest, ale całe lata, razem z Januszem Wójcikiem i innymi prowadził bazę noclegową ZSP w Ustrzykach Górnych. Od pięciu lat jest Naczelnikiem Grupy Bieszczadzkiej GOPR i jest to najlepszy Naczelnik od bardzo wielu lat.

Dodać trzeba, że w 1970 roku o przyjęcie ubiegali się jeszcze inni członkowie Koła, ale ich podania załatwiono odmownie, a jako uzasadnienie podano dużą odległość między terenem działania Grupy a miejscem zamieszkania kandydatów.



II Raid Bieszczadzki (wiosenny), Cisna-Majdan, od lewej Willi Orsetti w najstarszym typie koszuli przewodniczej, Jul Bystrzanowski, Małgorzata Vayhinger-Wicher, Ryszard Czuczetto, Wojtek Jezierski, Jan Kwiatowski.

Przyjęci do Grupy Bieszczadzkiej członkowie Koła razem z innymi ratownikami odbywali dyżury zimowe i letnie. Przede wszystkim w Ustrzykach Górnych i na Połoninie Wetlińskiej, ale również w Cisnej, Dołżycy, Wetline, Jaworcu i Łopienniku oraz dwóch dyżurkach namiotowych na Wielkiej Rawce i Tarnicy a ponadto przy wyciągach narciarskich w Iwoniczu, Ustrzykach Dolnych, Sanoku. Szczególnie lubiliśmy dyżury na Tarnicy. W pierwszym okresie, kiedy dyżurka była przy samym źródelku, to jest od roku 64, dyżury były dość ciężkie: w dzień piekące słońce i kompletny brak cienia a podczas deszczu – wszystko mokre. Podczas burzy i wietrznych dni trzeba było trzymać maszynę namiotu, aby go nie zwiało. Były też kłopoty z drewnem i wodą do picia. W książce dyżuru można przeczytać: „30. 07. 1967... wydajność źródła spadła do 1,5 l/min., ... 31. 07. – 0,5 l/min., 6. 09. – 1 litr na 4.5 min.”. Później, to znaczy w 73 r., dyżurka została przeniesiona na skraj lasu do dużego namiotu i wszystkie opisane problemy zniknęły. Lutek Pińczuk kiedyś przywiózł tu i zostawił „kozę” tzn. piecyk, na którym się gotowało, suszyło i który fantastycznie grał. Dyżury na Tarnicy były niezwykle: ewentualne niedogodności rekompensowane były pięknym i pustym przez większą część dnia krajobrazem, wspaniałymi wieczorami przy ognisku, łanami czarnych jagód i borówek. Rekordzistką w pełnieniu dyżuru na Tarnicy jest Ewka Beynar – 180 dni; Oldek Czeczott spędził tam 147 dni. Ja miałem 11 dyżurów – razem 100 dni.

GOPR zawsze wymagał od swoich członków wywiązywania się z obowiązków, jakimi było odbywanie dyżurów i czynny udział w życiu organizacji. Skutkowało to skreśleniami tych, którzy byli mało czynni albo ustępował im pierwszy zapal do ratownictwa i nie znajdowali w nim swego miejsca. Ci, którzy pozostali wykazali się na ogół aktywnością przez 20 lat i nawet dużo więcej. Te zasady dotyczyły również tzw. „Warszawiaków”. Z 23 osób z SKPB, którzy zostali przyjęci, do dziś pozostało 6: Ewa Beynar-Czeczott, Willi Orsetti, Elżbieta Misiak, Jurek Korejwo, Janusz Wójcik, Janek Jabłkowski oraz 2 spoza Koła: Koła Oldek Czeczott i Grzesiek Chudzik. Dwie osoby zmarły (Zosia Szajuk – w marcu 1988 oraz Bronek Bremer – w grudniu 1999), a jedna przeniosła się do innej Grupy. Pozostałe 12 osób zostało skreślone, w tym 7 w okresie stażu kandydackiego.

Przewodnicy z SKPB Warszawa nie byli jedynymi przedstawicielami turystyki studenckiej w Grupie Bieszczadzkiej. Od roku 1969 przyjmowani byli również członkowie innych Kół Przewod-

nickich. Z rzeszowskiego SKPB – 18, z lubelskiego SKPB – 6 i z krakowskiego SKPG – 2 przewodników. Łącznie od 18. 12. 1961 r. do 22. 10. 1993 r. – a więc w ciągu 32 lat – przyjęto 47 przewodników z Kół studenckich. Szesnastu z nich zostało do dzisiaj.

Trzeba spróbować ocenić rolę, jaką odegrali SKPB-owcy w Grupie Bieszczadzkiej GPOR. W 1965 r. Grupa miała 3 lata, była w fazie organizacji, stan osobowy był niewielki. Ratownikami byli głównie ludzie miejscowi – dobrzy narciarze (członkowie klubów sportowych), ale nie zawsze wytrawni turyści. Dobrych znawców terenu nie było wielu. Przyjęcie kilkunastu osób z Koła, znanych powierzchownie i zamieszkałych daleko od Bieszczadów związane było z pewnym ryzykiem. Ryzyko to GOPR podjął. Głównymi oświadcznikami przyjęcia nas na kandydatów byli Andrzej Kurek i Oldek Czeczott, czyli Prezes i Wiceprezes Zarządu Grupy. Udało się im przekonać do tego pomysłu pozostałych członków Zarządu to jest Karola Dziubana (Naczelnika Grupy) i Kazimierza Harnę (skarbnika) i przełamać początkową nieufność i rezerwę. To między innymi dzięki SKPB-owcom Grupa Bieszczadzka zawsze wypadła najlepiej na wszystkich kursach. Dobrze się też ułożyły sprawy pomiędzy nami a ratownikami miejscowymi. Z czasem osiągnęliśmy u nich pewną pozycję i autorytet. Oceniani byliśmy zawsze indywidualnie i nasze pochodzenie nie miało istotnego na to wpływu. Pokazywało się to szczególnie podczas wyborów do władz. Na ogół wybierani byliśmy bez trudu tam gdzie się zadeklarowaliśmy. W ciągu ostatnich 30 lat, na siedmiu wybranych Prezesów Grupy, trzech z nich to SKPB-owcy: Jan Jarośniński (Rzeszów), Wilhelm Orsetti (Warszawa) i Adam Sklepowicz (Lublin). Nie wtrącaliśmy się w sprawy ściśle ratownicze, ale mieliśmy wpływ na sprawy organizacyjne i na wprowadzenie zdrowych zasad funkcjonowania stowarzyszenia. Czyli tego wszystkiego, czego nauczyliśmy się w Kole. Reasumując: wpływ przewodników z SKPB był znaczny. Złożyły się na to m. in. następujące czynniki: stanowiliśmy dość dużą liczebnie grupę osób, która wniosła do GOPR istotne wartości; wartości te głosiliśmy śmiało, lecz nie nachalnie przez wiele lat.

Wydaje się, że GOPR i SKPB, działając w tym samym terenie i na niwie turystyki, powinny być organizacjami bardzo podobnymi. Rzeczywistość jednak udowodniła, że dzieli je wiele różnic. Zbieg okoliczności sprawił, że dwa młode organizujące się stowarzyszenia spotkały się i część ich członków udzielała się w obu. Okazało się to pożyteczne dla GOPR i SKPB. Wszystko działo się w miejscu niezwykłym, jakim były tamte Bieszczady. Jednak ta karta historii została zamknięta.

Moje refleksje adresuję do tych, którzy pamiętają tamte Bieszczady, aby mogli zestawić je ze swoimi wspomnieniami. Ale też do tych, którzy tamtych lat nie mieli okazji poznać. Nie pokazuję tu zbyt wielu szczegółów nie tylko, dlatego, że czas je zatarł, ale dlatego, że chciałem przedstawić pewne klimaty. To, co opisane jest dokładniej, zawdzięczam dokumentom zachowanym w GOPR.

Na zakończenie muszę podziękować Jankowi Jarośnińskiemu – pierwszemu Prezesowi SKPB Rzeszów, Prezesowi Stowarzyszenia Cywilnych Zespołów Ratowniczych z Psami STORAT, byłemu Prezesowi Grupy Bieszczadzkiej GOPR, oraz niestrudzonemu szperaczowi w starych dokumentach Grupy, za to, że udostępnił mi wyniki swoich poszukiwań archiwalnych. Dzięki jego pracy mogłem w tym opracowaniu umieścić tyle szczegółów.

Tyle moich wspomnień na temat przewodników SKPB w Górskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym w Bieszczadach oraz na temat ratowniczego epizodu w moim własnym życiu. Epizodu, który trwa już 42 lata.

Autor z czystej skromności o sobie pisze mało, więc redakcja zmuszona jest to nadrobić. Willi jest członkiem GOPR od 1965 roku, od 1978 roku nieprzerwanie członkiem Rady Grupy i Zarządu, dwa razy był wybierany na Prezesa, przez wiele lat pełnił funkcję zastępcy członka Zarządu Głównego, oraz przez 1 kadencję członka Rady Naczelnej. Zjazd Delegatów GOPR w dniu 9 grudnia 2006 roku nadał mu godność Honorowego Członka GOPR.



Jerzy Korejwo blacha 35

Przewodnicy z błękitnym krzyżem

Cztery lata dzielą daty powstania warszawskiego SKPB i Grupy Bieszczadzkiej GOPR. Aż cztery – czy zaledwie cztery?

Na przełomie lat 50. i 60. na południowo-wschodnim górskim skrawku Polski – od niedawna w nowych granicach – zaczęła kiełkować turystyka. Na opustoszałych wcześniej bezdrożach pojawili się ludzie z plecakami, a najbardziej zauroczeni bieszczadzką legendą tamtych czasów absolwenci stołecznych uczelni osiedlali się między Sanokiem a Czarną, dzieląc czas między trudne zajęcia zawodowe – i to, co chyba najbardziej lubili: górskie wyprawy. Nie bez znaczenia były tu zapewne dzieje i tradycja wcześniejszych polskich wędrowek po Karpatach Wschodnich, które i później ciągnęły warszawiaków w te strony.

Turystyczne zainteresowanie Bieszczadami dostrzegły – jak wynika z dokumentów – ówczesne władze PTTK, w którego strukturze działała wówczas również górska służba ratownicza. Dostrzegły, bo z jednej strony był to teren atrakcyjny, jak przed wojną Czarnohora i Gorgany – pozwalający rzucić okiem na polskie wcześniej szczyty. A z drugiej – przyciągający legendą „Dziżkiego Zachodu”, przypisaną mu w filmie („Rancho Texas”) i piosenkach tamtych lat.*

W 1961 r. powstała **Grupa Bieszczadzka GOPR**. Pierwsze szkolenia przeprowadzili i wspierali nowicjuszy na dyżurach ratownicy tatrzańscy, na czele z nieżyjącym już słynnym Eugeniuszem Strzebońskim. Doświadczonych turystów było wówczas w południowo-wschodnim krańcu Polski jak na lekarstwo... W niewielkiej liczbie osób, na które można było liczyć, znaleźli się przybysze z Warszawy – najpierw ci, którzy w Bieszczadach osiedli. Niebawem w ich ślady poszli inni, nieco młodszy, którzy korzystając z długich studenckich wakacji a później urlopów, dzielili czas między prowadzenie w Bieszczadach studenckich obozów czy baz nolegowych, a służbę ratowniczą. Dla jednych i drugich ratownictwo było logiczną drogą doskonalenia swoich górskich kwalifikacji i wykorzystywania ich „by nieść pomoc ludziom jej potrzebującym”.

Były to w Bieszczadach czasy pionierskie, tak w turystyce jak ratownictwie. Pojazdami używanymi w akcjach bywały, oprócz wysłużonej sanitarki marki „Warszawa”, furmanki, transport uszkodzowanych odbywał się w bambusach i toboganach, a wielokilogramowe ładunki do sezonowej dyżurki pod Wielką Rawką (tak, była taka!) targało się, rzecz jasna, wyłącznie na własnym grzbiecie. W dodatku GOPR pełnił wówczas w tym regionie funkcję specyficzną, zastępując odległe nieraz o dziesiątki kilometrów placówki służby zdrowia. Niesienie pomocy robotnikom leśnym, poranionym przy ścinie i zrywce drewna, ofiarom wypadków drogowych, knajpianych bójek, odbieranie porodów w osadach odciętych śnieżnymi zaspami od świata – to były realia codziennej ratowniczej służby tamtych lat.

Grupka ratowników ze stolicy doczekała się u swych bieszczadzkich kolegów żartobliwej nazwy „Podgrupa Mazowska” (wówczas były podgrupy, nie sekcje operacyjne, jak dziś). W dodatku

faktycznie na odrębnych zebraniach wybierała swoich przedstawicieli na Zebrania Delegatów GOPR. Od paru lat warszawiacy są rozdzieleni, wg własnego wyboru, do faktycznych, działających w Grupie sekcji operacyjnych.

Tych, którzy obok studenckiej przewodniczkiej odznaki nosili (i noszą) dumnie emblemat błękitnego krzyża, jest łącznie kilkanaścioro. Jedni są do dziś aktywnymi ratownikami, większość ze względu na wiek przeszła w tzw. stan pozastużbowy (są ratownikami GOPR, ale nie wymaga się już od nich pełnienia corocznych dyżurów). Kilkoro po złożeniu przyrzeczenia ratowniczego działało w Pogotowiu kilka lat, ale później zmniejszyli swą aktywność i zostali skreśleni. Byli wreszcie i tacy, którzy posmakowali „goprowania” przez rok-dwa i nie wyszli nawet z okresu kandydackiego.

Dwoje przedwcześnie odeszło na wieczny dyżur, na niebieskie połoniny. Na cmentarzach w stołecznym Wilanowie i podwarszawskim Konstancinie emblemat ratowniczego błękitnego krzyża wyróżnia mogiły Zofii Szajuk-Pietraszek i Bronisława Bremera. Co roku późną jesienią na ich grobach spoczywają gałązki bieszczadzkiego jałowca, przewiązane błękitną wstążką – znak pamięci... I co roku w Bieszczadach kolejne grupy ich młodych następców wypowiadają wtedy słowa:

„Dobrowolnie przyrzekam pod słowem honoru, że póki zdrów będę, na każde wezwanie naczelnika lub jego zastępcy, bez względu na porę roku, dnia i stan pogody, stawię się w oznaczonym miejscu i godzinie i udam się w góry, by nieść pomoc ludziom jej potrzebującym...”.

Sięgam po listę ratowników Grupy Bieszczadzkiej GOPR. Pierwsza „warszawska” pozycja – **Olgiard (Oldek) Czczott**. Zakochany w Bieszczadach świeżo upieczony inżynier rolnik osiedla się i podejmuje pracę w Sanoku, w Stacji Oceny Sprzętu Rolniczego. W wykazie bieszczadzkich goprowców ma numer 8 (rocznik 1961). Był wiceprezesem Zarządu Grupy w drugiej połowie lat 60. Wśród jego ratowniczych wypraw słynna była akcja w lutym 1967 r. pod Okraglikiem, po filmowców telewizyjnego magazynu „Tramp”. Zapis w ratowniczej Księdze Wypraw: „Poszkodowa-

Willi Orsetti, Marta Korejwo, Jerzy Korejwo, fot. arch.



ny Igor Z., lat 39, dziennikarz z Warszawy". Kręcili film, załamała się pogoda – mróz minus 25 st., wiatr, zadymka i w dodatku złamanie nogi. Ratownicy ściągnęli całą ledwie żywą ekipę, z połamanym na czele. Olgierd odnotował: „Śnieg był wysoki, miejscami zaspy powyżej pasa”... Wcześniej Oldek zapisał się w kronikach GOPR jako uczestnik pierwszej bodaj odnotowanej w Bieszczadach akcji lawinowej – 19 lutego 1964 r. na Szerokim Wierchu, kiedy to deska śnieżna zagarnęła 11 uczestników rajdu narciarskiego, w tym jego samego.

Ewa Beynar-Czczott, żona Olgierda. Córka znakomitego historyka Pawła Beynara – Jasienicy, inżynier specjalista od budowy i utrzymania zapór wodnych po Politechnice Warszawskiej, kilka lat spędziła w Bieszczadach, budując zaporę w Solinie. Na liście bieszczadzkich ratowników – numer 15 (rocznik 1961). Pamiętam, jak z mojego pierwszego bodaj „Dnia Ratownika” (to takie doroczne spotkanie sprawozdawczo-towarzyskie w GOPR) w Myczkowcach jechaliśmy do Ewy, do Soliny, chyba w kilkanaście osób rozklekotaną sanitarką marki „Warszawa”... Autorka znakomitej książki o swym ojcu.

Bronisław Bremer (w GOPR od 1963 r.), zginął w wypadku 8 grudnia 1999 roku. Uczestniczył w wielu akcjach ratowniczych. Inżynier drogowiec, po studiach na Politechnice Warszawskiej postanowił budować szosy w Bieszczadach. Jako wiceszef budowy „ciężwi” bieszczadzkiej, szosy Hoczew – Czarna, przez kilka lat nadzorował jej tworzenie ze Średniej Wsi, Wołkowyi i Bukowca. Odwiedzałem go często i sam nie wiem, czy więcej kilometrów zrobiliśmy, łącząc po Wielkiej Rawce i Dziale lub Tołstiej – czy po grząskim błocie, budowanej przez Bronka drogi. W Bieszczadach był postacią szeroko znaną i cenioną. Do tragicznej śmierci pracował w drogownictwie na stanowiskach dyrektorskich. Wszechstronnie utalentowany, pięknie śpiewał; autor nagradzanych tekstów literackich i dziennikarskich, wieloletni redaktor miesięcznika „Drogownictwo”.

Trzy lata później (choć razem, w 1966 r. złożyli ratownicze przyrzeczenie) wstąpiła do Pogotowia jego żona Miśka – **Elżbieta Misiak – Bremer**. Uczestniczyła m.in. w dramatycznej wyprawie w lutym 1978 r. po 21-letniego studenta Piotra U. z Łodzi, który, zjeżdżając samotnie zimą na nartach, a potem schodząc po nocy w głębokim śniegu z W. Rawki i Działu zamarzł 50 m od szosy na Berekach. Chłopak wyszedł z dziewczyną z Nasicznego, gdzie kwaterowali. Pokłócili się, ona zawróciła. Gdy nie pojawił się do rana, zawiadomiła GOPR (Piotr już wtedy nie żył). Zwłoki znalazła chyba właśnie Miśka. A ja do dziś pamiętam, jak z nadzwyczaj silnym kolegą ratownikiem wyciągaliśmy się nawzajem ze śniegu po pas, idąc po porzucony plecak nieszczęsnego turysty.

Z wykształcenia inżynier elektryk po PW, nauczyła najpierw w technikum elektrycznym w Turaszówce pod Krosnem, potem była majstrem na budowie drogowej bieszczadzkiej „ciężwi”, a jeszcze później prowadziła Dom Wycieczkowy PTTK w Wetlinie. Po powrocie do Warszawy zawód zmieniła diametralnie – od lat jest dziennikarką (m.in. „Super Express” i „Wprost”).

Zofia Szajuk-Pietraszek (w GOPR od 1965 r.), zmarła w 1988 r. Matematyczka, wykładowca Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Tatarniczka, alpinistka, członek Polskiego. Klubu Górskiego. Uczestniczyła w pierwszym polskim. trawersie obu wierzchołków Elbrusu (5633 m) na Kaukazie. W 1970 r. w czasie wyprawy PKG w Pamir jako pierwsza Polka przekroczyła wysokość 7000 m wchodząc na Szczyt Lenina (7134 m) - jej rekord przetrwał dwa lata. Z członkami tej wyprawy dokonała też pierwszych wejść na trzy szczyty we wsch. Pamirze: Szczyt Warszawa (6042 m), Szczyt Poronin (6205 m) i Szczyt Taty (6142 m).

Tego samego dnia, gdy Piotr – student z Łodzi ruszył po swą śmierć na Wielką Rawkę, Zosia wybrała się na samotną wycieczkę z Ustrzyk Górnych na Halicz – i zawróciła z Szerokiego Wierchu stwierdziwszy, że nie są to warunki na bezpieczną wędrowną. Ona, wytrawna alpinistka i ratow-

niczka, cofnęła się z trasy w jakże łatwiejszych od Pamiru Bieszczadach. Młody, niedoświadczony chłopak zginął.

Zośka uczestniczyła m.in. w 1976 r. w noworocznej akcji po ucznia z Leska, który podczas wędrowki z kolegami zasnął na Dziale. Sylwester to dla GOPR zawsze dzień wzmożonej czujności – zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce powitać Nowy Rok jakąś ambitną wyprawą. Ratownicy w asyście lekarza – męża Zosi przetransportowali chłopaka do Berehów, do sanitarki. Okazało się później, że miał guza mózgu i zmarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

Trzymam się chronologii, dlatego dopiero w tym miejscu wspominam, że najbardziej chyba znanym bieszczadzkiem ratownikiem w Warszawy jest **Wilhelm (Willi) Orsetti** (w GOPR od 1965 r.). W 2006 r. otrzymał najwyższe wyróżnienie Pogotowia – członkostwo honorowe. Wieloletni prezes i wiceprezes społecznych władz Grupy Bieszczadzkiej i członek władz całego GOPR, jest osobą wybitnie dla górskiego ratownictwa zasłużoną i powszechnie w Bieszczadach znaną – nie tylko z racji pełnionych funkcji, ale i akcji ratunkowych, w których uczestniczył. W Warszawie m.in. prezes Oddziału Międzuczelnianego PTTK, przy którym działało Koło. Dr inżynier, wieloletni pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej.

Nie raz mieliśmy razem dyżury. W stanie wojennym – pomnę – Willi w Ustrzykach Górnych skrupulatnie pilnował, by wopięci z Lutowski, wpadający stale na dyżurkę, żeby się ogrzać i napić, zamiast szukać wiatru w polu pod Semenową, deponowali swoje kałasznikowy do tzw. szafy wyprawowej, gdzie spoczywał sprzęt ratowniczy.

Jerzy Korejwo (w GOPR od 1966 r.). Uczestnik wielu akcji ratunkowych. Od kilkunastu lat czasowo mieszkaniem Roztok Dolnych k. Baligrodu, gdzie ma drugi, bieszczadzki dom. W warszawskim wcieleniu dziennikarz, m.in. wiceprezes PAP, z-ca redaktora naczelnego „Życia Warszawy” i Gazety Giełdy „Parkiet”. Wykładowca w Wyższej Szkole Dziennikarskiej im. Melchiora Wańkowi-cza w Warszawie.

Grzegorz Chudzik (w GOPR od 1978 r.) od kilku lat, po wygranej konkursie, z powodzeniem rządzi jako naczelnik Grupą Bieszczadzką. Uczestnik kilkudziesięciu wypraw ratunkowych. Studia ekonomiczne kończył w Radomiu, w Bieszczady się wzenił (mieszka w Czarnej), a jego wieloletnie związki z warszawskim SKPB pochodzą z lat, gdy razem z Januszem Wójcikiem prowadzili studencką bazę turystyczną w Ustrzykach Górnych.

Janusz Wójcik (w GOPR od 1978 r.) – wieloletni kierownik letniej bazy namiotowej w Ustrzykach Górnych, obecnie praktycznie mieszkaniec Wetliny. W warszawskiej wersji – inżynier, przez całe lata na stanowiskach dyrektorskich.

Z Januszem dyżurowaliśmy na Połoninie, gdy po niewielkiej burzy zawiadomiono nas, że piorun poraził chłopaka pod szczytem Wetlińskiej. Pamiętam, jak w ostatnim odruchu zabrałem „na wszelki wypadek” płachtę na zwłoki... Delikwent cudem boskim przeżył, a z wezwanego śmigłowca wysiadł w bujną trawę połoniny, dostarczając nam wiele uciechy, dyżurna pani doktor... w szpilkach! W mojej (pewnie i Janusza) pamięci pozostały buty-wibrany porażonego: rozerwana na zewnątrz skóra, jak po uderzeniu młota, znaczyła miejsce, gdzie „wyszedł” piorun.

Jan Jabłkowski (w GOPR od 1979 r.) – aktywny do dziś ratownik, wieloletni członek władz Grupy Bieszczadzkiej i całego GOPR. Uczestnik kilkunastu akcji ratunkowych. Dr inżynier, wieloletni pracownik naukowy Przemysłowego Instytutu Automatyki i Pomiarów, obecnie jego dyrektor naczelny. Poza tym spadkobierca założycieli słynnej kupieckiej firmy „Bracia Jabłkowscy”, walczącej od lat o jej odtworzenie i odzyskanie przynajmniej części zagrabionego w 1950 r. majątku. „*To pan jest synem Braci Jabłkowskich?*” – *upewnia się urzędniczka w magistracie, wspomina Janek we*



Kwiat przewodnictwa studenckiego, Marek Borkowski, Andrzej Maciejewski, ??, Witold Michałowski, Ewa Jańczak (Borkowska), Jerzy Korejwo (na ziemi), Bogdan Kołakowski, Ewa Piątkowska, (Kołakowska), przed rokiem 1965, fot. arch.

wstępie do świetnej książki swego ojca Feliksa „Dom Towarowy Bracia Jabłkowscy – romans ekonomiczny”. Na razie spadkobiercy odzyskali kamienicę w centrum Warszawy, przy ul. Chmielnej, obok Domu Towarowego; na obszernym podwórzu działa Galeria Jabłkowskich, ciekawy punkt na kulturalnej mapie stolicy. Tam odbyła się w 45-lecie Bieszczadzkiej Grupy GOPR, w 2006 r. warszawska promocja książki „Wołanie z połonin. Opowieści bieszczadzkich goprowców”. Stołeczne mieszczychy mogły podziwiać prastare i najnowsze zdjęcia z akcji ratowniczych – i samych ratowników, zjeżdżających na linach z wielopiętrowej kamienicy.

Zbigniew Kieras (w GOPR od 1980 r., od 1987 r. w TOPR). Alpinista, poszukiwacz przygód, m.in. uczestnik rajdu „Camel Trophy” w Ameryce Środkowej. W „cywilu” trener rozwoju osobistego, w ciągu kilkunastu lat pracy trenerskiej opracował i przeprowadził kilkaset szkoleń dla klientów korporacyjnych. Jako kursant SKPB zaimponował mi przed laty rozsądkiem, gdy na obozie szkoleniowym w Berehach postanowił sprawdzić realia zimowego biwaku przy silnym mrozie, układając się z karimatą i śpiworem w śniegu... 50 m. od ciepłego domu, gdzie nocowaliśmy.

Po kilka lat działali w naszej grupie przewodnicy z warszawskiego SKPB, którym sprawy zawodowe, bądź inne, nie pozwoliły podtrzymać ratowniczej aktywności, rozstali się więc z Pogotowiem. Byli to: **Andrzej Matias** i **Wiesław Skubisz** (obaj w GOPR od 1965 r.), **Krzysztof Wojtas** (w GOPR od 1978 r.) i **Jan Bazyl Lipszyc** (w GOPR od 1983 r.)

Garść wspomnień

Pamiętam mój pierwszy bodajże dyżur w GOPR - z Andrzejem Matiasem „Łysym” pod Tarnicą w siodle, przy źródleku, gdzie ledwie żywa zbieraczka jagód prosiła, by ją czymkolwiek nakarmić – a tydzień później na Połoninie, gdzie Lutek Pińczuk zostawił nas sam na sam z remontowaną chałupą i znikł z koniem na parę dni, by wrócić właśnie ze znaną nam już dziewczyną-zbieraczką jagód (Ulą, jego późniejszą żoną) w siodle.

Wcześniejsze wspomnienie to mglista, ciemna noc w Ustrzykach Górnych. Pierwsza połowa lat 60. Stary barak – schronisko PTTK (i dyżurka GOPR), a ja ze swoim studenckim obozem gdzieś w namiotach. Noc. W Terebowcu dziewczyna z ostrym atakiem kolki wątrobowej i dyżurna ratow-

niczka GOPR, Aśka Sielska, szukająca u nas wsparcia! Obudzony na polu namiotowym lekarz, oburzony, że ktoś mu śmie zawracać głowę na urlopie i jakiś turysta, kierowca gaza, który bez dyskusji ubiera się, uruchamia auto i wiezie delikwentkę do szpitala w Ustrzykach Dolnych.

Wówczas byłem tylko młodym, początkującym przewodnikiem studenckim. Takim właśnie „góralem spod Warszawy” – bo przecież w księgach wypraw bieszczadzkiego GOPR znajdzie się przynajmniej parę zapisów na temat akcji ratunkowych po ludzi, prowadzonych przez moich warszawskich kolegów – w tym po ich samych!!! Także zapisów tragicznych.

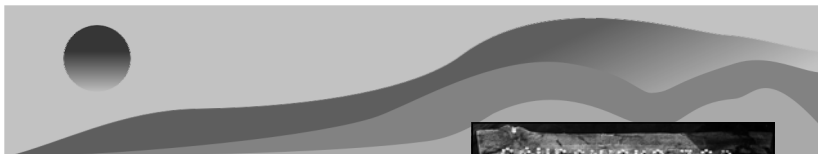
Gdy zostałem kandydatem GOPR, bardzo prędko poznałem różnicę między przewodnikiem a ratownikiem – i poznałem góry od zupełnie nowej strony. Rzecz banalnie prosta: gdy przewodnik idzie z ludźmi na kawę lub piwo, bo pogoda nie sprzyja wędrówkom – ratownik musi ruszać na szczyty, gdyż zazwyczaj właśnie wtedy ktoś potrzebuje pomocy. Dopiero wtedy zobaczyłem, co mogą góry, jak brnie się w śniegu po pas i idzie w huraganie na czworakach, przestaniając usta ręką, by móc oddychać. Tak – to wszystko w Bieszczadach, nie w Himalajach.

Z kolegami-przewodnikami z Warszawy wiąże się jeszcze jedno moje ratowniczo-historyczne wspomnienie. Końcówka sierpnia 1968 r., ja z kolegą w niewielkim namiocie-dyżurce przy źródle pod Tarnicą. Pogoda makabryczna – leje, wichura. Ale już po ciemku dociera z Ustrzyk grupka kolegów z SKPB, których naszła fantazja, by pożegnać się przed wyjazdem do stolicy. Ela Grajewska „Czarna”, chyba Adaś Gmurczyk. Jakaś kolacja, oni po północy znikają, by zdążyć na pierwszy autobus. Deszcz nadal leje. Walimy się spać – posprzątamy po gościach rano. A bładym świtem budzi nas warkot śmigłowca! Jedyna możliwość to ta, że nasz surowy naczelnik przyleciał na kontrolę, a wokół namiotu bajzel, że hej... Wypadamy na zewnątrz, by na tle błękitnego, o dziwo, nieba ujrzeć nad Rozsypańcem klucz trzech śmigłowców z czerwonymi gwiazdami! Tak objawiła się nam sowiecka „bratnia pomoc” dla krnąbrnej Czechosłowacji.



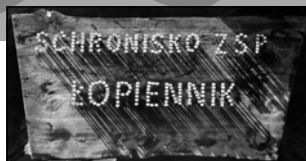
Goprówka pod Tarnicą (1967 r.), fot. arch.

*) Kto wie, kim był „Babcia” Pydziński? Jego nazwisko pojawia się w roku 1966 w księdze wypraw GOPR. Pomieszkiwał na Tworylnem w opustoszałym schronisku PTTK „Szept” – zrujnowanym drewnianym baraku nad Sanem, pozostałością po polskim westernie „Rancho Texas”. Zaprzyjaźniony był z SKPB-owcami, prowadzącymi w latach 60. wakacyjną tworylniańską bazę namiotową. „Babcie” (nie pomnę, skąd ta ksywa, miał wówczas ok. 40 lat) dopadło tam zimą jakieś straszne choróbko i półprzytomnego wywieźli w gorączce ratownicy, pod pistoletem (ratownika-oficera WOP) sprowadzając, a właściwie rekwirując sanie z koniami z Hulskiego. Ich właściciel znany był z tego, że na zrywce drewna konie, kupione zapewne gdzieś od polskich gospodarzy, traktował per „Wio, ty lachowski kurwysynu...” – co niosło się daleko po lesie...



Witold Cygan

Początek



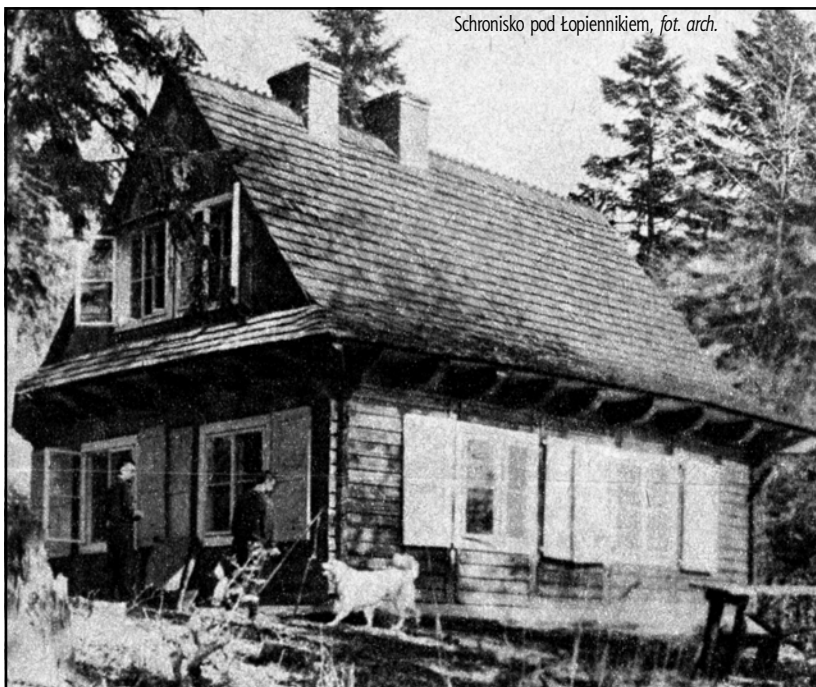
- Czerwiec 2007 – dzwoni telefon.
- Halo słucham?
 - Czy Pan Witold Cygan ?
 - Tak przy telefonie.
 - Pan był pierwszym kierownikiem Łopiennika?
 - Tak.
 - Czy mógłby Pan opisać początki schroniska, bo nikt tego nie wie. W październiku są obchody 50-lecia SKPB i opracowujemy monografię.
 - Skąd ten telefon do mnie?
 - Od Jurka Korejwy.
 - Spróbuję.

Siedzę zdziwiony i zaskoczony. Zaczynają wracać wspomnienia. Najpierw ludzie: Jurek Korejwo, Marta jeszcze nie Jego żona, Jul Bystrzanowski „Zielony”, Wanda Polakowska, Witold Bartol, Marek Borkowski z Ewą, Basia Jezierska, Rafał Łąkowski, Witek Michałowski, Jacek Krzyżanowski, Fregata (Barbara Walicka), Ewa Bejnar, Marek Kabziński, Józek Piorun, Ela Skiba, Jul Osuchowski, Krystyna Lady, Janusz Druzyski i wielu, wielu innych. Wszystkich Ich poznałem na Rajdach Świętokrzyskich, w czasie działalności w PTTK na Polibudzie, w R.O. ZSP i oczywiście na Łopienniku.

Jak się to zaczęło? A tak jakoś z przypadku. Ponieważ w 1964 r. przerwałem studia i nie miałem co ze sobą zrobić Jul Bystrzanowski zaproponował mi wyjazd w Bieszczady. R.O. ZSP dostała za symboliczną złotówkę, od PTTK w Lesku budynek po strażnicy OPL (Obrona Przeciwlotnicza) na Łopienniku. Prezesem był wtedy o ile pamiętam p. Lenart. Zaproponował on ten dom Radzie, która prowadziła w Bieszczadach studencką akcję letnich obozów wędrownych. Ja miałem ten dom obejrzeć i ocenić czy można tam zrobić schronisko studenckie.

Wybraliśmy się tam z nieżyjącym już Jackiem Krzyżanowskim zimą 64/65. Zabraliśmy ze sobą narty. Bardzo nam się przydały, gdyż śniegu było dużo, a dojście do domku leżącego na górze wśród lasu było trudne. Ja trochę przeceniłem swoje umiejętności narciarskie, ale i tak było dużo łatwiej, niż na piechotę. Drewniany budynek był zdewastowany, jednak wg nas można było go przygotować na najbliższy sezon letni do przyjęcia 20-30 osób, oczywiście w dość prymitywnych warunkach (brak wody, światła), wtedy to nie przeszkadzało. Dodatkową atrakcją była drewniana wieża obserwacyjna tuż nad domem z pięknym widokiem na całe Bieszczady. Z takimi informacjami wróciliśmy do Warszawy.

Wiosną 65 r. ze Zbyskiem Franzem pojechałem tam, już jako przyszły kierownik „Schroniska na Łopienniku”. Na początku zatrzymałem się w Dołżycy w szopie, w której przemieszkował



Schronisko pod Łopiennikiem, fot. arch.

Leon Kłosowski, który przywędrował ze Śląska. Razem z nim nocowali tam i inni. Z tego co pamiętam, był tam Piotrek Francuz nazwany tak, bo długie lata pracował we Francji, a nawet chyba tam się urodził. Bracia Majewscy też przybyli z Polski. Jeden z nich osiadł w Bieszczadach na stałe, ożenił się tam (byłem świadkiem na ich ślubie), teraz jest leśniczym. Mieszkając tam rozpocząłem remont. Zaproponowałem Leonowi, żeby pracował wraz ze mną. Było nas więc dwóch. Przenieśliśmy się na górę i zaczęliśmy od sprzątnięcia, wykopania wychodka. Załatwiłem drewno w pobliskim tartaku, cegłę, kafle, szyby, okna na strych. Problemem był transport. „Droga” którą można było dojechać bardziej przypominała dno skalnego potoku, niż coś do jeżdżenia. Zgodził się wreszcie wszystko to wywieźć koniem p. Micek, rolnik z Dołżycy. Było bardzo ciężko, ale udało się. Zaczął się remont podłóg, budowa pieca, kuchni, wstawianie okien. Przyjechały łóżka metalowe, materace, koce, trochę naczyń. Pracowaliśmy przy tym już we czterech, bo dołączyli do nas jeszcze dwaj studenci z Warszawy. Na parterze powstała sypialnia chyba dla 16 osób, kuchnia ze stołami do jedzenia (sami je zrobiliśmy, nogi były w kształcie niedźwiedzia) i pokój kierownika. Na strychu wygosparowaliśmy trzy pomieszczenia. Jedno z dwoma pryzkami na sześć do ośmiu osób każda i dwa pokoiki dwuosobowe. Przed wejściem powstało zadaszanie. Do źródła zbudowaliśmy (głównie Leon) 273 schodki, bo woda była dużo niżej, a podejście bardzo strome.

I się zaczęło. Leon został moim zastępcą – pomocnikiem. Dorobiliśmy się psa podhalańczyka. Niestety zszedł z kimś na dół i zginął pod samochodem. Później pojawił się drugi Dox, ale przechrzciliśmy go na Paradoks, ewentualnie Blondyn. Zaczęły przychodzić turnusy wędrownie, ale i wielu indywidualnych turystów. Niektórzy z nich np. trzy dziewczyny: Halinka, Marysia



W drodze na Howerłę, fot. Z. Pecul



Biwak w Górach Rodniańskich nad jeziorem Lala, fot. Z. Pecul



W górach Ciuk, Z. Pecul, Z. Tomaszewski, A. Wielocha, fot. J. Montusiewicz



Przez grzbiet Piatra Craiului, fot. arch.



W Górach Fogaraskich, w drodze na Moldoweau, fot. arch.



W Orșovie po zakończeniu wyprawy, Z. Pecul, J. Montusiewicz, A. Wielocha, P. Kurowski, Z. Tomaszewski, fot. arch.



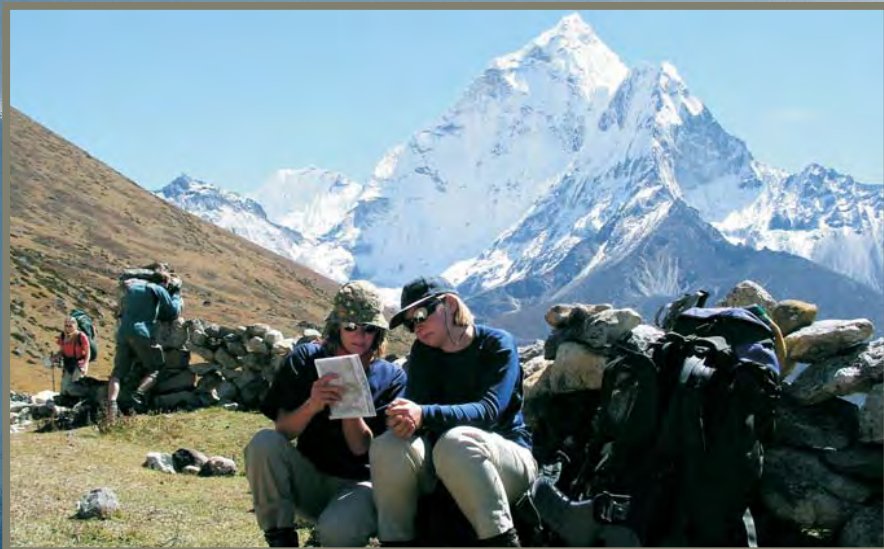
Kamczatka 2004. W drodze na wulkan Tołbacik, fot. P. Duma



Kamczatka 2004. Od lewej Agnieszka Skieterska, Krycha Kowalska, Zosia Kowlska, Maciek Godlewski, fot. P. Duma



W dolinie Khumbu. I. Nikiel, M. Hardej, P. Hofman, A. Załuga, M. Russyan, M. Grycz, *fot. arch.*



M. Hardej i A. Załuga, na drugim planie M. Russyan i P. Hofman, w tle Amadablam (6856 m), *fot. M. Grycz*



Obóz zimowy kursu 1992 r., fot. K. Feliksbrod



Podjeście ??, fot. ??



W Teodorówce koło Dukli pod Franków Wierchem Koło ma swoją własną chałupę, *fol. arch.*



Na przełomie 2006 i 2007 roku odbył się w niej pierwszy kotowy Sylwester, *fol. arch.*



Przejście bieszczadzkie 2000 r., fot. A. Skieterska



Przejście wiosenne 2001 r., fot. M. Badowska

i Krysia przysły tylko na jedną noc, a zostały dwa tygodnie. Przez jedną noc bawił u nas osiemdziesięcioletni pan, który dziennie przechodził ok. 10 godzin. Zjawił się u nas pisarz dysydent Paweł Jasienica z córką Ewą Bejnar i wielu innych np. obecnie znany dyrygent Jerzy Salwarowski, wtedy z obozem wędrownym studentów z Wyższej Szkoły Muzycznej z Krakowa. Tak było do końca wakacji. Później były okresy wielu dni bez gości, ale czasami zimą z pośród przyspanych śniegiem drzew wyłaniał się samotny turysta i już było z kim pogadać.

Fregata, która знаła operatora Zygmunta Samosiuka, ściągnęła go na Łopiennik z kroniką filmową (1B lub 2A z 1966 r.). Zjawił się na Sylwestra 1965/1966 i uratowali zabawę. Wysiadło radio bateryjne i nie było muzyki. A dla potrzeb filmu trzeba było tańczyć i tak już zostało do rana. I był to Sylwester przy śpiewanej muzyce. Ognisko pieczołowicie ułożone z mokrych gałęzi nie chciało się zapalić. Ale co to za trudność dla ekipy kroniki. Wsadzili do ogniska kilka świec magnetyzujących i już było po sprawie. Efekty widać było w kronice.

Później była Wielkanoc 1966 r. Przyjechali przewodnicy i zaprzyjaźnieni ludzie z Rady Okręgowej. Nawnosiliśmy z wielkim poświęceniem wody, podzieliliśmy się jajkiem, a w *Lany Poniedziałek* był wspianały *Dyngus*. Woda lała się wiadrami.

I nowy sezon letni, nowi ludzie, nowe znajomości i wiele powrotów już nie z turnusem, a indywidualnie. Było wiele ciekawych i wesołych chwil. Pamiętam jedną. Bezgwiezdna czarna noc, siedzimy w kuchni przy świecach, zaczęły się gadki o duchach, straszdyłach. Wśród nas były dwie dziewczyny. Opowiadania podkrecają atmosferę. Na zakończenie postanowiłem pokazać kilka sztuczek. Chwila przygotowań. Pogasiliśmy większość świec. Biorę szotkę i stawiam ją na trzonku, szotka stoi sama, a później zaczyna kiwać się na moje polecenie. Linka sama wiję się z podłogi aż do sufitu. Kilka sztuczek z kartami. Na finał dziewczyny wybrały jedną kartę z talii, jak dzisiaj pamiętam był to król kier. Talię włożyłem do kubka i *abra kadabra* – karta powoli wysuwa się do góry. Jest to karta wybrana przez te dziewczyny. W tym momencie pies leżący pod ławą zaczął popiskiwac, a w lesie poszczekiwał koziołek. Dziewczyny wpadły w panikę, wtuliły się

Wpis do księgi pamiątkowej schroniska pod Łopiennikiem

My, z Bożej łaski, Szefowa trupy piszcaków i fistulatorów krakowskich, stwierdzamy, co następuje:

Bywszy na wyjeździe u Baziej ZSP-owskiej naszej nie doznaliśmy niakiego 2tego traktowania ni przysia. Witotel Czarny, Pan na Łopienniku ukazał nam wszelkie delikcje u Bieszczadzkiej i czas nam umiał igraszkami swemi, co stwierdzając, użyci mienionemu tytuł honorowego członka cechu muzycznego, niebacząc na słuch Jego marny, dekretem nadaliśmy.

Dan na Łopienniku, 27 Augusta Roku Pańskiego Tysięcznego
dziesięcioletniego sześćdziesiątego ósmego.

Mante Galspurna

Spisał i z oryginałem sprawdził skryba Cechu

Ewa Frydrych
Ambrosy Samulski
Lopochowski
Jerzy Salwarowski

Slutaerue padeliodilisaq
i fotografalisyey jellere, adpocuz-
nalisuey borho i seluemetla-
oq joneie rdjseia i q ubaay
a ruythio b adue elobue.
Biskajeeuy!
Paweł Jasińczyk
3.8.1968

Wpis Pawła Jasińczyka do księgi pamiątkowej schroniska pod Łopiennikiem

w siebie i nie chciały się puścić. Baliśmy się, że trzeba będzie je wieźć do lekarza. Zacząłem tłumaczyć, jak zrobiłem te sztuczki i dopiero po długim czasie udało się je uspokoić. Ale ja nie mogłem ich dotknąć, a w dodatku kiedy jedna z nich chciała iść do wychodka, trzeba było jej towarzyszyć ze świecą magnezjową i stać na wprost nie zamkniętych drzwi. Tak upłynął drugi rok na Łopienniku.

Po drugim upojnym Sylwestrze rozstałem się ze schroniskiem, zostawiając na moim miejscu Leona. Wyjechałem do Warszawy, czego później nie raz żałowałem.

Schronisko pod Łopiennikiem, fot. arch.



Barbara Walicka „Fregata” blacha 64

Późną jesienią



Późną jesienią ubiegłego roku ruszyłam pod górę ścieżką: znaną kiedyś na pamięć, prawie co do kamyczka. Buki porastające zbocza ogarniała purpura. Szłam w gorzkawym zapachu schnących liści. W powiewach ciepłego wiatru. To była moja sentymentalna pielgrzymka do miejsca, gdzie – wtedy jeszcze i piękni, i młodzi – odkrywaliśmy urodę świata, znajdowaliśmy potwierdzenie wyższości pejzażu październikowych Bieszczadów nad jakimikolwiek innymi krajobrazami.

A było tak:

Związek Studentów Polskich zakupił – bodaj za przysłowiową złotówkę – drewniany budynek sprzężony z wojskową wieżą obserwacyjną na zboczu Łopiennika. Witek Cygan, pierwszy gospodarz tej siedziby, bohaterko stawiający czoła problemom związanym z remontem, chciał latem 1967* ruszyć na miesiąc w jakieś grotty, a ja – wtedy jeszcze całą gębą Fregata – z radością przystałam na to, aby go na czas urlopu zastąpić. Nie mając, rzecz jasna, błędnego pojęcia o sekretach układania podłóg, gontów i stawianiu pieców kuchennych. Ale jako przewodnik z SKPB nie znałam przecież granic ni kordonów. Cygan przekazał, co miał mi do przekazania, uściślił serdecznie, chwycił plecak i tyle go widziałam.

Zostałam na placu boju w znakomitym towarzystwie trzech, nieco zarośniętych, facetów: Leona Kłosowskiego, zwanego Leonem, Władka – nazwiska nie pamiętam – najczęściej określanego mianem „Kłusownika” i Piotra Adamskiego, czyli legendarnego „Piotra Francuza”. Dach powinien być ułożony, piec zbudowany, pryncze gotowe natychmiast albo jeszcze szybciej, bo zgodnie z centralnym grafikiem niesłychanie ważna grupa turystów – bodaj studentów z NRD – miała przybyć na nocleg za jakieś dwa tygodnie.

Podział obowiązków dokonał się w sposób naturalny: chłopcy do młotów, pił i siekier, a baby do garów. Zabawa była świetna: gotowanie strawy odbywało się na ognisku przy ograniczonej ilości gospodarskich udogodnień, co zresztą nie hamowało, a wręcz stymulowało pomysłowość. Pamiętam, jak smażyłam naleśniki, wlewając ciasto na trzymaną obcęgami dużą, mocno rozgrzaną, metalową pokrywkę. Pamiętam, jak Henia – wtedy jeszcze Godziszówna – dosłownie w ostatniej chwili uratowała pewną ropuchę, która chciała popełnić samobójstwo skacząc ze skarpy do garnka z zupą pomidorową z kluseczkami. Pamiętam, jak z Marylką Niewitecką w wielkiej tajemnicy, ukrywając się na strychu produkowałyśmy tort, mający uświetnić uroczystość inauguracji schroniska. Składał się z pokruszonych na mączkę herbatników, utartych z jajkami, margaryną i jakąś galaretką owocową. Ozdobiłyśmy go ubitą na sztywno pianą, posypaną obficie czarnymi jagodami. Wyglądał wspaniale. Jednakże w twórczym zapale nie wzięliśmy pod uwagę, że nasz znakomi-

*) budynek przyszłego schroniska został zakupiony w 1965 roku – przyp. red.

ty, ułożony na desce produkt o wymiarach 50x120 cm nie przejdzie przez otwór, którym jeszcze w tamtych czasach obie kursowałyśmy swobodnie między parterem, a stryżkiem. Tu jednak przydała się wiedza z zakresu historii starożytnej, a w szczególności sposób zastosowany przez Aleksandra Wielkiego wobec węża zwanego gordyjskim: tort, przecięty na trzy części, został przesłuzowany przez otwór i przed podaniem połączony w jedną, imponującą całość. Przed przystąpieniem do uczty odbyło się przecięcie wstęgi. Z uwagi na znany wszystkim cechujący go znakomity apetyt, przecięcia sznurka pełniącego rolę owej wstęgi, dokonał Jacek Krzyżanowski. Który już nie żyje. Cześć jego pamięci.

Trudno mi pisać o schronisku na Łopienniku w sposób uporządkowany: wspomnienia się krzyżują, rozwidlają. Różne wydarzenia rozbłyskują nagle w pamięci, wyruszają się wedle własnego, niezbyt oczywistego dla mnie kodu.

Nic nie poradzę na to, że w galerii portretów gospodarzy tej siedziby, teraz widzę drugiego po Cyganie „kierownika” – wspomnianego już Leona – w dużej, oświetlonej lampą naftową izbie, pochylonego nad książką. Leon nie miał matury. Dużo czytał. Fascynowała go historia. Leon też już siedzi u Pana Boga za piecem.

Widzę, jak w tej samej izbie, następny po Leonie „kierownik Łopiennika”, poeta Olgierd Łotoczko, przy pięknym, masywnym stole, który zawsze nazywał „huculskim”, wiedzie spór z jakąś oporną metaforą. Zapamiętałam słowa, jakie wypowiedział, gdy szliśmy kiedyś na grzyby w stronę Łopienki:

– Wszystkie drzewa w lesie są moimi braćmi.

Olgierd też nie żyje. Odpłynął na zawsze wielką rzeką, Gangesem.

Wśród scen mających za tło polanę przed drewnianą chatą, widzę, jak niewielkiego wzrostu i nieco łysawy pan Michał Smólski z Zagórza, zapalony krajoznawca i gorliwy turysta, wyciąga z plecaka słoiczek marynowanych prawdziwków, mających uświetnić sylwestrową ucztę *Anno Domini* 1967. Widzę zaspę śniegu, przez które z pochodniami w rękach przedzieramy się w dół, do Dołżycy, aby przy nieprzytomnie rozpedzonej harmoszcze tańczyć z drwalami i jagodziarzami.

Podeszwy moich ukochanych wibramów, kupionych w Sanoku w sklepie GS czterdzieści lat temu, już dawno zdeptały się do cna. Ślady po schronisku na Łopienniku zarosły. Spłonął drewniany dom, który dla wielu był tym jedynym, niezwykłym, magicznym miejscem, przyciągającym jak magnes.

Siedząc tak jesienią zeszłego roku wśród chaszcy, pomyślałam, że wprawdzie chaty już nie ma, ale magnes wciąż jeszcze działa.

A echo powtarza:

– Przygodo, przygodo... Hej...



Szymon Wdowiak

Akademicy zapraszają na Łopiennik

Na Łopienniku zupełnie jak w leśniczówce Pranie:

*„We wszystkich pokojach
Naftowe lampy płoną
A cienie od rogów jeleni
Rozrastają się*

w nieskończoność...”

Rogi razem z czaszką jelenią (wspaniała dziesiątka!) znalazł w gąszczach pod Durną Górą Przemek Piłach, znany bieszczadzki łazęga. No i wiszą rozłożyste jelenie rogi, rzucając ogromne cienie na drewnianą ścianę Łopiennika. Zeszcłego chmielu tylko na nich brakuje... i pudła po *maggi* pod lampą naftową, żeby wszystko było tak jak u Gałczyńskiego... Pod kuchnią trzaskają buczynowe polana. No i oczywiście gitara: „brzdąk, brzdęk”. Wiara siedzi rzędem na drewnianych ławach. Jedni grają w brydża, inni śpiewają w rytm strun gitary.

Leon Kłosowski, który wraz z Witkiem Cyganem gospodarzy – w chacie, zagląda do wiader z wodą – oba puste.

– *Hej, towarzysze, maleńki „marynarz” – trzeba iść po wodę!* – wznoszą się w górę palce: raz, dwa, trzy... jedenaście... Nieszczęsny „marynarz” brzękając kubłami wychodzi w mrok. Za nim zrywa się spod stołu wielkie białe psisko, owczarek Doks.

– *Żeby go tak nauczyć wiadra dźwigać* – wzdycha ktoś. Wodę bowiem nosi się z daleka, po stromych schodach. A wielki Doks na ochotnika towarzyszy nosiwodom.

Na kuchni w wielkim garnku gotują się „czterojajeczne kolanka”. Olbrzymi czajnik zawodzi swoją żafosną pieśń. Zza stołu wtóruje mu gromadka obsiadła wokół gitarzysty.

Hej, Bieszczady! Hej, Bieszczady! Trza paść krowy, nie ma rady.

Pamiętacie może noworoczną kronikę filmową 2b /66 – „Schronisko w Bieszczadach”? Wesoła brać studencka z płonącymi pochodniami, ośnieżone gałęzie świerków i mała drewniana chatka. A potem fantazyjny polonez w jej wnętrzu, na kilku metrach kwadratowych podłogi. To właśnie Łopiennik – schronisko studenckie pod opieką ZSP.

Bieszczadzcy bywalcy od dawna znają tę chatę. Położona jest na stromym szczyku, ok. 30 min. drogi czerwonym szlakiem z Dołżycy na szczyt Łopiennika. Postawili ją kiedyś na solidnych betonowych fundamentach żołnierze ochrony pogranicza. W takich właśnie budynkach powstało znane schronisko w Ustrzykach Górnych. Łopiennik na zagospodarowanie czekać musiał 8 lat. Tymczasem, zaznaczony na mapach turystycznych jako schron nie zagospodarowany, niszczał z roku na rok coraz bardziej. Zagospodarowanie chaty przekraczało znacznie możliwości jego gospodarza, niewielkiego Oddziału PTTK w Lesku. Pod opiekę studentów Łopiennik dostał się

dopiero w ubiegłym roku, kiedy to kilku zapaleńców z Beskidzkiego Koła Przewodników zdołało przekonać odpowiednie władze ZSP o celowości przedsięwzięcia. No, bo Oddział w Lesku wydzierżawił akademikom domek pod Łopiennikiem dosłownie za symboliczne złotówki (120 zł rocznie).

Remont i adaptacja, przeprowadzone gospodarczym sposobem rękami studentów, przeważnie członków Przewodnickiego Koła, kosztowały stosunkowo niewiele – 50 tys. zł. Pierwszym turyści zawitali tu 22 lipca 1965 r. Od tego czasu z gościny na Łopienniku skorzystało już przeszło 1000 osób.

Schronisko jest niewielkie. Jedna sala ogólna na dole i kilka mniejszych pokojków na pięterku. W sumie trzydzieści miejsc (rekord padł we wrześniu – 80 osób nocowało w schronisku w czasie jednego ze studenckich rajdów). Opłata za nocleg też niemal symboliczna – 7 zł studentowi i 10 zł inni za łóżko i koce bez pościeli oraz odpowiednio 10 i 15 zł z pościelą. Wstęp wzbroniony tylko dla wygodników, dla których schronisko jest nic niewarte, jeżeli nie ma w nim takich samych wygod, jakie wczoraj jeszcze zostawili w swym miejskim domu: ciepłej wody, kaloryferów, gazu i elektryczności. Nic tu po nich, niech jadą na Kalatówki.

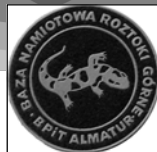
Na Łopienniku wieczorem płoną naftowe lampy, drewno na opał zbiera się w lesie i rąbie przed chatą. Wodę nosi się ze źródła. Dla młodych to wielka frajda. Jeżeli komuś z oldboyów to odpowiada, akademicy serdecznie zapraszają. Schronisko otwarte jest cały rok. Dojazd PKS-em do Dołżycy.

Zimą na polankach pod Łopiennikiem świetne warunki do nartowania. Śnieg leży tu do Wielkiej nocy. W tym roku Łopiennik stanie się jeszcze bardziej atrakcyjny, bo – jak uroczyście zapewnił w Lesku na zakończenie VI Studenckiego Rajdu sekretarz Powiatowego Komitetu PZPR, tow. Ciombor – zostanie tu uruchomiony narciarski wyciąg. Wyciąg budują w czynnie społecznym mieszkancy niedalekiej Cisnej. Urządzenie zakupiono z funduszków POSTiW. Będzie prowadził od hotelu POSTiW w Dołżycy (200 miejsc przez cały rok) na stoki Łopiennika.

Światowid. Magazyn turystyczny, Rok XV nr 49, 4.12.1966

Na rajdzie narciarskim, fot. arch.





Studenckie Bazy Namiotowe

Od samego początku swojej działalności Koło organizowało w Bieszczadach i Beskidzie Niskim studenckie bazy namiotowe. Służyły one przede wszystkim prowadzonym przez naszych przewodników obozom, ale także indywidualnym turystom. Pierwsze bazy powstały w Zagórzu i Ustrzykach Górnych jeszcze pod koniec lat pięćdziesiątych. W Bieszczadach przez szereg lat działało rok w rok od 12 do 14 baz namiotowych dysponujących ponad 400 miejscami noclegowymi. Choć w Kole istniało przekonanie, że przewodnicy powinni prowadzić obozy, a nie bazy, jednak wielu przewodników (szczególnie w wieku postudenckim) takie bazy prowadziło. Bazy istnieją do dnia dzisiejszego. Obecnie studencką bazę namiotową Koło prowadzi w Regetowie.

A oto próba (z pewnością ułomna) stworzenia listy tych wszystkich miejsc, w których członkowie naszego Koła prowadzili bazy namiotowe:

- Barwinek** od 1974 do 1975 r., 60 miejsc, stanowiła punkt startowy dla obozów na Słowację;
- Berehy Górne** baza położona na lewym brzegu Prowczy, istniała od 1976 r., do 1987 r., 30 miejsc;
- Cisna** w 1974 na prawym brzegu Solinki, kilkaset metrów w dół rzeki od motelu;
- Horodek** w 1974 r. 30 miejsc, nad potokiem i Zalewem, przy drodze do Zawozu;
- Komańcza** najpierw była baza namiotowa, w latach 1972-1973 r. schronisko, które w nocy z 21 na 22 marca spłonęło w wraz ze złożonym w środku sprzętem na bazy; po likwidacji bazy w Prętukach, ponownie baza namiotowa przy czerwonym szlaku do Prętuk w latach 1981-87;
- Krywe** baza istniała do 1980 r. na łące pana Sokołowskiego;
- Łopiennik** od 1965 r. schronisko, od 1974 r. w trakcie remontu schroniska baza namiotowa na 30 miejsc, do pożaru w 1977 r.;
- Łubne** a właściwie Kołonicze, od 1974 r. do 1980 r., 25 miejsc;
- Maniów** w 1977 r. 30 miejsc, w budynku dawnej leśniczówki w dolinie Maniówki;
- Muszyna Złockie** baza na prawym brzegu Szczawnika, na wysokości przystanku PKS Złockie Szkoła, istniała od 1976 do 1981 r., spełniała rolę bazy dla obozów startujących na Słowację, 30 miejsc;
- Nowa Wieś** koło Dukli, baza istniała w drugiej połowie lat sześćdziesiątych;
- Otryt Górny** baza przy schronisku istniała od 1974 r. do 1982 r.(?), 20 miejsc;
- Paniszczów** baza istniała od 1980 r. (?) do 1985 r., 20 miejsc;
- Prętuki** od 1974 r. do 1981 r., 30 miejsc;
- Procisne** istniała w 1981, w dół Sanu, na jego lewym brzegu;
- Regetów** baza istnieje od 1992 roku do dnia dzisiejszego;
- Roztoki Górne - Kiczery** od 1976 r. do końca lat osiemdziesiątych;
- Smerek** baza na łące poniżej dawnego przystanku ciuchci, od 1965 r. (wcześniej w Wetlinie), 50 miejsc, w 1975 r. przekazana środowisku lubelskiemu).
- Solinka** w 1974 r. 25 miejsc, nad Solinką, 500 m na pd. od stacji kolejki;



Leśław Karst (siedzi pośrodku) ze swoim obozem na bazie w Ustrzykach Górnych, 1962 rok, fot. arch.

Tworylne baza istniała od 1965 r. (z przerwą?) do końca lat osiemdziesiątych, 25 miejsc;

Tylicz baza istniała w 1965 r.;

Ustrzyki Górne baza istniała od 1958 r. do końca lat osiemdziesiątych, 50 miejsc;

Wola Wyżna baza istniała od lat sześćdziesiątych do 1974 r. 25 miejsc;

Wołkowyja w 1975 r. przekazana środowisku lubelskiemu;

Wołosate baza istniała przez rok lub dwa lata w latach siedemdziesiątych;

Zagórz od 1957 r. do końca lat osiemdziesiątych, 50 miejsc;

Zatwarnica-Sękowiec od 1962 r. do końca lat siedemdziesiątych, 25 miejsc;

Zawój w latach 1974-77 r. 25 miejsc, na terenie dawnej wsi, na zakolu rzeki;

Były także bazy w Buku, Chmielu, Dwerniczku, Przysłupie i w Wetlinie, ale szczegółów już nikt nie pamięta.

„Żubry Pulpity”, ekipa przez wiele lat prowadząca bazę w Ustrzykach Górnych, trzeci od lewej Grzegorz Chudzik, po środku naczelny „Pulpit” – Janusz Wójcik z żoną, fot. arch.





Baza w Zagurzu, na górnym zdjęciu pierwsze domki z początku lat sześćdziesiątych, fot. arch., na dolnym, domki z drugiej połowy lat siedemdziesiątych, fot. W. Jasiński.



Baza w Komarńczy w 1982 roku, fot. A. Wielocha.





Baza w Tworylnem w 1981 r., oraz jej zmęczone kierownictwo Paweł Wroński i Jan Swianiewicz, fot. A. Wielocha.



Bazy rozbijały letnie przejścia, a najważniejszym momentem było postawienie kibla; tu kibel stawiany przez przejście z 1968 r. na bazie w Ustrzykach Grn., a w kiblu Mirosław Wiechowski i Bolesław Szafranski, fot. J. Szatajski.



Baza w Łubnem i jej kierowniczka Jolanta Lipszyc, fot. arch.



Baza w Pretukach i jej kierowniczka Małgorzata Ziębora, fot. arch.



Wywiad z **Wojciechem Stążewskim** (blacha nr 221)

Smakują te góry...



– Wojtku, można cię nazwać chodzącą historią rajdów, bo jak do tej pory nie przegapiłeś żadnego z dwudziestu czterech dotychczas zorganizowanych...

– No, nie chciałbym być wyłącznie historią. W tych górach ciągle coś się zmienia, zmieniają się też ludzie z nimi związani. Moje spotkania z Beskidem Niskim to jeszcze nie zapisana do końca kartka, chociaż jeżdżę tam teraz bardziej kameralnie. Prawie co roku spotykam się z przejeźdźcą przewodnikiem na Rotundzie. Można powiedzieć, że smakuję te góry, ich atmosferę i nie zanosi się na to, abym prędko przestał to robić. A zaczęło się to rzeczywiście dawno... Na pierwszym rajdzie (1965 rok) byłem po prostu uczestnikiem, ale moje kontakty z Kołem są starsze – pierwsza „moja” impreza, na której byłem z SKPB, odbyła się w 1961 roku. Był to II Jesienny Złaz w Puszczy Kampinoskiej (od 1965 roku nosi on nazwę Rajdu Harskiego). Kiedy „objawił się” Beskid Niski pojechałem na trasę jako zwykły uczestnik. Pamiętam, że była to jedna z dłuższych tras, taka „przekrojowa”. Zaczęliśmy w Komańczy, a po jakichś siedmiu dniach doszliśmy do Biecza. Pamiętam jeszcze, że droga w kierunku na Moszczaniec kończyła się gdzieś w okolicach Czystohorbu, tam budowało ją wojsko, a okolica była kompletnie wyludniona. Pewnie właśnie dlatego pierwszego dnia mieliśmy straszną wypytę – jakieś 40 kilometrów. Doszliśmy mniej więcej do Barwinka, dotarliśmy tam około wpół do dwunastej w nocy. Trasę tę prowadził Wili Orsetti, bardzo fajna postać. Przemek Pilich, też stary przewodnik, zawsze do niego mawiał: – „Orgjetti, robimy orsetkę?”

– *Jak wyglądało zakończenie?*

– W Bieczu była wielka feta, z wielkimi rewerencjami nas tam przyjmowano, choć na rynku były jeszcze kocie łby. Biecz był wtedy nieodnowiony, taki trochę zapuszczony. Samo zakończenie odbyło się w szkole, prowadził je Wiesiek Świtek, starszy, bardzo znany przewodnik, piosenki nawet o nim śpiewano. A na zakończeniu były śpiewanki, trochę gawędzenia, pogoda wtedy nie za bardzo dopisała. Dopiero w następnych latach zakończenia wyglądały efektowniej, odbywały się na rynku otoczonym odnowionymi już kamieniczkami. Muzeum, wieża ratusza, baszty - wszystko to stwarzało fajną atmosferę. Odkryte nieco później wykopaliska przed farą (mury miejskie) jeszcze bardziej ją uatrakcyjniły. Bieczanie początkowo trochę się dziwili, kto to i co to za najazd na miasto, ale zawsze odnosili się do nas serdecznie, zwłaszcza wspinały dr Tadeusz Ślowski (dyrektor Muzeum Okręgowego w Bieczu). Chciałbym mu tutaj podziękować za stałą pomoc, a zwłaszcza przy zorganizowaniu rajdu w 1968 roku.

– *Czy wielu ludzi było na pierwszym rajdzie?*

– Około 200-300 osób (w szczytowym okresie lat 1970-75 urosło to do jakichś 800 osób), tak że trasy z pięćdziesiątką uczestników wcale nie należały do rzadkości. Potem, gdzieś tak przy „szybkowym Gierku” zaczęło to spadać – otworzyła się zagranica, całe Koło rwało się na Słowację i do Rumunii. Działania Krzyśka Porady były dla nas w pewnym sensie inspiracją, a Krzysiek Segit,

jako człowiek praktyczny i nadzwyczaj operatywny, prowadził pierwsze w pełnym tego słowa znaczeniu obozy w Rumunii. Krzysiek, chłopak bardzo życzliwy dla otoczenia, miał dar dogadywania się z każdym w trudnych sytuacjach. Legenda kotowa głosi, że będąc z grupą w opałach, a znając kilka słów rumuńskich, podchodził do milicjanta zaczynając: „Wiem, że jest pan najmądrzejszym człowiekiem we wsi. Mamy taki problem...”. Ja sam prowadziłem jeden z pierwszych obozów na Słowacji w roku 1973. Do dziś pamiętam święte oburzenie słowackich pograniczników kiedy tam łaziliśmy – chodzili wzdłuż granicy, pilnowali i mówili: „W Polsce to jest porządek, bo tam nie wolno łaźnić ot tak sobie, po granicy, a u nas...”.

– A drugi „Beskid Niski”?

– Sam rajd wyglądał podobnie, choć byłem już wtedy kursantem i patrzyłem na to trochę od kuchni. Kurs nie miał jeszcze przejścia w Beskidzie Niskim, kto z kursantów chciał ten dołączyć się do tras. Trochę inny był wtedy sprzęt – buty były znacznie lżejsze, czegoś takiego jak „himalaje” nikt sobie nawet nie wyobrażał – pionierki miały cienką skórę i cienką, bardzo elastyczną podszewę. Szybko przemakały, ale i szybko schły. Początkowo wiele osób chodziło w wojskowych butach, zresztą chodziło się w czym kto miał. O plecakach na stelażu też się nikomu nie śniło; plecaki jakie wtedy nosiliśmy po zapakowaniu przyjmowały zwykle kształt kuli, a jeszcze jak ktoś podłożył sobie konserwy pod plecy... Pakowanie plecaków niektórych uczestników przez przewodników było więc na porządku dziennym. Zamiast śpiworów nosiło się po dwa koce, a przy szczelnym owinięciu zgodnie z ustaloną procedurą i zakopaniu się w słońcie – jeżeli noc nie była zbyt zimna – „szło jakoś wytrzymać”. Ja sam, za moją miesięczną pensję zamówiłem dla siebie (w 1965 roku) rarytas - śpiwór puchowy. Może właśnie dzięki temu mogę jeszcze czasem pojawić się u znajomych w Niskim...

– Właśnie, jak odnosili się do was ludzie?

– „Tam-byłcy” byli nastawieni bardzo przychylnie (i są nadal). Żyło wtedy wielu, którzy pamiętali okres I wojny światowej (Rosjan, Austriaków, walki operacji gorlickiej), ale o Talerhofie i o wysiedleniach po II wojnie światowej mówili niechętnie. Do tej pory (prawie co roku) spotykam się z byłym sołtysem z Regetowa Niżnego, panem Zyndramem. Człowiek ten był świadkiem budowy cmentarza na Rotundzie. Opowiadał, jak wozami drabiniastymi wwożono na górę ciała poległych żołnierzy. Ponoć jeszcze wtedy cmentarz na Rotundzie był widoczny prawie ze wszystkich stron,

Rajd Beskid Niski 1981 r., Janusz Furtak plakatuje nodeg swojej trasy, fot. arch.





Rajd Beskid Niski 1979 r., zakończenie w Bieczu, Andrzej Wielocha i Wojciech Stążewski, fot. arch.

ale teraz wierzchołki drzew sięgają wyżej. Z tamtego okresu, z połowy lat sześćdziesiątych, datuje się przyjaźń członków Koła z panem Michałem Madzikiem z Bartnego. Teraz na gospodarstwie jest jego syn, a przez SKPB przewinęło się też parę pokoleń, ale znajomość nadal owocuje...

Juhasi częstowali nas zętycą, czasami w takiej ilości, że urządzaliśmy zawody – kto więcej wypije. Nie wiem, czy komukolwiek z nas udało się wypić ponad półtora litra... Odwdzięczaliśmy się dobrym słowem, „Magurami”, znaczkami, różnie – zależało co pasowało dać i co było pod ręką. Śmieszny epizod zdarzył się kiedyś z pewną gospodynią. Prowadziłem w 1968 roku trasę pogórzańską – gorąco, pot się leje, wstąpiliśmy więc w kilka osób na podwórko po wodę. Gospodyni wyniosła nam wiadro zimnego zsiadłego mleka – od razu zrobiło się nas kilkanaścioro, a gdy już dziękując (wypiliśmy do dna) chcieliśmy jakoś zapłacić, gospodyni tylko machnęła ręką; „A tam, to i tak dla świń miało być...”.

– Skąd wzięła się nazwa „Rajd pierwszomajowy”?

– W roku 1968, po wydarzeniach marcowych władze odnosiły się do studentów z rezerwą, a zezwolenie na imprezę trzeba było przecież uzyskać. Dlatego od tego czasu rajd został „pierwszomajowym”, a kursanci i część uczestników, czasem bezpośrednio z tras, z plecakami paradowali w pochodzie ulicami Gorlic (Biecz był za mały na pochód). Tak było przez kilka lat. To, że w roku 1982 rajd ma się odbyć było dla mnie miłym zaskoczeniem. Obowiązywał przecież stan wojenny. Byliśmy więc trochę nieufni aż do chwili, gdy (już na trasie) wysiedliśmy na przystanku w Gładyszowie. Spodziewaliśmy się zawrócenia z pasa przygranicznego, powrotu do Warszawy i to niekoniecznie pociągiem, a zobaczyliśmy wopistów uprawiających własne pola. Chłopaki pracowali jak zwykle, tyle że niektórzy w mundurach i z karabinami „pod ręką”. Wydarzenia z centrum kraju jakby w ogóle nie docierały do tamtejszych ludzi, zajętych ciągle tymi samymi, swoimi sprawami. „No tak, do jednego, w Bartnem przyjechała milicja, dlatego że się w porę do wojska nie stawiał” Ot, wszystko.

– *Rajd nazywa się „Beskid Niski”, ale przecież Biecz leży właściwie na pograniczu Beskidu i Pogórza Ciężkowickiego...*

– Trasy pogórzańskie pojawiły się bodajże już od 1965 roku, od pierwszego rajdu (kierownikiem był wtedy Jan Banasiak, a zastępcą Wiesiek Skubisz). Zaczynały się one w Besku i Tuchowie. Później były projekty zorganizowania trasy rowerowej, trasy konnej... Z tej konnej niestety nic nie wyszło, może jeszcze kiedyś, w przyszłości...

– *Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia w maju na „Niskim”.*

Wywiad przeprowadził Piotr Szczerbiak, Magury 89 str. 68-71

Powyższy wywiad redakcja Kroniki pozwala sobie uzupełnić pewnym drobiazgiem, który znalazł się w biuletynie z 1982 roku:

„Aby nieco osłabić kategorię opinii Sądu Koleżeńskiego (...) przypominam, że należy kierować się zdrowym rozsądkiem i poczuciem sprawiedliwości, a podejmować decyzje dyscyplinarne dopiero po bardzo dokładnym rozpatrzeniu każdej sprawy. Jednak, choć być może jest to najgorszy moment na tle obecnej sytuacji w kraju [grudzień 1982 – przyp. red.], należy ciągle pamiętać o potrzebie dyscypliny bez czego przecież niemożliwe jest jakiegokolwiek sprawne działanie.

Proszę pamiętać, że nasza praca przewodnicka obok walorów wielkiej, często życiowej przygody, jest pewnego rodzaju służbą społeczną w najlepszym rozumieniu tego słowa.

Kończąc chciałem podziękować ustępującemu Zarządowi i Komisji Rewizyjnej, a zwłaszcza Prezesowi „Mysze” za konstruktywną i miłą współpracę. Wydaje się, że był to kolejny rok „łagodnego prezesa”.

Na zakończenie chciałbym serdecznie osobiście podziękować Kolegom przewodnikom, z którymi miałem zaszczyt współpracować w czasie mojej 10-letniej kadencji (od 1972 roku) jako przewodniczący SK. Nie zamierzam już więcej kandydować do jakichkolwiek władz Koła. Dziękuję i myślę, że zawsze będziemy się spotykali w górach.”

Przewodniczący Sądu Koleżeńskiego Wojciech Stążewski

Na 25-lecie Koła Wojciech Stążewski (z lewej) prezentuje zbiór znaczków z „Beskidu Niskiego”, a Wiktor Hibner (z prawej) z „Połonin”, między nimi ówczesny prezes Tomasz Szumniak i Witold Michałowski, *foto. arch.*



Wojciech Wiatr blacha 99

Beskidzkie reminiscencje



Turnus pod łopatami śmigłowców

Wracając wspomnieniami do wielu prowadzonych przez siebie obozów i tras rajdowych, uważam, że w miarę upływu lat czas się nich zaciera, a na pierwszy plan wybijają główne zdarzenia i przygody, z jakimi później takie wyprawy kojarzę. Czasem jest to deszczowa lub słoneczna pogoda, niespodziewany napływ chłodu lub opad śniegu. Właściwie wyjazdy podczas których nic nadzwyczajnego się nie przydarzyło blakną i giną w niepamięci. Znakiem rozpoznawczym tego turnusu centralnego, jaki prowadziłem pamiętnego sierpnia 1968 r., stały się śmigłowce.

Spotkanie pierwsze

Po pokonaniu pasma Żuków biwakowaliśmy akurat w pobliżu PGR Czarna. W spokojny niedzielny poranek dziewczęta z zespołu dyżurnego wybrały się do wsi po mleko, aby na śniadanie ugotować główne danie - kaszę manną. Wróciły wnet roztrzęsione, niosąc apokaliptyczną wiadomość.

– *We wsi panika! Wybuchła wojna! Wojska Układu Warszawskiego wkroczyły tej nocy do Czechosłowacji!*

W odróżnieniu od miejscowych, którzy zaznali poniewierki wojennej i gorzkiego smaku przesiedleń, dla nas w ten piękny słoneczny i cichy dzień brzmiało to tak absurdalnie, że na początku nie sprawiło większego wrażenia. Nikt z nas nie doświadczył dotąd wojny. A w końcu jesteśmy tu w dzikich Bieszczadach, mamy swój program i trzeba go realizować. Nie próbując więc nawet rozmawiać z miejscowymi, aby upewnić co się naprawdę stało się ostatniej nocy, wyruszyliśmy na Ostre.

Prowadził praktykant Jurek Krawczyk. Kluczyliśmy po zarastającym olchą i jałowcem szerokim grzbiecie opadającym już w kierunku Skorodnego, gdzie mieliśmy następny biwak. Potykaliśmy się o ukryte w wysokiej trawie kopczyki mrowisk i kretowisk, gdy wtem dotarł do naszych uszu narastający huk. Ta, ta, ta, ta ... Nagle znad drzew wypadły trzy ogromne śmigłowce, jakich w życiu nikt z nas nie widział. Można je było kojarzyć tylko z potężnymi śmigłowcami desantowymi, pokazywanymi w reportażach telewizyjnych z manewrów wojskowych, które były zdolne przetransportować ciężkie transporterzy. Sły teraz nisko, ponad naszymi głowami, wywołując w nas nieokreślony lęk. Pierwsza myśl pobudzana znanymi obrazami z telewizji – to tak musi wyglądać wojna w Wietnamie z perspektywy Vietcongu kryjącego się w dżungli. Huk i docierający podmuch powietrza od pracujących wirników, jakby właczał nas w ziemię. Na oliwkowych kadłubach zło-wieszczo czerwieniła się pięcioramienna gwiazda. Przetoczyły się i szybko oddalały, lecąc na potu-dniowy zachód w kierunku pobliskiej Czechosłowacji.

– *Co one tu robią na polskim niebie?*

Tryby wielkiej polityki właśnie przetaczały się obok nas przez te bieszczadzkie ostępy, nie pozwalając na obojętność. Nieokreślona groza przemian dziejowych zaczynała i do nas docierać.



W ciągu paru dni Bieszczady opustoszały. Znikła „turystyczna stonka” – konkurenci przy zapatrywaniu w żywność w ubogich bieszczadzkich sklepikach, nie było więc żadnych trudności w zakupach oraz transporcie autobusowym. Na szlakach pozostały już właściwie tylko wędrownie grupy studenckie, takie jak my.

Spotkanie drugie

Kilka dni później, mając już za sobą bieszczadzkie połoniny, nocujemy na podłodze w hotelu robotniczym w Procisnem, by wczesnym świtem wyruszyć kolejką leśną w kierunku naszego miejsca zakończenia obozu. W plecakach wędliny, słodycze, ciastka i wino na grzaniec, bo to już koniec wakacji – nasze rozstanie z Bieszczadami i poznanymi w trakcie wędrowki kolegami.

Nie ma czasu na przygotowanie śniadania, więc zaraz po szóstej rano wsiadamy na czczo do kolejki. Jedziemy malowniczą trasą wokół Matragony, przekraczając na krótkim odcinku granicę czechosłowacką i zatrzymując się potem przy potoku Balnica, gdzie lokomotywa uzupełnia zapas wody na dalszą podróż. Nieco po ósmej wysiadamy wreszcie w Smolniku, skąd po śniadaniu mamy wyruszyć poprzez Chryszczatą, na nasz ostatni biwak w opuszczonej dolinie po wsi Kamionka.

Wkrótce nieopodal stacji na łące nad Oslawą rozpalamy ognisko, dyżurni gotują kawę zbożową i przygotowują kanapki. Obok to samo robi inny obóz, zorganizowany przez klub Styki z PW. Ale z naszą koleżanką Basią dzieje się coś niedobrego. Narzeka na silny ból żołądka. Od dłuższego czasu próbują jej pomóc nasi obozowi lekarze ze studiów medycznych, ale doraźne działania nie przynoszą rezultatu. Tak naprawdę nie wiadomo co jej jest. Niczego nie jadła poza jabłkiem. Teraz leży błada na stercie siana na łące i zwiija się z bólu. Śniadanie skończone, wszyscy już właściwie gotowi do marszu, a Basi ból nie przechodzi. Trzeba coś zrobić, bo może jej życie jest zagrożone.

Wysłałem więc jednego z medyków na stację, aby telefonicznie powiadomił pogotowie w Sanoku. Może chociaż coś doradzą, bo na szybki dojazd karetki trudno tu liczyć. Jakie to szczęście, że jesteśmy jednak blisko cywilizacji, którą tu akurat symbolizuje ta mała stacyjka kolei i stary telefon, od którego biegną w świat dwa druty rysujące się na niebie i ginące wraz z rzędem na słupów gdzieś za niskim trawiastym grzbieciem. Czy doniosą tam nasz rozpaczliwy sygnał SOS?

Po pół godzinie wraca bezradny. Owszem po wielokrotnym kręceniu korbą i łączeniu z centralami telefonicznymi po drodze wreszcie usłyszał:

– *Tu pogotowie ratunkowe w Sanoku...*

Było bardzo słabo słychać, więc wykrzyczał w słuchawkę, że na stacji w Smolniku chora dziewczyna potrzebuje natychmiastowej pomocy. Coś w słuchawce brzęknęło i zamiast odpowiedzi, że wezwanie przyjęto, usłyszał jakąś muzykę i połączenie się urwało.

Właściwie nie wiadomo co dalej robić. Na takiej łączności zupełnie nie można polegać, a czas płynie nieubłaganie. I wtedy z pomocą spieszą kolejarze. Proponują przewóz naszej chorej koleją. Do stojącego na boczniczy buchającego parą parowozu dołączyli już jeden wagon, w którym umieszczamy Basię w towarzystwie jej chłopaka i wkrótce pociąg rusza w kierunku odległej o 20 km Rzepedzi, gdzie szosa jest już blisko.

Możemy wreszcie spakować się i wyruszyć w góry. Idąc drogą powoli odpywają od nas emocje. Jeszcze zwiędzanie murowanej cerkwi i objaśnianie symboliki ikonostasu. Wychodzimy na zewnątrz, gdy wtem znów znany terkot: ta, ta, ta, ta, ta... I znad drzew wyłania się śmigłowiec, tym razem o zgrabnej, znajomej sylwetce ze znakiem czerwonego krzyża na kadłubie, a więc – pogotowie.

– *Ale tu już nie ma naszej chorej! Co zatem będzie? Ile może nas kosztować takie nieuzasadnione wezwanie śmigłowca?*

A ten już zatacza kręgi nad nami i leżącą niedaleko stacją.

– *Nie machać rękami! Może odleci?*

Nic z tego. Siada w końcu koło stacji w pobliżu grupy Styków. Ale na krótko. Po chwili podrywa się w górę i zdecydowanie kieruje na północ lecąc wzdłuż toru. Uff! Ulga. Na szczęście nie trzeba nic wyjaśniać i spisywać kto, co i dlaczego. Za dużo już tych przygód jak na jeden dzień! Ochłonna, wychodzimy z plecakami znów na drogę, aby wkrótce zanurzyć w leśny gąszcz długiego grzbietu wznoszącego się w kierunku Chryszczatej.

Epilog

Następnego dnia po południu, zmęczeni po całonocnej zabawie przy ognisku w wyjątkowo przyjaznej dla nas dolinie Kamionki, docieramy pociągiem do Zagórza do głównej bazy Akcji Centralnej. Po pozbyciu się plecaków siadamy wreszcie w restauracji koło dworca spragnieni dobrodziejstw cywilizacji. Zamawiamy obiad i piwo. Wtem otwierają się drzwi i wchodzi nasza Basieńka w towarzystwie kolegi. Więc radość, bo wszystko skończyło się dobrze. Wzajemne wypytanie się o zdarzenia poprzedniego dnia.

Okazuje się, że nie skończyło się tylko na pociągu. Całą drogę asystował mu śmigłowiec, który wylądował w Rzepedzi w polu z dala od stacji, oczekując na naszą chorą. Na szczęście znów ofiarni kolejarze pospieszyli z pomocą i załadowali ciężarówkę, która ją tam dowiozła. No a stamtąd do szpitala w Sanoku.

Nie mogąc doczekać się właściwej odpowiedzi na dręczące nas od dwu dni wątpliwości pytam wreszcie wprost:

– *Basiu, a co ci było? Co stwierdzili lekarze?*

– *Wiesz, nie wiem. Ale pilot, brunet, był tak przystojny, że, gdy przyjął mnie na pokład, bóle przeszły natychmiast.*

Jak więzień został obozowym waletem

Dzień wstał pochmurny. Z zachodu nadpełzały bure chmury i już było widać, że niechybnie rozpada się. Zwijając namioty, szykowaliśmy więc już zawczasu peleryny. Potem nasz „ciurek” odbił od masywu Bukowicy i wijąc się jak wąż płynący po powierzchni jeziora, długo pokonywał rozległe zielone przestrzenie, jakie pozostały po wsiach Wiśtok Wielki i Wiśtok Dolny, aby wreszcie dotrzeć do

ich przeciwniegiem brzegu – masywu leśnego spływającego ze zboczy pasma granicznego. Pod osłoną wpiern zagajników sosnowych a potem koron potężnych buków poczuliśmy się bezpieczniej. Tu nie byliśmy już tak wystawieni na ewentualne uderzenia wiatru i fal deszczu, jak na otwartej przestrzeni szerokiej doliny za naszymi plecami. Długim łagodnym zboczem Kanasiówki podążaliśmy w kierunku granicy, aby w końcu wyjść na udeptaną ścieżkę niebieskiego szlaku, wiodącego do doliny Jasiela – miejsca naszego następnego biwaku. I wtedy dopadły nas pierwsze krople deszczu, najpierw niemrawe a potem coraz gęstsze. Schodziliśmy w dolinę już osłaniając się pelerynami. Wreszcie w gasnącym świetle dnia i strugach narastającej ulewy na polanie pojawił się długi, opuszczony barak strażnicy WOP, witając nas ponuro pustymi oczodołami otworów okiennych i drzwi wejściowych. Jedynie dach, wciąż pokryty nienaruszoną papą, nęcił obiecując godziwe, suche schronienie na tę nadchodzącą deszczowa i niespokojną noc. Ponieważ biwakowanie w długiej, mokrej trawie nie było zbyt pociągające, z ulgą zanurzyliśmy się w jego mroczne wnętrza.

Jak się okazało nie byliśmy tam jedynymi gośćmi. Wewnątrz koczowało już kilkoro innych wędrowców. W największym, suchym pomieszczeniu zajęliśmy wolny kąt, gdzie złożyliśmy nasze plecaki. W panującym półmroku na tle bielonych ścian, upstrzonych różnymi napisami i rysunkami, widac było zarysy postaci skupione w kilku grupach przygotowujących jedzenie. Od czasu do czasu to jedna, to dwie osoby odrywały się od swych grup i niosąc w ręku jedzenie lub picie, podchodziły do chłopca, który siedział z boku pod ścianą i wyraźnie odstawał od reszty. Z ich głosem można było odczytać, że jest osobą poszkodowaną.

– Kto to? Co się stało, że nie ma plecaka? Chory, czy może tylko przemoczony?

Po oswojeniu z mrokiem dostrzegamy zgołąną do skóry głowę i osobliwy szaro-granatowy uniform. A więc więzień, jakich można spotkać w tych okolicach. Dlaczego jednak sam i tutaj? Wkrótce od innych dowiadujemy się, że zabłąkał się w lasach i dopiero podążając za znakami szlaku, wyczerpany i głodny dotarł przed nocą pod zbawczy dach strażnicy.

Ponieważ jesteśmy tu największą grupą i właśnie zabieramy się za przygotowanie obiadokolacji, proponujemy naszą pomoc. Wkrótce przed barakiem płonie ognisko, gotujemy kawę zbożową, a nasza szefowa i jednocześnie praktykantka kursowa, Małgosia Przyczynek, przygotowuje w kociołku przebój kulinarny obozu – smażoną na smalcu cebulę do czerstwego, kilkudniowego chleba. W tych warunkach to wszystko smakuje wymiennie, a nasz podopieczny przewraca oczyma z rozkoszy. U nich takich frykasów nie dają.

Powoli zaczynamy rozmowę. Na imię ma Andrzej i jest łodzianinem. Odsiaduje końcówkę pięcioletniego wyroku. Podobno w restauracji po pijaku szarpał się z milicjantami i miał pecha, że podczas tego zajścia jednemu z nich spadła czapka z głowy, co potraktowano jako zamach na władzę ludową. Za dobre sprawowanie przed trzema dniami przywieziono go do Moszczańca, gdzie miał być reedukowany w reżimie półwolnościowym. Ale po czterech latach spędzonych w zamknięciu oszołomiło go słońce, świeże górskie powietrze i zielen. Zapragnął poszukać orzechów laskowych. Wszedł na krótko do lasu i zgubił się. Próbował odnaleźć drogę powrotną, wypatrując Moszczańca z wierchołków wysokich buków, ale w rezultacie pograżał się w tym morzu zieleni coraz głębiej. Wreszcie natknął się na słupki graniczne i zrozumiał, że jeśli przekroczy granicę, to wolności szybko nie ujrzy. Uczepił się więc szlaku i idąc nim na chybił trafił, po jakimś czasie szczęśliwie napotkał turystów, którzy doprowadzili go do Jasiela.

Słuchamy tego wszystkiego nie do końca przekonani, co do prawdziwości wszystkich jego wynurzeń. Nie sposób ich sprawdzić bez dokładniejszego pytywania, ale nikomu z nas nie odpowiada rola śledczego. Kończy się więc na ogólniejszych pytaniach.

Przejście bieszczadzkie w 1968 r., fot. arch.



- *No dobrze, a co będzie, jeśli dziś wieczorem w Moszczańcu zauważą, że cię nie ma?*
Uśmiechnął się nieznacznie.
- *Tam jest ośmiuset skazanych i koledzy na apelu, tak załatwią, że wszystko będzie się zgadzało.*
- *A jak zamierzasz wrócić do Moszczańca? Stąd przecież trzeba iść przez grzbiet i las, w którym dziś błąkałeś się.*
- *Nie wiem. Ale na pewno już nie przez las ...*
- *Jutro rano idziemy do Jaślisk, więc możesz zabrać się z nami do Woli Niższej, skąd prowadzi już szosa do Moszczańca.*

I tak oto w sierpniu 1970 r. nasz więzień stał się na kilkanaście godzin nieformalnym uczestnikiem obozu – „waletem” grupy wędrowniej Uniwersytetu Warszawskiego. Od strony prawnej, było to na pewno ryzykowne, bo udzielaliśmy pomocy uciekinierowi z więzienia, ale któż z nas młodych wtedy tak bardzo chciał się tym przejmować.

Przed snem rozłożyliśmy na podłodze tropiki od namiotów, a na nich nasze śpiwory. W jeden z tropików owinał się nasz więzień i ułożył przy nas. Nie wszyscy zaakceptowali tę jego obecność w grupie. Już w trakcie naszych wieczornych rozmów, w zachowaniu Małgosia dawało się wyczuć wyraźną rezerwę w stosunku do Andrzeja. Teraz, leżąc wśród nas, niespokojnie przewracała się raz po raz z boku na bok, gdy pozostali, mniej wrażliwi, spali błogo i tylko szum deszczu za oknem oraz monotonne ciurkanie wody spływającej z dachu zakłócało pochrapywanie męskiej części obozu.

Ranek przywitał nas optymistycznie. Nad Jasielmem przewalały się jeszcze niskie, bure chmury, ale już postrzępione i co najważniejsze - bez deszczu. Pogoda poprawiała się. I tylko Małgosia z podkrążonymi od niewyspania oczami była wyraźnie nie w sosie. A tu na dodatek polecenie – poprowadzisz nas do Jaślisk. Jak się później okazało, to zmęczenie i wynikające z tego jej rozdrażnienie, miały zaważyć na przebiegu wydarzeń tego dnia.

Wyruszyliśmy po śniadaniu, ale już parę kroków od strażnicy okazuje się, że przejście nie będzie łatwe, bo po nocnej ulewie weszły nawet małe ciekie. Jakąś chwilę szukamy stosownej przeprawy, aby wyjść na gościniec. Małgosia waha się. Wreszcie decyduje się postawić nogę na samym brzegu rwącego strumyka, aby łatwiej go przeskoczyć. Niewyspanie robi jednak swoje, bo

zamiast postawić nogę na twardym gruncie, próbuje oprzeć ją na falującej grzywie traw ścielących się na powierzchni wody i wpada do strumyka, co wszyscy witają radosnym rechotem. Małgosi do śmiechu nie jest i mimo zachęt doświadczonych repów, nie zamierza dalej iść w mokrych skarpetkach. Zarządza krótki postój, po którym nasza grupa wreszcie rozciąga się wzdłuż drogi w regularnym „ciurku” z zamkiem na końcu. Gdzieś w tylnej części szeregu maszeruje nasz podopieczny. Trzeba przyznać, że potrafi tam dobrze się maskować, gdyż od czoła trudno go dostrzec. Tylko od czasu do czasu sponad rzędu kołyszących się głów i plecaków łyska ogolona „pała” więźnia.

Ze względu na błoto i ogromne kałuże na gościńcu, „ciurek” tańczy w marszu, przemyskując a to biegnącą z boku śliską ścieżką, a to przeskakując strumyczki i rozlewiska. Przy pokonywaniu jednej z kałuż Małgosia przytrzymuje się uschniętego patyka sliwy, który z trzaskiem pęka i znów łąduje wodzie. Tym razem nie jest nam do śmiechu, bo zapas suchych skarpet w jej plecaku już się wyczerpał. Przeszywa nas gromami swych jasnych oczu i obrażona odrywa się od „ciurka” na ponad sto metrów do przodu. Szanując jej wybór, nie próbujemy zmniejszyć tego dystansu. Po kilometry lub dwu takiego nieprzepisowego prowadzenia, nagle zza zakrętu wyłania się naprzeciw nas zdyszana przewodniczka i ostrzega:

– *Tam są więźniowie pilnowani przez strażnika!*

W Andrzeja jakby grom z jasnego nieba trafił – skacze w krzaki i znika. My zaś zdeorientowani defilujemy przed brygadą pracującą przy remoncie drogi i klawiszem leniwie palącym papieros.

Po przejściu paruset metrów spoglądam do tyłu i z ulgą dostrzegam w „ciurku” ogoloną głowę naszego więźnia-turysty, który poprzez krzaki ominął łukiem niebezpieczne miejsce i znów wskoczył w bezpieczny dla siebie szereg. Tym razem orientacja go nie zawiodła.

Docieramy w końcu do cywilizacji, asfaltowej szosy Tylawa – Komańcza. Na skrzyżowaniu na skraju Woli Niższej rozstajemy się z Andrzejem, wskazując mu szeroką drogę do Moszczańca. Zdajemy sobie sprawę, że teraz przed nim najtrudniejszy odcinek, wiodący przez otwarte przestrzenie. Jeszcze zdawkowe pytanie o to, jak mu się podoba taka turystyka. Dziękuje za pomoc. Żegnamy się. My na zachód, on na wschód. Jeszcze przez jakiś czas widzimy jego samotnią postać na wznoszącym się odcinku szosy. Wchodząc pomiędzy chałupy tracimy go z oczu.

Do dziś nurtują mnie pytania. Czy udało mu się szczęśliwie dotrzeć do Moszczańca? Jak spotkanie z nami wpłynęło na jego losy? Może jednak w końcu polubił turystykę pieszą?

Na łemkowskiej zabawie

To był niezwykły rajd. Ten pierwszy, od którego zaczęło się i moje oczarowanie wiosennym Beskidem Niskim i kolejne powroty na tę samą, wciąż niezapomnianą trasę w dziesięcioletnich odstępach, aby po latach przekonać się, że naprawdę nie można wejść ponownie do tej samej rzeki. Podobnie jak świat dookoła, Beskid Niski wciąż się zmienia, a dziesięć lat – to szmat czasu. Z tej wieloletniej perspektywy moich powrotów dostrzegam, że tamten początek maja był niezwykły pod każdym względem. Pamiętam bardzo ciepłą, słoneczną pogodę, która już pierwszego dnia zachęciła nas do kąpieli w przełomie Wisłoka w Besku, soczystą zielen łąk i buków, kojącą oczy podczas długich marszów, biało-różowe kwiecie jabłoni na naszych biwakach w sadach opuszczonych wiosek oraz ten wszechobecny w powietrzu, delikatny zapach kwiatów i rozwijających się pąków. Dochodziła do tego jeszcze nasza żywiołowa młodość i zachłanna ciekawość poznawania łemkowszczyzny z jej tragiczną historią i nieznaną nam bliżej kulturą. Te wszystkie elementy skumulowały się w jednym tygodniu naszej trasy na II Rajdzie w Beskidzie Niskim w 1966. roku, by, jak w dobrym finale powieści, osiągnąć swój szczyt na końcu naszej wędrówki po łemkowszczyźnie.

Była to sobota, ostatni dzień przed zakończeniem rajdu w Bieczu. Od paru dni wędrowaliśmy po odludnych dolinach w pobliżu Przętęczy Dukielskiej bez możliwości zaopatrzenia w żywność. Na biwaku w Żydowskim kierowniczką trasy, Marta „Biała”, zdecydowała wreszcie postać naszą trójkę, tzn. mnie, Stefana i Antka – uczestników kursu SKPB – do Krempnej po chleb dla wszystkich, bo w niedzielę sklepy były nieczynne. Mieliśmy go dostarczyć na biwak pod Magurą Wątkowską w Bartnem. Zadanie nie było łatwe, ze względu na odległość, jaką musieliśmy pokonać na piechotę, nasze dodatkowe obciążenie i upał. Na osłodę mogliśmy zwiedzić starą, drewnianą cerkiew w Krempnej oraz zjeść obiad i wypić piwo w restauracji miejscowej Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Zresztą zgromadzone w restauracji kalorie spaliliśmy w mig na sławetnym, stromym podejściu na Kolanin oraz długich i krętych grzbietach prowadzących przez Świerzową i Magurę. Solidnie zmęczeni doszliśmy pod wieczór na biwak, gdzie zostaliśmy radośnie powitani przez resztę spragnioną świeżego pieczywa. Od nich dowiedzieliśmy się też, że wieś zamieszkuje łemkowie a dziś będzie zabawa. Nie trzeba było nam tego dwa razy powtarzać. Szybko rozbiliśmy namiot, zjedliśmy co nieco na kolację i natychmiast wyruszyliśmy do wsi.

Już zapadała noc. Mijaliśmy ciemne bryły chat z rzadka porozrzucane wzdłuż drogi. Tylko gdzieś tam z okna sączyło się jeszcze wątłe światełko. Wieś kładła się już do snu zgodnie z odwiecznym rytmem, bo elektryczność, mimo szczytnych planów, jeszcze tutaj nie dotarła. W gęstniejącym mroku znalezienie miejsca zabawy nie było trudne. Jak światło z latarni morskiej dla statku, tak nas prowadził słyszalny z oddali dźwięk akordeonu. W końcu doszliśmy do starej łemkowskiej chaty niedaleko cerkwi. Słabe światło padające przez otwarte okno oświetlało nieco podwórze. Wokół majaczyły sylwetki stojących, młodych mężczyzn. Niczym świetliki poruszały się w ciemności ogniki papierosów, to rozjarzając się, to przygasając.

Nasze przybycie zostało szybko spostrzeżone. Dwu ze stojących podeszło do nas.

– *Prosimy do środka! Bawcie się razem z nami!*

I oto znaleźliśmy się w białej izbie, słabo oświetlonej lampą naftową stojącą wysoko na piecu. W kręgu światła siedział na krześle harmonista i wystukując nogą rytm, grał tańczącym. Prześlizgnęliśmy się między tańczącymi parami, usiedliśmy na ławie pod ścianą i przypatrywaliśmy zabawie. Dla nas, ludzi z miasta, tak repertuar harmonisty jak i same tańce były czystą egzotyką.

Nie dane nam było jednak poprzestać na obserwowaniu. W pewnej chwili ktoś podszedł do mnie i poprosił, abym wyszedł z nimi z izby. No, zaczyna się, przemknęło mi przez głowę.

– *Będzie bitka albo wypitka* – rzuciliśmy do pozostawianych kolegów.

Wstałem i obaj wyszliśmy do sieni. Na szczęście chodziło o to drugie, bo zaraz w mroku zamajaczyła podniesiona w górę butelka taniego jabcoka.

– *Na zapoznanie się!*

I powędrowała do mojej dłoni. Wypiłem tyk i przekazałem sąsiadowi. Jak fajka pokoju krążyła teraz wśród obecnych. Wtem za moimi plecami skrzypnęły i uchyliły się drzwi, a zza nich wyłonili się Stefan i Antek, zaniepokojeni moją przedłużającą się nieobecnością. Widząc mnie całego, uspokoiли się i natychmiast zostali wciągnięci w rytuał osuszania butelki. Zaczęliśmy rozmawiać. A kto? A skąd? A co tu robi? A czy nam się tu podoba?

Już wkrótce wśród rozmówców dało się wyróżnić osobę czuwającą nad przebiegiem zabawy. Był nim młody brunet, średniego wzrostu, z charakterystycznym krótkim wąsem. Od niego dowiedzieliśmy się, że zabawa została zorganizowana przez gajowego dla sezonowych pracowników, młodych ludzi z kilku sąsiednich wiosek, którzy ściągnęli tu dla zarobku przy sadzeniu lasu. Po latach okazało się, że spotkany wówczas młodym człowiekiem był Jan Madzik z Bartnego.

Po zadziwrgnięciu więzi towarzyskich, gorąco zachęceni przez gospodarzy, aby tańczyć z dziewczętami, powróciliśmy znów do izby. Ponieważ nasze dalsze bezzwonne siedzenie zakrawałoby na gruby nietakt, chcąc nie chcąc, w moim przypadku – to drugie, bo nigdy nie uważałem się za dobrego tancerza, ruszyliśmy w tany.

Najpierw zdziwienie samym tańcem, bo to rączka w rączkę, a więc na dystans i jakieś takie hopsa, hopsa. Nie było to tak skomplikowane, jak się na początku wydawało, więc wkrótce hopsaliśmy, jak swojacy, a Stefan, świetny tancerz, tak się zapamiętał w tańcu, że mimo obtartych pięt, obracał partnerką, aż furczało. Nasze dzisiejsze zmęczenie długim marszem odpłynęło precz i oto brykaliśmy jak młode byczki na majowej łące.

Po kilku tańcach zmęczony akordeonista przerwał i odstawił na bok instrument. Tańczący rozdzielili się; dziewczęta siadły oddzielnie na ławach zbiegających się w jednym kącie izby, część chłopców zgromadziła się po przeciwnej stronie, a część wyszła na zewnątrz. My zdyszani opadliśmy również na ławę, odpoczywając. Wtem dziewczęta jakoś dziwnie przycichły i nagle buchnęła pieśń. Kilka wspaniałych, czystych, wibrujących głosów dziewczęcych wprost rozsadało tę małą izbę i wprowadziło nas w stan największego pobudzenia. Czułem, jak naraz zjeżyły mi się włosy na głowie, a na plecach miałem gęsią skórę. Wstrząs! Nie, czegoś takiego nie doświadczyłem jeszcze w swym dwudziestoletnim życiu.

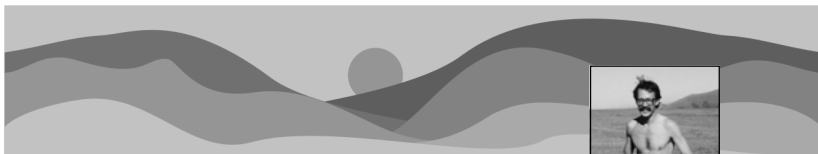
A one śpiewały łemkowskie i ukraińskie piosenki o miłości, tęsknocie, żalu. Pieśń to przycichała, to wzmagala się, a soczyste głosy dziewcząt o pięknej barwie, przeplatały w niezwykle harmonijny sposób. Cały świat odpłynął i wydawało się, że jesteśmy po uszy zanurzeni w tej niezwyklej harmonii, chłoniemy jej piękno, wczuwając się w treść słów jeszcze nie w pełni dla nas zrozumiałych.

I płynęły piosenki z tradycyjnymi ludowymi motywami; o młodym kozaku, co padł w polu, o dziewczynie czarnobrewej i o sarencie, co przeleciała drogę gajowemu. Pojawił się także, o dziwo, temat współczesny, który nas żywo poruszył, bo dotyczył studenta, który najpierw zawrócił w głowie prostej dziewczynie, a potem pozostawił samą z maleństwem. Czyż byłby to już skutek poprzedniego I Rajdu w Beskidzie Niskim? No bo skąd tutaj taka historia?

Niepostrzeżenie nadeszła północ. Ponieważ następnego dnia czekał nas również długi odcinek trasy do Biecza, pożegnaliśmy więc gościnnych gospodarzy i wyruszyliśmy z powrotem na biwak. Podchodziliśmy drogą wiodącą długim grzbietem w kierunku lasu, ale wciąż jeszcze byliśmy tak oszołomieni wrażeniami tego wieczoru, że z trudem i powoli zaczynały do nas docierać inne doznania.

Była jasna i ciepła noc. Nad górami błyszczał krąg księżycy, oświetlając dolinę i chaty śpiące już cicho przy drodze. Snem ogarnięty był także i nasz biwak pod wysoką, czarną ścianą lasu. Zarzyły się jeszcze węgle ogniska, a w świetle magicznego księżycy srebrzyły namioty i łąka. W śpiworach noc powoli wciągała nas w swe objęcia i tylko w uszach wciąż pobrzmiwał wspaniały śpiew dziewcząt spotkanych na łemkowskiej zabawie.

W rok później ruszyłem na rajd uzbrojony w najnowszy, bateryjny magnetofon kasetowy Philipsa, ważący, bagatela, ok. 2 kg. Odnalazłem w Bartnem dziewczęta, Miłę Wróbel oraz Anię Paszko i nagrałem ich piosenki z tej pamiętnej łemkowskiej zabawy. Dowiedziałem się od nich, że śpiewają w chorze „łemkowyna”, a większość piosenek, w tym także ta o studencie-bałamucie, pochodziła z ich repertuaru. Tak to okazało się, że zła sława studentów, obrazoburczego elementu społeczeństwa lat sześćdziesiątych, za pośrednictwem piosenki dotarła także i do spokojnych łemków.



Jan Bazył Lipszyc *blacha* 174

Spór o Bieszczady



Wyobraźcie sobie, że na południe od linii Komańcza – Czarna nie można w Bieszczady wjechać prywatnym samochodem, że cały teren od doliny Oslawicy i Oslawy po dolinę Sanu i wschodnią granicę państwa jest rezerwatem turystycznym. Że nie wolno tam budować hoteli i pensjonatów, bo całe niemal Bieszczady zostały przeznaczone dla turystów górskich, z plecakiem i namiotem.

Ci, którzy dziś zostawiają samochód na parkingu na Bukowcu narzekając, że dalej w „worek” nie wolno wjechać, a do grobu Hrabiny daleko, i którym nie podoba się, że w Leśnym Dworze u Ostrowskich w Wetlinie nie dostali pokoju z łazienką, pewnie nie mogą tego sobie wyobrazić.

A tak właśnie wyglądałyby realia, gdyby jakimś cudem została zrealizowana koncepcja, przedstawiona w maju 1973 roku na łamach *Tygodnika Studenckiego Politechnik* przez Janusza Rygielskiego i Jacka Mazura.

Od publikacji tej koncepcji rozpoczęła się publicystyczna batalia, zwana „sporem o Bieszczady”. Autorzy projektu proponowali, aby rdzenni mieszkańcy Bieszczad mogli poruszać się po terenie, jak chcą i żyli głównie z obsługi ruchu turystycznego, by komunikacja po obwodnicy była jedynie publiczna i w miarę możliwości nie kolidująca z zasadami ochrony przyrody. I żeby wolno było biwakować, gdzie się chce, byle nie niszczyć przyrody. Eksploatacja lasów miała być mocno ograniczona, a osadnictwo utrzymywane na ówczesnym poziomie co oznaczałoby de facto zakaz osiedlania się tam nowych ludzi.

Na obrzeżach rezerwatu miały być licznie rozsiane sklepy (oczywiście także ze sprzętem turystycznym) i wypożyczalnie tegoż. A także strzeżone parkingi, przechowalnie bagażu i sejfy do wynajęcia. Mazur i Rygielski propozycję swą zatytułowali „Chwila uzasadnionej fantazji”. Co do fantazji – zgoda. Ale o uzasadnienie w roku 1973 było trudno.

Nic dziwnego, że w epoce wczesnego Gierka, w czasach dynamicznego rozwoju za zachodnie kredyty, gdy Polacy zaczynali żyć nadzieją, że kupią małego fiata i pojedą, gdzie zechcą - po takiej publikacji rozpoczęła się burza.

A SKPB murem stało za autorami koncepcji. Jednym z najzagorzalszych (a napewno najgłośniejszym) jej zwolennikiem był oczywiście Witek Michałowski. Ale generalnie w Kole panowała opinia, że rezerwat powstać powinien. Braliśmy więc licznie udział w publicznych dyskusjach, pisaliśmy artykuły i listy do gazet. Grono wypowiadających się było wcale liczne. Z tego, com pamiętał, zabierali głos podczas publicznych dyskusji oraz na łamach i w eterze Jurek i Marta Korejwowie, Tomek Kowalik, oboje Bremerowie, Oldek Czczott, Bogdan Mościcki, Janek Jabłkowski, Adaś Mateńko, Krzysiek Ohtarzewski i niżej podpisany.

Atakowano nas licznie, „Polityka” obezwalała nas „skrajną lewicą bieszczadzką”, pieniły się władze powiatowe i wojewódzkie, atakowało „Życie i Nowoczesność” i z tuzin innych gazet. Odezwała się prasa partyjna z Trybuną Ludu, młodzieżowa, katolicka, brązowa. W sumie ukazało się na



Zakończenie „Rajdu Bieszczadzkiego” w 1969 r. – od lewej i od góry W. Orsetti, Gorczyca, de Teiserie, (2 rząd) M. Bolestawski, K. Drużycka, Bakowski, J. Bystrzanowski, Ufnalska, J. Drużycki, J. Lemieszewska, K. Porada, (3 rząd) J. Korejwo, W. Hibner, J. Lewandowski, fot. arch.

pewno kilkadziesiąt publikacji, może i więcej. Była to największa znana mi, samorządna akcja publicystyczna w owych latach, nie zaplanowana, idąca częściowo przynajmniej pod prąd trendom oficjalnie lansowanym. Władzy nie była ona bynajmniej na rękę.

Zarzucono zwolennikom rezerwatu chęć zamknięcia ludności Bieszczad w skansenie, zawłaszczenia gór dla nielicznej garstki fanatyków. Domagano się rozwoju leśnictwa, rolnictwa i masowej turystyki, w tym budowy zakładowych domów wypoczynkowych. To z tych czasów pochodził projekt budowy w pasie Wetlina - Ustrzyki Górne domów wypoczynkowych na 10 tys. osób. Tylko na Berekach miało wypoczywać trzy tysiące wczasowiczów. Nie wiadomo tylko było, czy obok czy zamiast rodziny gajowego Kapesa i trzystu owiec z Podhala (ale owce tylko sezonowo, podobnie jak baza naszej akcji letniej).

Spór, rozpoczęty artykułem w „Politechniku”, trwał z różnym natężeniem do końca 1973 roku i w roku następnym. SKPB dzięki niemu stało się najlepiej znanym publicznie studenckim kołem przewodnickim. Odgrzany został w 1979 roku, gdy ukazała się książeczka Witolda Michałowskiego i Janusza Rygielskiego „Spór o Bieszczady”, przypominająca koncepcję rezerwatu i burzę wokół niej.

Nawiasem mówiąc, gdy dla celów niniejszej publikacji sięgnąłem po ową książeczkę, spojrziałem zamieszczoną na jej końcu na mapkę rezerwatu. Wejścia do niego miały być w Komańczy, Łupkowie, Rzepedzi, Jabłonkach, Terce, Smolniku i ... Łukasiewiczach. Przypomniałem sobie przy tej okazji, że czas jakiś tak nazywały się Stuposiany, bo władze drażniły nazwy o ukraińskim brzmieniu. W końcu lat siedemdziesiątych, do roku 1981 chyba, Berehy były Brzeżkami, Smerek Świerkowem itp.

Co działo się w Bieszczadach w międzyczasie i potem? Ano sporo. Budowa owczarni na stokach Połoniny Wetlińskiej, bukaciami w Wołosatem i Muczonym, karczowanie olchy na łąki pod wypasy owych bukatów na stokach Szerokiego Wierchu dynamitem (tuż pod granicą parku narodowego),

budowa na Otrycie 70 (siedemdziesięciu) kilometrów stokówek do zrywki drewna. Ile kilometrów takich dróg, dziś w większości niszczących, wybudowano w całych Bieszczadach, nie zliczę.

A jakie były efekty? Paszę dla bukatów dowożono aż zza Rzeszowa. Hodowle splajtowały, gdy tylko skończyło się bezrozumne dokładanie do nich z państwowych (czyli naszych) pieniędzy. Kombinat drzewny w Ustianowej podzielił, choć sporo później, los bukiaciarni.

Zwolennikom dynamicznego rozwoju w stylu lat siedemdziesiątych, wyznawcom tezy, że Bieszczady mają doganiać resztę kraju w produkcji rolnej i wszelkiej innej, historia nie przyznała racji.

Czy to znaczy, że przyznała ją nam? I tak i nie. Przyznała o tyle, że przyszłością Bieszczadów okazała się turystyka. I to turystyka indywidualna, piesza, konna i rowerowa. Ale nie wyłącznie ona, bo mnóstwo jest tam w sezonie ludzi, którzy w góry chodzą niewiele i mogliby właściwie wypoczywać gdzieś indziej. A motorem rozwoju są prywatne inwestycje, mnogość pensjonatów, knajpek, smażalni, sklepików, galerii rzeźby. Miejscowi żyją więc z turystyki, ale trochę inaczej, niż to sobie wyobrażaliśmy wówczas.

Z drugiej strony - park narodowy jest dziś wielokrotnie większy niż był wtedy, większość dróg leśnych jest zamknięta dla prywatnych samochodów, na szlakach mało jest hołoty, zniknęły masowe pijane rajdy zakładowe.

W sumie - nie ma mowy o rezerwacie, ale jest lepiej, niż można się było spodziewać trzydzieści lat temu. A poza tym - została pamięć o ciekawej koncepcji, o odwadze w jej głoszeniu, w pójsciu pod prąd. Wydaje się więc, że Koło, w ślad za Jackiem Mazurem i Januszem Rygielskim, wyprzedzało czas, opowiadając się za takim rozwojem kawałka Polski, jaki się decydemtom wydawał wtedy absurdalny. A dziś jako koncepcja nie szokuje, choć realizowany jest inaczej.

Podobnie można by powiedzieć o naszym stosunku do Ukrainy. W tej ostatniej sprawie historia przyznała nam zresztą pełną rację.

Baza namiotowa na Tworylnem w 1965 r., fot. L. Karst.



ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH
 Biuro Wczasów, Podróż i Turystyki
 Warszawa, ul. Ordynaska 9

Warszawa, dnia...^{25 VI}...1964 r.
 L. dz. 438/ET/64

N O M I N A C J A
 =====

Biuro Wczasów, Podróż i Turystyki Zrzeszenia
 Studentów Polskich mianuje

Kol.^{Lesław Karst}.....

kierownikiem/instruktorem obozu
 wędrownego na szlaku ..^{Bieszczady 64}.....
 turnus...⁴... od dnia...⁵... do dnia...^{18 VIII}...

Prosimy władze miejscowe o udzielenie w/w jak najdalej
 idącej pomocy w wykonywaniu jego obowiązków.

BIURO WCZASÓW, PODRÓŻY I TURYSTYKI
 Zrzeszenia Studentów Polskich
 Warszawa, ul. Ordynaska 9
 Tel. 8-42-81

Sekretarz Komisji Wczasów
 Turystyki i Sportu RN
 op. ^{Y. Wysocki}
 /Zbigniew Godlewski/



Przewodnik Lesław Karst po odprawie
 u pełnomocnika Elżbiety Misiak-Bremer,
 odmedowuje się do prowadzenia turnusu,
 fot. arch.

Adam Kulewski blacha 172

Wiosna, lato, jesień, zima prezes się za głowę trzyma



Zostałeś prezesem. Mijają pierwsze godziny kadencji. Uchwały oklaski i powinszowania, którymi cię obsypano. Nadchodzą dni przemyśleń i postanowień, wyczuwasz wokół siebie atmosferę wyczekiwania – co też ten Nowy wymyśli? I zaczyna się! Wszystko na twojej głowie, od ważkich decyzji i koncepcji, do naklejania znaczków na listy. A już nasi mili koledzy przewodnicy zrobią wszystko, abyś nie mógł narzekać na szarość i monotonię życia codziennego. Ciągną za tobą kolejni petentów, ten chce opinię, tamten wyjechać za granicę, ów nie wie co zrobić z kosztorysem, jeszcze inny chce podpis, ktoś tan wyciąga elę na kawę, inny zaprasza do domu, a jednocześnie trwa prelekcja nt. Rumunii czy Kilimandżaro, której chciałeś koniecznie wysłuchać... Szybko okazuje się, że twój poprzednik był bałaganiarzem jak rzadko i we wszystkich możliwych sprawach panuje trudny do opisanego chaos i bałagan. Na szczęście prezes bywa na ogół ambitny i byle co go nie zraża, a przynajmniej nie daje po sobie poznać co przeżywa...

W miarę szybko dochodzisz do wniosku, że wszystko należy zacząć od początku, wziąć w garść i przekazać następcy w jak najlepszym porządku. Klnąc wiecej poprzednika w żywy kamień, bierziesz się do roboty. W szybkim tempie organizujesz i przeprowadzasz szereg twórczych dyskusji na mnóstwo palących tematów i wypracowujesz szereg koncepcji (a to narciarską, a to szkoleniową, a to letnią, a to wydawniczą). Wszystko w porządku, działki porzydzielane, robota się pali! Ani się obejrzyś jak mija parę miesięcy i nadchodzi pierwszy wstrząs. Nieomylny to znak, że wiosna blisko. Wychodzi na jaw, że choć „Powitanie Wiosny” należy ocenić pozytywnie, to kierownicy byli denaci, turystyczny nie dopilnował, koncepcja do luftu, teren jw., plakietka ohyda (aż zęby boją), obsługa leniwa, a zakończenie poniżej dna. Udzielasz paru nagan, oceniasz krytycznie prace turystycznego i wyciągasz wnioski na przyszłość. Nic to, stwierdzasz, że teraz nie wyszło, za to następcę dostanie wnioski i zrobi wszystko dobrze. Ty tymczasem, nie ufając już nikomu, sam zaczynasz dusić kierownika „Beskidu Niskiego”. Tutaj akurat wszystko jest zwykle jak najlepiej, ale kto się sparzył, ten na zimne dmucha, stąd wtrącając się do wszystkiego, aż zostaną wprowadzone poprawki po twojej myśli. Dumny z dokonanego dzieła patrzysz, co by tu jeszcze? I proszę – okazja sama pcha ci się w ręce. Egzamin OT. Jedyny moment, aby wyrzucić zbawienny wpływ na młody rocznik. Przy okazji można sprawdzić czy szkolenie przebiega prawidłowo, czy kierownictwo kursu traktuje wszystkich. sprawiedliwie, czy przypadkiem nie dzieli ludzi na tych „od razu do Krakowa” i resztę niezdatną w ogóle do niczego. Wprawdzie kierownictwo kursu to mężowie zaci i z ogromnym doświadczeniem, ale do kogóż można mieć większe zaufanie jak do siebie?

I znów odbywasz parę rozmów-spotkań i wewnętrzne przekonanie o dobrze wykonanej pracy daje ci poczucie błogosci i dobrze spełnionego obowiązku.

Nie możesz spocząć na laurach, bo czeka cię podsumowanie „Beskidu Niskiego”. Wnioski są na ogół takie same jak z „Powitania Wiosny”. Dochodzą propozycje zmiany terminu z kwietnia na maj, lub na odwrot, w zależności od tego, w którym miesiącu akurat rajd się odbył.

Tymczasem lato stuka, a ty w lesie z obsługą. Ale teraz działasz spokojniej. Chętnych do obsługi masz zwykle za dużo, więc kwalifikacja przeradza się we wspólną zabawę. Każdy w Zarządzie należy do jakiejś grupki, ma swoich ulubieńców i zawsze próbuje ich przepchnąć. Jakaż to uciecha, kiedy skreślasz z dobrego turnusu podpadniętego ci nieroba, albo wroga zaciętego wywalasz z Rumunii i każesz mu prowadzić bazę.

Tak więc przychodzi lato – tu wzięwszy delegację, nominację i zaliczkę, zaczynasz z ramienia organizacji dozorować to, co się w Bieszczadach dzieje. A jeśli już jesteś w Bieszczadach, jakież to miłe spotykać się z dowodami poważania i szacunku. Każdy uważa za stosowne mieć do ciebie i Zarządu pretensje i żale o wszystkich i wszystko: od niesprawdzającego się – jego zdaniem – pełnomocnika począwszy do brudnych koców i deszczowej pogody włącznie. Kontrola mija więc szybko i przyjemnie, wnioski są na ogół umiarkowanie optymistyczne. Obsługa świetna, ze to sprzęt zniszczony, baz za dużo, turystów za mało, drewno drogie i do tego wszędzie młodzieżowe dyskoteki. Wracasz z przeświadczeniem, że jak tylko zacznie się jesień, to natychmiast bierzesz się do roboty, załatwisz stałe lokalizacje baz, postawisz chatki i cała akcja będzie gotowa przód zimą. To samo trzeba jeszcze raz powtórzyć na podsumowaniu lata w Kole, w środowisku i na forum ogólnopolskim. Zyskujesz tym uznanie władz i rozgłos. Ale w międzyczasie wypada „Rajd Bieszczadzki” i „Złaz Kampinoski”. Obie imprezy dostarczają mniej więcej takich wrażeń jak „Powitanie Wiosny” i „Beskid Niski”. Już się jednak przyzwyczaiłeś i bez większego wrażenia wysłuchujesz, że plakietka była ohyda, obsługa leniwa, zakończenie poniżej dnia itd.

Tymczasem liście spadły i z przerażeniem stwierdzasz, że już najwyższa pora wziąć się za „Zakończenie sezonu” i przygotować koniec kadencji. Najpierw robisz weryfikację, wyrzucasz wrogów z Koła, a swoich mistrzów przenosisz w stan spoczynku. Szykujesz listę nagród i odznaczonych, piszesz sprawozdania, typujesz następców, prowadzisz kampanie wyborczą. Na śmierć zapominasz o koncepcjach, założeniach, sprawach bieżących, lecie i zimie, najważniejsi są następcy i Walne.

A potem, gdy już podziękowano ci za ogromny wkład w rozwój i gdy udało ci się wtopić kolejnego gościa w prezesurę, z życzliwą radością obserwujesz, jak twój następcą klnąc na nieporządku poprzednika zaczyna kadencję od cyklu twórczych dyskusji o palących problemach narciarstwa, szkolenia, lata, wydawnictw...

Historia studenckiej turystyki górskiej. 20 lat Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich, Warszawa 1977 str. 9-13

Poczet prezesów na 25-lecie: Bogdan Mościcki, Grzegorz Jung, Tomasz W. Łękawski, Adam Kulewski, Andrzej Stanek, Andrzej Wielocha, Jerzy Korejwo, Edmund Kuna, Barbara Rudzińska, Ewa Piątkowska (Janko), Tomasz Szumniak (prezes wówczas aktualny), Witold Michałowski, Jerzy Wicher, Henryk Supronowicz, przy mikrofonie Janusz Drużycki (który *nota bene* prezesem nigdy nie był), fot. arch.





Edmund Kuna „Mundek” blacha 205

Jarmarki bieszczadzkie w Komańczy



W 1970 roku trafiłem trochę przypadkowo do studenckiej bazy „Pod ponurą małą” w Szklarskiej Porębie na IV Giełdę Studenckiej Piosenki Turystycznej. Było sympatycznie, mnóstwo fajnych ludzi: Krzysiek Szczucki, Antoś Dąbrowski – konferansjer znakomity, Tadek Gos, Jan Kaczmarek – ten co mu się kurna chata marzyła, Krzysiek Piasecki, Sztamajzy, Wojtek Belon, Wacek Mastyk, kupa nocnego śpiewania przy ognisku, zwykle do rana.

Nieco ponad rok później, już jako student Wydziału Elektroniki Politechniki Warszawskiej któregoś wieczora na zebraniu klubowym Akademickiego Klubu Turystycznego „Maluch” od kierownictwa *Jarmarku Bieszczadzkiego* w Komańczy, czyli Tomka Jagielińskiego i Tadka Waleckiego (śp) usłyszałem pierwsze informacje o imprezie. Niedługo później razem z Jurkiem Szwagrzykiem uszliśmy propozycje zorganizowania części polowej jarmarku czyli zabawowo-rozrywkowej. Zgodziliśmy się. Impreza miała się odbyć w połowie sierpnia 1972 czyli miesiąc po zakończeniu naszego (mojego i Jurka) przejścia przewodnickiego 1971/72. Ekipa organizacyjna liczyła ok. 40-tu osób i składała się z członków AKT Maluch (oprócz w/w także ekspreszes Andrzej Pomiankowski, Julia i Jurek Czarnecy – bardzo pięknie malowali), prawie przewodników po przejściu czyli: Małgosi Majczak (obecnie Zięborak), Basi Gabryl, Kasi Starosty, Michała Ignatowicza, Ireny Krynickiej (obecnie Michałowskiej), Lucyny Leśniak (obecnie Zarebskiej), oraz sympatycznej młodzieży z Klubu Turystycznego „YETI” z Pruszkowa ze swoim guru. Guru „YETI” oraz instruktor przejścia przewodnickiego to oczywiście Adaś Kulewski, podczas Jarmarku odpowiedzialny za śpiewaków i jury.

Harówka trwała ponad miesiąc. Organizowaliśmy wszystko od podstaw. Zagospodarowanie i oznakowanie porośniętego lasem zakola strumienia, obszaru który liczył ponad hektar, nie było proste. Weźmy na przykład taki „słup z mydłem”: najpierw trzeba było znaleźć odpowiednie drzewo w lesie, potem uzyskać pozwolenie, wyciąć osobiście i bezpośrednio, a następnie przy pomocy konia ściągnąć dłużycę do obozowiska, okorować i zainstalować w uprzednio wykopanym dole. Być może dlatego potem z wielką zawziętością walczyłem o trofeum (chyba wygrałem, skoro dostałem 1,5 metrową, drewnianą maselnicę). Gier, zabaw i igrzów było w bród: ruletka (zrobiona ze starego koła od wozu, biegi w workach przez rzekę, strzelnice z łuków, strzelnica z wiatrówek i wreszcie „Człowiek-Skała” po którym można sobie było poskakać. Kolega Witold Michałowski, który pełnił rolę „skały” spasował dopiero na widok Wojtka Stążewskiego, w tamtych latach bardzo „dobrze zbudowanego”. Ówczesny prezes Wojtek Łękowski za opłatą w wysokości 1 zł zczyścić buty wszystkim chętnym.

Świetnym pomysłem (Jurka Szwagrzyka) była „Fizyczna Maszyna Matematyczna” piątej albo szóstej generacji zwana „Eskapbolem”, a znana też pod popularną nazwą „Oleometr”, wykorzystywana potem z niezłym skutkiem do mierzenia przydatności kursusynów SKPB.

Jarmark Bieszczadzki 1972 w Komańczy (Dołżycy) był imprezą na której poza zabawami, królowała studencka piosenka turystyczna. Bardzo pomocny był Stefan Gniazdowski, który śpiewał ze znaną w tamtych czasach grupą „Kaszuby” z Gdańska (solistką była Marysia, żona Stefana). Stefan zachęcił do udziału w imprezie m.in. Tacka Gosa (*A mówiłem nie pić przed weselem*), Wolną Grupę Bukowinę z Wojtkiem Bellonem, Rybą, Wojtkiem Jarocińskim (*Bukowiny I i II, Pejzaże Harsymowiczowskie*), Czesia Wilczyńskiego (*Autostop, Pójdę tam gdzie serca biją równie*), Adama Drąga (*Połoniny niebieskie, Popatrz niebo się kłania*), „Kociołka” z Andrzejem Mrozem, Jankiem Marchajem, Mufka Błaszczyk (*Tam gdzie najcieńszej sośnie*). Były też mniej znane zespoły jak „Ptakla” (fajnie śpiewały, ale nie pamiętam co?), „Dudy Wzdęte”, „Hartman” (*Bo to nie ma jak na rajdzie i Żabki*).

Na pierwszym *Jarmarku* w 1972 roku nagrodę główną otrzymał Mufka za *Jeziro*. Obrady jury w szacownym składzie (plotka mówi, że niektórzy jurorzy w trakcie obrad wpadli w objęcia Morfeusza) odbyły się w schronisku w Komańczy, którego kierownikiem był Krzysztof „Komańcz” Ołtarzewski. Kilka miesięcy wcześniej schronisko wyremontował kurs SKPB 1971/72. Niestety niedługo później schronisko spłonęło (komu to przeszkadzało?).

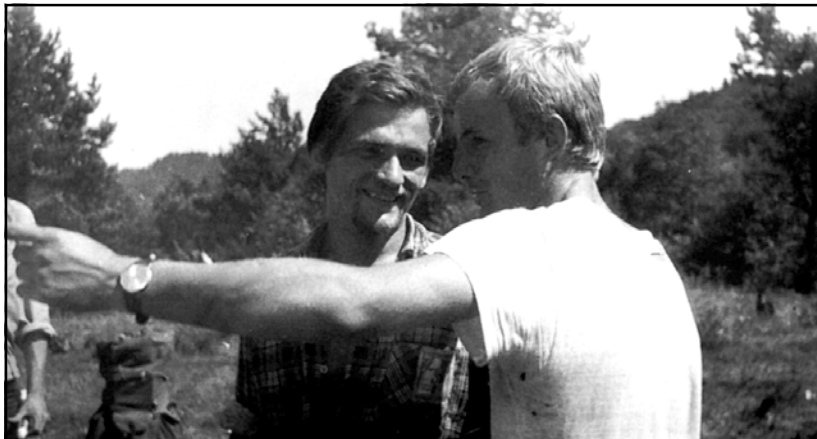
Jarmark 1973 był zorganizowany w podobnym składzie, z tym, że kierownikiem był Włodek Ogonowski, zastępują ją. W rzeczywistości czynności połowe wykonywaliśmy do spółki z Jurkiem Szwagrykiem i Adamem Kulewskim, Włodek był bardziej ds. zewnętrznych.

Podczas pierwszego *Jarmarku* korzystaliśmy z nagłośnienia, podczas drugiego obyło się bez. Śpiewy przy olbrzymim ognisku (kilka przyczep buczyny z kombinatu w Rzepedzi) na kilkaset osób trzeba naprawdę umieć prowadzić. Mróz zrobił to po mistrzowsku. Oczywiście najlepiej zawsze było nad ranem.

Jarmark 1973 trwał trzy dni. Pierwszego dnia śpiewali studenci, drugiego śpiewali i tańczyli tubylcy, trzeciego była uroczysta gala, nagrody. Główną nagrodę otrzymał Andrzej Mróz ze swoim ansamblem za *Wrzesień* (może za całokształt?).

Tajemniczym, supertajnym jury – możemy to ujawnić po latach – był Adam Kulewski (tym razem nie usnął, jak podczas pierwszego jarmarku) i ja.

Edmund Kuna i Jerzy Szwagryk, organizatorzy Jarmarku, fot. L. Zarębska



Uczestnicy imprezy obejrzeli występy zespołów w ludowych: „Ośławian” z Mokrego (Czerwona ruta), Greków – Anna i Viva (*I kinonia*) z Krościenka, „Wesele Pogórzańskie” zaprezentowane przez zespół z Grabownicy Starzeńskiej, a także zespół z Komańczy (dwie młode, łemkowskie dziewczyny wspomagane przez Adama i mnie zaśpiewały m.in. *Iwanka, Czorna jo se czorna, Pyta ja palinku, Tecze woda*).

Prasa na temat Jarmarku 1973 pisała tak:

Mnogie tłumy zacnych gospodarzy z Komańczy, Rzepedzi, Dusztynia, (...) ściągnęły wiedzione ciekawością. Na początku czuli się trochę nieswojo, szczególnie, że na ten okres ogłoszono prohibicję, która objęła nawet piwo. Rozruszali się jednak rychło oglądając hołubce wywijane z kozackim temperamentem na estradzie przez zespół z Mokrego. Przypomnieli sobie lata młodości, dawne tańce i przyspiewki. „Zeleną leszczynę” góry powtarzały echem, a kiedy tancerze z Grabownicy w pięknych niebieskich lajbikach zaczęli weselny obrzęd częstowania gości kołaczami i czymś chyba mocniejszym, w tany ruszyli wszyscy. Kapela rżnęła od ucha. Z desek estrady leciały drzazgi, fruwała w górę darr. Ci, którzy mieli już dość, zasiadali na przepysznym, miękkim kobiercu z zielonej murawy lub ruszali posilić ciało i ducha w kierunku kramów. Można w nich było dostać lizaki i bigos, kiszone ogórki i herbatę z najautentyczniejszych tulskich samowarów. (...)

Na łaknących strawy intelektualnej oczekiwali przemiłe panie z Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, służąc im licznymi wydawnictwami poświęconymi pięknej ziemi rzeszowskiej, ludowymi wycinankami i haftami, regionalnymi pamiątkami. Obok wystawiała swe prace – rzeźbione w miękkim lipowym drzewie – Anna Orłowska z Brzozowa. W Cepelii takich nie znajdziesz. (...) Szczególnie serdecznie był witany wyraźnie wzruszony prof. Roman Reinfuss, jeden z najwybitniejszych polskich etnografów, wielki miłośnik i znawca łemkowszczyzny, której poświęcił blisko pół wieku pracy naukowej. Profesorowi towarzyszyli dyrektorzy sanockiego muzeum i skansenu. (...)

Wątpiący w zawartość własnej mózgowicy mogli się sprawdzić również na oleometrze – eskapebolu – komputerze piątej czy szóstej generacji. (...) Dla prawdziwych mężczyzn, którzy takimi uciechami gardzili był przygotowany gładko wypolerowany słup na trzy piętra wysoki, posmarowany mydłem. Trzeba się było wdrapać bez żadnych pomocy, z plecakiem tarnowskim (na lekko) i złapać deskę przybitą na sztorc na szczycie. (...)

Jako zapowiedacz Krzysztof Ohtarzewski zwany „Komańcem”. 15-miesięczny Eryk Maria Ohtarzewski patrzył na ojca z podziwem wielkim i budził swym młodym wiekiem macierzyńskie uczucia dziewczoi w wianuszkach. Najstarsza na jarmarku była niewątpliwie babcia Haratyna, która owdowiła chyba jeszcze w czasie japońskiej wojny.

Całością dowodził dość sprawnie triumvirat: Włodek Ogonowski, Jurek Szwarzgryk i Mundek Kuna. Kolektyw kierowniczy czasem rozrastał się do bliżej nieokreślonej liczby osób, co powodowało pewne poślizgi w szczegółowo opracowanych harmonogramach, ustępując *Wielkiej Improwizacji*. Może to i lepiej. Atmosfera dlatego panowała niewymuszona, sielska, spokojna. Bez bieganiny nerwowego pośpiechu.

Ot, taka właśnie jarmarczno-odpustowa. Celami przyświecającymi organizatorom było właśnie znalezienie formuły czy modelu imprezy, która w równym stopniu jest atrakcyjna dla studenckiej braci, jak i mieszkańców okolicznych wsi. Pozwoli tym ostatnim ujrzeć w nowym świetle piękno starej tradycji i urodę dawnego obyczajaju ojców, zatrzeć w pamięci nie tak przecież odległe lata wzajemnej podejrzliwości, uprzedzeń.

Jarmark w Komańczy

Jarmark, czyli targ, odbywał się kiedyś w każdej znaczącej miejscowości. Zjeżdżali się doń ludzie z daleka, bo 10 atrakcja była nie byle jaka, kupić, sprzedać, a przede wszystkim zabawić się i nagapić do syta.

Studenci od lat szukający w Bieszczadach przygód i odpoczynku wpadli ma pomysł odkurzenia starej formy imprezy ludowej. Odrzucili jej handlowe oblicze, starając się wzbogacić walory rozrywkowe porcją humoru i świeżych pomysłów. W ciągu paru dni goście jarmarczni mogli spotkać się z ciekawym folklorem Beskidów, posłuchać najciekawszych piosenek turystycznych, zarówno tych najnowszych jak i nieco starszych, spędzić niezapomniane chwile przy ognisku, stanąć oko w oko z „Człowiekiem-Skałą”, skorzystać z dziesiątków jarmarcznych atrakcji, czy choćby tylko spotkać starych kumpli ze szlaku. A wszystko to w pięknej naturalnej scenerii bieszczadzkiej.

W Komańczy jarmark? Starzy Łemkowie wzięci na spytki, i owszem, wspominają przedwojenne słynne jarmarki w Lesku czy Dukli, ale jak świat światem nie słyszeli o czymś podobnym tutaj. Bo też impreza nawiązująca pomysłem do dawnych obyczajów ma swą genezę w czasach o wiele bliższych. Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, które od lat prowadzi akcję letnią w Bieszczadach, zaczęło stopniowo przejawiać coraz większe zainteresowanie współpracą z mieszkańcami regionu. I tak w 1970 roku, z inicjatywy Witka Michałowskiego, gospodarza studenckiej bazy w Komańczy, podpisano porozumienie między Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Komańczy a Radą Okręgową Zrzeszenia Studentów Polskich w Warszawie. Doszło do tego w sytuacji, gdy grupa młodych i pełnych inicjatywy miejscowych działaczy (Bogdan Wanciewicz, Zygmunt Hortmanowicz), dążąc do turystycznego wykorzystania naturalnych walorów Komańczy, dostrzegła sojusznika w środowisku studenckim. Zrzeszenie zobowiązało się prowadzić obozy naukowe, które miały podjąć problemy istotne dla regionu, zaś władze Komańczy przyrzekły pomoc w stworzeniu tutaj schroniska akademickiego. W podtekście umowy chodziło też o rozreklamowanie Komańczy i jej okolic, i temu celowi miały służyć imprezy, w tym Jarmark organizowany bezpośrednio po zakończeniu Studenckiego Rajdu Wakacyjnego w Bieszczadach.

Chodziło też o pokazanie młodzieży ginącego folkloru tej części województwa rzeszowskiego. I w tym momencie bezcenna okazała się pomoc Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. W ubiegłym roku na pierwszym Jarmarku kustosz tego Muzeum dr Stefański osobiście „handlował” wyrobami ludowych twórców.

Uczestników, zwabionych nadzieją na coś niecodziennego, bawił Tadzio Gos dramatyczną relacją z wesela „A mówitem nie picie w niedzielę...”. Piosenka miała powodzenie tym większe, że na okres trwania imprezy wprowadzono w gminie prohibicję. Tysiąc gardeł przy ogniskach powtarzało refren „Bo to nie ma jak na rajdzie...” i ćwiczyło piosenki ze Studenckiej Giełdy Piosenki Turystycznej zakończonej tydzień wcześniej w Szklarskiej Porębie. Mistrzom piosenki i championom gier sprawnościowych wręczono atrakcyjne nagrody. Pogoda i humor dopisały, więc opuszczano Komańczę w dobrych nastrojach, reklamując przebojem „Na kolejowym szlaku...” stuletnią Kolej Galicyjską Łupków — Komańcza — Zagórz.

Oceniając pozytywnie nową formę imprezy turystycznej zobowiązano Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, by wprowadziło „Jarmark Bieszczadzki” na stałe do swego kalendarza.

Przygotowania do „Jarmarku 73” nie miały już charakteru ubiegłorocznej improwizacji. Nawiązanie szerszej współpracy z władzami nowo utworzonego powiatu bieszczadzkiego procentowało znacznie większym udziałem miejscowego ruchu kulturalnego w imprezie. O ile „Jarmark 72” stał pod znakiem studenckiej piosenki, to na tegorocznym niepodzielnie królował folklor. Uczest-

nicy imprezy obejrzeli występy bajecznie kolorowego zespołu z Mokrego, „Wesele Pogórzańskie” zaprezentowane przez zespół z Grabownicy, a także tradycyjne już popisy młodych Greków z Krościenka. Jeżeli dodamy do tego pokaz rzeźby ludowej, bogatsze niż w zeszłym roku kramy Muzeum Budownictwa Ludowego, to otrzymamy coś na kształt małej „Cepeliady” podanej w sposób bardziej naturalny i w autentycznej wiejskiej scenerii. Potwierdzeniem faktu, że „Jarmark Bieszczadzki” ma już swą rangę jako prezentacja folkloru, była obecność wybitnego etnografa i znawcy tych terenów — prof. Romana Reifusa.

Wydłużenie imprezy do trzech dni pozwoliło pogodzić rozbudowaną część etnograficzną z gładką piosenką studencką i tradycyjnymi „grami i zabawami ludu polskiego”. Nie zabrakło świeżych pomysłów. Goście hazardowali się ruletą, zrobioną z drewnianego koła od wozu, mogli sprawdzić swe walory przy pomocy „Fizycznej Maszyny Matematycznej ESKAPBOL”. Funkcjonowały strzelnice i stoiska spożywcze GS, gdzie można było kupić olbrzymie serca z piernika z napisami: „Kochaj mnie”, „Mowa trawa”, „Witaj smutku” itp.

Wieczorem królowała piosenka. Konkursy oficjalne przebiegały w tym roku w o wiele bardziej kameralnej atmosferze. Było ognisko przy estradzie, pochodnie i jakby specjalnie zamówiony księżyc. Nastroj przeniół się potem między namioty, do dziesiątków ognisk palonych do rana. Największe uznanie „Super Tajnego Jury” zyskały piosenki Andrzeja Mroza z Krakowa.

Motywy graficznym plaketek pamiątkowych obydwu jarmarków były temkowskie hafty z okolic Komańczy. Znalazło to uznanie w oczach autochtonów obserwujących imprezę. Godny podkreślenia jest fakt, że impreza nie była wewnętrzną sprawą namiotowego miasteczka rozbitego w lesie między Komańczą a Dołżycą, lecz budziła żywe zainteresowanie mieszkańców okolic Komańczy i powiatu bieszczadzkiego. (...)

Tomasz W. Łękowski, Bogdan Mościcki (Gościńiec nr 53, XI.1973 r. Str. 13-13)

Basia Gabryl w trakcie malowania plakatów i kibicujący jej Grzegorz Jung, fot. arch.



Sprawozdanie

data

Nr. dz.

Inicjator

Otrzymało

z I-go Studenckiego Rajdu w Beskidzie Niskim.

OM PTTK
m. st. W-wy
WPL. 1480

208

28/65

I-szy Studencki Rajd w Beskidzie Niskim zorganizowany został przez Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich przy RO ZSP i OM PTTK w Warszawie dniami 12-16 maja 1965 roku. Rajd przebiegał sześcioma trasami, które rozpoczynały się w: Komańczy, Tuchowie, Stróżach, Żegiestowie, Besku i Krynicy. Wzięło w nim udział około 250 osób. Pogoda dopisała, nieociągnięć organizacyjnych nie było.

Celem rajdu było zapoznanie uczestników z bardzo mało znanym a atrakcyjnym terenem Beskidu Niskiego i Pogórza Ciężkowickiego, oraz zacieśnienie kontaktu z władzami terenowymi i miejscową ludnością. W tej dziedzinie nasze oczekiwania zrealizowały się. Rajd przebiegł pod znakiem szczególnej serdeczności ze strony władz. Dowodem na to może być między innymi stwierdzenie, że rajd "był doniosłym faktem", które użył prof. Chrostowski na zakończeniu Rajdu w Bieczu.

Innowacją, która została wprowadzona na Rajdzie było zorganizowanie poetyckiego zakończenia, obejmującego wiersze: Anny Kamińskiej, Jerzego Harasymowicza, Tatusza Kubiaka. Związane one były z Lemkowszczyzną i przedstawienie ich miało uczestnikom przypomnieć o tej zapomnianej Lemkowszczyźnie. Poza tym wprowadzenie elementu poezji do turystyki wydaje się być cenną inicjatywą.

Element krajoznawczy imprezy dominował w dwóch momentach:

1. Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich wydało informator o Beskidzie Niskim, co wobec braku jakichkolwiek publikacji dotyczących tego terenu, było bardzo dobrym pociągnięciem.

2. Na zakończenie rajdu zorganizowano uczestnikom zwiedzanie Biecza, który ze względu na dużą ilość zabytków był godny tej akcji.

Obie akcje były przyjęte przez uczestników z dużym zadowoleniem i napewno z dużym pożytkiem. Na marginesie tej sprawy należy zaznaczyć, że Koło ma zamiar gruntownie zredagować, uzupełnić i zrealizować drugie wydanie informatora. Kłopoty są jedynie z mapami, których ostatni nakład został całkowicie wyczerpany.

Należy podkreślić duży wkład pracy i dobrą robotę obsługi Rajdu, która ostatecznie zadecydowała o powodzeniu imprezy. Jest to jednak zbyt duża ilość osób, aby wymienić je personalnie. W każdym razie cenne innowacje zawdzięczamy:

Lesławowi Karstowi - redakcja informatora

Wandzie Wais, Barbarze Walickiej, Jerzemu Korejwie - przygotowanie części artystycznej zakończenia

Leonardowi Tyżmowskiemu - pomoc w realizacji spraw technicznych związanych z zakończeniem.

Przepręty na Przyjeździe

Nagrody książkowe

- 1) Banaśki 100
- 2) Karst 80
- 3) Walickie 40-50
- 4) Korejwo 20
- 5) Wais 20

Kierownik Rajdu

Jan Banaśki



Tomasz Kowalik blacha 54

Pierwsze kroki po Pirenejach

Nasi starsi koledzy byli pierwszą grupą polskich turystów górskich, którzy na przełomie lipca i sierpnia 1972 roku mieli okazję poznawać francuską część Pirenejów Wysokich. Było to możliwe dzięki organizowanej od 1970 roku bezdekwizowej wymianie grup młodzieży studenckiej z Polski z ich rówieśnikami z Francji. Wymianę organizowało Biuro Podróży i Turystyki „Almatur”, wtedy jako agenda ZSP z francuskim Narodowym Związkiem Ośrodków Sportowych na Wolnym Powietrzu (UCPA – Union des Centre Sportifs de Plein Air).

Trafiliśmy w letnią pogodę, której słoneczna natura i promieniowanie odbijane od śniegu na znacznych wysokościach dawało nam się we znaki. Oparzenia utrudniały spanie, ale te na karku i rękach można było zapomnieć w czasie mozolnego kroczenia w górę typowym „ciurkiem” i na znanej też u nas „sapce”, czyli postoju na przewiewnej przełęczy, gdy posilaliśmy się mięsem pieczonego królika, bardzo ciekawie pachnącymi francuskimi serami pleśniowymi, sałatkami, owocami i białym pieczywem. Wszystko popijaliśmy zimną, krystaliczną wodą ze strumienia.

W różnych regionach Francji było ponad pięćdziesiąt ośrodków, a w samych Pirenejach trzy – Saint-Lary, Gourette i Barçges. Ten ostatni, był naszą bazą wypadową, a jest położony w walnej dolinie pod masywem Pic du Midi de Bigorre, w departamencie Pau niedaleko sławnego sanktuarium w Lourdes. Utrzymanie ośrodków zapewniała dotacja z francuskiego Ministerstwa Młodzieży, Sportu i Rekreacji, według standardu Francuskiego Związku Schronisk Młodzieżowych, podobnego Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych. Na działalność UCPA składały się turystyczne i sportowe, ale także badawcze programy edukacyjne, rekreacyjne 38 organizacji. Część kosztów ośrodków pomniejszali uczestnicy przez samoobsługę w stołówkach, bazach namiotowych w górach, utrzymaniu czystości w sanitariatach i zbiorowych sypialniach, tradycyjnie oddzielnych dla dziewcząt i chłopców.

Nasi gospodarze – ośrodek w Barçges mógł przyjąć jednocześnie 150 osób – mieli po raz pierwszy do czynienia z grupą zaawansowanych turystów z Polski, natomiast Francuzi w ogromnej większości byli na etapie poznawania gór, i to od razu dość wysokich. Wypada dodać, że w większości były to dziewczyny w wieku 18-30 lat, uczennice szkół zawodowych, asystentki medyczne, urzędniczki. Na szlakach były liczne okazje do sprawdzania przystosowanej polskiej rycerskości. Tym bardziej, że niektóre z nich miały silny lęk przestrzeni, co na eksponowanych ścieżkach i polach wiecznego śniegu było niebezpieczne i kłopotliwe dla zaledwie dwóch zawodowych przewodników, na dwadzieścia osób w naszej grupie.

Pisałem to wspomnienie o naszych górskich sprawach w Pirenejach po trzydziestu pięciu latach od przedpełtania zaledwie kilkunastu tras. Bo szlaków, takich jak nasze, tam nie ma, niektóre trasy wyznakowane są plamami barwnej farby lub białymi prostokątami z główką kozicy i literami PN. Z naszej, wówczas 7,5 tysięcznej w Polsce kadry czynnych przewodników, na pirenejskich

trasach znalazło się zaledwie kilkadziesiąt osób. Był to początek polityki polskiego „otwarcia na Francję” w wielu dziedzinach. I zaledwie po 3-4 latach wymiana między ZSP a UCPA upadła z banalnie prostego powodu – koszty naszego pobytu we Francji były nieporównywalnie mniejsze niż francuskich rówieśników w Polsce.

Miałem problem zasadniczy – po tak długim czasie nawet za pomocą fotografii nie sposób odtworzyć imiennego składu naszej grupy. W pierwszej „turystycznej pirenejskiej” – z nadzieją, że będziemy mieli licznych następców – uczestniczyli członkowie Studenckiego Koła Przewodników Górskich z Krakowa (m.in. Jan Dziura), Akademickiego Klubu Turystycznego z Wrocławia, Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich i AKT „Gronie” z Gliwic, Studenckiego Klubu Turystycznego „Fify” z Gdańska. W 1972 roku w pierwszej grupie „pirenejskiej” ze Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich byli Krzysztof Porada, Barbara „Kangur” Jankowska (Marczyńska), Szczepan Marczyński – zawodowy botanik był podziwiany za ogromny zapal i nieustanna pogoń z aparatem fotograficznym za każdą kwitnącą górską rośliną. Autor tego tekstu brał udział w pirenejskiej przygodzie jako członek koła i zarazem przedstawiciel redakcji Tygodnika Studenckiego „Politechnik”. Pismo znane było z licznych tekstów (także członków SKPB) o tematyce turystycznej, reportaży i dyskusji, z głośną i obfitującą w publikacje kampanią prasową „Odkrywamy powtórnie Bieszczady”, ale głównie ich ochronie przed pazernym zagospodarowaniem. W 1973 roku wędrowali po Pirenejach Bogdan Mościcki i Janusz Rygielski, w 1974 roku Jola Lemieszewska (Lipszyc) i Jan Bazyl Lipszyc.

Wieś Barçges leży na wysokości 1250 mnpm na północnych stokach w dolinie pod potężnym masywem Pic du Midi de Bigorre. Do prac samoobsługowych, np. w jadalni, mycia naczyń po posiłkach czy sprzątania wieloosobowych pokoi, każda grupa delegowała swoich przedstawicieli. Cisza nocna od godziny 22 była „porą świętą”, tak jak we wszystkich pirenejskich schroniskach wysokogórskich, gdzie nikt nie miał prawa wchodzić w butach turystycznych. Na 2-3 dniowe wędrowki górskie z zapasem jedzenia w plecakach ruszaliśmy wcześniej rano, czasem autokarem dowożono nas do odległego punktu wyjścia na szlak. Górski dzień niemal niczym nie różnił się od podobnych wędrowek w naszych górach.

Podczas pobytu w Barçges opiekowali się nami francuscy „koledzy po fachu”, przewodnicy zawodowi, Gerard Chatelein – brodaty Francuz ze swoim dziewięcioletnim, synem Patrykiem, nieodłącznym partnerem na łatwiejszych szlakach i Marokańczyk, jego asystent-stażysta Moham-med, absolwent szkoły wychowania fizycznego, której wiceszefem był Jan Mulak, znany trener polskich lekkoatletów. Marokańczyk korzystał z każdej okazji, żeby uczyć się polskich słów, odmieniania przez przypadki, budowania zdań, opowiadania o sobie prostym, użytecznym na co dzień potocznym językiem i polskich i słowackich piosenek. To Gerard zaskoczył nas zupełnie, gdy w schronisku nad jeziorem Gler wznosił 1 sierpnia toast butelką wina i słowami „za Warszawę” przypomniał ważną dla nas rocznicę powstania.

Kolejne dni pobytu wypełniły wędrowki poczynając od doliny pod Pic d«Espade 2467 mnpm i przełęczy Col d«Ourdis na zachód od Pic Quatre Termes 2724 mnpm. Pierwszą noc spędziliśmy w bazie namiotowej i przy kolacji wokół ogniska. Była dobra okazja do pośpiewania. Kolejny dzień powitał nas gęstą mgłą. Doliną u podnóża Pic d«Astazou 2622 mnpm wypełnioną jeziorami, kwitnącymi kaczercami i rododendronami, weszliśmy na przełęcz d«Aubert 2498 mnpm. I do granicy ścisłego rezerwatu o tej samej nazwie. Potem obchodząc duże liczne jeziora pod masywem Pic de la Mourille 2679 m nmpm, po stromych płatach wiecznego śniegu, doszliśmy do masywu Pic de Neouvielle, ale mieliśmy zakaz wspinania się bez lin i asekuracji.



Krzysztof Porada i Szczepan Marczyński na obozie UCPA, fot. arch.

Pod szczytem Pic d'Aubert jest ogromna stacja łączności satelitarnej, obserwatorium meteo, przekaźniki telewizyjne, z załogą około 300 osób. Można je oglądać z bliska dojeżdżając z Barçges. Jest to jeden z kluczowych punktów na etapach górskich wielkiego kolarskiego Tour de France. Okoliczne doliny i szczyty „uzbrojone” są w kolejki i wyciągi zaprojektowane przez inż. Pomagalskiego, który miał wzbogacić nasze góry w podobne urządzenia. Jednym z najbardziej atrakcyjnych miejsc w tej części Pirenejów jest Cirque de Gavarnie, zbliżony kształtem do kotła Morskiego Oka, ale bez jeziora na dnie za to z 422-metrową Grande Cascade i ogromnym parkingiem, straganami i tłumem znacznie liczniejszym niż w nad naszą „perłą Tatr”. Przyciąga ich biegnący tędy, choć niewidoczny południk 0 – robiło się jeden krok, żeby znaleźć się na zachodniej półkuli globu. W koronie kotła najwyższy jest Pic de Marbore 3248 mnpm, a na licznych ścianach wspinaczkowych można podziwiać z linami wielopokoleniowe rodziny. Kolejna atrakcja to przełęcz 2807 m npm legendarnego Rolanda, wyrębana w skałach jednym cięciem miecza. Z wąskiej szczeliny rozciąga się rozległy widok na południowe, łagodne, spalone słońcem, ubogie w wodę Pireneje w Hiszpanii.

Kolejna wycieczka była okazją po poznania wysokogórskiego zbiornika i elektrowni wodnej na rzece Arens, przetrawersowanie piarzystych i obłożonych wiecznym śniegiem stoków Petit Balaitous 2579 mnpm, i niestety tylko podziwianie Balaitous 3144 mnpm ale także grzybów lodowcowych. Stratę wspinania się w górę na Vignemalle 3298 m npm wyrównaliśmy ponad godzinnym zjazdem na butach po wiecznym śniegu do schroniska le Dormeur. W kamiennym schronisku Oulettes pod szczytem Pic de Oulettes 2760 m npm są tylko wspinacze, a do wnętrza wchodzi się tylko w specjalnych gumowych „kapiach”. Zaopatrzenie (głównie butle z gazem i piwo w puszkach) tylko za pomocą śmigłowca, który w locie powrotnym zabiera odpady w plastikowych workach. Niestety, wielokolorowe składowiska rozmaitych metalowych pojemników zalegają opodal, co świadczy, że transport nie działo za dobrze.

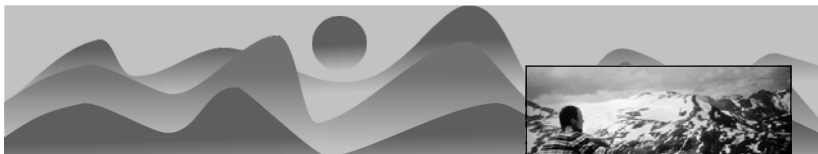
O tym, że Polaków nie brakuje i nie brakowało dawniej w różnych częściach świata, a więc i we Francji na pograniczu z Hiszpanią, przekonaliśmy się odwiedzając w Barçges Pierre Polonaise – Kamień Polski. Są w nim wykute wiele lat temu polskie nazwiska, zapewne emigrantów po powstaniach i wojnach, daty ważnych dla Polaków wydarzeń historycznych, a przy nich wizerunki symboli narodowych – polski orzeł i litewska pogoń.

Jeśli Czytelnikom, z Koła i nie tylko, starczy cierpliwości zachęcam do poznania moich wcześniejszych publikacji na temat wędrowek pirenejskich. Znajdą je w Tygodniku Studenckim „Poli-technik” nr 29 (569) z 15 października 1972 roku – tekst „W okolicach południka 0” (pod pseudonimem Grzegorz Woroszyło) oraz w roczniku „Wierchy” 42:1973 tekst „W Wysokich Pirenejach”.

Warszawa, marzec 2007 roku



Pierre Polonaise – Kamień Polski, fot. T. Kowalik.



Andrzej Huczko blacha 163

O początkach wyjazdów w góry egzotyczne

Przez pierwsze kilkanaście lat istnienia Koło działało głównie w Beskidzie Niskim i Bieszczadach; wyjazdy nawet w góry „Demoludów” jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia były niezwykle utrudnione. Na przełomie lat 60/70-tych pojawiają się „przepustki w pas konwencji” – można już pojechać indywidualnie w Tatry Słowackie, 2 razy w roku po jednym tygodniu, przydział koron też był limitowany. A pamiętam – tyle dobra wszelakiego w sklepach na Słowacji, np. niemal nieznanne u nas banany, no i słynne „robocze” skarpety (do dziś jeszcze mam jedną parę). A także – horolezki, do dziś jeszcze je mam! Ale „Polak potrafi” – pamiętam, jak robiłem w przygranicznej kosówce od naszej strony na Wołowcu depozyty żarciowe, po które wracałem od strony Słowacji, aby przyszczędzić trochę koron na sprzęt turystyczny.

Chciałbym podzielić się z Wami wspominkami z paru wyjazdów w „góry egzotyczne”, które zacząłem organizować w Kole na początku lat siedemdziesiątych; za takie góry uważało się wówczas te leżące poza krajami „Demoludów”, przede wszystkim dlatego, iż niezbędny był do takich wyjazdów paszport, towar chyba najbardziej „za komuny” reglamentowany. Tu chwala niech będzie naszym ówczesnym kołowym „wtykom” w „Almaturze” czy Komisji Turystyki i Sportu Zrzeszenia Studentów Polskich (m.in. Adaś Kulewski, Andrzej Wielocha, Wojtek Łękawski...), którzy w tym względzie byli niezwykle przydatni, nie powiem, czasem nawet jakąś „promesę” załatwili. Bo do wyjazdu nie tylko paszport potrzebny, ale też parę zielonych, a to był w PRL-u towar również reglamentowany: przy dobrych „chodach” można było dostać przydział 110 USD raz na dwa lata! I nie chodziło tu o kasę na wyjazd – to też Polak potrafił, czarny rynek walutowy miał się wówczas całkiem dobrze. Rzecz była w tym, że zaoszczędzone za granicą (a oficjalnie przyznane promesą) dolary można było przywieźć z powrotem do Polski, zadeklarować na granicy, a następnie pomaszerować do banku PKO na Czackiego i założyć słynne KONTKO. To ono właśnie umożliwiało kolejne wyjazdy i przyznanie paszportu. Nic więc dziwnego, że wyjeżdżając za granicę po pierwsze szmuglowało się zakupione na lewo dolary, a po drugie – brało się 100 % żarcia, żeby za granicą nic nie wydać; wszak przeciętna wówczas pensja to było 20 „zielonych” według czarnego rynku.

Ale wróćmy do gór. Około 1970 roku ma miejsce wyjazd „górsko-turystyczny” paru osób z Koła (m.in. ś.p. Adaś Skrzeczek) w góry Macedonii (m.in. Tetov Vrh). Zaś w 1973 organizuję mój pierwszy w pełni kołowy wyjazd w „góry egzotyczne”: leżące na pograniczu Albanii i ówczesnej Jugosławii piękne, wapienne Prokletje. Oprócz mnie uczestniczą w nim: Halinka Kazberuk, Rysiek Bachowski, Janusze Szałajski i Drużycki, a także Jacek Tudruj oraz Ela Huczko i Ewa Bachowska. Objuczeni misternie zapakowanymi paczkami z żarciem na 3 tygodnie pobytu dojeżdżamy pociągiem do Belgradu; stamtąd część żarcia wysyłamy do (ówczesnego) Titogradu, aby go z sobą nie wozic (paręnaście dni potem na dworcu w Titogradzie stracimy wiele godzin na odnalezienie tych paczek). Następnie przejeżdżamy do Skopje i w góry – biwaki w głębokich dolinach, przewyższe-

nia wapiennych turni przekraczające 1000 m, brak wody, żmije, upał, ale pięknie i dziko... Na granicznym grzbiecie albańscy pogranicznicy z fuzjami pamiętającymi chyba czasy Franciszka Józefa, dyndającymi na sznurkach na ich plecach. A potem program zwiedzaniowy – przejazd nad Adriatyk, Kotor, Budva, Dubrownik... Pamiętam, jak z Rysiami popłynęliśmy łódeczką na wiośła zwiedzać wyspę Św. Stefana, łódkę zostawiliśmy na plaży, a potem – ku naszemu przerażeniu – będąc na murach klasztoru zauważyliśmy, że morze łódkę „zabiera”... Chyba nigdy przedtem ani potem nie biegłem szybciej... I wszędzie w miastach te wieczorne zapytania „tri szatory, adna nocz?”, bo oczywiście oszczędzaliśmy na kampingach i rozbijaliśmy się nocą, gdzie popadło (raz nawet ... na cmentarzu). A taką miałem – jako fasuch – cholerną chęć na jugosłowiańskie ciasteczka – których jednak cena była wówczas dla nas niebotyczna... No i te oszczędzanie „zielonych”. A na koniec powrót pociągiem z Sarajewa do Belgradu, gdy konduktor już nas całkiem finansowo pograżył: mieliśmy bilety, ale nie na pierwszą klasę, a tylko takie wagony były w składzie; nie wykupiliśmy miejsc rezerwowanych, a tylko takie były we wszystkich wagonach; nie zrobiliśmy dopłaty na ekspres, a taki to był pociąg oraz nie zgłosiliśmy tego wszystkiego konduktorowi przed odjazdem pociągu. I nasze oszczędności szlag trafił...

Już w następnym roku (1974) ambitniejszy i wyższy cel: wulkany Iranu. Znow pomagają „chłopczy z Almaturu” (paszporty, promesy...), no i sponsorzy – o których wówczas było znacznie łatwiej niż dziś. Dostaliśmy z „Hortexu” w Górze Kalwarii 10 litrów przecieru jabłkowego (zaczął zamieniać się w „jabcola” już na drugi dzień upojnej i upalnej 96-godzinnej podróży pociągiem z Moskwy do Teheranu...), z „Sanu” w Jarosławiu „Petit Beury” i suchary, ze Spółdzielni Mleczarskiej w Kamieniu Pomorskim 2 paki mleka w tubkach (też z kakao oraz kawą – tych ostatnich nawet dziś nie kupisz...), a od wojska – wspaniały chleb w pancernych puszkach o średnicy kilkudziesięciu centymetrów. No, jeszcze „Polsport” w Bydgoszczy dołożył nam jakieś plecakowe badziewie do testowania, zaś Krosno – „Zawraty” (wcale nieźle buciki, choć po dwóch tygodniach irańskich piargów palce miałem na wierzchu). Wyjazd (uczestnicy to: Adaś Skrzecz, Wicio Hibner, Zdzisio Pietruszka, „Kaczor” Waldemar Ufnalski oraz Ela Huczko, Marianna Ufnalska oraz Jacek Tudruj), „ustawiłem” jako intensywnie górski (no, i znow te paki z żarciem, kłopoty były już w moskiewskim metrze na

Wyprawa w Prokletje w 1973 r., Janusz Drużycki, Ela Huczko, Ewa Bachowska, Halinka Kazberuk, Rysiek Bachowski, Jacek Tudruj, Andrzej Huczko, fot. J. Szatajski



schodach ruchomych). Na początku działaliśmy „aklimatyzacyjnie” w górach Elburs o alpejskim charakterze w rejonie 2-go szczytu Iranu, niemal 5-tysięcznego Alam Kuha. Pamiętam dojscie do bazy: z 1800 m na bodajże 3600 m jednego dnia, mufy z bagażem nas „załatwiły bez mydła”, jedynie Pietrucha dotrzymał im kroku... Namioty stały na zielonej łączce, na której w ciągu dnia pojawiał się strumyczek z pobliskich pól śnieżnych, chodziliśmy „na lekko” zaliczając kolejno okoliczne czterotysięczniki z Alam Kuhem włącznie. Na ten ostatni towarzyszył nam ... wiejski piesek, który dołączył do nas na dojsciu w góry i w zamian za wylizywanie puszek wiernie nam we wszystkie wycieczkach towarzyszył. Pamiętam też wieczną mordęgę z gotowaniem: mieliśmy trzy niemieckie Jwle na benzynę, ale ta irańska była cholernie „tusta” i kuchenki się wciąż zatykały. Tą czarną robotą (czyszczenie!) zajmował się Wćio, najlepszy inżynier między nami. Potem przeczuliśmy się na najwyższy wulkan Iranu – Damawend (5633 m), zaliczając go „bezboleśnie” w komplecie. Następnie przerywnik zwiedzaniowy: Teheran, Isfahan, Persepolis i Sziraz. W tym ostatnim wspaniały kemping (byliśmy tam sami) z basenem ze szmaragdową wodą – leżeliśmy wokół żrąc „aż do bólu” (żołądków) słodkie, małe winne winogrona bez pestek, tu liderem był bezapelacyjnie Adaś... Na koniec naprawdę egzotyka: zdobycie 2-go wulkanu Iranu, Sawalanu (4812 m), który dostrzegłem w mym atlasie na mapie Iranu (chyba 1:1 000 000) w rejonie miasta Tabriz tuż przed wyjazdem. I to były w zasadzie wszystkie informacje na temat tej góry – Internetu i przeglądarek wówczas nie było. Jakoś tam dotarliśmy i górę też w komplecie zdobyliśmy, czując się trochę jak wyprawa Sir Everesta szukająca najwyższej góry świata. A warto było: długa wspinaczka po polach śnieżnych, na szczycie minus 7 stopni Celsjusza, zamarznięte jezioro w kraterze wulkanu. Potem jeszcze przebijaliśmy się bez map przez „terra incognita” na południe do jakiejś „cywilizacji” – pamiętam te zjadane przez nas, mimo poranionych słońcem warg, góry arbuźów i melonów w pierwszej napotkanej wiosce. Tu też Adaś był w najlepszej formie... Na koniec atrakcje innego rodzaju: nasz zostawiony w paczkach na balkonie hotelu w Tabrizie depozyt „kożuchowy” (wówczas mieliśmy nad Wisłą erę „haftowanych kożuchów afgańskich”, zresztą zimy też były wówczas nieco solidniejsze) zamókł i kożuchy stały się „wielokolorowe”. Szybka akcja policji (kierownik hotelu znów nie wierzył, że „Polak potrafi”...), a następnie zaimprovizowana rozprawa sądowa, przyniosła nam pewne rekompensaty finansowe.

I jeszcze ciekawostka (a może moja dumota jako kierownika imprezy, że się na to zgodziłem): Marianna, zaliczając w komplecie całą działalność górską (!), była wówczas bodajże w czwartym czy piątym miesiącu ciąży (dziś jej synek, chłop jak dąb, skończył już chyba Studium Doktoranckie na P.W.). A potem zaczęły się już regularnie prowadzone przez Koło wyjazdy środowiskowe do Iranu.

W 1978 roku robię kolejny wyjazd: góry Norwegii. Jedziemy znów w ósemkę: oprócz mnie i Eli – Ola Buczma, Paweł Jagiełło, Janusz Zarzycki, Wojtek Jasiński, Zdzisio Pecul oraz Marcin Sobkowski. Marcin chyba zaczynał wówczas swe egzotyczne wojaże, z czasem stanie się w Kole chyba No. 1 pod tym względem (no, może Michała Bajera nie przeszkodzi). Pierwsza część pobytu to działalność w grupach 4-osobowych: my byliśmy z Wojtkiem i Zdziśkiem, biwakując na fjeldzie w rejonie Andalsnes (w pobliżu największe ściany wspinaczkowe Europy – m.in. Ściana Trollów). Pamiętam tę wspaniałą pustkę i dzikość okolicy, niemal „białe” noce, Zdziśka łowiącego w bystrym górskim strumieniu menażki, które mu wyleciały przy myciu... Wreszcie słuszną furię Wojtka, który zszedł po 20 kg depozytu żarciowego do Andalsnes (nie pamiętam już czy był to jego „bad luck” w grze w marynarza, czy też był ochotnikiem), a przywitaliśmy go: „No co tak długo, już prawie umieramy z głodu?”... Potem spotkaliśmy się z grupą Marcina i razem eksplorowaliśmy lodowcowy Jotunheim, zaliczając m.in. najwyższe góry Norwegii – Galdhopingen i Glittertind. Ale przedtem było

uporne 18 km asfaltu na dojściu do schroniska Spiterstulen – pełna lampa, plecaki (a nosiło się wówczas głównie tzw. „tarnówki”, które puste ważyły ponad 3 kg!) po 25 kg. Na koniec przetraversowaliśmy cały Jotunheim na południe, po drodze śnieżycę i piękna, strzelista Kirkja oraz niezapomniane biwaki. Końcówka wyjazdu to trochę *sightseeing*: słynna z dziesiątek „agrafek” Droga Trollów, „wikingowy” kościółek w Lom, *Siedem Sióstr* w Geiranger Fjord, no i wreszcie słynna z widoków przejażdżka pociągiem z Bergen do Oslo. Koło potem zaczęło też jeździć ze studentami w góry Skandynawii.

W 1981 roku, tuż przed stanem wojennym, pierwszy mój wyjazd w dalekie, najbardziej „egzotyczne” góry – nepalskie Himalaje. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że w ciągu następnych dwudziestu lat zawitam tam pięć razy. Z Elą i Jackiem Kowalczykiem próbowaliśmy wejść na Dampush Peak (6013 m) w rejonie Dhaulagiri. Wtedy deszcze spóźnionego monsunu zmyły nas z pięciu tysięcy metrów, Dampusha zaliczyłem samotnie w następnym roku.

W góry na północy Europy powróciłem znów na początku lat osiemdziesiątych – tym razem z Elą oraz Wieskiem Tomaszewskim objechaliśmy „Zaporozcem” całą Skandynawię, zaczynając w Sztokholmie, a kończąc w Helsinkach. Znów „studenckie kontakty” pomogły nam w uzyskaniu paszportów, co w tym czasie nie było proste (a z czego w pełni skorzystał Wiesiek, nie wracając już z nami do kraju). Celem głównym wyjazdu były najbardziej chyba egzotyczne góry europejskie – masyw Sarek, na północnym pograniczu Szwecji i Norwegii. Góry nazywane w przewodniku „the wildest mountains in Europe”. Pamiętam fatalną pogodę, brak mostów i przeprawy przez niekończące się strumyki i rzeczki, ciągłą wilgoć łąchów i butów (goretex’ów i windstoperów wtedy nie było). Nic nie można było wysuszyć, bo w tundrze na fjeldzie rosły co najwyżej rachityczne krzewinki i ognisku nie było mowy. W zamian jednak – kilkanaście szczytów powyżej 2000 m, lodowce i totalny brak ludzi. I po tym wyjeździe ludzie z Koła zawitali w następnych latach w Sarek.

Wspomniane wyjazdy były też trochę „przetarciem” terenu dla prowadzonych przez członków Koła regularnych grup studenckich, które w następnych latach pod egidą „Almaturu” odwiedzały góry Iranu, Skandynawii czy nepalskie Himalaje. Pomagały im też pisane wówczas przez nas „mini-przewodniki” górskie (po górach Iranu, Skandynawii czy Turcji).

Dziś wspomniane wyżej góry to już raczej nie przygoda, ale w „tamtych” czasach – wierzcie – wyprawa w Prokletje czy na Demawend to była naprawdę „egzotyka”...

Góry Norwegii w 1978 r., Ela Huczko, ??, Marcin Sobkowski, Ola Buczma (Cykowska), Wojciech Jasiński, leży Andrzej Huczko, fot. arch.





Juliusz Zięborak

Iran 1975 – z Dziennika Podróży

W drugiej z trzech wypraw zorganizowanych przez Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w góry Iranu udział wzięli: Zosia Goliger, Irena Krynicka, Jacek Kowalczyk, Bogdan Mościcki, Wojtek Starck, Małgosia Zięborak, Julek Zięborak. Druga wyprawa została zorganizowana w lecie 1975.

Przejście przez góry Alborz zostało opisane w artykule „Silniejszy od mułłów” wydrukowanym w „Politechniku” w roku 1975.

Redaktor „Politechnika” tak podsumował wyprawę:

Uczestnicy wyprawy, oprócz opisanego przejścia przez góry Elbrus weszli na najwyższy w Iranie Damavand oraz zwiedzili Teheran, Isfahan, Shiraz, Ahwaz i Abadan, a w drodze powrotnej zawadzili o Irak, Syrię, Liban i Turcję. Niektórzy zaś byli w Grecji i wdrapali się na Olimp. Wszystko w ramach 130 dolarowej promesy, ale za to z dużą dozą fantazji.

Fantazja była. Ale zakupione 130 dolarów to nie bardzo dużo na 2 miesiące podróży.

17 lipca 1975

Wojtek i Bogdan udają się na piechotę do widzianej wczoraj o zmierzchu wsi. Celem ich wycieczki jest wypożyczenie mułłów. Oczywiście za skromną opłatą.

W międzyczasie robimy śniadanie i pakujemy się. Idzie to sprawnie. Po dwóch godzinach jesteśmy złożeni i mamy śniadanie. Wracają Bogdan i Wojtek. Niestety bez mułłów, za to z pieniędzmi. Po spróbowaniu śniadania udają się do innej wsi w poszukiwaniu tańszych mułłów. Pozostali natychmiast odspiają wczesne wstanie oraz badają okolicę. Okazuje się, że nasze obozowisko położone jest na granicy pola ryżowego. Od ruin zameczku i w ogóle ze wzgórz, pod którymi nocowaliśmy, jest piękny widok na Morze Kaspijskie, a w drugą stronę na góry Alborz. W dolinie, do której weszliśmy, widać więcej pól ryżowych. Pola te nawadniane są przez rzekę (*mówią na nią Buchozor czy Dochozor?*), która jest dzielona kamiennymi wałami na wiele części i później te potoki kierowane są na pola. Jest to bardzo przemysłna irygacja. W rzece zostaje trochę wody, tyle że można się wykąpać.

Chodzą koło nas różni ludzie, a czasem nawet muły. Transport w tej długiej dolinie jest właśnie pieszo-muły, żaden wóz by nie przejechał. Rozmawiamy czasem z różnymi „hellomister”¹. Są to zwykle rozmowy prowadzone przy użyciu minimalnej liczby słów jednakowo zrozumiałych dla obydwu stron, ale zbliżające dalekie społeczeństwa.

Potem robi się gorąco. Wracają Wojtek i Bogdan, dalej bez mułłów. Wciąż za drogie. Po dyskusji decydujemy się na wymarsz z 30-40 kg plecakami. Ok. 12 w południe wychodzimy i wlecziemy się

¹) W roku 1975 był to popularny zwrot w Iranie na przywołanie wędrowców ptcy męskiej lub żeńskiej. Zwrot „Hello Mister” jest używany zwłaszcza w Azji. W roku 2003 w Indonezji uznany za „jeden za zwrotów, które usłyszysz przynajmniej 50 razy dziennie, czyż jest on, ona czy ono.” (patrz Jonathan Egger „Hello Mister”).

zwolna przez uroczą dolinę wzdłuż kolejnych pól ryżowych. Droga jest owszem męcząca. Jednak nic nie zdoła stępić zmysłu obserwacyjnego uczestników wyprawy. Widzimy na przykład muła obciążonego drutem kolczastym. Ponadto widzimy góry. Dość daleko. Pierwszy postój przypada w Gereme za posterunkiem żandarmerii. Pijemy wodę, Zosia robi fikołka z plecakiem. Potem ruszamy i czasem wyprzedzamy muły, a czasem muły nas. Po godzinie siadamy i moczymy nogi w potoku, muły ze starszkiem korzystają z okazji i wyprzedzają nas ostatecznie. Potem znowu ruszamy i słyszymy hałas z boku. Jak się okazuje, dwie ciężarówki jeżdżąc w kółko budują drogę.

Dopelzamy do drogi i padamy przy koślawym domku. Częstujemy się chlebem, wodą i glukozą. Koło nas łążą dwa obciążone muchami psy, właściciele domku energicznie je odganiają. Wioski irańskie różnią się od polskich tym, że psów jest tu bardzo mało i są stworzeniami ostatniej kategorii, daleko za mułem. Nawet za kurą. Po dojeździe do siebie zatrzymujemy kolejno 3 wywrotki i podjeżdżamy nieco dalej w górę, gdzie droga się ostatecznie kończy i pracuje tylko duża koparka i spychacz, które ładują ziemię. Omijamy ten wertep i ruszamy w górę. Osobom idącym na początku podoba się oryginalny mostek nad potokiem, przechodzą go więc i rażno maszerują ścieżką. Po około kilometrze zostajemy wyprowadzeni z błędu przez miłe wieśniaczki irańskie. Wracamy na mostek. Jak do tej pory nie posiadamy mapy tych okolic, znamy jedynie nazwy kilku wiosek, a i to niedokładnie. W każdym razie droga, w którą zbłądziliśmy, prowadziła w stronę Alan-Kuha, a my mamy ochotę na Sichalan.

Dochodzimy teraz do większych wzniesień. Droga, która poprzednio prowadziła bardzo rozległą równinę z niewielkimi pagórkami, wchodzi teraz w dolinę przypominającą Bieszczady. Około szóstej decydujemy się założyć biwak. Szukamy różnych rzeczy, m.in. filmów, biustonosza Ireny i kosmetyczki Zosi. Kontynuowane są oceny moralności dzieci w Szachsawar.² W końcu filmy znajdują się u Bogdana. A reszta?

Dzisiaj poważnym zagrożeniem w nocy będą lamparty, ewentualnie tygrysy. Najczęściej czają one u wodopoju na konarach drzew i skaczą na upatrzoną zwierzyńę w trakcie mycia. Należy zachować szczególną ostrożność oraz zapiąć przynajmniej tropik od namiotu.

18 lipca 1975

Idziemy najpierw doliną typu bieszczadzkiego, potem przyroda jak w Chochołowskiej, a później jak w dolinie Rostoki.

Po drodze nie ma domów. Wioski są położone w dużych odległościach od siebie. Domy wyglądają zupełnie inaczej niż w południowym Iranie. Tam są lepianki z gliny, tutaj drewniane domki z charakterystycznymi dachami z gontu, przyciśniętymi dużymi kamieniami. Dokoła ogromne lasy liściaste. Jest to chyba jedyny region w Iranie, gdzie można zobaczyć prawdziwe lasy. Po dwóch godzinach dochodzimy do Dochozor, wioski położonej na zboczu góry, ok. 150-200 m nad potokiem. Tu robimy postój. Koło nas przechodzą różne osoby, m.in. jeden pan ze strzelbą. Od tych osób można dowiedzieć się o drogę w następujący sposób: oni mówią salam i my mówimy salam i dodatkowo Asam-mahale czam sat? Oni wtedy pokazują na palcach dwa, trzy albo jeszcze co innego. Wtedy my ich sprawdzamy i pokazujemy ręką kierunek, a oni pokazują ręką na okrągło i potem na drogę. Z tego można wywnioskować, że idziemy dobrze i za trzy godziny możemy być na miejscu.

² Zwątpienie wynikało z obserwacji, zrobionych poprzedniego dnia. W sadzie cytrynowym: „Dzieci baraszkują w naszych rzeczach. Wywlekają filmy z kaset, wyciągają herbatniki i mleko i jest weselo. Biją się masztami od namiotów. ...jeszcze raz pakujemy, po czym zabieramy z głowy Hosseina czapkę i z głowy Hassana drugą czapkę z napisem „Almatu”. Następnie żegnamy się i odchodzimy.”



Hotel pod Damawendem, stoją Irena Krynicka, Wojciech Starck, ??, siedzą Zofia Goliger, Małgorzata i Juliusz Zięborakowie, Bogdan Mościcki i Jacek Kowalczyk, fot. arch.

Schodzimy około pół godziny do następnej wioski położonej nad rzeką u zbiegu dwóch dolin. Robimy przekąskę, rozmawiamy z tubylcami i wędrowcami, i odganiamy psa. Wojtek ponad godzinę dyskutuje na temat drogi z dwoma facetami, którzy znają na spółkę 2 słowa angielskie. Po tej rozmowie podobno nauczyli ich się więcej, tak stwierdził Wojtek. Niestety, jak się później okazało, nie potrafili oni odróżnić przełęczy od szczytu – w końcu obie te rzeczy są w górze. To jednak w niczym nie podważa faktu, że upewniliśmy się co do tego, że idziemy w górę. Ruszamy więc w kierunku Asal-mahale. Droga prowadzi bardzo ostro pod górę. Nielicznymi grupkami docieramy po ok. 2, 5 godz. do Asal-mahale, a za każdą grupką pędzą chmury wiejskich dzieciaków. Zajmujemy pozycję na wzgórzu za wsią. Tłum dociera również tam i otacza nas całkowicie. Po drodze przez wieś zapraszali nas do swego domu dwaj młodzieńcy mówiący po angielsku oraz ruda pani mówiąca lepiej³. Nie chcieliśmy narzucać im naszej obecności, ponieważ jesteśmy z natury delikatni.

Zdecydowaliśmy się po głosowaniu rozbić biwak na górze. Ja i Wojtek poszliśmy następnie do domu miejscowej inteligencji w celu targowania mułów. Zostaliśmy poczęstowani czajem i plackami kukurydzianymi, po czym wywiązała się rozmowa na tematy międzynarodowe. W międzyczasie na górze powstaje biwak oraz obiad. Padają na dole korzystne wzmianki o mułach, które mają nas donieść w ciągu jednego dnia na Sichalan za niewygórowaną opłatą. Poganiacz mułów zostaje zaproszony na czaj przez miejscową inteligencję, która pomaga nam usilnie oraz straszy żmijami w miejscu naszego biwaku, zapraszając do siebie. Wracam na górę w celu konsumpcji obiadu oraz przedłożenia nowych propozycji. Za chwilę za mną przychodzą dwaj młodzieńcy, którzy przedkładają swoje propozycje osobiście. W tej sytuacji przyjmujemy zaproszenie przy jednym głosie zdecydowanie przeciwko. Z pomocą nowych gospodarzy przenosimy rzeczy na werandę ich domu. Wobec tego, że sprawa mułów wygląda na załatwioną, przepakowujemy rzeczy i szykujemy się do snu. Ok. 22, kiedy rzeczy są całkowicie przepakowane zjawia się mulnik, zwraca zaliczkę i mówi, że nie pojedzie. Ta radosna wiadomość powoduje, że zasypiamy w wesółym nastroju.

³ Młoda nauczycielka historii z braćmi, uczniami szkół teherańskich. Byli na wakacjach u rodziny.

19 lipca 1975

Udajemy muły. Mnie dostał się worek na muła z konserwami oraz jakieś cudze rzeczy. Zresztą każdy ma cudze rzeczy. Przy okazji wychodzi na jaw, że Wojtek ma już pół tony prospektów o atrakcjach turystycznych tego świata od Honolulu do Pcimia. W ciągu ok. 1 godz. 15 min. podchodzimy na Dario Sat, rozległe plateau ogrodzone schodzącymi od Sichalanu górami. Rośnie tu mnóstwo krzaków, poza tym stoi kilka bacówek. Przedemną ścieżką dziarsko maszeruje staruszek z derką, kijem i innymi niezbędnymi rekwizytami. Podążam za nim w odległości ok. 50-100 kroków w nadziei, że doprowadzi mnie skrótem do Sichalanu. Staruszek przechodzi przez potok, ja za nim, idziemy szeroką ścieżką między krzakami, wychodzimy na polankę, na której tlą się resztki ogniska. Staruszek nie oglądając się mija ognisko, przy którym kończy się ścieżka i zaczyna wchodzić pod niemal pionową górę. Ładny gips. W ten sposób poznałem dokładnie Dario Sat. Grupę doganiam z opóźnieniem przy zwięzieniu doliny między skałami nad potokiem. Przed nami zalesione zbocze – z doliny widać było, że przechodzi to w łąkę. Nie widać było tylko tego, że łąka jest nachylona bardzo ostro, a różnica wysokości między dnem doliny a grzbietem wynosi mniej więcej 800 metrów. Po przekroczeniu grzbietu na wysokości ok. 2700 m mamy zamiar odetchnąć, kiedy naszym oczom ukazują się góry co najmniej 1000 m wyższe. Na razie ścieżka prowadzi zboczem wąwozu, w dole którego 300 m niżej płynie potok.

Dochodzimy do pierwszego bocznego potoku i wypoczywamy, następnie pod presją Wojtka, który zdradza coraz większe zamiłowanie do wyczynu, idziemy dalej. Dochodzimy do następnego potoku i zaczyna się robić ciemno. Decydujemy się na nodleg. Miejsce jest dość osobliwe. Bardzo strome zbocza, kamienie poprzerastrane trawą. Jedyne względnie płaskim miejscem jest droga mułów. Rozkładamy się w śpiworach częściowo na ścieżce, częściowo pod skałą. Bardzo oryginalny nodleg (ok. 2600 m). W nocy po raz pierwszy w Iranie pada. Duże i rzadkie krople 2 razy po 5 minut.

20 lipca 1975

Od rana przepakowujemy plecaki. Wszyscy odzyskują swoje rzeczy i swój ciężar plecaka. Idzie się doskonale, w ciągu 0,5 h dochodzimy do osady Wilejsar. Składa się z kilku jurt. Mają one kamienne ściany i dachy z jakiejś tkaniny. Pijemy wodę i ruszamy dalej. Po godzinie ukazuje się kolejne piętro gór, nie wiemy, czy ostatnie. Wojtek zakłada się, że za godzinę będzie na przełęczy i rusza biegiem. Nie ma go jakoś długo, więc wyruszamy jego śladem. Niebawem docieramy na przełęcz, gdzie spotykamy trójkę sympatycznych turystów irańskich z plecakami. Mówią dobrze po angielsku (!!!). Od nich dowiaduję się, że jesteśmy na przełęczy Sichalan (ok. 3700 m), obok mamy szczyt Sichalan (4170). Oni czekają tutaj na swoich kolegów i będą iść w dół w stronę Szachsawar. Podejmujemy decyzję, że na hali pod przełęczą założymy bazę (ok. 3550 m). Rozbijamy namioty, odnajduje się Wojtek, który z rozpędu wbiegł na najbliższą górkę i oglądał widoki. Równocześnie schodzi grupa Irańczyków z przełęczy. Okazuje się, że są to studenci z Uniwersytetu Aryamer z Teheranu. Bardzo interesują ich wiadomości o Polsce, to jest Lechistanie. Staramy się zaspokoić ich ciekawość. Okazuje się, że dysponują oni mapą tych okolic, ukradzioną z Uniwersytetu. Jest ona wprawdzie bardzo szkicowa. Odrysowujemy ją na kolanie. Tłumaczą nam, że w Iranie nie można zakupić map gór, bo rząd obawia się, że rebelianci mogliby z karabinami uciec w góry i walczyć z żandarmerią, a tak to nie mogą⁴. Bogdan i Wojtek opowiadają swoją przygodę z żandarmami, oni swoje, czas mija, w końcu nasi goście zrywają się i uciekają zostawiając nam adres w biegu. Widocznie zmarli, w końcu jest 3 i pół tysiąca metrów. Nadchodzi pora kolacji.

Wojtek kręci się niespokojnie. W końcu zrywa się i pędzi na Sichalan po ciemku. Wraca koło dziesiątej, kiedy reszta obozu już wypoczywa.

21 lipca 1975

Ok. 3 nad ranem słychać hałasy. To Wojtek wraz z Bogdanem wyruszają w górę. Uważają oni, że piętnastogodzinny marsz po piarzystych górach na wysokości 3-4 tysiące metrów jest najlepszym odpoczynkiem po męczącym dniu i nieprzespanej nocy. Ok. ósmej budzi się reszta obozu. Robimy kaszkę, po czym Małgosia ze mną wyrusza na Sichalan. Drogę znajdujemy bez trudu, aczkolwiek jest ona nieco męcząca. Góry tutejsze są niezwykle zniszczone przez erozję i zmiany temperatury. Idzie się albo po piargu, albo po skałach, z tym że, kiedy się złapie za taką skałę, to połowa zostaje w ręce. W ciągu ok. 2 godzin dochodzimy na szczyt. Oglądamy z niego odległe pasma 4 tysięcy metrów, m. in. świetnie widoczne pasmo Tachte Solejman i Alam Kuha. Widzimy dwa stadka kozic. Schodzimy po półgodzinnym pobycie na szczycie. Na grani i przełęczy b. silny, chociaż ciepły wiatr. Po naszym powrocie Zosia i Jacek wyruszają na szczyt. Wracają wieczorem. Późnym wieczorem z przełęczy staczają się Wojtek z Bogdanem. Nie wyglądają świeżo. Wprawdzie Wojtek sugeruje, że mógłby jeszcze skoczyć po chleb do wioski 700 m niżej, są to już jednak tylko słowa. Wojtek (wg Zosi brudas) idzie spać.

22 lipca 1975

A jednak! O piątej rano Wojtek porzywa Irenę i razem pędzą na Sichalan. My wstajemy, kiedy koło namiotów pojawiają się dwaj pasterze irańscy z ogromnym stadem owiec. Pasterzy tych widzieliśmy już zresztą wczoraj i zawarliśmy znajomość w dość oryginalny sposób. Mianowicie panowie przeszli wczoraj obok nas, jeden z nich rozwinął swoją szmatkę, wyciągnął kawałek podplomyka z czymś tłustym i wręczył to nam. Zawołałem Zosię, żeby ich czymś poczęstowała. Zosia przyniosła talerzyk krakersów i kostki cukru. Pan złapał za talerzyk i wsypał całość w swoją szmatkę, po czym obaj odeszli. Dzisiaj mieliśmy dłuższą rozmowę, przy czym oni mówili po swojemu, my po swojemu. W trakcie rozmowy ponownie ofiarowują nam mleko. To jest proszą o menażkę. Obaj z menażkami w ręku udają się wolnym krokiem w stronę stada i przechadzają się jak gdyby nigdy nic między owcami. Od czasu do czasu któryś z nich rzuca się tygrysim susem w kierunku najbliższej owcy i łapie ją za tylną nogę (o ile mu się to uda). Kilka szybkich ruchów i nieco mleka leci do menażki, którą trzeba natychmiast odstawić, bo zaskoczona owca robi natychmiast siku. Mleko było mieszane kozio-owcze z kilkoma kozimi bobkami, które następnie zostały odłowione. Po tym zabiegu mleko całkiem smaczne.

Później panowie gwałtem napierali się, żeby im dać pieniądze, to pójdą i przyniosą coś do jedzenia. Później usiłovali nam sprzedać owcę. My zaś tłumaczyliśmy im, że nie mamy na czym upiec owcy, a po coś do jedzenia pójdziemy sami. I tak się też dzieje. Wychodzimy w czwórkę (Zosia, Małgosia, Jacek i ja) na najwyższą górkę (ok. 3900), po czym granią schodzimy w kierunku wioski. Po drodze podziwiamy widoki i podsumowujemy irańskie góry. Następnie skręcamy w dół i zsuwamy się po piargu w stronę widocznych w dole jur. Ludzie na dole mają trochę kina. Schodzimy na dół, wyrównujemy krok i wkraczamy do wioski. Trwa intensywna wymiana zdań z wieśniakami. Oni mówią swoje, my swoje, jak zwykle. Dostajemy 8 kawałków chleba, kwaśne mleko (maślanke) i masło. Przywódca (baca?) zabrania przyjmowania pieniędzy. Wzruszeni zapraszamy górali do bazy i po drodze zastanawiamy się czym by ich tu ugościć. Wahamy się między kawą inką a kisielom. Przychodzimy do namiotów, jemy i urządzamy sjęstę. Wtem słychać owce. Baca i jego zastępca potraktowali sprawę poważnie i sami pod wieczór wyszli z owcami, zamiast dwóch poprzednich górali. Zaskoczeni gotujemy szybko wodę i z rozpędu robimy barszczyk. Górale naj-

pierw odmawiają i zastępca ucieka⁵. Baca natomiast pozostaje. Otrzymuje obiecane lekarstwo dla pewnej starszej pani z wioski, dwa mleka w tubie, lekarstwo na żołądek, witaminy i jeszcze coś. Dziękuję bardzo i sympatycznie zaprasza nas, byśmy przyszli i wzięli sobie mleka, chleba i sera z dołu, jeżeli mamy ochotę i nie płacili.

23 lipca 1975

Przychodzą górale ze stadem owiec, stoją i gapią się jak jemy śniadanie. Jemy mianowicie ich produkty. Usiłujemy ich poczęstować kawą Inką, ale odmawiają. Po zjedzeniu przez nas śniadania górale stoją jeszcze przez chwilę, po czym odchodzą za owcami. Na wzgórzu pojawia się owczarek schizofrenik, który boi się zejść po śniegu i płacze, bo nie wie, gdzie są owce i baca. Ze strachu idzie sobie gdzieś – są domysły, że polować na niedźwiedzie. A my zwijamy bazę. Plon pobytu jest obfity. Nawiązano żywe kontakty z pracującym kolektywem pasterskim oraz zdobyto kilka szczytów, z najwyższym Sichalanem (4170). Zdobyto również przypadkowo mapę okolic, która może służyć następnym ekspedycjom turystycznym. Około jedenastej nie jesteśmy jeszcze spakowani, ale już częściowo wychodzimy. A rivederci Sichalan, Good bye Roma. Po ok. 1 godz. 20 min. marszu oczekujemy przy płacie śniegu na tych, którzy pakowali się długo.

Robimy lody przy śniegu. Sichalan wygląda stąd ogromnie wielki. Lody były czekoladowe. Później schodzimy w dół bardzo stromym i długim zboczem. Po drodze mijamy się z wieśniakami zwożącymi opał, wysuszone osty i inne rośliny. Zwożą je osobiście przy użyciu długiego dyszla. Jak czarownicy na miotłach.

Kelaye. Schodzimy na dno głębokiego wąwozu, którym płynie duży potok. Potok ten wykorzystywany jest do nawadniania pól, które położone są na niezwykle stromych zboczach. Tak rozbudowanego i wypracowanego systemu nawadniającego jeszcze nie spotkaliśmy. Każdy w miarę równy skrawek ziemi jest wykorzystany. Ale, np. mały wzgórek, 2-3 m wysokości w środku doliny jest już zupełnie suchy, bo w sposób naturalny nawodnić go nie można, a wody nikt nosić nie będzie. Dochodzimy do wioski Kelaye. Miejsce wykorzystane w sposób maksymalny. Podobnie jak pola, domy budowane systemem tarasowym. Dach niższego jest podwórkiem i tarasem drugiego. Jest już wieczór, jesteśmy zaproszeni na miejsce noclegu na tarasie. Na wyższych piętrach tłumy dzieci i dorosłych obserwują, jak przygotowujemy się do snu i jemy kolację. Jemy oczywiście na sposób wschodni. Gospodarz wyniósł na taras maty i dywany, na których siedzimy bez butów oczywiście, a na środku leży obrus, na którym stoi kolacja. Z boku samowar, po kolacji pijemy czaj. Przy świetle lampy łukowej Jacek usiłuje zrobić zdjęcia. Nocleg byłby całkiem miły, gdyby nie komary i koza-histeryczka (beczała przez większą część nocy).

24 lipca 1975

Rano jest bardzo przyjemny chłód. W aśycie publicznej pakujemy się i jemy śniadanie. Robimy kilka zdjęć. Jesteśmy świadkami bardzo ciekawej awantury – żona (chyba) naszego gospodarza, nawymyślała mu (chyba bez związku z nami), zabiera dziecko i ucieka do mamy. Takiej pyskówki jeszcze tu nie słyszeliśmy. Na wszelki wypadek zostawiamy dla niej w upominku dezodorant i wychodzimy. Robimy krótki postój nad wodą za wsią, potem następny postój i zza kamienia ukazuje się następna piętrowa wieś Autumn (jak jesień po angielsku). Wchodzimy frontalnie przez cmentarz. Cała wieś widzi nas od razu i ogromne tłumy zbierają się na tarasach. Są niesłychanie podochoceni, zwłaszcza dzieci i towarzyszą nam jeszcze pół kilometra za wieś do źródelfka. Potem idziemy lekko pod górę i zejście bardzo ciekawym, ale niesłychanie gorącym



Przejście Beskidów Zachodnich w 1973 r., fot. T. Pyrcak



Przejście „Zachodnie” w 1979 r., na splywie Dunacjem. M. Korsak, J. Melnik, W. Maciąg, J. Komorowski
Z. Lonc, ??, J. Kowalczyk, ??, P. Koperski , fot. arch.



Na egzaminie w Krakowie (1975 r.) , M. Ucieszyński, M. Szalewicz, P. Gajowniczek, T. Pyrcak, B. Mościcki, A. Kulewski, fot. arch.



M. Kupiszewski, P. Wroński, J. Wróblewski i M.Nyka (tyłem), fot. arch.



Przejście bieszczadzkie w 1983 r., Z. Zalewski, P. Wroński, D. Ławecka, J. Jastrzębska, M. Nyka, fot. arch.



Przejście bieszczadzkie w 1983 r., P. Affek i Ewa Bednarz, fot. arch.



Przejście wiosenne w Beskidzie Niskim w 1971 r., fot. arch.



Obóz Komisji Wydawniczej w Gorganach i Czarnohorze w 1989 r., R. Werdon, A. Wielocha, J. Wróblewski, P. Luboński, J. Marszałek, P. Janko, I. Harysz, A. Kulewski, fot. arch.



Przejście bieszczadzkie w 1972 r., fot. arch.



Przejście bieszczadzkie w lipcu 1972 r. pod Opołoniem, fot. S. Marczyński.



Przejście przewodnickie w 2000 r. na szczycie Pikuja, fot. arch.



Przejście bieszczadzki w 2001 r. w bieszczadzkiej ciuchci, fot. arch.



Przejsście bieszczadzkie w 2001 r., fot. arch.



Przejsście bieszczadzkie w 2000 r., K. Ł., K. Organ, ??, ??, ?? fot. arch.



Kursant zaradny. Przejście bieszczadzkie w 1998 r., Tomasz Wielga gotuje wrzątek na środku Oslawy, fot. arch.



Kursant da radę, fot. arch.



Kursant ciutek zmęczony, fot. arch.

i suchym skalistym zboczem. Droga prowadzi pod ukośnym nawisem, a później po skałach. Dochodzimy do systemu kilku jeziorok (utworzonego być może przez obsunięcie się zbocza). Za jeziorkiem widać ślady niedawnego trzęsienia ziemi. W jeziorku kraby i bardzo obfita roślinność. Tutaj odpoczywamy i ok. 4-tej wyruszamy w dalszą drogę. Tym razem nie jest już ona stroma. Idziemy doliną rzeki Sha. Rozbijamy się ok. 3 km przed Shahrak w skalistej dolinie.

25 lipca 1975

Dochodzimy do Shahrak. Prawą stroną doliną po zboczu wiedzie skrótowa ścieżka (lewą stroną trzeba przechodzić przez rzekę, przy niskim stanie wody tędy wygodniej). Autobus odjeżdża ok. 10 i podobno jedzie 6 godz. (110 km)! Szosy nie ma – gościnięc jak Ustrzyki Grn., tylko PKS i parę chałup. Żeby sobie wyobrazić autobus, należy przypomnieć sobie warszawski tramwaj w godzinach szczytu, bazar oraz meczet w jednym miejscu. Pasażerowie tłumnie modlą się przed bardziej niebezpiecznymi zakrętami i przepaściami. Przejazd kosztuje 100 riali (trasa 110 km). Droga w najlepszych swoich miejscach przypomina wyschnięty gościnięc w polskiej wiosce, ale gościnięc ten przebiega nad 150-300 m przepaściami. Czasami przejeżdżamy przez wioski – wówczas autobus o kilka centymetrów mija ściany i dachy lepianek z gliny, a do niektórych zakrętów przymierza się kilkakrotnie. O ile udało nam się ustalić, region, przez który przejeżdżamy, położony nad rzeką Shahrud, nazywa się Alamut, a jego stolicą jest Rudbork, w którym są m.in. 2 szpitale oraz szkoła średnia. Natomiast nie udało się ustalić z całą pewnością, skąd dokładnie podchodzi się na Tachte Solejman.

Za Rudbork droga się poprawia. Przypominała teraz na całej długości ulepszone gościnięc w polskiej wiosce. W Shahrak jest również punkt przetadunkowy – towarowy z samochodów na muły. Jeden worek rozsypał się i wyleciał zeń cukier w głowach, lekko szary. Droga rzeczywistość trwa 6 godzin. Autobus jedzie ze średnią prędkością 20 km/godz., przy czym na większości trasy prędkość ta nie przekracza 10 km/godz. Setki zakrętów, tumany kurzu. Dwa postoje przy dwóch lepiankach, gdzie można napić się wody i ewentualnie zaryzykować przekąszenie czegoś.

Na Damawendzie, ??, Jacek Kowalczyk, Irena Krynicka, Małgorzata Zięborak, Zofia Goliger,
i Juliusz Zięborak, fot. arch.



Od Quazvin, gdzie zmieniamy autobus, wkraczamy znowu w świat nowoczesnej techniki i gapiów mówiących trzy zdania po angielsku. Wzdłuż drogi do Teheranu wspaniałe nowoczesne zakłady przemysłowe. Dojeżdżamy do Teheranu i znowu otacza nas tłum „Hello-mister”. Każdy usiłuje nam pomóc lub nabrać nas bezinteresownie, ale mamy już pewne doświadczenie. Dojeżdżamy do Amir Kabir i załatwiamy nocleg w Tourist Home, Niestychany hałas z ulicy. Zасыpiamy z wata w uszach. Następnego dnia udajemy się na Damawand.

27 lipca 1975 – hotel przed wyjściem na Damawand

Na ścianie zdjęcie szacha z założonymi rękami na tle Damawandu.

Rano najpierw przychodzą dwa muły. Potem się okazuje, że nasze plecaki są niesłychanie ciężkie (choć są prawie dwa razy lżejsze od tych, które myślimy nieśli z Szachsawar.) Muł tutaj się szanuje i nosi tylko 30 kg (gdzie indziej podobno normalnie do 80 kg). Więc przyprowadzają trzeciego muła, zresztą chorego, jak się później okazało. Że te muły chodzą tak szybko, to legenda. Podejście do schronu na 4000 m od strony południowej w upale, brak wody. Niektórzy są tak odwodnieni, że mają wizje i tuż przed schronem dochodzą do siebie dopiero po wypiciu tyka spirytusu salicylowego.

29 lipca Damawand

Wyjście 20 minut po północy, wejście na szczyt o świcie. Góra Damawand rzuca ogromny trójkątny cień na niższe o 2 tysiące metrów góry. Na szczycie leży w dwóch połówkach figura szacha. Żółte skały i śmierdzi siarką. Jest bardzo zimno. Oglądamy widok – jak z samolotu – i schodzimy.

W górach Iranu, rok 1974, Elżbieta Huczko, Andrzej Huczko i Adam Skrzec, *for. arch.*



Edmund Kuna „Mundek” blacha 205

Iran 1976



W 1976 roku został zorganizowany obóz SKPB do Iranu, a dokładniej w góry Elburs (Alborz) dla studentów środowiska warszawskiego. Na kierownika obozu zatwierdzono Irenę Krynicką (Mi chałowską). Oprócz tego zatwierdzono wyjazd tzw. grupy eksploracyjnej w składzie Józek Wróblewski, Willi Orsetti, oraz Edmund Kuna.

Iran w trzech czwartych to góry. Na zachodzie i półd. zach. Zagros, równoległe w środkowej części Kuh i Rud, na północy nad morzem Kaspijskim Elburs.

W górach Elburs (Alborz) jest ponad 70 szczytów powyżej 4000 m n.p.m. Niewątpliwie jest to najciekawsza partia gór w Iranie. Na północ od Elbursu jest najprzychylniejszy klimat, jest zielono, słonecznie, pięknie urzeźbiony teren no i niezły dojazd (z Teheranu ok. 80 km).

W pierwszej fazie działalności wybraliśmy się doliną rzeki Sandarbrood do Rudbarak (można dojechać) a potem do Vandarbon, wokół szczytu Pasand Kuh w dolinę Sarchal, aż do schronu (sheltera) o tej samej nazwie. Z Vandarbon można się także dostać w górę doliny Khoramdash (wokół Pasand Kuh od wschodu) w dolinę Hesarchal, skąd jest nieporównanie łatwiejsze wejście na Alam Kuha.

Weszliśmy w sumie na kilkanaście szczytów z otoczenia lodowców Sarchal, Alamchal, Hesarchal, Kherson, Haftahan. Grupa eksploracyjna dokonała następujących wejść :

Syah Sang 4400 m, Alam Kuh 4850 m n.p.m. (granią zachodnią), Dito di Dio (Palec Boży) 4700 m, Alam Kuchek 4450 m, Tahte Solejman 4650 m, (wierzchołek pd. 4500 m), Myan Sehchal z doliny Sarchal, Shaneh Kuh 4450 m, dwa szczyty na Kherson pd. i środkowy – 4620 m, Viran Koh – 4608 m,

Niektóre ze szczytów zostały osiągnięte przez wybranych uczestników obozu (z doliny Sarchal).

Na koniec zostawiliśmy sobie południowo-zachodnią część grani Haft Khanów (trzy szczyty 4440-4537 m) z przetęczy Haft Khan. Z grani zeszlśmy, a właściwie zjechaliśmy żlebami wprawiając w ruch rzeki ruchomych kamieni. Tym sposobem osiągnęliśmy górną część doliny Barur czyli Tahte Chal. W czasie zjazdów był co prawda niesamowity hurgot. W ruch wprawialiśmy kilkudziesięciometrowe odcinki ruchomych kamieni ale tempo deniwelacji było właściwe. Wokół „pachniało” siarką. Takim sposobem dotarliśmy do Mianrud, gdzie Barur łączy się z doliną Seharaz. Ta część doliny jest niezwykle urokliwa. W górze bardzo znaczne różnice poziomów, znaczne ekspozycje. Potem pojawia się życie – bystre strumyki, roślinki, pasterze ze stadami kóz, co ciekawe stroje pod względem stylu i kolorów (brązy) przypominały stroje łemkowskie.

W dalszej fazie, połączyliśmy się z obozem Ireny i w ciągu ok. 10 dni wyszlśmy z gór i dostaliśmy się aż na wybrzeże morza Kaspijskiego. Mieliśmy do czynienia z zupełnie dziewiczym pod względem turystycznym terenem. Przepiękne góry ze znaczną ilością zieleni, bez infrastruktury, przemili ludzi bardzo uczynni. Parę zerwanych przez rzekę mostów zmusiło nas do długich obejść.

Na ogół bez żadnych problemów. Mieliśmy oddelegowanych przewodników, którzy nam pokazywali obejścia, które musieliśmy zwykle wykonywać bo było mnóstwo pozrywanych przez wodę mostów. Przełęcze były zwykle na wysokości między 3000 i 4000 metrów, a wory były obrzydliwie ciężkie, ale warto było. Było jednak urokliwie ze względu na przyrodę i ludzi. Oni się zwyczajnie cieszyli, że mogą nam pomóc i robili to bezinteresownie.

Niestety po powrocie podczas spotkania w ambasadzie irańskiej jak pokazaliśmy w swojej naiwności bogaty folklor miejscowy oficjele irańscy było nie było ambasadorzy Wielkiej Cywilizacji bardzo nam mieli za złe, że zamiast pokazywać szklane wysokościowce z Teheranu, albo świeżo sprowadzone samoloty śmieliśmy pokazać prostych ludzi. Komuś się chyba system wartości zatracił.

Potem mieliśmy trochę oddechu nad morzem Kaspijskim i wróciliśmy do Teheranu. W Teheranie spotkaliśmy się ze znanym budowniczym *Wielkiej Rury* w Iranie kol. inż. Witoldem Michałowskim, z którym wybraliśmy się w rejon dawnego państwa Asasynów. Górskie tufy wulkaniczne wyrzeźbione przez opady, rzeki, winnice, cykady w dolinach, pełnia księżyca. To wszystko spowodowało, że podczas nocnych przejść czuliśmy się jak w nierzeczywistym świecie. Niektóre naturalne baszty były gdzieś tam u szczytu uzupełniane murkami budowanymi przez człowieka. W sumie niebywałe wrażenie robiły te orle gniazda „Starca z Gór”.

Potem szybki dwudniowy wypad z Józkiem Wróblewskim pod Demawend.

Start z Rineh (1800 m n.p.m), wejście bez zbędnych przerw na Demawend 5675m n.p.m, obwążanie cuchnących solfeterów i zejście z częściowymi dupozjazdami w żlebach do shelteru na 4150 m n.p.m. w ciągu 17–tu godzin. Byliśmy chyba w niezłym gazie. Następnego dnia Rineh i Teheran. Na stałe takiego systemu nie polecam, bo to było czyste wariactwo (możliwe głównie dlatego, że przez miesiąc byliśmy średnio powyżej 4000 m n.p.m.).

Resztę czasu spędziliśmy na zwiedzaniu zabytków w kraju, który ma przebogata historię. Ślady człowieka na terenie obecnego Iranu sięgają paleolitu (ok. 9 tys. p.n.e.) w Mazanderanie niedaleko Behistunu, gdzie są świetnie zachowane inskrypcje naskalne z czasów Dariusza Wielkiego, czyli V w p.n.e.). Czasów neolitu (ok. 8,5 tys pne) sięga osada Gandz Dare.

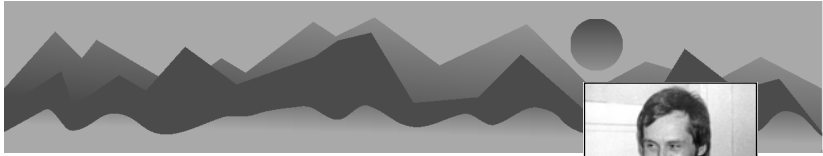
Na obszarze obecnego Khuzistanu i Parsu ok. 3 tys. p.n.e. żyli spokrewnieni z Sumerami Elami (do obejrzenia ziggurat Czoga Zanbil, starożytna Suza).

W latach 730-330r p.n.e panowali Ariowie, najpierw państwo medyjskie (ze stolicą w Hamadanie), potem Persja Achemenidów (stolice w Pasargadach, Persepolis, Suzie, niezwykle bogate zabytki z tego okresu). Warto zwiedzić zabytki z okresu greckiego, partyjskiego, a szczególnie sasanidzkiego.

Okres mużułmański świetnie jest reprezentowany szczególnie w Isfahanie (okres safawidzki, Abbas Wielki XVI-XVII wiek).

Nazwa Iran czyli „kraj Ariów” poza okresem partyjskim była odgrzana w 1926 roku przez Reze Khana czyli ojca ostatniego cesarza Rezy Pahlawiego przed rewolucją i była zwykłym przypodchlebianiem się nazistowskiemu Niemcom (Anglia była okupantem, a Sowieci byli kandydatem na okupanta). Zabytki z okresu Pahlawi przypuszczalnie zostały zniszczone po rewolucji Chomeiniego i może nie ma czego żałować.

Do Iranu warto jednak jeździć bo mało jest tak ciekawych krajów na świecie, zarówno jeśli chodzi o ludzi jak i o przyrodę, a także zabytki.



Andrzej Wielocha blacha 250

Hindukusz



Pul-i-Humri, 30.06.1977 rok, godzina 2.30

Stoję na balkonie hotelu i gapię się jak zaczarowany w rozświetloną, pustą ulicę. Przez otwarte drzwi i okna naprzeciwko widać pracującego krawca. Maszyna stoi prawie na ulicy. Jej terkotanie miesza się z wibrującym głosem cykad i gwizdkami nocnych policjantów. Za domem chlupocze woda w aryku. Krawiec chyba włączył radio, bo nagle powietrze wypełniły dźwięki leniwej, orientalnej muzyki. Światło latarni, filtrowane poprzez liście rozłożystych drzew, nadaje całemu obrazowi jakiegoś nierealnego wymiaru. Odnoszę wrażenie, że poza granicą świata nie ma już nic, a jeżeli nawet coś jest, to nie ma to żadnego znaczenia. Fantastyczny spokój płynący z każdego przedmiotu, dźwięku, z ruchów kręcącego kółkiem maszyny krawca powoduje, że my z tą całą naszą „bardzo ważną” wyprawą stajemy się jacyś strasznie mali i zupełnie nieważni. Swoją drogą ciekawe jednak, co myślał krawiec, widząc jak przed chwilą, podpierając się ze zmęczenia nosami wyładowywaliśmy nasze bębny i plecaki z samochodu. Ale właśnie, nasza wyprawa; jak to się właściwie zaczęło? – próbuję zebrać myśli...

Gdzieś na jesieni 1976 roku, na którymś z zebrań Zarządu zapadła decyzja o organizacji wyprawy w góry wysokie dla uczczenia dwudziestolecia naszego Koła. Powołano Komitet Organizacyjny, w skład którego weszli: Adam Kulewski – ówczesny prezes Koła, Mundek Kuna i Krzysiek Porada. Zgłoszono kilka propozycji. Ostatecznie, po długich i burzliwych dyskusjach, wybór padł na Hindukusz. W grudniu zatwierdzony został teren działania i program wyprawy. Miała ona działać w Hindukuszu Jokham na zachód od Zebaku. Zadaniem jej miała być eksploracja bardzo mało znanego fragmentu Hindukuszu Centralnego oraz zdobycie szeregu dziewiczych szczytów w granicach 4500 – 5000 metrów n.p.m. Programowo miała to być wyprawa z pogranicza wysoko kwalifikowanej turystyki i alpinizmu, z położeniem nacisku raczej na to pierwsze. Zatwierdzono również szeroką listę uczestników wyprawy i rozpoczął się okres intensywnych przygotowań. Jak zwykle przy organizacji tego typu imprezy, trzeba było pokonać całą masę trudności, zdobyć potrzebne fundusze, sprzęt oraz załatwić niezbędne formalności. Mundek Kuna, który mianowany został kierownikiem wyprawy, dwoił się i troił. Im szybciej zbliżał się termin wyruszenia wyprawy, tym więcej pojawiało się problemów i bardziej nerwowa stawała się atmosfera. Jeszcze tylko w międzyczasie, odbył się obóz kondycyjny w Dolinie Pięciu Stawów Polskich i już trzeba było zabierać się za pakowanie bębnow ładunkowych. Ostatnie dni przed wyjazdem to był już prawdziwy kościół. Bilety, paszporty, konserwy, odprawy celne, wszystko to zamieniło się w jedną wielką karuzelę, z której żeśmy wysiedli, a właściwie wypadli 20 czerwca 1977 roku wprost do przedziałów pociągu relacji Warszawa – Moskwa. W przedziałach znaleźliśmy się razem z wypchanymi do granic możliwości plecakami oraz dwunastoma bębnowymi ładunkowymi i dwiema potężnymi skrzyniami a 50 kilogramów każda.

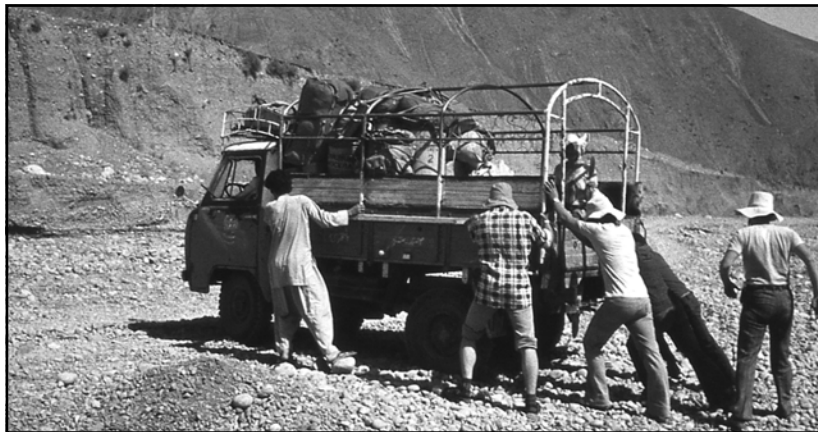
Trasę Warszawa – Moskwa przebyliśmy pogrążeni w błogim śnie, odsypiając noce spędzone na pakowaniu, malowaniu i spisywaniu zawartości bębnow. Ponieważ z Warszawy wyjechaliśmy z jednodniowym opóźnieniem, uciekła nam w Moskwie rezerwacja na pociąg do Termezu. Opóźnienie zwiększyło się więc o kolejne trzy dni spędzone na włożeniu się po Moskwie. Dalej był znowu pociąg, potem upalny Termez, leniwa potęga toczącej odwiecznie swe wody, granicznej Amu Darii, fantastyczna jazda nocą przez zalany srebrnym światłem księżycza wawóz Tashkurgan i na koniec buchające żarem „pokoje” hotelu w Pul-i-Humri.

Dotąd działo się to wszystko jakby poza mną. Bębny do samochodu, z samochodu do pociągu i znowu na samochód, noce na pociągach, celnicy, setki kilometrów przebytej przestrzeni. Cały ten młyn nie pozostawiał czasu na myślenie, smakowanie Wielkiej Przygody. Dopiero teraz poczułem, że wszystko to dotyczy mnie, że biorę udział w czymś, o czym jeszcze rok temu nie śmiałem nawet marzyć. Prawdziwa wyprawa w jedne z najwyższych gór na świecie. Będziemy stąpać po lodowcach, zdobywać nie tknięte ludzką stopą szczyty. I właśnie ta egzotyczna noc w sercu Afganistanu jest najlepszym dowodem na to, że to wszystko prawda. Tylko ten krawiec z całą tą swoją cholerną zwyczajnością zupełnie nie mieści się w moim świecie Wielkiej, Bardzo Ważnej Wyprawy.

W Pul-i-Humri kolejny – niestety – poślizg. Tym razem aż pięć dni. Mundek z Jackiem i Zbyskiem pojechali do Kabulu załatwiać formalności. Reszta wyprawy zabija czas jak tylko może. Mogłoby to być nawet ciekawe, gdyby nie drobiazg – siedzimy tu wszyscy jak na rozżarzonych węglach.

Sytuacja się jednak komplikuje. Musimy zmienić plany. W ostatnich latach rząd Afganistanu przydzielał każdej wyprawie specjalnego „przewodnika”, za którego trzeba było dość drogo płacić. W tym roku, jak się okazało cena „przewodnika” wzrosła prawie dwukrotnie. Tego ciosu i to jeszcze na początku wyprawy nasze fundusze nie są w stanie wytrzymać. Musimy szybko znaleźć jakieś rozwiązanie. W Kabulu nasza ekipa spotyka dwie inne polskie wyprawy studenckie Akademickich Klubów Alpinistycznych z Katowic i Poznania. Zapada błyskawiczna decyzja – łączymy się w jedną (formalnie) wyprawę i wspólnie bierzemy jednego przewodnika. Ponieważ jednak tamte wyprawy jadą w Wakhan (Hindukusz Wysoki) musimy się do nich dopasować i zrezygnować z naszego Jokham-u. Mówi się trudno. Zamiast dziewiczych gór – teren zupełnie już nieźle pozna-

Dojazd do gór nie była taki prosty... fot. A. Wielocha.





...a chwilami nawet bardzo emocjonujący fot. A. Wielocha.

ny. Z drugiej jednak strony – po plecach przebiega dreszczyk emocji – będziemy działać w majestacie siedmiotyśięczników.

Zegnamy wreszcie leniwe i jak na mój gust „ciut za ciepłe” Pul-i-Humri. Tamte dwie wyprawy pojechały już wcześniej. Z nami jedzie piątka, która była w Kabulu. Ich koledzy zniecierpliwieni czekaniem pojechali wcześniej do Fajzabadu. Musimy więc wynająć drugi samochód. Pomaga nam w tym przewodnik, który jak się wydaje szybko wszedł w swoją rolę. Na co dzień jest on nauczycielem angielskiego w Pul-i-Humri, ma więc tu szerokie znajomości i mimo młodego wieku duży szacunek u miejscowych notabli. Załatwiony przez niego samochód nie budzi jednak u nas zbyt dużego entuzjazmu. Jest to mocno zdezelowana radziecka półciągarówka „Łaz” (trochę większa od naszej Nysy) z odkrytą, zaopatrzoną w solidny stelaż budą i obowiązkową gondolą na dachu szoferki. Ma się na niej zmieścić cały nasz bagaż oraz nas piętnastu, przewodnik, kierowca z pomocnikiem, a także jak się okazało na koniec, pilnujący swych interesów właściciel pojazdu. Naszych wątpliwości nie jest w stanie rozwiać nawet roześmiana gęba, liczącego tak na oko ze trzyznaście lat, pomocnika kierowcy i jego radosne „hub, hub”, co ma podobno znaczyć, że wszystko jest dobrze. Ostatecznie przekonuje nas bardzo niska cena za wynajęcie samochodu. A więc „burrubahair” – szczęśliwej drogi. Naszej drodze do Fajzabadu można by poświęcić osobny opis, a może nawet całkiem opasły tom „mrożącej krew w żyłach” opowieści. Wystarczy powiedzieć, że do przejechania na trasie Pul-i-humri – Baglan – Kunduz – Talikon – Keszim – Fajzabad mieliśmy ok. 500 km. Normalnie pokonuje się ją w półtora dnia, my zaś jechaliśmy trzy i pół. Jak się okazało, tak przewodnik, jak i kierowca jechali tą trasą po raz pierwszy. Wskutek błędnych informacji pojechali, dłuższą i dużo gorszą drogą (jeżeli to coś w ogóle można drogą nazwać). Samochód – co było do przewidzenia – był najmniej dwukrotnie przeładowany, a w ogóle to nie nadał się na taką trasę. Zasypani kilkucentymetrową warstwą pyłu, półprzytomni z pragnienia i upału pchaliśmy więc nasz wehikuł pod każdą, nawet niewielką wypukłość terenu, starając się robić dobrą minę do złej gry. Na tych odcinkach gdzie samochód wioził nas a nie my jego, siedzieliśmy niczym małpy uczipieni kurczowo stelaża starając się zachować zimną krew przy dość częstych głębokich przechyłach. Jazda taka wcześniej czy później musiała się smutno skończyć. Tak też się stało. Na jakieś piętnaście kilometrów przed Fajzabadem samochód stanął. Kierowca wy-

siadł, zająztał pod spód, splunął przez zęby, a następnie ze stoickim spokojem usiadł na ziemi w cieniu szoferki. Nie musieliśmy nawet pytać co się stało. Za całą odpowiedź wystarczył widok garstki zwęglonych szczątków, smutna pozostałość czegoś co kiedyś było sprzęgiem. Pozostało tylko czekanie. Jak się okazało mieliśmy dużo szczęścia ponieważ już na drugi dzień około południa byliśmy w Fajzabadzie.

Po spotkaniu z wyprawami Katowicką i Poznańską zmieniamy samochody i wyruszamy w dalszą drogę. Mimo, że samochody są zdecydowanie lepsze nie obchodzi się bez przygód. W jednym miejscu musimy reperować rozmytą przez wodę drogę, gdzie indziej wyciągać grzęznące w potokach samochody, a na dodatek mamy ciągłe kłopoty z kierowcami. Mimo, że wyciągnęli z nas niesamowite sumy, ciągle im mało. Buntują się chcą dopłat. Tu o dziwo przewodnik stanął na wysokości zadania. Zrozumiał widocznie, że nie jesteśmy „dojną krową” jak wyprawy francuskie czy japońskie lecz musimy liczyć się z każdym groszem. Bronił więc nas jak tylko potrafił. W końcu jednak zapłaciliśmy. Wprawdzie dużo mniej niż żądali, ale zapłaciliśmy.

Ostatecznie jednak 12 lipca, to znaczy w dwa tygodnie od daty przekroczenia granicy Afganistanu docieramy do wioski Kaskandyo u wylotu doliny Urgunte Bala. To cel naszej wyprawy, stąd zacznie się jej ostatni, właściwy etap. Znaleźliśmy się w samym sercu Wakhanu. Jeżeli spojrzymy na mapę Afganistanu to w jej północno-wschodnim rogu coś w rodzaju wyrostka albo jak kto woli ślepej kiszki. Jest to wąski a długi skrawek terytorium afgańskiego otoczony z trzech stron przez ZSRR, Chiny i Pakistan. To właśnie „worek” Wakhański. Tu znajdują się najwyższe wierzchołki afgańskiego Hindukuszu Wysokiego. Trzon „worka” stanowi rzeka Abe Panj (górny bieg Amu Dari) tworząca wąską dolinę pomiędzy grzbietami Pamiru od północnego-zachodu i Hindukuszu od południowego-wschodu. Rzeką, toczącą swe wody głębokim skalnym korytem, biegnie granica z ZSRR. Jadąc dnem, szerokiej na ok. 1,5 km doliny, można dostrzec, w otwierających się co chwila po prawej stronie dolinach Hindukuszu Wysokiego ośnieżone wierzchołki głównego grzbietu. Jedną z takich właśnie dolin jest Urgute Bala, czyli Wyżnia Dolina Urgunte. Będzie ona terenem działania naszej wyprawy.

Przed nami jednak jeszcze jeden problem. Transport sprzętu i żywności w górę doliny czyli tragarze. Jest to poważny kłopot właściwie każdej wyprawy. My ten problem rozwiązaliśmy w zgoła nieoczekiwany sposób. Już po wstępnych rozmowach z sołtysem wsi na temat wysokości wynagrodzenia tragarzy, pogodziliśmy się w duchu z tym, że będziemy się musieli obejść bez nich. Tyle pieniędzy po prostu nie mieliśmy, a przecież musieliśmy jeszcze wrócić. Targowaliśmy się więc tylko dla spokoju własnego sumienia, a następnie zaczęliśmy przepakowywać bełny. Żeby przemieścić chociaż minimalną ilość sprzętu i żywności będziemy musieli obracać po kilka razy.

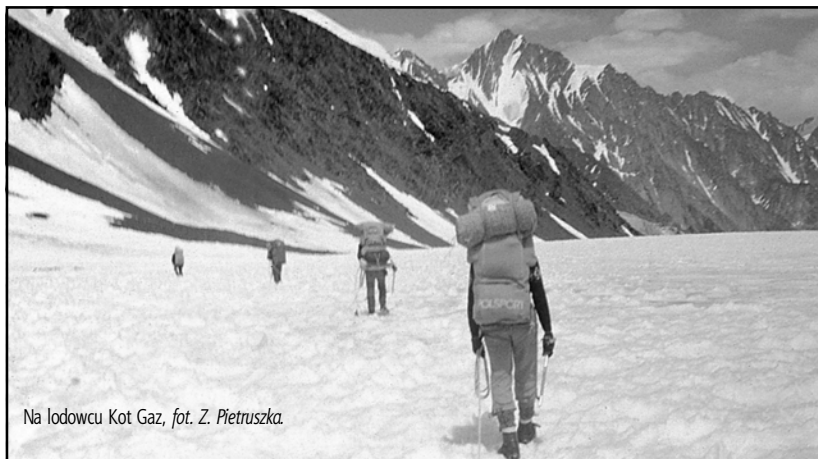
14 lipca około godziny 9 wyruszamy wreszcie w górę doliny. Obładowani jesteśmy na maxa ale wreszcie idziemy w góry, humory więc dopisują. Krajobraz doliny Abe Panj przypomina chyba najbardziej księżycową pustynię. Zieleni nie ma prawie wcale. Tylko – nieliczne zresztą – wioski mogą pochwalić się kilkoma rachitycznymi drzewkami. Dno doliny przecięte wymytym przez wodę kanionem, zalegają szare piaski i pagórki skalnego rumoszu z osypujących się zlepieńcowych zboczy. Panujący upał i suszę potęguje jeszcze dmący bez przerwy gorący i suchy wiatr niosący tumany szarego pyłu. Przyroda nie rozpieszcza mieszkających tu ludzi. Lodowcowy strumień wypływający z naszej doliny niósł wodę o kolorze opalizującej czerni. Przypominała ona raczej płynny grafit niż wodę. Jak się później przekonaaliśmy jest to wynikiem ścierania przez lodowiec czarnych łupków, z których zbudowane są duże fragmenty Hindukuszu. Tak więc najbliższa wsi czysta woda znajduje się jakąś godzinę drogi w górę.



Transport sprzętu w górnej części doliny, fot. Z. Pietruszka.

Transport sprzętu i założenie bazy zajęło nam cztery dni. Trasę między wioską Kaskandyo (wys. około 2700 m), a bazą na morenie bocznej lodowca Urgunte Bala (wys. około 4600 m) każdy z nas pokonał w sumie co najmniej dwukrotnie. Wymagało to dużego wysiłku ale dawało nam prawidłową aklimatyzację. Bazę naszą założyliśmy w miejscu obozu bazowego narodowej wyprawy Słowaków, która na dwa dni przed naszym przybyciem zakończyła uwieńczoną dużym sukcesem akcję. W spadku po Słowakach dostaliśmy przygotowane miejsca na namioty i kuchnię oraz kilka dużych puszek „Iaczo”. W bazie zagospodarowaliśmy się sami. Wyprawy katowicka i poznańska rozbiły swe namioty o pół godziny drogi dalej w górę doliny. Maleńkie jezioro, usytuowane pomiędzy usypanymi z czarnych łupków kopcami moreny, było dla nas rezerwuarem czystej wody. Odbijające się w nim kolorowe namioty ożywiały dość monotony krajobraz. Na jednym z kopców tuż nad bazą odnaleźliśmy kamień z wrytymi, nazwiskami dwóch niemieckich alpinistów. Zginęli oni w kamiennej lawinie, w ścianie Kuhi Urgunta (7039 m). Potężne zerwy tej ściany strzelały w niebo po przeciwnej stronie lodowca.

19 lipca – zakładamy pierwszy obóz. Nie jest to właściwie obóz w pełnym tego słowa znaczeniu, a raczej coś w rodzaju składu sprzętu z jednym namiotem. Za to położony jest fantastycznie, na szczycie wąskiej ostrogi skalnej sterczącej z morzy lodu. Od bazy dzieli go około czterech godzin drogi, z czego połowa po pokrytym skalnym rumoszem cielsku lodowca. Dotąd droga jest łatwa, można się obyc nawet bez raków, dalej już gładki stający dęba lód, trzeba się wiązać. Tu więc będziemy zostawiać sprzęt asekuracyjny przy powrocie do bazy. Widok roztaczający się z ustawionego na ostrodze namiotu mógł przyprawić o zawrót głowy. Przed nami rozpościeracie cyrk górnego piętra doliny Urgunte Bala. Szeroką nieckę wypełnioną pooranym bruzdami penitentów lodowcem otaczają potężne ściany skały i lodu. Na wprost nas po przeciwnej stronie „cyrku” strzela w niebo prawie trzykilometrowy filar Kuhi Urgunta. Jego pionowe, poprzęzynane okapami przewieszek zerwy zdają się być wyzwaniem rzuconym naturze. Pion jest tak doskonały, że nie utrzyma się na nim nawet skrawek lodu czy śniegu. Co jakiś czas dochodzi do nas z tamtej strony głuchy pomruk. To pędzą po filarze lawiny kamienne przypominając o prawie grawitacji. Na lewo od niego rozpościera się szeroka ściana gładkiego jak lustro lodu. Gdzieniegdzie tylko potężne zielonkawe sople nawisów i wyżłobione pod nimi rynny świadczą o tym, że i ta ściana nie



Na lodowcu Kot Gaz, fot. Z. Pietruszka.

próżnuje. Wieńczą ją dwa śnieżne wierzchołki Shayoz Zom (6920 m) oraz Shogordok Zom (6855 m). Panoramę zamyka strzelista piramida Kohe Teza (7015 m). Za naszymi plecami lodowiec spiętrza się w ponad stumetrowy próg by następnie przejść płynnie w szerokie, lodowe plato Satha-i-Krakuf (Plateau Kraków). Nazwę tę nadała pierwsza polska wyprawa penetrująca ten rejon Hindukuszu. Liczące kilka hektarów lodowe pole jest właściwie wysoką na ok. 5300 m przełączką w głównym grzbiecie Hindukuszu. Na stronę pakistańską plato opada łagodnie na lodowiec Kot Gaz, jeden z największych w tym rejonie.

20 lipca – zakładamy bazę wypadową na Plateau Kraków. Tego samego dnia wychodzimy jeszcze na przełęcz (około 5600 m) w grani zwornikowego szczytu Kuhi Awal. Wreszcie na własnej skórze poznaliśmy co to są penitenty. Te wyrzeźbione przez wiatr i słońce śniegowe stożki potrafią największego flegmatyka wyprowadzić z równowagi i skutecznie uprzykrzyć życie. Pokryte są nimi całe lodowce i pola firnowe. Są dosłownie wszędzie. W cieniu i w słońcu. Na terenie połogim i w stromych żlebach. Wynoszą od kilkunastu do kilkudziesięciu centymetrów. Bywa też, że sięgają wysokość dorosłego człowieka. Stojące jeden za drugim w niekończących się szeregach, przywodzą rzeczywiście na myśl korowody pokutników. Z daleka lodowiec wygląda jak zaorany pługiem. Chodzenie po czymś takim wymaga niezłej ekwilibrystyki. Jeszcze tego samego dnia wieczorem wyznaczony zostaje jako cel wejść aklimatyzacyjnych Kuhi Awal (5800 m). W ciągu następnych trzech dni zdobywają go dwie grupy:

21 lipca – Mundek Kuna, Wojtek Lewandowski, Andrzej Sikora, Piotrek Laskowski, Zbyszek Pawłowski Andrzej Wielocha oraz 24 lipca Bożenna Tyczyńska, Krzysztof Stanek, Zdzisiek Pietruszka, Jacek Kowalczyk i Piotrek Laskowski po raz drugi.

Teraz akcję przenosimy na lodowiec Kot Gaz, na którym zakładamy kolejny obóz. Jego wysokość wynosi około 5100 m. Z tego obozu Mundek Kuna i Andrzej Sikora 25 lipca zdobywają po całodziennej trudnej wspinaczce, wyjątkowo długą i poszarpaną granią szczyt Kuhi Staza (5540 m). Jest to drugie wejście na ten szczyt, ale pierwsze od strony lodowca Kot Gaz. Po długiej dyskusji jako ostateczny cel naszej akcji wybieramy piękny, dwuwierzchołkowy szczyt w grani głównej na północ od naszego obozu. Jest to Pegish Zom I (6160 m). Na własny użytek nazywa-

27 lipca – podchodzimy klucząc pomiędzy szeregami penitentów oraz rzeczywistymi i wymiagowanymi szczelinami bocznego lodowca. Jest już cholernie późno a w dodatku Zbyszek zamiast pójść wprost na grań, prowadzi okrężną drogą. W ten sposób nadrabiamy kilometry i tracimy cenny czas. Wczoraj z obozu na lodowcu Kot Gaz wysłaliśmy też bardzo późno, w związku z czym obóz założyliśmy dużo niżej niż było to planowane. Wszystko to razem powoduje, że nasze szanse na zdobycie w dniu dzisiejszym Pegisza są coraz mniejsze. Idziemy wprawdzie z lotną asekuracją ale tempo jest fatalne. Jackowi pękł wczoraj łącznik w raku, co chwila więc przystaje i coś przy nim poprawia. Trafia mnie szlag. Nie ma w tym nic z atmosfery ataku szczytowego. Wleczy się jak ostatnie dziady. Mam wrażenie, że wszyscy sprzyślegli się przeciwko mnie, żebym tylko nie wszedł na szczyt. Najchętniej odwiązał bym się i poszedł sam. Za chwilę przychodzi jednak konsternacja. A może wszystko jest normalnie, tylko ja tak bardzo chciałem dzisiaj być na szczycie, że straciłem zdrowy rozsądek.

Grań nie jest zbyt trudna, jednak stroma i długa. Śniegowe pola penitentów przeplatają się na przemian z partiami kruchej skały. Tylko w kilku miejscach zakładamy stałą asekurację. Za to widoki z grani rozciągają się wspaniale. Jak okiem sięgnąć morze lśniących w słońcu szczytów. Za naszymi plecami w dole potężna rzeka lodu. To lodowiec Kot Gaz, na którego środku czernią się małe plamki naszych namiotów. Tuż nad nimi lodowo-skalne zerwy prawie trzykilometrowej ściany Akher Czoqa (7020 m). Za nim Kuhi Tez (7015 m) oraz Kuhi Urgunt (7039 m). Ta trójka siedmiotysięczników góruje niepodzielnie nad całą panoramą. Z każdym krokiem do góry widok się powiększa. Przybywają kolejne szczyty, kolejne grupy górskie. Ponad przełęczą w południowo-zachodniej grani Pegisza, w ukośnych promieniach zachodzącego słońca ukazują się wierzchołki Pamiru.

Niestety, sprawdzają się moje przewidywania. Zapada zmierzch, a my nie doszliśmy jeszcze nawet do południowego, niższego wierzchołka. Docieramy pod jego nawis szczytowy około godziny 20. Słońce zaszło już dawno, ale jest pełnia i na niebie nie ma ani jednej chmurki, widoczność jest zupełnie niezła. Srebrna poświata księżyca wydobywa z krajobrazu zupełnie nowy, baśniowy wymiar. Lodowe ściany lśnią niczym rtęć. Mróz ściał nadtopione w słońcu ostrza penitentów. Teraz skrzą się one niczym brylanty, odbijając w lodowych kryształach światło księżyca. Musimy jednak wracać. Z każdą chwilą robi się zimniej. „Kibel” w tych warunkach i na tej wysokości wcale się nam nie uśmiecha. Drogę powrotną skracamy zbiegając z grani śnieżnym żłebem wprost na lodowe plato, na którego skraju stał nasz obóz. Ten szalony bieg, pociętym skibami penitentów, stromym jak diabli żłebem na długo pozostanie nam w pamięci, o północy, ledwie żywi ze zmęczenia byliśmy już w namiotach. Tylko gdzieś na dnie duszy, jak cień pozostała myśl, że jednak na głównym wierzchołku nie byliśmy.

Mówi się trudno. Pojutrze nasi koledzy spróbują jeszcze raz.

Tak też się stało. Po pierwszym ataku, którego efektem było pierwsze wejście na południowy wierzchołek Pedish Zom I (około 6000 m) zespołu w składzie Zbigniew Pawłowski, Wojtek Lewandowski, Jacek Kowalczyk, Andrzej Wielocha, Zdzisiek Pietruszka, podjęta zostaje druga próba. Tym razem, po przeniesieniu poprzedniego dnia obozu szturmowego aż na grań Pegisza, do góry idą: Mundek Kuna, Andrzej Sikorą, Piotrek Laskowski i Zdzisiek Pietruszka po raz drugi. Tego samego dnia wchodzi na główny wierzchołek Pegish Zom I (6160 m). Jest to drugie wejście na ten szczyt (po raz pierwszy zdobyli go Włosi), ale pierwsze od południowego-wschodu, granią z lodowca Kot Gaz. Wejście, łącznie z powrotem do obozu szturmowego zajęło im dokładnie dziewiętnaście godzin. Jak się okazało główne trudności spiętrzyły się na grani pomiędzy południowym,

a głównym wierzchołkiem. W miejscu największego obniżenia tej ostrej jak brzytwa, poszczerbionej lodowymi nawisami i serakami grani, znajdowała się lodowa szczyrba. Jej gładkie jak szkło ściany stanowiły nielada problem, tym bardziej, że ze względu na powietrzność grani o jej obejściu nie mogło być mowy.

Kolejne dni to zwijanie obozów i powrót do bazy. Dziesiątki kilometrów po rozmiękłym od słońca lodowcu. Ostatnie spojrzenie z Pla-teau Kraków na lodowiec Kot Gaz. Szalony zjazd z lodowego progu do doliny Urgunte Bala i już znajoma morena, jeziorko a nad nim namioty bazy.

1 sierpnia odbyło się oficjalne zakończenie wyprawy. „Wielkie żarcie” z pozostawionych we wsi zapasów. Pierwsze papierosy po długiej, programowej absencji. Kierownik wyciągnął skrzętnie ukrywane pół litra koniaku. Wojtek, na kasetowym magnetofonie nastawił bajkę o „Sierotce Marysi”. Aż miło było patrzeć z jakim przejęciem wszyscy słuchali. Dziwne? Chyba nie. Każdy z nas miał za sobą długie tygodnie ostrej harówki. Dnie i noce spędzone na lodowcach powyżej pięciu tysięcy metrów. Mróz i słońce. Walka z przestrzenią, z wysokością, z sobą samym wreszcie. Jak to się mówi „wzloty i upadki”, euforie i zwątpienia. Nic więc dziwnego, że nagle zwykła, naiwna bajka tak bardzo wszystkich zainteresowała. Pachniała po prostu domem.

Oficjalnym plonem wyprawy były wejścia na trzy wierzchołki, nieoficjalnym suma przeżyć i doświadczeń, których nikt z nas nie zapomni. Suma wiedzy przede wszystkim o sobie. Wiedzy, której nie sposób przecenić, a której inaczej zdobyć nie można.

Skład wyprawy:

Edmund Kuna – kierownik

Zbigniew Pawłowski – kierownik sportowy (PKG)

Bożenna Tyczyńska – lekarz

Jacek Kbwalczyk

Piotr Laskowski

Wojciech Lewandowski (PKG)

Zdzisław Pietruszka

Andrzej Sikora

Krzysztof Stanek

Andrzej Wielocha

Z historii Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie 1957-1982,

Warszawa 1982

Widok na Pamir z przełęczy pod Kuhi Awal fot. A. Wielocha.



Sprawozdanie z obchodów 20-lecia SKPB



Obchody 20-lecia Koła odbyły się w ośrodku „Jodłowy Dwór” pod Świętym Krzyżem w Górach Świętokrzyskich w listopadzie 1977. Kierownikiem imprezy był Wojciech Strożek. Było hucznie, licznie i bardzo wesoło, a ci co nie byli nich żałują.



Balet męski w choreografii A. Wielochy,
tańczą Zdzisław Pietruszka, Jacek Kowalczyk, Janusz Zarzycki, Jacek Szczap, Zdzisław Pecul, fot. arch.





Poczet prezesów naszych – od lewej: Wojciech Kulicki, Witold Michałowski, Zofia Szajuk, Przemysław Piłich, Jerzy Korejwo, Andrzej Stanek, fot. arch.



Ówczesni rówieśnicy Koła – Danuta Koperska (blacha 297) i Marcin Sobkowski „Gustaw” (blach 300) właśnie zdmuchnęły 20 świeczek, a prezes Andrzej Wielocha (blacha 250) dzieli tort, fot. arch.

Zakończeniu Sezonu 1979



Wybrane teksty z Kabaretu SKPB z programu „Bo Kuna jest żonaty.. i niestety nie on tylko”, którego premiera miała miejsce 8 grudnia 1979 roku w Ryni na „Zakończeniu Sezonu”

„Dzieje kadencji”

Wykonują Kulewski (tenor dramatyczny, banjo), Kleszcz (skrzypce). Dla obu był to debiut instrumentalny. Przebrani za dziadków, w perukach i kapeluszach. W składzie łachmanów dawała się zidentyfikować m.in. torba Iniana, w jaką Almaturowa wyposaża swe obozy w KK oraz kurtka rajdowa zdjęta z przyjaciółki Poziomki (na melodię „O jednej Wiśniewskiej”).

Ósmego grudnia roku łośńskiego nowy się zarząd konstituował.
Słuchajcie ludzie mej opowieści, Dziadek nie zmyślił jednego słowa.
Długo mnie kusił Kuna kusiciel wreszcie uległem, aż sam się dziwię
Jednak dotrwałem końca kadencji bo się oparłem na kolektywie
Sikora liczy, Kleszcz podsłuchuje, a Kieras dobrze daje po mordzie
Zet Pojmańskiego słabo pamiętam ale podobno też był w zarządzie.
Łatwiej przepłynąć Zatokę Pińską niżli naciągnąć Basie Rudzińską
Łatwiej bawoła schwytać dzikiego niżli przekonać Kupiszewskiego
W lutym od razu mieliśmy sukces, bo rajd nie poszedł z braku frekwencji
Marzyłem wtedy, daj dobry Panie dotrwać w ten sposób końca kadencji
Próżne nadzieje, odbyć się miała niejedna jeszcze impreza w Kole
A każda młode nerwy szarpała i ryła zmarszczki na białym czole
Maj był okresem błędów, wypaczeń, Szczap wrócił z Biecza z uciętą głową
Hanusek wydał dziesięć przykazań bo mu się Synaj zmylił z Cergową
Nawet w wakacje odpocząć trudno bo trzeba wodzić brata studenta
Ach słodki byłby los przewodnika gdyby uczestnik mu się nie pętał
Odkąd Rudzińskiej maluch nawalił nie miała czasu na protokoły
Janko i Swianko włos rwali z głowy jak im Wielocha zgubił kosztorys
Kieras z Sikorą z miasta znikają w każdym miesiącu przez 3 tygodnie
To znowu Szporer przyszedł na zarząd żeby mu wpuścić pszczołę we spodnie
Z tego wszystkiego wnet zem posiwił i młode zdrowie zdałem z kretesem.
Rzuć piękny panie Dziadkowi grosik, może ty także będziesz prezesem.

„Łuk Karpat”

Scena finałowa:

Wstęp, z taśmy: efekty dźwiękowe typu rzeźenie wieloryba podczas tajfunu. Na to tło wchodzi dobitny, miarowy głos (wszystkie te dźwięki wydobyt z siebie Kleszcz).

Hej to nie halny wiatr co zwala limby z grani
Nie lodołamacz Lenin, nie burza nad Alpami
Ani walcownia ciężka, ani strzelanie z armat
To Andrzej ćwiczy pompki przed przejściem ładu Karpat.

Śpiewają zmieniając się dwa chórki: męski (Mościcki, Wróblewski) i żeński (Poziomka, Ania). Stroje ludowe. W antraktach wszyscy tańczą „wieljoszkę”, Laskowski wykonuje hołubce z łukiem w ręku.

Akompaniament: Lonc (skrzypce), Kulewski (gitara), Kleszcz (banjo) na melodię: „Trzech miała matka synów, dwóch mądrych było w domu”.

M: Czerdzięści stopni w cieniu
Czerdzięści kilo w garbie
Tak kiedyś było w Kole
A teraz jest marnie

K: Hej łatwiej skarb Barona
W Mongolii gdzieś wykopać
Niż znaleźć dzisiaj w Kole
Prawdziwego chłopa

M: Bo Kuna już żonaty
A Michałowski w buszu
Zaś reszta przewodników
Też się ledwie rusza

K: Teraz to tylko Kieras
Warunkom tym by sprostał
O ile nie zabłądzi
Bo on nie Lissowska

M: A nawet jak nie zblądzi
To też często postoi
Co spotka jakąś skałkę
To by ją wytoił

K: Hej prędzej wielbłądowi
Przez ucho przejść igielne
Niż znaleźć dzisiaj w Kole
Sześciu nieśmiertelnych

Razem: Weź Andrzej sześć kajaków
Splyń do Żelaznej Bramy
Łuk ciężki lecz ciężiwę
Może pokonamy!

Biuletyn SKPB, kwiecień 1980

Krzysztof Kleszcz i Adam Kulewski w trakcie wykonywania „Dziejów Kadencji”, fot. arch.





Andrzej Wielocha blacha 250

Przejsie Łuku Karpat



Polska turystyka od początku swych dziejów związana jest nierozłącznie z Karpatami. Spełniły one niejako rolę katalizatora w historycznym procesie rodzenia się tej specyficznej formy ludzkiej aktywności. Właśnie te tajemnicze i dzikie, leżące hen, gdzieś na krańcach ojczyzny góry, mogły stanowić dostatecznie silny magnes przyciągający ludzi trawionych gorączką poznania. Jeszcze w połowie XIX wieku krążyły o nich przeróżne fantastyczne wieści; rozpalające wyobraźnię roztaczanym obrazem groźnej, owianej legendą, mamiącej przygodą i bajecznymi skarbami, dziewiczej przyrody. Można śmiało powiedzieć, że turystyka w naszym kraju zrodziła się właśnie z pragnienia poznania Karpat. Stwierdzenie to można zresztą równie dobrze odnieść do innych narodów zamieszkujących stoki tych gór. Aby nie być gołosłownym wystarczy wymienić tu kilka nazwisk ludzi powszechnie uznawanych za prekursorów polskiej turystyki.. Stanisław Staszic, Wincenty Pol, Seweryn Goszczyński czy Ludwik Zejsner, *gros* swoich zainteresowań kierowali ku Karpatom. Podejmowanym przez nich wysiłkom przyświecały różne idee i założenia. Począwszy od chęci dokonania czysto racjonalnych badań naukowych, aż po pragnienia romantycznych przeżyć.

W swych początkach poznanie turystyczne z natury rzeczy ograniczało się do niewielkich skrawków Karpat, Taki stan rzeczy nie trwał jednak długo. Turystyka rozwijała się dynamicznie i szybko rozszerzała obszar swojej penetracji. Częstokroć turysta szedł ramię w ramię z badaczem, najczęściej była to jednak jedna i ta sama osoba. Niestety, w Karpatach minęły już bezpowrotnie czasy romantycznych odkryć badacza – turysty. Dla nas to już tylko historia. Karpaty dokładnie skartowano, opisano w niezliczonych pracach naukowych i przewodnikach, spięto siecią znakowanych szlaków i asfaltowych dróg. Prawie wszystko z owego nimb tajemniczości jaki otaczał Karpaty jeszcze niespełna sto lat temu zniknęło. Straciły one swój walor niedostępności, a ułatwienia jakie niesie ze sobą cywilizacja umożliwiły ludziom docieranie prawie w dowolne ich miejsce bez najmniejszego wysiłku. Mimo tego jednak są jeszcze ludzie, których góry te fascynują przez sam fakt swego istnienia. Wbrew pozorom w górach nadal pozostało jeszcze wiele do odkrycia. Każdy może dokonać tam wielu odkryć na swój własny użytek, a w końcu można również odkryć tam samego siebie.

W 1981 roku mija siedemdziesiąt pięć lat istnienia zorganizowanych form studenckiej turystyki, której dzieje powstania łączą się nierozdzielnie z Karpatami. W 1906 roku dr Mieczysław Orłowicz wraz z grupą uczestników organizowanych w Zakopanem Kursów Wakacyjnych założył Akademicki Klub Turystyczny we Lwowie. Pierwszą dłuższą wycieczkę, już w miesiąc po założeniu klubu dr Orłowicz poprowadził oczywiście w Karpaty a konkretnie w Czarnohorę. Charakterystyczną cechą wspólną dla wszystkich poczynań lwowskiego AKT była ogromna witalność i dynamika podejmowanych działań, szczególnie widoczna na tle mocno już wówczas skostniałej działalności

Towarzystwa Tatrzańskiego. W niespełna rok po założeniu, zasięgiem swojej penetracji AKT obejmował ogromny obszar Karpat od Babiej Góry, aż po Alpy Rodniańskie w Rumunii. Dla dr Orłowicza i jego kolegów nie było trudności, których nie dało by się pokonać. Brak sprzętu, pieniędzy czy map, nieprzychylna opinia środowiska, wszystko to nie było w stanie ich zniechęcić. Realizowali konsekwentnie założone sobie cele. Po prostu mierzyli siły na zamiary. Te właśnie cechy wpływające po części ze specyfiki środowiska akademickiego decydują po dzień dzisiejszy o obliczu studenckiej turystyki. A dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że turystyka studencka bez względu na to w jakie formy organizacyjne ujęta, była zawsze sumą konkretnych, spontanicznych działań wynikających z wewnętrznej potrzeby ich twórców. Był więc i jest terenem pojawiania się nowych, ciekawych pomysłów a jednocześnie terenem na którym w najczystszej formie przetrwały idee przyświecające twórcom polskiej turystyki. Środowisko akademickie samą swoją specyfiką broni się skutecznie przed wszechogarniającym konformizmem.

Od czasów dr Orłowicza zmieniło się wiele. Inni są ludzie, inny sprzęt, inne warunki ale tak jak przed prawie stu laty spotykamy i dziś w Karpatach grupy studentów z ciężkimi plecakami, omijających z uporem szosy i wyciągi po to tylko by móc w tych górach przeżyć coś prawdziwego, coś co pomoże im lepiej zrozumieć siebie i innych.

Wszystko to co powiedzieliśmy tu o studenckiej turystyce znajduje w pełni potwierdzenie w dwudziestopięcioletniej historii naszego. Koła. Najpierw było kilku zapaleńców, których zafascynowały na nowo odkryte, zdziczałe i wyludnione po tragediach bratobójczych walk, Bieszczady. Nie powstrzymywały ich żadne bariery, a piętrzące się trudności potęgowały tylko chęć poznania i uszlachetniały wartość wysiłku, mierzonego ciężarem plecaka i kilometrami pokonanych bezdroży. Nie przerażała szczupłość środków finansowych ani chroniczny brak sprzętu. Ważna była pasja i chęć jej realizacji, cała reszta nie miała większego znaczenia. Taki był początek. Jak każda prawdziwa fascynacja, ta również miała to do siebie, że zawierała immanentną potrzebę dzielenia się nią z innymi. To też zarażeni bakcylem Bieszczadów studenci postanowili zaszczerpić go swoim kolegom. Już w 1955 roku wyruszyli w Bieszczady i Beskid Niski pierwsze studenckie obozy wędrownie. Szli z siekierą, kociołkiem do gotowania na ognisku i zapasem żywności na cały okres pobytu. Obozowali na zarosłych zielskiem pogorzeliśkach wsi. Z nich właśnie wyrosli potem przewodnicy. W roku 1957 działalność garstki zapaleńców przybrała ramy organizacyjne, których efektem jest istniejące do dziś nasze Koło. W ciągu dwudziestu pięciu lat istnienia zmieniło się w nim wiele. Bieszczady już dawno stały się dla nas za ciasne. Działalnością swoją objęliśmy całe Karpaty, prowadząc dziesiątki obozów w Polsce, Czechosłowacji i Rumunii. Prowadzone przez naszych przewodników obozy przemierzały góry Bułgarii, Jugostawii, Norwegii, Turcji, Mongolii, Iranu, Afganistanu, Indii i Nepalu. Zmieniali się ludzie, możliwości i skala działania. Niezmienna pozostała tylko idea. Coś co łączy ludzi bez zbędnych słów, bez wyjaśnień, przez samo tytko działanie i wyrażaną w nim pasję. Działanie którego założenia można by sprowadzić do trzech lapidarnie ujętych spraw. Fascynacja górami, pragnienia poznania i potrzeby dzielenia swojej pasji z innymi. W naszej codziennej, normalnej pracy przewodnickiej, staramy się pokazywać ludziom góry oraz nauczyć ich jak je rozumieć i jak z nimi obcować. Chociaż tak naprawdę nauczyć gór modna się tylko samemu, a naszym zadaniem jest umożliwienie innym podjęcia tej próby.

W takim właśnie środowisku i takiej atmosferze powstał pomysł przejścia całego grzbietu Karpat. Nie był to pomysł nowy. W naszym Kole wypywał już kilkakrotnie ale sądzą, że tak



Nad Dunajem w Bratysławie 15.06.1980 r. Jerzy Montusiewicz, Jan Swianiewicz, Zdzisław Pecul, Andrzej Wielocha i Piotr Kurowski, fot. arch.

naprawdę to korzeniami sięga czasów dr Orłowicza i lwowskiego AKT-u. Przecież dla każdego, dla kogo góry są sprawą ważną, pomysł pokonania całych Karpat jest rzeczą zupełnie naturalną, niejako konsekwentnym następstwem takich a nie innych zainteresowań. To też cały problem nie leży w pomysłu ale podjęciu próby jego realizacji. Pierwszą próbą, uwieńczoną zresztą poważnym sukcesem podjęli w 1962 roku studenci geografii Uniwersytetu Warszawskiego. Wyruszyli oni 05.06 z Cieszyna, by po dotarciu do przełęczy Użockiej, przejechać do Rumunii, gdzie wraz z dwójgim turystów rumuńskich pokonali prawie cały odcinek Karpat Rumuńskich. Do Orsovy nad Dunajem cała trzynastoosobowa grupa dotarła 03.09. W założeniach impreza miała być Studencką Międzynarodową Karpacką Wyprawą Przyjaźni i mieli brać w niej udział studenci ze wszystkich państw, przez które łuk Karpat przebiega. Mimo tego, że nie wszystkie zamierzenia udało się zrealizować, wyprawę obiektywnie należy ocenić jako poważnie osiągnięcie.

Mniej więcej w dziesięć lat później, a konkretnie w 1973 roku studenckie koła przewodniczące z Krakowa, Wrocławia i Gliwic, podjęły kolejną próbę przejścia Karpat, tym razem w trochę innej formule. Miała to być gigantyczna górską sztafeta. Cały cykl obozów wędrownych wyruszających z dwóch stron łańcucha Karpat; od Dunaju pod Bratysławą i od Żelaznej Bramy. Pomysł niestety spalił na panewce. Doszło do skutku tylko kilka obozów z odcinka rumuńskiego.

W ostatnich latach cała sprawa poszła trochę w zapomnienie. Wynikało to przede wszystkim z otwierających się szerokich możliwości wyjazdów w góry egzotyczne. Wystarczyło sięgnąć nad mapą, poszukać odpowiednio wysokich gór gdzie jeszcze nie było Polaków i już miało się pierwszorzędny cel wyprawy. Im dalszy i oryginalniejszy tym lepiej. W naszym Kole problem przejścia całego grzbietu Karpat też poszedł na pewien czas w zapomnienie. Jego miejsce zastąpiły góry Iranu, Turcji, Indii i Nepalu. W końcu jednak powrócono do niego niejako właśnie

z przekory wobec powszechnego twierdzenia, że ciekawe i ambitne problemy można obecnie znaleźć tylko w górach egzotycznych. Pomyśleliśmy wtedy, że nie jest to wcale prawda. Że w górach tak dobrze nam znanych, w których co roku prowadzimy dziesiątki obozów studenckich pozostaje nierozwiązany problem co najmniej równie ważny i ciekawy jak niejedna wyprawa na antypody. Podjęcie wyzwania jakie Karpaty samym swym ogromem rzucają wszystkim, których góry fascynują miało dla nas szczególne znaczenie. Mieści się ono bowiem całkowicie na terenie górskiej turystyki kwalifikowanej, a więc stanowi niejako konsekwencję tego co członkowie naszego Koła od dwudziestu pięciu lat robią na co dzień.

Na realizację tego zamierzenia wybraliśmy rok 1980. Może ktoś wierzyć lub nie, ale naprawdę marzyło nam się, że w Roku Olimpijskim podjęcie problemu o najwyższym stopniu trudności będzie doskonałym elementem propagującym górską turystykę kwalifikowaną. Zachętą do uprawiania tej trudnej, ale dającej tym większą satysfakcję dziedziny turystyki. Od momentu podjęcia decyzji na przygotowanie wyprawy mieliśmy prawie dwa lata. Wbrew pozorom nie było to wcale dużo. Już na samym początku przyjęliśmy dwa podstawowe założenia. Po pierwsze, że musimy przejść całe Karpaty w ich zasadniczo jednoznacznych granicach, to znaczy od Dunaju pod Bratysławą, aż po Dunaj w rejonie przelotu Żelaznej Bramy. Po drugie, że celem osiągnięcia zakładanych efektów propagandowych, impreza musi posiadać cechy wyczynu, a więc przynajmniej jedna osoba musi przejść całą trasę. Tak postawione założenia implikowały określone problemy. Zdawaliśmy sobie oczywiście sprawę, że napotkamy na swej drodze poważne trudności związane z rozmiarami zadania i jego specyficznym charakterem. Nie byliśmy jednak w stanie przewidzieć wszystkiego. Długość trasy, różnorodność problemów na poszczególnych odcinkach przejścia, czas trwania imprezy, wszystko to przekraczało swymi rozmiarami doświadczenia wyniesione z organizacji imprez nawet tak trudnych jak wyprawy w góry egzotyczne. Dlatego też, przygotowania musiały być szczególnie drobiazgowo, tak aby margines rzeczy nieprzewidzianych zmniejszyć do absolutnego minimum. Spraw do załatwienia było wiele. Należało przede wszystkim zebrać niezbędną dokumentację w postaci map i przewodników koniecznych do opracowania szczegółowej trasy. Równie ważną sprawą, łączącą się w sposób nierozwalny z konkretnym przebiegiem trasy, było opracowanie założeń organizacyjnych całej wyprawy.

Aby wyprawa mogła zamknąć się w określonym i realnym przedziale czasowym, to znaczy mniej więcej w trzech miesiącach, na całej trasie musieliśmy rozwiązać właśnie problem zaopatrzenia. Toteż od razu założyliśmy, że stałej sześciuosobowej ekipie właściwej będą towarzyszyć wymienne, liczące w zależności od trudności zaopatrzeniowych trzy do sześciu osób grupy wspierające, których zadaniem będzie zaopatrywanie całej wyprawy w żywność. Pociągało to za sobą konieczność precyzyjnego opracowania zasad funkcjonowania i wymieniania tych grup, oraz koordynowania całej akcji już w trakcie jej trwania. Najwięcej uwagi wymagało ułożenie dokładnej trasy przejścia i jego szczegółowego harmonogramu. Przy projektowaniu trasy kierowaliśmy się dwoma podstawowymi założeniami. Po pierwsze, żeby przejście jej nie wymagało kwalifikacji wykraczających poza obszar szeroko rozumianej górskiej turystyki kwalifikowanej. Po drugie, aby była ona w miarę logiczna, to znaczy trzymająca się w zasadzie głównego grzbietu Karpat, jednak nie w sposób absurdalny. Karpaty tylko na odcinku od Bramy Morawskiej po rejon przełęczy Użockiej stanowią wododział oddzielający zlewiska dwu mórz Bałtyckiego i Czarnego. W pozostałych fragmentach grzbietu stanowią wododziały lokalne. Na odcinku rumuńskim dodatkową komplikacją jest rzeka Aluta, która

swym przełomem przez główny grzbiet przesuwają dział wodny na Wyżynę Siedmiogrodzką. Toteż, pomysł przejścia Karpat „suchą nogą”, to znaczy według zasady nie przechodzenia przez żadną dolinę uznaliśmy właśnie za absurdalny.

Łuk Karpat w linii prostej liczy około 1300 kilometrów. Rzecz jasna, ułożona przez nas trasa musiała być dużo dłuższa. Odcinki dzienne obliczaliśmy według zasady stosowanej przy obliczaniu punktów na GOT. Każdy kilometr do przodu to jeden punkt i każde sto metrów do góry też jeden. Staraliśmy się planować trasę tak, aby mieścić się w granicach 40-45 punktów dziennie. Ponieważ jednak nie na każdy fragment trasy dysponowaliśmy wystarczająco dokładnymi mapami z konieczności musieliśmy zakładać z góry możliwie duży margines błędu. Przyjęliśmy również zasadę, że po każdym sześciu dniach marszu będziemy robić jeden dzień odpoczynku zakładając jednocześnie, że będą one stanowiły rezerwę czasową na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Fundusze, zupełnie zresztą skromne, biorąc pod uwagę rangę imprezy, udało nam się uzyskać bez specjalnych kłopotów. Kosztorys wyprawy opiewał na sumę niespełna 150 tys. złotych, wliczając w to koszt sprzętu i reklamy. Złożyły się na niego dotacje Oddziału Warszawskiego BPiT SZSP „Almatur” oraz Komisji Turystyki ZG SZSP a także Komisji Akademickiej ZG PTTK i Oddziału Międzuczelnianego PTTK w Warszawie.

Właściwy dobór sprzętu był dla nas rzeczą niezmiernie wagi. Najmniejsza nawet awaria w górach mogła pociągnąć za sobą konieczność postoju, a co za tym idzie stratę cennego czasu. Dlatego też, sprzęt dobieraliśmy szczególnie starannie. Po długich dyskusjach zdecydowaliśmy się na namioty typu „Mikro II”. Spaliśmy w nich po trzy osoby, co kosztem wygody pozwalało zmniejszyć ciężar plecaków. Słuszność naszego wyboru potwierdziła się w stu procentach. Nie mieliśmy z nimi najmniejszego kłopotu. Mimo wyjątkowo deszczowego lata i biwakowania często w bardzo trudnych warunkach, nie zdarzyło się nigdy żeby woda przedostała się do środka namiotu. Drugi problem to buty. Większość z nas uwierzyła w wąbrzyskie „Himalaje”. Rzeczywiście, okazały się najlepsze z dostępnych na krajowym rynku. Niestety nie były w stanie oprzeć się aż takim ilościom wody i błota. Już po mniej więcej tysiącu kilometrów nadawały się wyłącznie do wyrzucenia. Mimo nieustannych napraw do końca wytrzy-

W Białych Karpatach, Jan Swianiewicz, Piotr Janko, Jerzy Montusiewicz, Andrzej Wielocha
i Piotr Kurowski, fot. Z. Pecul



mała tylko jedna para i to dzięki wzmocnieniu jej trzema tuzinami stalowych wkrętów. Najwięcej kłopotów mieliśmy jednak z wyborem plecaków. Spośród znajdujących się na rynku, właściwie żaden nie nadaje się na tego typu wyprawę. Ostatecznie wybraliśmy plecak typu „szerpa”, zdając sobie sprawę, że jest on daleki od ideału, niemniej jednak spełniający przynajmniej częściowo wymagane parametry, to znaczy pojemność i przede wszystkim trwałość. W zamierzeniach ciężar plecaków miał nie przekraczać 25 kilogramów, w praktyce wielokrotnie przekraczał 30. Wiązało się to z kłopotami w zaopatrzeniu.

Końcowy okres przygotowań był jak zwykle przy tego typu imprezach bardzo intensywny. Do ostatniej chwili nie udało nam się załatwić niektórych potrzebnych formalności. Wprowadzało to dużą nerwowość i rozbijało program przygotowań. W krytycznych chwilach ratował nas fakt, że mimo piętrzących się kłopotów zawsze jednak pozostawał cień nadziei oraz chyba również to, że od początku przygotowani byliśmy na najgorsze. Jeszcze w dniu wyjazdu z Warszawy nie mieliśmy pewności czy będziemy mogli zrealizować wyprawę w pełnym wymiarze. Ponieważ jednak czas pracował na naszą niekorzyść zdecydowaliśmy się wyruszyć bez względu na wszystko.

Powoli rozwiewał się obraz nielicznej grupki zaspanych kolegów ziewających ukradkiem na peronie Centralnego. Siedzieliśmy w przedziale pociągu wiozącego nas do Bratysławy, wyprawa więc stała się faktem. Powtarzamy sobie w myśli to zdanie, jak byśmy chcieli wmówić sobie, że ma to jakiegokolwiek znaczenie, wystarczy jednak popatrzeć na niewesołe miny kolegów by wrócić do szarej rzeczywistości. Do Bratysławy zamiast planowanych co najmniej dziesięciu osób jedzie nas pięciu. Ale to tylko skutek, przyczyna leży gdzieś indziej i jest o wiele groźniejsza. Nie mamy zgody na przejście radzieckiego odcinka Karpat, w związku z czym, to co robimy racjonalnie rzecz biorąc nie ma najmniejszego sensu. Jak echo brzmi w uszach piosenka z Kołowego Kabaretu:

„Weź Andrzej sześć kajaków
Splyń do Żelaznej Bramy
Łuk ciężki, lecz cięciwę
Pewnie pokonamy!”

Wracają jak upiory obrazy różnych „zycliwych” nam osób kiwających z politowaniem głowami nad naszym niedoważonym pomysłem. W tej chwili jedyną na dobrą sprawę rzeczą podtrzymującą nasz – co tu owijać w bawełnę – maniacki upór, jest myśl o minach tych ludzi, jeżeli nam się niechcący uda. Tak, to jest właściwe słowo – niechcący. Kiedy jednak 16 czerwca z plecakami na grzbiecie wyruszyliśmy aleją „Bratysławskiego Parku Leśnego” w kierunku pierwszego na naszej trasie szczytu Tri Duby (395 m) myśleliśmy już tylko o czekającej nas drodze. W tym momencie była to dla nas jedna wielka niewiadoma. Czy wytrzymamy psychicznie? Czy damy radę? Te i wiele jeszcze innych pytań kłębiło się nam w głowach. Czekające nas prawie dwa tysiące kilometrów i trzy miesiące wędrówki stanowiły wymiar zupełnie abstrakcyjny. Najbliższe dni miały zacząć wypełniać go treścią. Jak się okazało były one dla nas szczególnie trudne. Małe Karpaty są górami o bardzo dużym stopniu zagospodarowania. Szlaki na wielu odcinkach biegają asfaltowymi drogami, doskonałymi np. do uprawiania turystyki kolarskiej, ale dla nóg obutych w ciężkie górskie buty nie specjalnie zdrowymi. W dodatku liczone w punktach GOT odcinki dzienne w tych górach o niewielkich różnicach wysokości wydłużały się do trzydziestu i więcej kilometrów. Również plecaki, których zawartość sprawdzaliśmy przed wyjazdem kilkakrotnie okazały się za ciężkie. Natychmiast więc gdy tylko nadarzyła się okazja pozbyliśmy się części uznanych komisyjnie za niepotrzebne rzeczy.



W Beskidzie Żywieckim, Piotr Kurowski, Zdzisław Pecul, Jerzy Montusiewicz, i Andrzej Wielocha, fot. arch.

Między innymi dwóch przymusów oraz zapasu benzyny. Pojechali one do kraju i miały do nas wrócić dopiero w Rumunii na te odcinki gdzie będziemy biwakować powyżej granicy lasu. Gotowaliśmy odtąd tylko na ogniskach miało to swoje dobre i złe strony, ale tych pierwszych było zdecydowanie więcej. Dużym dla nas zaskoczeniem było to, że na całej trasie w CSRS turystów spotykaliśmy tylko w miejscach, do których istniała możliwość dojechania samochodem. Na górskich szlakach nie spotkaliśmy praktycznie nikogo. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasza trasa nie prowadzi przez najciekawsze góry Czechosłowacji. Nie mniej jednak sytuacja taka w górach przylegających do mocno zurbanizowanych terenów były dla nas miłą niespodzianką, ciszą i spokojem wynagradzającą nam ewentualne niedostatki tych gór. Małe Karpaty – pierwsza na naszej trasie grupa górską – nie należą do najwyższych w grzbiecie Karpat. Wręcz przeciwnie, wzniesienia ich nie przekraczają 800 metrów. Jednak złożona budowa geologiczna znakomicie podnosi ich walory turystyczne. Obłym, porastającym liściastym starodrzewem, wzniesieniom części wschodniej, towarzyszą po zachodniej stronie, połyskujące w słońcu białe dolomitowych ścian, skałki Wapiennej (748 m) czy Zarubów (768 m). Dodatkową atrakcją turystyczną Małych Karpat stanowią ruiny średniowiecznych zamków malowniczo położonych na szczytach wzgórz. W dalszym ciągu trasa naszej wędrówki pro wadziła przez Białe Karpaty, gdzie stosunkowo duże różnice wysokości względnej były dla nas pierwszym sprawdzianem kondycyjnym. W Jaworniki weszliśmy od strony południowo-zachodniej przez Pulcin, najwyżej położoną wieś na całym pograniczu słowacko-morawskim. We wsi znajdują się doskonale zachowane przykłady ludowej architektury drewnianej. W jej pobliżu można obejrzeć owiane zbójnickimi legendami Pulcińskie Skały. Jest to grzebień zbudowanych z piaskowca ostańców skalnych, w niektórych miejscach dochodzących do kilkudziesięciu metrów wysokości. Przechodziliśmy przez nie wczesnym rankiem, w snujących się pośród drzew i skał pasmach mgły, nadającej całej scenierii dodatkowej tajemniczości. Biwak pod szczytem Małego Jawornika (1019 m) ze wspnianym zachodem słońca i pięknymi panoramami Śląsko-Morawskich Beskidów i Małej Fatry z pewnością nawet najwybredniejszego turystę przekonaby do tych gór. Po przejściu pasma Wielkiego Połomu w Śląsko-

Morawskich Beskidach, zakończyliśmy odcinek czechosłowacki zejściem do Mostów u Jabłonkowa. Generalnie dobrze wyznakowane i skrętnie konserwowane szlaki oraz znane ze swej jakości mapy turystyczne w dużym stopniu ułatwiły nam przejście pierwszego etapu naszej wyprawy. Granice Polski przekroczyliśmy w Cieszynie. Po dwunastu dniach wędrówki mieliśmy w nogach 274 kilometry i 7400 metrów podejść, a w duszy coraz większe obawy czy damy radę. Właściwie dopiero teraz po tych kilkunastu dniach długość czekającej nas trasy zaczęła nabierać realnych proporcji i co tu owijać w bawełnę – przyprawić nas o zawrót głowy.

Polska przywitała nas deszczem. Odtąd właściwie przez ponad miesiąc słońce oglądaliśmy bardzo rzadko. Najgorsze było błoto. Duże dostawy świeżej wody rozmiękczyły beskidzkie szlaki w sposób znakomity. Podejście pod Oszust (1147 m), gdzie każdy krok wymagał cyrkowej wprost ekwilibrystyki czy wysysające siły rozmokłe polany w paśmie Żeleźnicy dały nam się mocno we znaki. Otuchy dodawali nam ludzie, których spotykaliśmy na szlakach. Duże zainteresowanie naszą wyprawą i wręcz entuzjastyczny stosunek spotykanych turystów połączony niejednokrotnie z nieukrywanym podziwem poprawiał zdecydowanie nasze samopoczucie i pomagał nam pokonać presję psychiczną powoli, bardzo powoli ubywających kilometrów. Z grożących nam wielu „niebezpieczeństw” największym były ... miasta.

Kiedy zmęczeni, ubłoceni, z ciężkimi worami na plecach przechodziliśmy przez krynicki deptak, gdzieś w głębi duszy pojawiły się wątpliwości. Pełne dezaprobaty spojrzenia eleganckich czasowiczek w niejednym z nas nadszarpnęły wolę walki. Na szczęście wizja ciepłej kąpeli i pełnych wspaniałych woni restauracyjnych, wewnątrz rozwiła się szybko wraz z oddalającymi się ostatnimi domami czasowymi Krynicy. Na obiado-kolację jak zwykle był przygotowany makaron i klopsiki z puszki. Nie licząc wyżej wspomnianych drobiazgów odcinek polski nie nastręczył nam właściwie żadnych kłopotów. Nic w tym zresztą dziwnego. Poszczególne fragmenty trasy każdy z nas znał właściwie na pamięć z wielu letnich i zimowych wędrówek. Udało nam się dzięki temu utrzymać zaplanowany harmonogram, nie musieliśmy w związku z tym zrezygnować z dwóch zaplanowanych dni odpoczynku. Jeden z nich urządziliśmy sobie pod Jawonikiem (1046 m). Tak się szczęśliwie złożyło, że tego dnia deszcz padał tylko przez chwilę, mieliśmy więc prawie cały dzień na leżenie do góry brzuchami. Był to pierwszy dzień odpoczynku po 15 dniach i 354 kilometrach wędrówki. Polski odcinek wyprawy przebiegał następującą trasą. Z Koniakowa przez Zwardoń dotarliśmy do granicy państwowej, którą opuściliśmy dopiero na Babiej Górze by przez pasmo Żeleźnicy, Gorce i Beskid Sądecki, na Dzielcu w Beskidzie Niskim powrócić do niej ponownie. Ściśle granicą, która w tym wypadku pokrywa się dokładnie z działem wodnym Karpat, przeszliśmy cały Beskid Niski i część Bieszczadów aż po Wielką Rawkę. Polski fragment naszej trasy zakończyliśmy wejściem na Rozsypaniec.

Granicę ZSRR przekroczyliśmy 18 lipca. Wchodziliśmy w góry, o których wiedzieliśmy dużo, ale których nikt z nas nie znał z autopsji. Świadomość, że jesteśmy właściwie pierwszą grupą polskich turystów, która ma możliwość przejścia radzieckiej części Karpat powodowała dodatkowe emocje. To też ze zrozumiałą ciekawością pokonywaliśmy ostatnie metry podejścia pod szczyt Kińczyka Hnylskiego (1116 m), od którego zaczynają się długie grzbiety wschodnio-bieszczadzkich połonin. Brodząc po kolana w kobiercach arniki, przechodziliśmy kolejne wierzchołki połonin Starostyny (1228 m), Wielkiego Wierchu (1312 m) i Żelaznego (1306 m), aż po kulminację całych Bieszczadów wierzchołek Pikuję (1406 m). Za Pikujem główny grzbiet Karpat znacznie się obniża. Całe szczęście, że stosowany przez profesora



W Jasini po zejściu z Czarnej Połoniny, Jan Swianiewicz, Jacek Niekucka i Marcin Sobkowski, fot. arch.

Kondrackiego termin „Beskidy Lesiste” nie znajduje w tym wypadku pełnego odzwierciedlenia w rzeczywistości. W przeciwnym bowiem razie poruszanie się w tym trudnym orientacyjnie terenie (rusztowy układ grzbietów) byłoby niezłym rebusem. Na całej trasie od Wołosianki po przełęcz Wyszowska (Toruńska) spotkaliśmy tylko trzy zwarte kompleksy leśne. W rejonie Ławocznego nad źródłami Oporu, na Bliźnicu (1222) oraz w rejonie przełęcz Wyszowskiej. Pozostałe fragmenty grzbietu, nawet te których wysokość nie przekracza 1000 m n.p.m. są bardzo mocno wylesione. Za przełęczą Warecką (Tucholską) obniżenie działu wodnego jest tak znaczne, że dno doliny, płynącego obok Stryja znajduje się dosłownie 50 metrów niżej. Trudno uwierzyć, że idąc głównym grzbietem Karpat, można mieć prawie na wyciągnięcie ręki rzekę mającą swoje źródła dziesięć kilometrów dalej. Niestety już trzeciego dnia naszej wędrówki przez Bieszczady Wschodnie złapało nas całkowite załamanie pogody. Aura, która do tej pory specjalnie nas nie rozpieszczała, teraz postanowiła chyba rozprawić się z nami ostatecznie. Czegoś takiego nie przewidywaliśmy nawet w najczarniejszych rozważaniach o tym co może nas w górach spotkać. Przez kolejne siedem dni lało praktycznie bez przerwy. Nasycona wilgocią ziemia nie była już w stanie wchłaniać więcej wody, to też spływała ona dosłownie wszędzie. Ścieżki zmieniły się w rwące strumienie, polany w grzęzawiska, a na połoninach woda płynęła całymi stokami równo z porastającą je trawą. W strugach, deszczu przeszliśmy przełęcz Wyszowska i weszliśmy w Gorgany. Mimo fatalnej pogody, już od pierwszego dnia góry te oczarowały nas bez reszty. Podejście na Gorgan Wyszowski (1443 m) poprzez prastary, górnoregłowy las smrekowy, gdzie raz po raz odnajdywaliśmy tropy niedźwiedzi odcisnięte w mokrej ziemi, na długo pozostanie w naszej pamięci. Gorgany są górami jedyne w swoim rodzaju. Ich

rozległość i wspaniała dzikość nie mają chyba sobie równych w całych Karpatach. Wrażenie owej dzikości potęgują rozciągające się ponad piętnem kosodrzewiny niezmierzone połacie gołoborzy - gorganów. Gdy na szczycie Popadii (1742 m) wiatr rozwiął na krótką chwilę kłębiące się ze wszystkich stron chmury, ogrom tych gór ukazał nam się w całej okazałości. Na północ i północny-wschód aż po horyzont ciągnęły się niezliczone grzbiety pooddzielane głęboko wciętymi dolinami. Hen za doliną Łomnicy majaczyła grupa Sywuli (1818 m). Na południe i południowy-wschód panoramę zamykały potężne grzbiety połoniny Krasnej i Swidowca. Dla takiej chwili jak ta na szczycie Popadii warto przejść nie jeden tysiąc kilometrów. W Gorganach padł swoisty rekord. Przez osiem godzin marszu nie zdjęliśmy ani razu plecaków i nie zatrzymaliśmy się praktycznie nawet na chwilę. Nie wynikało to bynajmniej z chęci bicia bezsensownych rekordów. Po prostu w powietrzu i na ziemi było tyle wody, że nie dało się znaleźć nadającego się do odpoczynku miejsca. Posiadane przez nas foliole peleryny dawały wyjątknie psychiczny efekt, a kiedy jeszcze przyszło nam drzeć się przez gąszcz kosodrzewiny, przeszkadzały bardziej niż pomagały. W tej sytuacji nie byliśmy w stanie utrzymać zaplanowanego harmonogramu wędrowki. Musieliśmy zrezygnować z dnia odpoczynku, a także z wielkim żalem ominąć najwyższy szczyt Gorganów Sywulę. Dopiero gdy z Busztuła (1693 m) przez Wielką Kieputę (1608 m) zeszliliśmy w dolinę Bertanki i zobaczyliśmy pozrywane mosty i tory leśnych kolejek, porozmywane drogi, zdaliśmy sobie sprawę, że na grzbiecie nie było jeszcze tak źle. Na szczęście pogoda zaczęła się powoli poprawiać. Z doliny Płajskiej weszliśmy na przełęcz Legionów, gdzie stanęliśmy jak wryci. Na obszernej, pokrytej szmaragdową trawą i kobiercem kolorowych kwiatów polanie, z niewielkiego wzgórką poprzerastanych trawą kamieni, wystrzelał w niebo kilkumetrowej wysokości stalowy krzyż. Pod krzyżem starannie oczyszczona kamienna tablica. Ktoś, drżącym ze wzruszenia głosem odczytał napis:

„Młodzieży Polska Patrz na ten Krzyż
Legiony Polskie Dźwignęły Go w Żwyż
Przechodząc Góry, Łasy i Wały,
Do Ciebie Polsko i Dla Twój Chwały”

Stanęliśmy jak zahipnotyzowani, nie mogąc oderwać wzroku. Jakis dziwny ucisk w krtani i wilgoć w kącikach oczu. Po chwili wokół tablicy pojawiły się pęki polnych kwiatów i białoczerwony proporzycyk. Myślę, że ci, którzy tam byli nie zapomną tej chwili do końca życia.

Z przełęcz Legionów poszliśmy przez Durnią i Grofę na Bratowską (1793 m), a z niej do miejscowości Jasinia położonej w dolinie Czarnej Cisy, u stóp Czarnohory. Dzień 29 lipca był dniem podwójnie uroczystym. Po pierwsze dlatego, że weszliśmy na najwyższy szczyt Beskidów – Howerlę (2061 m). Z Jasini wyszliśmy na grzbiet spadający spod szczytu Szesa (1560 m). Przed granicą lasu mniej więcej na wysokości 1300 m n.p.m. znaleźliśmy stary pasterski płaj, jakby wprost przeniesiony z kart powieści Vincenza. Pamiętający z pewnością czasy huculskich redyków z legendy starowieku. Zaprowadził on nas długim trawersem do osady pasterskich szałasów na stokach połoniny Pietrosula (1855 m). Stąd po mozolnym podejściu (ok. 700 m różnicy wzniesień) osiągnęliśmy spowity mgłami szczyt Pietrosa (2020 m) opadający stromym, prawie pięćset metrowym urwiskiem w kierunku Howerli. Niestety na szczyt Howerli, marzenie każdego przewodnika beskidzkiego, weszliśmy we mgłę i zacinającym deszczu. Trudno się mówi, wszystkiego na raz mieć nie można. Dolina Prutu, do której



Na szczycie Howerli Jerzy Will, Ludwik Przyłuski, Jacek Niekuła, Andrzej Wielocha, Marcin Sobkowski, Piotr Kurowski, Wsław Tomaszewski, Zdzisław Nerwiński oraz na dole Jan Swianiewicz i Zdzisław Pecul, fot. J. Montusiewicz

zeszliśmy z Howerli nie przypominała w niczym tak dobrze nam znanych beskidzkich dolin. Piękny smrekowy las i unoszący, się nad spienioną wodą zapach łopianów przypominały raczej surowym, majestatycznym pięknem doliny tatrzańskie. Odcinek radziecki zakończyliśmy w Worochcie, skąd przez Kołomyję i Czerniowce przejechaliśmy do Rumunii.

Teraz mieliśmy przed sobą już ostatni, ale za to najdłuższy, bo stanowiący prawie połowę całej trasy, odcinek przejścia. Góry Marmaroskie i Rodnianskie, od których zaczęliśmy, były nam dobrze znane z prowadzonych obozów, to też pierwsze dni w Rumunii były dla nas w pewnym stopniu odpoczynkiem. Tym bardziej, że pogoda ogłosiła zawieszenie broni i mogliśmy wreszcie wysuszyć mokre od kilkunastu dni rzeczy. Jeszcze tylko pod szczytem Ineula (2279 m) złapała nas burza gradową, ale po tym co przeszliśmy była to już zupełna betka. Góry Rumunii pulsują życiem. Turystów wprawdzie spotyka się jeszcze stosunkowo mało, za to funkcjonuje tu nadal życie pasterskie. Kierdele zbyrkających dzwonekami owiec, tabuny półdziko pasących się koni tworzą wspólną oprawę tych gór i nadają im autentycznego wymiaru. W górach Birgaului spotkała nas przykra przygoda. Nie dotarła na miejsce spotkania kolejna ekipa wspierająca z zapasami żywności. Po przejściu trzydziestu kilku kilometrów na obiadokolację mieliśmy niesłodzonego gluta i gorzką herbatę, oraz w perspektywie śniadanie, na które nie mieliśmy już nic. Zeby zrozumieć z jakimi humorami kładliśmy się spać trzeba by przejść podobną trasę do naszej. Odtąd plecaki nasze stały się cięższe o noszoną już zawsze rezerwę żywności. Po przejściu Kelimenów zrobiliśmy kolejny dzień odpoczynku wykorzystując go na pranie, mycie i konieczne naprawy sprzętu. Te dni odpoczynku były nam bardzo potrzebne, niestety w większości wypadków musieliśmy je przeznaczyć na nadrabianie strat. Poważne problemy pojawiły się nam po przejściu przełęczy Ghimes oddzielające góry Haghimas od Czukaskich (Ciuc). Wiązały się one z tym, że wchodziliśmy w góry o bardzo słabym zagospodarowaniu turystycznym. Gór tych nie znaleźliśmy zupełnie,



Pogoda w Karpatach Ukraińskich nie rozpieszczała nas specjalnie; Jan Świaniewicz i Jerzy Montusiewicz korzystają z przerwy w marszu, *foto. arch.*

a jedyne jakie nam się udało zdobyć mapy w skali 1:200 000 pochodziły jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. W sytuacjach więc gdy jeszcze dodatkowo przychodziła mgła poruszaliśmy się prawie po omacku. Powodowało to konieczność zdołowania uwagi i oczywiście zmniejszenia tempa marszu. Najdrobniejsze nawet pobłędzenie pociągało za sobą stratę czasu, a co za tym idzie wypadnięcie z zaplanowanego harmonogramu. Góry Czukaskie, Oituz (Nemira) i Vrancei, które nastreczyły nam najwięcej kłopotów, okazały się jednak bardzo ciekawe i warte poprowadzenia tam obozów. Od gór Vrancei kierunek naszej wędrówki uległ zmianie. Do tej pory szliśmy cały czas na południe, teraz co wieczór mieliśmy przed sobą zachodzące słońce. Przechodziliśmy kolejne grupy górskie Siriu z cudownie dojrzałymi malinami na wapiennych nasłonecznionych stokach, Ciucasz z oryginalną rzeźbą zbudowanych z wapiennych zlepieńców skał, Piatra Mare z przepiękną panoramą masywu Bucegi i Piatra Craiului. W dniu narodowego święta Rumunii, 23 sierpnia przekroczyliśmy przełęcz Predeal i weszliśmy w Karpaty Transylwańskie. Tu już dysponowaliśmy lepszymi mapami, a i góry były wyższe, więc łatwiejsze orientacyjnie. Poza tym częściowo nam znane. Bucegi przywitały nas kuszącą bielą opadających w dolinę Prahowy zreszanic, oraz największym chyba ruchem turystycznym ze wszystkich gór Rumunii. Nie pozostaje to niestety bez wpływu na ich krajobraz. Płaskowyż szczytowy (powyżej 2000 m n.p.m.) w rejonie Caraimana i Babeli poryty jest drogami mocno zaśmieconymi pozostałymi z budowy schronisk i kolejek linowych materiałami. Toteż opuszczaliśmy te góry bez specjalnego żalu, tym bardziej, że na szczycie Omu (2505 m) zaczął sypać śnieg. Z Bucegi, skrajem masywu Leoty dotarliśmy do stóp strzelistej grani Piatra Craiului. Mniej więcej w tym czasie zaczęliśmy dostrzegać u siebie pewne oznaki znużenia. Doskwierało nam nie tyle zmęczenie fizyczne, bo z tym dawno już przestaliśmy mieć jakiegokolwiek problemy, ile psychiczne. Wyływające częściowo z przebywania przez dłuższy okres czasu w tym samym, w końcu bardzo wąskim kręgu ludzi, a częściowo chyba również z pewnej, mimo natłoku wrażeń monotonii powtarzanych czynności. Dobrze się więc

stało, że przewidując jeszcze w kraju taką sytuację, postanowiliśmy zacząć wyprawę w Bratysławie, a nie w Żelaznej Bramie. Wiązało się to z tym, że pod koniec wyprawy przechodziliśmy góry wyższe i trudniejsze, ale za to zdecydowanie ciekawsze. W Piatra Craiului zdarzył nam się wypadek, który mógł zaważyć na losach całej wyprawy. W stromym żlebie spadający kamień trafił jednego z uczestników w głowę. Uraz wyglądający z początku bardzo groźnie okazał się na szczęście niezbyt głębokim skaleczeniem, toteż po krótkim odpoczynku poszkodowany ruszył rażno w dalszą drogę, strasząc tylko trochę spotykanych turystów pokrzwawioną głową, jako że najbliższa woda była dopiero na dnie doliny. Nad urokami Fogaraszu najwyższych gór Rumunii nie będę się rozpisywał ponieważ znane są one szeroko również w Polsce. Tym razem bogowie gór byli nam przychylni, mogliśmy więc podziwiać te wspaniałe góry przy doskonałej pogodzie. Główny cel naszej wyprawy, wymagał absolutnego podporządkowania się harmonogramowi założonemu jeszcze w Warszawie. Nie mogliśmy sobie w związku z tym pozwolić na zbyt szczegółowe kontemplowanie widoków ani atrakcji turystycznych spotykanych na naszej drodze. Wkalkulowaliśmy to w bilans wyprawy po stronie strat, ale pogodzić się z tym było nam nieraz bardzo trudno. Toteż wielokrotnie obiecywaliśmy sobie, że na pewno wrócimy w to czy inne miejsce, aby spokojnie i bez pośpiechu móc poznać je dokładniej. Jednym z takich miejsc były góry Lotru, w które weszliśmy doliną Fratului od strony przełomu Czerwonej Wieży. Z początku broniły się one mgłą i deszczem. Kiedy jednak za szczytem Marę (2056 m) wiatr rozwiął mgły i zaświeciło słońce, oczom naszym ukazał się wspaniały widok. Góry Lotru mają w całym grzbiecie Karpat zupełnie wyjątkowe położenie. Same przekraczając w wielu miejscach wysokość 2000 m n.p.m., otoczone są ze wszystkich stron grupami górskimi równej, albo większej wysokości. Na południe oddzielone doliną rzeki Lotru rozciągają się góry Capacini z kulminacją 2124 m w szczycie Ursu. Na południowy zachód góry Paring o zdecydowanie alpejskim charakterze, drugie co do wysokości góry Rumunii. Na zachód przy dobrej widoczności ponad wypełnioną mgłami kotliną Petrosani, jak gdyby zawieszona w powietrzu rysują się ostre wierzchołki Retezatu. Na północny-zachód zamykają horyzont obłe grzbiety gór Sureanu z potężną kopułą Lui Patru (2130 m). Od północy oddzielone dolinami rzek Sebes i Sadu rozciągają się góry Sybińskie (Cindrel) z najwyższym wzniesieniem Cindrelu (2244 m). Pełną panoramę od wschodu zamyka Fogaras. Jest to jedno z nielicznych miejsc w całych Karpatach, gdzie przy najlepszej pogodzie nie widać najmniejszego skrawka nizin. Wczesna tegoroczna jesień dodawała całemu krajobrazowi wspaniałej pastelowej barwy. Góry te mają jeszcze jedną szczególnie dla nas atrakcyjną cechę. Są puste i zupełnie niezagospodarowane. Góry Lotru opuściliśmy przechodząc przez przełęcz Tartarau i boczny grzbiet Paringu opadający od szczytu Capra (1927 m) w kierunku Petrosani. W Retezat wchodziliśmy od wsi Banica, w kierunku na szczyt Tulisy (1792 m). Była to najdłuższa droga w Retezat toteż plecaki mieliśmy wypchane żywnością do maksimum. Oczywiście, będąc już w Retezacie nie mogliśmy sobie odmówić wejścia na najwyższy jego wierzchołek Peleagă (2509 m), mimo że nie leżał on na trasie naszej wędrówki. Wykorzystaliśmy na to ostatni już dzień odpoczynku. Następnie poprzez Mały Retezat z przypominającym Giewont szczytem Piatra Iorgovanu (1997 m) i przełęcz pomiędzy dolinami Cernei i Jiu, weszliśmy w ostatnią na naszej trasie grupę górską Mehedinti.

Ostatecznie 13 września 1980 roku po przejściu 1904 kilometrów i 70900 metrów przewyższeń (podejść) w czasie dziewięćdziesięciu dni wyprawa stanęła nad brzegiem Dunaju w Orsovie, kończąc tym samym pierwsze w historii przejście całego grzbiecia Karpat.

W wyprawie udział wzięli:

grupa zasadnicza

Andrzej Wielocha – kierownik, SKPB Warszawa

Piotr Kurowski SKPB Warszawa

Jerzy Montusiewicz SKPB Lublin

Zdzisław Pecul SKPB Warszawa

Wiesław Tomaszewski SKPB Warszawa

koordynacją ekip wspierających sterował z Warszawy

Jerzy Will SKPB Warszawa

w ekipach wspierających między innymi udział wzięli:

Zdzisław Nerwiński (800 km) SKPB Warszawa

Jan Swianiewicz (650 km) SKPB Warszawa

Marcin Sobkowski (285 km) SKPB Warszawa

Ludwik Przyłuski (285 km) SKPB Warszawa

Jacek Nieckuła (285 km) SKPB Warszawa

Jerzy Will (285 km) SKPB Warszawa

Michał Bayer (310 km) SKPB Warszawa

Tadeusz Pyrcak (200 km) SKPB Warszawa

Jan Lipszyc (200 km) SKPB Warszawa

Marek Król (200 km) SKPB Warszawa

oraz:

Henryk Łukasik SKPB Warszawa

Marian Brzozowski SKPB Warszawa

Piotr Janko SKPB Warszawa



Na szczycie Negoiu w Górach Fogaraskich; Zdzisław Pecul, Jerzy Montusiewicz i Wiesław Tomaszewski, fot. arch.

Z historii Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie 1957-1982, Warszawa 1982

Postscriptum po trzydziestu latach.

Właściwie to powinienem napisać ten tekst od nowa. Nie ma w nim bowiem wielu istotnych kwestii, a przede wszystkim, nie ma ani słowa o tym, że Karpaty Ukraińskie przeszliśmy nielegalnie, bez zgody ówczesnych władz ZSRR. Trzeba pamiętać, że tekst ten, aby mógł ukazać się w kronice 25-lecia, musiał – jak i cała książka – uzyskać zgodę cenzury. Pojawiają się więc w nim pewne kunsztowne konstrukcje stylistyczne typu „nie udało nam się załatwić niektórych potrzebnych formalności” lub „nie mieliśmy pewności czy będziemy mogli zrealizować wyprawę w pełnym wymiarze”, które cenzura mogła puścić, a które dla czytelnika w 1982 roku były raczej przejrzyste, dzisiaj już zdecydowanie nie są czytelne.

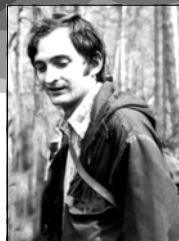
Trudno jest jednak po trzydziestu latach napisać coś, co nie brzmiałoby fałszywie. Nie da się choćby zważyć dziś, podjętego wówczas przez nas ryzyka. Co by było gdyby nas złapali? Prawdę mówiąc nie potrafimy ocenić, czy nasze obawy nie były wyolbrzymione i czy to perspektywa czasu powoduje, że ówczesne „strachy” wyblakły czy odwrotnie, to życie przez blisko już dwadzieścia lat w normalnym świecie spowodowało, że nie potrafimy odtworzyć realiów tamtej rzeczywistości.

Daszedłem więc do wniosku, że lepiej zostawić ten, w sumie ułomny, trochę naiwny i niepełny tekst, oddający jednak na swój sposób tamte czasy, niż pisać od nowa coś, co z całą pewnością nie było by autentyczne.

A.W.

Krzysztof Dudek blacha nr 182

Trasa nr 3



W Beskidzie Niskim pierwszy raz znalazłem się w 1969 roku. Do dzisiaj byłem na kilkudziesięciu rajdach, ale największe wrażenie pozostawiła na mnie rajdowa trasa w 1981 roku. Ale i rok był to szczególny. Była to pierwsza chyba w historii rajdu trasa „pielgrzymkowa”* a towarzyszył nam na niej o. Hubert Czuma, duszpasterz akademicki, który odważył się ponieść trudy górskiej wędrówki z młodzieżą. Potraktował spotkanie z nami niezwykle poważnie. Przygotował spójny cykl rozmów z nami na różne tematy. Nie tylko duszpasterskie.

Z Karpatami łączyła go rodzinna historia. W czasie pierwszej wojny walczył w Karpatach jego stryj Walerian, późniejszy generał, dowódca obrony Warszawy w 1939 r.

Ojciec Hubert przyjechał na trasę nr 3 z własnym śpiewnikiem. Wielu piosenek z tego jego śpiewnika nie było w żadnym innym.

Ożywały na trasie kapliczki, cmentarze, kościoły, cerkwie. A i ludzie, mieszkańcy Beskidu Niskiego i pogórza, przestali być tłem, dodatkiem mniej ważnym do zabytków i przyrody. Łatwiej i ciekawiej się z nimi rozmawia. Starsi zresztą zwykle znali piosenki z śpiewnika o. Huberta.

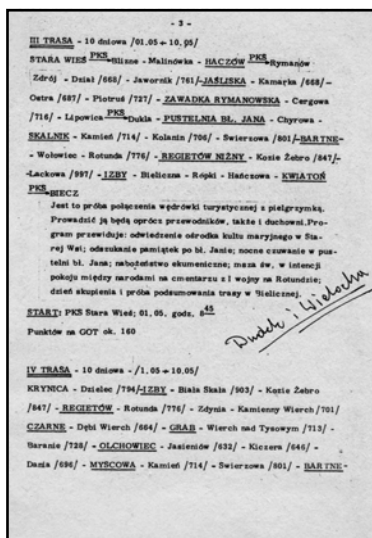
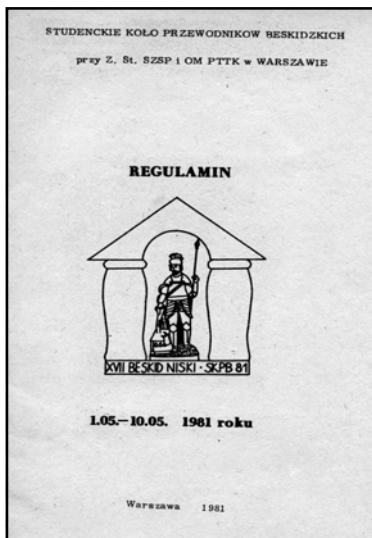
Zaczynamy w Starej Wsi. Jest tu Bazylika Wniebowzięcia NMP. Mieści się tu też nowicjat OO jezuitów. Oprowadza nas po bazylice magister nowicjatu, prywatnie stryj Sławomira Mrożka. Mamy możliwość obejścia pomieszczeń klauzurowych. W kaplicy przy ośrodku rekreacyjnym jezuitów pożyczamy szaty liturgiczne.

Następnego dnia jesteśmy w Haczowie. Kościół pw. Wniebowzięcia NMP właśnie został zwrócony parafii. Nadaje się do generalnego remontu. Ksiądz proboszcz to bardzo energiczny i sprawny organizator. Spotkałem go później w Warszawie, gdy przyjechał z parafianami na rejestrację „Solidarności” rolniczej. Nam załatwił przejazd do Rymanowa weselnym autobusem.

Jaśliśka i Sanktuarium Matki Bożej Królowej Nieba i Ziemi. Świadczenie kultu MB Jaśliśkiej sięgającego aż do stolicy. Argument za koronacją obrazu. Zapowiedziano z pompą naszą grupę jako pielgrzymkę z Warszawy. Mszę odprawia o. Hubert – proboszcz jest zachwycony, jakby mógł, to by nam nieba uchylił. Dziś św. Floriana, cała ochotnicza straż pożarna w gali bierze udział w procesji.

Po zespole bernardyńskim w Dukli oprowadza nas sędziwy o. January. Prosi by mu nie przerywać bo zapomniał co powiedział i będzie musiał zaczynać od początku. Wydawało mi się to trochę dziwactwem, ale dziś sam nie raz proszę tak samo.

*) Była to rzeczywiście pierwsza trasa pielgrzymkowa na pierwszomajowym Rajdzie „Beskid Niski” finasowanym przez Biuro Podróży i Turystyki „Almatur” Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich. Nawet czeszura puściła informację o tej trasie w *Regulaminie Rajdu!* Taki to był ten rok 1981.



Pustelnia bł. Jana z Dukli. Od 1-go maja zaczyna stały pobyt w Pustelni brat Urban. Przemięły starszy zakonnik. Nie traci żadnej okazji by zachęcić nas do modlitw o kanonizację patrona pustelni. Noc przy ognisku i w kościele z wykładami o. Huberta. Potężna dawka problemów do przemyślenia.

Kolejny nodeg w Skalniku. Też sanktuarium i obraz Matki Bożej słynący łaskami. Plebania wita nas gościnnie. Na mszę z sąsiedniej Desznicy przychodzi pielgrzymką cała wieś. To taka lokalna tradycja.

Docieramy do Bartnego w deszczu.

W bacówce spotykamy studentów z WAT-u. Chłoną słowa o. Huberta i nieznaną im piosenkę.

Idę do wsi po chleb i by umówić się na zwiedzanie cerkwi. Deszcz, zimno i błoto. W sklepie tylko rodzynki. Za to dwa rodzaje.

W cerkwi wita nas młody ksiądz bardzo serdecznie. Wspólna modlitwa. Nawet o. Hubert jest zakoczony. Było to prawdziwe spotkanie ekumeniczne.

Na Rotundę wyszliśmy z Regietowa o zmroku. Na miejscu byliśmy już nocą. Czekali na nas nowi koledzy, którzy później dojechali na trasę.

Niezwykła Msza św. Noc, cmentarz z rozwalającymi się krzyżami, migocąca świeca i ksiądz w białej albie. Modlitwa o pokój.

Z Regietowa o. Hubert wraca do domu. Zostajemy sami. Jeszcze tylko Bieliczna. W ruinach cerkwi pw. Św. Michała Archanioła ktoś ułożył krzyż i zostawił pozdrowienie dla naszej trasy. Miło.

Kończymy w Bieczu. Jest chór „Organum” z Krakowa. Mszę odprawia przystany przez o. Huberta jezuita z Krakowa.

Wracamy do Warszawy by z wrażeniami zostać już na zawsze i by każdy następny pobyt w Beskidzie Niskim sięgał do tego rajdu i trasy nr 3.

Jeszcze raz w Warszawie o. Hubert odprawił zaduszkową Mszę św. w intencji zmarłych członków SKPB. Kto był, zapamiętał tę Mszę z pewnością do dziś. To były inne czasy.

A dziś...

Kościół z Haczowa z nowiutkim gontem można zobaczyć na monetach NBP. Jest umieszczony na liście światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO.

Nie ma już Pustelni bł. Jana z Dukli. Jest centrum pielgrzymkowe z tłumem autokarowych pielgrzymów. Jakies takie obce.

Bł. Jan z Dukli został kanonizowany. W Jaśliskach obraz NMP Jaśliskiej już jest po koronacji.

W Bartnem jest droga asfaltowa przez całą wieś. Sklep przyjedzie sam do ciebie. I przywiezie wszystko czego ci potrzeba.

Cerkiew w Bielicznej jest pięknie odnowiona przez księdza Czekaja z Banicy.

Cmentarz na Rotundzie powoli, wysiłkiem głównie młodego pokolenia SKPB może nie zostanie zapomniany.

W oranżerii nowicjatu w Sterej Wsi dalej owocują pomarańcze.

Jedynie modlitwa o pokój ciągle jest aktualna. I jakby coraz bardziej i bardziej.

Zakończenie Rajdu „Beskid Niski” w 1981 roku w Bieczu. Od lewej na pierwszym planie Janusz Szporer, Paweł Jagiełło, Jan Swianiewicz, Marcin Sobkowski, w głębi m. in. Grażyna Jędrzejczak i Anna Ostrowska.



" Ł E M K O W I N A "

znikające ślady zachowane w pamięci -

By to znaczy Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, proponujemy wszystkim prawdziwym fanatykom Beskidu Niskiego udział w podjętym przez nas Zamierzeniu, które w braku lepszego określenia nazwalibyśmy akcją "Łemkowina", a któremu nadaliśmy wiele - jak sądzimy - wyjątkiwy podtytuł - znikające ślady zachowane w pamięci. Celem tego zamierzenia jest oglądanie od zapomnienia tego wszystkiego co jeszcze da się ocalić, a co dotyczy Łemków i kultury Łemkowskiej. Uratowanie ginących bezpowrotnie na naszych oczach boszczych starobów folkloru ukrytych w pamięci tak niestety nielicznych już ludzi mieszkających w Beskidzie Niskim od wielu pokoleń. Urodzonych i wychowanych w tej unikalnej, wytworzonej na przestrzeni wieków kulturze. Dlatego też, w tym miejscu zwracamy się z prośbą do wszystkich, którzy zainteresowani są tą oryginalną kulturą, i którym bliskie są sprawy Beskidu Niskiiego.

Liczymy na Waszą pomoc!

Choć nie po górach, rozmawiając z mieszkańcami tuż obok, szczególnie z tymi, którzy pamiętają dawno czasy słyszycie nie jedną rzecz, która może być utrwalona, warto tego by podzielić się nią z innymi. Może to być jakaś nazwa terenowa nie naniesiona na żadną mapę, legenda lub bajka, w której jak w zakurzonej szufladzie odbijają się cienie dawno zdarzenia, albo zwykłe, z pozoru błache fakty z życia codziennego, które samo w sobie niewiele znaczące, mogą stanowić niezwykle ważny element w budowaniu z gromadzonych materiałów obrazu. Wszystkie to starannie notujcie. Pamiętajcie, istotnie mogą być najdrobniejsze szczegóły. Zebrane materiały, czy to w formie opracowanej, gotowej publikacji, czy to w formie luźnych notatek przesyłajcie do nas.

Zapraszamy Wszystkich do współpracy!

Zbrane przez nas i przez nas materiały będziemy publikować na bieżąco w naszych wydawnictwach.

Jednocześnie zapraszamy Wszystkich ochłonnych do udziału w biwakowych obozach wędrownych organizowanych przez nasze Koło w ramach akcji "Łemkowina". Uczestnicy tych obozów wędrując z nami na najdalszych zakątkach Beskidu Niskiiego zbiorą będą materiały etnograficzne dotyczące tego terenu. W br. organizujemy dwa takie obozy w terminach:

1. 06.07. - 19.07.79 r. oraz 2. 19.07. - 01.08.79 r.

Akcja Opis

Jej pomysł pojawił się pod koniec lat '70. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wiedza o Łemkowszczyźnie jest daleko niepełna, a na naszych oczach odchodzą z tego świata ostatni jej świadkowie, ci żywi - nieliczni członkowie Łemkowskiej społeczności, często cudem tylko pozostali na swej ojczyźnie i ci niemi - krzyże, kapliczki, cmentarze, których czas jest także policzony.

Od 1978 roku przez wiele kolejnych lat Beskid Niski i Bieszczady przemierzyły dziesiątki obozów prowadzonych w ramach tej akcji przez kolejne pokolenia przewodników, dla których Łemkowszczyzna była terenem wyjątkowym i niepowtarzalnym. Wiodła ich ciekawość i chęć poznania tego jak było tu wtedy, gdy puste dziś doliny wypełniał gwar odgłosów codziennego wiejskiego życia. Ową dramatyczną ciekawość minionego świata Łemkowskiej kultury, najlepiej oddał refren piosenki napisanej przez Andrzeja Wierzbickiego, a zatytułowanej „Ballada o św. Mikołaju”.

*Święty Mikołaju opowiedz jak tu było,
Jakie pieśni śpiewano, gdzie się pasty konie...*

Marcin Sobkowski blacha 300

Wirunga 82



25 lat temu z okazji XXV rocznicy powstania naszego Koła zorganizowaliśmy wyprawę w góry Wirunga, masyw górski leżący w samym sercu Afryki na granicy Konga, Ugandy i Ruandy. W jej skład wchodzi 8 dużych wulkanów: Karisimbi (4507), Mikeno (4437), Visoke (3711), Muhavura (4127), Sabinyo (3634), Gahinga (3474), Nyiragongo (3470) i Nyamagira (3048). Dwa ostatnie, ciągle czynne, od czasu do czasu dają znać o swej aktywności, wylewając potoki lawy.

Dlaczego wybraliśmy właśnie Wirungę? To niewątpliwie cel, który w pełni zasługiwał na miano wyprawy XXV-lecia. Trudno dostępny, bez bazy turystycznej, bez wyznaczonych szlaków, rzadko penetrowany przez cudzoziemców, częściej przez miejscowych kłusowników i szmuglerów. Świat tajemniczych goryli górskich, badanych przez Dian Fossey i pokazany w filmie „Goryle we mgle”.

W wyprawie wzięło udział 10 członków Koła: Urszula Jarmuś, Małgorzata Korsak, Anna Piotrowska, Michał Bayer, Jacek Kałużsko, Andrzej Mieszkowski, Jacek Niekuła, Marcin Sobkowski – kierownik wyprawy, Janusz Szporer – z-ca kierownika, Andrzej Wiesiołek oraz Grzegorz Gregorczyk, z AKT „Maluch” który był wówczas pełnomocnikiem Rektora Politechniki Warszawskiej ds. studenckich.

Wyprawę zaczęliśmy organizować na jesieni 1981 roku. Wkrótce wprowadzono stan wojenny i wyjazd zaczął wydawać się niemożliwy do zorganizowania. Jednak krok po kroku udało się zebrać wszystkie potrzebne pozwolenia, a Rektor Politechniki objął patronat nad wyprawą. Była to jedna z dwóch wypraw studenckich, jakie wyjechały z Polski w 1982 roku (i jedyna, która w komplecie wróciła po 5 miesiącach do kraju).

W połowie lipca wylecieliśmy do Kairu i stamtąd zaczęliśmy nasze afrykańskie safari. Najpierw musieliśmy zdobyć wize sudańskie, co nie było łatwe, ani wtedy ani teraz po 25 latach. Udało się nam nawiązać kontakt z polskimi lotnikami opryskującymi plantacje bawełny w Sudanie i jako mechanicy pokładowi bądź ładowi dostaliśmy wize. W oczekiwaniu na nie zwiedziliśmy Kair i okolice do 200 km korzystając z autostopu.

Z Kairu pociągiem III klasy dotarliśmy przez Luksor do Asuanu. Dalej płynęliśmy promem przez zbiornik Nasera. Na tym etapie podróży po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie, jakie zagrożenia czekają na nas w Afryce. Otóż wieczorem, gdy prom przybił do brzegu postanowiliśmy popływać. Przerażeni tubylcy podnieśli rwestes. Okazało się, że w zbiorniku Nasera żyją krokodyle. Zagrożeniem jest też mikroskopijny pasożyt – bilharzja, która przenika do krwi i powoduje ciężką chorobę.

Bezpiecznie dotarliśmy do Wadi Halfy. Nie mieli tego szczęścia pasażerowie promu, na którym kilka miesięcy później wybuchł pożar na środku akwenu. Skończyło się to śmiercią ok. 800 podróżujących. Większość z braku umiejętności pływackich utonęła, część pożarły krokodyle, a tych, którym udało się dopłynąć do brzegu pokąsały koby.

Z Wadi Halfy do Chartumu podróżowaliśmy koleją. Ponieważ wagony były bardzo zatłoczone jechaliśmy na ogół na dachu. Niespieszne tempo pociągu i brak wiaduktów na trasie sprawiały, że



Na przełęczy między Gahingą a Muhavurą; Andrzej Mieszkowski, Janusz Szporer, Małgorzata Korsak, Michał Bajer, Andrzej Wiesiołek, Urszula Jarmuś, Anna Piotrowska, Marcin Sobkowski, fot. arch.

ta forma podróżowania była całkiem bezpieczna. Nawet noce przesyłaliśmy na dachu układając się na brzuchu, poprzecznie do kierunku jazdy. Nie udało się nam kupić biletów studenckich (okazało się, że takie sprzedawane są tylko w Chartumie), więc podróżowaliśmy na gapę. Skończyło się to aresztowaniem mnie jako reprezentanta grupy. Zostałem uwolniony po wykupieniu biletów w Chartumie.

Dalsza droga wiodła koleją do Kosti, stamtąd promem w górę Nilu Białego do Dżuby. Podróż promowa trwała 19 dni. Zwiedzaliśmy wioski, kontemplowaliśmy zachody słońca, pisaliśmy gazetkę wyprawową, uczyliśmy się *suahili* i oganialiśmy się od komarów. Dalej ze stolicy południowego Sudanu, zamieszkanego już prawie wyłącznie przez ludność murzyńską, udaliśmy się do Yei na styku Sudanu, Ugandy i Ruandy. Był to czas wojny domowej w Ugandzie.

Trzy lata wcześniej w 1979 roku obalony został tyran Idi Amin, który wstawił się wypędzeniem z Ugandy Hindusów i Brytyjczyków, wymordowaniem kilkuset tysięcy obywateli i wywołaniem wojny domowej. Pod naciskiem armii tanzańskiej musiał ewakuować się do sąsiedniego Sudanu, a stamtąd do Arabii Saudyjskiej. Jego następca Milton Obote utrzymał skorumpowany system urzędniczy oparty na powiązaniach klanowych i plemiennych, co doprowadziło do kolejnej wojny domowej. Partyzanci, których dowódcą był przyszły prezydent Ugandy Yoweri Museveni, opanowali północ kraju.

Pograniczne sudańskie Yei gościło z konieczności liczną kolonię uchodźców ugandyjskich wygnanych z kraju przez kolejne fale wojen domowych. Czekali aż sytuacja w rodzinnych stronach ulegnie stabilizacji i będą mogli powrócić.

Po dwudniowych negocjacjach cenowych zapakowaliśmy się na ogromną towarowo – pasażerską ciężarówkę i ruszyliśmy transkontynentalną drogą na południe do Konga. Wówczas był to Zair, rządzony przez kolejnego satrapę afrykańskiego Mobutu Sese Seko (dalszych imion zacnego

władcy nie będą wymieniał). Ponieważ stolica Kinszasa leżała setki kilometrów od prowincji wschodnich, a wyplaty dla urzędników i armii napływały rzadko i nieregularnie, pobór myta od podróży odbywał się nader często. Wszyscy pasażerowie byli wysadzani z pojazdów, ustawiani w kolejkę, a asystenci dowódcy posterunku przeszukiwali kolejno skarpetki, wyciągając z nich dołę dla szefa. My jako niezorientowani, a do tego biali asystowaliśmy tylko przy tym procederze. Na koniec serdecznie żegnając się z dowódcą podnosiliśmy jego prestiż w oczach podwładnych.

W końcu po kilku dniach jazdy, licznych reperacjach naszego pojazdu (m.in. wymiana pękniętego resoru piórowego na wystrugany z drewna) dotarliśmy do Beni, gdzie przed nami wyrosło z Wielkiego Rowu Afrykańskiego pasmo ośnieżonych Gór Księżycowych – Ruwenzori.

Postanowiliśmy je spenetrować, mimo że początkowo nie były w programie naszej wyprawy. Z bramy Parku Narodowego ruszyliśmy ostro w górę i po kilku godzinach, ledwo żywi, dotarliśmy do pierwszej chaty górskiej wybudowanej przez Belgów. Dalsza droga prowadziła przez gęsty las bambusowy, zarośla ogromnych paproci, wrzoście drzewiaste, aż po odkryte hale porośnięte przez wielkie senecje i lobelie. W oparciu o schrony wybudowane w czasach kolonialnych podeszliśmy pod najwyższy masyw gór Ruwenzori – Mt. Stanley z kulminacją Margherity 5109 m. Z braku sprzętu alpinistycznego zaniechaliśmy wspinaczki na szczyt. Wspięliśmy się tylko na pomniejszy wierzchołek – Wasuwameso 4600 m i strawersowaliśmy jego grań.

Po powrocie do Beni przejechaliśmy wzdłuż Wielkiego Rowu do Rutshuru, gdzie ugościli nas misjonarze z Polski – ojcowie pallotyni. Stąd ruszyliśmy już na podbój właściwego celu czyli gór Wirunga. Na pierwszy ogień poszedł najwyższy szczyt Karisimbi. Ponieważ nie ma tam szlaków ani dobrych map, wynajęliśmy przewodników-tropicieli, którzy mieli nam pokazać drogę na wierzchołek i zaprowadzić do rodziny goryli górskich.

Pierwszego dnia dotarliśmy do dużej chaty górskiej (proste schronisko bezzałogowe), gdzie ugotowaliśmy ogromny kocioł zupy jarzynowej. Podnóża wulkanów mają bardzo żyzną glebę, która daje świetne plony. Nazajutrz podeszliśmy do Kabary – kolejnego schroniska pozostawionego przez Belgów i po południu weszliśmy wszyscy na szczyt Karisimbi 4507 m. Pierwszym Polakiem, który zagościł na wierzchołku był Jan Czekanowski w 1906 roku – uczestnik wielkiej wyprawy poznawczej księcia Meklemburgii. W czasie tamtej ekspedycji na szczycie rozpętała się śnieżycą. Towarzyszący wyprawie tragarze zastygli w bezruchu i zaczęli zamarzać. Trzeba było użyć pejczy i batogów, żeby ich spędzić w dół, a i tak kilku przypłaciło to życiem. U nas obeszło się bez śniegu, choć mgła spowiła wierzchołek całkowicie.

Następnego dnia z naszymi tropicielami ruszyliśmy na kolejny wierzchołek Visoke. Niestety, już po niespełna kilometry znaleźli martwą antylopę zaplątaną w sidła. Po rozplataniu maczetą jej ciała rozszedł się niewyobrażalny smród gnijącego mięsa, ale przewodnicy zgodnie orzekli: „ny-ama mzuri”, co w suahili oznacza świetne jedzenie i z wielkim trudem udało się zmusić ich do dalszego marszu. Sobie tylko znanymi sposobami i nacięciami na drzewach wybierali kolejne ścieżki zwierzęce. Trafiliśmy na świeżo opuszczone legowisko goryli górskich wśród drzew hagenii.

Później po wyjściu z lasu na przełęcz między Karisimbi a Visoke (granica Ruandy i Zairu) spotkaliśmy białą lady z dwoma tropicielami, którzy pół godziny wcześniej byli z wizytą u goryli górskich. Z perspektywy czasu, po obejrzeniu filmu „Goryle we mgłę” i przeczytaniu kilku książek sadzę, że była to Dian Fossey ze swoimi pomocnikami. Jej obóz – Karisoke Research Center – znajdował się właśnie na stokach Visoke po stronie ruandyjskiej w odległości ok. 2 km od przełęczy. Trzy lata później 28.12.1985 roku Dian Fossey została zamordowana w swoim obozie przez nieznaną do dzisiaj sprawców.

Z przełęczą szczyt Visoke wydawał się na wyciągnięcie ręki, ale nasi tropiciele odmówili dalszego marszu (perspektywa solidnej kolacji ciągnęła ich z powrotem). Wziąłem zatem od jednego z nich maczetę i zacząłem torować drogę w górę. Widząc naszą determinację przewodnicy wzięli się do roboty i ruszyliśmy sprawnie do przodu. Po niecałej godzinie byliśmy już na szczycie, który okazał się regularnym kraterem wypełnionym jeziorem. Obeszliśmy go wokół i zaczęliśmy wracać.

Powrót przebiegał sprawnie, aż do dotarcia do antylopy. Tu nasi tropiciele stwierdzili zdecydowanie, że zostają. Dalej ruszyliśmy sami, ale już po 100 metrach zgubiliśmy ścieżkę. Wobec rozbieżności koncepcji, co do dalszej drogi podzieliśmy się na 2 zespoły: pierwszy dość szybko osiągnął cel, drugi niestety minął polaną i dotarł do chaty już po zmroku. Tropiciele wrócili po kilku godzinach. To czego nie zdołali zjeść na miejscu przytaszczyli ze sobą na następny dzień.

Cały masyw górski Wirunga ze względu na dostępność można podzielić na 3 grupy wulkanów. Pierwsza leżąca na granicy Ruandy i Zairu (Kongo) obejmuje najwyższe szczyty: Karisimbi 4507 m, Mikeno 4437 m oraz czwarty co do wysokości Visoke 3711 m. Druga grupa to dwa czynne wulkany: Nyiragongo 3470 m i Nyamulagira 3056 m leżące całkowicie w Zairze na północ od jeziora Kiwu. Wreszcie trzecia grupa wulkanów: Muhavura 4127 m, Gahinga 3474 m i Sabinyo 3634 m znajduje się dokładnie na granicy Ugandy i Ruandy.

Z pierwszej grupy pozostał nam do zdobycia wulkan Mikeno 4437m – najtrudniejszy ze względu na stromość ścian, gęsto porośnięte zbocza i brak ścieżek. Z braku czasu weszliśmy na niego tylko w trójkę z Januszem Szporerem i Andrzejem Mieszkwskim. Prawdopodobnie było to pierwsze polskie wejście na ten szczyt.

Następnym naszym celem był czynny wulkan Nyiragongo, nad którym w nocy płonęła czerwona tupa. Niesamowity efekt wywołany przez jezioro ciekłej lawy, która gotowała się i kipiała wewnątrz krateru. Z drogi jezdnej podchodziliśmy dwuetapowo. Najpierw do blaszanych schronów, które zapewniały nogę, a następnie do krawędzi krateru. 500-600 metrów pod naszymi stopami leżało dno, w większości zastygłe, ale w jednym miejscu lawa przebijała się tworząc czerwone jezioro. Co jakiś czas następowały małe wybuchy gejzeru ciekłej lawy. Widok przez lornetkę zapierał dech w piersi. No cóż, czynne wulkany mają magnetyczną siłę przyciągania, a obserwacja wybuchów działa na człowieka hipnotycznie. Kolejne wyzwanie to obejście korony całego krateru nocą. Grań poszarpana licznymi nierównościami i uskokami dostarczała emocji. Dodatkowym utrudnieniem był brak latarek. Po paru godzinach udało nam się cało dotrzeć do blaszanych schronów na nogę.

Do zdobycia pozostała jeszcze ostatnia grupa wulkanów na granicy Ugandy i Ruandy. Ponieważ czas trwania wyprawy przedłużał się, Jacek Kałużko wraz z Grzegorzem Gregorczykiem rozpoczęli odwrót do Polski. Reszta zaś przeniosła się do Ugandy w jej najbardziej południowo-zachodni kraniec. Po całodziennym intensywnym podejściu udało nam się osiągnąć schron na stokach Gahingi. Następnego dnia dotarliśmy do kolejnego schronu na przełęczy między Gahingą a Muhawurą i weszliśmy stamtąd na nieodległą już Gahingę 3734 m. Wierzchołek stanowi mały płytki krater porośnięty bujną soczystą roślinnością, wśród której dominują wyniosłe lobelie i rozłożyste senecje.

Kolejnego dnia zdobyliśmy najwyższy wierzchołek w tej grupie – Muhawurę 4127 m. i było to zapewne drugie polskie wejście po wyprawie Bernadzikiewicza i spółki w 1938 r.

Działalność górską naszej wyprawy miała się ku końcowi, zmęczenie dawało o sobie znać coraz bardziej, racje żywnościowe malały. Na marginesie, podstawą naszego menu przez wiele miesięcy był ryż z cebulą, a premię za zdobycie szczytu stanowiła 1 łyżka miodu. Do zdobycia pozostał ostatni, za to najbardziej odległy ze wszystkich, wulkan Sabinyo 3634 m, będący zwornikiem granic trzech państw: Ruandy, Ugandy i Zairu (Konga).



Widok z Gahingi na Sabinyo (3634 m) i Mikeno (4437 m), fot. M. Sobkowski

Ze względów czasowych postanowiłem, że zdobędzie go mała 3-4 osobowa grupa szturmowa jednym 2-dniowym wypadem z bazy na przełęczy między Muhavurą a Gahingą. Ale chętnych nie było. Oprócz mnie zgłosił się tylko Michał Bayer po przebytej niedawno malarii. Trzecim członkiem grupy szturmowej jako wyznaczony ochotnik został Andrzej Mieszkowski. Ruszyliśmy wczesnym rankiem, gdy reszta jeszcze błogo spała. Początek, czyli podejście na Gahingę to była bułka z masłem, czyli w miarę wygodna, wytyczona ścieżka. Schody zaczęły się dalej. Musieliśmy opuścić się wśród gęstej roślinności na przełęcz między Gahingą a Sabinyo. Tam trafiliśmy na ścieżkę prowadzącą z Ruandy do Ugandy. Skręciliśmy w lewo w stronę Ruandy i ruszyliśmy szybciej. Wkrótce spotkaliśmy człowieka z tobołem na głowie, chwilę później kolejnego, potem 3 osoby, następnie cały rząd postaci obciążonych koszami, kanistrami i wszelkiego rodzaju dobrami spożywczymi i przemysłowymi. Przyglądali się nam badawczo, napięcie rosnęło. W pewnym momencie na dany sobie znak wszyscy porzucili tobołki i rzucili się do ucieczki, a my podążaliśmy opustoszałą ścieżką dalej. Wywnioskowaliśmy, że był to po prostu popularny szlak przemytniczy z Ruandy do Ugandy i *vice versa*, a nas potraktowano jako osobników wysoce podejrzanych.

Po przejściu wygodną ścieżką ok. kilometra musieliśmy odbić na zachód w kierunku Sabinyo. Przedzieraliśmy się przez tak gęste zarośla, że jedyną metodą poruszania się było toczenie się po wierzchu zwartej roślinności. Wreszcie pod wieczór dotarliśmy do ścieżki prowadzącej z Ruandy w kierunku szczytu. Ruszyliśmy rączo do przodu i wkrótce osiągnęliśmy blaszany schron na dość urwistym grzebiecie. Był tylko jeden szkopuł. W pobliżu nie było wody, a nasze zapasy dawno się skończyły. Podjęliśmy próbę zejścia po ciemku do potoku, ale po dwóch upadkach Jędrusia Mieszkowskiego z kilku metrów uzmysłowiliśmy sobie, że grzbiet jest bardzo stromy i popodcinany. Trzeba było pójść spać o „suchym pysku”.

Nazajutrz pogoda była wspaniała, szczyt piętrzył się kilkaset metrów nad nami. Rozpoczęliśmy wspinaczkę, ale szło nam coraz gorzej z powodu braku płynów w organizmie. Serce waliło jak młot, ale mimo totalnego osłabienia po kilku godzinach osiągnęliśmy wierzchołek Sabinyo 3634 m. Ukazał się wspaniały widok. Krater wulkanu został rozpołowiony bardzo głęboką doliną. 1000 metrów pod nami płynął strumień. Widzieliśmy wodę, ale o zejściu na dno z powodu stromizny

nie było mowy. Dopiero po kilku godzinach dotarliśmy do źródła. Zalegliśmy na długo, gotując na przemian herbatę i maniok (kleistą papkę, która w mniej ekstremalnych warunkach jest trudno zjadliwa). Po wypiciu 6 litrów herbaty i zjedzeniu całego zapasu manioku ruszyliśmy dalej. Mając świeżo w pamięci karkołomne przedzieranie się bez szlaku i ścieżek między Sabinyo i Gahingą, postanowiliśmy obejść masyw po stronie ruandyjskiej. Mimo, że nie mieliśmy ruandyjskich wiz zesłaliśmy do małych osad u podnóża i poruszaliśmy się drogą wytyczoną przez rosnące wzdłuż niej eukaliptusy. Trasa biegła równoległe do granicy ruandyjsko-ugandyjskiej. Strawersowaliśmy dołem Gahingę, po czym udało nam się trafić na mniejszy dukt prowadzący w kierunku przełęczy pod Muhawurą, czyli do schronu, gdzie czekała na nas reszta ekipy. Dotarliśmy tam o zmroku, mocno wycieńczeni i spragnieni odpoczynku. Jednak pozostali członkowie wyprawy, trochę zmęczeni dwudniowym oczekiwaniem, zadeklarowali chęć natychmiastowego zejścia do podnóża. Po szybkim posiłku i spakowaniu rzeczy ruszyliśmy w dół. Była noc. Szybsze i swobodne poruszanie się umożliwiły nam pochodnie, które na wszelki wypadek przywieźliśmy z Polski. Sznur pochodni suńących krętą ścieżką po zboczu robił niesamowite i niezapomniane wrażenie. W ten sposób żegnaliśmy się z górami Wirunga, jednym z najbardziej dziewiczych i tajemniczych zakątków Afryki, położonym w samym sercu kontynentu. Udało nam się wejść na 7 najwyższych wulkanów masywu i przeżyć niesamowitą przygodę, może dla wielu z nas największą w życiu.

Po zejściu do miejscowości u podnóża gór, co nastąpiło już o świcie padłem na karimat i przespałem non-stop 24 godziny. Zdarzyło mi się to tylko ten jeden raz w życiu. Gdy się obudziłem kolejnego dnia rano, formalności związane z dalszą trasą były już załatwione. Przewoźnik zgodził się, żebyśmy zapłacili za 7 osób, a 2 jechały do Kampali gratis.

W stolicy Ugandy spędziliśmy kilka dni na zwiedzaniu atrakcji. Odwiedziliśmy także Entebbe – malownicze miasteczko nad Jeziorem Wiktorii ze wspaniałym parkiem, które pełniło funkcje stołeczne w czasach brytyjskich. Dalej planowaliśmy przejazd promem przez Jezioro Wiktorii z Jinji do Mwanzy w Tanzanii. Prom pływał nieregularnie i możliwość zaokrętowania się zależała od zgody kapitana. Ten zaś, gdy zorientował się, że chodzi o grupę 9 studentów, domagających się zniżki, zaczął nas unikać. Czas odpłynięcia zbliżał się nieubłaganie, a kapitan przepadł jak kamień w głębokiej wodzie. Poczta pantoflową i za pomocą młodocianych wywiadowców udało się namierzyć go na zapleczu jednego z barów, jakich wiele w miastach portowych. Gdy wszedłem do pomieszczenia, gdzie znajdował się niekompletnie ubrany w towarzystwie osobniczki ptci przeciwnej, był tak zaskoczony, że bez chwili sprzeciwu zgodził się nas zabrać za bardzo przystępną cenę.

Po półtoradniowym rejsie dotarliśmy do Mwanzy, a stamtąd komfortowym pociągiem do stolicy Tanzanii – Dar-es-Salam. Tutaj pozostało już tylko czekanie na polski statek handlowy do Port Saidu w Egipcie.

Tygodniowy rejs statkiem z pięcioma posiłkami dziennie pozwolił nam po kilku miesiącach diety odchudzającej powrócić od stanu szkieletowego do quasi-ludzkiego. Fama o żartoczności naszej grupy poszła w świat i pewien marynarz opowiadał kilka lat później zasłyszaną historię jak studenci z Warszawy opróżniali kapitańską lodówkę z wszelkiego jedzenia włożonego do niej przez stewarda. Oprócz tego raz na dwa dni dostawaliśmy pełny bukłak wina, po wypiciu którego w ruch szły bębny i inne instrumenty muzyczne zakupione po drodze. A rano przy śniadaniu kapitan użalał się nam, że załoga to sami alkoholicy i nie dają się człowiekowi wyspać.

Po osiągnięciu Port Saidu i wolnocłowych zakupach w tym mieście przejechalśmy do Kairu, a stamtąd po 5 miesiącach pobytu na Czarnym Łądzie wróciliśmy samolotem do Warszawy.

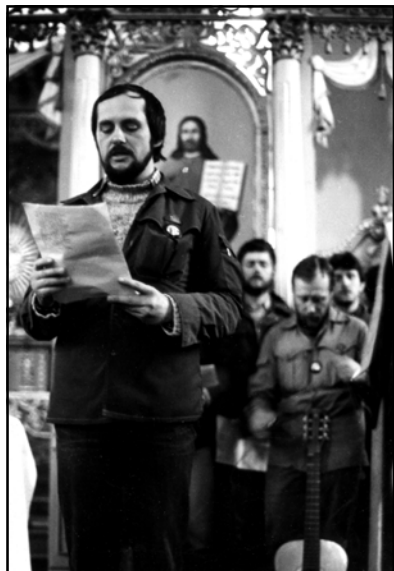
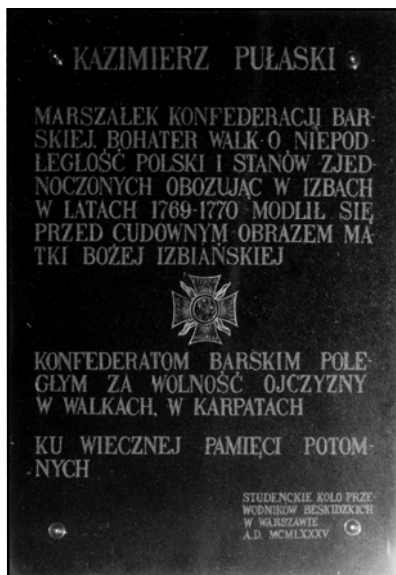
Tablica Pułaskiego w Izbach



W dniu 3 maja 1985 roku w Izbach w Beskidzie Niskim, u stóp Lackowej, w dawnej cerkwi pod wezwaniem św. Łukasza Ewangelisty odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ufundowanej przez Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich z Warszawy. Był to efekt współpracy naszego Koła z ówczesnym proboszczem z pobliskiej Banicy, księdzem Mieczysławem Czekałem.

Tablica poświęcona została pamięci Kazimierza Pułaskiego, bohatera konfederacji barskiej i wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, który przebywał w Izbach w latach 1769-1770. Na stokach Lackowej do września 1985 roku można było odnaleźć wyraźne ślady warownych umocnień osłaniających obóz konfederacki, w którym Pułaski szkolił swoje oddziały, i z którego organizował dalekie wypady w głąb Polski przeciwko wojskom carskim.

Zrobiona z czarnego granitu tablica, ozdobiona „Krzyżem Konfederatów Barskich” z napisem „Pro Fide et Maria, pro Legę et Patria”, jest równocześnie hołdem oddanym pamięci wszystkich konfederatów, którzy przez ponad pięć lat tu, na terenie Karpat walczyli w obronie wolności ojczyzny, przeciwko zbrojnej przemocy wroga, ponosząc często najwyższą ofiarę.



Odsłonięcia i poświęcenia tablicy dokonał ksiądz biskup Piotr Bednarczyk. W uroczystości, którą uświetnił przygotowany przez członków SKPB montaż poetycki złożony z oryginalnych pism i pieśni konfederackich*, wzięli udział liczni mieszkańcy okolicznych miejscowości oraz uczestnicy Ogólnopolskiego Rajdu Studenckiego „Beskid Niski 85”.

Wieczorem na Szańcu Pułaskiego odbyło się uroczyste ognisko.

Andrzej Wielocha blacha 250



Nigdy z królami nie będziem w aliansach... Jan Marciniak, Stanisław Wiczorkowski, Adam kulewski, ??, Andrzej Ochremiak, fot. arch.

Andrzej Huczko blacha 163

O nartowaniu refleksji garść



Jestem szczęściarzem! Gdy mnie rzuciła 1-sza wielka miłość mego życia i przeżywałem „cierpienia młodego Wertera” – przypadkiem jako 18-latek po 1-ym roku studiów ukojenie znalazłem w górach. A był to letni obóz wędrowny w Górcach prowadzony przez Mirka, wtedy jeszcze przed kołową „blachą”. Z całym szacunkiem dla plejady grajków – która przewinęła się przez Koło – dla mnie gitarzysty 50-lecia, co mogę dziś subiektywnie oświadczyć! Pierwsze miłości pamięta się na zawsze: te niekończące się wieczory przy gitarze Mirka, te 7-kilowe namioty z bambusowymi masztami, te plecaki „dupnioki” zapewniające obfite poty, a lato było wtedy niezgorsze. I Hania „Skrzydło”, zawsze poruszająca się z wdziękiem, niezależnie od obciążenia. I nerwusa Mirka, który przy rannym podziale obozowego żarcia do niesienia, smyrnął pęto kielbasy za siebie w krzaki, bo jakoś „chętni się nie pchali”. I w następne wakacje znów zawitałem w tamte rejony, już jako kursant na 3-tygodniowym przejściu kursu Organizatorów Turystyki, organizowanym przez „jedynkę” z PW, a prowadzonym przez Wiesię, oczywiście też z Koła.

Beskid Niski 1968, ten ze „słynnym” znacznym poszukiwanym przez kolekcjonerów: siedzę sam przy schronisku ma Magurze Małastowskiej. Obok mnie przy stole gość w brązowej bluzie siedzi z nosem w mapie (to „Michał”). A za chwilę wyłania się od dołu ciurek kursantów – właśnie Mirek, Rysiek, Adaś, Andrzej, Szczepan – przejście przewodnickie. Moje pierwsze spotkanie z Kołem. No, przedtem jeszcze był Rajd Bieszczadzki – i odkrycie jesiennego kolorytu gór. I liczne imprezy turystyczne wkoło Warszawy, z poznanie „kultowych” postaci Koła – Przemka, Kangura, Michała, Jasia, Szczepana, Andrzeja. Może to trochę przez nich, za rok to już ja o tej porze będę „zakrupczał” z prowadzącym nasze przejście Przemkiem po Beskidzie Niskim. Pamiętam: bodajże w Wołowcu – łało parę godzin, więc graliśmy w stodole na sianie w trupa. Był jeszcze wtedy z nami Krzysiek, wielka indywidualność. Był taki chłonny świata, w tajnym głosowaniu po letnim przejściu został bezapelacyjnie indywidualnością „number one”. Zginął w lawinie na zboczach Uszby w Kaukazie niewiele lat później. A jesienią 1969 – jakoś tak przypadkiem, jeszcze jako samotny kursant – dostałem do poprowadzenia stodołówkę na Bieszczadzkiem. Zaczynała się w Besku, a na peronie zjawiła się samotnie Ela. No to się o nią zatroszczyłem i tak jest do dziś. Aha, wcześniej, w czerwcu, pojechałem na przejście trasy (tak, tak, kiedyś robiło się przejścia tras), te pola dojrzałych truskawek w rejonie Wisłoka wciąż pamiętam.

Jestem szczęściarzem! Trafiłem przez góry do Koła. Koło nauczyło mnie wielu rzeczy – choć trudno je wymienić, to one właśnie kształtowały moja osobowość. A góry – no cóż, nie przeleję na papier, tego czym dla mnie były i są.

Lubię narty. Prawie „od zawsze”. A pamiętam jeszcze orczyk na Hali Kondratowej wywożący niezliczonych narciarzy hen, aż pod Łopatę. Jeden z pierwszych w Polsce, dożył swego żywota w Szczyrku „Na Dolinach”. W okresie studenckim jakoś „zaliczyłem” kursy przodownika, pomocnika

i instruktora narciarskiego, no i zacząłem erę etatowego instruktora na zimowych obozach Koła, które wówczas przez wiele lat regularnie się odbywały, głównie w okresie świąteczno-noworocznym. Szklarska, Szczyrk, Stożek, Śnieżnica, Sucha Dolina, Rabka, Gąsienicowa, Chochołowska – pamiętacie Michała jak z gracją zajechał w Sylwestra w stanie „wskazującym” przed schronisko tamże swym „Dużym Fiatem” (czego się nie robi, aby oczarować wybranke). Etatowym kierownikiem był Rysio Klamra (bo pojawił się kiedyś z pierwszymi klamrowymi Alpinami w Bukowinie, ktoś go poprosił na półku, żeby „dał spróbować” i biedny Rysio stał potem jak bocian na szaliku i czekał długo na zwrot swych klamer). Etatowym uczestnikiem-juniorem była też Rysiowa Magda, dziś doktor biologii i mama 2-ch pociech.

Naprawdę lubię szkolić! A w Kole to była miła, choć niełatwa robota. Szanowne towarzystwo zwykle miewało bowiem za mocne kopyta i najtrudniej, co im przychodziło – to „schodzić miękko w kolanach” (w końcu kwintesencja narciarstwa). Prawdopodobnie od łożenia z plecakiem – typowy SKPB-ol jeździł sztywno i na krawędziach. Dobrze, że choć nie mam nikogo na sumieniu i gipsu na „moich” obozach nie było, więc może źle mnie nie wspominają! Już wtedy zaczynało kwilić narciarstwo turowe, chyba Adaś był tu prekursorem. Pamiętam obóz Koła w Zwardoniu, idziemy na wycieczkę narciarską, strome twarde podejście – wszyscy wzięli narty na ramię i pomaszzerowali do góry. Jedyne Adaś oświadczył, że narty to mają jego nosić, a nie on je – i do końca (choć na szarym końcu) laź na nartach.

Jednak od paru lat przestałem już entuzjasmować się narciarstwem na „boisku” (jak to określa Oppenheim w swym tatrzańskim przewodniku narciarskim sprzed 70 lat – polecam!) – z dziesiątkami wyciągów, setkami kilometrów wygłaskanych tras i tysiącami amatorów „białego szaleństwa” z szaleństwem w oczach, aby szybciej. Do kolejki do wyciągu, do piwa... I tak wykluła się ostatnia miłość mego życia – narty „tururowe”. Miłość wymagająca – godziny mozolnego człapania na fokach pod górę lub gryzienia zębami śniegu w stromych żlebach w rakach z przypiętymi do horolezki nartami. A potem – „spełnienie miłości”: otarcie potu, foki do plecaka, „Silvretty” – pstryk na zjazd! Jeszcze rzut oka wokół na białe grzbiety i nierzadko zielone już doliny, wsluchanie się w cudowną ciszę gór (bo ktoś w maju chodzi po Tatrach...). I kilka minut tak długo zostających

W poszukiwaniu śniegu; Andrzej Huczko wiosną w Tatrach, fot. arch.



w pamięci: na początku – zwykle stromo – czasem obskok, potem już „śmig hamujący”, a w dole – gdy żleb przechodzi w góry kocioł doliny – najchętniej krystiania „leger”. Czy ktoś – w dobie katowania stoku na wewnętrznej krawędzi „carvingów” – jeszcze pamięta te ewolucje, tak nazywane w programach kursów instruktorskich sprzed chyba 30 lat? A tak wciąż przydatne. I ten szeleśt zsuwającego się w dół spod krawędzi nart śniegu, czasem – zjazd na fali deski śnieżnej, a czasem – płyniesz w wiosennej kaszy, cudownym tatrzańskim firmie. Na ogół miękko – więc powtarzasz sobie: pamiętaj, cały czas pełne stopy na obydwu nartach, rozluźnij kolana, sylwetka lekko do tyłu, żeby czuby trochę poszły do góry, rozłóż szerzej ręce, dla lepszej równowagi. Szkoda się przewracać, zbyt dużo kosztuje każdy metr podejścia, zresztą – może się wówczas zdarzyć, że wstać to będziesz mógł dopiero na dole. I śmigasz, jest bosko. A w dole – niepokojąco szybko zbliżająca się tafla już częściowo rozmarzłego stawu.

Dla mnie największa radość to zjazd w dziewiczym terenie. Przez kilkanaście lat regularnie jeździłem do Sławka, bo tylko na Ukrainie mogłem znaleźć lasy i polany nieskalane przez narciarzy, w sąsiedztwie wyciągowego „boiska”. Ale 20-kilogramowy plecak zabił by mi radość puchu. Już to przećwiczyłem na Elbrusie, też z SKPB-olami Magdą i Michałem, kiedy musiałem zwieźć prawie 2 kilometry w dół cały obozowy szpej.

Lubię wysokie góry. Wiem, nie ma chyba piękniejszych gór niż wiosenne Tatry. Ale zjazdy są relatywnie krótkie, w „Piątce” – gdzie najbliżej ze schroniska do zbroczy – często bywa kilka zjazdów jednego dnia. No, i to ciągle uczucie, że łamiesz formalne zakazy – bo w naszych Tatrach to jedynie w Świńskim Kotle strażnicy TPN czasem przymykają oko. Lepiej jest na Słowacji, tam „turowcy” doczekali się kilku rejonów Tatr, zimą legalnie dostępnych, a klimat Ziarskiej Chaty – pełnej w kwietniu narciarzy – jest niepowtarzalny. Za to tamtejsi „ochraniary” nie żartują (już kiedyś paszport odbierałem na policji w Zuberku), a oficjalny sezon wiosenny kończy się zwykle – biorąc pod uwagę ilość śniegu w górach – stanowczo za wcześnie. Ale cóż – „świstaki wychodzą”... Może i w naszych Tatrach coś drgnie. Przecież nas jest garstka – w stosunku do tysięcy narciarzy szlifujących Kasprowy, Łomnicę czy rejon Szczyrbskiego Plesa.

Na początek był kaukaski Elbrus (5633 m). Dwie próby – za pierwszym razem nagła burza śnieżna na trawersie pod przełęczą między wschodnim, a głównym wierzchołkiem. I – w panice – ucieczka w dół z wymacywaniem w gęstej mgłę (takiej, że czubków nart nie widać) nielicznych traserów. Bo to najbardziej zdradliwe miejsce – poniżej trawersu lodowiec, wielu – co zgubiło ścieżkę właśnie tam, do dziś pozostało na Elbrusie. Drugie „podejście”, kilka lat później – tym razem w pełnej „lampie” – też się skończyło przed przełęczą, zbyt optymistycznie zaplanowany czas pobytu na Elbrusie, niedostateczna aklimatyzacja, miękkość nóg, brak oddechu... Mimo to Elbrus dostarczył niezapomnianych wrażeń – pustki, przestrzeni, wysokości, niemal 2 km zjazdu „wysokogórskiego” śniegu, chyba trochę innego, niż „nasz” tatrzański.

Nepal – kolejna „miłoś mego życia”. Byłem tam wiele razy, „zaliczyłem” prawie wszystkie „klasyczne” trekkingi, w tym jeden bardzo wymagający i najmniej „wypasiony”: bez licznych hotelików i restauracji w wioskach, ale i bez setek trekkersów. Kilkunastodniowa wędrowka z Magdą z Koła dookoła Dhaulagiri – ostatniego ze zdobytych 8-tysięczników – stawiła bowiem wysoko poprzeczkę: nogi na polepie koło paleniska w chatach Newarów, w najlepszym razie ryż z jarynami „ze wspólnego gara”... Dwie wysokie, ponad 5-tysięczne przełęcze, lodowiec, konieczność targania namiotów... Pojechalśmy po monsunie, rok wcześniej było tam śniegu po pas. A ja niosłem narty przypięte do wora przez 2 tygodnie (ścieżka przez himalajską dżunglę to był koszmar, przecięta na niewielki wzrost średniego Nepalczyka, ja – aby nie zaczepiać nartami – musiałem

dreptać w jakimś „pólsiadzie”) i na obu przełęczach miałem raptem tego „białego szaleństwa” na może w sumie 4 godziny... A mimo to była to wspaniała przygoda!

Mt. Fuji (3776 m), kultowa góra Kraju Kwitnącej Wiśni. Już dawno temu, jak zaliczałem ten wulkan latem – to tysięczmetrowy żleb poniżej wierzchołka na południowo-wschodnim zboczu został mi w „narciarskiej” pamięci. Kilkanaście lat później służbowa wizyta w Japonii w zimowej porze – luty – to okazja „turowej” próby. Osiągam wówczas na zboczach Fujijamy jakieś ze 2800 m. Wyżej to szklana góra, jeśli bym nawet wdrapał się na szczyt w rakach, to upadek w czasie zjazdu skończyłby się wielosetmetrowym ślizgiem w dół. Rok później kolejna służbowa wizyta w Japonii i tym razem sukces – pełen emocji zjazd z wierzchołka. Problem było poranne wyjście w kierunku wierzchołka – nart nie schowa się do plecaka, a góra obstawiona jest zakazami „nartowania i deskowania”.

Skandynawia to też raj dla „turowców”, niemal puste góry, dowolność biwakowania, długa zima i wspaniałe wiosenne śniegi. Najwyższy szczyt Norwegii, Galdhoppiggen (prawie wysokości Gerlacha) otoczony jest lodowcem. W zasadzie łatwym i bezpiecznym, choć okoliczne schroniska zalecają wejście z przewodnikiem. Wcale nie tanie. Wiec idziemy sami. Ja foczę na „turach”, Ela i Janusz w rakach. Ostatnie 200 m przed szczytem bardziej stroma grań, trzeba zdjąć narty. W schronie na wierzchołku gwaro, trzeba spieszyć w dół, bo zbiera się na deszcz. Zjazd wylizanym lodowcem, z rysami szczelin, dostarcza emocji – choć niebezpieczeństwa nie ma, skandynawskie lodowce powoli zamieniają się w zlodowaciałe pola wiecznych śniegów.

Czy wiecie, gdzie jest najwyższy położony wyciąg narciarski na świecie (a jednocześnie najstarszy chyba działający – uruchomiono go w 1939 roku)? To była trzy lata temu Ameryka Południowa, zaliczamy w ramach aklimatyzacji przed Aconcagua boliwijskie Andy. Z położonej na wysokości niemal 4000 metrów La Paz ruszamy wynajętą taxi na „komercyjną” wycieczkę na Mt. Chacaltaya (5470 m). Dojeżdżamy – pod koniec ostrym zaśnieżonym podjazdem – niedaleko schroniska, jakieś 200 m deniwelacji poniżej wierzchołka. Stąd około godziny w górę łatwą granią śnieżną na szczyt. A obok: niewielki lodowiec i kilkusetmetrowy, napędzany silnikiem samochodowym wyciąg linowy typu „Janosik”, dochodzący niemal do wierzchołka. Właśnie jakaś dwójka Skandynawów próbuje śniegu na snowboardach. No nie, nie przepuszczę tej okazji – złączę do schroniska, pożyczam jakieś Völkle sprzed 20-tu lat i jeszcze raz na szczyt – ale rezygnuje z wyciągu. Zjazd jest fajny, śnieg OK, trochę zatyka, co parę zakrętów postój, bo jeszcze braki aklimatyzacyjne.

Druga połowa czerwca 2005. Cel „turowy”: turystycznie dostępny Stok Kangri (6152 m) w pobliżu stolicy Ladakhu, Leh (3400 m), w północno-indyjskich Himalajach. Zainspirowały mnie fotki i relacje zdobywców, co prawda w warunkach letnich to głównie strome zbocze i piargi, ale po zimie – kto wie. Więc wybór odpowiedniego terminu wyjazdu: jak tylko strategiczna szosa łącząca Ladakh z południem jest przejezdna! I faktycznie, jadąc do Leh jepeem ledwo przebijamy się (znów jest z nami Magda i Michał z Koła) przez zasypane jeszcze zimowymi śniegami 3 wysokie przełęcze. Te dwie doby jazdy, sporymi odcinkami powyżej 5000 metrów warte jest oddzielnej relacji. Po przybyciu do Leh – ulga: widoczny na północ od miasta, wyraźnie kulminujący nad sąsiednimi szczytami wierzchołek Stoka jest biały! Zresztą śnieg jest wszędzie powyżej 5000 m – dowiaduję się od miejscowych, że ostatnia zima była właśnie jedną z najbardziej śnieżnych w Ladakhu w ostatnich latach. Ladakh to góry oraz perełka etnografii: idealna symbioza hinduizmu, islamu i buddyzmu, ze wspaniałe zachowanymi czynnymi klasztorami i świątyniami. Kusi pobliska dolina Nubry, gdzie powyżej 3000 m jest pustynia i spotkać można wielbłądy, a także gorące źródła. Dotrzeć tam można (konieczne zezwolenie z Leh) strategiczną drogą przez najwyższą



Tatry, podejście na Czerwoną ławkę, wyżej Andrzej Huczko, niżej Marcin Sobkowski, fot. arch.

przejeżdzną przełęcz świata, Khardung La (5604 m). Ruszamy z Leh wynajętym jeepem, na przełęczy trochę zadyszki, czuć braki aklimatyzacyjne. Na początku zjazdu do Nubry opuszczam jeepa i skracam serpentyny drogi, zjeżdżając na nartach aż do końca pól śnieżnych. Mimo, że to południowe zbocza – śnieg jest przemrożony, nocą musiało być dobrze poniżej zera. Dopiero niżej robi się miękkie. Po 2-ch dniach pobytu w Nubrze w drodze powrotnej przy zjeździe z Khardung La do Leh znów przesiadam się na narty. Teraz jest jeszcze lepiej – wczesna pora, północne zbocza, jest twardo, ale na wierzchu 5 cm miękkiego śniegu, zjeżdżam gdzieś do 4700 m. Tak mi się spodobało, że kilka dni później ruszam sam wczesnym rankiem w kierunku przełęczy. Lokalnym „stopem” dojeżdżam do pierwszych pól śnieżnych, dobre parę kilometrów przed przełęczą. Idą w ruch foki i harszle i w pełnym słońcu po kilku godzinach podejścia osiągam kulminację głównego grzbietu, około 5500 m. Ta chwila to kwintesencja narciarstwa turowego – idealna cisza, wokół nieskalana biel morza gór, niemal granatowe niebo i słońce odbijające się tysiącami diamentyków pod nartami. I ta świadomość, że za chwilę czeka mnie 1000 m zjazdu po cudownym, dziewiczym śniegu. To szaleństwo trzeba przeżyć, aby zrozumieć jego sens!

Po powrocie do Leh przerywnik etnograficzny – wspaniałe klasztory lamaickie, to tu uciekali tybetańscy mnisi po chińskiej inwazji na Tybet. I ruszamy w kierunku Stok Kangri, po 2-dniowym trekkingu docieramy – z przyciadami do Base Camp (ok. 5000 m). Kilka dni „lampy” w górach spowodowało bowiem gwałtowne topnienie śniegów. W efekcie górskie potoki – które, jak mi mówiono, latem zwykle ciurkają – zamieniły się w rwące rzeki, które przebyć można, i to z duszą na ramieniu, tylko wczesnym rankiem. No, ale w górach śniegu jeszcze dość: już w rejonie bazy kuszą kilkusetmetrowe żłebki, podchodzące na granie niemal do 6000 metrów. Tak żałuję, że – jak zwykle podczas wszystkich moich wyjazdów – jestem krótko z czasem, chciałoby się tu dłużej podziałać narciarsko. No, ale Stok czeka. Po jednym dniu aklimatyzacyjnym, kiedy podeszliśmy w górę doliny do zamykającego ją małego lodowca ruszamy do Advanced Base Camp – zaśnieżonej płasienki na zboczu schodzącym do dna lodowca, na około 5250 m. Zimno w nocy – nad nami rozgwieżdżone niebo. Pobudka po ciemku, opuszczamy namiot dobrze przed świtem. I monotennie

do góry, śladami zanikającej rozdeptanej ścieżki, dnem kotła do zakrętu doliny pod efektownym wiszącym lodowcem. Robi się stromo, czas na raki. Bardzo zimno, ale już na wschodzie gwiazdy zaczynają zanikać – idzie świt, a wraz z nim tak wyczekiwane ciepło słońca. Coraz stromiej, idę zakosami dnem stromej depresji głównego kotła, opadającego spod wierzchołka, Agnieszka w pobliżu – ale ona drapie się prosto do góry. Ela nas wyprzedziła, poszła prawą granią, widać ją pod wierzchołkiem. Słońce już jest dość wysoko, gdy docieramy do przełączki w grani głównej, ok. 6000 m, szczyt jak na dłoni, ale przy naszym tempie to jeszcze godziny wspinaczki. Wreszcie dechy z pleców, chwila oddechu i trudna decyzja o zejściu... Ela właśnie schodzi z góry, zmarzała na szczycie czekając na nas. Mała przegryzka w bajkowej scenerii – jest pełna lampa, wokół zaśnieżone, niżej leżące szczyty, w oddali na północy majaczy charakterystyczny stożek K-2. A w dole – zielona dolina Indusu... Zaczynamy zejście. Aga po prostu zjeżdża na siedzeniu – zbocze jest strome, ale zmarznięty w nocy śnieg odpuścił w słońcu i pokryty jest 10 cm miękkiej kaszy. A to dla mnie oznacza narciarski raj. Ela – mniej odważna – decyduje się schodzić śnieżno-skalną granią. Zostają z nią dla asekuracji, choć warunki narciarskie z boku kotła gorsze, niż w depresji. Widząc ją już niżej „wypuszczam” i za chwilę na niewinnie wyglądającym prożku wylatuję do góry i ląduję parę metrów niżej na kamieniach. Ale adrenalina towarzysząca zjazdowi skutecznie przytępia świadomość: dopiero po zatrzymaniu się czuję, że moja łąkotka w lewym kolanie będzie znów „do poprawki”.

Egzotyka narciarska to narkotyk. Mija niecały rok i z moimi „Haganami” ląduję wiosenną porą w Van (1700 m), stolicy tureckiego Kurdystanu. Śniegu w górach jeszcze dość – otaczające olbrzymie jezioro Van 3-tysięczne szczyty pokryte białymi czapami. Na początek kilka dni etnograficznych, Kurdystan to niezwykle ciekawa kraina, jest – wiosna, zielono, a ludzie bardzo gościnni. A tak straszono Kurdami. Żeby jeszcze choć troszeczkę znali angielski. Działalność górską zaczynamy od wulkanu Nemruth Dag (3054 m), jednego z najrozleglejszych na świecie (obwód głębokiego na 500 m krateru, z kilkoma jeziorami, sięga kilkunastu kilometrów!). Do wioski Serinbaye (2200 m) dowozi nas taxi, stamtąd, po kilku godzinach marszu w huraganowym wietrze, docieramy we mgłę do szczytu. Na szczęście podczas 700-metrowego zjazdu niemal do samej wioski, rozjaśniło się. Pora na najwyższy szczyt Turcji – Ararat (5122 m). Po kilku godzinach jazdy autobusem docieramy do położonego pod białym Araratem miasteczka Dougybayazit (1700 m). Nie mamy zezwolenia na wejście na szczyt, wędrujemy więc po licznych lokalnych agencjach turystycznych, oferujących organizację „wyprawy” – z przewodnikiem, sprzętem, kucharzem, etc. W końcu trafiamy na młodego chłopaka, chyba rozpoczynającego „karierę przewodnicką” – bo najtańszego. Ponadto zapewniam, że jest z wioski u podnóża Araratu, wszystkich tam zna i jeśli nas „cofną”, to on nie bierze za imprezę ani grosza. Okazuje się to potem prawdą, chłopak był bardzo sympatyczny i opiekuńczy. Wycieczkę „turowa” na Ararat zaczynamy w wiosce Eli (2200 m), dokąd dojeżdżamy jeep'em; stąd kilka godzin marszu ukwieconymi pastwiskami do obozu I (2750 m). Leży on już na granicy śniegu. Wiosenne nartowanie na Araracie chyba jest bardzo popularne, na zboczach ruch – głównie zorganizowane grupy ski-turowe z przewodnikami z Niemiec i Francji. Pogoda nas nie rozpieszcza, mgły, wiatr. Następnego dnia, do położonego na śnieżnym plateau na wysokości ok. 3700 m (500 m niżej niż w lecie) obozu II-go, ruszam już na „turach” i fokach. Pogoda się psuje jeszcze bardziej, zaczyna mocno wiać, w kolejną noc w obozie tym zasypuje nas 30-centymetrowy opad śniegu. Z którego zresztą wszyscy się cieszą – jest „puch”! W ten dzień – „rozejżdżanie” powyżej obozu oraz wymiana wrażeń ze zjeżdżającymi z góry – wierzchołek jest niemal niedostępny, zamiecie, silny wiatr. Kolejna noc spokojniejsza i o 6-ej rano ruszam do góry zakosami średnio stromej pld.-zach. zbocza Araratu. Ela z przewodnikiem idą bokiem depresji, zapadają się po kolana, zresztą



Dojazd do gór. Jeden z wielu mostów na Kokczy, fot. A. Wielocha



Uczestnicy wyprawy, stoją: Z. Pietruszka, K. Stanek, P. Laskowski, B. Tyczyńska, J. Kowalczyk, afgański pilot, A. Wielocha, kucją: Z. Kuna, W. Lewandowski, A. Sikora, fot. arch.



Kierownik wyprawy M. Kuna na tle bębnow ładunkowych ze sprzętem wyprawy, fot. A. Wielocha



Transport sprzętu w górę doliny Urgute Bala, od lewej A. Wielocha, P. Laskowski, A. Sikora, fot. arch.



W bazie wyprawy na wysokości 4600 m czas na czynności prozaiczne, kierownik myje nogi, fot. A. Wielocha



Baza wysunięta na tle filara Kuhi Urgunta (7039 m), fot. A. Wielocha



Na szczycie Kohe Awala (5800 m). Z. Pawłowski, M. Kuna, A. Sikora, W. Lewandowski, *fot. arch.*



W obozie na Plateu Kraków (5300 m), *fot. A. Wielocha*



Widok z podejścia na Pegisz Zom I na otoczenie górnego piętra doliny Urgunte Bala, Plateu Kraków i górnego piętra lodowca Kot Gaz, Akher Czoq (7020 m) Kohe Tez (7015 m), Shayoz Zom (6920 m) Shogordok Zom (6855 m), Kohe Urgunt (7039 m), fot. A. Wielocha



Widok na lodowiec Kot Gaz, oraz na dwuwierchołkowy Pegisz Zom I, główny cel naszej wyprawy, oraz na drogę wejścia, fot. A. Wielocha



Widok z Muhavury na wulkany gór Wirunga. Na pierwszym planie Gahinga, *fol. M. Sobkowski*



Podjeście na Kraisimbi (4507 m), *fol. M. Sobkowski*



W drodze pod Nyiragongo, J. Kałużsko, ojciec Stanisław (palotyn z misji), A. Mieszkowski,
A. Wiesiołek, M. Bajer, J. Nieckuła i G. Grzegorzcyk, fot. M. Sobkowski



Widok na Sabinyo (3634 m), fot. M. Sobkowski



Wulkan Muhavura (4127 m), najwyższy na granicy Ugandy i Rwandy, fot. M. Sobkowski



Przy schronie pod szczytem Sabinyo (3634 m),
R. Piotrowska, A. Wiesiołek, J. Nieckuła, U. Jarmut, A. Mieszkowski, M. Korsak, fot. M. Sobkowski

są chyba jedynymi na tej górze bez nart. Wyżej robi się twardziej, idą w ruch harszle i raki. Około południa docieramy do wysokości ok. 4800 m – to kres nartowania na Araracie: wyżej 200 m skał i lodu i 3-kilometrowa, niemal płaska – a przez to zdradliwa w przypadku załamania pogody grań do wierzchołka, potencjalni zdobywcy szczytu tu zostawiają w skałach narty i dalej do góry w rakach. Jest zbyt późno i pogoda niepewna – aby ruszać dalej na wierzchołek. Tym bardziej, że czeka mnie 2-kilometrowy zjazd do obozu I-go (po drodze zabieramy sprzęt biwakowy z obozu II-go), bajkowa nagroda za wysiłek, przeświecające przez mgły słońce, dziewiczy puszysty śnieg, to momenty, które – aby zrozumieć – trzeba przeżyć.

Lipiec 2007, znów z „turami” pod pachą, tym razem cel jeszcze honorniejszy: 50-ty szczyt świata, Mustagh Ata (7546 m, chiński Pamir). Pozornie łatwy – łagodne, śnieżne zbocza, zero lawin, lodowiec niemal bez szczelin. Stąd góra ma olbrzymie powodzenie, ale też nie wybacza niedoświadczonym turystom górskim: w czasie naszego kilkunastodniowego pobytu w najwyższym obozie III (6800 m) zostaje na zawsze 2 Koreańczyków – ofiary przecenienia własnych sił i niedostatecznej klimatyzacji. Czas, a może też i trochę siły pozwalają dotrzeć „jedynie” do 6450 m; piękne pola śnieżne ciągną się zaś znacznie poniżej obozu I (5200 m), stąd zjazdy są odlotowe. Niemal codziennie prosiy śnieg, więc jazda jest wspaniała, choć okupowana dużym wysiłkiem, wpięciem w niesienie całego sprzętu do kolejnych obozów, a potem zjazdy, przerywane co kilka skrętów – brak oddechu, mdlejące nogi... Bajkową nagrodą za wysiłek są wspaniałe widoki na cały Pamir, przeświecające przez mgły słońce, dziewiczy puszysty śnieg, Żegnając się z Mustagh Atą mam świadomość, że to był mój górski „łabędzi śpiew”, czas wszystkim upływa nieubłaganie, dalej będą już chyba tylko niższe góry i wspomnienia o przeszłości, ludziach, z którymi tyle przeżyłem i górach, które zdeptałem. I pozostaną marzenia o przyszłych wyrpach „turowych”, może już w Bieszczadach, a może nawet w Górach Świętokrzyskich. Nawet tam z Rysiem niedawno byliśmy i Lubrzanekę braliśmy z marszu na „turach”, też był „fun”, bo nauczyłem się cieszyć wszystkimi górami.

Andrzej Huczko na podejściu pod Araratem (2006 r.), fot. arch.

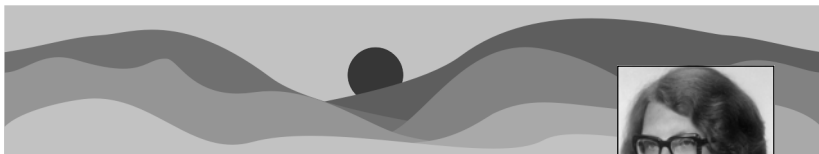




Przejście wiosenne w 1968 roku w Bieczu, w trakcie prelekcji Tadeusza Ślawskiego kustosa bieckiego muzeum, członka honorowego SKPB, przed egz. państwowym w Rzeszowie. Od lewej Barbara Marczyńska „Kangur”, Wiesława Juśko, Bogdan Kofakowski, Tadeusz Ślawski, Anna Brzozowska, Zosia Szajuk, Bogusia Protaś, Ewa Jańczak, fot. arch.



Biecz, zakończenie rajdu „Beskid Niski” w 1974 r. Członkowie Koła i uczestnicy zbierają się na rynku przed pierwszomajowym pochodem, fot. arch.



Stanisław Kryciński blacha 310

20 lat „Nadsania” (1980-2000)



*Mojej żonie Marcie z podziękowaniem
za cierpliwość i wyrozumiałość*

Pierwszy raz byłem w Bieszczadach we wrześniu 1974 r., gdy wędrowałem tu z uczestnikami obozu zorganizowanego przez Studencki Klub Turystyczny Chemików „Redox”. Byłem wtedy studentem drugiego roku Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej. Jesienią 1977 zdałem egzamin przewodnicki i z „blachą” nr 310 znalazłem się w Kole. W tym samym czasie zebrała się tam grupa ludzi zafascynowana kulturą łemkowską, której pozostałości tak jeszcze dobrze widoczne były w dolinach Beskidu Niskiego. Ich pomysłem, a głównie Andrzeja Wielocha, było zorganizowanie tzw. Akcji Opis mającej na celu udokumentowanie jak największej ilości śladów łemkowskiej tradycji – materialnej i duchowej. Miało być to zrealizowane podczas letnich, dwutygodniowych obozów wędrownych nazwanych „Łemkowyna”. Pierwsze dwa obozy poprowadzili w 1979 r. Krzysztof Kleszcz i Andrzej Wielocha. Ten pierwszy zorganizował w następnych latach pięć kolejnych obozów, które przemierzyły niemal całą polską Łemkowszczyznę. Ich efektem był całkiem pokaźny materiał (zdjęcia, relacje, nagrania) wykorzystywany później w wydawnictwach SKPB jak również w obecnie wydawanych przewodnikach. W latach osiemdziesiątych obozy akcji opis prowadzili: Mariusz Birski, Tomasz Gil, Jagoda Koledzińska, Marta Kougan, Piotr Kowalczyk, Iza Kozłowska, Marzena Kuśnierz, Robert Matejko, Anna Zatorska i Anna Ostrowińska.

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych z akcją tą zetknęli się Witold Grzesik i Tomasz Trzczyk, ówczesni studenci Wydziału Elektroniki Politechniki Warszawskiej. Ich fascynacja łemkowszczyzną była tak ogromna, że w trakcie swoich studiów poświęcali po kilka miesięcy rocznie na badania terenowe. W ich efekcie zebrali imponujący materiał, który opublikowany został w książce „Od Komańczy do Bartnego”. Dzięki ich pracy nasz zasób wiedzy o dziejach i teraźniejszości łemkowszczyzny znacznie się powiększył.

Ja postanowiłem zając się terenami mniej wtedy modnymi, a dużo bardziej mnie interesującymi – Pogórzem Przemyskim i Bieszczadami. Obie te krainy łączył San, dlatego też obozy przeze mnie prowadzone nazwałem „Nadsanie”. Pierwszy z nich odbył się we wrześniu 1980 r. Jego uczestnikami byli studenci warszawskich uczelni zwerbowani za pomocą plakatów. Terenem naszego działania była północna część Pogórza Przemyskiego, teren między Kalwarią Paclawską a Brzeżawą. Wszyscy mieliśmy dużo dobrych chęci, ale żadnego doświadczenia. Dodatkowym utrudnieniem był brak wiedzy o dziejach penetrowanego regionu. Do dyspozycji były jedynie przewodniki Orłowicza (z 1917) i Rożańskiego (z 1977) dające jedynie blade pojęcie o tym zagadnieniu. Czasy wysiedleń i walk z UPA były zupełnie nam nie znane, a jeśli, to w formie wypaczonej przez propagandę PRL-u. Mimo tego wszystkiego z dużym zapałem ruszyliśmy na penetrację nieznan-

go. Rozstawiając namioty na skraju jednej z malowniczych, pogórzeńskich wsi odwiedziliśmy dwu- trzyosobowymi grupkami sąsiednie wioski lub miejsca po nich. Najlepiej przygotowani byliśmy od strony kartograficznej. Dzięki dobrze znanemu braci przewodniczej, kartografowi-pasjonatowi Piotrowi Kamińskiemu „Pieterowi”, dysponowaliśmy odbitkami przedwojennych map topograficznych tego terenu w skali 1: 100.000, wydany przed wojną przez Wojskowy Instytut Geograficzny. Mając takie mapy wiedzieliśmy doskonale w którym miejscu była cerkiew, dwór, młyn, karczma, cmentarz, krzyże przydrożne i na jakiej przestrzeni rozciągała się zabudowa. Penetracje terenowe, mające na celu stwierdzenie co zostało z dawnej wsi po wysiedleniach, były naszą najmocniejszą stroną. Gorzej z wywiadami. Ludzie byli nieufni – jeśli w ogóle trafiliśmy na autochtonów. Wąskim gardłem okazało się również doprowadzenie materiałów zebranych na obozie, do postaci czytelnej dla każdego późniejszego ich użytkownika. Każdy uczestnik obozu dostał notes, w którym miał obowiązek notować skrzętnie to wszystko czego dowiedział się w czasie obozu. Po zebraniu tych notesów na koniec okazało się, że z notatek niewiele można skorzystać ze względu na ich skrótowość. Wynikała ona z pośpiechu w jakim te notatki sporządzano. Powstała więc konieczność wypracowania metody pozwalającej na efektywne pozyskiwanie czytelnych i uporządkowanych materiałów w trakcie obozu. I znów z pomocą przyszedł nieoceniony Piotr Kamiński, który sporządził wzór ankiety służącej do porządkowania zdobytych informacji. Ankieta ta również bardzo była pomocna do sprecyzowania pytań zadawanych w czasie wywiadów. Na kolejnym moim obozie w 1981 r., gdy penetrowaliśmy południową część Pogórza Przemyskiego, zbieranie informacji odbywało się już dużo sprawniej. Uczestnicy nadal zaopatrzeni byli w notesy, ale mieli obowiązek co wieczór przepisywania ich zawartość na czysto, wedle ustalonego schematu. Co prawda głośno narzekali gdy wieczorami, przy ognisku musieli spędzić 2-3 godziny na pisaniu. Starali się też wyłgać od tego uciążliwego obowiązku, ale ja byłem nieubłagany bo wiedziałem doskonale, że jeśli tego od nich natychmiast nie wyegzekwuję, to na pewno już tych informacji nie zobaczę. System okazał się skuteczny i z powodzeniem stosowałem go na następnych obozach.

W 1981 r. jedną z uczestniczek obozu była studentka etnografii Dorota. Jej ogromny zapał i entuzjazm udzielał się innym. To również zwiększyło skuteczność naszych działań. Ale okazało się wtedy również, że nie zawsze metody pozyskiwania informacji stosowane przez zawodowców są właściwe w tych bardzo specyficznych warunkach. W owym czasie Ukraińcy, którzy w niewielkiej liczbie zamieszkiwali swoje rodzinne, a penetrowane przez nas wsie, byli tak nieufni i wystraszeni, że na widok ankiet i magnetofonów uciekali w popłochu. Tak samo źle reagowali na pytania zadawane wprost. Z czasem wypracowaliśmy sobie metodę pozyskiwania interesujących nas informacji. Po pierwsze informatorzy musieli być starzy. Tacy ludzie dużo pamiętają, najmniej się boją i mają dużo czasu. Rozmowę zaczynaliśmy od tematów neutralnych – pogoda, żniwa, itp. Często pytalśmy o możliwość zakupu nabiątu, który chętnie kupowaliśmy by urozmaicić monotonne obozowe pożywienie składające się głównie z puszek. Gdy już pierwsze lody zostały przełamane zaczynaliśmy zadawać pytania na temat starych sprzętów gospodarskich widocznych obok chałupy, czy na temat szczegółów konstrukcyjnych tej ostatniej. I tak powolutku docieraliśmy do tematów bardziej nas interesujących – życia we wsi przed wojną, wysiedleń, zniszczenia cerkwi. Bardzo skuteczne było również wykorzystywanie w takiej rozmowie informacji zasfyzyszanych wcześniej. Wtedy szybko można było pozyskać zaufanie rozmówcy. Często w takich wypadkach brali nas za swoich, tzn. za potomków wysiedlonych stąd mieszkańców. W tych warunkach woleliśmy nie używać magnetofonów, a jedynie robić notatki w notesach, co też nie zawsze się podobało. Zdarzało



Polańczyk (1984). Opuszczony dom, który utwalono na zdjęciach podczas obozu. Dziś nie istnieje, fot. S. Kryciński

się, że traktowano nas jak funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Po wysiedleniach i latach rozmaitych szykan jakich doznawali, ta reakcja była jak najbardziej zrozumiała.

Warto przywołać realia w jakich przyszło nam wtedy funkcjonować. Tym co nie pamiętają przypominam, że w owym czasie mięso nie występowało w sklepach – zresztą brakowało także wielu innych podstawowych produktów spożywczych. Nasze obozy, organizowane za pośrednictwem „Almaturu”, zaopatrywane były w konserwy mięsne z przydziału wojewody krośnieńskiego. W 1981 r. jedyną konserwą jaka dostaliśmy na obóz był „pasztet mazowiecki”. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że mogliśmy go wziąć ile udźwignemy. Już po kilku dniach słabo nam się robiło na widok tego pasztetu. Trochę pomogła inwencja kulinarna uczestników obozu. Mieszaliśmy pasztet ze wszystkim co się dało, robiliśmy go na ciepło, a nawet używaliśmy jako farsz do naleśników smażonych przez jedną z koleżanek, z dużym poświęceniem, na ognisku. Jednak pod koniec obozu pasztet powodował u nas jedynie odruch wymiotny. Zdesperowani próbowaliśmy go wymieniać u miejscowej ludności na ziemniaki, warzywa i inne produkty, bo w wiejskich sklepach nic właściwie nie można było kupić. Biwakowaliśmy wtedy na wschodnim skraju wsi Ropenka i wśród jej mieszkańców poszukiwaliśmy chętnych do wymiany, ale „pasztet mazowiecki” okazał się niezbyt mocną walutą.

Trzeci mój obóz – w 1982 r. – odbył się już w Bieszczadach. Objął teren przylegający do wschodniej granicy, a od zachodu ograniczony wsiami: Krościenko, Ustianowa, Teleńca Oszarowa, Polana, Lutowiska. Penetrowaliśmy również wsie nad Sanem – od Chmiela po Tworylne. Działaliśmy w oparciu o trzy biwaki: w Strwiążyku, Rosolinie i Hulskiem. Był to dziesiąty miesiąc stanu wojennego, więc obóz odbywał się w warunkach nieco surrealistycznych. Jednym z jego uczestników był funkcjonariusz wiadomych służb, który podczas obozu cały czas był w pracy. Nie krył się ze swoimi poglądami, a ponadto z dumą oświadczył, że jego ojciec jest komisarzem wojskowym jednego z najważniejszych zakładów na Wybrzeżu. Niewiele myśląc, w przyпіywie wisielczego humoru, „mianowałem” go komisarzem wojskowym naszego obozu. Co wieczór, przy ognisku toczyliśmy z nim rozmowy w stylu: my – jak można było wypowiedzieć wojnę całemu narodowi? on – a dlaczego chcieliście nas wszystkich wymordować? Również bardzo poważnie traktował stan wojenny ówczesny komendant WOP w Lutowiskach. Efekt tego był taki, że podlegający mu żołnierze wyrzucili nas z normalnego, kursowego

autobusu PKS jadącego do Michniowca, bo ten leży przy samej granicy. Zdenerwowany pojechałem do Lutowisk rozmówić się z komendantem. Ten jednak na wszystkie moje tłumaczenia i pokazywane papiery miał tylko jedną odpowiedź: kto w stanie wojennym kręci się przy granicy jest szpiegiem, wrogiem ojczyzny itp. Pozostało nam jedno – pójść do Bystrego i Michniowca na piechotę przez las, co też uczyniliśmy. Gdy tylko pojawiliśmy się w Bystrem wopięci zostali powiadomieni i przyjechali gazikiem. My jednak chowając się do kolejnych chatup nie daliśmy się wytropić i po wykonaniu inwentaryzacji wróciliśmy lasem do Czarnej. W podobną ciuciubabkę bawiliśmy się w Bandrowie, gdzie poszukujący nas gazik przejechał kilkanaście razy przez wieś. Na szczęście wopięci nie byli na tyle gorliwi by szukać nas po chałupach. Dzięki temu po całodziennym pobycie w Bandrowie wróciliśmy nie niepokojeni do Strwiążyka. Mimo tych utrudnień podczas obozu udało nam się odwiedzić i opisać czterdzieści wsi.

Z dużym sentymentem wspominam niezwykle urokliwe biwaki założone podczas tego obozu w Rosolinie i Hulskiem. Zalana słońcem, osłonięta od wiatru górami, zapomniana od ludzi dolinka po wsi Rosolin miała wtedy niezapomniany urok miejsca nie tkniętego ręką ludzka od czasu wysiedleń. Po niej kamienisty, silnie ocieniony drzewami, cypel u ujścia potoku Hulskiego do Sanu wydał mi się w pierwszej chwili na tyle nieprzyjazny, że chciałem szukać innego miejsca. Dałem się jednak przekonać i nie żałowałem. Gdy, jak zwykle nieoceniony „Pieter” rozpałił watrę z pni wyrzuconych przez San miejsce okazało się bardzo przytulne, a ruiny kamiennego młyna nadawały temu miejscu bieszczadzkiej tajemniczości. Raz rozpalona watra nie gasła do końca obozu, a imponująca ilość żaru grzała nas w chłodne wrześnieowe noce, gdy temperatura spadała już poniżej zera.

Latem 1983 r. urodził się mój pierworodny syn Jarosław, dlatego też kolejny obóz zrobiłem rok później. Pierwszy biwak założyliśmy w wypróbowanej już dolinie Rosolina. W międzyczasie została ona częściowo zrehabilitowana i zaorana. Wydzierzawił ją gospodarz, który hodował tam byki zarodowe. W ten sposób biwak minął nam w uroczym towarzystwie kilku bydłatek (każde ważące po dwie tony). Dla własnego bezpieczeństwa, za pomocą resztek z obozowej kuchni, szybko zaprzyjaźniliśmy się z psami gospodarza. Były to trzy sympatyczne owczarki podhalańskie – Dolina, Dunaj i Groń. Już następnego dnia dzielnie broniły nas przed znudzonymi bykami, które z ciekawości przyszły obejrzeć nasze obozowisko. My też nauczyliśmy się „rozmawiać” z nimi za pomocą kija. Szczęśliwie do końca naszego pobytu w Rosolinie nikomu nic się nie stało choć byki codziennie nas odwiedzały, głównie z powodu jabłek, którymi obwieszona była sąsiaduje z namiotami dziczące jabłonki. Ten obóz uptynął nam pod znakiem „wielkiej skrzyni”. Podczas zebrania uczestników, które tradycyjnie odbyło się rano w dniu wyjazdu, okazało się, że sześć osób należy do Koła Teologów Prawosławnych w Hajnówce. Powiedzieli mi, że zająrą do cerkwi katedralnej na Pradze, bo może biskup wspomże nas jakimś jedzeniem z darów zagranicznych. Był to rok 1984 i w sklepach były głównie puste półki. Gdy wieczorem dotarłem na Dworzec Wschodni, na peronie, z którego odchodził nasz pociąg, zobaczyłem zbiegowisko. Jego centrum stanowiła wielka drewniana skrzynia wypełniona po brzegi produktami spożywczymi zachodniej produkcji. Było tam wszystko, a nawet pasta do zębów i szczoteczki firmy „Jordan”. Gdy podjechał pociąg, a nam udało się szturmem zdobyć dwa przedziały, okazało się że skrzyni nie da się wnieść ani przez drzwi, ani przez okno. Wrzuciliśmy więc luzem wszystkie produkty do jednego z przedziałów, a pustą skrzynię oddaliśmy do wagonu bagażowego. Rano w Zagórz uwrzuciliśmy wszystko z powrotem do skrzyni, bo przełożenie tych dóbr doczesnych do naszych plecaków nie wchodziło w grę – było ich stanowczo za dużo. Chcąc nie chcąc wynająłem za 5.000 zł furgonetkę „Żuk”,

która dowiozła „wielką skrzynię” do samego Rosolina. Tego roku nie groziło nam straszne widmo „pasztetu mazowieckiego”. Co wieczór oddawaliśmy się wymyślnym zajęciom kulinarnym. Naszym ulubionym daniem była czekolada sporządzana z mleka w proszku, kakao i margaryny. Zjadaliśmy jej przerażające ilości (wszak od kilku lat czekolada była na kartki) co owocowało nocnymi koszmarami sennymi.

Podczas tego obozu spotkałem się z ciekawym zjawiskiem. Otóż młodzi ludzie z Hajnówki traktowali mnie z dużą nieufnością. Prawdopodobnie przypuszczali, że obóz ten jest formą inwigilacji środowiska ukraińskiego prowadzoną przez SB. Ta nieufność objawiała się tym, że ilość dostarczanych mi przez nich informacji była, delikatnie mówiąc, skąpa. Skądinąd wiem, że docierali do rodzin ukraińskich i spędzali u nich długie godziny na rozmowach. Tak było np. w Lutowiskach, gdzie miejscowi Ukraińcy przyjęli ich bardzo gościnnie, a z nami Polakami nie chcieli nawet rozmawiać. Zresztą bariera językowa była zawsze dużym utrudnieniem w kontaktach z autochtonami. Już od pierwszego obozu wiedziałem, że gdybym mówił po ukraińsku, to dowiedziałbym się o wiele więcej. Z czasem nauczyłem się ukraińskiego, ale tylko biernie. Miałem też inne przykłady bardzo nieufnego traktowania mojej działalności inwentaryzacyjnej przez środowisko ukraińskie. Pewien znany dziś historyk ukraiński, a ówczesnie student prowadził podobną działalność organizując obozy wśród młodzieży ukraińskiej. Na moje propozycje nawiązania współpracy zawsze grzecznie, ale stanowczo odmawiał. Dopiero pewne wydarzenie, w którym przypadkowo uczestniczyłem w połowie lat osiemdziesiątych, przekonało go o czystości moich intencji. Oczywiście doskonale zdaje sobie sprawę skąd się brały te obawy i jakie było życie Ukraińców w PRL-u. Nie mam więc żadnych o to pretensji, a piszę to wyłącznie po to by oddać atmosferę tamtych czasów. Wtedy też uświadomiłem sobie, że peerelowskie służby traktują mnie jak Ukraińca, którego działalności warto się przyjrzeć, natomiast Ukraińcy brali mnie za funkcjonariusza powyższych służb. Jak to mawiają – troszku śmieszno, troszku straszno.

W 1984 r. uczestnicy obozu w pierwszym tygodniu odwiedzali wieś między Hoszowem a Lutowiskami. Penetrowaliśmy więc powtórnie teren odwiedzany już dwa lata temu. Czynniliśmy to z premedytacją, bo wiele tu jeszcze było do opisania. Wspominałem wcześniej o nieufności

Michniowiec (1987). Ustawianie krzyża przydrożnego o wysokości ok. 4,5 m, fot. S. Kryciński



ludzi do naszej działalności, ale zdarzały się też sytuacje odwrotne. Niektórzy mieszkańcy odwiedzanych przez nas wsi bardzo cieszyli się, że ktoś wreszcie po tylu latach zainteresował się ich kulturą i historią. Takie kontakty staraliśmy się wykorzystać do maksimum. Pamiętam jak w Polanie natrafiliśmy na małżeństwo państwa Łysygańców. Pan Michał urodzony w 1893 r. był kopalnią informacji. Wiele też pamiętała nieco młodsza od niego żona. Dlatego też przez cały tydzień chodziliśmy do nich by dowiedzieć się jak najwięcej. Wtedy też udało mi się porozmawiać z panem Magusiakiem w Czarnej. Miał on tak doskonałą pamięć, że stale najężdżany był przez reporterów prasy lokalnej, którzy starali się z niego wycisnąć przeróżne informacje. Zdarzało się to tak często, że rodzina zaczęła bronić dostępu do tego sędziewego już człowieka zamęcanego nieustannymi wywiadami. Ja kilkakrotnie bezskutecznie próbowałem się do niego dostać, aż wreszcie mi się poszczęściło. Pan Magusiak siedział na ławce przed domem i wygrzewał się w promieniach wrześnieowego słońca. Wiedziałem, że nie mogę spytać go o byle co, bo pewnie nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Na szczęście po kilku dniach pobytu w Czarnej miałem już sporo szczegółowych wiadomości o tej wsi. Zapytałem go o nieistniejącą już kapliczkę zaznaczoną na austriackiej mapie z 1880 r. Wyraźnie się ożywił i był zaskoczony moim pytaniem bo, jak się okazało, kapliczka uległa zniszczeniu pół wieku temu. Natychmiast podał mi nazwisko fundatora kapliczki, opisał jej wygląd, wyposażenie i przybliżone wymiary. Tą metodą drążyłem temat dalej. Podawałem różne znane mi fakty i nazwiska, a pan Magusiak uściślał je i poszerzał. Gdzieś po dwóch godzinach rozmowy nagle zreflektował się i powiedział – ale ja nie udzielam żadnych wywiadów! Zapewniłem go, że nie jestem dziennikarzem, a historią regionu interesuję się zupełnie prywatnie. To go uspokoiło. Wyraźnie sprawiło mu zadowolenie to przywoływanie czasów jego młodości. Wreszcie poczuł się zmęczony i powiedział, że musi się położyć. Podziękowałem mu serdecznie za rozmowę, która była najbardziej owocna ze wszystkich jakie odbyłem podczas moich obozów.

W drugim tygodniu obozu biwakowaliśmy w dolinie pomiędzy Górzanka a Bereźnicą Wyżną. Prócz tych dwóch wsi odwiedziliśmy również Bachławę, Bereskę, Dziurdziów, Hoczew, Morochów, Polańczyk, Średnią Wieś, Tarnawę Dolną i Górną, Wołę Matiaszową, Wołkowyję. Duże wrażenie zrobiły na nas imponujące ruiny cerkwi w Beresce i odnalezione w Hoczwi resztki murów zamku Fredrów opisywanego przez Aleksandra w pamiętniku „Trzy po trzy”.

Rok później rozbiliśmy namioty na skraju urokliwego przysiółka o nazwie Kostryń. Miejsce to niezwykle, pełne śladów historii, położone u stóp tajemniczej góry Czulni. Wiódł tędy stary szlak, którego pozostałością są lokalne dziś drogi w głębokich jarach wyłobionych przez koła tysięcy wozów. Sama nazwa przysiółka wywodzona od słowa „ostrożyć” czyli „otoczyć ostrokołem” sugeruje, że powstał on do obrony tego traktu. Na stokach Czulni (to zapewne od czujności i czuwania) znaleźć można tajemnicze kurhany. Jeden z nich, przyozdobiony archaiczną kapliczką, pilnuje drogi w samym Kostryniu. W takim miejscu, gdzie historia wyłania się z każdego kąta, siadywaliśmy wieczorami przy ognisku i czytaliśmy na głos odpowiednie fragmenty z „Prawem i lewem” Władysława Łozińskiego.

Z obozu w Kostryniu penetrowaliśmy szesnaście wsi pomiędzy Bykowcami i Zwierzyniem a Równią. Na drugi tydzień obozu przenieśliśmy się do schroniska PTSM w Jabłonkach. Noclegi pod dachem i elektryczne oświetlenie znakomicie ułatwiły nam wieczorne spisywanie i porządkowanie informacji zdobytych w ciągu dnia. Operując z Jabłonek odwiedziliśmy szesnaście wsi od Hoczwi i Dziurdziowa po Cisną i Łopienkę. Większość tych wsi leży w dolinie Hoczewki i jej dopływów. Bardzo rzetelne i wzbogacone szkicami terenowymi sprawozdania sporządzała Jan Gromadzki, ówczesnie studiujący architekturę we Wrocławiu. Równie bogate, a często wzbogacone jeszcze



Lipie (1988). Prace przy renowacji krzyża nagrobnego, fot. S. Kryciński

o materiał nazewnicy relacje otrzymywałem od Anny i Piotra Kamińskich. Od 1982 r. brali oni udział w czterech kolejnych obozach, a ich udział w naszym wspólnym dorobku był najpoważniejszy.

W 1986 r. pierwszą bazę założyliśmy w gościnnych ścianach szkoły w Terce. Wyruszając stąd dotarliśmy do piętnastu wsi od Tyskowej, Studennego i Olchowca na południu po Myczków, Zabrodzie i Bereźnicę Niżną na północy. Wieczory spędzane w ciepłych, suchych i oświetlonych pomieszczeniach sprzyjały rzetelnemu opracowaniu zebranych materiałów. A było co opisywać. Naszą wyobraźnię rozbudzały szczególnie tajemnicze pozostałości wsi Studenne i Horodek. Zbudowa tej pierwszej wsi położona była nietypowo, bo nie tylko w dolinie, ale również i na dziale, którego kulminację zajmowała cerkiew. Gdy stanęliśmy w jej miejscu oczom naszym ukazał się niezwykle widok. Widać stąd prawie dwudziestokilometrowy odcinek doliny Sanu, wzdłuż Otrytu, aż po Smolnik. Ku północy rozciąga się kolejny widok wzdłuż Sanu, aż po górujący nad Zalewem Solińskim masyw Stożka. Jest więc to rewelacyjny punkt obserwacyjny, z którego kontrolować można trzydzieści kilometrów doliny Sanu. Ale to jeszcze nie koniec. W bezpośrednim sąsiedztwie cerkwiska znaleźliśmy wyraźne pozostałości przedchrześcijańskiego kręgu kultowego spotykane go często na ziemiach zamieszkiwanych przez Słowian. Ma on średnicę około 30 m. Kotlinka na północ od cerkwi to kolejne tajemnicze miejsce o nazwie Rynek. Wiążą się z nim legendy o przepastnych piwnicach pełnych węgierskich win. Nieopodal, w przysiółku Pod Toustą, jeszcze do lat siedemdziesiątych stała murowana kapliczka nad cudownym źródłem. Jego uzdrawiająca moc znana była szeroko i przyciągała, do czasu wysiedleń, liczne rzesze wiernych.

Wyraźny oddech wieków odczuwalny jest również w Horodku. Widać, że jest to miejsce niepospolite. Od razu rzuca się w oczy węzeł starożytnych dróg, głęboko wciętych w podłoże. Konfiguracja terenu, w połączeniu z nazwą, sugeruje, że gdzieś tu powinno być grodzisko, ale dotychczas nie udało się go zlokalizować. Może po prostu go nie było. Napotkany kilka lat później dawny mieszkaniec Horodka, zapytany o pochodzenie nazwy wsi, bez wahania odpowiedział, że dawno temu jej mieszkańcy mieli obowiązek zagradzania traktu, w razie niebezpieczeństwa, wykorzystując dogodną konfigurację terenu (*horodyty* to po ukraińsku grodzić, zagradzać i ogradzać). Natomiast o żadnym grodzisku nigdy nie słyszał.

Podczas tych wszystkich obozów wielokrotnie natrafialiśmy na zdewastowane wiejskie cmentarze. Zniszczeń na nich dokonała głównie ręka ludzka. Smutne to, ale antagonizmy polsko – ukraińskie nie ominęły tych uroczych, wiejskich nekropoli, często stanowiących jedyne ślady po wsiach zakładanych w XV czy XVI wieku. Im więcej widziałem tych okaleczonych cmentarzy, tym bardziej narastała we mnie potrzeba zajęcia się ich renowacją. W 1984 r. zostałem członkiem Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej założonej przez dr Bogdana Martyniuka i działającej przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. W ramach działalności tej Komisji, i przy pomocy ludzi w niej poznanych, zorganizowałem w 1987 r. kolejny obóz zwany „Nadsanie”, ale już o profilu konserwatorskim. Spośród uczestników poprzednich obozów tylko kilka osób zadeklarowało chęć uczestnictwa w tym obozie. Sporządziłem więc cztery plakaty reklamujące obóz. Trzy z nich powiesiłem na warszawskich uczelniach – Uniwersytecie, Politechnice i Akademii Rolniczej. Czwarty, z pomocą znajomego, zawisł na Uniwersytecie Wrocławskim. Efekt przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Na miejsce zbiórki w szkole w Czarnej stawiło się 57 osób. Ja miałem fundusze na utrzymanie około dwudziestu osób. Szczęśliwie kilkanaście osób przestraszyło się tłoku i pracy. Dziesięć osób zdecydowało się pomóc przy odbudowie cerkwi w Łopience, gdzie prace od kilku lat prowadził Zbigniew Kaszuba. Na obozie zostało około trzydziestu uczestników, którym mogłem zapewnić skromne utrzymanie i dobrze zorganizować pracę. Nadzór konserwatorski sprawowali zawodowi konserwatorzy rzeźby kamiennej Janusz Smaza i Marek Chodor.

Naszym zadaniem była renowacja nagrobków i figur przydrożnych w Bystrem i Michniowcu. Dlaczego wybraliśmy właśnie te wsie? Bo właśnie tu zachował się, największy w Bieszczadach, zespół przydrożnych figur wykonanych z piaskowca. Pochodzą one z lokalnych warsztatów kamienniarzów działających na przełomie XIX i XX w. w okolicach Turki. Było ich tu kiedyś co najmniej dwadzieścia pięć. Z niektórych zostały tylko podstawy. Większość zachowała się jednak, ale wszystkie, prócz jednej, zostały uszkodzone w latach gdy wsie te należały do Związku Sowieckiego. Przewrócono je i potłamano, a nad największą, liczącą 4,5 m wysokości pastwiono się szczególnie perfidnie. Wieńczącą ją krzyż potłamano i zakopano, poczym przykryto kamienną płytą stanowiącą pier-

Beniowa (1990). Taniec radości po tygodniowym deszczu, fot. S. Kryciński



wotnie podstawę. Na to narzucono dwa cokoły tworzące trzon figury. Zważywszy, że większy z tych cokołów waży około 600 kg, zrozumiemy jak dużo ciężkiej pracy włożono w zniszczenie tej figury. Szczęśliwie jej elementy zachowały się w dość dobrym stanie i można było ją zrekonstruować. W tym celu musieliśmy ustawić trójnóg z siedmiometrowych drągów, na którym zawiesiliśmy wielokrążek z liną. Zamocowaliśmy na niej ten większy, sześćsetkilowy cokół i w kilku chłopa próbowaliśmy go dźwignąć, ale bez efektu. W momencie gdy, po raz kolejny, z całych sił ciągnęliśmy za linę by pokonać jej opór, na przystanku po drugiej stronie drogi zatrzymał się autobus PKS. Mieszkańcy wsi, którzy z niego wysiedli, biegiem ruszyli w naszą stronę i chwycili za linę. Teraz ciągnęło ją piętnaście osób. Cokół skapitulował i wolno ruszył w górę. Wszyscy mieliśmy wielką satysfakcję, że wspólnymi siłami udało się go ustawić. Podniesienie mniejszego cokołu i wieńczącego go krzyża, przy takiej liczbie osób, było już tylko dziecięcą igraszką. W obu wsiach odnowiliśmy łącznie jedenaście przydrożnych figur. W następnych latach obecni mieszkańcy obu wsi pobielili je, otoczyli płotkami i posadzili kwiaty. Dziś przyjemnie popatrzeć, że wrosły ponownie w pejzaż wsi. Odnowiliśmy również oba cmentarze. Kilku figur przydrożnych nie udało się nam odnowić, ze względu na konieczność wykonania przy nich prac przekraczających nasze możliwości czasowe. Na szczęście zajęli się nimi miłośnicy miejscowych starożytności, mieszkający w Ustrzykach Dolnych, a działający w Oddziale TonZ w Michniowcu. W ciągu kilku lat odrestaurowali dziesięć figur. Dzięki naszym wspólnym działaniom udało się zrekonstruować ponad dwadzieścia figur w dwóch wsiach zespolonych jednym ciągiem zabudowy. Powstał więc unikatowy w skali bieszczadzkiej zespół zabytkowej kamieniarki.

W tym samym roku odnowiliśmy niewielki cmentarzyk w Chmielu nad Sanem. Naszym pracom dyskretnie, ale uważnie przyglądała się miejscowa społeczność. Chmiel jest jedną z nielicznych wsi gdzie mieszka kilka rodzin autochtonów. Początkowo nieufnie przyjęli nasze działania, ale gdy zobaczyli efekty naszej pracy podziękowali nam za pośrednictwem, mieszkającej tam ówczasie, pani Zofii Komedowej. Ona sama dodała do tych podziękowań pokaźną butelkę ginu. Warto dodać, że na tutejszym cmentarzu znajduje się, najstarsza w Polsce, płyta nagrobna z inskrypcją w języku starocerkiewnostrawiańskim, pochodząca z 1641 r. Jeszcze przed wojną znajdowała się w tutejszej cerkwi, ale gdy zabrakło tutejszych mieszkańców została wyrzucona na cmentarz. Leżała bezpośrednio na ziemi, więc umieściliśmy ją na kamiennej podmurówce.

W 1988 r. kontynuowaliśmy prace w Lipiu, wsi oddalonej od Michniowca o trzy kilometry. Tu również nagrobki pochodziły z tego samego ośrodka kamieniarskiego. Nie zachował się natomiast żaden krzyż przydrożny, a mało prawdopodobne aby ich tu nie było. Ktoś musiał je stąd skrzętnie usunąć.

W drugim tygodniu tego obozu zajęliśmy się cmentarzami w Lutowiskach i Smolniku. Deszcz bardzo utrudniał nam pracę. Nekropolia w Lutowiskach kryje prochy katolików obu obrządków. Chowano ich tu zgodnie aż do lat dwudziestych XX w., kiedy to przy nowo wybudowanym kościele powstał cmentarz łaciński. Dwa najstarsze nagrobki pochodzą z 1862 i 1866 r. i reprezentują dwunarodową wspólnotę chrześcijańską zamieszkującą miasteczko od dawna. Pierwszy, z polską inskrypcją, stoi na mogile Zofii Giebułtowiczowej, drugi, z napisem cyrylicznym, upamiętnia sędziego powiatowego Hryhoryja Ławrowskiego. Tu po raz pierwszy zetknęliśmy się z wrogim stosunkiem obecnych mieszkańców do naszych działań. Dwukrotnie przychodzili na cmentarz agresywni, pijani mężczyźni, którzy w wulgarny sposób dawali upust swojemu niezadowoleniu z faktu, że odnawiamy ukraińskie nagrobki. Jeden z nich nawet szarżował na mnie ze szpadlem w dłoni. Ja na szczęście byłem większy od niego i też miałem szpadel, więc szybko spuścił z tonu. Zaobser-

wowaliśmy również ciekawe zjawisko. Otóż nowi mieszkańcy bieszczadzkich wsi mają niezłomne przekonanie, że wszystko co tu zastali jest pozostałością wyłącznie po Ukraińcach. Gdy w następnym roku remontowaliśmy łaćwiński cmentarz przy nieistniejącym już kościele w Polanie, spytał mnie miejscowy leśniczy - dlaczego remontujemy ukraiński cmentarz. Odpowiedziałem mu, że akurat ten cmentarz jest polski, o czym łatwo się przekonać odwiedzając go i czytając zachowane inskrypcje. Jedna z nich brzmi: „Paweł Moczarowski – właściciel dóbr Rosochate – ur. 31.V.1850 – zm. 16.IV.1934 – prosi o modlitwę”. Leśniczy odpowiedział mi, że chodzić na cmentarz nie musi, bo on tu mieszka trzydzieści lat i doskonale wie, że ten cmentarz jest ukraiński. Z takim podejściem spotykaliśmy się wielokrotnie.

Oprócz wspomnianego już cmentarza łaćwińskiego objeśliśmy renowacją w 1989 r. również dwie pozostałe nekropolie w Polanie. One również były polsko – ukraińskie, bowiem do wojny większość mieszkańców wsi stanowili Polacy. Na większym z tych cmentarzy przytrafiło mi się wzruszające spotkanie z panią Łysyganiec, już niestety wdową. Jeszcze pięć lat wcześniej jej mąż Michał, dzielił się z nami bezcennymi informacjami o dziejach wsi, a teraz już nie żył. Natomiast pani Łysyganiec, widząc co robimy, przyniosła nam pieniądze pochodzące z jej bardzo skromnej renty. Była bardzo poruszona faktem, że jacyś zupełnie obcy ludzie z całej Polski przyjechali do jej wsi, by remontować tak bliskie jej sercu nagrobki. Uparła się, że musimy te pieniądze przyjąć.

Już tradycyjnie w drugim tygodniu obozu popsuta się pogoda. W strugach deszczu pracowaliśmy na cmentarzach w Dwerniku i Berehach Górnych. Szczególnie upiorne warunki mieliśmy podczas pracy w Berehach. Pod koniec tygodnia temperatura spadła do 5-6 stopni, a uczucie chłodu potęgował silny wiatr szczególnie dokuczliwy na cmentarzu położonym na eksponowanym cyplu. Z braku folii, osłaniających ogień przed zalaniem, paliliśmy tylko jedno ognisko, potrzebne do suszenia nagrobków przed klejeniem i gotowania posiłków. Dlatego też każdy starał się znaleźć pracę jak najbliżej ognia. Przedostatniego dnia obozu ugotowaliśmy gar rosółu na czterech kurczakach, które udało się kupić w sklepie w Dwerniku. Było nas wtedy szesnaście osób, więc każdy dostał po ćwiartce kurczaka i pełnej mienażce rosółu z makaronem. Gdy już kończyliśmy posiłek, zobaczyliśmy turystę, który właśnie zszedł z Połoniny Caryńskiej. Był przemarznięty do szpiku kości, a ubranie od strony wiejącego wiatru miał pokryte lodem. Gdy poczuł zapach rosółu na cmentarzu i zobaczył postacie kulące się za nagrobkami myślał, że ma omamy. Ale już po chwili ugoszczony miską gorącego rosółu wyglądał na najszcześliwszego człowieka na świecie. Podczas remontu tego cmentarza dowiedzieliśmy się, że większość nagrobków została przerobiona na tłuczeń podczas budowy obwodnicy w latach sześćdziesiątych. Ocalały tylko nagrobki rodziny Buchwaków w wyniku interwencji członków tej rodziny mieszkających do dziś na Podkarpaciu.

Na tym cmentarzu po raz pierwszy poczuliśmy tak wyraźnie oddech przeszłości. Większość zachowanych nagrobków ma tak archaiczne formy, że równie dobrze mogły by powstać przed kilkoma wiekami. Widać po nich jak silny wpływ na życie mieszkańców wsi miały pradawne tradycje. Najbardziej niezwykły nagrobek stoi na grobie Hrycia Buchwaka. Jest to kamienna stela pokryta ze wszystkich stron napisami i symbolami, wśród których króluje starożytny znak rozety. Hryć sam wykuł dla siebie ten nagrobek, i jak dowiedzieliśmy się później od dawnych mieszkańców wsi, postawił go pod swoją chałupą. Nagrobek wiele lat cierpliwie czekał na zgon swojego twórcy, który odszedł z tego świata w 1926 r. w wieku 79 lat.

W 1990 r., korzystając ze zmian zachodzących w naszym kraju, postanowiłem dokonać renowacji cmentarzy w tzw. „worku bieszczadzkim”. To obrosłe legendami, prawie niedostępne dla turysty, a przez to niemal mityczne miejsce stanowi kwintesencję Bieszczadów. Do końca nie



Bystre (1987). Prace i posiłek na cmentarzu, fot. S. Kryciński

byłem pewien czy uda się tam nam dotrzeć i, co ważniejsze, biwakować przez dwa tygodnie. Mimo, że w Warszawie zaszyły już wtedy radykalne zmiany, to nie wiadomo było, czy tu w głębokim terenie jakiś kacyk z poprzedniej epoki nie uniemożliwi nam działań. Obawy nasze nie były bezpodstawne, bowiem od kilkunastu lat „workiem” zarządzał płk Kazimierz Doskoczyński prowadzący Ośrodek Wypoczynkowy URM w Muczmem. Traktował on te tereny jak prywatny folwark. Doświadczyłem tego na własnej skórze w 1978 r., gdy przez trzy dni przekradaliśmy się, wraz z Emilką Lin, lasami by dotrzeć ze Stuposian do Beniowej i wyjść z „worka” przez Potasznę nad potokiem Halicz.

Jedynym środkiem lokomocji jakim mogliśmy dostać się do Beniowej był „Osinobus” należący do Nadleśnictwa w Stuposianach wożący codziennie o szóstej rano ludzi pracujących w lesie. Udało nam się zabrać tym transportem. Sympatyczny kierowca specjalnie dla nas doczepił przyczepę. Widok był nieco surrealistyczny, gdy w porannej mgłę ładowaliśmy do niej nasz dobytek – plecaki, szpadle, wiadra, dwa rowery i dwa żeliwne krzyże nagrobne pochodzące z cmentarza w Bukowcu. Krzyże te były połamane na kawałki. Przyniósł je na własnych plecach do Stuposian jeden z uczestników obozu, by tam w warsztacie Nadleśnictwa można było je pospawać i ponownie osadzić na nagrobkach. Wspomniane wcześniej dwa rowery zabraliśmy po to by móc zaopatrzyć uczestników obozu w żywność. Najbliższy sklep, w Tarnawie Niżnej, oddalony był o 12 km. Niestety był on czynny tylko dwa razy w tygodniu, a można w nim było kupić wyłącznie pieczywo i nabiał pod warunkiem wcześniejszego zamówienia. Następny sklep, czynny codziennie i dużo lepiej zaopatrzone, był w Stuposianach oddalonych o 28 km. Ale nawet rowery nie ustrzegły nas od braków w zaopatrzeniu. Gdy w niedzielę rano, w połowie obozu, sprawdziłem stan zapasów, stwierdziłem że jedzenia mamy tylko na jeden posiłek, a najbliższe spotkanie z chlebem możliwe jest w poniedziałek wieczorem. Za cały niedzielny posiłek posłużyła menażka mleka z kluskami sporządzonymi z sera i mąki. Tego dnia przyświecało nam hasło: skoro nie pracujemy to i nie jemy. Uczestnicy obozu rozeszli się na wycieczki, głównie w kierunku Halicza. Wieczorem w bacówce, wokół której rozstawiliśmy nasze namioty, panował smętny nastrój. Na kolację miała być jedynie

herbata i to nie słodzona. Gdy tak sączyliśmy ta gorzką herbatę, a kieszki grały marsza, w drzwiach bacówki pojawił się Szymon z wypchanym po brzegi plecakiem. Nic nie mówiąc wysypał na środek podłogi okazałą przyzmę marchewki. Okazało się, że znalazł jej poletko w Bukowcu. Była przeznaczona do zimowego dokarmiania zwierzyny. Nasze nastroje radykalnie się zmieniły. Wszyscy rzucili się do obierania i krojenia zdobyczy. Już po chwili pełen jej kociołek bulgotał na ogniu. Z żelaznej rezerwy wyasygnowałem jedną puszkę „konserwy tłuszczowej” by wzmocnić kaloriami nasz wieczorny posiłek. Dzięki pomysłowości Szymona poszliśmy tego dnia spać z pełnymi brzuskami. Mam nadzieję, że jelenie nam to wybaczyły.

Podczas tego obozu odnowiliśmy najpierw cmentarz w Beniowej. Wśród zrujnowanych nagrobków znaleźliśmy tu rzecz przedziwną – blok kamienny prymitywnie obrobiony na kształt łodzi i ozdobiony wczesnochrześcijańskim symbolem ryby. Była to zapewne podstawa pod chrzcielnicę pochodząca z przedostatniej cerkwi rozebranej w 1927 r. Najbardziej zaintrygował nas ten wizerunek ryby, tak rzadko spotykany we współczesnych świątyniach, a tak popularny w pierwszych wiekach po Chrystusie. Nie sposób dziś odgadnąć jakimi drogami wędrowała myśl twórcy tej kamiennej łodzi z rybą. Jedno jest pewne – wiedzę miał sięgającą daleko poza opłotki tej, wydawało by się, zapadłej bieszczadzkiej wsi. Na kilku nagrobkach również zachowały się rytzy nawiązujące do symboliki wczesnochrześcijańskiej. Gdy widzi się takie rzeczy to nasuwa się refleksja, że ci prymitywni (wydawało by się) mieszkańcy śródgórskich osad mieli ogromną wiedzę na temat świata w którym żyli i doskonałe zrozumienie elementarnych praw nim rządzących.

Operując z bazy w Beniowej odnowiliśmy również cmentarz w Siankach ze słynnym „grobem hrabiny”. To najbardziej legendarne w naszych Bieszczadach miejsce, przez wiele lat było niemal niedostępne. Docierali tu tylko najbardziej wytrawni turyści. Rokrocznie za punkt honoru stawiali sobie odwiedzenie „grobu hrabiny” uczestnicy przejścia przewodnickiego chcący zostać członkami Koła. Przemykając się pomiędzy patrolami WOP i ochroniarzami strzegącymi Ośrodka URM w Mucznej docierali wreszcie w to, jedyne w swoim rodzaju, miejsce by triumfalnie odśpiewać kilka patriotycznych pieśni i szybko zniknąć w bieszczadzkich chaszczach. Spiewy im były głośniejsze tym bardziej drażniły patrole pograniczników Wielkiego Brata, bowiem „grób hrabiny” znajduje się tylko kilka metrów od wąziutkiego w tym miejscu, granicznego Sanu. Reakcja była natychmiastowa i nieodmiennie powodowała gwałtowne wzmoczenie aktywności naszego WOP-u. Gdy dotarliśmy w to miejsce latem 1990 r. w zasadzie nikt się nami nie interesował. Spokojnie dokonaliśmy rekonstrukcji dwóch grobowców, które jakiś poszukiwacz skarbów zdewastował zapewne za pomocą ciągnika gąsienicowego. Spoczywają tu: Klara z hrabiów Kalinowskich Stroińska (to właśnie owa legendarna hrabina) i jej mąż Franciszek Stroiński.

Tego roku pracowaliśmy także na cmentarzach w Bukowcu i Dźwiniaczu Górnym. Podczas obozu poznaliśmy przemiłego leśniczego p. Antoniego Derwicha z Mucznej, który z ramienia Bieszczadzkiego Parku Narodowego opiekuje się tą częścią doliny Sanu. Pan Antoni już wcześniej uratował kilka krzyży gdy wojsko prowadziło tu rekultywację za pomocą dynamitu. Po naszym obozie, z jego inicjatywy i przy jego udziale powstały tablice informacyjne na cmentarzach w Beniowej i Siankach, a pierwszy z tych cmentarzy został ogrodzony by ochronić go przed wypasanym tam wtedy bydłem.

W 1991 r. renowacją objęliśmy cmentarze w Stuposianach, Wołosatem i Caryńskiem. Znow nasze działania były impulsem dla miejscowych instytucji. Cmentarz w Stuposianach został ogrodzony i oznakowany przez pracowników Nadleśnictwa w Stuposianach. Nekropolię wołosacką ogrodzili i wyposażyli w informacyjną tablicę ludzie z BPN-u. Co ciekawe najbardziej aktywnym wśród

nich był Kirk Henwood, wolontariusz z Amerykańskiego Korpusu Pokoju, który wyeksponował podmurówkę cerkwi, oczyścił studnię i odkopał kamienną piwnicę w sąsiedztwie cmentarza.

Rok później zajęliśmy się kamieniarką cmentarną i przydrożną w Bandrowie. Wieś tą zamieszkiwali Ukraińcy i Niemcy. Ci ostatni osiedli tu podczas kolonizacji józefińskiej pod koniec XVIII w. Dzięki temu we wsi powstały dwa cmentarze – katolicki i ewangelicki. Poza tym przy drodze zachowało się sporo kamiennych figur pochodzących z tych samych warsztatów co kamieniarka z Bystrego i Michniowca. Wśród tych przydrożnych realizacji dwie sięgały wysokości 4,5 m. Kilku-letnie doświadczenie w pracy z ciężkimi kamiennymi blokami spowodowało, że tu w Bandrowie, dwa takie kilkusetkilowe cokoły ustawiliśmy bez trójnogów, w kilka osób, prawie gołymi rękami, przy użyciu jedynie kilku drągów i desek. Na cmentarzu ewangelickim, mocno zarośniętym, zachowało się tylko kilka nagrobków. Na jego skraju niewielki pagórek kryje gruzy zburzonego zboru. Gdy odwiedziłem ten cmentarz w 2006 r. okazało się, że jest świetnie utrzymany. Krzaki i samosiejki wycięto, pojawił się krzyż na grobie pastora Franza Salfelda, z zarosli wyłoniły się ślady kilku innych nagrobków. Ruiny zboru oczyszczone z krzaków porasta tylko trawa, a obok tablica informuje o historii ewangelików w Bandrowie. Wszystkie te prace wykonał pan Stanisław Miszczak mieszkający w sąsiedztwie cmentarza. Bardzo go to poruszyło, że jacyś obcy ludzie, którzy przyjechali z daleka, zajęli się tym cmentarzem w 1992 r. Byli to uczestnicy obozu „Nadsanie”. Od tego czasu opiekuje się tą nekropolią.

Pod koniec obozu w 1992 r. odnowiliśmy jeszcze cmentarz w Stebniku i pozostałości dwóch nagrobków ewangelickich w sąsiednim Steinfelsie. Tu w Stebniku zetknęliśmy się z kolejnym problemem dotyczącym opuszczonych cmentarzy. Otóż często w takiej pustej dolinie po wsi wypasane są krowy. Zwykle przez cały dzień pozostają bez nadzoru. W południe, w największy upał chronią się pod drzewami, a najdorodniejsze zwykle rosną na cmentarzach. Bydłątka upodobały więc sobie cmentarze jako miejsca najchłodniejsze. Chroniąc się tam z lubością czochrają się o nagrobki, zwykle je wyracając. Właściciele krów zupełnie się tym nie przejmują. W Stebniku niestety pasły się krowy i większość ustawionych przez nas nagrobków następnego dnia była

Stuposiany (1991). Staszek Kryciński przy odnawianiu nagrobków, fot. arch.



wywrócona. Ustawiliśmy je ponownie i dojście do nich zabezpieczyliśmy prowizorycznie żerdziami, ale nie rozwiązuje to problemu na dłużej. Niestety lokalne władze najczęściej nie rozumieją potrzeby ogradzania starych cmentarzy i ochrony ich przed taką właśnie dewastacją.

W 1993 r. znów spotkaliśmy się w Bandrowie. Zamieszkaliśmy, tak jak w poprzednim roku, w gościnnych progach pani Zofii Sztengert, która samotnie prowadziła gospodarstwo. Uczestnicy, jak zwykle zjechali się z całej Polski, ale najliczniej, prócz Warszawy, reprezentowana była Hajnówka i okolice. Na początek dokończyliśmy prace przy jednej z figur przydrożnych, po czym zajęliśmy się cmentarzami w pobliskich Moczarach i Jałowem. Ten drugi cmentarz położony jest na miejscu niezwykłym. Zajmuje bowiem szczyt wyniosłego wzgórza, górującego nad Hoszowem, mającego duże walory obronne i obserwacyjne. Pośród cmentarza stoi drewniana cerkiewka. Legendy mówią o zamku stojącym w tym miejscu i długich lochach prowadzących stąd gdzieś hen. Wiadomo, że przez wieki stała tu parafialna cerkiew hoszowska, a całe wzgórze należało do tej wsi, jednej z najstarszych w Bieszczadach.

Jako, że obóz liczył ponad dwudziestu uczestników, a odnawiane cmentarzyki miały po kilka nagrobków, rozdzieliliśmy się na trzy grupy. Postanowiliśmy zająć się tego roku również cmentarzami w dolinie Sanu pod Otrytem. Już po paru dniach jedna z grup pojechała do Zatwarnicy. Niebawem kolejne osoby zajęły się cmentarzem w Hulskiem, a potem w Krywem i Tworylnem. Pod koniec obozu biwakowaliśmy w tych trzech wsiach, a właściwie pustych dolinach po nich. Ognisko kończące obóz zapłonęło u stóp ruin cerkwi w Krywem. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie spotkanie z panią Piekłakową (z domu Głuchową) mieszkanką jedynego w Hulskiem gospodarstwa, a żyjąca tu od urodzenia. Pokazała mi oryginalne tutejsze hafty zdobiące koszule, a co ważniejsze tzw. „drabinki” – precudne ozdoby wykonane z różnokolorowych, małych paciorków, a noszone przez kobiety w dolinie Sanu. Nagle moim oczom ukazał się żywy kawałek świata, który uważałem za bezpowrotnie stracony, znany tylko z przedwojennych zdjęć i opracowań.

W 1994 r. rozbiliśmy namioty w Tworylnem, w cieniu jesionów stanowiących pozostałość alei dworskiej. Tworylne to kolejne magiczne miejsce bieszczadzkie. Chyba nie ma drugiej takiej wsi, gdzie tak dobrze zachowałyby się pozostałości domów, cerkwi, zabudowań dworskich, niemieckiej strażnicy. Do tego dochodzą dwa urokliwe cmentarze. Wszystko w przepięknej dolinie Sanu. Zajęliśmy się cmentarzem południowym, bo północny odnowiliśmy rok wcześniej. W tym samym czasie w Tworylnem biwakował harcerski obóz z Częstochowy. Dwie opiekunki tego obozu, uczennice Liceum Sztuk Plastycznych, przyszły zobaczyć co robimy na cmentarzu. Zdumiało je, że tak można spędzać wakacje. Zdumiało, ale jednocześnie i spodobało. Efekt był taki, że w rok później Agnieszka i Marta przyjechały na kolejny obóz, a potem one i ich koleżanki jeździły na następne.

W tegorocznych planach mieliśmy jeszcze cmentarze w Bystrem k. Baligrodu i Jabłonkach. W niedzielę, w środku obozu, uczestnicy rozeszli się tradycyjnie na wycieczki po okolicy. Kilka osób poszło do Rajskiego. Wrócili stamtąd zbulwersowani. Okazało się, że cmentarz leżący tuż przy brzegu zalewu jest użytkowany przez turystów jako wysypisko śmieci i szale. Postanowiliśmy w tej sytuacji zmienić plany i zająć się natychmiast tym cmentarzem. Mimo, że praca nie była przyjemna, to uczestnicy obozu, a szczególnie panie, wybierali kilkanaście okazałych worków śmieci. Wszystkie nagrobki były poprzewracane i zapewne wiele osób nie zdawało sobie sprawy, że w tym miejscu jest cmentarz. Nagrobki zostały ustawione, a krzaki wycięte. Mieliśmy nadzieję, że ograniczy to profanację tego miejsca. Następne lata pokazały że były to nadzieje płonne. Bywalcy nadal tu śmiecią i zatławiają swoje potrzeby wśród nagrobków. Jedynie ogrodzenie cmentarza rozwiązało by sprawę radykalnie, ale lokalne władze mają jak widać inne problemy na głowie.



Sianki (1990). Prace renowacyjne przy „grobie hrabiny”, fot. S. Kryciński

W ostatnich dniach obozu dotarliśmy do Bystrego koło Baligrodu. Tu przy samej sosie znajduje się niewielki cmentarzyk. Kiedyś stała na nim drewniana cerkiew spalona podczas działań wojennych na początku 1915 r. Cmentarzyk ten przyciągnął naszą uwagę ponieważ został ogrodzony, i oczyszczony z zarosli, przez jednego z mieszkańców Baligrodu. Aż prosiło się by odnowić kilka zachowanych tu nagrobków – co też czyniliśmy. Przy wejściu na cmentarz napotykałyśmy solidny grobowiec Józefa Kalasantego Jorasa (zm. 1896), właściciela majątku w pobliskim Łubnem. To jeden z nielicznych zachowanych w Bieszczadach nagrobków właścicieli ziemskich.

Wiosną 1995 r., podczas prywatnej wędrowki, trafiliśmy na cmentarz w Łupkowie. Zdumiała mnie ta nekropolia. Dzięki przebiegającej tędy od 1872 r. linii kolejowej widać na niej wpływy dalekiego świata. Prócz lokalnych wyrobów kamieniarskich spotkać tu można dzieła dobrych rzemieślników, a jedna z realizacji nosi sygnaturę E. Stehlika z Krakowa. Najcenniejszym jednak jest nagrobek księdza Aleksieja Warcholaka, urodzonego w 1774 r. w Polanach, a zmarłego w 1858 r. Należy on do najstarszych w Bieszczadach. Najbardziej urzekło mnie jednak ogrodzenie tego cmentarza. Wykonano je z ogromnych, nieregularnych bloków kamiennych, najprawdopodobniej wylamywanych podczas budowy tunelu pod Przełęczą Łupkowską. Drugiego takiego ogrodzenia nie ma chyba w całej południowo – wschodniej Polsce. Co ciekawe zostało ono zrujnowane przez jakieś tajemnicze siły. Wygląda to jakby wielkolud rozwaliał je swoją wielką łapą. Jak wieść gminna niesie ponoć ktoś szukał w tym ogrodzeniu skarbów. Zważywszy, że do ruszenia jednego bloku potrzeba dwóch lub trzech ludzi, poszukiwacze musieli mieć niezłą motywację. Płatanina omszających bloków skalnych otaczających cmentarz skojarzyła mi się z megalitycznymi kręgami i na swoje potrzeby nazwałem to miejsce „bieszczadzkiem Stonehenge”.

Latem rozbiliśmy namioty nad strumieniem u stóp cmentarza. Tak dokładniej, to nad wspomnieniem strumienia, bo pozostało po nim kilka kałuż z żabami. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się by mieć w Bieszczadach problem z wodą. Ale to, i poprzednie, lato było wyjątkowo suche. Chcąc, nie chcąc, musieliśmy nosić wodę ze studni koło schroniska oddalonego o kilkaset metrów. Tego roku w szeregach obozowiczów nastąpiła secesja. Szymon Modrzejewski, który był uczestnikiem wszystkich obozów konserwatorskich, począwszy od 1987 r., postanowił działać na własną

rękę. Z częścią uczestników zajęł się cmentarzem w Balnicy, a także rekonstrukcją imponującego, kamiennego krzyża wystawionego w tej wsi na pamiątkę zniszczenia pańszczyzny w 1848 r.

W drugim tygodniu obozu spotkaliśmy się wszyscy w Woli Michowej, gdzie zajęliśmy się tutejszym kirkutem. Był on tak dokładnie zarośnięty tarniną, że pierwsze trzy dni zajęło nam karczowanie tego buszu. Niewiele byśmy zdziałali bez spalinowej piły Szymona. Zachowało się tu prawie pięćdziesiąt macew. Niemal wszystkie były wywrócone i po części połamane. Tego roku udało nam się odnowić około trzydziestu nagrobków na tym cmentarzu. Resztę odrestaurowali rok później uczestnicy obozu zorganizowanego przez Szymona.

W 1996 r. działaniami swoimi objęliśmy cmentarze w okolicach Rymanowa, czyli na terenie Beskidu Niskiego. Ta radykalna zmiana terenu działania wzięta się stąd, że w owym czasie poznałem pana Krzysztofa Smereckiego, prezesa Stowarzyszenia Przyjaciół Rymanowa Zdroju, któremu marzyło mu się by wszystkie opuszczone, łemkowskie cmentarze leżące na terenie gminy Rymanów zostały wyremontowane. Zainteresowanie tymi cmentarzami członków Stowarzyszenia, a w szczególności jego prezesa, dawało gwarancję, że odnowione cmentarze znajdą godnych opiekunów, dlatego też postanowiłem kolejny obóz „Nadsanie” zorganizować w tych stronach.

Pod koniec lipca rozstawiliśmy namioty tuż obok cerkwi i cmentarza w Króliku Wołoskim. Uczestnicy obozu zjechali się jak zwykle z całej Polski. Dwadzieścia sześć osób przybyło z Andrychowa, Białegostoku, Częstochowy, Gdańska, Radomia, Rzeszowa, Świdnicy i Warszawy. Najmłodszy uczestnik miał 11 lat, najstarszy ponad pięćdziesiąt. Znakomitą większość stanowili studenci i uczniowie liceów. Prawie wszyscy brali udział w poprzednich obozach i mieli już pewne doświadczenie. Byli również fachowcy - dwójka studentów Wydziału Konserwacji ASP w Krakowie (Ewelina Dziopak i Marcin Gruszczyński) oraz uczennice Liceum Plastycznego z Częstochowy.

Cmentarz w Króliku Wołoskim to piękny zespół ludowej kamieniarki liczący 35 nagrobków. Dotychczas nie natrafiliśmy na tak duży cmentarz, ale jako że uczestników było dwudziestu sześciu to prace szły sprawnie. Utrudniał je jedynie trzydniowy deszcz. Dlatego też część uczestników obozu zajęła się oczyszczaniem wnętrza cerkwi z gruzu i śmieci. Zebrało się tego kilkanaście taczek. Wyszprzątane wnętrze i naga ściana ikonostasowa natchnęły Piotra Bentkiewicza i Marcina Gruszczyńskiego do namalowania „ikon” Chrystusa i św. Mikołaja. Wykonano je na starych deskach za pomocą

Sianki (1990). Prace renowacyjne przy „grobie hrabiny”, czyli Klary i Franciszka Stroińskich, fot. S. Kryciński



farb plakatowych. Zawieszona na ścianie ikonostasowej ożywiła wnętrze opuszczonej cerkwi. Mensę ołtarzową przyozdobił Mandylion - wspólne dzieło Marcina i Eweliny Dziopak. W ciągu kilkunastu następujących miesięcy wszystkie trzy malowidła zostały niestety skradzione.

Odnowiliśmy także kapliczkę przydrożną z 1794 r. leżąca ok. 500 m na południe od cerkwi, w miejscu gdzie stara droga przecina potok. Wyprostowaliśmy również, niebezpiecznie już przechyloną starożytną figurę na granicy Królika i Szklar (na tzw. Szklarskiej Górze). Ma ona bardzo archaiczną formę maleńkiej kapliczki (latarni) na wysokim słupie, charakterystyczną dla XVII i początku XVIII w. Analogiczna figura z Jaślik datowana jest na 1669 r. Dwa lata później zauważyłem, że ktoś zrekonstruował kuty, żelazny krzyż wieńczący wyprostowaną przez nas figurę.

W drugim tygodniu obozu zajęliśmy się cmentarzem w Desznie. Zachowało się tu czternaście nagrobków, z których najstarszy pochodzi z 1848 r. Cmentarz ten leży na wprost rozlewni wody mineralnej „Celestynka”. Strażnik pilnujący wjazdu na jej teren nie mógł wyjść z podziwu, jak można poświęcać swój czas na bezinteresowny remont jakiegoś zapomnianego cmentarza. Ten podziw materializował się codziennie w postaci skrzynki, lub dwóch, wody mineralnej. Bardzo mu byliśmy wdzięczni za ten dar, bo cmentarz był mocno nasłoneczniony, a lato było upalne. Pod koniec drugiego tygodnia obozu udało się nam odnowić również wszystkie stare nagrobki na cmentarzu w Bałuciance.

Na cmentarzu cerkiewnym, leżącym 500 m na północ od wyżej opisanego znajduje się grób ks. Włodzimierza Wachnianina, ostatniego grekokatolickiego proboszcza w Desznie. Mocno już zniszczony napis na blaszanej tabliczce został odnowiony przez Marcina Gruszczyńskiego. W kilka miesięcy po obozie dostałem bardzo sympatyczny list z podziękowaniami za odnowienie napisu. Jego autorem był wnuk księdza. W wyniku nawiązanej korespondencji uzyskałem wiele ciekawych informacji i kopie kilku bezcennych zdjęć dokumentujących życie ks. Wachnianina.

W 1997 r. Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, któremu drastycznie obcięto dotacje nie był w stanie sfinansować kolejnego obozu. Nie wyszło też nic z pomocy obiecanej przez Stowarzyszenie Przyjaciół Rymanowa Zdroju. Jedynie Towarzystwo Karpackie, którego jestem członkiem, wsparło nasze działania symboliczną kwotą 500 zł. Mimo tego znalazło się 15 osób, które żywiąc się za swoje pieniądze postanowiło poświęcić swój czas na ratowanie beskadzzych cmentarzy. Tak jak w poprzednim roku działaliśmy na terenie gminy Rymanów, a konkretnie w Wistoczku. Uczestnicy przyjechali z Bialegostoku, Częstochowy, Gdańska, Rzeszowa i Warszawy Pogoda powitała nas lokalnym oberwaniem chmury, ale za to przez następne dni obozu nie padała.

Dolina po wysiedlonej, łemkowskiej wsi Wistoczek do końca lat sześćdziesiątych użytkowana była przez PGR. Wtedy to dokonano wszystkich zniszczeń na cmentarzu. W 1970 r. w opustoszałej dolinie osiedli Polacy z Zaolzia należący do Kościoła Zielonoświątkowego. By zbudować swoje domy musieli najpierw wykarzczać drzewa i krzaki, które rozpanoszyły się tu na dobre. Zbudowali we wsi własną świątynię i zaczęli użytkować tutejszy cmentarz z poszanowaniem zastanych nagrobków. Mimo że były w tragicznym stanie nie usunęli ich, jak zdarzyło się to w wielu innych wsiach. Co więcej myśleli o renowacji nagrobków, nie wiedzieli jednak jak się do tego zabrać. Mieszkańcy powiadomili nas również o cmentarzu cholerycznym zlokalizowanym powyżej cmentarza cerkiewnego, na południe od niego, na brzegu lasu porastającego dział ograniczający Wistoczek od południa. Rzeczywiście zachował się tu żeliwny krzyż i cokół z piaskowca z datą 1889 r. Oczyszciliśmy i skleiliśmy pęknięty cokół i osadziliśmy na nim krzyż.

Choć obozy, podczas których remontujemy cmentarze, trwały już jedenaście lat po raz pierwszy spotkaliśmy się z tak niezwykłą życzliwością i przychylnością dla naszych działań ze strony

tutejszych mieszkańców. Jeden z gospodarzy pospawał połamane żeliwne krzyże nagrobne. Inni odwiedzali nas w obozie, żywo interesując się naszą pracą i przynosząc różne łakocie. Pożyczali potrzebne nam narzędzia. Pod koniec tygodnia softys, widząc efekty naszej pracy, a znając naszą sytuację finansową, wręczył nam 200 zł zebrane wśród mieszkańców wsi. Zbudowany byłtem stosunkiem zamieszkujących wieś zielonoświątkowców do pamiątek, obcej przecież dla nich, łemkowskiej kultury. Wszyscy byli zgodni co do tego, że nagrobki na cmentarzu powinny być odnowione. Sam cmentarz jest zadbane i porządnie ogrodzony. Co ciekawe, widzieli w tych pamiątkach po poprzednich mieszkańcach wsi element, który uatrakcyjni ich wieś w oczach przyjeżdżających tu turystów. Mało tego, niektórzy kupowali ode mnie przewodniki W. Grzesika i T. Traczyka „Od Komańczy do Bartnego” i mapy Wojciecha Krukara „Okolice Rymanowa Zdroju” by dowiedzieć się coś o historii ziemi, na której osiedli.

Drugi tydzień obozu spędziliśmy w urokliwej dolinie po sąsiedniej, w stosunku do Wiśtoczka, łemkowskiej wsi Tamawka. Namioty rozbiliśmy tuż obok cmentarza. Miejsce było tak przytulne i malownicze, że z żalem je opuszczaliśmy. Zachowało się tu siedem nagrobków, które zostały przez nas zrekonstruowane, bowiem niemal wszystkie były przewrócone i połamane. Tu również zaobserwowaliśmy niszczycielską działalność człowieka. Były też pozostałości, w postaci kamiennych płyt, po skradzionych nagrobkach.

Dnia 27 lipca 1998 r. uczestnicy kolejnego obozu „Nadsanie” przyjechali do Puław (k. Rymanowa). Brak funduszy wypłoszył potencjalnych uczestników. I tym razem ani Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, ani Stowarzyszenie Przyjaciół Rymanowa Zdroju nie udzieliły nam wsparcia, a dotacja z Towarzystwa Karpackiego wyniosła 700 zł. Efekt był taki, że obóz liczył dziesięciu uczestników, z których dziewięciu nosiło nazwisko Kryciński. Prócz mojej rodziny (żona i dwóch synów) zjawiał się mój brat z żoną i trzema synami. Dziesiątą osobą był Sebastian Wójcik z Gdańska. W Puławach, tak jak w Wiśtoczku, mieszkają zielonoświątkowcy. Tu również cmentarz jest ogrodzony, a stare nagrobki uszanowane. Większość z nich została przewrócona zaraz po wysiedleniach i tak została. Wśród tych zniszczonych były również trzy nagrobki polskiej rodziny Zeńczaków. Pochowany tu, wraz z żoną, Piotr Zeńczak (1821–1893) był leśniczym w dworskich lasach należących do Czartoryskich. Rodzinne nagrobki odnowił kilka lat temu potomek mieszkający w Sanoku.

Dysponując tak niewielkimi siłami nie byliśmy w stanie podnieść najcięższych nagrobków, szczególnie że dwa skomponowane były z dwóch cokołów ustawionych jeden na drugim. Już ta kompozycja sięgała 2,5 m wysokości, ale to nie koniec. Oba nagrobki wieńczyły żeliwne krzyże, a całość przekraczała wysokość 4 m. Na szczęście z odsieczą nadciągnął softys, który hydraulicznym podnośnikiem zamontowanym na ciągniku podniósł na potrzebną wysokość górne cokoły. Pomógł nam też dźwignąć co cięższe elementy innych nagrobków.

Podczas tego obozu ustawiliśmy wywrócony krzyż przydrożny w Rudawce Rymanowskiej, a raczej to co z niego zostało. Pod rozłożystą lipą stanął cokół z nakrywą. Z wieńczącego je cokolika z krzyżem zostały tylko małe kawałki. Ten relikw przydrożnej figury jest dziś jedynym śladem po wsi założonej w 2 połowie XVI w.

Pierwotnie w planach mieliśmy również remont cmentarza w Zawojach. Niestety szczyptność sił nie pozwoliła nam na realizację tego planu. Odwiedziliśmy jednak tę nekropolię by stwierdzić w jakim jest stanie i wykonać dokumentację fotograficzną. Okazało się że kilkanaście znajdujących się tam nagrobków jest zdewastowanych głównie przez bydło pasące się dziś bez ograniczeń na terenie nieistniejącej wsi. Doszliśmy do wniosku, że remont nie ma sensu dopóki władze gminy



Dźwiniacz Górny (1990). Prace przy odnawianiu nagrobków, fot. S. Kryciński

nie ogrodzą cmentarza. W tej sytuacji obóz zakończony został po dziesięciu dniach. Koniecznie trzeba tu wspomnieć, że i tu spotkaliśmy się z niezwykle życzliwością mieszkańców - zielonoświątkowców. Gdy tylko było to konieczne chętnie nam pomagali. Codziennie dostawaliśmy wiadro mleka od gospodarza, na którego podwórkę biwakowaliśmy. Do tego dwukrotnie zaproszeni zostaliśmy całą dziesiątką na obiad – raz do sołtysa, a raz do przewodniczącego tutejszej wspólnoty religijnej. W niedzielę, z dużym zaciekawieniem, uczestniczyliśmy w nabożeństwie w miejscowym domu modlitwy.

Dodatkową korzyścią z obozów prowadzonych w okolicach Rymanowa jest fakt, że natknęliśmy się tu na kilkadziesiąt nagrobków o formach dotychczas nie spotykanych w innych rejonach Beskidu Niskiego. Prócz kilku wyrobów zawodowych rzemieślników, wszystkie pozostałe były dziełami ludowych twórców. Na pewno nie są to nagrobki pochodzące z Bartnego. Różnią się też od wyrobów spotykanych na linii Jaśliska – Moszczaniec – Wisłok Wielki. Nie są to również produkty kamieniarzy z Klimkówki. Tylko nieliczne z występujących tu nagrobków powstały przypuszczalnie w Wolicy. Wielość i spore różnice form zauważalne między poszczególnymi cmentarzami sugerują, że nagrobki wykonywali miejscowi kamieniarze - samoucy najczęściej w niewielkiej liczbie. Niestety kamieniarstwo ludowe w tym rejonie nie doczekało się jeszcze opracowania i pewnie już się nie doczeka, ale nasza wiedza została przynajmniej fragmentarycznie wzbogacona. Na wszystkich obozach wykonywana była dokumentacja fotograficzna i opisowa. Każdy nagrobek jest sfotografowany i ma spisaną inskrypcję. Udokumentowano też etapy konserwacji.

W 1999 r. nie planowałem żadnego obozu bo nie miałem możliwości zdobycia funduszy na jego prowadzenie. Dziwnym zrzędzeniem losu na początku tego roku dowiedziałem się o przyznaniu mi grantu z Fundacji Ochrony Bioróżnorodności Karpat Wschodnich. Wniosek o ten grant złożyłem trzy lata wcześniej i straciłem już nadzieję, że cokolwiek z tego będzie. Projekt obejmował badania pozostałości jednej z bieszczadzkich wsi. Chodziło o to by sprawdzić co pozostało z wsi wysiedlonej i spalonej ponad pół wieku temu. Realizacja tego zadania miała być prowadzona

przy współpracy z Bieszczadzkim Parkiem Narodowym. Wybraliśmy wspólnie nieistniejącą wieś Berehy Górne. Przed wojną ciągnęła się na długości 4 km i liczyła ok. 120 gospodarstw. Ponadto był tu dwór, cerkiew, młyn i karczma. Wszystko zostało spalone w 1947 r. Obecnie we wsi jest tylko jedno powojenne gospodarstwo.

Mimo, że nie planowaliśmy prawdziwych prac archeologicznych to uważałem, że nawet przy oczyszczaniu resztek zabudowy z roślinności powinien nadzorować nasze działania zawodowy archeolog. Szczęśliwie na obóz zgodził się pojechać Zdzisław Skrok, archeolog z dwudziestoletnią praktyką. Ponadto przyjechała czwórka studentów po czwartym roku archeologii. Mimo, że nie robiłem żadnej reklamy, to jednak wieść o niecodziennym obozie rozeszła się dość szybko pocztą pantoflową. Przez moje obozy przewinęło się dotychczas około trzystu osób. Powstały znajomości, sympatie, z których kilka skończyło się małżeństwami. W tej sytuacji wystarczyło powiadomić o obozie tylko kilka osób, a wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Efekt był taki, że któregoś pięknego poranka podczas obozu naliczyłem 22 namioty – a w każdym spały 2-3 osoby, których już wołałem nie liczyć. Uczestnicy przyjechali nie tylko z całej Polski, ale również z Francji i Kanady. Rano zwykle budził nas dźwięk fletu poprzecznego – to Monika z Francji umilała nam życie.

Prace nasze rozpoczęliśmy od miejsca, gdzie stały zabudowania dworskie. Przed wojną głównym budynkiem mieszkalnym była tu leśniczówka, w której żył wraz z rodziną leśniczy Franciszek Hankus nadzorujący lasy majątku należącego do Władysława Serwatowskiego mieszkającego we Lwowie. Leśniczówka została spalona przez partyzantów z UPA, ale jej mieszkańcy szczęśliwie uszli z życiem. Pozostała po niej dobrze zachowana podmurówka i ruina pieca wymurowanego z kamieni i cegieł. W jej sąsiedztwie widać jeszcze relikty murowanego dworu zniszczonego w czasie I wojny światowej, oraz dobrze zachowaną okazałą piwnicę. Mieliśmy niebywałe szczęście ponieważ podczas naszego obozu miejsce po leśniczówce odwiedziła córka Franciszka Hankusa, która się tu urodziła i wychowała. Uzyskaliśmy od niej wiele bezcennych informacji, które pozwoliły nam lepiej przeprowadzić nasze badania i zrozumieć ich wyniki. Między innymi pokazała nam miejsca po kilku chałupach w sąsiedztwie leśniczówki i opowiedziała o ich mieszkańcach.

Po drugiej stronie współczesnej drogi (obwodnicy) eksplorowaliśmy miejsca po chałupach. Kilka chałupisk było zniszczonych powojenną rekultywacją prowadzoną za pomocą spychacza, ale znaleźliśmy trzy dobrze zachowane. Po jednej z chałup, która niewątpliwie była kurna, pozostała tylko skromna podmurówka z łamanymi kamieniami i takaż podstawa pieca. Inna leżąca nieopodal, należała do Żydówki zajmującej się leczeniem ludzi. Pani Hankus bywała w tej chałupie i pamięta liczne buteleczki z lekarstwami domowej roboty stojące rzędem na okapie pieca. Po spalonym domu pozostała okazała ruina pieca z cegły, a wokół niego znaleźliśmy stopione w pożarze buteleczki. Przy innej chałupie znaleźliśmy stertę żelastwa, jaką zwykle spotkać można pod ścianą kuźni. Myśleliśmy więc, że mieszkał tu kowal, ale okazało się, że był to zwykły dom, w którym żył bardzo zapiebięgliwy gospodarz, który lubił zbierać wszystko co mu wpadło w ręce.

W 2000 r. kontynuowaliśmy badania w tym samym miejscu. Tym razem zajęliśmy się pozostałościami dworu, który już w okresie międzywojennym był w ruinie. Stał on w sąsiedztwie leśniczówki, na wschód od niej. Pod warstwą darni zachowały się solidne, kamienne fundamenty. Widać też było ślady kanału doprowadzającego wodę do dworu z potoku spływającego z Połoniny Caryńskiej. Odpokopując fundamenty od zewnętrznej ich strony natrafiliśmy na potłuczoną ceramikę – skromną, ale wyraźnie pochodzącą z „pańskiego stołu”.

Równolegle eksplorowaliśmy też kolejne chałupisko położone na wschodnim skraju zabudowy wsi, przy starej drodze, nieopodal przełęczy. Stała tu duża chałupa z pokaźną częścią gospodarczą,

należąca do zamożnego gospodarza. Miała piec z kominem. Znaleźliśmy tu różne przedmioty, które niezbyt pasowały do archaicznej kultury jaką przypisuje się Bojkom. I tak obok pieca natknęliśmy się na sprężyny z siedziska fotela tapicerskiej roboty. Przed progiem chaty leżał kieszonkowy zegarek. Koło niego walało się kilkadziesiąt naboju do „pepeszy” – ślad po prowadzonych tu walkach. W obrębie chaty natrafiliśmy też na ceramiczny tygiel do topienia metali kolorowych w celach odlewniczych.

Miałem nadzieję, że miejsca, które odkryliśmy zostaną ogrodzone i zaopatrzone w tablice informacyjne. Planowałem by wraz z Parkiem Narodowym wytyczyć ścieżkę dydaktyczną umożliwiającą poznanie zachowanych relikwów dawnej wsi. Niestety dotychczas nie udało się dojść do porozumienia w tej sprawie. Relikty chałup i zabudowań dworskich znów zarastają, a turyści dalej chodzą szosą nie wiedząc co kryją pobliskie zarośla.

W ciągu tych dwudziestu obozów przewinęła się przez nie spora grupa ludzi – jak już wspominałem było to ponad 300 osób. Duża ich część odwiedzała obóz kilkakrotnie. Podczas pierwszych sześciu obozów odwiedziliśmy około stu pięćdziesięciu wsi dokonując ich krajoznawczej inwentaryzacji. Wykonaliśmy przy tym tysiące zdjęć, z których duża część dokumentuje obiekty już nieistniejące. W trakcie dwunastu obozów konserwatorskich odnowiliśmy 42 cmentarze w 36 miejscowościach. Nasze prace objęły około 500 nagrobków i figur przydrożnych. Nie sposób tu wymienić wszystkich osób, które bezinteresownie poświęciły swój czas na ratowanie pamiątek kultury i historii naszych Karpat. Bezinteresownie bo wszystkie prace wykonywane były społecznie. Fundusze przeznaczane na obóz pokrywały koszty skromnego wyżywienia gotowanego na ogniskach, narzędzi i materiałów potrzebnych do prac. Chciałbym tą drogą podziękować wszystkim którzy przyczynili się do tego wspólnego dzieła. Myślę, że warto wymienić osoby najbardziej zasłużone. Na niemal wszystkich obozach towarzyszyła mi moja małżonka Marta. Jeśli jej nie było to dlatego, że zajmowała się naszymi dwoma synami, bym ja mógł prowadzić obóz. Podczas obozów inwentaryzacyjnych największy udział w pracach mieli Anna i Piotr Kamińscy z Warszawy oraz Zbigniew Jasiński z Ciechanowa i Jan Gromadzki z Wrocławia. W obozach konserwatorskich szczególną rolę odegrał Szymon Modrzejewski, który uczestniczył w kolejnych dziewięciu obozach, a od 1996 prowadzi rokrocznie własne obozy. Wśród osób które kilkakrotnie odwiedziły mój obóz chciałbym wymienić: Sebastiana Baranowskiego, Katarzynę Baczyńską, Piotra Bentkiewicza, Krzysztofa Borodę, Katarzynę Bromirską, Jacka Bruskiego, Wojciecha Buszko, Grażynę Dudek, Ewelinę Dziopak, Marcina Gruszczynskiego, Jacka Iwińskiego, Kamila Jodko, Witolda Kaplię, Katarzynę Kościkiewicz, Macieja Kozielczyka, Martę Kulik, Michała Libiszewskiego, Małgorzatę i Marcyna Makarskich, Michała Majchra, Annę Ostrowińską, Przemysława Pawlikowskiego, Dariusza Pawłowskiego, Beatę Piotrowską, Tomasza Puca, Sławomira Pytlasa, Julię Sienkiewicz, Ewę Soszko, Elżbietę Starzyńską, Monikę i Radosława Szewców, Katarzynę Waszczyńską, Marzenę i Dariusza Wilków, Sebastiana Wójcika, Jacka Zacharę, Grzegorza Zająca i Agnieszkę Zmudę. Od 1992 r. w obozach uczestniczyli również moi synowie – Jarosław i Adam. Obozy te były dla nich najatrakcyjniejszą częścią wakacji, a prace wykonywali ochoczo w miarę swych dziecięcych możliwości.

Oczywiście moje kontakty z Karpatami nie ograniczały się jedynie do opisanych wyżej obozów. Od 1974 bywałem tam rokrocznie spędzając w górach wakacje i uczestnicząc w rajdach „Beskid Niski” i „Połoniny”. Zwykle odwiedzałem Bieszczady, Beskid Niski lub Pogórze Przemyskie. Od 1982 r. moją bazą była łemkowska chyża w Olchowcu, której jestem współwłaścicielem. Upodobałem sobie doliny – niektórzy twierdzą, że z wrodzonego lenistwa – ale mnie naprawdę najbardziej fascynuje to co zostało po wysiedleniach. Nurzanie się w zarośniętych krzakami pozostało-

ściach wsi to jest to co lubię najbardziej! Coś jak odkrywanie Pompei, ale dużo ciekawszych bo rodzimych. Wszystko co znajdę staram się udokumentować za pomocą aparatu i opisu. Uzbierało już mi się około 30.000 zdjęć chałup, cerkwi, krzyży, kapliczek, nagrobków i wszelakich ruin z Bieszczadów, Beskidu Niskiego i Pogórza Przemyskiego. Wiele ze sfotografowanych obiektów już nie istnieje. Opisów też jest sporo. Zdarzyło mi się również w 1985 r. brać udział w inwentaryzacji zabytków na terenie pięciu gmin Pogórza Przemyskiego i Dynowskiego, co znakomicie wzbogaciło moją wiedzę o tym regionie. Zresztą Pogórze Przemyskie to mój ulubiony teren. Przez kilkanaście lat jeździłem tu po kilka razy w roku, a szczególnie cudnie jest tu jesienią. Zdziczałe sady pełne owoców, orzechy, grzyby, jeżyny. A do tego bajeczne kolory. Wędrując nieśpiesznie od wsi do wsi i od krzaczka do krzaczka, pojadając owoce, smażąc grzybki, gotując kompoty wczuwałem się w ten niezwykły koloryt Pogórza. Rozmowy z ludźmi otwierały przed nami tajemniczy i zupełnie nieznaną świat, który uległ zagładzie wraz z wysiedleniami. Efektem tych niezapomnianych wędrówek jest napisany przeze mnie przewodnik „Przemysł i Pogórze Przemyskie” wydany dwukrotnie przez oficynę „Rewasz”. Również efekty moich bieszczadzskich penetracji, połączone z materiałami zebranymi w czasie obozów przybrały konkretną postać. Myślę o wydanych dotychczas dwóch tomach publikacji „Bieszczady. Słownik historyczno-krajoznawczy”. Na prawie tysiącu stronach zostały szczegółowo opisane dzieje 47 wsi w gminach Cisna i Lutowiska. Sam byłem zdumiony ilością materiałów jakie udało się zdobyć na temat tych, wydawało by się, zapomnianych od Boga i ludzi wsi. Dziesiątki relacji, setki zdjęć przywołało nagle obraz osad nieistniejących już od ponad pół wieku. Książki te są ukoronowaniem naszych wspólnych działań. Dzięki nim trud uczestników moich obozów, jak również efekty moich prywatnych wypraw nie pójdą na marne. Tom pierwszy, dotyczący gminy Lutowiska, powstał przy współpracy z Maciejem Augustynem, historykiem – regionalistą z Ustrzyk Dolnych, a także Radosławem Szewcem, który dokonał kwerendy na wschód od Sanu i Szymonem Modrzejewskim. Tom drugi wzbogacił swoimi bezcennymi zbiorami nazwicznymi Wojciech Krukar z Rymanowa. Część kwerendy archiwalnej wykonał Marcin Gruszczynski z Rzeszowa. Praca przy obu tomach wymagała bardzo dużo czasu. Napisanie ich i przygotowanie do druku zajęło mi prawie dwa lata. Same tylko przeglądanie ksiąg parafialnych w Urzędzie Gminy w Cisnej zajęło ponad miesiąc. Oba tomy udało się wydać dzięki pomocy finansowej Bieszczadzkiego Parku Narodowego, Urzędu Wojewódzkiego w Krośnie, Urzędów Gminy w Cisnej i Lutowiskach oraz pana Andrzeja Łuczki. Niestety przygotowywanie tej publikacji jest tak pracochłonne, że z żalem musiałem odłożyć na czas bliżej nieokreślony prace nad kolejnymi tomami. Opis gminy Baligród jest już mocno zaawansowany, ale bez pomocy finansowej z zewnątrz nie uda mi się go dokończyć i wydać. Pewne prace wykonałem także nad opisami gmin Solina i Czarna. Wstępny opis tej gminy, zawierający jedynie materiały zdobyte podczas obozów „Nadsanie” wydany został przez SKPB w 1986 r. Owocem penetracji prowadzonych prywatnie i podczas obozów jest również opis historyczny bieszczadzskich wsi zawarty w przewodniku „Bieszczady” wydawanym rokrocznie przez Oficynę Wydawniczą „Rewasz” od ponad dziesięciu lat, jak również opracowanie „Cerkwie w Bieszczadach”, które doczekało się trzech wydań.



Edmund Kuna „Mundek” blacha 205

Pierwsza brygada



Przez 10 lat (1971-1980) byłem czynnym przewodnikiem, organizatorem, prowadziłem obozy, trasy rajdowe, wyprawy, organizowałem imprezy (rajdy „Beskid Niski”, Jarmarki Bieszczadzkie), byłem prezesem SKPB, AKT Maluch. Potem, przez następne 15-cie lat przeszedłem do fazy działalności specyficznej: ratownictwo, alpinizm przemysłowy, wyprawy.

W latach 1978-80 dokonały się dwa niezwykle wagi wydarzenia, a mianowicie wybór Karola Wojtyły na papieża oraz strajki na Wybrzeżu zakończone porozumieniami w Szczecinie, Gdańsku a potem Jastrzębiu. To był optymistyczny okres, tym bardziej, że we wrześniu 1980 r w trakcie trwania zebrania założycielskiego Komisji Zakładowej Związków Zawodowych „w duchu związków Wybrzeża” urodziła mi się córka Kasia. Wtedy uzyskałem kwalifikacje do ksywki „Ojciec”, a Andrzej Sikora dostał nominację na „Wuja”. Niestety trwało to krótko. Stan wojenny i okres po stanie wojennym to była choroba. Mnóstwo ludzi wyjechało, bądź nie wróciło z zagranicy. W sklepach pustki, mówiło się o tym że flota powietrzna i morska mogą być zajmowane za granicą za długi. Z optymizmem (forsą też) było cienko. W takich warunkach w 1983 roku założyliśmy „Pierwszą Brygadę” prac wysokościowych przy Oddziale Międzyuczelnianym PTTK w Warszawie. To co zarabialiśmy z grubsza dzieliłiśmy na trzy równe części: podatki, pula dla Oddziału Międzyuczelnianego PTTK i wynagrodzenia.

Pierwsza praca to było istne чудо. PGM „Praga Centralna” wpuściło nas w naprawę kominów starych naruszonych przez wojnę budynków na Targowej. Zjeżdżaliśmy z „Wujem” i „Panem Zbyszkiem” (Kierasem) asekurując się z rumoszu skalnoceramicznego prosto na tzw. mały bazar (Targowa) albo budkę z grzany piwkiem (róg Żąbkowskiej i Brzeskiej). Wśród kibiców była miejscowa żulia (zastanawiali się jaki byłby piękny widok, jak by tak trochę ponadcinać nam liny). W naszej ekipie był też między innymi mąż babci Sikorowej, Franek, żona „Wuja”, przewodnik beskidzki Mila Lin-Sikora, oraz w brzuszku mamy (Mila była w ciąży) późniejszy omc przewodnik Agatka „Gacusz” Sikorzanka.

Potem w latach 83-87 robiliśmy mnóstwo prac na elewacjach budynków mieszkalnych na Ursynowie, Chomiczówce, Stegnach, kilka hoteli np. „Victoria” i „Forum”.

W tym okresie pracowało z brygadą kilkadziesiąt osób związanych z kotem np. w hotelu „Victoria” około trzydziestu. Odpis na Oddział Międzyuczelniany PTTK był dzielony między zrzeszone w nim kluby. SKPB dostawało niezłe pieniądze, np. na chyzę w Bartnem, na diety dla przewodników i na działalność.

Potem się wyspecjalizowaliśmy. Wykonaliśmy zabezpieczenia antykorozyjne kilkuset kilometrów linii wysokiego napięcia (110kV-440kV), kilkunastu masztów wysokości od 100-359 metrów, wreszcie pomalowaliśmy kilka kominów olbrzymów (n.p. EC Kawęczyn h-300 m, powierzch-



Edmund Kuna kończy zjazd na odciągu masztu w łązach, fot. arch.

nia powłok ponad 5 ha). Zjazdy na odciągach masztu w łązach o długości 300-400 m to był niezły kawałek niedźwiedziego mięsa.

Te prace robili przewodnicy beskidzcy, koledzy górotazi z KW, PKG, ratownicy z Grupy Bieszczadzkiej – Jacek „Nyra” Frydrych, Wojtek Wójcik, oraz z Grupy Tatrzańskiej GOPR, potem TOPR m. in. Mietek Kołodziejczyk (z-ca naczelnika ds. szkoleniowych), Włodek Cywiński (góral z Wilna, główny topograf Tatr po Henryku Paryskim), Gąsienice Józkowe Józek, Jędrzek, Maciek, Arek, Stasek (synowie i wnukowie kierownika przedwojennego schroniska w Goryczkowej, zniszczonego przez lawinę), Jasiek Krzysztof (obecnie naczelnik TOPR), Romek Szadkowski, Krzysiek Długopolski, Piotrek Bukowski, Mateje Staszek i Jędrzek, Chowańce Jasiek i Tomek (Bukowina Tatrzańska), Maciek Cukier (grał z Maśniakami, Karpiem Bułką, bardzo dobry skialpinista), Jasio Tybor (Jurgów – były kadrowicz PZA), Jędrus Obrochta, Jano Hierzyk (Lwów), Rafał Mikiewicz, Józek Olszewski (ten od Kangchendzongji).

W ciągu tych lat wychowaliśmy kilka osób ze środowiska warszawskiego, które potem udzielały się GOPR lub TOPR (Zbyszek Kieras, Andrzej Bądryński w Grupie Bieszczadzkiej, Zbyszek i ja w Grupie Tatrzańskiej GOPR potem w TOPR, oraz spoza Koła ale przytulonych do nas Tomek Tokarz, Edek Zawisza, zbliżyliśmy się ze środowiskami górali z Podhala, ratowników z Tatr i Bieszczadów, ale również z PKG, KWW).

Inną pozytywną konsekwencją działalności były wyprawy w latach 1985 oraz 1988 z udziałem członków naszego koła i osób zaprzyjaźnionych. To co zarabialiśmy wtedy otrzymywało PTTK. Z tego otrzymywaliśmy środki na finansowanie przelotów, sprzętu. W pierwszej w 1985 roku w Langtang Himal kierowanej przez Zbyszka Kierasa udział wzięli Jurek Szwagrzyk (SKPB), Andrzej Sikora (SKPB, KWW), Stefan Karamuz (KW i ojciec Justyny obecnie członka SKPB), Tomek Tokarz (KW obecnie instruktor obleganej ścianki wspinaczkowej na UW) i Edmund Kuna (SKPB, KW). Grupa działała w Langtang Himal w rejonie lodowców Langtang i Lanshisha. Wejście na trabant 6020 nrm japończyk peak – wszyscy uczestnicy w dwóch wejściach. Potem wejście na przełęcz

w Langshisha Ri oraz najbliższy wierzchołek w grani – Tomek Tokarz, Andrzej Sikora, Jurek Szwarzgrzyk, Edmund Kuna oraz następne wejście – Zbyszek Kieras, Stefan Karamuz (wejście na przełęcz i bardziej zaawansowane przejście granią bez głównej kulminacji).

Langshisha (6310 m n.p.m.) to bardzo piękny szczyt, ale Dorje Lakpa (6990 m n.p.m.), Big White Peak (Lengpo Gang 7083 m n.p.m.), Ganchempo, Shalbachum to czysta poezja. I chociaż najwyższym w tym rejonie jest Shisha Pangma 8000 m n.p.m. to urodą im ustępuje.

W drugiej wyprawie, której kierownikiem byłem ja, uczestniczyli Zbyszek Kieras, Tomek Tokarz, Stefan Karamuz oraz Tomek Czarski [KWW] i Mietek Kołodziejczyk (Grupa Tatrzaska GOPR), Wojtek Lewandowski (PKG, obecnie opiekun Koła z ramienia UW). Działaliśmy w Annapurna Himal. Do bazy nad jeziorem Tilitso (Tilicho) dotarliśmy z doliny Marsyandi. Celem miało być wejście na szczyt Tilitso 7150 m n.p.m. należący do tzw. „Wielkiej Bariery” opisanej przez pierwszych zdobywców, a ciągnącej się od Roc Noir przez Tilitso do Nilgiri. Staw na wysokości ponad 5000 m n.p.m. ograniczony od północy ścianą pionowych lodowych urwisk, z których ciągle sypią się lawiny. Wyjątkowo urokliwe miejsce. Popelniliśmy jednak dwa istotne błędy. Za wcześniej pozwoliliśmy odejść tragarzom, oraz zbyt wysoko założyliśmy bazę. Bazę mieliśmy *vis a vis* Roc Noir zamiast klasycznie w okolicach Meso Kante. Duża wysokość nie pozwalała na sensowną regenerację. Z drugiej strony warunki były trudne na tyle, że ekipa z Moraw która osiągnęła szczyt poniosła tragiczne straty (z trójki zdobywców wrócił jeden). W takim układzie zadowoliliśmy się wejściami na okoliczne szczyty nieco poniżej 6000 m n.p.m. (najciekawszy, w zarysie i kolorystycznie podobny do Everestu, bezimienny, ok. 5977 m n.p.m. nazwany został przez Wojtka i Stefana Peakiem Joanny – na cześć ich żon). Reszta wchodziła na szczyty ograniczające jezioro od południa zachwycając się widokami Roc Noir, Tilitso, Nilgiri, Daulagiri, Annapurny, Gangapurny, Ganchempo. Góry można oglądać z najwyższych szczytów, ale często piękniej widać je z dobrze wybranych punktów nieco niżej.

Wyprawy, alpinizm przemysłowy, który ćwiczyliśmy otworzyły nas na inne środowiska góratorów –TOPR, GOPR, KW, PKG. Działanie pomagało w życiu codziennym (finanse) i urealniało marzenia o wyjazdach w góry wysokie i egzotyczne.

Wszystko się jednak kiedyś kończy.

W połowie lat 90 tych „zestawy Grammingera” przekazałem do świeżo założonego TOPR-u a „Pierwsza Brygada” zakończyła działanie. Zostały wspomnienia, przyjaźnie, ciepły stosunek do wydarzeń i ludzi.

Działalność w ratownictwie, działalność wysokościowa na masztach, czy kominach, wyjazdy na wyprawy nauczyły nas wiele jeśli chodzi o stosunek do ludzi, do tego co się robi. Trzeba wymagać dużo od siebie i od innych, ale warto mieć dla ludzi dobre słowo i trochę ciepła, nawet jak jest bardzo ciężko i wymaganiom trudno sprostać.

Na Podhalu, w środowiskach ratowniczych Tatr i Bieszczadów do tej pory nietrudno znaleźć ludzi którzy pamiętają Pierwszą Brygadę.

Komendant



Z okazji 10-lecia Koła zorganizowano sztafetę, która przez wszystkie góry Polski przeniosła księgę pamiątkową, do której zbierano wpisy i pieczętki. Tu Jerzy Korejwo na bazie SKPG w Krościenku, obok panienki (??) prezentującej księgę pamiątkową z blachą Koła (o co chodziło z tą bluzą, Jurek nie pamięta), *fot. arch.*



Przejście wiosenne w Beskidzie Niskim w 1981 r. z zakupionym prowiantem, *fot. arch.*

Sprawozdanie z obchodów 25-lecia SKPB



Obchody 25-lecia Koła kończyła impreza w ośrodku „Skalny” w Jadwisinie, z 20 na 21 listopada 1982. Kierownikiem imprezy był Bogdan Mościcki. Znaczek, który zaprojektował Marek Ucieżyński wykonany był w stałym miejscu w Katowicach.

Planując imprezę na 150 osób, a więc dość skromnie, przewidywałem, że nie wszyscy dawni i obecni członkowie Koła będą mieli ochotę bawić się w tych nienormalnych czasach. Przybyło 136 osób, akurat tyle by bez tłoku zmieścić się w sali restauracyjnej. Miejsc nodegowych było tylko 40, ale to nie przeszkadzało, bo mieliśmy śpiwory, a nikt nie przyjechał do Jadwisina po to, by cię wyspać.

Chciałem, żeby uczestnicy nie czuli się widzami, żeby znaleźli role dla siebie. Chciałem również, nasycić program jak największą ilością odniesień do postaci, zdarzeń, rytuałów składających się na tradycję Koła. Z takiego punktu widzenia uważałem, imprezę za udaną. W wytworzeniu właściwej atmosfery pomogło mi wielu kolegów, którzy pewnie chcieli tego samego.

Za zastępę Eli Mackiewicz poczytuję „oswojenie” personelu ośrodka przed imprezą i w jej trakcie. Z Eli i moich obaw, że uczestnicy będą głodni, wyniknął nadmiar ciast i pasztecików, zakupionych w Warszawie, które wpychaliśmy w wyjeżdżających. W zakupie i transporcie pomogła Zosia Mozga, która była również moim osobistym szoferem podczas wstępnego rozpoznania terenu.

Superelegancki Wojtek Juszczyk, przy pomocy Małego, wzorowo wywiązał się z obowiązków recepcjonisty. Bogdan Berez-Jarociński zrobił ciekawą wystawę. Nagłośnienie i nagrania przygotowali: Rysiek Bachowski, Kleszcz i Andrzej Wielocha, który w odpowiednim momencie rozruszał tańce.

Kantatę na cześć 25-lecia SKPB wykonał chór pod dyktando Tadeusza Wicherka. Z mego punktu widzenia ważne było, że kolejne 20 osób poczuło się współodpowiedzialne za program. Do bisu finałowego „Alleluja” (parafraza „Mesjasza” Haendla) dołączył się Jacek Krzyżanowski, w kronikach Koła zapisany jako najlepszy opowiadacz piosenek. W ten sposób wywołał nową postać, sytuację – o coś takiego chodziło w programie. Wysoki poziom wcześniej wymienionych stron imprezy nie dziwi, jesteśmy przecież półprofesjonalistami w tych sprawach. To co wniósł Wicherka było niespodziewane, nietypowe, a więc szczególnie cenne. Jako kierownik kabaretu miałem mniej weny niż przed trzema laty, tym razem nie był to więc program jednego autora, miał mniejsze tempo, mniej był dopracowany. Musiałam odwołać się do większej ilości współpracowników, dać większe pole dla inwencji publiczności.

Z punktu widzenia celów imprezy program był lepszy niż przed trzema laty. Trwał 105 minut, płynnie przeszedł w ogólne śpiewanki, dzięki czemu uczestnicy nie rozpetli się i zabawa mogła trwać do rana, kiedy wypędziły nas z sali kelnerki rozpoczynające pracę.



Kantatę jubileuszową wykonał chór SKPB pod batutą Tadeusza Wicherka, fot. arch.

Na 25-lecie

Autor Zbigniew Kieras. Recytował Gibon, uczesany w pędzelki z czerwonymi kokardami. Niżej: biała bluzka, granatowa spódniczka, rajstopy cieliste.

1. Wieku ćwierć nam dziś się znaczy
Odkąd w lasów i gór cieniu
Walczyliśmy z odwagą rozpacz
Przeciw własnemu gnuśnieniu

2. Walczym mężnie lecz baz wiary
Przeciw pierniczenia hydrze
Patrząc kiedy też ofiary
I z naszego grona wydrze

3. Przeżyliśmy tu w tym gronie
Już ćwierć wieku młodych rojeń
Tu od lat żeśmy czerpali
Z tzw. górskich upojeń

4. Weszliśmy pełni zapału
Że zmienimy losów kolej
Że stworzymy, choć pomatu
Kadrę co ma w głowie olej

5. Dzisiaj, gdy pierwsza siwizna,
Pod nią zmarszczek pełne czoło,
Patrzmy czy w środowisku
przyjęło się nasze Koło

6. Czy kto z nas, choćby w malignie
Tej pociechy skromnej zazna
Że go turnus wspomni mile
Niby dwór swojego błazna

7. Lecz co dalej – co nas spotka
Co też Zarząd da nam w zysku
Czy trudów nagroda słodka
Czy tylko sińce na pysku

8. Czy zamilkną intryg cienie
Czy się los zawistny uprze
By następne pokolenie
Było w Kole jeszcze głupsze

9. Kiedyś historia zrozumie
Gdy wiek cały się dokona
Kto Kołu lepiej służyć umie
Wesołowski czy też Foma.

Szpanerskie opowieści

Autor BBJ. Wykonywała stosownie wyekwipowana Poziomka (na melodię „Morskich opowieści”)

Kiedy człek się robi starszy i nie wszędzie
zawsze wejdzie,
znak, że czas mu już pomyśleć o szpaner-
skim sprzęcie.

Przed wszystkim ochraniacze z uchwytami
do czekana,

Można do nich też założyć raki na kolana.

Ważne są puchowe trampki
w nich nie zmarzniesz nawet latem
można je gustownie łączyć
z puchowym krawatem

Majtki dobrze mieć z torlenu
z wszytym pasem stytonowym
wytrzymałość cztery tony
wszelki kłopot z głowy

Narty rozkładane w leżak
buty w namiot, plecak w rower
Do siedzenia przy ognisku
Spodnie azbestowe.

Kompas z małym komputerem
Z radarami i antenką
doprowadzi cię do celu
bezbłędnie i prędko.

Jeszcze tylko czarna skrzynka
Do zrobienia kiełbas z trawy
I już możesz ruszyć śmiało
na górskie wyprawy.



Grażyna Jędrzejczak „Poziomka”
w trakcie „Szpanerskich opowieści”, fot. arch.

Kuplety

Autor kolektywny. Wykonywali Adam Kulewski i Andrzej Bądryński z towarzyszeniem całego zespołu (na melodię jednej z piosenek Wałów Jagiellońskich)

1. Pan Zbyszek znany ratownik
nosił w plecaku kamienie
chciał w ten sposób zademonstrować,
że nie jest mężczyzny cieniem
2. Przed rokiem kursant Foma
był na praktyce z Uleńką
Lecz niestety jej nie zaliczył
bo inną się zajął panienką
3. A jeden Hrabia w Bieszczadach
na tydzień ukrył się, w błocie
Chciał w ten sposób zaprotestować
Przeciw powszechnej tępocie
4. Niektórym naszym kolegom
cięży już dupa za biurkiem
Przeto wolą leżeć na jachcie
aniżeli biegać, pod górkę
5. A jeden obóz w Rumunii
nie był udany, o nie
Czas najwyższy zamknąć Segita
na kłódkę - w Panteonie
6. Na biedną małą Myszkę
cały gmach Koła się zwałił (jeb!!!).
I dopiero się okazało
że była to mysz ze stali
7. Pocošta wy głupie buce
ścieli w wyborach Małego
Kiedy teraz się doczekamy
nowego Dzierżyńskiego
8. A pewien Bądryk Bądryński
został wybrany kantorem
Chciał w ten sposób zaprotestować
przeciw śpiewaniu tenorem
9. A pewien Jacek Kowczyk
Przywiózł kobitę taksówką
Chciał w ten sposób zademonstrować
że dysponuje gotówką
10. A jeden Bogdan Mościcki
Najprzystojniejszy na świecie
Ciągłe jeszcze jest kawalerem
bo zaśnie przy każdej kobiecie
11. Segit zaś wielki kłopot
zrobił raz Stażewskiemu
Wytoczył bowiem sprawę w Sądzie
przeciw Michałowskiemu
13. O słynnej pączeczce Wicherka
Wie już niejedna w Kole
Oj Wicherek musisz uważać
podczas noclegów w stodole



Chór SKPB i jego dyrygent
Tadeusz Wicherek, fot. arch.

Danuta Koperska blacha 297

Wspominki



O tym jak startowałam w slalomie narciarskim na obozie kursowym

To były początki narciarstwa zjazdowego w Kole. Rok 1977 – zimowy obóz kursowy w Wierchomli Wielkiej, jakże innej niż teraz. Ale najwyraźniej już wtedy nasi przewodnicy właściwie ocenili przydatność tych okolic Beskidu Sądeckiego do uprawiania narciarstwa. Zamieszkaliśmy w starej wiejskiej szkole, śpiąc na gąbkach rozłożonych na podłodze. Przywieźliśmy ze sobą swój wyciąg narciarski (a właściwie taszczyliśmy go w częściach ze stacji kolejowej przez całą wieś) – prostą wyrwiłapkę, który stanął na pobliskim stoku, psuł się ciągle i dał kolejne pary rękawiczek. Uprawialiśmy więc głównie narciarstwo wędrownie. Ale na koniec obozu odbył się tradycyjny slalom. Niestety wyciąg znów zawiódł, po każdym zjeździe podchodziliśmy więc do góry. Zjazdy były na różnym poziomie. Niewiele osób umiało wtedy jeździć na nartach, większość się uczyła. Ja miałam narty na nogach po raz pierwszy w życiu, i to nie swoje, bo pożyczone w wypożyczalni w Krynicy, a w dodatku na spółkę z Krzyskiem Kleszczem. Były drewniane, jedynie z metalowymi okuciami, posiadały sławetne wiązania „Kadry”, które skutecznie mocowały buty do nart, nie pozwalając im za nic się wypiąć, ułatwiając za to znakomicie złamanie kończyny. Oboje startowaliśmy w grupie początkujących. Nasze nabyte dopiero co umiejętności pozwalały jedynie na jazdę w skos stoku, a zakręty pokonywaliśmy nader często sposobem przedstawiania nart, nie zawsze zresztą udanie. Slalom w naszym wykonaniu przebiegał metodą „jak komu wyjdzie”, byle szybko, jak się uda w dół. Na dole jedno z nas, na zmianę, przejmowało narty, gnało z nimi do góry, zjeżdżało i oddawało narty drugiej osobie, która ile sił w nogach gnała szybko w górę, żeby zdążyć na start. Kondycję mieliśmy wtedy wysmienitą. Teraz jeździ się komfortowo, wyciągi załatwiają za nas mózół podchodzenia, ale tamten czas przypomina, że inna jest jakość i wartość zjazdów, gdy zjeżdża się z góry zdobytej własnym wysiłkiem, a nie po odstawieniu w długiej nieraz kolejce, w której coraz częściej panuje prawo dżungli.

Pogoń za Błachą 1977.

Po egzaminie do Koła z niepokojem i zarazem ciekawością czekaliśmy na „Pogoń za Błachą” naszego kursu – AD 1977, czyli zawodów na orientację w wydaniu specjalnym – takim, gdzie wszystkie chwytys są dozwolone i nie obowiązują żadne zasady, łącznie z fałszowaniem map. Było akurat 20-lecie SKPB i z mojego kursu (może to przypadek) do Koła dostało się... 20 osób.

Zapowiadała się fajna impreza, bo w istocie każdy z nas – kursantów w Kole już był, a udział w „Pogoni” i lokata w niej zająta były sprawą raczej tylko prestiżową, tym bardziej, że starsi koledzy-przewodnicy roztańczali opowieści o tym, jak to młody narybek kołowy zawsze na pogoniach „dawał ciała”. Zresztą było to po myśli organizatorów, gdyż z kolei punktem ich honoru było wymyślić taką łamigłówkę z mapą, aby każdy kursant miał kłopoty z dotarciem na zakończenie



A jednak trochę mnie widać, fot. arch.

imprezy, pobłądził, a część najlepiej żeby w ogóle tam nie dotarła i odbierała blachy na zebraniu Koła, przy kpinach przewodników i ogólnej ucieście. Tak rodziły się opowieści, którymi „straszono” następnych kursantów. I ja z koleżankami, z którymi startowałam: Emilką Lin i Gosią Korsak omal nie przysporzyłyśmy powodów do kolejnych opowieści – ale byłoby używania.

Kierownikiem naszej Pogoni był Paweł Gajowniczek „Pratchawiec”. Już zacierał ręce na myśl o kłopotach, które zafundował kursantom, utrzymując w wielkiej tajemnicy rejon zawodów i miejsce startu, nie wspominając oczywiście o miejscu zakończeniu imprezy i o kruczkach z mapą. Wywieźli nas pociągiem, a moją grupkę „wyrzucili” na stacji Topór. A więc Puszcza Kamieniecka nad Bugiem – tyle to się orientowałyśmy. Dostałyśmy specjalną mapę-kserówkę, na której w którymś z zaznaczonych punktów, ale z wytartą treścią topograficzną, miała być umieszczona informacja o zakończeniu. Robiło się ciemno. Przyjęłyśmy jakąś koncepcję i ambitnie ruszyłyśmy w las. Przy kolejnej identyfikacji przy latarce mapy z terenem, wiejący wiatr wyrwał ją nam z rąk i uniósł do płynącej w pobliżu rzeczki, którą mapa wraz z nurtem odpłynęła szybko w ciemność nocy. Po przeanalizowaniu naszego położenia uznałyśmy, że właściwie nie mamy szans dotrzeć na zakończenie, po nocy, nie mając żadnej mapy i nie znając kompletnie terenu. Założyłyśmy więc, że idąc konsekwentnie przed siebie, ciągle w jednym kierunku, dotrzemy w końcu do jakiejś wsi, przeczekamy tam do rana i zabierzemy się jakąś komunikacją w stronę Warszawy. Już słyszałyśmy te drwiny i rechot w Kole. Ale trudno, przełknęłyśmy gorzko gorycz zapowiadającej się nieuchronnie klęski i ruszyłyśmy przed siebie. Po jakimś czasie zobaczyłyśmy chałupkę, w której paliło się światło. Była mniej więcej północ. Zdecydowałyśmy się zapukać. Wewnątrz widok jak z obrazka: siedzą staruszkowie, a babcia pręędzie na kołowrotku. Poczęstowali nas herbatą i chcieli przenieść, ale my dzielnie ciągnęłyśmy do lasu, wymijająco twierdząc że mamy tam sprawę – i tak pewnie by nie zrozumieli – pozostawiając staruszków w pełnym osłupieniu. Nazwa wsi w której mieszkali, nic nam nie mówiła. Słyszyłyśmy jeszcze może godzinę, gdy zobaczyłyśmy rozświetloną chałupę z gwarnym towarzystwem. Myśliliśmy – jak nic wesele („Pogoń” była z soboty na niedzielę), i nawet spodobał się nam pomysł ewentualnego zaczepienia na imprezie. Zbliżamy się, a tu znajo-

me głosy i twarze, w tym coraz bardziej zdziwiona na nasz widok twarz „Pratchawca”. Do dziś nie wiem, kto był bardziej zaskoczony — on czy my? Nie spodziewał się bab tak szybko. Gdyby nie postój u staruszków wygrałybyśmy Pogoń. Kilkanaście minut przed nami przyszli Marcin Sobkowski i Michał Bajer — jako pierwsi. Oni zgodnie z tradycją wybierali dla siebie numery blach z przydzielonej dla kursu puli kolejnych numerów. Wybrali 300 i 301 (lub 303). My dostałyśmy pierwsze blachy jakie otrzymał nasz kurs — moja 267. A „Pratchawiec” przeżywał ciężkie chwile, baby niemal wygrały zawody! Jego misterny pomysł, który miał sprowadzić kursantów na manowce i popłatać im drogi nie wypalił. To była satysfakcja, choć średnio zasłużona, widzieć jego minę — do dziś chyba nie zna prawdy.

Akcja Rumunia — lato 1978

Niedawno skończyłam kurs i dostałam się do Koła. Mam prowadzić z Krzyśkiem Dudkiem (jako kierownikiem) obóz wędrowny dla studentów, kolejny tego lata w Rumunii. Tradycją obozów, które bezpośrednio po sobie następowały, wygodną też ze względów technicznych — aby nie wozić całego majdanu tam i z powrotem, było przekazywanie sobie sprzętu obozowego: namiotów, gąbek (karimatów jeszcze nie było), garów, siekiery itp. Zawsze odbywało się to w ustalonym wcześniej miejscu, zwykle w kraju docelowym, tam gdzie poprzedni obóz kończył trasę a następny zaczynał. Tym razem miało być tak samo, a cały sprzęt mieliśmy odebrać na rumuńskiej stacji Băile Herculane, kilka godzin po przyjeździe, od poprzedniego obozu prowadzonego przez Witka Michałowskiego. Jechaliśmy więc pociągiem do Rumunii, będąc pewni, że wszystko odbędzie się zgodnie z planem, zawsze się przecież udawało i system hulał bezbłędnie. W ustalonym terminie zjawiliśmy się w umówionym miejscu, zakładając nawet, że poprzedni obóz już może jest. Ale nie było nikogo. Czekamy godzinę, dwie i jeszcze więcej — na próżno. Zaczynamy spekulować — może pomyliliśmy godzinę, może miejsce nie te, zaczęliśmy dzielić się na grupy i penetrować okolicę szukając nawet jakiejś kartki z informacją od Witka, cały czas jednocześnie obstawiając stację, zakładając, że może coś się stało i spóźnią się z przyjściem z gór. Tego dnia nie przyszli, następnego też nie. Pierwszą noc przekimaliśmy na stacji kolejowej, ale co dalej? Jak tu iść w góry bez namiotów? Wracać do Polski? A co z ludźmi, z ich optałym obozem, wakacjami, planami? Postanowiliśmy ratować obóz. Podczas rozglądania się po okolicy wyczailiśmy nędzne domki campingowe, w których udało się po targach z obsługą, opłacić nolegi na prawie dwa tygodnie. Na własną rękę podjęliśmy decyzję o przesunięciu puli wydatków między pozycjami w kosztorysie. Oszczędzaliśmy na jedzeniu i programie, gotowaliśmy w menażkach, robiliśmy jednodniowe wycieczki po okolicy lub wypuszczaliśmy się dalej, z nolegiem kombinowanym pod chmurką, jak ten fantastyczny w wąwozie Nery. Pogoda była super, obóz się udał, tylko Michałowskiego nie zobaczyliśmy. Wrócił z obozem do Polski, zabierając sprzęt ze sobą. Tak na marginesie tych wspominek — taka sytuacja w czasach komórek na pewno nie miałyby miejsca. Michałowski na czas zostałby powstrzymany, a my nie przeżylibyśmy w pewnym sensie przygody z adrenaliną, którą wspaniale wspominam, przede wszystkim dlatego, że dostarczyła sporo pozytywnych przeżyć i dobrze się skończyła, ale też była cennym doświadczeniem — jak radzić sobie w trudnych i nietypowych sytuacjach i rozwiązywać problemy, a nie wycofywać się z nich.



Przejście wiosenne z 1971 roku na dworcu Warszawa Centralna. Pierwszy od lewej stoi Tomasz W. Łękawski, trzeci od lewej kucia Przemysław Pillich. Stoją od prawej Krzysztof Segit, Krzysztof Dudek, Teresa Woźniak, Szczepan Marczyński.



Kraków jest nasz! Na egzaminie państwowym w maju 1973 r., Adam Kulewski opiekun ekipy, Edmund Kuna, Barbara Gabryl i Janusz Szałajski, fot. J. B. Lipszyc.



Andrzej Wielocha blacha 250

O Komisji Wydawniczej



A było to tak: za mojej prezesury (1977 r.) nie wyszły *Magury*. Nie pamiętam już dzisiaj dlaczego, pamiętam jednak, że uznałem to za plamę na honorze wymagającą natychmiastowego zmazania. W kolejnym więc roku – 1978 przygotowałem *Magury* sam – od początku do końca. Robiłem za autora, redaktora, grafika i wydawcę. Prawdę mówiąc, o żadnej z tych czynności nie mając zielonego pojęcia. Jednak wciągnęło mnie to na tyle, że przez następne trzydzieści lat stało się to moim hobby, a z czasem i zawodem.

W tym okresie dotychczasowe filary Komisji Wydawniczej – Przemek Pilich, Wojtek Łękowski czy Jan Bazyl Lipszyc przenieśli swą aktywność poza Koło i wokół działalności wydawniczej zaczęli się kręcić młodszy.

Jeżeli popatrzymy na nazwiska osób na stronach redakcyjnych *Magur* i *Potonin*, a także innych wydawnictw kołowych z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zobaczymy jak wielu członków Koła angażowało się w tę działalność. Jednak już w połowie lat osiemdziesiątych zaczął się krystalizować mniej więcej stały skład Komisji Wydawniczej. Stanowili go Jaś Swianiewicz, Paweł Luboński, Wojtek Juszczyk i niżej podpisany. Wspomagali nas także inni – Adam Kulewski, Bogdan Mościcki, Ania Kamińska (Zatorzanka) oraz spoza Koła Tadeusz A. Olszański i Pieter czyli Piotr Kamiński szczególnie w kwestiach kartograficznych. A był to dobry czas dla Kołowych wydawnictw. Było tak, że w roku ukazywało się nawet kilkanaście tytułów. Pokój w mieszkaniu Andrzeja Huczki na Ursynowie, który wyżej wymieniony udostępnił nam na magazyn, pękał w szwach.

W tym czasie razem z Jasiem Swianiewiczem pracowaliśmy w warszawskim Almatrze i jakimś cudem udało nam się zdobyć piekielną maszynę zwaną składopisem. Maszyna była produkcji węgierskiej, pisała czcionką proporcjonalną (a więc choć trochę przypominającą druk) i umożliwiała wyrównywanie prawego marginesu. Efekty można zobaczyć np. w *Kronice 25-lecia*. Był to szczyt naszych ówczesnych możliwości edytorskich. Wymagało to jednak dwukrotnego przepisywania każdego tekstu, po paru więc publikacjach daliśmy sobie spokój z zabawą w „prawy margines”.

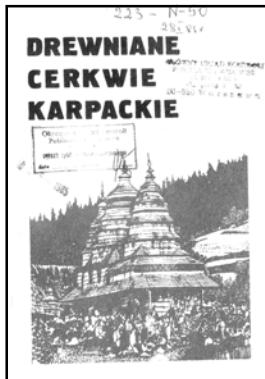
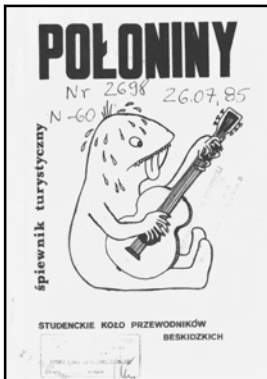
Gdzieś w 1984 lub 85 roku Koło dysponowało dość znaczną kasą (wydaje mi się, że było to następstwem prac „Brygady Mundka Kuny”), wpadliśmy więc na pomysł zakupienia maszyny IBM z ruchomą głowicą. Oczywiście w sklepie takich maszyn nie było (nie było zresztą żadnych), kupiliśmy ją więc z ogłoszenia od kogoś, kto ją przywiózł z zagranicy. Kosztowała jakieś straszne pieniądze, ale czcionkę miała, że palce lizać, a w dodatku – cud techniki – można było wymienić głowicę np. na kursywę lub cyrylicę. Oczywiście dodatkowe głowice też zakupiliśmy. Czuliśmy się prawie jak profesjonalni wydawcy. Transport maszyny w środku zimy, przez pół Warszawy do mieszkania Wojtka Juszczyka (a była ona piekielnie ciężka) odbył się na sankach. Fakt, że obowiązywały jeszcze w tym czasie przepisy stanu wojennego, dodaje temu obrazkowi smaczku. Maszyna była „na stanie” Oddziału Międzyuczelnianego PTTK, ale przechowywaliśmy ją u Wojtka Juszczyka,

który ze swoją przysłą (obecną) żoną przepisywał najwięcej publikacji. Może zresztą było to jakoś inaczej, kto by to dziś pamiętał.

Przeglądając tytuły naszych wydawnictw pomyśleć może ktoś czasami, co za idiota je wymyślał? Nie da się ukryć, że były one czasem zupełnie nie adekwatne do zawartości. Nie wynikało to jednak z tępoty autorów czy redaktorów, jak mógłbyś nieopatrznie sądzić późny wnuku. W tym z pozoru błahym problemie kryje się bowiem cały smak i tajemnica czasów, w których przyszło nam wydawać te broszury. Otóż, żeby coś wydać, trzeba było z wyprzedzeniem co najmniej roku umieścić tytuł w planie wydawniczym Koła. Potem ten plan umieścić w planie wydawniczym Oddziału Międzyuczelnianego PTTK, następnie ten plan umieścić w planie ZG PTTK, z kolei ten plan w planie resortu itd. Tak więc, przyszły autor publikacji nie wiedział jeszcze, że ją kiedykolwiek napisze, a już członek komisji wydawniczej SKPB musiał podać jej tytuł do planu wydawniczego. Zapyta ktoś po co? A no po to, że jak nie było tytułu w planie wydawniczym, to cenzor maszynopisu nie wziął nawet do ręki. A bez cenzury nic wydać nie szło, no w każdym razie do czasu.

O przygodach z cenzurą można by napisać osobne opowiadanie. Zresztą naszych wydawnictw w większości wypadków dotyczyły dwie cenzury – jedna, ta na Mysiej dotyczyła tekstów, druga – o ile pamiętam, na ulicy Przeskok, cenzurowała wszystko, co choć trochę przypominało mapę. Np. plan dojścia na bazę namiotową, lub schemat tras rajdowych. Wszystko musiał obejrzeć spec, który oceniał czy odwzorowanie nie jest za dokładne i czy plan nie zawiera informacji strategicznych. Kwestia obronności była oczkiem w głowie cenzorów. Dajmy na to, ktoś napisał w jakimś tekście, np. „skręcamy w drogę asfaltową”. Cenzor wzywał na Mysią przedstawiciela Komisji Wydawniczej i oświadczał, że „jest to osłabianie obronności Polski Ludowej”, po przez udostępnianie wrogim siłom informacji o nawierzchni dróg. I trzeba było zmieniać tekst tak, żeby wróg nie mógł się domyśleć jaka jest nawierzchnia rzeczonej drogi. Chyba w 1984 roku postanowiliśmy się postawić cenzurze. Sprawa o ile dobrze pamiętam dotyczyła informatora *Okolice Ropianki*, autorstwa Witka Grzesika i Tomka Traczyka, który wydawaliśmy na prośbę AKT „Maluch”. Znalazły się w nim informacje o godzinach mszy świętych w pobliskich schronisku kościołach. Cenzor kazał to wykreślić, uzasadniając z przekąsem, że nie jesteśmy organizacją kościelną. To nas zagotowało. Napisaliśmy pismo na Mysią, podpisane przez przewodniczącego Komisji Wydawniczej SKPB, w którym zażądaliśmy uzasadnienia na piśmie ingerencji cenzorskiej w celu zaznaczenia jej w tekście informatora. Odpowiedzi nie doczekaliśmy się nigdy. Natomiast po kilku dniach dostaliśmy historyczny telefon z Zarządu Głównego PTTK, że jak się

Okładki naszych wydawnictw z pieczętkami cenzury ze zgodą na rozpowszechnianie



nie uspokoiły, to nie tylko Koło zostanie rozwiązane, ale i Oddział Międzyuczelniany PTTK. Zaczęliśmy więc omijać cenzurę. Nie to, żeby od razu drugi obieg. To nie miałoby sensu, byliśmy wszak organizacją legalną, a działalność wydawnicza to był – istotny – ale jednak tylko dodatek do działalności przewodniczej. Po prostu parę pozycji, o których z góry wiedzieliśmy, że na Mysiej nie mają żadnych szans wydalimy inaczej. Tak ukazała się między innymi *Historia Ukrainy od 1914 r.* autorstwa Tadeusza A. Olszańskiego czy *Spisz Środkowy i Północny w naszym stuleciu* Tadeusza Trajdosa, tak też wydaliliśmy dwie niewielkie broszurki zatytułowane *Łemkowie dzisiaj*, które mogą być powodem naszej uzasadnionej dumy, jako, że są najprawdopodobniej pierwszym powojennym tekstem, w którym łemkowie piszą o samych sobie i swoich poglądach politycznych. Zresztą tematy łemkowskie w naszych wydawnictwach to specjalny rozdział, zasługujący na osobny obszerny opis. Był on po części wynikiem realizowanej przez lata Akcji Opis, ale też licznych kontaktów członków Koła z łemkowskimi działaczami.

Kontakty zresztą były bardzo potrzebne i to najróżniejsze. Pewnego razu odwiedził nas sympatyczny pan, który specjalnie przyjechał z Łodzi, żeby uzupełnić swoją bibliotekę o brakujące tomy *Magur* i *Połonin*. W trakcie dłuższej rozmowy, jakoś tak mimochodem, zapytał czy nie mamy przypadkiem kłopotów z papierem. Pytanie oczywiście było czysto retoryczne. W tamtych czasach przydziały papieru dostawały tylko koncesjonowane wydawnictwa (też znacznie poniżej potrzeb). My mogliśmy liczyć jedynie na litość drukarza, któremu zostawały czasami jakieś resztki. Często było tak, że jeden tytuł drukowany był na dwu lub nawet trzech rodzajach papieru. Jednak uzależnienie od humorów drukarza frustrowało nas strasznie, więc na hasło „papier” zareagowaliśmy natychmiast. Okazało się, że sympatyczny pan z Łodzi pracuje w przemyśle papierniczym i jeżeli napiszemy do jego firmy elegancką prośbę, to on weźmie ją ze sobą i może uda się coś załatwić. I udało się! Tadeusz Kiełbasiński, bo on to był we własnej osobie, dzięki zdobywanym dla nas asygnatom na papier, przyczynił się jak nikt inny do rozkwitu działalności wydawniczej SKPB. Sam zresztą z czasem zaczął pisywać do *Magur*, co czyni z dobrym skutkiem do dziś.

Wydawane publikacje mimo jeszcze dość przaśnej formy, zawartością mogły konkurować z wydawnictwami profesjonalnymi. Przykładem niech tu będą np. *Nazwy miejscowe Beskidu Gorlickiego* Tadeusza Romualda Topolskiego, „*Drewniane cerkwie karpackie*” Stanisława Krycińskiego czy wreszcie wydane w 1984 r. *Materiały do bibliografii Łemkowszczyzny* Tadeusza Zagórzańskiego (Kiełbasińskiego), będące do dnia dzisiejszego jedyną oddzielnie wydaną bibliografią publikacji poświęconych Łemkowszczyźnie.

Także, jeżeli nie pierwszy, to na pewno jeden z pierwszych tomików poezji łemkowskiego poety ukazał się nakładem naszej oficyny, a był nim wydany w 1985 roku *Łemkowski pejzaż* Pawła Stefanowskiego.

Magury i *Połoniny* zawierały przeróżne artykuły typu monograficznego, czy przyczynkarskiego dotyczące konkretnego tematów związanych z regionem. Niektóre artykuły, a czasem wręcz i całe tomiki zawierały zupełnie unikalne materiały będące plonem własnych badań autorów. Tak było na przykład w przypadku *Magur 82* poświęconych w całości łemkom. Pojawiała i pojawia nadal się w nich również poezja, a od lat osiemdziesiątych, także twórczość autorów łemkowskich. W tym miejscu warto zdać sobie sprawę, że „*Magur*” od 1972 roku do dzisiaj ukazały się 32 tomy, zaś „*Połonin*” od 1971 – 24. I wszystko to, proszę Szanownych Czytelników, całkowicie spotecznie! Ani autorzy, ani redaktorzy nie wzięli za nic złamanego grosza. Nie możliwe!? A jednak! Dzisiaj rzeczywiście brzmi to trochę jak bajka o żelaznym wilku, a jednak to najprawdziwsza prawda, choć patrząc na to z obecnej perspektywy sam już nie wiem jak to było możliwe.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych Komisja Wydawnicza stała się prawdziwą instytucją. Nie tylko wydawała kolejne publikacje, w tym trzy periodyki – *Magury*, *Połoniny* i *Plaj*, ale też organizowała spotkania i odczyty, a nawet własne obozy. Warto przypomnieć, że pierwsze kołowe wyjazdy w Karpaty Ukraińskie w 1988 i 1989 roku zorganizowała właśnie Komisja Wydawnicza. Toteż kiedy ktoś złośliwy zapytał czy to Komisja Wydawnicza jest przy SKPB, czy też może odwrotnie, zauważyliśmy niezręczność takiej sytuacji. Poza tym średni wiek członków Komisji był wtedy już mocno niestudencki, a także działało w niej wiele osób spoza Koła. I tak powstało Towarzystwo Karpackie – myślę, że w sumie z pożytkiem dla SKPB ponieważ pozwoliło młodszym stanąć na nogi i decydować o własnym losie.



Uczestnicy obozu Komisji Wydawniczej SKPB w Czarnohorę w 1989 r. Od lewej Andrzej Wielocha, Piotr Michnol (SKPG Gliwice), Irena Charysz, Juliusz Marszałek, Mariusz Birski, Piotr Janko, Roman Werdon (SKPT Gdańsk), Józef Wróblewski, Zygmunt Rykiert, Paweł Luboński, Adam Kulewski (kierownik), fot. arch.

Jagoda Jastrzębska blacha 392

Mój pierwszy obóz



Najpierw człowiek chodzi na wykłady i wycieczki kursu przewodników beskidzkich, zalicza „przejścia” Beskidu Niskiego i Bieszczadów, praktykę pod okiem starszego kolegi, prowadzi trasy na rajdach, by wreszcie, prawie dwa lata po pierwszym kontakcie z kołem przewodników, zdać ten najważniejszy egzamin: pierwszy samodzielnie poprowadzony turnus. Tradycyjnie studenckie wędrówki po Bieszczadach zaczynają się od bazy w Zagórzcu, położonej nad Oslawą u stóp ruin klasztoru karmelitów. Zjawiam się więc dzień wcześniej i czekam: kto przyjdzie?

Od doboru uczestników zależy bardzo wiele. Czy licznili już trochę turystyki? Czy uważnie przeczytali wkładkę do wykupionego w „Almaturze” skierowania? Czy zabrali wszystko co niezbędne? Czy nie zaskoczy, ich, że będą spać pod namiotami, myć się w potokach, sami gotować na ognisku?

Oto i oni. Prawie w komplecie, bo dwie osoby zachorowały na starcie. Dziewięć dziewcząt, tylko dwóch chłopców, na szczęście chyba do rzeczy. Liczebna przewaga dziewcząt to reguła na naszych obozach. Piątka z Łodzi, piątka z Wrocławia — ci przynajmniej z Sudetami otrzaskani, jedna osoba z Warszawy. Tylko jedna „sierotka” w adidasach, reszta ma wibramy. Dawniej wysyłało się taką do sklepu po pionierki, ta będzie w adidasach walczyć z bieszczadzkiem błotem.

Po pierwszym noclegu na bazie w Komańczy zaczynają się problemy. Pada, więc grupa nie chce iść górami do bazy w Rabem. Wymyślają jakiś strasznie skomplikowany wariant autobusowy. Ulegam, jestem wszak na ich usługi. Nazajutrz leje, znów więc próbujemy przejazdów i zamiast na bazie w Tworylnem lądujemy w stodole w Bereźnicy. Gospodarzy poznałam prowadząc trasę na rajdzie. Z Tworylnego, gdzie wreszcie udało się nam dotrzeć, nie idziemy jak planowano na połoniny. I tak nic byśmy z nich nie zobaczyli — przestawało padać, ale nadal wiszą ciężkie chmury. Proponuję więc coś innego: dziką puszcę w dolinie Tworyliczyka, jagody i maliny na Bukowinie, a nocleg w myśliwskiej chatce pod Pereszlibą, o której prawie nikt nie wie. Spodziewam się, że ludziom się to spodoba i trafiam. Zresztą już w Tworylnem poprawiły się im nastroje: tak tu pusto, tak zielono, a podhalańscy bacowie tacy mili. Ludzie zaczynają rozumieć, że Bieszczady to morze zieleni, zaczynają przywykać do błota i wilgoci, bez której zieleni nie byłaby tak bujna. Prawie nie zaprotestują gdy do schroniska w Jaworcu będziemy przedzierać się przez krzaki na prawym brzegu Wetlinki, zamiast iść asfaltową szosą na lewym brzegu. A później mamy tydzień połonin i słońca, czyli Bieszczady z folderów.

Tak, pogoda pomogła mi ładnie zakończyć mój pierwszy obóz. Czy czuję satysfakcję? — Średnią. Cały czas byłam napięta: co też moi uczestnicy znowu wymyślą. Czulałam się skrzepowana, jakby mi ktoś związał ręce i nogi. Jednak o wiele fajniej chodzi się po górach w gronie kolegów — przewodników, bo nasze koło jest również czymś w rodzaju klubu górskiego. Wiele imprez organi-



Przejście latnie 1983 roku; Jagoda Jastrzębska, Marek Boniński, Jolanta Pawłowska, Elżbieta mackiewicz, fot. arch.

zujemy tylko dla siebie. Dopiero podczas tych wyjazdów mogę naprawdę rozwinąć skrzydła!

Tylko nie wyciągaj zbyt radykalnych wniosków. Jestem przewodnikiem i wiem, z jakimi obowiązkami to się wiąże. Ale w grupie przypadkowo dobranej, różniącej się oczekiwaniami i doświadczeniami, tracimy część tego, co można by doznać obcując z górami.

Jagoda Jastrzębska, studentka SGPiS, jest członkiem Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie.

Wywiad przeprowadził Bogdan Mościcki blacha 176, Gościniec 10/83, str. 28-29



Wycieczka kursowa na jesieni 1982 roku; Ewa Kurowska (stoi), Dorota Grzeszczak, Tadeusz Zieliński, Antoni Gugulski, Marysia Lisowska. Pierwsza od prawej Jagoda Jastrzębska, fot. Dorota Szatańska



Robert Olszewski *blacha nr 473*

Spełnione marzenia



Siedzę przy chimerycznym płomieniu małej watry w Dzembroni. Gryzący dym mokrego drewna wciska się pod powieki, rozmywa twarze przyjaciół, otula mgłą grzbiet Czarnohory. Na zewnątrz powoli zapada zmierzch, jesteśmy zmęczeni. Wstaliśmy dziś o czwartej by dotrzeć na szczyt Popa Iwana. Mozolna wspinaczka w półtorametrowym śniegu, dwadzieścia stopni mrozu i śnieżna zamieć zacierająca nasze, jedyne tej zimy ludzkie ślady. Wędrówka wśród ciemnych chmur w milczeniu pełnym żalu o kaprys Natury, co w ciągu kwadransa zmienił błękit w burzowe cumulusy. I nagle, na dwieście metrów przed szczytem wiatr rozwiął na moment chmury. Na tle siniego nieba, zatopione w zaspach martwego śniegu zobaczyliśmy ruiny obserwatorium.

„Biały Słoń Czarnohory”. Skuty w okowach brył lodu, niedostępny, odległy od ludzkich siedzib o siedem godzin mroźnego marszu i kilkadziesiąt lat zamkniętych granic. Dotarłem tu ze swoim obozem, widać dostałem przepustkę *zertwy* – smoczego strażnika tych gór. To najpiękniejszy prezent jaki kiedykolwiek otrzymałem na swoje urodziny. 20 lutego 1992 roku pod grzbietem Czarnohory skończyłem 24 lata.

To nie jest kronika ostatnich lat. Nawet nie będę usiłował być obiektywny. Spróbuję jedynie zachować wierność własnym wspomnieniom, tym którzy mnie wychowali na przewodnika, tym którzy wraz ze mną włączyli się po krzalu i jarach i wreszcie tym, którym ja starałem się pokazać płaj do serca gór. Minęło osiem lat odkąd dostałem trójkątną blachę SKPB. Prawie siedemset spośród tych dni oddałem Kołu. Wciąż ma to dla mnie sens.

Co wyróżnia ostatnie lata? Jakie podjęliśmy kroki by odkryć nowy wymiar gór, poszerzyć zakres działalności Koła? Myślę, że dwa krótkie słowa dobrze charakteryzują ten okres: Ukraina i Bartne. Spełnione marzenia o czarnohorskim płaju oraz o domu w Beskidzie.

Wciąż mamy po kilkanaście tras na „Beskidzie Niskim” i „Potoninach”, prowadzimy letnie wyprawy i obozy we wszystkich prawie dostępnych górach świata, lecz rok przełomu — 1989 sprawił, że stanęły przed nami otworem wyżsiny, wyczekiwane od lat Wschodnie Beskidy. W rok później w dolinie Prutu, Czarnohorze i Gorganach zawiązał nasz pierwszy regularny obóz wędrowny. Było nas zaledwie trzynaście osób. Podrobione domowym sposobem magiczne vouchery — przepustka do ukraińskiego rajku, preparowana w pociągu tzw. lista graniczna, wyżebrane w urzędzie paszportowym dziwaczne pieczętki AB. I dziesięć kartonów pełnych żarcia na planowane trzy tygodnie. W ciągu tych dni poznaliśmy cerkwie Worochty, widoki z Howerli, odpust w Żabim-Stupejce, ścieżki Gorganów... Zobaczyliśmy też niewiarygodną biedę dzisiejszych Hucułów, zniszczone kurorty Jaremca i Tatarowa, podpłiowany krzyż na przełęczy Legionów, obcięta więź zamienionego na sklep kościółka w Rafajłowej. To było spełnienie marzeń i zarazem zderzenie z rzeczywistością kraju szukającego własnych korzeni, ludzi gwałtownie garnących się do naprędce pacykowanych ikonostasów w cerkwiach, gdzie jeszcze wczoraj był magazyn albo muzeum ateizmu. Chcieliśmy więcej.



Przejście wiosenne 1993 r., stoją: Grzegorz Tyliński (498), Konrad Feliksbrodt (510), Robert Olszewski (473), Maciek Filocha (507), Maciek Czaplicki (515), Justyna Świdzińska (512), Andrzej Matyka (520), Danuta Życzyńska (511), Grzegorz Cieślak (528), siedzą: Paweł Pontek (505), Paweł Trochimiuk (496), Grażyna Góra (506), Piotr Wrona (513), Iza (?), Marek Kalupa (475), fot. arch.

Przyszedł czas zimowych wypraw na nartach śladowych. Chałupa w Jasieniowie wynajmowana na tydzień z opałem za trzy dolary. Zimowa jazda pod wałem Czarnohory odkrytą ciężarówką. (W kołchozie powiedzieli, że jeśli nie znajdą wahacza do zepsutego autobusu to dadzą coś w zastępstwie. I dali.) Na szczęście największy facet pojechał w szoferce. Po czterech godzinach zdejmował kolejno, plecaki i nas — podobnie sztywnych.

By dotrzeć do Hryniawy nie wystarczyło „skołować” ziła z kierowcą. Trzeba było jeszcze rąbnąć gdzieś we wsi kanister benzyny. Najtańszy okazał się mechanik bazy transportowej. Dostaliśmy paliwo obsługi zaopatrzenia sklepów.

Obrazy w pamięci. Kolega zgięty wpół, złamany atakiem kolki nerkowej na dworcu w Żabiem. Rozpaczliwie szukał szpitala. Jest jeden na końcu osady bez choćby jednego lekarza. Przychodnia w centrum, dyżurny chirurg w fartuchu koloru górniczej kurtki po szybcie zaordynował wystanie karetki. Kanciąstą budę więźniarki ubarwia brak resorów. No i ten rów z nasypem dookoła przychodni, jakby wykopany na czas oblężenia. To tylko chwilowy brak wody w poradni, mówi siostrzyczka, w zeszłym tygodniu pękła nam rura. Więc na związanych powrozem noszach wnosimy Marka po równoważni ponad okopem. Wielka strzykawka z brudną cieczą koloru moczu, zakończona monstualną igłą wbija się w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Mikstura poskutkowała na tyle skutecznie, że Marek przeżył, a nawet w godzinę później sprawnym kopem otworzył tylne drzwi zatłoczonego autobusu. ..

W '91 roku na Ukrainie prowadziliśmy nadobowiązkowe, wschodniobeskidzkie przejście przedwodnickie. Pojechali 24 uczestników, praktycznie cały kurs. Borżawa, Wschodnie Bieszczady, dolina Oporu i Tucholszczyzna, Truskawiec, Borysław, Lwów... Nigdy nie zapomnę tych ludzi z Riczki; gdy dowiedzieli się, że skupujemy stare „rusznyki”, zdobione ręcznym haftem „soroczki”, powyw-

lekali z szaf, ze skrzyń, ze strychów całe naręcza płóciennych szmatek. Szliśmy powoli drogą zbierając z płotów porozwieszane co starsze okazy. Za kilka dolarów wypchałem do granic pojemności osiemdziesięciosześcioletni plecak z kominem...

Wieczorne ognisko w pobliżu skał Urycza. Ruiny zamku Tustań widoczne w blasku ognia. O świcie mamy wejść do Drohobycza. Ignac zagrał „Balladę o życiu i śmierci Brunona Schulza”, a Piotrek przeczytał na głos „Sklepy cynamonowe”. Któż wie czy nie spotkaliliśmy wtedy Uduli, która odchodzi w noc spod drohobyckiej fary, dorożki i magicznego konia? Nawet dziś gdy zamknę oczy widzę ich cienie przemykające dzielnicą Salin.

Jazda pociągami z Sianek na przełęcz Użocką. Ta linia kolejowa tak pięknie i malowniczo oddana w opisie Orłowicza sprzed blisko stu lat. Wypatrywana latami zza krzaka w bieszczadzkim worku, zza grobu Hrabiny. I teraz jesteśmy w Siankach. Zeszliśmy tu z grzbietu pięć minut temu. Wystarczająco długo by zabrać nam paszporty i zastosować areszt domowy. Mamy swobodę w poruszaniu się jedynie w obrębie dworca. Stacyjna jadłodajnia, tłumek kołchoźników przy ladzie, zza którą ślamazarnie porusza się brudna kucharka. Na pytanie — *co dzisiaj szefowo?* — otrzymujemy standardową odpowiedź — *sup i wtoroje*. Spodziewam się najgorszego i rzeczywiście nadchodzi. Nasza nieunikniona, choć dobrowolna zabawa w granat aplikowana w każdym miejscu i o każdej porze doby, zwłaszcza gdy sytuacja temu nie sprzyja. Na hasło rzucone przez Pawła dwadzieścia osób z rumorem wali się na podłogę. Przewraca się stolik, spadają jakieś talerze. No pięknie myślę, k... pięknie, pewnie nas deportują. Nic bardziej mylnego. Za obietnicę przystania zaproszenia dla żony komendanta (jemu nie wolno) na bazar do Przemysła naczelnik zwraca nam paszporty, fundując groszowe bilety na przełęcz. Jedziemy stalową serpentyną przez Kińczyk Bukowski, przez dwa tunele i estakadę. Jesteśmy wolni...

Nasz pierwszy długi pobyt we Lwowie. Piętro kamienicy na rynku wynajęte za parę groszy twardej waluty. Cmentarz Łyczakowski, kwatery Orłąt, Wysoki Zamek... Nocny spacer po mieście, przejazd ostatnim tramwajem z Parku Stryjskiego na rynek. To dziwne drżenie głosu i rąk pokazujących zabytki miasta, w którym nie miałem przecież własnych przodków.

Spotkanie w domu polskiej rodziny. Trochę ściszone głosy, jest przecież dopiero '90 rok. Spirytus pity wraz z herbacianą esencją w kieliszkach z dwudziestolecia. Zmiana nastroju. Próba powrotu do Polski. Dwie doby koczowania na dworcu, bilety kupione na autobus, którego nie było, wymiana dolarów „na rękach” u żuła z żiguli. Desperacki plan wejścia na siłę do pociągu relacji Czerniowce-Przemysł. Byłe dostać się do granicy, przecież nas nie wysadzają? Myliłem się. Konduktor zatrzymał pociąg tuż przed strażnicą. Wezwał milicję, a ci nas szybko i dość brutalnie wysadzili. Powrót podmiejską kolejką do Lwowa. Znów doba spędzona na dworcu. Autobus-widmo, bez tablic kierunkowych i bez biletów. Forsa zbierana od pasażerów w lesie, za miastem. To wszystko nie wróci. Na szczęście? Niestety?

Potem na Ukrainie odbyło się jeszcze kilkadziesiąt obozów, autokarówek i wypraw. Dla członków Koła i dla znajomych króliczka, dla ludzi ze środowiska i z ogłoszenia. Myślę, że nie ma już szczytu we Wschodnich Beskidach, na którym nie stanąby wibram eskapebola. Dziś prowadzimy tam regularne obozy, na przywoitych, legalnych papierach. Bierzymy trochę mniej żarcia i dużo, dużo więcej forsy. Te góry wciąż dają nam satysfakcję, relaks, emocje. Coś jednak minęło bezpowrotnie, gdzie odszedł czas pierwszych od przeszło pięćdziesięciu lat polskich wypraw w Gorgany i Czarnohorę. Cieszę się, że właśnie nam dane było na nowo odkrywać Wschodnie Karpaty.

To było wczesny, zimowy wieczór. Słońce stało już nisko nad horyzontem, skrzący kryształkami lodu biały śnieg odbijał ostatnie promienie światła. Zjeżdżaliśmy na śladówkach zalesionymi zboczami Mareszki i Maguryczza, mignął w przelocie czerwony szlak. Pod nami widniało Bartne. Czerdzieści kilka domostw, kamienista, złodzona droga, uśpione cerkwie i gwarny wieczorną łemkowską biesiadą sklep.

Pokryte grubą warstwą szronu drzewa skrywały wieś i tylko jedną chyżę widać było wyraźnie na wyniesieniu drogi. Słomiany dach poszarpał dawno wiatr i poprzez dziury w kiczkach na strych sypał się śnieg. Ceglany komin chylił się przed Magurą, a popękane szyby mróz ozdobił galerią błyszczących śnieżynek. Ten obraz w dole fascynował i uspokajał zarazem.

Zakocharaliśmy się w tej chatce, z wzajemnością i od pierwszego wejrzenia. Zanim ruszyłem dalej ku drodze wiedziałem już, że zdobędziemy dla Koła tę chyżę. Za każdą cenę.

Kiedy dziś patrzę na stare zdjęcia uderza mnie jak wiele się w Bartnem zmieniło. Mamy odarte z pięciu warstw brudnego wapna ściany, własne mebelki, ceglany piec i kominek. Udało się zmienić dach i dobudować altanę z ogromnym stołem, wykopać dół na śmieci, oczyścić piwniczkę i strych, wymienić szczyt i zaropować belki. Myślę, że nade wszystko tchnęliśmy nowe życie w tę chatkę. Przekazaliśmy jej własny entuzjazm i ciepło, nim ona zaczęła ogrzewać goszczących w niej ludzi.

Nigdy nie chciałem pisać sztywnego regulaminu życia w Bartnem. Na ścianie zawisł Kotowy plakat z napisem: *To jest NASZ WSPÓLNY DOM. Traktujmy go jak własny.*

Dla tęskniących, spragnionych ciepła, samotnych, wątpliwych i zagubionych stało się Bartne symbolem Domu o jakim marzyli, oazą spokoju i zrozumienia. Spędziłem tam ponad sto dni i wciąż wierzę w ten mit. Legendę chatki stworzyło miejsce, czas, a nade wszystko ludzie. Chcę tutaj wymienić tych kilka nazwisk, bez których nie zaistniałoby Bartne. Nazwiska moich przyjaciół, którzy bezinteresownie poświęcili po kilkadziesiąt dni własnego życia wtedy, gdy było najtrudniej, kiedy nie było jeszcze nic. Aneta Smolarz, Danka Życzyńska (Mareszka), Ignac Gajo, Krzysio Dźwiगाła, Paweł Trochimiuk, Marek Kalupa, Agnieszka Respondek...

Ludzie, zdarzenia; garść wspomnień z tych pierwszych miesięcy i lat. Niesiemy przez wieś trzy rolki aluminiowej papy. Pod sklep zjechał autobus, kierowca otworzył bagażnik i każdy z nas wrzucił sobie ważącą czterdzieści kilo belę na zgięte karczyczo. Posuwamy się wolno ku górze. Robimy przerwę co dwieście metrów, potem co sto, pięćdziesiąt, wreszcie co dziesięć. Wydaje się, że nikt nas nie widzi, że nie chce zauważyć. Wieś czeka co dalej, jak sobie poradzimy, poddaje nas próbie. Po trzech godzinach doszliśmy, udało się załatać co większe dziury na dachu. Wieczorem odwiedza nas sąsiad. Potem drugi, trzeci, kolejny. Czternastu gospodarzy z Bartnego tego samego dnia proponowało nam traktor, wózek, samochód, piłę, drewno i wszelką inną pomoc. Przez parę tygodni zdawaliśmy ten egzamin pracując dwanaście godzin na dachu, kopiając doły, tnąc deski, malując ściany. Teraz jesteśmy tam swoi. Już nigdy więcej nie zdarzyło mi się samotnie nieść w Bartnem worka czy ławy dłużej niż dwieście metrów, by nie dagonił innie łemko ofiarowując pomoc.

We wsi uznano nas za specjalistów od wszelkich prac remontowych, stolarskich, a nawet... kamieniarskich. Pracowaliśmy z Markiem na dachu kiedy podeszła stareńka babcia pytając czy nie zrobilibyśmy jej i zmarłemu niedawno mężowi lastrykowego pomnika na wiejskim cmentarzu. Miała do dyspozycji piasek, cement i tłuścić. Grób miał być polerowany i ślicznie świecić gasząc swym blaskiem kamienne bartniańskie świątki. Babcia umarła nim zdążyliśmy skończyć nasz remont i grób postawiła jej rodzina. Kto wie czy nie wznosilibyśmy dziś na łemkowszczyźnie wciąż nowych pomników zasypywani zamówieniami?

Wrośliśmy w społeczność Bartnego. Żyliśmy jej łemkowskim życiem. Zapraszaliśmy do nas i sami byliśmy gośczeni. W wiejskiej świetlicy urządziliśmy wraz z „Werchowyną” koncert i potańcówkę. Niezwykle przejmujące były łyzy starych ludzi, płaczących kiedy młodzi Polacy śpiewali w ich języku o ziemi, z której ich wysiedlono, do której tak trudno było powrócić.

Życie Bartnego nie składa się z samych radosnych dni. Z powodu sąsiedzkich waśni przyszło nam składać zeznania w gorlickim sądzie. Choć sprawa została odroczone, nasze zasługi zostały uhonorowane suto zakrapianym przyjęciem na poczet spodziewanego zwycięstwa.

Nasza chatka przez jakiś czas miała swą własną, satelitarną telewizję. Do słomianego dachu przymocowana była stara, skorodowana miednica sklepana w kształcie anteny z napisem TV Sat Bartne. Szkolne wycieczki robiły sobie pod nią obowiązkowo strażackie zdjęcia.

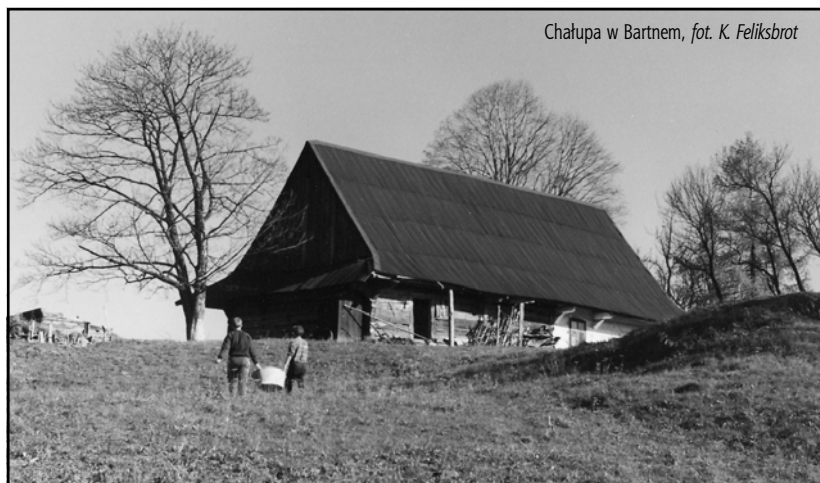
Kołowa chyża stała się także na wakacyjne miesiące domem rodzinnym dla małej Natalki — przedstawicielki nowego pokolenia bartniańskich eskapeboli. Natka, jako jedyne niemowlę we wsi wzbudzała powszechne zainteresowanie przez całe lato. Zabieraliśmy dzieciątko na nabożeństwo do cerkwi, a w drodze powrotnej towarzyszyło nam stadko doradzających w sprawach opieki nad niemowlakiem pań. Z chlipiącą Natalką na rękę udało mi się wybrać darmowy transport drewna na zimę.

Chatka w Bartnem została „znaleziona” na przełomie 1990/91 roku. Pierwszy obóz remontowy odbył się latem 1991 roku. Umowa jaką Koło zawarło z właścicielami chyży – Panią Stefanią Kocur i jej mężem Mikołajem stanowiła, iż chatka będzie bezpłatnie udostępniona SKPB na okres pięciu lat w zamian za gruntowny remont dachu, pieca i ściany szczytowej zrealizowany siłami członków Koła. Umowa zawarta w obecności notariusza w Gorlicach była kilkakrotnie przedłużana.

Przez chatkę w ciągu dziesięciu lat jej użytkowania przez Koło przewinęto się kilkaset osób i wiele obozów. Ślady ich pobytu można znaleźć w kilku tomach bartniańskiej kroniki.

Ze względu na wzrastającą cenę wynajmu i zdecydowaną niechęć właścicieli do sprzedaży chyży po dziesięciu latach użytkowania Zarząd SKPB podjął decyzję o rezygnacji z dalszego wynajmu chatki w Bartnem.

Tekst po raz pierwszy zamieszczony został w publikacji „40 lat minęło... Z historii studenckiej turystyki górskiej” Warszawa 1997, tu powtarzamy go, z niewielkimi uzupełnieniami autora.



Chałupa w Bartnem, fot. K. Feliksbrod



II Rajd Bieszczadzki maj 1961 r.,
od prawej Ryszard Czuczefo, Henryk Supronowicz, Julian Bystrzanowski, Wilhelm Orsetti, ??, fot. arch.



Obóz w Gorganach w 1988 roku organizowany przez Komisję Wydawniczą SKPB, a prowadzony przez Adama Kulewskiego (stojący w środku). Pierwszy od lewej Maciej Włósniewski, ostatni od prawej Paweł Luboński, fot. arch.



I 1960



II 1961



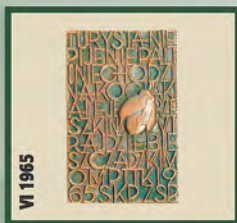
III 1962



IV 1963



V 1964



VI 1965



VII 1966



VIII 1967



VIII 1967



IX 1968



X 1969



XI 1970



XII 1971



XIII 1972



XIV 1973



XV 1974



XVI 1975



XVII 1976



XVIII 1977



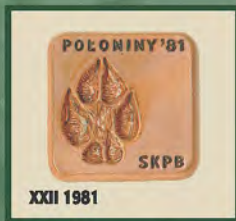
XXIII 1978



XX 1979



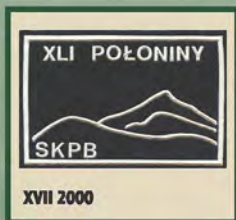
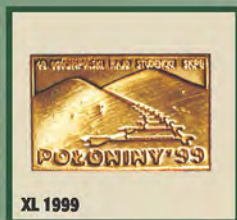
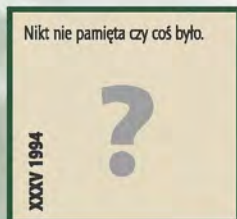
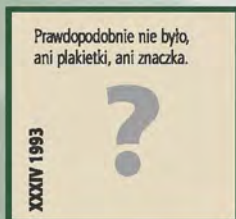
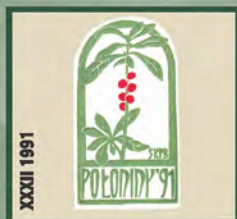
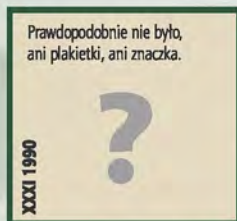
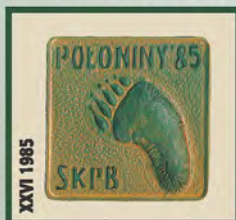
XXI 1980



XXII 1981



XXIII 1982







XXIII 1987



XIV 1988



XXV 1989



XXVI 1990



XXVII 1991



XXVIII 1992



XXIX 1993



XXX 1994



XXXI 1995



XXXII 1996



XXXIII 1997



XXXIV 1998



XXXV 1999



XXXVI 2000



XXXVII 2001



XXXVIII 2002



XXXIX 2003



XL 2004



XLI 2005



XLII 2006



XLIII 2007





X-lecie 1967



XV-lecie 1972



XX-lecie 1977



XXV-lecie 1982



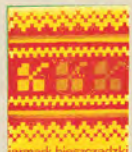
XXX-lecie 1987



XI-lecie 1997



I-lecie 2007



Jarmark Bieszczadzki 1972

Jarmark Bieszczadzki 1973



Rajd Narciarski 1974



Rajd Narciarski 1978



Rajd Narciarski 1979



Ślzak w Rumuńskich Karpatach Wschodnich



Hinduskursz 1977



Łuk Karpat 1980



Beskid Niski 1982



Beskid Niski 1983



Krasny Slovenska 1980



Krasny Slovenska 1981



Złaz Kampinoski 1969



Złaz Kampinoski 1970

Złaz Kampinoski 1972



Złaz Kampinoski 1976



Złaz Kampinoski 1977



Złaz Kampinoski 1985

Złaz Kampinoski 1990



Połoniny 2007



Aladag 1981



Akcja Letnia 1974



Akcja Letnia 1977



Powitanie Wiosny 1977



Powitanie Wiosny 1979



Powitanie Wiosny 1981



Powitanie Wiosny 1983



Andrzej Elantkowski prezentuje jeden z najstarszych modeli bluzy przewodniczej, fot. A. Leszczyński



Krzysztof Segit w bluzie z początku lat siedemdziesiątych, fot. A. Wielocha



Bluzę przewodniczką z lat osiemdziesiątych prezentuje z wdziękiem Bogusław Wajland, fot. A. Wielocha



Agnieszka Czarna w najnowszej wersji stroju przewodniczego, fot. A. Leszczyński



Andrzej Turowicz, blacha 147, prezentuje model bluzy z II połowy lat sześćdziesiątych, fot. T. Pyrcak



Kołowe polary w górach Bukk prezentują Paweł Pontek, Maciej Czaplicki i Konrad Feliksbro (1994 r.), fot. arch.

Sławomir Michalik blacha 519

Ostatnie lata działalności Komisji Wydawniczej



Połowa lat 90-tych to okres zastoju w działalności wydawniczej naszego Koła. Ostatnie Połoniny ukazały się w 1993 roku („Połoniny 92”), a Magury rok później („Magury 03”).

Po paru latach przerwy, dzięki determinacji Maćka Filochy, powstały „Magury 06”.

Maciek w 1996 roku zrobił rzecz, której nam już nigdy nie udało się powtórzyć: wydał Magury na majowy Rajd Beskid Niski. Aby kontynuować to dzieło, rok później na jednym z zebrań zarządu reaktywowaliśmy działalność Komisji Wydawniczej SKPB Warszawa.

Nie chcieliśmy tworzyć żadnych formalnych ciał z przewodniczącymi, członkami, regulaminem itp. Komisja Wydawnicza, to po prostu grupka osób, która stara się coś robić, by nasze Koło prowadziło działalność wydawniczą. Zaczynaliśmy we dwójkę: Kuba Gąsiorowski i piszący te słowa. Szybko dołączyła do nas jeszcze Ola (wówczas Sadowska, a dziś Tkaczyk).

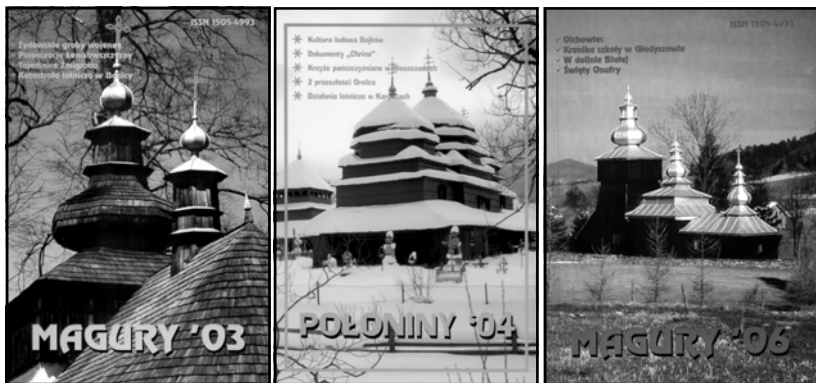
Właśnie w tym składzie działała Komisja Wydawnicza (będąca jednocześnie redakcją Magur) przez kilka następnych lat. Później w jej działalność zaangażowali się jeszcze Daria Michalik, Aneta Załuga, Adaś Panasik i Jędrzek Gąsiorowski. Obecnie działalnością wydawniczą zajmują się Aneta i ja (jako redaktorzy Magur) oraz Jędrzek (jako redaktor Połonin).

Tak się jakoś składa, że gdy teraz myślę o ostatnich 10 latach Komisji Wydawniczej, to przychodzą mi do głowy głównie wspomnienia z pierwszego, „pionierskiego” okresu. To wówczas musieliśmy się wszystkiego uczyć. Wtedy też najtrudniej było zdobyć ciekawe teksty. Dlatego chciałbym teraz przedstawić trochę wspomnień z tego czasu.

Poszukując materiałów do „Magur 97” trafiliśmy do Michała Żrotki – niezjącego już niestety łemka pochodzącego z Wierchomli Wielkiej. Wizyty u niego zwykle przeciągały się do późnej nocy. Wracając z Olą samochodem z jednej z takich rozmów (trwała do 2 w nocy i podczas niej wypiliśmy pewnie w sumie z butelki wina) dosyć beztroško skręciłem w lewo pomimo zakazu. Zauważyła to policja, która po parominutowej „gonitwie” zatrzymała mojego malucha. Długo musiałem się tłumaczyć dlaczego nie dość, że złamałem przepisy, to jeszcze uciekałem przed policją (zresztą do tej pory nie rozumiem dlaczego się od razu nie zatrzymałem).

Również opowieść o tym, co tu o tej porze robimy chyba nie została przez policjantów do końca zrozumiana. W każdym razie na odchodnym, tuż po zaplaceniu mandatu, policjant rzucił, bym te pieniądze sobie odebrał od szefa w pracy, czyli w redakcji.

Z „Magurami 97” też już zawsze będzie mi się kojarzył pewien plac zabaw na toruńskim blokowisku, gdzie wraz z Olą czekaliśmy na Kubę, by wspólnie napisać tekst od redakcji. Ola na spotkanie przyjechała z Warszawy, a ja z Łodzi. Parę tygodni po tym redakcyjnym zebraniu Kubie udało się zeskanować wszystkie zdjęcia do Magur.



Tyle, że miał je w komputerze w Toruniu i nie było jak ich przesłać do Warszawy. Kuba już chciał nawet wymontowywać twardy dysk i wysłać go przez firmę kurierską. Skończyło się na... przesłaniu pocztą oryginałów zdjęć i ponownym ich zeskanowaniu w Warszawie.

Później, gdy Magury zaistniały w ludzkiej świadomości, a my już trochę więcej wiedzieliśmy o tym, jak je robić, było dużo łatwiej. Zaczęły przychodzić do nas coraz więcej ciekawych tekstów. Mnóstwo satysfakcji sprawiły nam np.: pełen wsparcia list od Romana Reinfussa zawierający również artykuł do Magur (ukazał się w „Magurach 98”), list od Paula Roberta Magocsiego z Kanady, czy też fakt, że Antoni Kroh w {Sklepie potrzeb kulturalnych} cytował artykuł Zdzisława Skroka z „Magur 97”.

Z czasem zmienił się skład redakcji Magur. Na miejsce Oli i Kuby przyszła Aneta. Zmieniła się również część naszych autorów i tematyka przez nich poruszana. Mam jednak nadzieję, że Magury są nadal interesujące, warte przeczytania i w gruncie rzeczy podobne do tych sprzed lat.

Zresztą symbolicznym tego znakiem jest fakt, że przez ostatnie sześć lat Komisja Wydawnicza mieściła się w Darii i moim mieszkaniu na ulicy Okieńskiego 10 m. 34. Trzydzieści lat wcześniej dokładnie dwa pietra pod nami, pod numerem 26, w ówczesnym mieszkaniu Przemka Pilicha, powstawały pierwsze Magury i Połoniny.

Myszę, że warto w tym miejscu wymienić jeszcze dwie osoby: Tadeusza Kiełbasińskiego i Staszka Krycińskiego. To właśnie dzięki ich pomocy udało się znaleźć większość artykułów do „Magur 97”. Zresztą pisali i piszą oni teksty do wszystkich kolejnych Magur. Tadeusz jest autorem *Przeglądu pozycji wydawniczych dotyczących Beskidu Niskiego*, który od 10 lat jest zamieszczany w Magurach.

Stasinek, oprócz tego, że w swoich artykułach w niezwykle interesujący sposób opisuje znikający świat Beskidu Niskiego i Bieszczadów, jest również współwydawcą Magur i Połoni.

Od początku chcieliśmy, by nasza działalność wydawnicza nie ograniczała się tylko do Magur. Zresztą dlatego też mówiliśmy o sobie jako o Komisji Wydawniczej, a nie tylko o Redakcji Magur.

Przez pierwsze kilka lat działalności cały nasz zapał i wysiłek poświęciliśmy Magurom i z tego powodu poza książeczką na 40-lecie nic innego nie powstało.

Dopiero w 2001 roku wraz z Darią wydaliśmy Śpiewnik łemkowski „ŁEM”. Ośmieliła nas popularność wydanej przez Peretkę w 1995 roku poprzedniej wersji „ŁEM-a”. Okazało się również, że znajdują się na ten cel pieniądze. Dzięki temu i dzięki uporowi Darii udało nam się wydać spory zbiorek pieśni i piosenek łemkowskich.

Udało nam się również przywrócić do życia Połoniny. Przy okazji wydawania Magur dostaliśmy kilka tekstów o tematyce bieszczadzkiej, czy ogólniej wschodniobeskidzkiej. Zresztą chcieliśmy, by nowe Połoniny nie ograniczać tylko do naszych Bieszczadów, ale poświęcić je też całym Beskidom Wschodnim – w końcu połoniny są nie tylko w Bieszczadach.

Po paru latach przymiarek i po prawie dekadzie przerwy, wreszcie w 2002 roku – na 45-lecie – wraz z Anetą i Adasiem wydaliśmy „Połoniny 02”. Na szczęście nie skończyło się na jednym numerze. Dzięki Jędrkowi, który od 2003 roku jest redaktorem Połoinin, stały się one ważnym i interesującym rocznikiem poświęconym Bieszczadom i ogólnie Beskidom Wschodnim.

Niestety wiele pomysłów nie udało się zrealizować. Nie powstał i zapewne nigdy nie powstanie almanach „Ultima Thule” poświęcony górcom dalekim (miały to być takie Magury zamieszczające relacje z wypraw w różne odległe góry – pierwszy numer miał być poświęcony Uralowi, a drugi górcom Wschodniej Syberii). Nie powstał też przewodnik po Bieszczadach Wschodnich, ani po okolicach bazy w Regetowie.

Co dalej z działalnością wydawniczą SKPB Warszawa? Wierzę, że wciąż będą się ukazywać Magury i Połoniny. Mam też nadzieję, że znajdą się w Kole osoby, dzięki którym będą wydawane również inne publikacje z winiętą naszego SKPB.



Janusz Drużycki, przewodnik beskidzki, fot. arch.



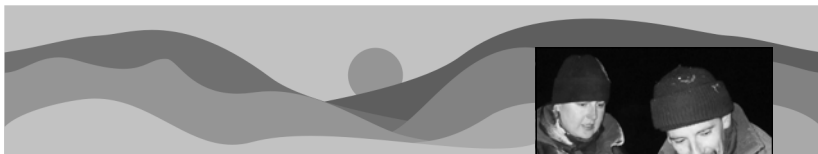
Renata Anna Piotrowska i Krystyna Roguska na zakończeniu rajdu „Beskid Niski” 1981 r. w Bieczu, fot. arch.



Obóz narciarski w Komańczy w 1980 roku. Stoją Piotr Janko i Zbigniew Gębalski „Naczelnik”,
leżą Jan Swianiewicz i Michał Bajer, *fol. arch.*



Uczestnicy kursu z 1974 roku. Od lewej Anna Lenartowicz, Wojciech Jasiński, Wojciech Starck, Ewa Piesiewicz,
Marek Kupiszewski, *fol. arch.*



Agnieszka Czarna blacha 500
i Jan St. Baran blacha 489



Dlaczego powstał Beskidzki Trakt?

Spojrzenie na Gorski Rajd Licealistów Warszawy w latach 1996-1999

Odpowiedź na pytanie postawione w tytule jest prosta – bo go wcześniej nie było. A było to tak...

W pierwszej połowie lat 90. przewodnicy prowadzący trasy na rajdach studenckich organizowanych przez nasze koło de facto przestali obsługiwać grupy licealne (nieraz całe klasy). Z punktu widzenia kierownictw rajdów problemem była liczebność takich grup i niepełnoletność jej członków. Życie studenckie rządzi się innymi prawami i mieszanie licealistów z osobami pełnoletnimi wszystkim komplikowało życie. Jednym słowem licealiści wymagali trochę innej obsługi przewodnickiej – byli mniej samodzielni, a i ich rodzicom należało się więcej informacji od organizatorów takiego wyjazdu.

Prowadząc letnie obozy dla licealistów (kołowe i komercyjne, organizowane przez biura podróży) widzieliśmy zapotrzebowanie na wyjazdy niekoniecznie tylko letnie i niekoniecznie komercyjne. Tak więc była młodzież, tylko nie miała z kim jeździć. Postanowiliśmy spróbować coś z tym zrobić.

Równolegle w kole trwała dyskusja nad przyszłością Beskidu Niskiego. Z jednej strony narzekano na brak chętnych do organizacji BN, na liczne trasy (po dobrych kilkadziesiąt osób), olbrzymie ognisko nie do ogarnięcia przez uczestników, a z drugiej dało się zauważyć duży opór w reformowaniu imprezy. Nie bez znaczenia były też doświadczenia innych studenckich kół przewodnickich w organizacji imprez dla licealistów – widać było, że w innych miastach licealiści są „zagospodarowywani”.

W tej sytuacji organizacja zupełnie nowej imprezy zdawała się nieunikniona – zaspokajała zarówno aspiracje części przewodników koła, jak i potrzeby młodych ludzi pragnących jeździć w góry w „stylu SKPB”.

Nowa koncepcja

Z luźnych rozmów, a potem coraz bardziej konkretnych dyskusji, wyłoniły się założenia nowej imprezy. Miał być to rajd, w którym uczestnictwo sprawiałoby autentyczną przyjemność - zarówno uczestnikom jak i organizatorom. Rajd (początkowo bez nazwy) miał być kameralny, na trasach do 10-12 osób. Trasy miały bardziej przypominać obozy o stałej liczbie uczestników niż luźne trasy rajdowe BN. Na rajd musiały zatem obowiązywać zapisy, zaś wyjazd odbywał się na cały rajd w zasadzie bez możliwości samodzielnego dojechania lub powrotu. Zyskiwała na tym również sama trasa – ponieważ przewodnicy nie byli tak jak na BN zobligowani do nocowania w zaplanowanych miejscach. Warto wspomnieć, że w odróżnieniu do innych rajdów SKPB, przewodnik miał opiekować się swoją trasą „od dworca w Warszawie do dworca w Warszawie”. Dzięki temu (na co liczyliśmy) rodzice mieli chętniej puszczać swoje skarby w nieznanne.

Z założenia na całym rajdzie miało być razem z obsługą mniej niż sto osób, tak by przy ognisku zmieścili się wszyscy, by dało się śpiewać i by spotkanie tras było spotkaniem wszystkich uczestników, a nie anonimowym festykiem rozproszonym między kilka ognisk. Dla porównania na ześrodkowaniach BN pojawiała się wówczas 300 i więcej osób – częściowo przychodząc z trasami, częściowo na własną rękę, a czasem dojeżdżając na ześrodkowanie „z wizytą” samochodami. Stąd pierwszą roboczą nazwą jaką się posługiwaliśmy był „Rajd Stu”. Impreza miała odbywać się dwa razy do roku – w maju (uznaliśmy że to optymalny termin – mimo kolizji z BN) i jesienią. Taki rozkład imprez w ciągu roku pozwalał na utrzymywanie kontaktów z uczestnikami – bo po rajdzie majowym chętni jechali na obozy letnie (organizowane również pod marką Beskidzkiego Traktu), zaś po wakacjach na jesienny Beskidzki Trakt. Beskidzki Trakt organizowany miał być w różnych górach.

Obszary działań

Wiedzieliśmy jak impreza miała wyglądać i do kogo była adresowana. Czas było na szczegóły. Komitet organizacyjny w składzie Agnieszki Czarneckiej, Marcina Karneckiego, Artura Więckowskiego i Janka Barana postawił sobie jeszcze jeden cel – wszelkie działania miały być możliwie mało pracochłonne, a zadania dzielone pomiędzy osoby organizujące rajd – tak, aby długie nasiadówki, które znaliśmy z pracy przy innych imprezach kołowych ograniczyć do minimum. Jako że impreza miała być nowa, w nowej formule wymagała dość wielu działań jeszcze na poziomie Warszawy. Weszliśmy z reklamą do szkół średnich. Poza rozwieszaniem plakatów, rozdawaniem ulotek, postawiliśmy na kontakt bezpośredni. Uzgadniając wcześniej z dyrekcją, na przerwach spotykaliśmy się z uczniami, by opowiadać o górach i SKPB, zachęcać do zapisania się na rajd.

Zapisy, często łączone z krótkimi pokazami slajdów, odbywały się na spotkaniach przedrajdowych. Na użytek zapisów opracowana została karta uczestnika, zawierająca m.in. zgodę rodziców na wyjazd.

Jako że naszym celem była zachowana pewna ciągłość kolejnych edycji Beskidzkiego Traktu, konieczne było, by rajd miał swoje charakterystyczne cechy. Zaprojektowane zostało stałe logo rajdu. Powstała też – dzięki staraniom Joasi Adamczyk i Janka – strona internetowa Beskidzkiego Traktu, gdzie można było znaleźć oprócz bieżących informacji na temat rajdu, tras i zapisów, dużo cennych porad sprzętowych – jak dobierać i kupować np. plecak, buty, śpiwór oraz opisy poprzednich rajdów, informacje o SKPB i rozrywkę. Podobnie rozbudowane były kolejne edycje informatorów rajdowych. Na każdym rajdzie uczestnicy dostawali koszulkę (każda edycja miała inny kolor). W podobny do siebie sposób organizowane były też spotkania tras.

Ognisko organizowane było siłami przewodników prowadzących trasę. Nie trzeba było dodatkowego korpusu pomocniczego. Musieliśmy więc znaleźć sposób na tradycyjnego (ostatnimi laty przynajmniej) rajdowego „gluta”, bez dużego gara przywożonego wcześniej. Pomysł był prosty – konkurs na gluta - każda trasa przygotowywała własny, jury degustowało i oceniało, a uczestnicy zjadali. Tradycją stało się również przeciąganie liny: przewodnicy kontra uczestnicy oraz konkurs na uczestnika, który posiada na sobie najwięcej koszulek z poprzednich Beskidzkich Traktów.

Ważne z punktu widzenia następnych rajdów było zbieranie i analizowanie danych uczestników, np. którzy uczestnicy przyszli ze spotkań szkolnych, a kto przyszedł, bo zobaczył plakat. Zbieranie kontaktów ułatwiało informowanie o kolejnych rajdach. Po każdym rajdzie uczestnicy wypełniali ankietę, w której oceniali rajd i warunki w górach, zgodność imprezy ze swoimi oczekiwaniami, spotkanie tras i przewodników. Informacje te pozwalały lepiej planować kolejne rajdy i ich akcje informacyjne. Warto wspomnieć, że uczestnicy z reguły wystawiali bardzo wysokie noty swoim przewodnikom.

Na połoninie grupę prowadzi Agnieszka Czarnecka, fot. K. Feliksbrod.



Efekty

Jak wspomniano, Beskidzkie Trakty odbywały się dwa razy w roku – wiosną (okolice 1-3 maja) i jesienią (ok. Dnia Nauczyciela) i miały poruszać się po różnych grupach górskich. Pierwszy wystartował w maju 1996 roku w Beskidzie Niskim, trasy (a było ich 6.) spotkały się w Bielicznej. Następne chodziły po Gorcach, Bieszczadach, Pieninach i Beskidzie Sądeckim. Tradycyjnie większe zainteresowanie obserwowaliśmy wiosennymi wyjazdami (30-70 osób) – na jesiennych pojawiało się 20-40 osób.

Oddzielna impreza, jaką był początkowo Beskidzki Trakt (osiem edycji w latach 1996-1999), sukcesywnie łączył się z BN. Ludzie organizujący kolejne rajdy wywodzili się z tych samych roczników kursowych, zaś wspólny termin majowy sprzyjał integracji. Wraz z reaktywacją kołowej Akcji Lato również obozy letnie Beskidzkiego Traktu zostały do niej włączone.

Do 1999 roku w ramach ośmiu edycji BT poprowadzono 36 tras rajdowych i około 20 obozów. W tym okresie przy organizacji BT pracowało kilkudziesięciu przewodników koła. Beskidzki Trakt mimo że przez kilka lat funkcjonował jako dość autonomiczna impreza w obrębie SKPB (w porównaniu do BN i Połonin) wniósł sporo nowego w życie Koła. I tak:

- materiały reklamowe powstawały wg profesjonalnych metod – zarówno w zakresie założeń, jaki i składu czy druku. Przetestowanie nowych metod przygotowywania plakatów, informatów i ulotek pozwalało korzystać z tych doświadczeń na innych imprezach SKPB, w ramach działań *public relations* udawało się doprowadzić do informacji o BT i SKPB w prasie i radiu
- spotkania w szkołach, na których przewodnicy opowiadali o rajdzie, wyjazdach, zachęcali do zapisywania się na trasy, pokazały, że kontakt bezpośredni przynosi efekty
- informator przestał być tylko spisem tras - zawierał: porady i ciekawostki sprzętowe które następnie wzbogacały stronę www Beskidzkiego Traktu, opis terenu, po którym będą poruszać się trasy, teksty piosenek, rozrywkę (krzyżówkę, zagadki logiczne o tematyce górskiej)

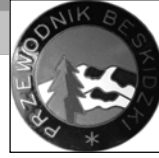
- zmienić się model finansowania – np. akcja reklamowa w całości była finansowana przez sponsorów komercyjnych, co potem z powodzeniem wykorzystano przy BN i Połoninach
- koncepcja kierownictwa kolektywnego – pozwalała stosunkowo mało czasu tracić na dyskusje – podział na zadania ułatwiał kontrole poszczególnych obszarów organizacyjnych. Organizacja rajdu nie była już tak dużym obciążeniem
- spotkanie tras organizowane siłami przewodników prowadzących trasy, bez sztabu przygotowawczo-organizacyjnego, pozwalało zachować sensowne proporcje pomiędzy chodzeniem po górach a wysiłkiem wkładanym w ześrodkowanie
- przy organizacji BT rutynowo angażowano osoby zaraz po kursie – jako asystentów osób odpowiedzialnych za poszczególne aspekty organizacyjne – były to niezłe praktyki organizacyjne, a później przewodnickie – bo osoby te jechały z reguły jako współprowadzący na trasy rajdu.

Benefity

Beskidzkie Trakty dla uczestników były szkołą chodzenia po górach. Pokazywały czym są dla nas góry, jak można po nich chodzić, czym jest „krzal”, co to są bazy namiotowe, jak gotuje się na ognisku i jak smakują kanapki z mieloną o wschodzie słońca... Wielu z nich przyszło potem na kurs, a niektórzy (i jest ich wcale niemało) stali się przewodnikami SKPB. BT był poligonem dla innych form organizacji i nowoczesnych działań reklamowych. Pokazał wartość i sens spójnych i zintegrowanych działań reklamowych i organizacyjnych. Pozostał w pamięci miłym wspomnieniem sukcesu i jednocześnie dowiódł, że warto tworzyć nowe koncepcje i podejmować wyzwania.



Odrobina wdzięku. ??, Dorota Szańska, Andrzej Ochremiak, fot. arch.



Paweł „Hrabia” Wroński blacha 362
Bogusław Wajland „Wajdelota” blacha 348

Egzaminy na przewodnika beskidzkiego w latach 1992-1998

Na początku lat 90., w wyniku zmiany przepisów (20 października 1988 r. uchylono słynne Zarządzenie nr 26 z 1968 roku w sprawie wykonywania funkcji przewodnika turystycznego), rozleciał się dawny system nadawania państwowych uprawnień przewodnickich. W 1991 roku, jak zwykle zgłosiliśmy się do Krakowa z prośbą o organizację egzaminu. Okazało się jednak, że nie ma komisji, i że nie wiadomo gdzie są dotychczasowe dokumenty. Ostatecznie zostaliśmy odesłani do Rzeszowa. W tej sytuacji, przy współpracy z Regionalną Radą Przewodnicką PTTK z Warszawy przez kilka lat sami organizowaliśmy egzaminy na uprawnienia przewodnika beskidzkiego klasy III i II.

Komisja składała się w połowie z członków SKPB z uprawnieniami klasy I i II, w połowie z przewodników wytypowanych przez Regionalną Radę Przewodnicką PTTK z Warszawy. Egzaminy miały taki sam schemat jak przed rokiem 1990. Składały się z części praktycznej – wycieczki w górach oraz egzaminu teoretycznego w Warszawie (można było do niego przystąpić dopiero po zaliczeniu części praktycznej).

Ze strony Regionalnej Rady Przewodnickiej (RRP) udział w egzaminach brali: prof. Kazimierz Jaworski, Jan Horodyski, Eugeniusz Kuśnierz, Anna Marczak-Krupa. Ze strony SKPB: Paweł Wroński (pomysłodawca idei takiej komisji), Bogusław Wajland (prowadzący cały czas sprawy formalne, tzn. papierkowe pomiędzy Zarządem SKPB a RRP), Marek Ucieszyński, Tadeusz Pyrcak, Marcin Sobkowski. Później dołączyli jeszcze: Marek Kupiszewski, Piotr Malec oraz Anna Skrocka.

Bardzo dobrze wspominamy sobie współpracę z członkami komisji ze strony Regionalnej Rady Przewodnickiej PTTK Warszawa. Z racji wieku oraz zgoda odmiennych doświadczeń, członkowie RRP nie jeździli z nami na wycieczki górskie (nieco zbyt forsowne i odległe od form turystyki przez nich uprawianej). Podczas pierwszego egzaminu w 1992 roku okazało się, że specyfika SKPB jest im zupełnie obca. Widząc jednak, że egzamin organizowany dla naszych młodszych kolegów nie jest jedynie formalnością, zrezygnowali nawet z uczestnictwa w sesjach poprawkowych, akceptując zawsze przedkładane przez nas protokoły egzaminacyjne.

Wszystkie egzaminy były prowadzone społecznie, nikt nie dostawał z tej racji Wynagrodzenia.

W latach 1992-1998 odbyły się następujące wycieczki egzaminacyjne: Beskid Makowski (11-12.04.1992), Pogórze Ciężkowickie (15-16.05.1993), Gorce (30.11-1.12.1996), Beskid Makowski (4-5.04.1998).

W roku 1992 uprawnienia przewodnika beskidzkiego PTTK klasy trzeciej uzyskali: Artur Bukowski, Agnieszka Ciesielska, Jarosław Kaczkowski, Tomasz Kostrzewski, Piotr Malec, Anna Skrocka, Piotr Szulewski (w protokole błędnie podano imię Artur).



Egzamin „państwowy” w Beskidzie Małym, październik 1993, od lewej: Piotr Wrona (513), Kazimierz Maieta (501), Maciek Filocha (507), Justyna Świdzińska (512), Paweł Pontek (505), Jarosław Karpiński (508), fot. K. Feliksbrod

Do egzaminu teoretycznego nie podeszli: Robert Olszewski (na klasę II) i Ignacy Gajo.

W roku 1993 uprawnienia przewodnika beskidzkiego PTTK klasy trzeciej uzyskali: Agnieszka Czarnecka, Ewa Ćwiklińska (poprawka po roku 1992), Krzysztof Dźwigala (poprawka po roku 1992), Marcin Wasil (poprawka po roku 1992).

W egzaminie praktycznym 15-16 maja 1993 udział wzięły tylko 2 osoby: Agnieszka Czarnecka-Baran oraz Marcin Wasil. Można powiedzieć że była to sesja poprawkowa po roku 1992, dzięki której jeszcze kilka osób zdobyło uprawnienia przewodnickie.

W roku 1994 uprawnienia przewodnika beskidzkiego PTTK klasy trzeciej uzyskali: Maciej Czapllicki, Dariusz Długaszek (poprawka po roku 1992), Konrad Feliksbrod, Longin Fiedczak, Maciej Filocha, Jarosław Karpiński, Agnieszka Kornata (poprawka po roku 1992), Marcin Kurek, Kazimierz Makieta, Magdalena Piegat, Paweł Pontek, Justyna Świdzińska, Piotr Wrona.

W roku 1997 uprawnienia przewodnika beskidzkiego PTTK klasy trzeciej uzyskali: Joanna Adamczyk, Martyna Dzięcioł, Jakub Gąsiorowski, Wojciech Gliniak, Włodzimierz Kowalski, Sławomir Michalik, Mariusz Pietrzak, Aleksandra Sadowska, Grzegorz Tyliński, Artur Wieckowski.

Uprawnienia przewodnika beskidzkiego klasy drugiej zdobyła jedna osoba: Paweł Pontek.

I tu dygresja. Komisja Egzaminacyjna przy SKPB do egzaminu praktycznego, który odbył się w dniach od 30 listopada do 1 grudnia 1996 roku (Andrzejki) w Gorcach dopuściła 24 osoby zdające na klasę trzecią oraz 6 osób, które zdawać miały na klasę drugą, czyli łącznie 30 osób. Ostatecznie na wycieczkę górską pojechało kilka osób mniej, ale i tak była to najliczniejsza, a zarazem najbardziej rozkrzyżzana i rozbrykana grupa młodych przewodników jakich egzaminowaliśmy do tej pory. Do tego niezbyt dobrze przygotowana. Stąd też prowadząc egzamin (B. Wajland, P. Wroński), zarządziliśmy pierwszego dnia manewry (dla zmęczenia przeciwnika), a faktyczny egzamin, prowadzenie grupy w niemal zimowych warunkach odbył się drugiego dnia. Kandydaci na przewodników nie pokazali się niestety od najlepszej strony i nie wszyscy zaliczyli część praktyczną...

Część teoretyczną, szybko i w pierwszym terminie zdało jedynie kilka osób, pozostali nie (mimo dwóch terminów poprawkowych). Zdarzył się też incydent podczas egzaminu ustnego w Warszawie. Jeden ze zdających nakrzyczał na członka Komisji, starszego pana z RRP! Egzaminu nie zdał. Z powodu błędu w przekazie informacji Zarząd wpisał go jednak na listę członków SKPB, gdyż egzamin przed komisją PTTK był zarazem (dla kilku osób z ostatniego kursu) egzaminem wewnętrznym do Koła. Incydent spowodował zwołanie Nadzwyczajnego Walnego Zebrania. Bohater niniejszej historii wstąpił niedługo potem do zakonu i za wiele się w SKPB nie napracował... Podczas Walnego Zebrania natomiast piany bito sporo, nikt jednak nie zapytał czy delikwent zaliczył wszystkie komisje, czy nie.

W roku 1998 uprawnienia przewodnika beskidzkiego PTTK klasy trzeciej uzyskali: Marcin Karnecki (poprawka po roku 1997), Maciej Kubacki, Adam Panasik, Agnieszka Płatkowska, Magdalena Russyan (poprawka po roku 1997), Maciej Szreter.

Ostatni egzamin odbył się w styczniu 2001 roku (już bez udziału przedstawicieli Regionalnej Komisji Przewodnickiej PTTK). W jego wyniku następujące osoby uzyskały uprawnienia przewodnika beskidzkiego: Krystyna Kowalska, Piotr Kardaś, Maciej Nowakowski, Karol Jasiński, Magdalena Kobierecka, Waldemar Graniszewski, Agnieszka Kloch, Małgorzata Gliniak, Maja Skomorowska, Maja Długolecka i Jan Dobrzański.

Warto przy tym zauważyć, że uprawnienia przewodnickie w ramach prowadzonych przez nas egzaminów zaliczyły osoby, które przez kilka następnych lat stanowiły trzon SKPB. A to znaczy, że warto było się trochę pomęczyć...

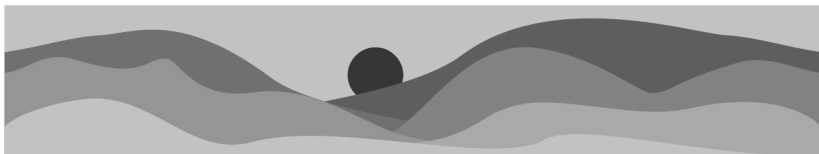
Uczestnicy przejścia letniego w 2000 r. na Kińczyku Bukowskim, *fort. arch.*





Zakończenie VIII rajdu „Beskid Niski” w 1972 r. Na rynku w Bieczu stoją: Katarzyna Piwnicka (Szczytt-Niemierowicz), Adam Kulewski kierownik rajdu, Monika Wliśniewska, Tomasz W. Łekawski i Maria Lipszyc (częściowo).





Daria blacha 543 i *Sławek* blacha 519 *Michalikowie*

Baza w Regetowie



Regetów to takie marzenie o własnym miejscu w górach: dla Koła, dla ludzi związanych z SKPB i wreszcie dla tych wszystkich, którzy mniej lub bardziej przypadkowo trafią na bazę. Marzenie to stało się bardziej realne jesienią 1999 roku, gdy Nadleśnictwo w Łosiu zgodziło się użyczyć na potrzeby przyszłej bazy namiotowej SKPB Warszawa teren przy zejściu drogi z Rotundy do Regetowa. W miejscu tym dziesięć lat wcześniej znajdowało się pole biwakowe należące do Nadleśnictwa. Wykonano wtedy między innymi wiatę i wykopano studnię. Po dziesięciu latach studnia zamieniła się w śmietnik, a z wiaty został tylko szkielet przykryty przegniłymi deszczułkami.

Na początku maja 2000 roku, w ramach Rajdu Beskid Niski, odbył się pierwszy obóz remontowo-budowlany w Regetowie. Trzeba było przygotować bazę do pierwszego sezonu: zreperować wiatę i wymienić w niej dach, zbici stół i ławki, wykopać dół pod kibelek, oczyścić studnię. Po wybraniu kilku metrów biejących śmieci ze studni okazało się, że prawie nie ma w niej wody. Na szczęście w odległości 20-30 m od bazy udało się odkryć źródło, z którego do dziś czerpiemy wodę do picia.

W trakcie trwania obozu zmieniła się jeszcze jedna rzecz: przebieg czerwonego szlaku, który miał odtąd przechodzić przez Rotundę. Jakież było nasze zdziwienie, gdy nagle pojawili się znakarze i przez środek bazy poprowadzili główny szlak beskidzki.

Właściwe funkcjonowanie bazy rozpoczęło się pod koniec czerwca 2000 roku. Pierwszym turystą (poza krewnymi i znajomymi królika), który nocował na bazie był... salezjanin z RPA. Zresztą był to jedyny turysta, który pojawił się podczas tygodniowego bazowania Trombki.

W ogóle początki były trudne: przez pierwszy sezon mieliśmy tylko dwa stare przeciekające namioty harcerki (śpało się w nich na glebie) i kilka mniejszych namiotów. Wszystkie zaś posiłki trzeba było gotować na ognisku.

Stopniowo komfort się powiększał. W następnym roku na bazie zostały zrobione podesty, pojawiło się 10 materacy z gąbek wraz z pokrowcami uszytymi przez mamę Anety oraz zaczął działać żeliwny piecyk na węgiel wygrzebany z piwnicy dziadków Mikołaja. Wcześniej jednak Maciek Kubacki musiał to wszystko przewieźć z Warszawy do Regetowa.

Dokonał tego maluchem z przyczepą. Po załadowaniu przyczepa była większa od samochodu. Wydawało się, że przedsięwzięcie ma niewielkie szanse na powodzenie. A jednak udało się! Po dwóch dniach jazdy Maciek wraz z maluchem i pełną przyczepą dotarł do Regetowa!

Równie owocny był kolejny, 2002 rok. Wtedy to baza wzbogaciła się o nowe duże namioty, wiatą została powiększona o aneks kuchenny i przykryta papą, został zrobiony prysznic.

Przez 7 letnich sezonów istnienia bazy, przewinęło się przez nią ponad 2000 osób. Czasami niezwykłych, jak ci dwaj Polonusi spędzający tu wspólnie urlop. Jeden z nich na stałe mieszkał w Londynie, a drugi – w Australii.



Wata na bazie w Regetowie, fot. arch.

Od pierwszego sezonu baza ma swoje własne zwierzątko – popielicę, a raczej całą rodzinę popielic mieszkających pod kalenicą wiaty. Innym regetowskim symbolem jest hamak, który też „od zawsze” wisi na środku bazy, obok miejsca na ognisko. Pierwszy hamak przywiózł Trombka z Ameryki Południowej.

Później na jego wzór mama Anety uszyła nowy, który służy nam do dzisiaj.

Prawie od początku towarzyszy nam w Regetowie kronika. To ona najlepiej oddaje to, co się przez ostatnie 7 lat na bazie wydarzyło. Dlatego chcielibyśmy, by pozostałą część tekstu o bazie zajęły cytaty z kroniki.

Towarzyszy nam ona w doli i niedoli życia bazowego:

„26.VII.2000

Fala powodziowa na potoku w dniu 26.VII. o godz. 21:27 zabrała ze sobą prawego buta górskiego „Scarpa Dom”, rozm. 46.

But może się znajdować w dowolnym miejscu na odcinku kładka — Regetów — Uście G. — Ropa — Gorlice — Jasło — Dębica — Warszawa — Toruń — Gdańsk — M. Bałtyckie.

Znalazcę proszę o oddanie buta bazowemu.

Adam P.”

Udziela porad:

„26.VIII.2000

Porada dnia: Jak ogrzać ręce, jeśli nie chcemy się męczyć paleniem ogniska. Oto przepis:

- 1) Potrzebne nam będą: świeczka i zapałki.
- 2) Przy pomocy zapałek zapalamy świeczkę.
- 3) Stopioną świeczką polewamy dłonie.
- 4) Po chwili jest nam BARDZO (!) ciepło.
- 5) W razie poparzenia eksperyment powtarzamy z cudzymi zmarzniętymi dłońmi.

Porady dnia udzielił Bazowy na Regetowie

Sarenka”

Kronika była również z nami na sylwestrze tysiąclecia, który spędziliśmy – jakżeby inaczej – na bazie:

„1.1.2001

Był to chyba „najcieplejszy” sylwester w moim życiu. Ale cóż! Podobno to był mój pomysł, chociaż nie jestem przekonana. Bardziej pasowałby mi do Trombki. No i ktoś podpisał ten świetny pomysł i co więcej, chociaż nic na to nie wskazywało został on zrealizowany.

W namiocie Trombki było tak gorąco, że aż zamówiliśmy wietrzenie, co bardzo skwapliwie zrealizował Sarenka otwierając nam namiot z dwóch stron. Brrrrrrrrr!

Ale i tak nie było to najgorsze! To co nastąpiło dziś rano było katastrofą. I to dzięki komu? No, bo nie przeze mnie!

Trombka zwinął razem z namiotem moje okulary i wcisnął do wora. Bardzo oryginalny pokrowiec, prawda?

Aneta Z.”

W 2001 roku w Regetowie zorganizowaliśmy obóz akcji „Opis”:

„20 VII.2001

No cóż, myślę że stali bywalcy Regetowa nie będą zdziwieni jeśli napiszę, że znowu pada. No cóż, pada. A co na to akcja Opis? Akcja Opis działa mniej lub bardziej intensywnie od kilku dni, głównie na terenie Regetowa Niżnego. Efekt jest taki, że:

- do jednego domu nas nie wpuszczają,
- pani w sklepie, chociaż na nas zarabia, to nie zawsze się cieszy na nasz widok,
- zawarliśmy mnóstwo interesujących znajomości, które zamierzamy wykorzystać do naszych pokretnych celów.

Wprawdzie nie znamy jeszcze wszystkich mieszkańców i nie wszędzie jeszcze byliśmy, ale „pierwsze koty za płoty”, a czas pokaże co będzie dalej.

W ramach integrowania się ze społecznością lokalną, na dwa dni, akcja „O” przeistoczyła się w Ochotnicze Hufce Pracy – Grupa Ekspresowej Likwidacji Bogdanowych Kopek Siana.

Dzieci miasta wyjątkowo entuzjastycznie zabrały się do pracy w polu, co zaowocowało zwiezieniem 4 fur siana, no i bliższą znajomością z wyżej wspomnianym Bogdanem (Uwaga Dziewczyno! Kawaler do wzięcia, z gospodarką i samochodem, a przy tym robotny i silny, mówią, że mistrz zapasów na Watrze).

Marta”

Na bazie przeżyliśmy też powódź:

„24 VII.2001, godzina 23:15

Baza została odcięta od świata i to wcale nie na żarty. Nasza kochana Rehetiłka, słodko szmerząca strużka, zamieniła się w huczący i grzmiący zalew przelewający się przez cały dolny poziom bazy. (...)

Skutki powodzi:

- brak mostu nad mostami, obawiam się, że nieodwołalny,
- brak połowy drogi do strumienia,
- brak boiska do siatkówki (dla koneserów mamy teraz basen),
- w najbliższej przyszłości brak kilku brzoźek.

A wszystko zaczęło się tak niewinnie. Już od rana nasz drogi Bogdan donosił, a to że nie kursuje pociąg do Krynicy, a to że zalała Kunkową, Gorlice, Ciężkowice, a to że drogi są pozrywane, i tym podobne rewelacje.

Zrezygnowaliśmy mimo to z wracania pociągiem zagórzańskim, bo za wcześniej i nie zdążyłybyśmy usmażyć pysnych

placuszków jabłkiem i Sławek miał nas na ryzyk-fizyk odwieść wieczorem do Grybowa. Jeszcze przed 19:00 zdążył nas odwiedzić Bogdan, ze świeżutką wiadomością o powodzi w Małopolsce i dzięki temu był ostatnią osobą, która przeszła przez nasz mostek, bo tuż za Bogdanem przyszła wielka ulewa i burza i zalała na naszych oczach najpierw most, potem drogę, a potem również boisko. Jest niezłe, a co ciekawe znowu pada.

Na bazie nie ma już suchego namiotu i suchego materaca. Dziewczyny rozbiły namiot w NS-ie, Daria i Sławek się przeprowadzili, Anię przygarnął Bogdan, a mnie zaraz zaleje.

Jutro rano mam być w pracy. Dobranoc.

Aneta

25.VII.2001, godzina 6:15

Komunikaty powodziowe:

- pogoda się ustabilizowała, wciąż pada i nie zamierza przestać,
- woda w rzece wróciła do swego pierwotnego koryta, ale i tak nie da się jej przejść,
- komunikacja ze światem nadal zerwana, czy tam jeszcze ktoś jest po drugiej stronie???
- leżę na nasiąkniętym wodą materacu – to się chyba nazywa łóżko wodne,
- rozważam opcję przejścia przez Rotundę, ale mogę sobie wyobrazić, co mnie czeka w Żduni,
- jeszcze wczoraj padła propozycja przejścia tzw. suchą stopą do Warszawy. Zastanawialiśmy się czy łatwiej dojść do prawobrzeżnej, czy lewobrzeżnej części,
- właściwie to nie mamy już prawie nic do jedzenia, może ktoś skoczyć do sklepu...

Chyba pójdę już spać, w końcu nie długo muszę iść do pracy...

Aneta''

Czasami trudno tu wytrwać do końca sezonu:

„31.VIII.2001

Czy jutro zwiniemy bazę? Pytanie dnia. Bez odpowiedzi, niestety.

Dziś byłem w Uściu na zakupach. Wróciłem autobusem! Kurs do Koniecznej. Z powodu remontu mostu w Smerekowcu objazd przez Skwirtne i Regetów. Widzieliście kiedyś autobus pocinający kamiennym traktem przez przełęczkę między Skwirtnem, a Regetowem? Absolutna rewelacja. Może by tak co jakiś czas wysadzić w powietrze most w Smerekowcu. Mielibyśmy bezpośrednie połączenie z Gorlicami!

1.IX.2001

Oto odpowiedź: Zwijanie bazy zostało chyba odwołane...

Dostałem od jednego z turystów. Skąd wiedział, że mi się spodoba:

na ganku
chwilami czuję się tu
niczym łazarz
siedzący na progu swego domostwa
liczący uważnie żdźbła trawy na podwórzu
liżący rany
zadane mu przez śmierć



2.IX.2001

Wyzwolenie! A jednak... Nie ma bazy, przybyła ekipa ratunkowa, a teraz już wracamy. Znow jestem wolnym człowiekiem! Cudowne uczucie.

Rozstanie bez łez, ale z chwilą zamyślenia nad tymi dwoma tygodniami...

Sarenka

Z drugiej jednak strony baza to miejsce, do którego można uciec od zgiełku świata:

„12.VII.2003 późny wieczór

Na mnie też już pora. Każde zjawienie się tu to zaskoczenie, że tak niewiele się zmieniło, że czas płynie innym nurtem – jakimś spokojniejszym. I zdziwienie, że gdy znam tu już prawie każdy kamień i drzewo, wciąż jeszcze mogę dowiedzieć się czegoś nowego... o sobie. A we mnie – cisza. Błogosławię ciszę, bo w niej słyhać wszystkie najcichsze i najskrytsze myśli.

Lato – monsun, goście – znajomi, błoto – chłód, buki – dym, obiadki – karkówka, Gorlice – szpital, wiata – dom, wiatr – smutek... To taki mały strumień (pod)świadomości.

Zegnam w zamyśleniu

Ex-bazowy Sarenk

Dzięki rozpoczętej przez Anetę akcji „Ratujmy Rotundę!” nasza baza stała się świadkiem i uczestnikiem prac remontowych na tym cmentarzu:

„16.VIII.2004

Krótki raport z kolejnego zupełnie niezaplanowanego pobytu w Regetowie.

A wszystkim winne krzyże na Rotundzie, które są i trzeba je było postawić. Więc przyjechałam tu znowu sprawować nadzór zamiast świetnie się bawić na mojej i Gosi G. kolejnej wycieczce weekendowej. Mam nadzieję, że Gosia mi wybaczy, że zostawiłam ją z 21 uczestnikami.

Ale obowiązki są przecież na pierwszym miejscu!!!

Tak więc dzisiaj krzyże już stoją na swoich miejscach i wyglądają przesłicznie, chociaż na sześciu brakuje jeszcze gontowych daszków. Ale to już niedługo zostanie nadrobione. Krzyże zyskały piękny kolor ciemny orzech dzięki pracowitej trasie Madzi Badzi, która przybyła tu ze swoim 1 (stównie jednym) uczestnikiem i dzielnie pomagali cały dzień na górze. I chwala im za to. I jeszcze chwala dzielnym turystom, którzy dziś wnieśli, z Maćkiem na czele, agregat na cmentarz. A dodatkowo chwala turystom, którzy ten agregat znoszą na dół, mam nadzieję! (...)

Aneta

Namioty na bazie w Regetowie, fot. arch.





Przeście bieszczadzkie 1989 rok, fot. J. Ciołek



Przeście Beskidów Zachodnich 1977 r. od lewej Jacek Klisowski, Marian Brzozowski, Marcin Sobkowski, Maria Keller, Barbara Rudzińska, Marek Patrzykont, Ewa Piatkowska, Zbigniew Pojmański, fot. arch.



Radek Baranowski, blacha 593

O tym, jak Baranek dzieci po górach wodził...



To było dość dawno. To znaczy, nie dawno w sensie historii Koła, dawno w sensie mojego w Kole uczestnictwa. Bo to jeszcze zanim zostałem dubeltowym prezesem i zanim na horyzoncie zaczęła majaczyć majestatyczna cyfra „50”.

Ale, od początku! Zaraz po kursie, jak to jest w zwyczaju, miałem odbyć praktyki przewodniczkie. Co prawda wcześniej marzyłem o wyjeździe gdzieś daleko, do Rumunii, na Ukrainę chociażby, ale wyszło zupełnie inaczej. Mianowicie Lena, kierowniczka mojego Kursu zaproponowała mi wzięcie udziału w przedsięwzięciu, które razem z Trombką (swoim późniejszym mężem) od kilku lat organizowali. Pod hasłem „Góry dzieciom” zabierali dzieciaki z Domu Dziecka nr 9 w Warszawie w Beskid Niski i ja, jako praktykant, wspólnie z nimi miałem poprowadzić obóz właśnie tego roku (w lato 2003). W pierwszej chwili na hasło „dzieci z domu dziecka” nieco się zawahałem. Ale potem pomyślałem – jeżeli dam radę z nimi, to potem dam radę wszystkim niesfornym uczestnikom! Zgodziłem się i dałem się wciągnąć w wir przygotowań. Bo to też cała historia! Zazwyczaj biorąc ludzi na obóz po prostu należy powiedzieć: weźcie to i tamto, wrzucić podzielone jedzenie do plecaków i naprzód. Z dziećmi z „kabaretu” (jak sami mówili na dom dziecka) to nie było takie proste. Skompletowanie sprzętu – plecaków, butów w odpowiednich rozmiarach, menażek, latarek itp. zajmowało sporo czasu – trochę gratów było zazwyczaj w DD, ale trochę było trzeba dozbierać „po ludziach”. Koniec końców kolejne wizyty w domu dziecka dawały jednak efekt w postaci zwartej i gotowej do obozu grupy dzieciaków. Właśnie – mowa o dzieciakach, ale część z grupy wyznaczonej przez p. Guzicką do wyjazdu stanowili 16 i 17-letni chłopcy, których o bycie „dziećmi” raczej nie należało posądzać. W każdym razie wszystkie szczegóły udało się dograć na czas (co nie było też proste, bo jako osoba z poza Warszawy za każdym razem musiałem wybrać się z Płocka autobusem). Przed samym wyjazdem okazało się, że jednak Lena i Trombka nie mogą z nami jechać, w zastępstwie znaleźli się Marysia i Jędrak i to oni, jako doświadczeni przewodnicy, mieli czuwać nad poprawnym przebiegiem całości. Do ekipy dołączył również Budyń, który był z dziećmi w górach rok wcześniej.

Wystartowaliśmy z Dukli, z pierwszym nodegim w Chyrowej. Okazało się już pierwszego wieczora, że znalezienie nodegia z stodole dla naszej gromadki wcale nie jest proste. Po pierwsze, było świeżo po sianokosach („Panie, a jak oni tam pospają z tego siana, tam tak wysoko, a jak się poduszka tym świeżym sianem?”), po drugie, obawa gospodarzy o własne mienie też robiła swoje („A oni palą? A ognia tam nie będzie?”). Ale jakoś się udało i w pierwszy i w kolejne dni. Wędrowaliśmy sobie tak przez tydzień i naprawdę, wiele słów trzeba by, żeby wszystkie zabawne i ciekawe sytuacje opisać. Dość powiedzieć, że było i gniazdo leśnych os i gra w piłkę z chłopakami ze

Zdymi, że odwiedziliśmy Bartne i Nieznajową, że żeby namówić jedną z dziewcząt na wycieczkę na Magurę Wątkowską musiałem paść na kolana i że cała wyprawa zakończyła się na gorlickim basenie. Ja natomiast przekonałem się, że moje obawy co do tego, że to dzieciaki z „kabaretu” były bezpodstawne. No dobra, bywały sytuacje nieco zaskakujące, jak ta gdy 12 i 13-letnie dziewczynki „rozmawiały” ze sobą używając, ogólnie mówiąc, brzydkich słów, ale *summa summarum* było po prostu fajnie. Aha, praktyki zaliczyłem.

W kolejnym roku cała akcja „Góry dzieciom” zaczęła się od zbiórki na ten cel pieniędzy w akademikach, gdzieś w kwietniu lub maju. Ech, zajrzenie do 200 pokoi w akademiku i powtórzenie tej samej śpiewki tyleż razy to poważne wyzwanie. No i te ilości miedziaków – przez całe wakacje mój tata płacił w sklepie odliczonymi paczuszkami jednogroszówek. I znowu, po skompletowaniu ekipy i sprzętu ruszyliśmy, tym razem bardziej w Bieszczady. Ten obóz prowadziłem już sam, mając do pomocy Radka i Zielę, moich przyjaciół z liceum. Jeżeli chodzi o nasze „dzieci” to większość grupy stanowili uczestnicy z lat poprzednich, co w dużej mierze ułatwiało sprawę. Ale byli też tacy co dawali popalić jak zwykle. Zaczęliśmy w Besku, odwiedziliśmy Nowotaniec, przegrywając tam mecz z lokalnymi zawodnikami, dalej Karlików i „spływ” do Rzepedzi, dzień odpoczynku w Turzańsku. Kolejno przez Chryszczatą (zwaną przez dzieciaki, nie wiedzieć, czemu „Pryszczatą”) do Huczwic i Baligrodu. Na koniec Lesko i Zagórz. Szybko to zleciało, nie obyło się i tym razem bez wesołych momentów. Ale bywało i ciężko, gdy się okazywało, że któryś z chłopców to nie chciał w góry tylko nad morze z bratem.

Rok później bratem już tylko udział w przygotowaniach do wyjazdu. Pieniądzy tym razem nie brakowało, bo przyznano nam fundusze z unijnego programu „Młodzież” (w czym wielka była zasługa Darka Ekonomiuka), ale za to współpraca z domem dziecka przebiegała jakoś opornie. Niby wszystko było ok., ale jednak przykro było, gdy mieliśmy wrażenie, że to tylko nam zależy, żeby dzieciaki pojechały w góry, a kierownictwu domu dziecka chyba średnio. Niemniej jednak, na obóz pojechała Monia i Tede, ja zjawiłem się tam tylko na chwilę pod koniec, żeby przywieźć dzieci do Warszawy. A jakże, miło było zobaczyć znajome twarze po raz kolejny!

W następnym roku nie było już akcji „Góry dzieciom”. Nie było chętnych przewodników, nie było żadnej zachęty ze strony domu dziecka. Dzieciaki, które jeździły z nami w góry już opuściły kabaret, a nowych chętnych też pewnie nie było zbyt wielu. To jednak, czego się nauczyłem prowadząc po górach te wesołe gromadki rozbrykanych nastolatków – to moje! I naprawdę, nie były to najtrudniejsze grupy, jakie przyszło mi w górach prowadzić. Bo zawsze jednak ekipa z „kabaretu” czuła pewien respekt w stosunku do nas, przewodników. Poza tym wiedzieli, że wyjeżdżając z nami dostali pewien kredyt zaufania i naprawdę nie zdarzyło się, żeby któreś z dzieciaków ten kredyt nadużyło. Dlatego będę zawsze miło te wyjazdy wspominać. Tym bardziej, że najlepszą nagrodą było zadawane na koniec pytanie: „A gdzie pojedziemy za rok?”

Wyjaśnienie użytych „ksywek”: Lena – Magdalena Wielga z d. Kobierecka, Trombka – Tomasz Wielga, Darek – Dariusz Ekonomiuk, Tede – Tadek Joniewicz, Monia – Monika Przemyska, Jędrrek – Jędrzej Gąsiorowski, Marysia – Marysia Gąsiorowska, z d. Bilewska, Ziela – Agnieszka Zielińska, Radek – Radosław Rudowski.



Agnieszka Skieterska *blacha 580*

O beskidzkim domu, co stoi pod starym orzechem

Jest takie miejsce już od lat mi dobrze znane
Gdzie wołanie ciszy, liści buków, wiosną przeplatane
W progu gościem jestem, w środku gospodarzem
Zamieszkuje tam wraz ze mną moc przedziwnych zdarzeń

fragment piosenki „Beskidzki dom”, z rep. zespołu Timur i jego drużyna

Chatka w Teodorówce koło Dukli wzięła się z naszych marzeń. Choć nie mieliśmy pieniędzy, marzyło nam się, by nasze koło przewodnickie miało swój dom w Beskidzie Niskim. I udało się!

Rozłożysty zielony orzech, wiśniowe ściany, mały przed domem. Z ganku widok na Cergową, dumnie górującą nad Duklą. Tak zobaczyłam nasz dom w Teodorówce, gdy w sobotę 5 sierpnia 2006 podjechaliśmy pod chatę po raz pierwszy. Miałam przyjechać obejrzeć ją z kimś samochodem. Niestety, tuż przed wyjazdem kolega, który miał mi towarzyszyć zachorował. To była fatalna wiadomość – w ten weekend mieliśmy przecież odwiedzić kilka miejsc, w których były domy lub ziemia do kupienia. A bez samochodu będę poruszać się znacznie wolniej. Niepocieszona stwierdziłam, że jakoś dojadę na pierwsze zaplanowane spotkanie z właścicielami Teodorówki. Tym bardziej, że specjalnie z powodu naszej wizyty państwo Jakubowicz zmienili swoje weekendowe palny.

W sobotni poranek dotarłam do Krosna. Stamtąd czekało mnie już tylko 25 minut jazdy autobusem do Dukli. Grunt, że zdążyłam na godzinę 9. Właściciele wyjechali po mnie samochodem i pojechaliśmy oglądać dom, który kilka dni wcześniej wypatrzył w internecie Radek Baranowski, obecny prezes SKPB. Chata nie miała perfekcyjnej lokalizacji (woleliśmy coś bardziej na południu), ale dobrze znaleźliśmy już ceny i wiedzieliśmy, że absolutnym szczytem naszych finansowych możliwości jest kwota 50 tys. zł. Tej zresztą i tak nie mieliśmy. Z własnych środków mogliśmy wygospodarować mniej niż połowę. Oczekiwania dostosowaliśmy więc do realiów, nie rezygnując przy tym z marzeń.

Dawniej (1992-2000) SKPB dzierżawiło łąmkowską chyzę w Bartnem. Niestety dalsze jej użytkowanie okazało się niemożliwe, bo właściciele nie chcieli się zgodzić ani na sprzedaż domu, ani na długoletnią dzierżawę, a Bartne wymagało coraz większych inwestycji. Potem nie mieliśmy chałupy kołowej. Pamiętałam jednak jak to było, gdy takie własne miejsce jest. Jak wiele osób z SKPB tęskniłam za wieczorami przy gitarze w chatkowej kuchni, pogawędkami do rana i domem, w którym można zawsze spotkać innych miłośników beskidzkich bezdroży, krzala i chodzenia po górach. Ponieważ byliśmy w zarządzie Koła postanowiliśmy sprawdzić, czy wspólnymi siłami uda nam się kupić własną chatę.

W sierpniu 2006 roku rozpoczęliśmy w internecie akcję „Dom w górach”. W czasie jej trwania za pośrednictwem list dyskusyjnych Koła i Sympatyków SKPB zachęcaliśmy naszych przyjaciół do

zrzutki na chałupę w Beskidzie Niskim. Zakup domu był pomysłem szaleńczym. Od 1998 roku, gdy rozpoczęłam kurs przewodnicki, temat ten pojawiał się z mniejszą i większą intensywnością, ale bez skutku. Cała nasza piątka, czyli Radek Baranowski, Szymon Chojnacki, Kuba Organ, Krzysiek Lisak i ja, zgodziła się jednak, że warto spróbować. Na wszelki wypadek w pierwszym mailu, który mówił o akcji porosiłam sceptyków, aby nie utrudniali nam działania. Argumenty krytyczne, podobnie jak i te przemawiające za chatą, znałam już przecież dobrze od 8 lat.

W międzyczasie szukaliśmy domu lub ziemi do kupienia. W oko wpadła nam w końcu ponad 80-metrowa chata w Teodorówce, pod szczytem Wzgórza Franków (534 m n.p.m.), w przysiółku Pierogi. Położony na uboczu, drewniany dom z 1946 roku z malowniczym widokiem na Cergową, Duklę i pasmo Chyrowej wydał nam się dobrym miejscem na bazę wypadową. Choć nie od razu i nie wszyskim.

Chata na zboczach Wzgórza Franków, którą się zainteresowaliśmy, stała pusta przez ostatnie 8 lat. Obecni właściciele kupili ją od rodziny niejakiego Świątka, który dawniej w niej mieszkał. Państwo Jakubowicz chcieli dać dom córce, ale okazało się, że bardziej potrzebowała ona mieszkania w mieście, niż malowniczo położonej chaty w Niskim. Obejrzeliśmy wnętrza, zrobiłam zdjęcia. Właścicielom, którzy na stałe mieszkają w Warszawie, lecz rezydują po sąsiedzku w lwli, obiecałam, że się odezwę. I pojechałam dalej. Z odwiedzonych jeszcze miejsc tylko Radocyna jakoś rokowała. Ziemia, która na planie wyglądała interesująco okazała się jednak bardzo podmokłą skarpą, a nie działką gdzie mogłaby stanąć chata studencka.

Po kilku tygodniach internetowej akcji okazało się, że w zakupie domu chce nam pomóc ponad 80 osób. Wówczas już poważnie myśleliśmy o chacie. Na kolejny rekonesans do Teodorówki przed podjęciem decyzji o zakupie pojechał Radek Barnowski, a potem inne osoby. Czas bardzo jednak naglił, bo chatę chcieli kupić także inni klienci, a my cały czas nie mieliśmy pieniędzy.

W końcu, z pomocą przewodników z naszego Koła, przyjaciół i uczestników naszych wyjazdów, którzy wsparli finansowo i nie tylko zakup domu, wszystko udało się dopiąć na ostatni guzik. Na chatę zaciągnęliśmy też pierwszą w historii Koła pożyczkę – 10 tys. zł. Ale udało się! 24 listopada 2006 roku chata w Teodorówce, na zboczach Gór Iwelskich, była nasza. SKPB Warszawa, po 50 latach działalności, stało się właścicielem **DOMU W GÓRACH**, który teraz, gdy Koło nie ma własnego pomieszczenia w Warszawie, jest szczególnie potrzebny. Dziś tylko od nas zależy, czym chata pod orzechem będzie w przyszłości.



Chałupa w Teodorówce, widok z góry, fot. A. Wielocha

Grzegorz Tyliński „Docent” blacha 498

W hołdzie wyznawcom krzala czyli rajd wiosenny na przełomie wieków



Od 1991 r. 3 maja stał się dniem ustawowo wolnym od pracy, rozpoczął się okres „długich tykendów”, które można było spędzać poza miastem (nazwa tykend pochodzi wszakże od tyku świeżego powietrza). Jednocześnie definitywnie zrezygnowaliśmy z organizowania zakończenia rajdu w Bieczu. Spotkanie tras nie zawsze miało miejsce na koniec rajdu. W 1991 r. trasy spotkały się już pierwszego dnia, a w 1993 r. dnia przedostatniego, bardziej zatem właściwym określeniem tego spotkania było zatem ześrodkowanie. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych spadała liczna uczestników Rajdu. Najgorsza frekwencja była chyba w 1994 r., kiedy na ześrodkowaniu było niespełna 150 osób. Od 1995 r., kiedy praktycznie było pięć dni wolnego, liczba uczestników rajdu zaczęła znowu rosnąć, a ponad pięćdziesięciosobowe trasy nie należały do rzadkości.

Mój pierwszy Beskid Niski to był rok 1992. Byłem wtedy kursantem. Moja przygoda zaczęła się niepozornie – od zszywania informatorów rajdowych. W ogóle byłem wówczas z kierownictwem rajdu trochę zaprzyjaźniony i mogłem podglądać jak wygląda organizacja Rajdu od kuchni. Dwie rzeczy zrobiły na mnie wrażenie: przede wszystkim świetny pomysł z tabelką na plakacie rajdowym, w tabelce były umieszczone start, nazwisko prowadzącego oraz miejsca noclegów poszczególnych tras. Był to okres przedinternetowy, a zatem o informacje o rajdzie nie było tak łatwo. Bardzo profesjonalnie był też zrobiony informator, ozdobiony bogatymi grafikami i sporą liczną reklam. Opłaty za te reklamy stanowiły zresztą istotną pozycję w budżecie Rajdu. Ześrodkowanie Rajdu było wówczas w Bielance. Nie obyło się zresztą bez krytyki – że na uboczu, że na północno-zachodnim krańcu Beskidu Niskiego itp. Obsługa ześrodkowania była wystarczająca, a zatem przejście dotarło do Bielanki późnym wieczorem. Pamiętam, że na Rajd udało się zdążyć z Magurami (dostałem zresztą egzemplarz od Kierownictwa Rajdu w nagrodę za pierwszą lokatę na przejściu wiosennym). Była też rajdowa pieczętka. W Bielance było ponad 200 osób, co zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie, bo jeszcze nigdy nie widziałem tylu uczestników w jednym miejscu. Kilka lat później niewiele mniejsze były moje trasy...

W Kole panuje taka niepisana zasada, że Rajd Beskid Niski organizuje poprzedni kurs. Rok 1993 był to zatem nasz Rajd. Zostałem jego kierownikiem. O organizacji tego Beskidu mogę zatem napisać najwięcej. Zasadniczo robiliśmy go we dwoje z Mareszką, korzystając z pomocy innych członków Koła przy konkretnych zadaniach. Jeżeli chodzi o miejsce ześrodkowania, to początkowo chciałem iść jeszcze dalej, niż poprzednicy i zrobić je w Kamiannej. Ostatecznie wybraлиśmy Radocynę. Rekonesans po Radocynie przeprowadziliśmy w lutym. Z dyrektorem hoteliku ustaliliśmy, że ognisko możemy zorganizować na terenie bazy namiotowej, a do dyspozycji dosta-

niemy jeszcze strych nad hotelikiem. Poddasza pozostałych budynków Leśnictwa nie nadawały się do tego, żeby nocować tam trasy. Nie było innego wyjścia – na czas ześrodkowania trzeba było rozstawić bazę namiotową. Sama baza radoczyńska jednak i tak miała za mało namiotów. Brakującą część ściągnęliśmy zatem z Wysowej (było to jeszcze przed przeniesieniem tej bazy do Huty Wysowskiej) od przyjaciół z rzeszowskiego SKPB. W dniu ześrodkowania bezludna dolina Wisłoki zapełniła się turystami, a w Radocynie stanęła „podwójna” baza. Nim jednak do tego doszło musieliśmy poradzić sobie z plakatem i informatorem. Dobra dusza wykonała dla nas przepiękne grafiki beskidzkich cerkwi, które wykorzystaliśmy zarówno do plakatu (oczywiście z obowiązkową tabelą), jak i do informatora. Informator, profesjonalnie złożony komputerowo przez inną dobrą duszę kołową, był chyba najładniejszym Kołowym informatorem. Ogłoszeń było znacznie mniej niż w roku poprzednim, chociaż najwięcej czasu poświęciliśmy na akwizycję ogłoszeniodawców. W Rajdzie ogółem wzięło udział ponad 200 osób, czyli mniej więcej tyle, co w roku poprzednim, ale na ześrodkowaniu było ich mniej. Od 1992 r. mogliśmy już bez specjalnych ograniczeń wędrować po Słowacji, trzy trasy rajdowe były to właśnie trasy słowackie. Pomimo jednak, iż ześrodkowanie ulokowaliśmy kilka kilometrów od granicy, żadna z tras słowackich na ześrodkowanie nie dotarła – na całym obszarze Beskidu Niskiego było wtedy jedno przejście graniczne – w Barwiniku, a w pobliżu jeszcze jedno kolejowe (Plavec – Muszyna). Przejście w Koniecznej otwarto dopiero rok później, a prawdziwy boom przyniósł dopiero rok 1999, gdy otwarto nie tylko przejście kolejowe pod Przełęczą Łupkowską, ale także szereg przejść turystycznych. Z atrakcji rajdowych nie można nie wspomnieć, że udało nam się otworzyć i udostępnić dla tras pobliską cerkiew w Czarnem – po raz ostatni przed jej przeniesieniem do Nowego Sącza. Sporą rajdową atrakcją był też osiołek odwiedzający nas codziennie wieczorem, należący do znanego literata, który wówczas mieszkał w Czarnem. Po kilku latach przerwy postanowiliśmy wrócić do koncepcji rajdowych znaczków. Udało nam się jednak wydać jedynie znaczek plastikowy ze skromnym napisem „Beskid Niski – Radochna” i znakami „93” w środku. Teraz po latach myślę sobie, że nie był to dobry pomysł.

Rok 1994 – ześrodkowanie w Osławicy. Były jakieś problemy ze znalezieniem osób chętnych do kierowania Rajdem. Ostatecznie plakat (bez tabelki) i informator gotowe były na dwa tygodnie przed rozpoczęciem rajdu. Uczestnicy nie dopisali, bo było ich mniej więcej połowę tego, co w latach ubiegłych. Prowadziłem swoją pierwszą z dziewięciu tras – „Remedium”. Znaczne odcinki trasy prowadziły – zgodnie z regułami sztuki – pięknym, beskidzkim krzałem. Zaczynaliśmy w Rymanowie, potem przez Wisłoczek i Polanską sziłmy do Polan Surowicznych, na następny dzień przez Kanasiówkę do Dołżycy. Trzeci dzień to był spokojny spacer wzgórzami na ześrodkowanie do byłego PGR w Osławicy, wreszcie ostatniego dnia przez Jasieniową do Komańczy. Czysty krzał! Moja trasa była największą trasą rajdową – z Dołżycy do Osławicy szło nas 25 osób. Znaczek rajdowy był taki „na agrafkę”. Wybór miejsca ześrodkowania komentowany był w Kole tak, jak w przypadku Bielanki – że za bardzo na wschodzie, że to już Bieszczady. PGR choć nie wyglądał najsympatyczniej, całkowicie spełnił swoją rolę – trasy spały w jednym miejscu i każdy miał blisko do ogniska. Na kolejnych rajdach nie było o to łatwo.

W roku 1995 kalendarz był łaskawy – na przestrzeni pięciu dni był tylko jeden dzień roboczy. Na ześrodkowaniu tras w Gładyszowie było nas podobno ponad 500. Moja druga trasa nazywała się „Repent Valpurgis” i zaczynała się na dworcu PKP w Muszynie. W pierwszych chwilach na przelężdzie pociągu znalazło mnie tylko kilka osób i trasa zapowiadała się kameralnie. Niestety kilka minut później zostałem namierzony przez pozostałych uczestników. Dotarliśmy kolejnym pociągiem do Powroźnika, gdzie mogłem wszystkich na spokojnie policzyć. Była równa pięćdzie-



Rajd „Beskid Niski” 1997, Paweł Kański (536), Krzysztof Kończak (538), fot. K. Feliksbrod

siątka! Od czterech lat – tzn. od 1991 r., gdzie na jednej z tras było 63 osoby – nie było tak dużej trasy. Z Powroźnika krzałem do Wojkowej, a potem już klasycznie przez okopy Konfederatów na nocy do Muszynki. Wynająłem stodołę i szkołę. Znalazłem bardzo dobre miejsce na ognisko, na wzgórzu, takie z widokiem na Lackową. Następnego dnia PKSem do Tyliczu (do dziś nie wiem, jak zmieściliśmy się w jednym), skąd przez Łan na Lackową. Pamiętam, że gdy najbardziej stromą część „ścianki” miałem już za sobą, „zamek” stał jeszcze na dole. Kolejny nocleg w Hucie Wysowskiej – tam na szczęście jest duża stodoła – po czym przez Wysową i Jaworzynę Konieczniańską do Regetowa. Czwartego dnia przez Rotundę na ześrodkowanie. Rotunda wówczas było to jeszcze bardzo honorne miejsce, szlak wyznakowano tam dopiero cztery lata później. Po ześrodkowaniu rajd zakończyliśmy na Przełęczu Małastowskiej. Oczywiście „Repent Valpurgis” była największą trasą XXXI Rajdu Beskid Niski.

Z uwagi na przestępność roku, także w 1996 r. układ dni wolnych był korzystny. Prowadziłem wówczas trasę „Inferno”. Nazwa i tekst w informatorze nie był chyba zachęcający, gdyż maksymalny skład osobowy to 31 osób. Większość uczestników wybrała trasę Dzikową. W kameralnym zatem składzie zaczęliśmy ze Stróży, po czym przez Maślaną Górę dotarliśmy do Bielanki. Bielanka to bardzo przyjazna rajdom miejscowość – nigdy nie było żadnych problemów ze znalezieniem stodoły, a gospodarze sami z siebie częstowali, tym, co akurat mieli – mlekiem, jajami itp. Z Bielanki doliną potoku Przysłup dotarliśmy do Nowicy, skąd krzałem na Małastowską, ten dzień był długi, bo poprzez Smerekowiec i Banne musieliśmy dotrzeć do Regetowa. Rotunda to dalej było honorne miejsce, więc następnego dnia załoiśmy ją na lekko, aby już po południu przez Jaworzynę dotrzeć do Koniecznej. Ześrodkowanie było wówczas w obiektach popegieerowskich w Ożennej. Na ześrodkowaniu uczestników było także sporo, a powrót następnego dnia był dość skomplikowany. Nam udało się wy dostać się porannym PKSem do Jasła (kurs chyba o 5:30),

a potem do Nowego Sącza. Pamiętam, że podczas oprowadzania grupy po muzeum regionalnym w Sączu przy prawie godzinnym speechu o ikonach większość uczestników po prostu zasnęła...

W 1997 r. prowadziłem trasę „Quinquagesimo Anno”. Udało mi się wówczas uniknąć katastrofy. Start trasy był w Gorlicach, było tak, że zarówno pociągami krynickim, jak i zagórzeńskim docierało się na jedną godzinę do Zagórzeń (skąd jeszcze chodziło „wahadefko” do Golic). Ja postanowiłem jechać opcją zagórzeńską, która paskudnie się spóźniła. Około dwudziestu chętnych uczestników, którzy wybrali opcję krynicką i było znacznie wcześniej, „przesiadło” się na startującą z tego samego miejsca trasę o intrygującej nazwie „PZPR”. I tak w Gorlicach – podobnie jak dwa lata wcześniej – było nas równo pięćdziesięcioro. Ach strach pomyśleć, co by było, gdyby ta dwudziestka zdecydowała się czekać... W roku 1997 powoli dawało się odczuć ograniczanie kolejnych połączeń autobusowych. Kierownictwo gorlickiego PKS-u było jednak bardzo elastyczne i gdy dowiedziało się, że jest pięćdziesięcioosobowa grupa, która chce się dostać do Owczar, podstawiło nam po prostu do dyspozycji autobus. Pomimo, że zachodnia część Beskidu Niskiego to teren dość dobrze oszlakowany, udało się znaleźć trochę krzala. Z Owczar weszliśmy na Małastowską, skąd zeszliliśmy na nodeg do Przysłupa. Dalej przez Oderne, Kwiaton, Skwirtne, Hańczową dotarliśmy do Huty Wysowskiej, do sprawdzonej stodoły. Trzeci dzień to Ostry Wierch i Lackowa z zejściem przez Basztę do Izb. Ześrodkowanie tego roku było w Banicy. To świetne miejsce, z ładnym widokiem na Lackową i łatwą możliwością dotarcia do cywilizacji. Ostatni dzień to spacer z Banicy przez Mizarne do Krynicy. Oczywiście „Quinquagesimo Anno” było największą trasą na BN '97.

Rok 1998, trasa „Aquarius”. To była trasa dziesięciolecia. To czego udało się uniknąć rok wcześniej, przyszło teraz. Było nas 69 osób! Chociaż tych, co prowadzili trasy rajdowe w latach sześćdziesiątych, czy siedemdziesiątych, liczba ta może śmieszyć. Jeżeli jednak weźmie się pod uwagę, że zmienił się także sposób prowadzenia tras – wszyscy uczestnicy chodzili, jedli i nocowali razem, a także, że trasę tę – podobnie jak poprzednie i następne – prowadziłem w pojedynkę, otrzymuje się pewien obraz. Pamiętam, jak w krzalu pod Polańską (trasa zaczynała się w Rymanowie, a pierwszy nodeg zaplanowany był w Polanach Surowicznych) musiałem wrócić się do „zamka”. 69 osób zdjęto plecaki i na nich usiadło, każdy zajmował zatem ok. 3 metrów. Aby dojść do „zamka”, musiałem wrócić się ponad 200 metrów! Zmorą były beskidzkie sklepy. Przy przyjęciu, że każdy z uczestników robi zakupy przez 2 minuty, pobyt trasy w sklepie musiał trwać prawie 140 minut – ponad 2 godziny! Tyle zajęły nam pobyty w sklepach w Woli Niżnej i Barwinku. Standardowo na trasy zabierałem ze sobą tzw. kubetek – 12 litrowy kociołek. Był on w zupełności wystarczający na trasy 30 osobowe, przy 50 osobowych robił się problem. Dla trasy blisko siedemdziesięcioosobowej trzeba było gotować na dwa razy. Wpisowe zbierałem wtedy prawie półtorej godziny. Dodatkowym problemem były narkotyki. Informator rajdowy dosyć silnie akcentował bezalkoholowy charakter rajdu. Milczał jednak o pozostałych używkach – papierosach, kawie, narkotykach... Na postojach kilkunastoosobowa grupa uczestników siadała w kole i puszczała w obrót skręta. Przyznam, że trochę nie wiedziałem, jak mam zareagować. Na szczęście po dwóch i pół dnia (w Barwinku), uzależnieni zdecydowali się na wyjazd do domu i problem sam się rozwiązał. Przypomnijmy zatem dalszy przebieg trasy: na drugi dzień z Polan przez Kamień nad Jałiskami dotarliśmy do Zyndranowej. Kolejnego dnia przez Barwinke i Baranie (jeszcze ze starą wieżą) dotarliśmy na ześrodkowanie do Olchowca. Z Olchowca autobusem do Krosna. Przypomnijmy jeszcze, że rok 1998 był ostatnim rokiem, w którym kursowały „Karpaty”, najszybszy i jeden z najtańszych sposobów docierania z gór do Warszawy.



Beskidzka sielanka, fot. M. Grycz

Moja szósta trasa rajdowa, w 1999 r. nosiła nazwę „De Profundis”. Z perspektywy lat uważam ją za swoją najlepszą. Znowu prowadziłem największą trasę rajdową, ale tym razem było nas „tylko” 61 osób. Start w Krośnie, skąd autobusem udaliśmy się do Polan. Krośnieński PKS stanął na wysokości zadania i podstawił nam dodatkowy autobus, który jechał 10 minut po planowym kursie Krosno – Polany – Krempana. Z Polan wkrzalowaliśmy się na grzbiet graniczny poprzez wierzchołek Czerszli 731, skąd poprzez przepiękne doliny Hutycy Polańskiej i Cieciani (wtedy jeszcze przechodził tam szlak) dotarliśmy do Ożennej na nocleg. Z Ożennej poprzez Radocynę dotarliśmy do Koniecznej. Przedostatniego dnia z Koniecznej poprzez Jaworzynę dotarliśmy do Regetowa na ześrodkowanie. Ostatni dzień to krótkie przejście z Regetowa przez Kozie Żebro do Wysowej, skąd autobusami do Nowego Sącza. Regetów to też było świetne miejsce na ześrodkowanie. Uroczą dolina z łatwą możliwością powrotu do domu poprzez Wysowę. Do historii Koła przeszły trzy ogniska rozpalone obok siebie, tak aby jak najwięcej osób mogło się ogrzać.

4 kwietnia 2000 r. urodziła się największa miłość mojego życia i kolejny Beskid Niski odbył się beze mnie. Wróciłem na Rajd w roku 2001 trasą „Ut unus sunt ?” Zaczynaliśmy z Tylicza i poprzez Lackową, Hutę Wysowską (znowu nocleg w zaprzyjaźnionej stodole), Jaworzynę, Regetów (nocleg) dotarliśmy na ześrodkowanie do Zdyni. Ześrodkowanie tras na terenie Zjednoczenia Łemków do dziś wzbudza emocje. Estrada, nagłośnienie, syntezator... Na szczęście wieczorem zapłonęło ognisko i było już jak zawsze. Kierownictwo Rajdu załatwiło nam PKS, który z Bartnego zawiózł nas do Stróży na „Malinowskiego”, ostatniego dnia mogliśmy zatem zrobić sobie wycieczkę na trasie Zdynia – Banica – Bartne. Rok przerwy zrobił swoje i trasa, którą prowadziłem była prawdziwie kameralna – było nas tylko 25 osób. W 2002 r. ześrodkowanie było w Hucie Polańskiej, a ja prowadziłem trasę „Ecclesiastes”. Kalendarz znowu był łaskawy, a zatem trasa była pięciodniowa. Zaczynaliśmy w Grybowie, skąd poprzez Chełm i Wawrzkę dotarliśmy na nocleg do Bielanki.

Z Bielanki doliną potoku Przysłup przez Oderne i Kwiatów przenieśliśmy się do Regetowa. Z Regetowa czekał nas maraton do Ożennej po niebieskim szlaku (ze zboczeniem do Radocyny), więc grupę poderwałem o 5 rano. *Ledwie dzionek się obudził/Głośny stukot w drzwi/Zrywał ze snu biednych ludzi/Czarny Robson, traserz, chief...*To chyba piosenka o mnie. Z Ożennej już tylko skok na ześrodkowanie. Było nas 38 osób, a zatem stosunkowo niewiele. Wreszcie ostatnią, dziewiątą trasę rajdową, prowadziłem w roku 2003. Trasa nazywała się po prostu „Cirrus Minor”. Sporym wyzwaniem było sprawne przemieszczanie się po Beskidzie. Większość połączeń autobusowych, a także połączenie kolejowe do Gorlic, funkcjonowało jedynie w dni robocze. Zaczynaliśmy w Gorlicach, skąd przedostaliśmy się do Wysowej. Pierwszego dnia na szlak wyruszyliśmy po godzinie 14⁰⁰. Na szczęście nie było daleko – przez Jaworzynę do Regetowa. Drugiego dnia już trochę dalej z Regetowa, po Głównym Szlaku Beskidzkim do Bartnego. Wreszcie trzeciego dnia poprzez Banicę i Magurę Małastowską na ześrodkowanie do Owczar. Zeszło nam się w Bartnem (zwiedzanie cerkwi – muzeum), a potem dogoniła nas burza. Do Owczar dotarliśmy już pod wieczór. Z Owczar nie było żadnych problemów, aby dotrzeć do Gorlic, skąd przez Kraków wycofaliśmy się do domu. Raid ten przejdzie do historii jeszcze z jednego powodu – był to pierwszy raid, który został rozreklamowany praktycznie wyłącznie w internecie. Plakaty były, ale odsyłały do informacji na stronach www, zrezygnowano natomiast w ogóle z informatora. Na „Cirrus Minor” przyszło znowu 38 uczestników, tym razem była to jednak największa trasa rajdowa – trochę szczęśliwie, bo na drugiej co do liczebności trasie było zaledwie o jednego uczestnika mniej. Sprawy rodzinne sprawiły, że „Cirrus Minor” to ostatnia trasa rajdowa, jaką poprowadziłem.

W latach dziewięćdziesiątych Raid Beskid Niski stał się zdecydowanie naszą sztanदारową imprezą. Ponad pięćdziesięciosobowe trasy i sięgające pół tysiąca uczestników ześrodkowania. Dla mnie była to także największa przewodnicka przygoda. Poza Rajdem nigdy nie prowadziłem tak dużych grup. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek poprowadzę trasę rajdową. Trasy na tym studenckim wszakże Rajdzie powinny być prowadzone przez osoby o wieku i sercu studenta. *Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść/Niepokonanym...*, na przełomie kwietnia i maja mam jednak pewnie nie dające się przewyciężyć poczucie pustki.

Ześrodkowanie rajdu „Beskid Niski” w Włstoku Górnym w 2006 r., fot. K. Organ



Alicja Słoma blacha 587

Czy miałam pojęcie jak to będzie?



Wydaje mi się, że tak niedawno pojechałam pierwszy raz w Beskid Niski. Pamiętam swoje nieśmiałe wejście w te góry. To wrażenie, że niebo ciężkie od szarych chmur zaraz przysiądzie na grzbiecie góry. I drogę przez Bartne: zastoniętą deszczem cerkiew, kamienne krzyże, chałupy...

Był pierwszy dzień kalendarzowej jesieni, za oknem deszcz i ryki jeleni, a w schronisku ognie na kominku, moje okrągłe od zdziwienia oczy i wypowiedziane przez kogoś w trakcie rozmowy zdanie o kursie przewodnickim. Nawet nie opowieść. Po prostu kilka słów. Nie wiedziałam wtedy, że te słowa we mnie zostaną. Że przypomnę o sobie w jakiś szary wieczór, że będą mnie mamić, kusić, intrygować. Że zawiadą mnie do Warszawy (no i co z tego, że do Warszawy nie jest zbyt blisko) i że w końcu będę mogła przypiąć sobie małą trójkątną blachę. Jestem przewodnikiem. Pomimo braku koła przewodnickiego w Poznaniu. Pomimo dezaprobaty i zdziwienia znajomych. Pomimo samej siebie.

Czego się wtedy spodziewałam? Nie wiem. Co sobie wyobrażałam? Niewiele. Czy miałam pojęcie jak to będzie? Żadnego. Raczej nosiłam w sobie przecucie przygody i dobrej zabawy.

I się nie zawiódłam, bo gdy spoglądałam wstecz, na tamten nieodległy przecież czas, mogę się tylko uśmiechać.

Wycieczka na zapoznanie

Dla wielu z nas był to Wyjazd Pierwszych Razów: uczenia się mapy, robienia panoramek, nieśmiałych prób prowadzenia, spania w letnim śpiworze przy -10°C , pytań gdzie jesteśmy i licznych dobrych rad: gdy słyszysz, że ludzie się potykają – zwolnij, na mapie pokazujemy wskaźnikiem, jeden „got” to sto metrów podejścia lub jeden kilometr po płaskim, zawsze mów grupie, co robimy w danym momencie, unikaj jarów, trzymaj się grzbietów.

To tylko niektóre z zaleceń, które mniej lub bardziej skrzętnie próbowaliśmy zapamiętać i wprowadzić w życie. Na ile nam się to udawało przekonał się na zimówce.

Zimówka 2-10.II.2002

Olchowiec – mały koniec świata, właściwie nie widywany za dnia. Łemkowska chyża bez prądu, z wodą noszoną ze studni. Średnia snu: cztery godziny na dobę. Niekończące się potoki półśrówek wymyślane przez kursantów. Przemoczone, nigdy nie wysychające buty suszone z uporem na małym piecu. Rodzące się między ludźmi sympatie i ciche porozumienia.

D z i e ń 2 Fajny dzień: słoneczny i na nartach. Wszystko byłoby dobrze, gdyby przy zjeździe z Baraniego nie rozwalili mi się but. Od tego momentu głównie żałuję, że nie jestem wyższa, może zapadałabym się wtedy tylko do kolan? Zapadam się w śniegu, wygrzebuję, zapadam, wygrzebuję, zapadam, wygrzebuję... I staram się nie myśleć, że od śniadania jedliśmy tylko kilka kostek czekolady, a już jest pora kolacji i do chaty daleko.

Którędy na Wapno? Zimówka 2002 r., fot. A. Słoma



Dzi e ń 4 Narty zostają w kącie. Słońce przygrzewa i śniegu jest tak mało, że musielibyśmy je cały czas nosić.

Dziś mamy za zadanie obejrzeć przynajmniej jeden ikonostas. Rzecz wydaje się banalnie prosta, gdy patrzy się na trasę która prowadzi przez: Krempną, Kotań, Świątkową Małą i Wielką. Nie należy jednak zapominać, co *Kursant* potrafi. Skończyło się na zobaczeniu z zewnątrz cerkwi w Krempanej i Kotani, oraz z daleka i w biegu cerkwi w Świątkowej. Może to przez ten atak śmiechu, którego dostaliśmy na środku drogi przypominającej oblodzeniem tor bobslejowy? Tylko dlaczego prowadzący nie śmiał się razem z nami? Czyżby dlatego, że go nie było? A może to wina Koziego Wierchu, który ponoć było widać podczas panoramki? Albo tej Suchani, która na nas czekała w środku nocy?

Wieczór to już utarty schemat: katecheza (na której nikt nie może spać), referat (na którym przysypiają wszyscy oprócz referującego), czekanie na herbatę (której zawsze jest za mało, bo woda nie chce się zagotować).

Dzi e ń 5 Mam prowadzenie razem z Marcinem. Najpierw Marcin: udało mu się ominąć Wapno, bo poszliśmy nie w tę stronę co trzeba. A potem ja: udało mi się ominąć Ostry Dział, bo poszłam nie do końca w tę stronę co trzeba. Gardło mnie boli i coraz trudniej mi mówić, a Marcin ma nas zaprowadzić jeszcze na Wapno, to które ominęliśmy rano. Maciek zaproponował mi szybki powrót do domu, ale się nie zgodziłam. Głupia. Z tego Wapna pamiętam tylko mgłę, i że szłam, bo nie mogłam się położyć, no i jeszcze, że dostałam prowadzenia, no i że mi je w końcu zabrali.

W efekcie znów wróciliśmy do chatupy po północy.

Dzi e ń 8 Dzisiaj wyjazd. Pierwszy raz od przyjazdu widzę chatę w dziennym świetle. Pakujemy się, sprzątamy, zastanawiamy się skąd mamy tyle czarnych skarpetek do których nikt się nie przyznaje i idziemy do muzeum. Czy można za dnia, idąc przez wieś, skosić jara? Ano można. Nam się udało, bo szliśmy na skrót.

I już zaraz wyjazd. I jednocześnie przyjazd ostatniej grupy zimówkowiczów. My zadowoleni, oni niepewni, co ich czeka. My niedomcy, oni czyściutcy. My bogatsi o nowe doświadczenia, oni nawet nie spodziewający się czego się nauczą. My... Oni... Kurs 2001/2002.

Chrześcijańskie Tradycje Podkarpacia. 23-24.03.2002 Beskid Makowski

1. Zbliża się 24⁰⁰, a my ciągle nie możemy znaleźć tej wiaty, w której mamy nocować. Dookoła tylko śnieg, pola, łąki i lasy oraz jakaś wieś mająca niedaleko. A wiaty nie ma. Za to wieje i pada śnieg. Tydzień wcześniej na Pogórze Ciężkowickim, wygrzewaliśmy się w słońcu i rozkliwialiśmy nad kwiatami, a teraz bawimy się w bałwany. Dlaczego?

Wiaty zniknęły, więc idziemy szukać stodoły. Późna noc zamknęła wieś na klucz i nawet psy nie reagują na nasz przemarsz. Stodół nie widać, zaraz tam coś mający. Idę z prowadzącym jako „sierotka” i wracamy z tarczą. Mamy do dyspozycji cały dół domu: kuchnię, łazienkę, pokój.

2. Dziś Niedziela Palmowa – w pośpiechu dokańczamy naszą palmę wielkanocną i ruszamy z nią do Tokarni. Trzeba przyznać, że na tle wszystkich tych barwnych i starannie wykończonych palemek, nasza prezentuje się dość oryginalnie. Przypomina wielką zieloną miottę więc nic dziwnego, że wzbudza powszechne zainteresowanie. Przed kościołem i w kościele tłumy ludzi z barwnymi palemkami i palmami kilkumetrowej długości. Nawet padający śnieg wydaje się nabierać kolorów od tych barw. Po mszy podchodzi do nas jakaś kobieta i w ciepłych słowach wyraża się o naszej palmie. Mówi nam też o tradycji, która głosi, że kogo się taka poświęconą palmą uderzy, temu szczęście będzie sprzyjać przez cały rok i że ona w związku z tym miałaaby taką prośbę... No to rozdajemy szczęście na prawo i lewo: sobie, kursantom z Krakowa, tutejszym mieszkańcom.



Z wielkanocną palmą w Tokarni w Beskidzie Makowskim, fot. arch

Przejście letnie 29.06-14.07.2002 r., Bieszczady

29. VI

Na bazie w Jasielu jak zwykle zieleń i święty spokój. To co dzieje się w nas to już inna sprawa. Aśka siedzi obok mnie i chyba z dziesiąty raz słyszę: żebym tylko nie dostała jutro prowadzenia. Żebym tylko nie dostała jutro prowadzenia.... Kiedy kadra ogłasza, kto jutro prowadzi, Aśka tylko kręci głową i z rezygnacją sięga po mapę i przewodnik.

30 VI

Fajnie się zaczyna. Idę z Jurkiem w tak zwanej Samodzielnej Grupie Operacyjnej. W Moszczańcu oddajemy się błogiemu lenistwu czekając na autobus. Na Dyszowej szukamy buraka, ale się z nim minęliśmy i zesłaliśmy dokładnie tak jak powinniśmy. Nad Jeziorkiem Duszażyński urządza sobie nocne tańce setki świetlików. Cudnie to wygląda.

4 VII

Znów jestem w SGO. Tym razem na prowadzeniu Jędrka. Kiedyś przejście Otrytu bez zabłądzenia uznawane było za nie lada wyczyn. Dziś sieć leśnych dróg odbiera nadzieję na problemy z orientacją. Nie martwi nas to jednak nadmiernie, bo jak do tej pory na brak krzala nie mogliśmy narzekać. Kiedy schodzimy do Chmiela, zaczyna padać. Konie przeczekują deszcz pod starą, pokrywaną jabłonką. Nas zaprasza na podwórze właściciel koni. Gdy się trochę przejaśnia, uzupeł-

niamy zapasy wody i nie zważając na deszcz urządzamy sobie kąpiel w Sanie. Przyjemnie tak tapląc się w ciepłej wodzie, zmywać z siebie zmęczenie, niewyspanie i błoto.

Deszcz towarzyszy nam przez resztę dnia. Mżawka przemienia się w deszczyk, deszczyk w deszcz, a deszcz w ulewę. Przemoczeni docieramy na miejsce noclegu i nawet nie jesteśmy specjalnie zaskoczeni słysząc: manewry.

4 - 5 VII

Nie da się ukryć, że ich przebieg był bardzo daleki od oczekiwań kadry. Wieczorem dano nam to wyraźnie do zrozumienia. No ale od początku.

Sierotka na deszczu – to ja. Chłopaki rozbijają namioty. Do jednego plecaki, do drugiego my: ja, Darek, Artur, Jędrak. Na kolację woda z butelki i suchy chleb. A rano słońce i pobojowisko dookoła namiotu: to jakaś siekiera, to puszka z jedzeniem, to sosik itp. Zbieramy to wszystko i zabieramy. I pęczniejemy. Narastającym w nas powoli buntem. Efekt? Dwie pary manewrowe zmieniły się w jedną grupę, która na dodatek przyciągała i wchłaniała okresowo i inne dwójki. Zmodyfikowaliśmy też radykalnie trasę manewrów. Zaczęło się od tego, że nikt nas nie chciał zabrać na stopa. Czemu się nie dziwię, bo ani my, ani nasz dobytek rozłożony dookoła do przesuszenia, nie wyglądaliśmy zachęcająco. Doczekaliśmy się w końcu autobusu i już nie dało się dłużej zwlekać, trzeba było wejść na jakąś górkę. Przebiliśmy się przez wieś, wysokie pokrzywy, gęste jeżyny i po jakiejś godzinie postanowiliśmy zregenerować nasze nadwątlone siły. Najpierw jedzenie, a potem Kosowiec. Nasz posiłek nie był zbyt urozmaicony. Jedynym odstępstwem od kanapek z żółtym serem i paszтетem były dwie kanapki z ćwiartki chleba. Też z serem i paszтетem. I gra o jedną z nich w złośliwca. Kto wygrał? No kto mógł wygrać, jeśli w naszej sześciuosobowej wtedy grupie była tylko jedna dziewczyna? Ech...

Po jedzeniu poniosło nas na Kosowiec. A z Kosowca na mostek na potoczku, gdzie urządziliśmy sobie zabawę w misie-patysie. Radosną atmosferę zmroziło nieco pojawienie się naszej kadry, która przemaszerowała przez mostek nie rzucając nam nawet jednego chłodnego (choćby) spojrzenia. Odczekaliśmy chwilę i pomaszzerowaliśmy do Nasicznego. Oczywiście nikogo na bazie nie było, więc postanowiliśmy zagospodarować nadmiar czasu i poszliśmy na herbatę na przelęcz Przystup.

To były bardzo udane manewry. Przynajmniej według naszej czwórki.

Na to co powiedziała nam na ten temat kadra, lepiej opuścić zasłonę milczenia.

7 VII

Doczekałam się prowadzenia. Zaczęło się wielką akcją pod hasłem: Gdzie jest but Izy? Zbiorewe poszukiwania nie przyniosły pożądanego rezultatu. Iza rozpoczyna indywidualną działalność, a my grupowo idziemy zobaczyć, co ciekawego jest na Grandysowej. Po kilkunastu minutach Szczawiu stwierdza, że źle się czuje i wraca. Zostało nas już bardzo mało, co wcale nie jest takie złe, bo idziemy dziś praktycznie bez jedzenia. Dlaczego? Tego chyba nikt nie wie. Mam o tyle dobrze, że moja grupa jest mniej liczna niż grupa Tomka (obecnego „żarciowego”) i ma mniej chłopaków, więc mamy szansę nie być głodni.

Gdyby nie ilość asfaltu do Beniowej szło by się całkiem miło. Niestety nie mogliśmy skorzystać z dojazdu autobusem, bo kadra stwierdziła, że za dużo już tego dobrego i wprowadziła zakaz. Co prawda nie obowiązywał on zbyt długo i został szybko zniesiony, ale co sobie w jedną stronę „poasfaltowaliśmy” to nasze. Przynajmniej wzrosły nasze szanse na uzyskanie AOT (Asfaltowej Odznaki Turystycznej). No to szliśmy. I szliśmy. I szliśmy. I szliśmy. Przy torfowisku zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek. W Beniowej zapadła decyzja o wcześniejszym powrocie Darka, który miał zorganizować nam transport powrotny (Ufff...). Gdzieś w Worku znów zasiedliśmy do skąpego, ale



Trasa na rajdzie „Beskid Niski” w 200? r., fot.



Egzamin państwowy na stokach Cergowej 2001 rok, fot.



Przejście letnie 2006, fot. arch.



Przejście letnie 2005, fot. arch.



W Gorganach, fot. arch.



W Gorganach, fot. arch.



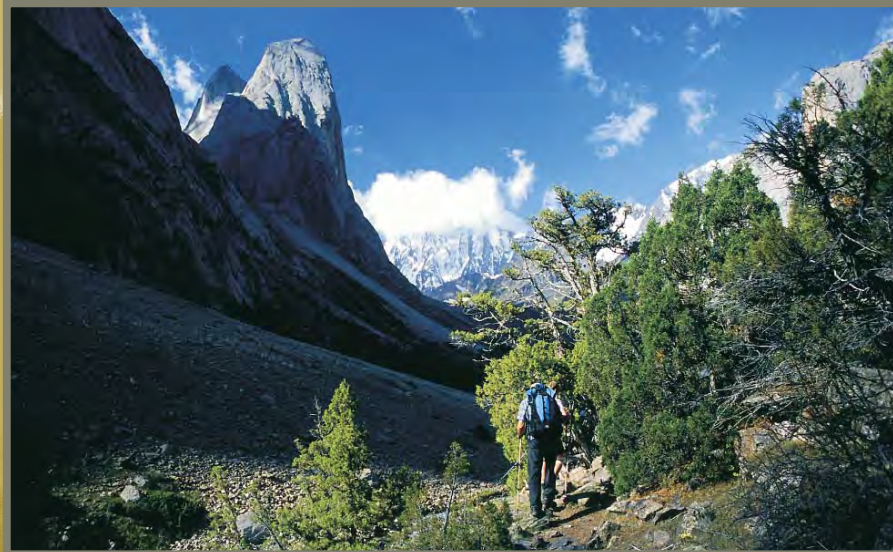
Góry Rodniańskie, biwak pod szczytem Repede, *fol. arch.*



Góry Rodniańskie, biwak na jeziorze Cailor, *fol. arch.*



W dolinie Ming-Teke. Stoją: Michał Skrzyniarz, Kasia, Konrad, Ania Romaniuk, Kuba Organ, Łukasz, Dorota, Mikołaj Łeniewski, Hania, Karolina, Darek, na dole: Paweł, Piotr Bielawski, Ania Jawor-Joniewicz, Michał Janik, Tadek.



Wyprawa „Kirgistan” 2007, wędrownica doliną Karasu, fot. arch.



Altaj 2002. Droga nad Jezioro Szawło, fot. arch.



Altaj 2002. Od lewej Agnieszka Skieterska, Asia Matuszewska-Barnowska, Zosia Kowalska, fot. arch.



Po latach blacha nr 88 wraca do właściciela. T. Kowalik, W. Wiatr, S. Łobodziński, K. Druzgalski, fot. A. Wielocha.



Kurs 1974 po latach. W. Staniewicz, B. Stanek, J. Wróblewski, A. Wielocha, J. Katuszko, E. Piesiewicz, W. Jasiński, M. Kupiszewski, fot. A. Wielocha



W. Michałowski, E. Kuna, Sz. Marczyński, I. Michałowska, A. Kulewski, J. Lewandowski, J. Wesotowski, K. Starosta, fot. A. Wielocha



Ekipa organizacyjna na ognisku na jubileuszu 50-lecia Kóta w Wetlinie, fot. A. Leszczyński

bardzo pożywnego posiłku. Dogoniła nas wtedy grupa Tomka. Maszerowali szybko. W ich oczach widać było głód. W ich ruchach widać głód. Ich usta krzyczały: JEŚĆ!!!! Zjedli skórki od ogórka, wylizali puszkę po rybkach i słoik od dżemu i pomknęli dalej.

Pamiętką po prowadzeniu Tomka została piosenka ułożona przez Jędrka, Artura i Marcina (śpiewać na melodię piosenki „Winnoczek”).

Marzy mi się micha pawia i kubek herbaty
Puszka śledzi, Czekolada, Kluski jak u taty
Który z kursantów mielonkę w plecaku chowa
To tego kursanta wrzucimy do „rowa”.
Żarcie było, żarcie było, Micha pawia
Żarcie było, żarcie było, Czekolada.
Już nie mlaszcze, już nie mlaszcze pełna buzia
Czy Ciebie, czy Ciebie... to nie wkurza?
Zażołeś, zagłodziłeś dzisiaj całą grupę. (bis)
Grupa cała tu pod drzewem leży martwym trupem. (bis)
Leży martwym trupem, bo już nie ma siły. (bis)
Przesadziłeś z tym tojeniem przewodniku miły. (bis)
Przewodniku miły, dalej nie pójdziemy. (bis)
Choćbyś nas wołał ciągnął tutaj zostaniemy. (bis)

9 VII

Nocleg niedaleko szczytu obiecuje widokowy wschód słońca. Kto chętny? O której trzeba wstać? Ogólny gwar przerywają ogłoszenia kadry. To informacje dla wszystkich tych, którzy potraktowali manewry inaczej: dla mnie, Jędrka, Darka, Artura, Marysi, Szczawia, Budynia, Marcina, Jurka, Łukasza P. Będziemy mogli wykazać się na nocnych manewrach. Długość trasy, a co za tym idzie, ilość snu jest wprost proporcjonalna do stopnia odchylenia od należytego wykonania poprzednich manewrów. Dla mnie, Darka i Artura niespodzianka w postaci prowadzenia w dniu następnym.

Karne manewry.

Jedni układają się do snu, inni pakują plecaki i z mapami w garści odmeldowują się u kadry. Jestem w parze z Darkiem. Trasa naszych manewrów pokrywa się na początku z moją jutrzejszą trasą. Lubię takie noce – po upalnym i męczącym dniu to sama przyjemność tak sobie iść i czuć orzeźwiająco podmuchy wiatru.



W bród przez Ostawę, przejście letnie 2002, fot. A. Słoma

Szukanie cmentarza w Strubowiskach, spanie na przystanku i uczenie się do prowadzenia stanowiło zabawną odmianę. Trochę gorzej było na podejściu pod Jasło. Byliśmy już zmęczeni, więc jak tylko dotarliśmy na miejsce noclegu, wywlekliśmy z namiotów karimaty i tak jak staliśmy, nie zważając na słońce i jagody w których się układamy, poszliśmy spać.

11 VII

Pobudka miała być o ósmej. Kto ją zrobił? Nie mam pojęcia. Na pewno nie ja. Zbieram moją i idziemy prostą, znajomą drogą. Szłam nią przecież w nocy, kilka godzin temu. Za Małym Jasłem skręcam w prawo, pokazuję miśka, który utworzył się z chmur i... nagle odkrywam, że jestem w lesie, trzymam w ręce kompas i idę nie w tym kierunku, co trzeba. Chyba usnęłam w marszu! Otrząsam się ze snu i koryguję kierunek. Idziemy na lody do karczmy Biesisko. Lody zostają okraszane opowieścią o kolejce wąskotorowej (nawet całkiem przytomnie opowiadałam) i zbieramy się do wyjścia. Zaczyna padać. Gdzieś w oddali grzmi. O! Już grzmi blisko nas. Następuje modyfikacja planu i zamiast w góry iść, czekamy na autobus. To było całkiem miłe oczekiwanie – zwłaszcza dla chłopaków, którzy kupili od dostawcy mrożonek pudełko lodów (12 szt? 24 szt?) i wszystkie je w tym czasie zjedli.

W Dołżycy nastąpił mały konflikt pomiędzy instruktorem a prowadzącym i testowaliśmy odmienne sposoby realizacji planu. Co w praktyce sprowadziło się do wchodzenia na przetęcz różnymi stronami potoku. Przy czym my Adasia widzieliśmy, a on nas nie.

W Łopience jak zwykle jest swojsko. Przy orzeźwiającej herbacie, którą częstują nas bazowi, dzielimy się wrażeniami. Okazuje się, że tylko Darek nie poddał się działaniu snu. Artur popadł w senny letarg opowiadając o cerkwi w Łopience. Za chwilę koniec prowadzenia. Hurrria!

12 VII

W Cisnej znów dostaję prowadzenie. Patrzę na Adama przekonana, że żartuje. Jednak nie, Jacek pociesza mnie: widocznie coś im się nie podoba w twoim prowadzeniu. Hm! Cóż tu dodać!

Na Hyrlatą docieramy w gęstej mgie. Teraz już tylko zejście do Solinki. W pewnej chwili Adam, klepie mnie w ramię i pokazuje coś z przodu. Staję na palcach, by lepiej widzieć i jednocześnie dobiega mnie szept Adasia: to chyba niedźwiedź! Hm... moja niezbyt rozległa wiedza z zakresu zoologii podpowiada, że to co widzę faktycznie przypomina tyłek niedźwiedzia. Rezygnujemy z bliższego poznania tego gatunku bieszczadzkiej fauny i na palcach wycofujemy się na główny szczyt.

13 VII

Wola Michowa – dziś ta miejscowość oznacza dla nas coś więcej niż tylko miejsce noclegu. To miejsce zakończenia przejścia. Dowiemy się jak oceniono nasze dwutygodniowe zmagania. Siedzimy w towarzystwie Skrzyniarza przy ognisku i czekamy na swoją kolej. On nam nie każe się przejmować, a my z napięciem czekamy na osoby, które odmeldowują się u kadry i kierownictwa kursu. Nie wszyscy mają powody do radości. Coraz więcej osób może iść spać, staram się nie usnąć, czekając na swoje „S”. Wreszcie i ja mogę spokojnie zamknąć oczy. Budzi mnie walenie w jakiś garnek czy też wiadro i głos niosący się ponad tym hałasem: „myślicie, że druhna Kasia głupia jest? No który spróbuje podejść? Myślicie, że tak łatwo zdobyć staniak druhny Kasi?” Gdzie ja jestem? Po co mi biustonosz Kasi? Jakiej Kasi? Ach, to jakaś harcerska gra. Z ulgą odetchnęłam kiedy ktoś spacyfikował druhnę Kasię. Nie był to jednak koniec zabaw, tylko zrobiły się one nieco cichsze: szu, szu między krzakami i budynkami. Mam wrażenie, że ktoś na mnie patrzy. Podnoszę głowę: na tle drzewka majaczy jakaś postać i szepcze żałośnie: ale macie dobrze. Nie musicie bawić się w te głupie gry...

O Tych, co po błękitnych wędrują połoninach...

Taki był Andrzej

W tym roku, tradycyjnie w listopadzie, odbędzie się czternasty z kolei Złaz Kampinoski imienia Andrzeja Harskiego. Impreza ta jest jedną z największych w środowisku studenckim Warszawy Imprez turystycznych i nieoficjalnie stanowi zakończenie bogatego sezonu turystycznego.

Imię Andrzeja Harskiego (1938-1963) nadano jej dzieńśięć lat temu, dla uczczenia pamięci zasłużonego dla turystyki studenckiej działacza. Jest rzeczą niezwykłą w środowisku młodzieżowym nadawanie imprezie turystycznej imienia zmarłego kolegi. Kim był Andrzej dla turystyki studenckiej i dlaczego poświęcamy Mu wspomnienie na łamach „Gościńca”?

Studiował na Politechnice Warszawskiej. W 1960 roku był jednym z głównych organizatorów turystyki na tej uczelni. Doprowadził do rozwinięcia działalności Uczelnianego Koła PTTK i sam prowadził wiele akcji i imprez. Był jednym z inicjatorów utworzenia w Warszawie Oddziału Międzuczelnianego PTTK i pełnił potem funkcję wiceprezesa Zarządu. Udzielał się w wielu dziedzinach turystyki: uprawiał wędrowki piesze, turystykę narciarską, wodną, był ratownikiem wodnym i przewodnikiem studenckich obozów górskich. Jego zasługą jest zorganizowanie po raz pierwszy zjazdu turystycznego na szlakach Kampinoskiego Parku Narodowego.

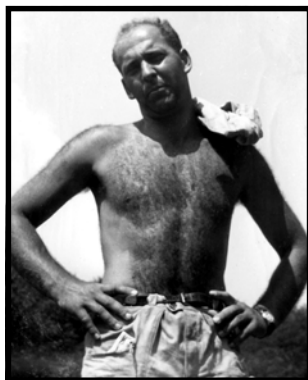
Działał również w Komisji Młodzieżowej ZG PTTK, gdzie pełnił funkcję przewodniczącego Podkomisji Młodzieży Szkolnej.

W 1962 roku był organizatorem II Krajowej Narady Aktywu Młodzieżowego w Płocku. Z tytułu swych funkcji społecznych brał udział w pracach, które doprowadziły do zawarcia porozumienia między RN ZSP, a ZG PTTK w sprawie przewodnictwa studenckiego, tworząc podstawy do rozwijania się ruchu przewodnickiego i tworzenia kół przewodników. Był członkiem Studenckiego Koła Przewodników w Warszawie, prowadził wiele obozów w Bieszczadach.

A poza tym był zwyczajnym dobrym kumplem, na którego można było liczyć i w pracy, i podczas zabawy. Niespożyty w pomysłach, inicjator niekonwencjonalnych prac, doprowadzał do ich realizacji mimo oczywistych przeszkód. Taki był też w czasie realizacji pomysłu utworzenia w Warszawie bazy noclegowej dla autostopowiczów, w czasie licznych rajdów turystycznych, wyieczek, na kursach szkoleniowych.

Nikt nie przypuszczał, że 3 lipca 1963 roku, kiedy pełnia sezonu turystycznego angażowała go bez reszty, zginie tragicznie w wypadku ulicznym jadąc załatwiać sprawy związane z podjętą pracą społeczną. Miał 25 lat.

Nadanie imienia imprezie turystycznej, której Andrzej był inicjatorem i pierwszym organizatorem, stało się wyrazem pamięci dla jego wkładu pracy, uznaniem pracy społecznej wykonywanej dla kolegów.



Poświęcił turystyce wiele czasu i energii, turystyce, która dziś jest udziałem coraz liczniejszej części środowiska studenckiego. Wyrazem tego uznania było także nadanie Andrzejowi Harskiemu Złotej Odznaki PTTK jako jednemu z pierwszych w studenckim środowisku warszawskim.

Tysiące uczestników studenckiego ruchu turystycznego – to jeden z dowodów, że Jego praca dała wyniki, jakich oczekiwał.

Gościniec nr 53, XI.1973 r., str. 11

Wspomnienie o Marku Borkowskim

Marek Borkowski urodził się 5 czerwca 1941 r. w Grodzisku Mazowieckim. Po ukończeniu liceum bez trudu dostał się na Politechnikę Warszawską na Wydział Komunikacji.

W czasie trwania studiów trafił na kurs przewodnicki w SKPB. Zaliczył obóz zimowy prowadzony przez Marcyskę – Marysę Smirnową w Karlowie w 1962 r. i zakwalifikował się na letnie przejście w Bieszczadach, pod kierunkiem Miśki – Elżbiety Misiakówny. Pokochał Bieszczady, z pasją uczestniczył w bogatym życiu Koła. Całą energię młodego człowieka angażował w organizację licznych zjazdów (w Puszczy Białej, Zjazd Kampinoski, w Lasach Bolimowskich), rajdów (w Bieszczadach, Beskidzie Niskim, w Górach Świętokrzyskich), akcję letnią w Bieszczadach, wyjeżdżał na zimowe obozy dla członków SKPB (Folusz, Hala Lipowska), wycieczki szkoleniowe (na terenie Spiszu i Orawy, Ziemi Kłodzkiej, Beskidów) i brał udział w innych imprezach, jak np. tzw. Spec



Grupa pomagająca w organizacji Festiwalu Kulturalnego Studentów w Warszawie. Należał do grona tzw. Kolejarzy, męskiej grupy członków Koła wywodząca się z tego kierunku studiów, w skład tej grupy wchodził też: Staszek Szen, Stefan Żółtek, Andrzej Maciejewski (Maciek), Andrzej Elantkowski (Elana), Staszek Gago (Boo Boo), Marek Bąkowski. Marek był lubiany, żywiołowy, towarzyski, dowcipny i bardzo inteligentny. Na 10-lecie Koła był inicjatorem założenia Zespołu Zbąboś (od liter początkowych nazwisk Kolejarzy), który dał występ kabaretowych piosenek o tematyce „kołowej”.

W 1965 roku ukończył studia ze specjalnością Zabezpieczenie Ruchu Pociągów. Podjął pracę w Centralnym Ośrodku Badań i Rozwoju Taboru Kolejowego. Cały wolny czas poświęcał na działalność w Kole.

W 1966 r. w grudniu pobraliśmy się. W podróż poślubną pojechaliśmy oczywiście w Bieszczady. W 1967 r. Marek został wybrany do Zarządu SKPB, był zastępcą prezesa Przemka Piłicha. Zajmował się wtedy głównie działalnością szkoleniową. Wiosną tego roku zaliczył przejście w Beskidzie Niskim i zdał egzamin uzyskując państwowe uprawnienia przewodnickie na Bieszczady i Beskid Niski (tzw. blacha państwowa). W 1968 r. poprowadził przejście przewodnickie w Bieszczadach. Po urodzeniu się naszej córki – Agnieszki było mniej czasu na pracę w Kole, ale kwitło bardzo bogate życie towarzyskie wśród członków Koła. Po paru latach zaczęliśmy jeździć w okresie letnim w Bieszczady prowadząc bazy namiotowe (Smerek, Sękowiec, Łubne, Solinka).

W następnych latach Marek zmieniał pracę, dostaliśmy własne mieszkanie spółdzielcze. Urodził się nasz syn – Tomek. W 1977 r. Marek był w lecie szefem szkolenia organizatorów turystyki

łódzkiego środowiska studenckiego w Ośrodku Akcji Zachód w Łazach pod Mielnem. Prowadziliśmy w 1979 r. jeszcze raz bazę namiotową w Sękowcu.

W następnych latach prywatnie przyjeżdżaliśmy na wakacje w Bieszczady. Związki towarzyskie z kolegami z Koła utrzymywaliśmy cały czas. Jeździliśmy na Rajdy Weteranów Bieszczadzkich w Górach Świętokrzyskich.

Przez długi okres Marek pracował w Instytucie Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa, zajmował się tam kwestią niezawodności maszyn rolniczych produkowanych w kraju.

Po latach małżeństwo nasze nie wytrzymało próby czasu. Po paru latach od rozstania Marek zmarł nagle w 1997 r.

Ewa Jańczak-Borkowska blacha 34

Wspomnienie o Bronku

Bronisław Bremer 1937-1999.

– Byli chłopcy byli, ale się mineli, hej i my się miniemy po malużkiej chwili – tę góralską śpiewkę Broniek wyciągał (a głos miał – daj Boże!) przy każdej niemal „śpiewanej” okazji. Sam minął się nagle i za wcześnie.

Do Koła trafiliśmy w tym samym 1960 roku. Bieszczady Bronka zauroczyły znacznie wcześniej za sprawą przyjaciela z Bydgoszczy i pierwszych Rajdów Przyjaźni. Dosyć długo krążyliśmy wokół siebie, nie od razu byliśmy parą. Urzekał mnie jego głos i piękne dłonie. Na pierwszym prowadzonym przez niego turnusie miał same dziewczyny, a żadna nie umiała gotować. Na bazie w Ustrzykach Górnych niosło się piskliwe wotanie: *Broooonek, Broniek! Powiedzialesz, żeby posolić wodę na makaron, ale nie powiedzialesz, ile soli wysypać.*

W domowych archiwach zachowała się bronkowa książeczka PKO, na której widniała wpłata miliona złotych – to mniej więcej, tyle, ile teraz. Tak wtedy była finansowana akcja. Co parę dni z poczty w Zagórze Broniek pobierał pieniądze, które wypłacał przewodnikom na turnusy. Rozliczali się zeszytem wydatków, podpisanych przez uczestników. Kiedyś na poczcie był tylko bilon, który wpłacił proboszcz z tacy. Do niemiłosiernie ciężkich plecaków przewodnicy dorzucili kilogramy monet. Broniek był dobrym szefem finansowym akcji. Łączył w sobie dwie niby rozbieżne cechy – wielką fantazję „ruskiego księcia” i pomorską solidność.

Barakowa epopeja

Na stałe w Bieszczady, już jako inżynierowie, wyjechaliśmy jesienią 1963. Mieliśmy dwa plecaki i wielkie plany. Broniek dołączył do przyjaciół Dziarmagów na budowę drogi Zagórze-Komańcza w Krakowskim Przedsiębiorstwie Robót Drogowych, słynnym wtedy KPRD.

KPRD to jest taka równa brać

KPRD znów się umawia chlać – śpiewało się wtedy po knajpach.

Wkrótce otrzymałam odpowiedzialną funkcję inżyniera budowy drogi Hoczew-Czarna. Ja uczyłam w Turaszówce (teraz Krosno). Widywaliśmy się w niedziele. Z tamtego czasu zapamiętałam nienawiść do sypiącego śniegu, bo to oznaczało, że nie dojadę do Bronka. Kiedy przyszła wreszcie



wiosna, czarny od słońca i kurzu Broniek marzył o dniu, w którym *przejdzie przez te cholerne serpentyny na Ostrym*.

Jesienią 64 roku nieoceniony dyrektor Pastuszewski, chcąc zatrzymać w firmie inżyniera drogowca, ściągnął mnie, czyli elektryka, do KPRD. Zamieszkaliśmy w Średniej Wsi na wysokim brzegu Sanu w parku, który pozostał po rezydencji, gdzie kiedyś mieszkała narzeczona Mickiewicza, Ankwiczówna. Nasze mieszkanie i biuro mieściło się w popegeerowskim kurniku. Jeden z jesiennych rajdów kończył się na Łopienniku – do dzisiaj pamiętam wielki księżyc nad morzem mgieł – a tak naprawdę, to w tymże kurniku. Broniek był już ważnym panem kierownikiem, przechodził z drogą kolejną serpentyny, jary, osuwiska. Wraz z drogą przenieśliśmy się do Wołkowi, do kolejnych baraków, tym razem zapluskwionych niemiłosiernie. Broniek jeździł, jak wszyscy, motocyklem WSK. Dolina Sanu nie była jeszcze wysiedlona ani zalana, w Rajskim snuły się i ryczały ogłupiałe od chuci jelenie, a jedyną możliwością przeprawy przez rzekę był wiszący most w Rajskim, albo bród. Ten ostatni sposób był szczególnie przykry w listopadzie, ale praktykowany wielokrotnie.

Stara Wołkowyja leżała na terenie zalewowym. Mieszkańcy przenieśli się do nowych domów w górnej Wołkowi. Na naszych oczach znikły prawdziwe kurne chaty. Piękny dworek Czernastków i kościół – najstarszy w diecezji przemyskiej – w którym był ochrzczony nasz syn Bartek. Na dnie zalewu została też butelka szampana zakopana w czasie chrzcina na weselu Bartka. W Wołkowi nie było światła, w nocy zamarzała woda w wiadrach, a w pobliżu okien wirował śnieg.

A w Polanie lipy szumią

Droga Hoczew-Czarna została wytyczona tak, że w jej pas wchodziły okalające cerkiew w Polanie piękne stare lipy. Tym samym drzewa zostały skazane na śmierć. Broniek nie mógł się z tym pogodzić. Mówił o tych drzewach z taką miłością, że niemal byłem zazdrosna. W końcu lipa to rodzaj żeński, a Broniek był czuły na ten rodzaj w każdej postaci. Wymyślił, że może uda się zmienić projekt drogi. Nie wiem, jakich użył argumentów, ani ile litrów wódki i z kim wypił, ale projekt został zmieniony. Droga odeszła łukiem, a lipy w Polanie szumią do dzisiaj. Wiem, że ich ocalenie Broniek uważał za swój największy życiowy sukces.

Kościół w Wołkowi uratować się nie dało. Sprawa miała wymiar wyraźnie polityczny. To wtedy zobaczyliśmy po raz pierwszy wprowadzenie stanu wojennego. Wozy opancerzone, godzina policyjna, odebranie broni wszystkim miejscowym myśliwym i policjantom, rewizje na drodze. Do rozwałki kościoła miały być użyte spychacze z bronkowej budowy. Operatorzy prasnęli kluczykami z niecenzuralnym, acz gęsto używanym słowem i nie dali się zastraszyć. Ale kościół i tak rozebrano, choć przecież wystarczyło go obwałować.

Wtedy znów mieszkaliśmy osobno. Broniek został przeniesiony do Brzozowa, ja prowadziłam w Wetlinie schronisko, jak szumnie nazywał się stary barak. Na frontowej jego ścianie do dziś widnieją wielkie litery „PTTK”. Te litery Broniek wykonał i zamontował własnoręcznie. 40 lat temu! Wszystko zawsze bowiem robił solidnie.

GOPR

Wstąpienie do Bieszczadzkiej Grupy Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego było najbardziej naturalną konsekwencją przewodnickiej znajomości terenu i wyznawanej zasady, że człowieka mus ratować. Przyrzeczenie – wtedy, niestety, wg. socformuły, a nie tej, że *bez względu na porę roku, dnia i stan pogody* – złożył Broniek, a ja przy jego boku, w październiku 1966 roku. Towarzyszyli nam wtedy najzaciejsi ratownicy tatrzańscy, którzy grupie bieszczadzkiej nie tylko pomagali, nie tylko szkolili – oni nas naszczali tradycją. Nie wszyscy jednak byli tak samo życzliwi. Niektórzy traktowali bieszczadników z wysoła, mówili o kapuścianych górach. Kiedyś jeden z ta-

kich, członek zarządu odpowiedzialny za sprzęt, a więc i za to, co nam przydzielali, zapytał pogardliwie: *a wy to na jakich nartach tu jeździecie?* Broniek z wdziękiem odrzekł: *ja to na niebieskich*. Co się nie działo! Obraza była ciężka.

Do dziś *na niebieskich* stało się synonimem odpowiedzi na głupie pytanie.

Bardzo rzadko mieliśmy okazję razem pełnić dyżur, albo uczestniczyć w akcjach. Zresztą po przeniesieniu się do Warszawy, praca zawodowa Bronka zostawiła mu niewiele czasu na służbę ratowniczą. Pamiętam, że miał dyżur pod Tarnicą w gorących dniach sierpnia 1980 roku. Wrócił we wrześniu i bardzo się zdziwił całkiem nową Polską. Natychmiast zresztą włączył się w ruch tworzenia „Solidarności” i jak wszystko w życiu, wraz z przyjaciółmi zrobili to bardzo porządnie.

Polityczni mówniarze

Trudno powiedzieć, żeby w naszych bieszczadzkich czasach interesowała nas polityka. A jednak mimo woli Broniek stał się bohaterem głośniejszej afery o wydzwieku mocno politycznym. Byliśmy wtedy członkami oddziału PTTK w Ustrzykach Dolnych, także członkami tamtejszego koła przewodników, zaprzyjaźnieni z miejscowymi. My zresztą też się za miejscowych uważaliśmy, choć, jak pokazała historia, niesłusznie. Akurat miał być zjazd wyborczy oddziału. Jak to bywało wtedy w zwyczaju, komitet powiatowy PZPR przygotował listę osób, które miały zostać wybrane do zarządu powiatowego PTTK. Pamiętam długą nocną naradę przed zjazdem, w wyniku której Broniek miał prowadzić zjazd tak, aby do władz weszli turyści, a nie partyjni działacze. Okazało się to dosyć proste. Wystarczyło ściśle trzymać się statutu, co Broniek zrobił perfekcyjnie. Kiedy do komisji wyborczej zgłoszona została lista partyjna, Broniek z miłym uśmiechem poprosił kandydatów o okazanie legitymacji członkowskich z opłaconymi składkami. Żaden nie miał. Bo czuli się takimi panami świata, a przynajmniej powiatu, że nie przyszło im do głowy, żeby chociaż do PTTK się zapisać! Awantura doszła aż do Warszawy, Rzeszów w osobie Jana Kalisza wrzeszczał na nas per „polityczni mówniarze”, ale prezesem oddziału został Wojomir Wojciechowski, reszta władz też była „nasza”. Bronkowi nic nie mogli zrobić.

Najlepszy pisarz

– *Tu idzie najlepszy pisarz katolicki Polski południowo-wschodniej* – mówił Broniek głośno na ulicy w Rzeszowie, ucieszony wygraną w konkursie literackim. Kto ogłosił konkurs, nie pamiętam. Nie pamiętam też, które z opowiadań Bronka wygrało. Bo napisał ich kilkanaście. Niemal wszystkie jakoś związane z Bieszczadami, wędrownkami, budową. Wszystkie przepojone ciepłem, miłością do ludzi – tych najmniejszych – do gór i ogromnym żalem za pejzażami odchodzącymi w przeszłość. Pióro miał lekkie, poczucie humoru delikatne. Niektóre opowiadania można znaleźć w zbiorach wydawanych przez „Sport i turystykę” w latach sześćdziesiątych.

W późniejszych latach swojego życia i kariery zawodowej częściej spod jego pióra wychodziły teksty publicystyczne. Walczył w „Bitwie o Bieszczady”, ale najczęściej o polskie drogi, o których mawiał, że umierają.

Inne góry, inne świąty

Już po powrocie do Warszawy przez wiele lat Broniek prowadził rajdy drogowców. Później w Bieszczady przyciągali raczej przyjaciele, niż wielkie wędrownki – ot, każde niemal spotkanie towarzyskie kończyło się wyprawą Bronka z nieodżałowanym Duśkiem – „Tatą złotym”, czyli Andrzejem Kurkiem na jakąś pobliską górkę.

Kiedy Bieszczady pokryła gęsta sieć dróg, kiedy Polańczyk stał się krzykliwym, acz całkiem brzydkim kurortem, kiedy górskie biwaki musiały ustąpić polom namiotowym przy szosach, ciągnęło nas w góry mniej ucywilizowane. W latach siedemdziesiątych były góry w Rumunii, skąd

spoglądaliśmy tęsknie w niedostępną wtedy Czarnohorę. Ale w 1990 ruszyliśmy w Gorgany. I potem wielokrotnie wracaliśmy, gdzie szum Prutu Czeremoszu... Potem przyszły Alpy Julijskie, Pireneje, Alpy.

Bronek zdobył ogromne doświadczenie zawodowe, na bieszczadzkich budowach w kompletnie dziewiczym terenie, na stażach w RFN w dziedzinie zarządzania i budowy sieci drogowej, w zdobywaniu nowych technologii, wreszcie w zarządzaniu krajowymi drogami Mazowsza. Budował bieszczadzką cięciwę, warszawską Trasę Łazienkowską i Wisłostradę, Trasę Katowicką, drugi pas lotniska Okęcie, jako inwestor – mosty w Wyszogrodzie, Górze Kalwarii, obejście Radzymina.

Nasz Bartek ożenił się z Marysią Żółtek, córką Krystyny ze Szmidków i Stefana Żółtka. To chyba jedyne takie małżeństwo wśród kołowych dzieci. Z tego przybyło czworo „czystej krwi kołowej” wnucząt: Jeremiasz, Hela, Antek i Broniek.

Najmłodszego wnuka Broniek nie doczekał. Zginął pod kołami samochodu w ponury grudniowy dzień 1999 roku. Pochowany pod podolskim granitem w Konstancinie.

Zostawił dobrą pamięć i wdzięczność za to, że był.

Elżbieta Misiak-Bremer „Miśka”

Nasza Prezes Zosięka

W 1966 r. Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w Warszawie osiągnęło wiek dziesięciolatka i właśnie wtedy kolejnym, już szóstym prezesem jego zarządu, czyli „przewodnikiem przewodników” wybrano Zofię Szajuk. Jej panowanie nastąpiło po Witku Michałowskim, a poprzedziło Przemka Piłicha.

Była dzieckiem czasu wojny, bowiem urodziła się 1 grudnia 1940 r. w Kowlu, dziś Zachodnia Ukraina, w skromnej rodzinie Cecylii i Kosmy Szajuków. Jak dziś wiemy, mało było podobnych szczęśliwych zbiegów okoliczności, bowiem nie zostali przez sowieckie władze okupacyjne wywiezieni i na wschód. Wraz z falą repatriantów w 1946 r. jako przesiedleńcy znaleźli się w Polsce na tzw. ziemiach odzyskanych. Zosia chodziła do szkół podstawowych w znanych pomorskich miejscowościach, najpierw w letniskowym Czaplunku, a potem w uzdrowskim Połczynie. W 1958 r. skończyła Liceum Pedagogiczne w Świdwinie, a stamtąd samodzielnie, trochę wbrew woli rodziców, ruszyła na studia do Warszawy.

Dzięki życzliwości przyjaciół, u których zamieszkała i po pomyślnie zdanym egzaminie wstępnym, dostała się na Wydział Matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego i zamieszkała w znanym akademiku przy ul. Radomskiej. Studia w latach 1958-1963 ukończyła pomyślnie pisząc pracę dyplomową na temat aproksymacji funkcji wymiernych. Promotorem był prof. Mieczysław Warmus z Centrum Obliczeniowego PAN. Dla najbliższych Zosia, Zosięka, Zocha była po prostu koleżeńska, życzliwa, uczynna, odważna, a fizycznie silna dawała sobie radę w niesprzyjających warunkach. Niemal od razu „wsiała” w prace społeczne i turystykę studencką, ujawniła swoje umiejętności organizatorskie gdy kierowała Radą Mieszkańców i Komisją Stołówkową (1960-1963) w swoim akademiku.



Do turystyki ambitnej zgłosiła się w 1960 r. jako uczestniczka kursu wspinaczkowego w Skałkach Kroczyckich koło Ojcowa. W 1961 r. była uczestnikiem Centralnego Kursu Rady Naczelnej ZSP dla Przewodników Studenckich Obozów Wędrownych w Przesieciu koło Karpacza, gdzie poznała wielu późniejszych przyjaciół i członków warszawskiego koła przewodników. Niebawem stała się przywódcą rówieśników na licznych imprezach turystycznych. Organizowała Złaz Wiosenny w Puszczy Białej (1963) i Złaz na Kurpiach (1964). Jako reprezentanci SKPB, wspólnie z Witkiem Michałowskim, Elżbietą Czuczełto-Skibą, Wiesiem Zazdrośnińskim i Andrzejem Uherą z SKPB, wzięła udział w zawodach, w organizowanym przez wojska powietrzno-desantowe rajdzie sprawnościowym „na orientację” w Bieszczadach w 1964 r. Zajęli pierwsze miejsce, a w nagrodę dostali dmuchane materace i... walizki. Po roku Zosia kierowała Rajdem Bieszczadzkiem z zakończeniem w Myczkowcach, Rajdem Wakacyjnym w 1967 r. z zakończeniem w Smreku. W czasie kilku Złazów Kampinoskich, była jednym z pomysłodawców i sędziów konkursu „Na największy liść klonu”, gdzie z pomocą planimetru, rozstrzygała o przyznaniu nagród uczestnikom.

Zainteresowanie Bieszczadami, przewodzeniem imprezom, prowadzenie obozów wędrownych oraz liczne grono przyjaciół z kręgu przewodników sprawiły, że w 1960 r. została przewodnikiem Górskiej Odnaki Turystycznej. W listopadzie 1962 r. po kursie dla kandydatów na przewodników państwowych uzyskała w styczniu 1963 r. uprawnienia przewodnika beskidzkiego III klasy.

Dnia 19 czerwca 1965 r. złożyła ślubowanie i została ratownikiem-ochotnikiem w Grupie Bieszczadzkiej GOPR. Zarząd Grupy Bieszczadzkiej GOPR w Sanoku przyznał Zofii Szajuk status członka stałego i odznakę służbową ratownika nr 773. W grudniu 1968 r. ukończyła kurs ratownictwa górskiego I stopnia na Kalatówkach w Zakopanem, a w tym samym roku uzyskała uprawnienia instruktora przewodnictwa beskidzkiego. W jej „dorobku goprowskim” w statystyce społecznych dyżurów ratowniczych Grupa Bieszczadzka odnotowała 1761 godzin i dwie akcje ratownicze. Dyżury pełniła latem pod Tarnicą i na Połoninie Wetlińskiej, a zimą w Ustrzykach Górnych.

Zaangażowanie w cudze sprawy i chęć pomagania innym były – jak wspomina wielu jej przyjaciół – typowe dla Zochy. Tak było w latach, gdy starała się o polepszenie warunków bytowych mieszkańek akademika przy Radomskiej, gdy troszczyła się o uczestników wielu imprez turystycznych i obozów wędrownych, a wreszcie jako ratownik górski. Ubezpieczała rajdy narciarskie, pełniła dyżury, brała udział w akcjach poszukiwania zagubionych w górach, ale te osiągnięcia jakby jej nie wystarczały, nie zaspokajały ambicji. Przeważało dążenie do poznania innych gór, nie tylko Tatr, ale także gór naprawdę wysokich i egzotycznych.

Zosia w 1965 r. została członkiem sympatykiem Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego. Po kursie teoretycznym i skałkowym w Tatrach, w 1968 r. została członkiem Polskiego Klubu Górskiego, co otworzyło jej możliwości wyjazdów w Kaukaz i Pamir. W tym gronie umacnił się jej związek z Andrzejem Pietraszkim, lekarzem-chirurgiem. Z czasem związek z Andrzejem rozkwitł jako narzeczeństwo, zakończone ślubem w 1970 r.

Po studiach bez specjalnych starań Zosia za radą i z zachętą przyjaciół podejmuje w listopadzie 1963 r. pracę i przez 21 lat była pracownikiem cywilnym najpierw w Biurze Maszyn Matematycznych, a niebawem jako starszy wykładowca na Wydziale Chemii i Fizyki Technicznej w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. I znowu była w swoim żywiole, pomagała kandydatom na oficerów zdobywać wiedzę, nigdy nie zmieniła tej pracy, łącząc obowiązki uczelniane z aktywnością społeczną w turystyce akademickiej i jako uczestnik wielu wypraw wysokogórskich w mało znane tereny. Następują kolejne wyprawy z PKG w Kaukaz, z wejściem szczytowym Zosi na Elbrus w 1968, w 1969 z wejściem m.in. na Kazbek (5047 mnpm). Koronnym osiągnięciem Zofii Szajuk

było zdobycie w dniach 22-27 lipca 1970 r. w Pamirze po raz pierwszy przez polską alpinistkę Piku Lenina (7134 m npm). Zosia została na długie lata rekordzistką Polski.

Następne lata w górskiej działalności „naszej Zochy” owocowały zdobyciem szczytu 900 lat Mińska oraz wejściami na Pik Pietrowskiego (4700) w Kaukazie, oraz trawersowaniem dziewiczych szczytów, którym nadano imiona Pik Warszawa (6042), Pik Poronin (6205), Pik Tatry (6142).

W listopadzie 1987 r. Zosia brała udział w obchodach XXX rocznicy powstania Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich. Mało kto wiedział, że następnego dnia czekają na nią w szpitalu. Przeszła dwie operacje, które jednak stanu Jej zdrowia nie poprawiły. Zmarła 3 marca 1988 r. i została pochowana w grobie rodzinnym Pietraszków na cmentarzu wilanowskim w Warszawie. Zasłużona dla naszego kofa, pozostaje w życzliwej pamięci wielu „starszaków” i „średniaków” noszących „blachy kofowe”.

Tomasz Kowalik blacha 54

Adam Skrzecz, blacha nr 100

W 1966 r. pojawił się na kursie SKPB młody, zdolny 19 latek, student wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej, już wykwalifikowany turysta górski. Był to Adaś Skrzecz.

Dla akademickiego środowiska turystycznego w Warszawie był to bardzo dobry nabytek albowiem Adam już miał uprawnie przodownika GOT i co najważniejsze na Tatry. Dzięki temu przy Oddziale Międzyuczelnianym PTTK w Warszawie mógł działać Referat Weryfikacyjny, a. Adam stał się, jego podporą. Tak rozpoczęła się wieloletnia działalność Adama na rzecz turystyki studenckiej.

Adam jako Przodownik GOT, OTP a później GON, czynnie uczestniczył w organizowaniu i obsłudze imprez (Rajdy w Bieszczadach, Beskidzie Niskim, Złaz w Puszczy Kampinoskiej im. A. Harskiego, Puszcza Biała itp.) a także prowadząc trasy i zachęcający do uprawiania turystyki kwalifikowanej szerokie rzesze studentów. Był ojcem chrzestnym Klubu Turystycznego studentów Wydziału Elektrycznego PW „Styki”.

Miłość do gór była jego wielką pasją. Majestat gór miał bezsprzecznie wpływ na charakter Adama – spokój, wytrwałość fizyczna i psychiczna, konsekwencja w realizowaniu zamierzonego celu, rozsądek – są to cechy ukształtowane w górach i charakterystyczne dla Adama w jego życiu poza turystycznym – prywatnym i zawodowym.

Wyprawy w wysokie góry rozpoczął od Alp, aby następnie w organizować wyjazdy w Góry Iranu, Kaszmir i Himalaje. Za aktywną działalność w turystycznym środowisku warszawskim Adam został odznaczony Srebrna i Złota Odznaką PTTK.

Jako absolwent Wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej rozpoczął Adam pracę w Instytucie Chemii Fizycznej PAN, w którym pracował do końca życia. W 1978 r. zrobił doktorat z zagadnień termodynamiki cieczy. Był szanowanym naukowcem w kraju i zagranicą. Uczestniczył w licznych konferencjach, sympozjach i seminariach krajowych i zagranicznych.

W styczniu 2005 r. Adam uczestniczył w uroczystościach 50-lecia Koła PTTK nr 1 na Politechnice Warszawskiej. Mimo choroby, zamiłowanie do gór i nart zostało. Jeszcze w lutym 2005 r. jeździł na nartach na Stożku w Beskidzie Śląskim. Zmarł 6 czerwca 2005 r.



Adam tworzył historię, może nie koniecznie tę największą z podręczników szkolnych, ale historię dla najbliższego otoczenia, historię rodziny, historię instytucji, w których pracował, historię turystyki warszawskiego środowiska akademickiego, historię SKPB i kół PTTK na uczelniach warszawskich. Z Jego odejściem straciłmy oddanego przyjaciela, kolegę, towarzysza wędrowek i wypraw górskich.

Andrzej Huczko blacha 163, Janusz Drużycki blacha 31

Stefan Robotowski blacha nr 145

Stefan Waldemar Robotowski urodził się 26 listopada 1945 r. w Kałuszynie, woj. mazowieckie, w rodzinie rzemieślniczej Marty i Józefa. W 1964 r. skończył Liceum Pedagogiczne w Siennicy. W latach 1964-1969 ukończył studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, pracę dyplomową zatytułowaną „Przemysł chemiczny w Królestwie Polskim” obronił u prof. Henryka Samsonowicza. W latach 1969-1971 ukończył Studium Dziennikarstwa UW.

Od 1 kwietnia 1971 r. pracował jako redaktor w „Dzienniku Ludowym”, w którym przed likwidacją pisma w 1979 r. był zastępcą redaktora naczelnego.

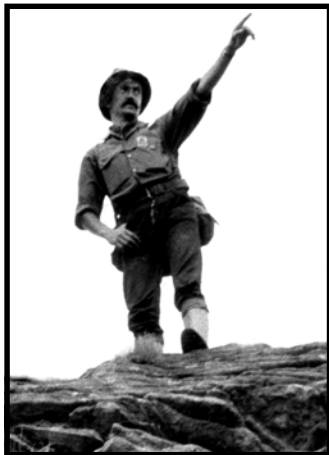
Potem był dziennikarzem Zespołu Rolnego w Redakcji Ekonomicznej Polskiej Agencji Prasowej, sprawozdawcą parlamentarnym Redakcji Rolnej PAP, od 1992 r. współpracował z dwutygodnikiem „Agroserwis”.

W latach 1966-1967 kierownik sekcji obozów, od czerwca 1969 przewodniczący Komisji Turystyki i Sportu Rady Uczelnianej ZSP UW. Był kierownikiem obozów szkoleniowych dla Organizatorów Turystyki organizowanych przez koło PTTK nr 2 przy UW w Polańczyku i na Rysiance.

W 1968 r. został członkiem Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich, blacha nr 145, w 1970 r. wyróżniony Srebrną Odznaką Honorową PTTK nr 2436.

Zmarł 1993 r. w Warszawie. Spoczywa na cmentarzu w rodzinnej Kałuszynie.

Tomasz Kowalik, blacha 54



Wspomnienie o Krzysztofie Ołtarzewskim blacha 197

Czysta praca

Marzec, śnieg po pas, trzecia nad ranem. Schronisko w Komańczy stanęło w ogniu w ciągu kwadransa. Dobrze, że wewnątrz nie było żadnych turystów. Dobrze, że pies się tej nocy niepokoił i nie dawał mocno zasnąć... Trójka zszokowanych pogorzalców: Krzysiek, Jadwiga i Teresa, która przyjechała akurat w odwiedziny – znalazła się raptem pod gołym niebem, w strojach całkiem niekompletnych... Wdrapali się na górkę i usiedli drżąc z zimna na skrawku koca. Teresa wygrzebała z kieszeni wymiętego sporta i patrząc bezradnie na płonący budynek, zapytała: czy ktoś ma może ogień?

Krzysztof Ołtarzewski, kierownik studenckiego schroniska w Komańczy, miesiąc później przyjechał do „Almaturu” do Warszawy. Nie biadolił, tylko od razu wystąpił z konkretną propozycją: trudno, stało się, trzeba postawić nową budę. Tylko ta „buda” to już powinno być coś, czego

można się nie powstydić przed Europą. Został pełnomocnikiem „Almaturu” na Bieszczady. Do niego miało należeć znalezienie odpowiedniej działki i załatwienie wszelkich spraw w miejscowych urzędach. Jeden z kolegów z architektury zmienił temat pracy dyplomowej. Postanowił zaprojektować studenckie schronisko z prawdziwego zdarzenia. Zapał Krzyśka udzielił się innym. I kiedy wynalazł tę wymarzoną działkę w zakolu Osławy, niespełna godzinę drogi od Komańczy, gdzie rzeczka skręca się w omegę, studenci z Geodezji przyjechali robić pomiary. Przez trzy tygodnie tyrali w błocie, ale projekt geodezyjny był zapięty na ostatni guzik. Potem, niestety, zaczęły się schody... Lasy państwowe zacięły się i nie chciały działki sprzedać. Wyszedł zakaz budowy ze środków dewizowych. A szkoda, bo pomysł, że schronisko wybudują Szwedzi nabrał już całkiem realnych kształtów. Wreszcie zmienił się szef „Almaturu”. A następca już nie czuł bluesa. Przeraziły go koszty i rozmiary przedsięwzięcia. Z wolna pracodawca Krzyśka zaczął się ze sprawy wycofywać. Jeszcze przez rok przysyłało mu pensję...



Tymczasem życie młodego małżeństwa nie stało się po różach. Małenki Eryk był co prawda u babci, ale nawet dla dorosłych kolejne przytuliska Ohtarzewskich, miały delikatnie mówiąc, standard niewystarczający. Stara szkoła w Komańczy – kłitka bez drzwi i okien, za to z takimi szparami w podłodze, że ząpsy wyrastały na środku. Kuchnia w budynku szkolnym w Dołżycy z kamienną podłogą, tak zimna, że niczym tego nie szło ogrzać. Jadwiga, mgr pedagog, uczyła w bieszczadzkich czteroklasówkach – w całej szkole raptem ośmiu uczniów. W śnieżne zimy dojeżdżała do pracy 4 km – na nartach, ciągniętych przez mężowski motocykl. Eks-kierownik schroniska rozładowywał w tym czasie wagony, budował obory w łupkowie, pracował przy zrywce i wyrębie...

Każdy grosz się liczył, bo już przed Ohtarzewskimi wyrósł inny, wielki cel. Nie powrót na Śląsk, skąd trafili w Bieszczady, nie wyjazd do Warszawy, gdzie mieszka rodzina – ale zakup gospodarki i osiedlenie się właśnie w Bieszczadach. Przyjeżdżali kumple, zapalali się do projektu, zgłaszali swój akces do spółki. „Stary, jak tylko skończę dyplom, przyjeżdżam do ciebie...” „Załatwiał większą gospodarkę, żeby roboty starczyło dla wszystkich”... Długie nocne Polaków rozmowy przy kielichu, kiedy kalkulowali, obliczali, ile hektarów, ile sztuk bydła, jak podzielić pracę i zyski... Wreszcie wypatrzył gospodarkę, kupił 23 hektary, zamówił bydło i wyglądał kumpli. Do dziś. Ów się ożenił, a żonę nie pociąga romantyzm obory, tamten dostał intratną pracę w Warszawie, a to przecież szansa życiowa. Zostali we dwojkę. A właściwie we trójkę. Bo Eryk, poważny siedmioletek, dzieli z rodzicami gospodarskie troski...

Sześć lat z kawałkiem od sławetnego pożaru. Zachodzimy do chałupy Ohtarzewskich. Normalna łemkowska chłcha, jeszcze niezupełnie zaadaptowana do wygodnego życia. Ważniejsze były zabudowania gospodarskie. Krzysiek zgania akurat byczki z pastwiska. Jadwiga stawia przed nami dzban śmietany i miskę ruskiej pierogów. Po kuchni drepcze najmłodsza latorośl Ohtarzewskich, niespełna dwuletnia i pucłowata. Kiedy Krzysiek wpada zjający do chałupy, za oknem już leje. Ledwo zdążył wypić łyk herbaty, kiedy niewyraźne pomruki przechodzą w kanonadę grzmotów. Zdejmuje koszulę i znów wyskakuje pod przyszcic deszczu. Na polu została krowa, „uziemiona” metalowym łańcuchem. Piorun strzelił tuż, tuż. Jadwiga ze zdenerwowaniem patrzy przez okno.

„Żeby tylko się krowie nic nie stało”... Za chwilę wszyscy się śmiejemy. Widać, że gospodyni z niej całą gębą – nie martwi się o męża, tylko o „gadzinę”...

Krowa w oborze. Szara godzina zmierzchu – godzina odpoczynku, czas na herbatę, papierosa i pogawędkę. „Może byście zostali na dłużej” – proponuje Krzysztof – „Mam robotę przy sianie”. O pomoc w polu trudno, przygodni pracownicy okazują się niepewni. Trafilo tu kiedyś kilku młodych chłopaków. Chcieli zarobić, zostali na dłużej. Tylko że pewnego dnia ulotnili się razem z pieniędzmi, które znaleźli w chałupie. To już nie te czasy, kiedy w każdej chałupie przenocowano wędrowca, którego noc w drodze zastała, nie pytając o nic, wiedząc jedynie, że przy bieszczadzkich odległościach i komunikacji ciebie to może spotkać jutro... Kiedy wpuszczano się gościa za swój próg bez strachu i bez obawy... Papieros wypalony, herbata wypita. Jadwiga kładzie malców spać. Musi iść doić krowę, Krzysztof już się krząta przy obrządku.

Pytałam Jurka Dobroczyńskiego, tego, który w Bieszczadach jest tak dawno, że niemal od zawsze – o bieszczadników. „Głupie pojęcie” – obruszył się – „po prostu nie ma takiego słowa, jak to zdefiniujesz”. „No to określimy to inaczej – ustąpiłam – chodzi o ludzi, którzy te góry czują, takich prawdziwych mocnych „menów”... zaliczyłam do nich Krzyska Ołtarzewskiego”...

„Ołtarzewski” – zaśmiał się Jurek – „Jaki tam z niego bieszczadnik, na pensji „Almaturu”? Musiałam opowiedzieć, że Krzysiek nie jest już na pensji, a na gospodarce, nie pertraktuje z urzędnikami, a hoduje byki. „A to zgoda. To już jest bieszczadnikiem” – zgodził się nasz rozmówca. I tak stanęło na moim, że jednak pojęcie bieszczadnika istnieje. Z ważną uwagą – bieszczadnik zarabia na chleb czystą pracą. W lesie, na roli. Tak jak robili to osadnicy, którzy przyjechali w Bieszczady pierwsi.

Liliana Olchowik, IMT Świątówid 1980 r. nr 851, luty ss. 14-15

Do tego koniecznie trzeba dodać, że Krzysiek był także członkiem Gruby Bieszczadzkiej GOPR, i ze brał czynny udział w akcjach, jak np. w tej słynnej z września 1973 roku („Nowiny Rzeszowskie” z 31.12.73, Rybicki R., „Ludzie spod znaku błękitnego krzyża”), kiedy całą noc poszukiwano zaginioną w rejonie Bukowego Berda 25-osobową wycieczkę autokarową pracowników WRN z Wrocławia.

Dzięki uprzejmości pana Romana Wadeckiego (*nota bene* kierownika bazy w Zagórzcu w 1970 roku) udało nam się odtworzyć późniejsze dzieje Krzysztofa.

Po rezygnacji ze współpracy z „Almatorem” Krzysiek miał wiele źródeł utrzymania – trochę żył z gospodarki i hodowli zwierzyny, trochę z turystów. Sporo zarabiał na zrywce drewna w Bieszczadach, dorobił się nawet ciągnika MTZ o 12 biegach, z którego był bardzo dumny. Chyba najważniejszym śladem jego działalności jako gospodarza, było odtworzenie hodowli konika huculskiego w Bieszczadach – Krzysiek był prekursorem tej odnowionej hodowli. Bardzo dobrze poznał się na hodowli koni, jeździł po jarmarkach i handlował tymi zwierzętami.

W 1981 roku był sygnatariuszem tzw. porozumień ustrzyckich leżących u podstaw Solidarności Rolników Indywidualnych.

Niestety, nie wytrzymał kolejnego pożaru w 1982 roku. Krzysiek nie miał wątpliwości, że czerwonego kura podłożono mu, aby go stamtąd wypędzić. Straty były olbrzymie, spłonęły maszyny, inwentarz, dom, część zabudowań. Spalił się nawet pies na łańcuchu. Oni uciekali całą rodziną w piżamach. Wtedy Krzysiek się poddał i wyjechał z Bieszczadów. Na jesieni 1983 r. został kierownikiem ośrodka czasowego w Piaskach na Mazurach.

W lutym 1986 roku zginął w wypadku samochodowym koło Tomaszowa Mazowieckiego, jest pochowany w Warszawie na Cmentarzu Wolskim.

Poniższy tekst Krzysztofa, jakże dziś aktualny, zamieszczony został w „Światowidzie” nr 50 z 1972 roku na str. 6, w rubryce „Między nami”.

Jesienne dumania

Deszcz, błoto, cisza — martwy sezon. Nie widać ludzi z plecakami, nie widać autokarów z wycieczkami. Jest dużo czasu na pomyślenie o tym, jak było w sezonie. Myślę, myślę i coraz mi smutniej. Przypominam sobie te w sztok pijane wycieczki autokarowe, te półprzytomne dzieci na wycieczkach, te grupy wędrownie tłoczące się w autobusach PKS. Tym smutniej, że w następnym roku będzie tak samo. Tak samo będą jeździły wycieczki z Warszawy w Bieszczady na 3 dni, i np. na zjedzenie obiadu i zwiedzenie Sanoka będą miały 60 min. I ludzie z wycieczki będą niecierpliwie pytać przewodnika: „A knajpa gdzie?”. I niejeden tył autokaru będzie obciążony beczką z piwem (od niedawna coraz powszechniej stosowany sposób).

Może znowu chłopak, ze Stalowej Woli będzie rzucał siekierą w drewnianą ścianę schroniska. Może ucho me usłyszysz rajskie dźwięki dużego radia tranzystorowego pracowicie taszczonego na Połoninę Wetlińską przez turystę w lakierkach. W kioskach pamiątkarskich będzie straszyl góral z fajką w zębach i złotym napisem „Pamiątka z Bieszczadów”. Niewykluczone, że spotkam młodzieżową grupę wędrowną z Lublina, za którą „Nyska” wozi plecaki i magnetofon z potężnym wzmacniaczem. Jedyna pociecha to to, że od czasu do czasu przemknie człowiek w wypłowiałym skafandrze, podniszczonych butach, z osmolonym kociołkiem na plecaku.

Niedobrze mieć dużo czasu na myślenie.

Krzysztof Ohtarzewski, Komańcza

Krzysztof (o Krzyśku Poradzie)

To prawda, że nie pisałbym o nim, gdyby nie wieść, która dogoniła mnie w Bieszczadach w drugiej połowie lipca, że kilkusetmetrowy lot po odpadnięciu ad ściany na Uszbie zakończył tragicznie górską przygodę Krzysztofa. Zginęło ich trzech i były to kolejne ofiary jednej z najgroźniejszych w Kaukazie gór.

Trudno mi pisać o Krzyśku nie dlatego, że znałem go bardzo dobrze, że brak mi dystansu i to wszystko jest jeszcze bardzo świeże. I nie dlatego, że boję się popaść w egzaltację czy przesadę.

Rzecz w tym, że w Jego życiu brak było wybitnych osiągnięć, dzieł wytyczających życiową drogę jak słupy milowe. Jeśli prześledzić te dziesięć lat naszej znajomości — i chyba równocześnie najciekawszych w jego życiu — to okaże się, że był to zwyczajny żywot, jakich w naszym środowisku wiele. A równocześnie mam głębokie przekonanie, że Krzysztof nie był osobą tuzinkową, że był to naprawdę KTOŚ.

Dlaczego? Jedyna możliwość wyjaśnienia to spróbować opowiedzieć jak było, a raczej jakim zaliśmy go my — koledzy ze Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie, którego Krzysztof Porada, rocznik 1949, magister prawa, pracownik PAN, był członkiem i w którym działał od 1968 roku.



Poznaliśmy się na wycieczce szkoleniowej na kursie przewodnickim w październiku 1968 r. Razem robiliśmy kurs – wykłady, podwarszawskie wycieczki, kolejne egzaminy. I te dziesięć dni przetażonych razem w głębokim, wielkanocnym śniegu Beskidu Śląskiego i Żywieckiego i drugie tyle na wiosennym, „przejściu przewodnickim” – szkoleniowym obozie w Beskidzie Niskim. Krzyś, oceniony przez kolegów z kursu jako najlepszy z grona kandydatów na przewodnika, w marcu 1970 roku otrzymał z rąk ówczesnego prezesa koła „blachę” przewodnicką nr 173.

Już po końcowych egzaminach przewodnickich prowadziliśmy razem trasę na Złazie Kampinoskim. Nie muszę sięgać do żadnych zapisków, by ją sobie przypomnieć. Była to przecież pierwsza samodzielna robota przewodnicka, choć zamiast gór mieliśmy poroście sosnami wydmy Puszczy Kampinoskiej. Najważniejsi byli przecież ludzie, których mieliśmy przez te półtora dnia prowadzić. Nie pamiętam oczywiście, jak się jako adepci przewodnictwa spisaliśmy, nie jest to zresztą ważne.

Od początku Krzysztof wszedł ostro w sprawę Koła Przewodników. Dobrym zwyczajem było, że z „nowego” rocznika jedna – dwie osoby wchodziły w skład zarządu Koła. Tak więc od grudnia 1969 roku wszystko, co działo się w Kole było częścią życia Krzysztofa. Jak duża? Jeśli mierzyć ilością godzin poświęconych tym sprawom, to góry miały w jego życiu drugie – po sprawach zawodowych – miejsce. Gdyby wziąć za punkt wyjścia emocje, tematy lektur, towarzyskich pogaduszek i wspomnień – to chyba jednak pierwsze. Fakt, że łączyły nas wszystkich góry, i one stanowiły właśnie sens i temat tego, czemu poświęciliśmy większość wolnego czasu.

Nie piszę życiorysu działacza, stąd nieważne jest, kiedy i jakie funkcje pełnił w turystyce Krzysztof. Liczy się to, że cały czas był człowiekiem nieobojętnym, że interesowało go to, co działo się wokół. Długie dyskusje o organizacyjnych szczegółach, koncepcjach imprez organizowanych przez Koło, ustalanie programów obozów, dogadywanie spraw związanych z wydawnictwami krajoznawczymi, w których opracowywaniu brał udział – taki był sens i treść cotygodniowych spotkań. Jesienią i zimą były też wycieczki szkoleniowe w podwarszawskie lasy. Sobotnio-niedzielne wypadki, w których Krzysztof był już instruktorem, przekazywał swoją wiedzę i doświadczenie innym, to był wypoczynek i zarazem spłacanie długów wobec naszych mistrzów. Nasza ostatnia wspólna wędrownica to taka właśnie grudniowa wycieczka do Zalesia Dolnego, do Mrozów z grupą „nowych”, którzy teraz, za tydzień – dwa, będą zdawać swoje przewodnickie egzaminy.

Zimą były oczywiście obozy narciarskie. Krzysztof jeździł na nartach z zapałem i dosyć dobrze. Dwa tygodnie w górach zimą, to było przez wiele lat minimum. Trochę się zmieniło, gdy zaczął interesować się wspinaczką. Większość przewodników uprawia czystą turystykę, ale gdy ktoś z naszego grona zostaje taternikiem, wchodzi w nową pasję z całym bagażem doświadczeń i obyczajów ukształtowanych w Bieszczadach. Taternicka pasja Krzysztofa to była sprawa ostatnich chyba czterech lat. Wspinaczki w Tatrach Polskich i Słowackich, aż po ukoronowanie paroletnich marzeń – pierwszą dużą wyprawę w prawdziwe góry – Kaukaz.

Napisałem, że był według mnie Krzysztof człowiekiem niezwykłym. A równocześnie jego dokonania, droga życiowa – są najnormalniejsze, typowe dla wiciu. Niekonsekwencja? Humanista o ścisłym i konkretnym umyśle, miał to co się nazywa dużą kulturą i wiedzą, szerokie horyzonty i pasję poznawczą. Z amatorstwa stał się znawcą etnografii, historii, geologii, architektury drewnianej, w jego przewodnickiej wiedzy nie było luk. W jakimś stopniu jego niezwykłość polegała na tym, że nie miał słabych stron. Wytrzymały psychicznie i fizycznie, był typem człowieka, który głęboko wierzy w siebie, swoje możliwości i szczerliwą gwiazdę.

Nic jest łatwo przez kilka lat obracać się, tkwić mocno w dość wąskim kręgu i nie wzbudzić niczyjej niechęci, nie narazić się niczym nikomu. Krzysztof był takim kimś. Nigdy nie dał się namówić na kandydowanie na jakieś bardziej eksponowane funkcja w naszym turystycznym światku, chociaż gdyby zechciał, wybór na prezesa Koła Przewodników miałby pewny. Za to nie unikał nieefektywnej, a równie trudnej jak potrzebnej pracy przy szkoleniu nowych roczników przewodnickich. Myślę, że dobrze pamiętają go wszyscy uczestnicy wielu wycieczek szkoleniowych i obozów, które prowadził w ciągu kilku lat. Dlatego nic boję się pytania, co po nim pozostanie.

W Kole był postacią popularną. Po ludziach jego typu zastaje jakiś specyficzny rodzaj dobrej legendy. Nie ma w niej barwnych anegdot, jakich pełne są wspominki przy bieszczadzkich ogniskach, ale jest pewność, że to, co do niego należałoby, zawsze zrobiłby jak trzeba, w dobrym stylu i czasie.

Zdałem sobie sprawę, że tak mało w tym, co napisałem, jest gór. Bieszczady, Beskid Niski to przecież teren uprawnień przewodnickich Krzysztofa, całe góry Polski i Słowacji, a także Bułgarii i Rumunii to trasy jego wakacyjnych wędrowek. I Pireneje, i jeszcze Alpy. Było to przecież ponad dziesięć lat wędrowek z plecakiem i namiotem. Patem doszły liny i haki, czekanie i „tojenie” dróg w Tatrach według przewodnika Paryskiego. A także, znane wszystkim wspinającym się warszawiakom, bunkry koło Czosnowa w Puszczy Kampinoskiej, na których „robi się” kondycję i ćwiczy elementy taternickiej wiedzy praktycznej.

Opowiadał mi Krzysztof, że był kiedyś, jeszcze w liceum, zapalonym żeglarzem regatowym, członkiem kadry. Rzucił żagle dla gór i one właśnie wypełniały i określały sens jego życia. Choć prawie zakończony doktorat też przecież traktował poważnie.

Mówi się, że ryzyko jest nieodłącznym elementem kalkulacji, jakie robią wszyscy uczestnicy wypraw w góry wysokie. Nie sądzę, żeby Krzysztof podzielał ten pogląd. Wierzył w siebie, swoje możliwości i wiedzę. Czy to nie on powiedział, że kto nie ma szczęścia nie powinien chodzić w góry?

Wyprawa Polskiego Klubu Górskiego nie była niczym wielkim w alpinistycznym świecie. I on też nie był w nim znakomitością, jeszcze wszystko było przed... Gdyby nie nagłe załamanie pogody i tam byłby kimś, tak jak na zawsze chyba pozostanie w Studenckim Kole Przewodników Beskidzkich, w którym zaczęła się jego górska przygoda.

Jan Bazyl Lipszyc *blacha* 174, Politechnik nr 29 1978 r. s.11

Krzysztof i medal Jego imienia

(...) Nie myśleliśmy serio o nazwaniu którejs z imprez imieniem Krzysztofa, nie tylko ze względu na Andrzeja Harskiego. Przypadek Harskiego pokazał, jak szybko nazwa staje się pustym dźwiękiem, tam gdzie pokolenia wymieniają się szybko. „To musi być coś, co można wziąć w rękę” – taka jest geneza medalu – Nagrody im. Krzysztofa Porady.

Medal jest ciężki, jak kamień, albo jak mocny uścisk dłoni. Awers kojarzy się z blachą SKPB (trzy „wieże” wyrastające ze wspólnej podstawy) oraz z odznaką Klubu Wysokogórskiego (płaszczyny krzyżują się jak w czekaniu). Rewers przypomina skalną ścianę. Ginie w niej mała sylwetka człowieka. Cienie zgromadzone w licznych wklęsłościach czynią tę stronę medalu smutną. Wyryte motto: (temu), „który żyje górami” zaproponował Andrzej Wielocha. Mimo opuszczenia słowa „temu” – gwoli zwartości i dźwięczności, chyba dostatecznie czytelne jest w tym zwrocie jednocześnie świadectwo pasji i świadectwo pamięci.

Autorką medalu jest warszawska rzeźbiarka Nina Mirecka, która wykonała pracę bezpłatnie, dla swej starej znajomej – Magdy, żony Krzysztofa. Odlewy robiła spółdzielnia „Braz Dekoracyjny”.

Nagrodę ustanowiło Walne Zebranie w roku 1978. Kryteria jej przyznawania opublikowano w biuletynie SKPB. Mówiąc pokrótce, dokonanie, które może być nagrodzone, powinno być doprowadzone do końca, musi zawierać elementy inwencji, nie tylko pracowitość. Przede wszystkim musi to być „duża sprawa”, bezpośrednio związana z działalnością Koła i ważna dla jego przyszłości. W tym sensie jest to nagroda wewnętrzna, chociaż nie wymaga się, by nagrodzony był członkiem SKPB. (...)

Po cichu spodziewano się, że za pomocą Nagrody i przy okazji jej przyznawania seniorzy będą oceniać kierunki działalności Koła i preferować niektóre z nich. To przypuszczenie nie spełniło się na szczęście. W praktyce zdecydowała troska, aby Nagroda, mająca upamiętniać Krzysztofa, miała w opinii Koła wysoką rangę. Kryteria przyznawania Nagrody uproszczyły się do następującego: Nagrodę im. Krzysztofa Porady otrzyma ten, kto zdaniem Koła na nią zasłużył.

Od 1978 roku do dziś kapitułę Nagrody stanowią: Magda Porada, Julian Bystrzanowski, Andrzej Huczko, Bogdan Mościcki oraz aktualny prezes Koła. W 1979 roku Nagrodę otrzymał Krzysztof Segit za akcję rumuńską, w rok później Andrzej Wielocha za „Łuk Karpat”. W 1981 roku Nagrody nie przyznano.*

Obecnie w kapitule dominują rówieśnicy Krzysztofa. Z czasem powinni dominować ci, dla których był mistrzem. Zawsze jednak powinni to być ludzie, którzy go pamiętają, którym zależy na zachowaniu pamięci. Przyznawanie Nagrody nie powinno stać się jedną z rutynowych czynności pod koniec kadencji Zarządu. Myślę więc, że Nagroda im. Krzysztofa Porady nie będzie funkcjonować w Kole dłużej niż ludzie, którzy Go pamiętają.

Bogdan Mościcki blacha 176, Z historii Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich 1957-1982, Warszawa 1982.



*) W latach następnych nagrodę otrzymali Ewa Janko (Piątkowska), Krzysztof Kleszcz oraz Stanisław Kryciński. Później niestety o Nagrodzie im. Krzysztofa Porady zapomniano. Może jednak warto do niej wrócić, choćby po to by młodym pokoleniom przywrócić pamięć o Krzysztofie.

Waldemar Postek (1954-2001) blacha 245

Pożegnanie

Mimo że od tragicznego poniedziałku minął już ponad tydzień, trudno uwierzyć, że Waldka nie ma wśród nas. Upływający czas nie pozwala pogodzić się z okrutną śmiercią, zadaną bandyckimi kulami. Rozpacz i bezsilność – to uczucia, które nami owładnęły. Dla czego to się stało? – pytanie, które być może nigdy nie doczeka się odpowiedzi, które będzie nas nurtowało, ilekroć wspomnimy Waldka. Wspaniałego, ambitnego człowieka, wzorowego męża i ojca, przyjaciela na dobre i na złe, pogodnego, życzliwego i wyrozumiałego w każdej sytuacji. Może nazbyt ufającego ludziom.

Urodził się w Elblągu w 1954 r. jako pierworodny w rodzinie Postków. Życie, od początku niełatwe, zaczął poznawać w niedalekim Suchaczu nad Zalewem Wiślanym. Tam ukończył szkołę powszechną i jako wybitnie uzdolnione dziecko został wysłany na dalszą naukę do Warszawy. Bez trudu zdał egzamin do klasy matematycznej w liceum im. Staszica, zamieszkał w bursie przy Filtrowej i od tego momentu, jako czternastolatek, rozpoczął samodzielne życie. Uczył się nie tylko matematyki, ale także życia, poznawał trudy i przeciwności nie zawsze łaskawego losu. W 1973 r. chłopiec z Suchacza zdał maturę i dostał się na Wydział Mechaniczno-Technologiczny Politechniki Warszawskiej. Studia w Instytucie Budowy Sprzętu Mechanicznego odbył zgodnie z programem, uzyskując tytuł magistra inżyniera.

Wysportowany, energiczny i ambitny młody inżynier nie podjął pracy w zawodzie. Zaraz po studiach wstąpił do milicji, gdzie przez dziesięć lat, pracując w wydziale kryminalistyki, niejedną raz stawał oko w oko z niebezpieczeństwem. Żona, małe dzieci – Kasia i Piotrek – rzadko widywali ojca w domu. Służba była pierwszym obowiązkiem, ale też największym zagrożeniem. Dlatego po tych dziesięciu latach, pod presją wydarzeń, rodziny, przyjaciół, Waldek rozstał się z milicją. Na krótko wyjechał do przyjaciela za ocean, a po powrocie, jak wielu Polaków w początkach transformacji, zaczął myśleć o pracy na własny rachunek.

Tak zrodził się pomysł otwarcia kantoru wymiany walut. Jak to było w Waldka stylu, własnymi rękami wyremontował i wyposażył lokal, i wspólnie z kolegami w 1992 r. uruchomił kantor. Nie od razu przysły sukcesy, ale mozolna praca po kilku latach dała rezultaty. Waldkowi zaś pozwoliła na pełną samodzielność. I właśnie teraz, kiedy już było źlej, z górką, gdy Waldek miał więcej czasu dla siebie dla rodziny, dla kolegów z licealnej klasy, z którymi spotykał się ostatnio co miesiąc, nastąpiła ta tragiczna chwila. Na ostatnim spotkaniu, w lutym tego roku, wychowawczyni z lat szkolnych radziła Waldkowi, by zrezygnował z kantoru, bo niebezpiecznie. Nie zaprzeczył, ale w poniedziałek 26 lutego jak zwykle otworzył kantor, a wieczorem o godz. 18, zgodnie z codziennym rytuałem, w asyście agentów ochrony, zamknął po raz ostatni drzwi pod szyldem „Dukat”. Do domu jednak nie wrócił. Bandyckie kule dotknęły Go na progu garażu.

Żegnamy Waldka, i – choć niepokodzeni – wiemy dobrze, że już nigdy nie odwiedzi Suchacza, że nie będzie się cieszył przyszłoroczną maturą Kasi, zdanymi egzaminami Piotrka, nie zaskoczy Basię propozycją sobotniego wyjazdu w nieznane, nie zadzwoni do przyjaciół i nie powie: „Może byśmy wyskoczyli na narty”... Nie ma Waldka. To jest la okrutna prawda. Nie odszedł sam, zabrali Go nam źli ludzie. Żegnam.



Janusz Lonc (1954-1983) blacha 338

Janusz był pasjonatem. Wszystko co go interesowało, co go wciągnęło, robił z największym zaangażowaniem i perfekcją. Tak było z matematyką, ze skrzypcami, z narciarstwem i z turystyką górską, którymi w różnych okresach życia pasjonował się.

Urodził się 7 maja 1954 roku w Rzeszowie i mieszkał tam do matury, którą zdał ze świetnymi wynikami w 1973 roku w renomowanym I Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Konarskiego w Rzeszowie. W tym samym roku wyjechał do Warszawy i podjął studia na wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej. Studia ukończył w 1978 roku specjalizując się w automatyce. Następnie podjął studia doktoranckie, a później pracował jako asystent w Instytucie Podstaw Elektroniki Politechniki Warszawskiej.

Janusz, jako starszy o cztery lata brat, był dla mnie w czasach dzieciństwa i młodości wzorcem, po którego śladach starałem się iść. Jego śladami wyjechałem na studia do Warszawy. Łączyły nas również wspólne zainteresowania. Należała do nich i turystyka górska. Jeszcze w czasach szkolnych przemierzaliśmy chyba wszystkie szlaki w polskiej części Tatr. Potem przyszła kolej na Tatry Słowackie. Pamiętam ten moment w lecie 1978 roku na polu namiotowym w Starej Lesnej, kiedy postanowiliśmy się razem zapisać na kurs przewodnicki SKPB.

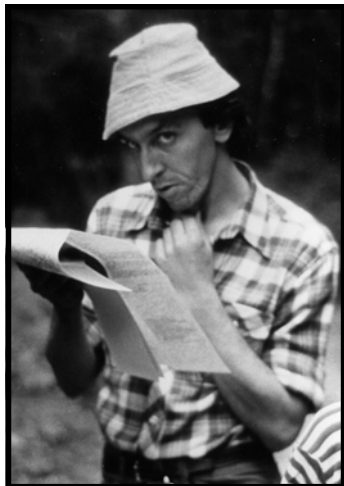
Kurs był dla Janusza (i dla mnie też) odkryciem, zupełnie nowym fascynującym doświadczeniem. Ta fascynacja dotyczyła nie tylko samych gór, które poznawał, ale przede wszystkim ludzi, których spotkał podczas kursu i niepowtarzalnej atmosfery wspólnych górskich wędrowek.

W 1979 roku Janusz został członkiem SKPB i od razu rozpoczął intensywną w nim działalność. Zaraz po kursie został członkiem Zarządu SKPB. Prowadził obozy i trasy rajdowe w Bieszczadach, w górach Słowacji i Bułgarii. Zdobył uprawnienia przewodnika państwowego. Był aktywnym instruktorem na następnych kursach przewodnickich SKPB. Janusz świetnie jeździł na nartach i potrafił tę umiejętność przekazać innym. Był instruktorem narciarskim na obozach kursów SKPB. Pasjonował się wspinaczką skałkową.

W lutym 1983 roku kierował obozem kursowym w Ustrzykach Górnych. 10 lutego, podczas wycieczki narciarskiej na Tarnicę, Janusz zmarł niedaleko Szerokiego Wierchu. Przyczyną jego śmierci było wychłodzenie. Pogoda tego dnia była fatalna – śnieżyca i zamieć. Janusz troszczył się o wszystkich uczestników wycieczki, ale zapomniał zatroszczyć się o siebie. Prawdopodobnie nie zjadł rankiem tego dnia wystarczająco kalorycznego posiłku. Zginął tak młodo i niepotrzebnie. Stał się ofiarą swojej pasji.

Pochowany został w swoim rodzinnym Rzeszowie na cmentarzu na Wikowji.

Janusz był nie tylko moim bratem, ale i najlepszym przyjacielem, którego brak odczuwam dotkliwie do tej pory. Do dziś często przychodzi mi do głowy myśl: „a co by Janusz na to powiedział?”.



Ania i Janusz, moi kołowi Przyjaciele

Tak się złożyło, że mam już w Niebie dwoje towarzyszy górskich wędrowek, Anię Ostrowską i Janusza Lonca.

Janusz Lonc odszedł w 1983 r. – minęło ćwierć wieku... Miał wtedy 28 lat.

Byliśmy razem na kursie. Janusz był od nas starszy, kończył właśnie studia doktoranckie. Potrafił być duszą towarzystwa. Często po wtorkowych zebraniach jeździliśmy do jego akademika i stłoczeni w małym pokoiku siedzieliśmy do późna przy gitarze. Janusz potrafił grać na skrzypcach i lubił śpiewać na głosy. Świetnie do tego nadawały się piosenki ukraińskie i łemkowskie, które szybko weszły do naszego repertuaru. Na pewno w dużej mierze zawdzięczamy mu, że byliśmy tak zgrani i długo trzymaliśmy się razem. (Tu trzeba oddać sprawiedliwość Poziomce, która była drugą osobą spajającą nasz kurs. W jej akademiku także często gościliśmy.) Po „przejściu” nie dość nam było Bieszczadów – pojechalśmy jesienią na „Połoniny”. Potem, również dużą grupą, na kołowy obóz zimowy do doliny Chochołowskiej. Janusz bardzo dobrze jeździł na nartach, a elegancja z jaką to robił zwracała nań uwagę wszystkich pań. Równie dobrze tańczył. Był świetnym towarzyszem górskich wyjazdów, wieczorów przy ognisku i długich rozmów przy winie.



Najbardziej ceniłam jego życzliwość i otwartość wobec ludzi. Kiedyś prowadził w Bieszczadach obóz, na którym non-stop padało. Dwa tygodnie w deszczu i bieszczadzkim błocie! Nie tylko nikt wcześniej nie wyjechał, ale jeszcze jesienią obozowicze przyjechali na Połoniny. To była dopiero przewodnicka sztuka!

Janusz zginął w mroźną zimową noc na Szerokim Wierchu. Może trudno to zrozumieć komuś, kto nie przeżył załamania pogody w górach. Połoniny tak przyjazne i dobrotliwe latem, zimą bywają srogie i bezlitosne. Najgorszy chyba jest wiatr... Utrudnia każdy krok, potrafi przewracać, zawiewa ślady poprzedników, sypie w oczy śniegiem, wyje w uszach, paskudnie pogarsza samopoczucie. Nie wiesz, gdzie jesteś, jak daleko do celu... Janusz do końca pomagał iść słabszym od siebie. Aż sam opadł z sił. Nie było przy nim nikogo, kto potrafiłby mu wtedy pomóc.

Jego śmierć była dla nas wielkim szokiem. Już nigdy górskie wyjazdy nie były tak wesołe i beztroskie jak dawniej.

[Przy okazji chcę podzielić się refleksją: w trakcie kursu i później nikt nigdy nie uczył nas, że czasami trzeba się wycofać. Przeciwnie – wiele razy w różnych sytuacjach byłam świadkiem jak ambicja czy obawa przed śmiesznością brały górę nad zdrowym rozsądkiem. Raz tylko zdarzyło się kiedyś, podczas zimowej wycieczki w bardzo trudnych warunkach, że mając pod opieką najstarszą grupę narciarzy, zrezygnowaliśmy z dalszego marszu grzbietem Caryńskiej. Spotkało się to z krytyką i uwagami osób, których przecież z nami nie było i nie mogły właściwie ocenić sytuacji. Chwała wam Jacku i Szporku, że mieliście wtedy odwagę wycofać się! Życie ludzkie czy nawet zdrowie jest stokroć więcej warte niż osiągnięcie jakiegoś górskiego celu.]

Anię Ostrowińską, zwaną „Ciotką”, znali wszyscy. Zawsze była pełna energii i pomysłów, wydawało by się nie do zrealizowania. A jej się udawało! Zawsze kimś się opiekowała, komuś pomagała. Wciąż coś organizowała, wyjeżdżała. Zabierała w góry swoich szkolnych wychowanków, którzy potem wyrosli na wytrawnych turystów.

Ania była jedną z osób prowadzących obozy Akcji Opis. Szczególnie dobrze poznała zachodnią część Beskidu Niskiego, zbierając wiele ciekawych materiałów. Uzupełniała je często podczas swoich prywatnych wyjazdów. O jej artykułach w Magurach wyrażał się z uznaniem sam prof. Reinfuss (słyszałam na własne uszy!). Była zawsze ciekawa świata i ludzi, których potrafiła sobie łatwo zjednać. I była bardzo dzielna. A pod tą dzielnością kryła się delikatność i wielka wrażliwość.

Pewnie nie wszyscy wiedzą o jej poza górskiej działalności. Ania, jako logopeda, zajmowała się dziećmi autystycznymi. Była to jej prawdziwa pasja. Szkołę się, czytała, jeździła na wykłady i sympozja, choć nikt jej tam służbowo nie wysyłał. Widząc trudną sytuację rodzin i dzieci, którymi się zajmowała, postanowiła latem organizować dla nich obozy. Wymagało to nie lada poświęcenia i hartu ducha. Trzeba było zdobyć dofinansowania, pozwolenia, zgromadzić kadrę, przebrnąć przez wszystkie paradoksalne przepisy i urzędnicze przeszkody. A to kosztowało wiele czasu i nerwów. Pierwszy, bardzo udany obóz, odbył się w Hucie Polańskiej w Beskidzie Niskim. Drugi – w Roztoce na Kaszubach. Było to w 2002 r. Podczas tego obozu Ania zginęła w wypadku samochodowym wraz ze swą córką Olą. Pod górą Wieżycą wpadła na zakręcie wprost pod TIR-a. Pozostała trójka pasażerów trafiła do szpitala. Jak się okazało, w miejscu tym było już wcześniej kilka wypadków. Mama Ani wystarała się licznymi pismami o oznaczenie tam „czarnego punktu”, ograniczenie prędkości i wycięcie krzaków ograniczających widoczność. Może ocali to życie innym...



Dlaczego odchodzą osoby, wydawałoby się tak potrzebne na Ziemi? Jedynym dla nas pocieszeniem są słowa Księgi Mądrości: *A sprawiedliwy, choćby umarł przedwcześnie, znajdzie odpoczynek. Starość jest czcigodna nie przez długowieczność i liczbą lat się jej nie mierzy: sędziwością u ludzi jest mądrość, a miarą starości – życie nieskalane. ... Wcześnie osiągnąwszy doskonałość, przeżył czasów wiele. Dusza jego podobała się Bogu, dlatego pospiesznie wyszedł spośród nieprawości. A ludzie patrzyli i nie pojmowali ...* [Mdr 4,7-9; 13-14].

Cieszę się, że ich znałam, że mogłam się z nimi przyjaźnić. Przyjaźń – to najcenniejsze, co można wynieść z gór. Ania i Janusz żyją nadal w moich wspomnieniach i we wspomnieniach wielu, wielu innych osób.

Anna Kamińska „Zatorzanka” blacha 335

Lista członków SKPB

Członkowie honorowi:

- Jan Gerhard,** (1921-1971) blacha bez numeru
Bolesław Pleban, blacha 3
Andrzej Uhera, blacha 4
Bronisław Bremer, blacha 12
Julian Bystrzanowski, blacha bez numeru
Stefan Stefański, (1914-1998), blacha 128,
 dyrektor muzeum w Sanoku
Tadeusz Ślowski, blacha bez numeru,
 dyrektor muzeum w Bieczu
Krzysztof Porada, (1949-1978)
 (pośmiertnie) blacha 158
Adam Kulewski, blacha 172
Stanisław Kryciński, blacha 310
Andrzej Wielocha, blacha 250

Członkowie zwyczajni wg numerów blach

blacha	rok	nazwisko i imię	ksywka
1	65	Kopicki Andrzej	
2	65	Matias Andrzej Łysy	
3	65	Pleban Bolesław	
4	65	Uhera Andrzej	
5	65	Zadzrosiński Wiesław	
6	65	Polok Władysław	
7	65	Wicher Jerzy	Wicherek
8	65	Smirnow Andrzej	Czarny
9	65	Supronowicz Henryk	
10	65	Skiba-Osuchowska Elżbieta	Lalucha
11	65	Banasiak Jan	John
12	65	Bremer Bronisław	
13	65	Frydecki Janusz	
14	65	Głowacki Henryk	
15	65	Kwiatowski Jan	
16	65	Krzyżanowski Jacek	
17	65	Michałowski Witold	
18	65	Orsetti Wilhelm Willi	
19	65	Skubisz Wiesław	
20	65	Szajuk-Pietraszek Zofia	
21	65	Szalewicz Andrzej	
22	65	Świtek Wiesław Świerświeć	
23	65	Kostrzyńska-Janiak Elżbieta	Blabalcja
24	65	Janiak Marek	
25	65	Karst Lesław	
26	65	Kwiatkowska Elżbieta	

27	65	Szendel Joanna	
28	65	Bolesławska-Korejwo Marta	
29	65	Borkowski Marek	
30	65	Brzozowska Teresa	
31	(189)65	Drużycki Janusz	
32	65	Elantkowski Andrzej	
33	65	Górski Leonard	Lolo
34	65	Borkowska d. Jańczak Ewa	
35	65	Korejwo Jerzy	
36	65	Korzeniowska Ewa	
37	65	Drużycka-Lady Krystyna	Krysiaczek
38	65	Maciejewski Andrzej	
39	65	Mrowiec Henryk	
40	65	Nowicki Roman	
41	65	Pluskota Bożena	
42	65	Sutek Łucja	
43	65	Szen Stanisław	
44	65	Vayhinger-Wicher Małgorzata	
45	65	Orszulak Jan	
46	65	Bączyk Janusz	
47	65	Bąkowski Marek	
48	65	Chojnacki Andrzej	Bill
49	65	Gmurchyk Adam	
50	65	Jabłońska-Matjas Irena	
51	65	Marczyńska z d. Jankowska Barbara	Kangur
52	65	Juško-Walecka Wiesława	
53	65	Kaczyński Waldemar	
54	65	Kowalik Tomasz	
55	65	Łukaszek Elwira	
56	65	Łukomska-Godzisz Ewa	
57	65	Makowski Ryszard	
58	65	Niewitecka-Ufnalska Maria	
59	65	Pełka Jerzy	
60	65	Pilich Przemysław	
61	65	Malarecka z d. Protas Bogumiła	
62	65	Sieczko Leszek	
63	65	Skiba Jacek	
64	65	Walicka Barbara	Fregata
65	65	Wegner-Chojnacka	Barbara
66	65	Węgiełek Artur	
67	65	Zółtek Stefan	
68	65	Kołąkowski Bogdan	
69	65	Danielska Barbara	
70	65	Heszen Irena	
71	65	Krajewska Alina	
72	66	Dworzyński Ryszard	
73	66	Hobrzański Jacek	
74	66	Jańczak Zbigniew	

Lista członków SKPB

75	66	Kozłowska-Pilorz Wiesława	130	69	Bachowski Ryszard	<i>Klamra</i>	
76	66	Kraskowska Kinga	131	69	Dąbrowska-Dziuban Bogna	<i>Basia</i>	
77	66	Franz Zbigniew	132	69	Groński Andrzej		
78	66	Major Bogdan	133	69	Hibner Wiktor		
79	66	Małarecki Stanisław	134	69	Kolbow Małgorzata		
80(104)	66	Mazurek Zdzisław	135	69	Bilewska z d. Koziół Anna	<i>Skrzydło</i>	
81	66	Paczos Tomasz	136	69	Krawczyk Jerzy		
82	66	Posadzki Kazimierz	137	69	Marczyński Szczepan		
84	66	Ufnalski Waldemar	<i>Kaczor</i>	138	69	Stanek Andrzej	<i>Karin</i>
85	67	Borowiec Antoni	139	69	Szafrąński Bolesław	<i>Generał</i>	
86	67	Brzozowska Anna	140	69	Szałajski Janusz		
87	67	Chrobak Andrzej	141	69	Szymański Maciej		
88(107)	67	Druzgalski Krzysztof	142	69	Malinowska z d. Grajewska Elżbieta	<i>Czarna</i>	
89	67	Iwaszkiewicz-Trela Jolanta					
90	67	Jakubik Irena	143	69	Wiechowski Mirosław		
91	67	Kazberuk Halina	144	69	Oficjański Piotr		
92	67	Kostro Ewa	145	69	Robotowski Waldemar		
93	67	Kowalski Marian M.	146	69	Lewandowski Janusz		
94	67	Krzyżanowska (Marcinkowska) Lubomira	147	69	Turowicz Andrzej		
95	67	Olędzki Juliusz	148	69	Wybraniec Jacek		
96	67	Sawicki Mikołaj	149	69	Winkowski Marian	<i>Król</i>	
97	67	Skowroński Stefan	150	69	Jaślan-Turner Helena		
98	67	Talko-Porzecki Antoni	151	69	Feliksbrodt z d. Dudzińska Elżbieta		
99	67	Wiatr Wojciech	152(190)	69	Gniazdowski Stefan		
100	67	Skrzecz Adam	153	69	Fałkowska-Prichodko Wiesława	<i>Drobnik</i>	
101	67	Stolarski Wojciech	154	69	Zaruska Joanna	<i>Generałówna</i>	
102	67	Trela Stanisław	155	70	Tyszkiewicz Danuta		
103	67	Roman Tadeusz	156	70	Klimunt-Skrzecz Małgorzata		
105	67	Szmidt-Zóttek Krystyna	157	70	Dietrich-Darowska Magdalena		
106	67	Wkiel Wiesław	158	70	Porada Krzysztof		
108	67	Tymiński Andrzej	159	70	Jung Grzegorz		
109	68	Łobodziński Sławomir	160	70	Płatkowski Tadeusz		
110	68	Marczewski Wojciech	161	70	Buduj Emil		
111	68	Gorczyca Jerzy	<i>Cyryl</i>	162	70	Jabłkowski Jan	
112	68	Bańkowska Krystyna	163	70	Huczko Andrzej		
113	68	Makowski Jerzy	164	70	Lipszyc z d. Lemieszewska Jolanta		
114	68	Grysa Krzysztof	165	70	Stanek z d. Ziębińska Irena		
115	68	Musiał Andrzej	166	70	Sznajder-Ratanow Jolanta		
116	68	Buraczewski Antoni	167	70	Walecki Tadeusz	<i>Ignac</i>	
117	68	Teisseyre-Gorczyca Izabella	168	70	Skłodowski Marek		
121	68	Chiger Krystyna	169	70	Kupiszek Juliusz		
122	68	Czaplicki Jacek	170	70	Głazewski Marian		
123	68	Prichodko Wiesław	171	70	Loth Ewa		
124	68	Iljin Paweł	172	70	Kulewski Adam		
125	68	Radzikowski Andrzej	173	70	Sosiński Jerzy		
126	68	Wkiel Wiesława	174	71	Lipszyc Jan Bazyl	<i>Bazyl</i>	
127	68	Segit z d. Dobrowolska Alina	175	71	Łękowski Tomasz Wojciech		
128	69	Stefański Stefan	176	71	Mościcki Bogdan	<i>Bemoś</i>	
129	69	Nelken Jan	177	71	Soldaty z d. Jabłońska Mirosława		

Lista członków SKPB

178	71	Drewniak Józef		229	74	Iwaniszewski Stanisław	
179	71	Materko Adam		230	74	Król Marek	
180	71	Woźniak-Wojtas Teresa	<i>Tygrzysek</i>	231	74	Marciniak Jan	
181	71	Siwanowicz-Przyczynek Małgorzata		232	74	Pietruszka Zdzisław	
182	71	Dudek Krzysztof		233	74	Strożek Wojciech	<i>Paszczak</i>
183	72	Mroczek Józef		234	74	Czermiński Wojciech	<i>Szczota</i>
184	72	Wilgat Maria		235	74	Stanek Krzysztof	
185	72	Rogala Antoni		236	75	Ucieszyński Marek	
186	72	Barańczak Bohdan		237	75	Staniewicz Waldemar	
187	72	Wojtas Krzysztof		239	75	Gorzko Witold	<i>Walet</i>
191	72	Świątański Michał		240	75	Jasiński Wojtek	
192	72	Niemirowicz-Szczytt (Piwnicka) Katarzyna		241	75	Kałużko Jacek	
193	72	Wysocka z d.Goliger Zofia		242	75	Laskowski Piotr	
194	72	Góra Paweł		243	75	Łojasiewicz Anna	
195	72	Jagieliński Tomasz		244	75	Piesiewicz Ewa	
196	72	Marczak Wiktor		245	75	Postek Waldemar	<i>Piroman</i>
197	73	Ołtarzewski Krzysztof	<i>Komańcz</i>	246	75	Sakowski Mieczysław	
198	73	Gabrył Barbara		247	75	Szalewicz Maciej	<i>Kudłoń</i>
199	73	Kowalczyk Jacek		248	75	Stanek z d. Tyczyńska Bożenna	
200	73	Will Jerzy		249	75	Comi z d. Wielowiejska Irena	<i>Gruba</i>
201	73	Goliger Tadeusz	<i>brat Zosi</i>	250	75	Wielocha Andrzej	
202	73	Gregorowicz Stanisław		251	75	Wróblewski Józef	
203	73	Ignatowicz Michał		252	75	Starck Wojciech	
204	73	Michałowska z d. Krynicka Irena		253	75	Żochowski Mieczysław	
205	73	Kuna Edmund	<i>Mundek</i>	254	75	Čędrowski Ryszard	
206	73	Lipszyc Maria	<i>Siora</i>	255	76	Gęsicki Włodzimierz	
207	73	Majczak-Zięborak Małgorzata		256	76	Pecul Zdzisław	
208	73	Ogonowski Włodzimierz		257	76	Łochowska Agnieszka	
209	73	Olpiński Michał		258	76	Serafin Krzysztof	<i>Serek</i>
210	73	Pyrcak Tadeusz		259	76	Oleszkiewicz Włodzimierz	
211	73	Socha-Wilczek Alicja		260	76	Górnjak Lesław	
212	73	Starosta Katarzyna		261	76	Zombirt z d. Flissikowska Jolanta	
213	73	Szwagrzyk Jerzy		262	76	Keller Maria	
214	73	Wesołowski Jerzy	<i>Mały</i>	263	76	Comi Roman	
215	73	Szweryn Beata		264	76	Jarosz Krzysztof	
216	73	Segit Krzysztof	<i>Życzliwy</i>	265	76	Kotowicz-Borowy Irena	<i>Ika</i>
217	73	Leśniak-Zarębska Lucyna		266	76	Kupiszewski Marek	<i>Krewny</i>
218	73	Wiśniewska-Jagielińska Monika		267	76	Osiecka z d. Lenartowicz Anna	
219	73	Rygielski Janusz		268	76	Przyhuski Ludwik	
220	73	Stążewski Wojciech		269	76	Rembelska Anna	
221	73	Wójcik Janusz	<i>Pulpit</i>	270	76	Skowronek Janusz	
222	74	Gajowniczek Paweł	<i>Pratchawiec</i>	271	76	Szczap Jacek	
223	74	Marszałek Juliusz		272	77	Jagiełło Paweł	
224	74	Malewicz z d. Hołownia Grażyna	<i>Buśka</i>	273	77	Cykowska z d. Buczma Olga	
225	74	Rembikowska z d. Jagoda Maria		274	77	Jasińska z d. Janczarska Barbara	
			<i>Maryśka</i>	275	77	Jurków Zenon	
226	74	Kesicki z d. Kozakiewicz Iwona	<i>Gula</i>	276	77	Borowska z d.Mozga Zofia	
227	74	Król z d. Lizończyk Ewa		278	77	Łabuda Waldemar	<i>Goprowiec</i>
228	74	Brzostowski Leszek	<i>Prezes</i>	279	77	Stawicki Jerzy	<i>Hryń</i>

Lista członków SKPB

281	77	Sołtyk Jan		336	80	Komorowski Wojciech	
284	77	Rostowski Jan		337	80	Kwociński Jerzy	
285	77	Reczek Karol		338	80	Lonc Janusz	
286	77	Kurowski Paweł		339	80	Lech Jakub	
287	77	Weczorkowski Stanisław		340	80	Majewski Paweł	
288	77	Derecki Zbigniew		341	80	Lonc Zbigniew	
289	77	Gizycki Stanisław		342	80	Sielski Jerzy	<i>Dziadek</i>
291	77	Zarzycki Janusz		343	80	Luboński Paweł	<i>Lupa</i>
294	78	Patrykont Marek	<i>Pan Marek</i>	344	80	Niekuła Jacek	
295	78	Pojmański Zbigniew		345	80	Melnik Jeremi	<i>Jarema</i>
296	78	Korsak-Mączyńska Małgorzata		346	80	Miler Anna	
297	78	Koperska Danuta		347	80	Paja Igor	
298	78	Sikora z d. Lin Emilia		348	81	Wajland Bogusław	<i>Wajdelota</i>
299	78	Bayer Michał		349	81	Wiesiołek Andrzej	
300	78	Sobkowski Marcin	<i>Gustaw</i>	350	81	Bądryński Andrzej	<i>Bądryk</i>
301	78	Szporer Janusz		351	81	Marczuk Julita	
302	78	Kleszcz Krzysztof		352	81	Ostrowińska Anna	<i>Ciotka</i>
303	78	Cykowski Leszek	<i>Lutek</i>	353	81	Maciąg Wojciech	
304	78	Miąsek Janusz		354	81	Pluciński Mariusz	
305	78	Łukasik Henryk		355	81	Brzozowski Marian	
306	78	Pieczerek Janusz		356	81	Krzysiak Andrzej	
307	78	Rudzińska Barbara		357	81	Nerwiński Zdzisław	
308	78	Janko z d. Piątkowska Ewa	<i>Mysza</i>	358	81	Furtak Janusz	<i>Dziobak</i>
309	78	Hanusek Jerzy		359	81	Gościniak Grzegorz	
310	78	Kryciński Stanisław	<i>Stasinek</i>	360	81	Matejko Robert	
312	78	Ucieszyńska z d. Malik Barbara		362	81	Wróński Paweł	<i>Hrabia</i>
313	78	Klisowski Jacek		363	81	Sobkowska z d. Giełczewska Marzena	
314	78	Gołąb Jan		364	81	Jełowicka z d. Roguska Krystyna Krycha	
315	78	Stefanowska-Will Joanna		365	81	Sobkiewicz Dariusz	
316	78	Zaremba Piotr		366	82	Szumiak Tomasz	<i>Foma</i>
318	78	Śmigierzewski Bogdan		367	82	Mieszkowski Andrzej	
319	79	Tomaszewski Wiesław		368	82	Bińczyk Grzegorz	
320	79	Teterwak z d. Jarmuł Urszula	<i>Ulerika</i>	369	82	Kuśnierz Marzena	
321	79	Lissowska Maria		370	82	Swianiewicz z d. Piotrowska Renata Anna	
322	79	Koledzińska-Cieźniewska Jadwiga		371	82	Popiołek z d. Włodarczyk Ewa	
323	79	Gębicz Anna	<i>Kokarda</i>	372	82	Wiśniewski Maciej	<i>Wiśnia</i>
324	79	Kozłowska Halina		373	82	Smykowski Leszek	
325	79	Janko Piotr		374	82	Sikorski Leszek	
326	79	Ochremiak Andrzej		375	82	Świerczyński Jerzy	
327	79	Swianiewicz Jan Jacek		376	82	Antoniak Piotr	<i>Antek</i>
328	79	Olech Joanna		377	82	Koperski Piotr	<i>Pastuszek</i>
329	79	Juszczak Wojciech		378	82	Gębalski Zbigniew	<i>Naczelnik</i>
330	79	Sikora Andrzej	<i>Wuj</i>	379	82	Imiela Michał	
331	79	Wiśniewski Piotr		380	83	Affek Piotr	
332	79	Barkowski Mariusz		381	83	Morawska z d. Bednarz Ewa	<i>Gażdzina</i>
333	79	Kieras Zbigniew		382	83	Milczarek z d. Mackiewicz Elżbieta	
334	80	Jędrzejczak Grażyna	<i>Poziomka</i>				<i>Elcia</i>
335	80	Kamińska z d. Zatorska Anna		383	83	Nyka Monika	<i>Nyczanka</i>
			<i>Zatorzanka</i>	384	83	Pawłaczyk Małgorzata	

Lista członków SKPB

385	83	Pawłowska Jolanta		436	88	Budzikowski Henryk	
386	83	Swianiewicz Paweł		437	88	Trochimiuk z d. Srocko Anna	
387	83	Włodarczyk Maciej	<i>Sierściuch</i>	438	88	Kosiorek Zosia	<i>Zoha</i>
388	83	Zalewski Zbigniew		439	88	Kleszcz z d. Perkowska Joanna	
389	83	Gibek Andrzej		440	88	Witczak Paweł	<i>Wiciak</i>
390	83	Jełowicki Piotr	<i>Jeliczka</i>	441	88	Charysz Irena	
391	83	Wicherek Tadeusz	<i>Maestro</i>	442	88	Raczko z d. Niewiadomska Barbara	
392	83	Barbulan z d. Jastrzębska Jagoda		443	88	Koziel Jacek	
394	82	Niesłuchowski Tomasz		444	88	Łodziński Paweł	<i>Pingwin</i>
396	84	Mierzejewska-Kajak Krystyna		445	88	Waydyk Piotr	<i>Kogut</i>
397	84	Mieszkowska z d. Pycko Dorota		446	88	Drozd Agnieszka	
398	84	Szatańska Dorota	<i>Dorotantka</i>	447	88	Staniszewska z d. Roniewicz Ala	
399	84	Kupiszewska z d. Grzeszczak Dorota		448	88	Łodzińska Agnieszka	<i>Maślanka</i>
400	84	Gugulski Antoni		449		Swianiewicz Magda	
401	84	Boniński Marek	<i>Bonin</i>	450	89	Ciesielska Agnieszka	<i>Michał</i>
402	84	Kowalczyk Piotr		451	89	Witkowska z d. Deputa Monika	
403	84	Morawski Wojciech					<i>Smerfotka</i>
404	84	Birski Mariusz	<i>Harnaś</i>	452	89	Soszyńska Małgorzata	<i>KDL</i>
405	84	Betkier Zbigniew		453	89	Szczerbiak z d. Nazaruk	Elżbieta
406	84	Linka Wiesław	<i>Słoneczko</i>				<i>Mysza</i>
407	84	Załuski Dariusz	<i>Świerszcz</i>	454	89	Dembiński Marek	<i>Marecki</i>
408	85	Borawski Stanisław		455	89	Bukowski Artur	
409	85	Ochremiak z d. Raczkowska Anna		456	89	Dąbrowski Roman	<i>Tytus</i>
410	85	Rejman z d. Kurowska Ewa		457	89	Kaczkowski Jarosław	<i>Kaczucha</i>
411	85	Wikieł Sławomir		458	89	Niezgoda Dariusz	<i>Helmut</i>
412	85	Wiejak Waldemar		459	89	Mieleško Małgorzata	
413	85	Sobótka Andrzej	<i>Hubert</i>	460	89	Maziński Krzysztof	<i>Kapsel</i>
414	85	Janaszek Robert		461	89	Darmochwał z d. Czczot	<i>Agata</i>
415	85	Czempiński Andrzej	<i>Ignac</i>	462	89	Darmochwał Tomasz	
416	85	Bonińska Krystyna	<i>Lawinia</i>	463	90	Kostrzewski Tomasz	
417	86	Łysoń Krzysztof	<i>Krzysioń</i>	464	91	Kunachowicz Joanna	<i>Jojo</i>
418	86	Kłoszewski Jacek		465	91	Fiedczak Longin	
419	86	Piekarski Jarosław		466	91	Szulewska z d. Ćwiklińska Ewa	
420	86	Rejman Jerzy	<i>Krasnal</i>	467	91	Respondek Agnieszka	
421	86	Staniszewski Tomasz	<i>Trzy Świnki</i>	468	91	Gajo Ignacy	<i>Ignac</i>
422	86	Ulka Bogdan		469	91	Konecka z d. Stolarska Katarzyna	<i>Robaczek</i>
423	86	de Koret z d. Łuka Maria					
424	86	Wałękiel Marek		470	91	Kornata Agnieszka	
425	86	Sitarska z d. Miedźwiecka Marta		471	91	Milczarek Michał	
426	86	Wilczek Jolanta	<i>Drapa</i>	472	91	Konecki Marcin	
427	86	Wiecha Krzysztof		473	91	Olszewski Robert	
428	86	Raczko Dariusz	<i>Struś</i>	474	91	Spalik Krzysztof	
430	87	Wojciechowski Tadeusz		475	91	Kalupa Marek	
431	87	Dźwigala Zbigniew	<i>Zbyl</i>	476	92	Malec Piotr	
432	87	Puławska z d. Miłkowska Maria	<i>Mysza</i>	477	92	Wasil Marcin	
				478	92	Dźwigala Krzysztof	<i>Krzyś</i>
433	87	Wierzycka Łucja		479	90	Słoń z d. Dróżniak Milena	
434	87	Matus Maciej		480	90	Świerczyński Krzysztof	<i>Świerszcz</i>
435	87	Pyra Grzegorz		481	90	Ciołek Jarosław	<i>Peretka</i>

Lista członków SKPB

482	90	Michalik Mirosław		530	96	Kalińska Monika	
483	90	Stoń Marek		531	96	Grycz Michał	
484	90	Kozłowski Arkadiusz		532	96	Kowalski Włodzimierz	
485	90	Smagała Grzegorz		533	96	Skomorowska Maja	
486	90	Szatrawski Tomasz		534	96	Tabak z d. Komorowska Izabela	
487	90	Szczerbiak Piotr		535	96	Brzeziński Marcin	<i>Bombel</i>
488	92	Piegat Magdalena		536	96	Kański Paweł	<i>Kanius</i>
489	92	Baran Jan Stanisław		537	96	Dorabialski Wojciech	
490	92	Karasińska-Gajo Ewa	<i>Piguła</i>	538	96	Kończak Krzysztof	<i>Elegant</i>
491	92	Figura Dariusz		539	97	Gąsiorowski Jakub	
492	92	Szulewski Piotr		540	97	Migdalska Katarzyna	
493	92	Stracuk Wiktor		541	97	Adamczyk Joanna	
494	92	Mąkowska z d. Matjas Olga		542	98	Kaczorowski Grzegorz	
495	92	Mazurkiewicz z d. Smolarz Aneta		543	98	Tylińska Daria	
496	92	Trochimiuk Paweł		544	98	Łaniewski Mikołaj	
497	93	Sołowiej Robert		545	98	Gąsiorowska z d. Łapkiewicz Anna	
498	93	Tyliński Grzegorz	<i>Docent</i>	546	98	Kloch Agnieszka	<i>Owca</i>
499	93	Belchowski Waldemar		547	98	Majewski Arkadiusz	
500	93	Czarnecka Agnieszka		548	98	Płatkowska Agnieszka	
501	93	Makiela Kazimierz	<i>Kazik</i>	549	98	Kubacki Maciej	
502	93	Kowalewski Dariusz		550	98	Panasik Adam	
503	93	Żukowski Piotr		551	99	Kobierecka Magdalena	
504	93	Rudawska-Węgrzyn Jolanta		552	99	Kardaś Piotr	
505	94	Pontek Paweł		553	99	Szreter Maciej	
506	94	Bukowska z d. Góra Grażyna		554	99	Godlewski Maciej	<i>Gore</i>
507	94	Filocha Maciej		555	99	Filip Adam	<i>Miś</i>
508	94	Karpiński Jarosław		556	00	Załuga Aneta	
509	94	Widlak Ewa	<i>Milady</i>	557	00	Kowalska Krystyna	<i>Krycha</i>
510	94	Feliksbrod Konrad		558	00	Dobrzański Jan	
511	94	Życzyńska-Ciołek Danuta	<i>Mareszka</i>	559	00	Jasiński Karol	
512	94	Świdzińska Justyna		560	00	Łebkowska Katarzyna	<i>Julka</i>
513	94	Wrona Piotr	<i>Jabbuchy</i>	561	00	Glanda Marta	
514	94	Urlich Jakub		562	00	Długołęcka Maja	
515	94	Czaplicki Maciej		563	00	Graniszewski Waldemar	
516	95	Missala Michał		564	00	Hofman Piotr	<i>Sarenka</i>
517	95	Mroczkowska Joanna	<i>Firletka</i>	565	00	Nowakowski Maciej	
518	95	Gliniak Małgorzata		566	01	Gatkowski Dariusz	<i>Mister</i>
519	95	Michalik Sławomir		567	01	Karamuz Justyna	<i>Justa</i>
520	95	Matyka Andrzej		568	01	Gutkowska Małgorzata	
521	95	Węckowski Artur	<i>Wu</i>	569	01	Wielga Tomasz	<i>Trombka</i>
522	95	Karnecki Marcin		570	01	Skrzyniarz Michał	<i>Skrzyniarz</i>
523	95	Gliniak Wojciech		571	01	Jawor Anna	
524	96	Pietrzak Mariusz	<i>Dzidek</i>	572	01	Wasilewska Agnieszka	
525	96	Sadowska Aleksandra		573	01	Nowacki Jarosław	
526	96	Russyan Magdalena	<i>MRP</i>	574	02	Fedorowicz Jan	
527	96	Olszewska z d. Dziecioł Martyna	<i>Martynka</i>	575	02	Węclawski Łukasz	<i>Szwajcar</i>
				576	02	Kowalska Zofia Zosia	
528	96	Cieślik Grzegorz		577	02	Pająk Bartosz	
529	96	Stowik Tomasz		578	02	Badowska Magda	

				Członkowie Koła, którzy zakończyli działalność przed wprowadzeniem blach			
				<i>kurs</i>	<i>nazwisko</i>	<i>imię</i>	<i>ksywka</i>
579	02	Tokarski Tomasz <i>Dziwny</i>					
580	02	Skieterska Agnieszka	<i>Skieter</i>				
581	02	Kulesza Maksymilian	<i>Maks</i>				
582	02	Janik Michał	<i>Socjo</i>				
583	02	Domański Andrzej	<i>Jędrzek</i>	56	Kulicki Wojciech		
584	03	Kuran Tomasz	<i>To Mi</i>		Dylis Władek		
585	03	Gąsiorowski Jędrzej			<u>Błaszowski Krzysztof</u>		
586	03	Janusz Artur			Kunc Andrzej		
587	03	Słoma Alicja		56/57	Gnyś (Plebanowa) Teresa		
588	03	Janiszewska Dorota			Latawiec Jerzy		
589	03	Szloser Stanisław			Nowosielski Janusz		
590	03	Dąbrowski Rafał			Kopczyński Leszek		
591	03	Joniewicz Tadeusz	<i>Tede</i>	57/58	Kochanek Jerzy		
592	04	Ekonomiuk Dariusz			Osuch Krzysztof		
593	04	Baranowski Radosław	<i>Baranek</i>		Szcześniak Andrzej		
594	04	Kupiszewska Krystyna			Kwasiborski Wiesław		
595	04	Gąsiorowska z d. Bilewska	Maria		Jawor Zbigniew		
596	04	Tymoczko Andrzej		58/59	Ziobrowski Zbigniew		
597	04	Anuszewski Tomasz	<i>Budyń</i>		Kotowicz-Jawor Joanna		
598	05	Michalski Radosław			<u>Uhera Roman</u>		
599	05	Ślusarczyk Łukasz		59/60	Beynar Ewa		
600	05	Lisak Krzysztof			Kot Mieczysław		
601	05	Kłosowicz Piotr	<i>Spasłak</i>		Ziębiński Michał		
602	05	Dryk Jacek			Hryniewska Krystyna		<i>Kropka</i>
603	05	Chojnacki Szymon			<u>Harski Andrzej</u>		
604	05	Gzyra Przemysław	<i>Dzemas</i>		Szamowski Andrzej		<i>Szaman</i>
605	05	Dąbrowska z d. Adamczyk	Izabela		Zieliński Jerzy		<i>Animal</i>
606	05	Juszczak Karolina			Lechtman Wera		
607	07	Affek Andrzej			Smirnow Maria		<i>Marcysia</i>
608	07	Romaniuk Anna		60/61	Misiak-Bremer Elżbieta		<i>Miśka</i>
609	07	Organ Jakub	<i>Gorgan</i>		Ciszewska Barbara		<i>Geografka</i>
610	07	Przemyska Monika	<i>Monia</i>	61/62	Bystrzanowski Julian		
611	07	Adamska Małgorzata			Szulc Andrzej		
612	07	Wrzeszcz Paweł			Łoszakiewicz-Błaszowska Grażyna		
613	07	Tokarska Agnieszka			Sokołowska Wala		
614	07	Gajda Aleksandra	<i>Frajda</i>		Kańska Urszula		<i>Kubica</i>
615	07	Szałachwaj Grzegorz	<i>Szałas</i>		Jezierska Alicja		
616	07	Leszczuk Justyna					
617	07	Szewczyk Jakub					
618	07	Makarewicz Wojciech	<i>Makar</i>				
619	07	Zawadzka Anna					
620	07	Saletra Wojciech					
621	07	Jeziorska z d. Ignatowicz	Katarzyna				
622	07	Ratajewicz Maciej	<i>Maćko</i>				
623	07	Mazurkiewicz Liliana					
624	07	Cichy Marek					

Odnaczenia Koła:

Złota Odznaka Honorowa PTTK, legitymacja nr 3051 wystawiona 13 listopada 1972 r.

Medal Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK „Za zasługi dla turystyki górskiej” ustanowiony z okazji 110 rocznicy powstania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. (nr leg 25 z 16.04.1988 roku).



Nasi prezesi

- 1.♦ 1957 - 1959 Wojciech Kulicki
- 2.♦ 1960 - 1961 Bolesław Pleban
- 3.♦ 1962 - 1963 Henryk Suprynowicz
- 4.♦ 1964 Jerzy Wicher
- 5.♦ 1965 Witold Michałowski
- 6.♦ 1966 Zofia Szajuk
- 7.♦ 1967 Przemysław Pilich
- 8.♦ 1968 Jerzy Korejwo
- 9.♦ 1969 Jan W. Kwiatowski
- 10.♦ 1970 Andrzej Stanek
- 11.♦ 1971 Julian Bystrzanowski
- 12.♦ 1972 Tomasz Wojciech Łękawski
- 13.♦ 1973 Bogdan Mościcki
- 14.♦ 1974 Grzegorz Jung
- 15.♦ 1975 Mieczysław Żochowski
- 16.♦ 1976 Adam Kulewski
- 17.♦ 1977 Andrzej Wielocha
- 18.♦ 1978 Edmund Kuna
- 19.♦ 1979 Juliusz Marszałek
- 20.♦ 1980 Barbara Rudzińska
- 21.♦ 1981 Jan Jacek Swianiewicz
- 22.♦ 1982 Ewa Piątkowska-Janko
- 23.♦ 1983 (do VI) Tomasz Szumniak
- 24.♦ 1983 (od VI) Ewa Włodarczyk
- 25.♦ 1984 Bogdan Mościcki
- 26.♦ 1985 Paweł Luboński
- 27.♦ 1986 Wojciech Juszczyk
- 28.♦ 1987 Robert Janaszek
- 29.♦ 1988 Jacek Kłoszewski
- 30.♦ 1989 Jerzy Rejman
- 31.♦ 1990 Anna Skrocka
- 32.♦ 1991 (do IV) Marek Patrzykont
- 33.♦ 1991 (od IV) Tomasz Kostrzewski
- 34.♦ 1992 Robert Olszewski
- 35.♦ 1993 - 1994 Krzysztof Dźwigała
- 36.♦ 1995 Piotr Wrona
- 37.♦ 1996 Maciej Czapllicki
- 38.♦ 1997 Mariusz Pietrzak
- 39.♦ 1998 Jakub Gąsiorowski
- 40.♦ 1999 Sławomir Michalik
- 41.♦ 2000 Adam Panasik (do października)
- 42.♦ 2000 Krystyna Kowalska
- 43.♦ 2001 Karol Jasiński
- 44.♦ 2002 Tomasz Wielga
- 45.♦ 2003 Zofia Kowalska
- 46.♦ 2004/2005 Jędrzej Gąsiorowski
- 47.♦ 2005/2006 Zofia Kowalska
- 48.♦ 2006/2007 Radosław Baranowski

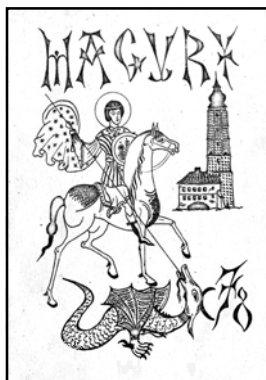
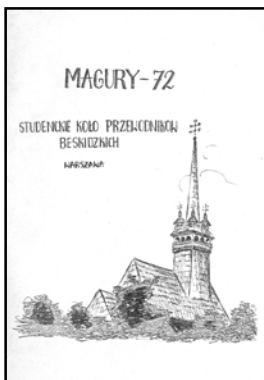
Prezesi i Andrzej Matias (ten w środku) podczas 45-lecia, fot. T. Pyrcak





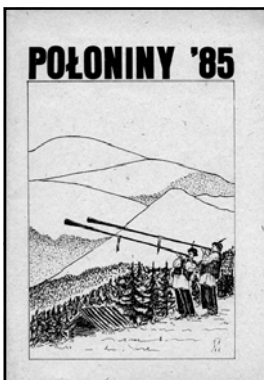
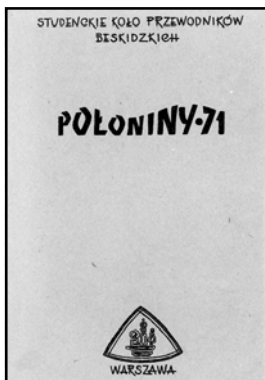
Nasze wydawnictwa

1. Beskid Niski, *Lesław Karst* s. 33, (I wyd. 200 egz. 1965, II wyd. 500 egz. 1966 (powielacz.) III wyd. 2000 egz. 1966, druk);
2. Beskid Niski, *Andrzej Matias* s. 40, 1967;
3. Historia SKPB 1957-1967 300 egz., s. 9, 1967;
4. Informator z okazji X Zjazdu Kampinoskiego im. A. Harckiego 500 egz., s. 27, 1969;
5. Architektura drewnianych cerkiewek na tembergowszczyźnie 500 egz., s. 17, 1970;
6. *Marian Winkowski*, Cerkiew w Posadzie Rybotyckiej 500 egz., s. 5, 1970;
7. *A. Kwilecki*, Fragmenty najnowszej historii Łemków 525 egz., s. 48, 1970.
8. *Zofia Szajuk*, Historia GOPR 500 egz., s. 5, 1970.
9. *Adam Fastnacht*, Nieco o Bieszczadach i innych nazwach geograficznych 500 egz., s. 10, 1970.
10. *Witold Michałowski*, Krótki rys chronologiczno-historyczny dziejów Księstwa Halicko-Włodzimierskiego I wyd. 500 egz., s. 9, 1970; II wyd. uzupełnione, 500 egz., s. 13, 1973.
11. Krzysztof Grysa, Gospodarka wodna w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem woj. rzeszowskiego 500 egz., s. 21, 1971.
12. Informator o terenach zjazdu Marzanna IV 150 egz., s. 10, 1971.
13. *Ewa i Przemysław Pilichowie*, Podlasie 1971 300 egz., s. 10, 1971.
14. Śpiewnik SKPB. XII Og. Rajd Studencki SKPB Bieszczady 71 500 egz., s. 20, 1971.
15. *Waldemar Ufnalski*, topiennik i okolice 500 egz., s. 17, 1971.
16. *Teresa Woźniak i Przemysław Pilich*, Beskid Niski 500 egz., s. 19, 1971.
17. *Julian Bystrzanowski*, Historia turystyki w Polsce 100 egz., s. 5, 1971.
18. Płoniny '71 400 egz., s. 67, 1971,
Zawartość zeszytu:
Aleksander Fredro, *Danuta Tyszkiewicz*, Bieszczady w XIX-wiecznej poezji;
Solina, *Sławomir Łobodziński*;
Lesko, *Przemysław Pilich*;
Bison Bonasus, *Krzysztof Druzgałski*;
Geografia Karpat, *Andrzej Goński*;
Projekt rezerwatu międzynarodowego, *Szczepan Marczyński*;
Wydawnictwa SKPB Warszawa, *Ewa Pilich*.
19. *Waldemar Ufnalski*, Ustrzyki Górne s. 30, I wyd. 500 egz., 1971; II wyd. 1000 egz., 1975.
20. *Przemysław Pilich*, Zagórz k. Sanoka s. 18, I wyd. 500 egz., 1971; II wyd. 1000 egz., 1975.
21. *Mirosława Jabłońska*, Ochrona przyrody w Polsce 300 egz., s. 18, 1971.
22. *Katarzyna Piwnicka*, Osadnictwo na prawie ruskim, polskim, niemieckim... s. 9, I wyd. 500 egz., 1971; II wyd. 500 egz., 1973
23. *Andrzej Huczko*, *Marian Zagórnik*, I wojna światowa na terenie Polski, przebieg działań na terenie Galicji 400 egz., s. 28, 1971
24. *E. Dudzińska*, Skład apteczki polowej 150 egz., s. 3, 1971
25. *Janusz Kamocki*, Zarys grup etnograficznych w Polsce 500 egz., s. 15, 1971.
26. *Ewa i Przemysław Pilichowie*, Arkadia, Nieborów, Bolińców i okolice 350 egz., s. 9, 1972
27. *Magury '72 Przemysław Pilich* 500 egz., s. 24, 1972,
Zawartość zeszytu:
Przeгляд miejscowości na trasach rajdu, *Przemysław Pilich*;
Historia i zabytki Ciężkowic, *Andrzej Huczko*;
Nazewnictwo Beskidu Niskiego, *Tomasz W. Łękański*;
Górskie zainteresowania Seweryna Goszczyńskiego, *Krzysztof Porada*.
28. *S. Skowroński*, Organizacja turystyki w Polsce 300 egz., s. 8, 1972
29. Śpiewnik turystyczny Lato '72, 500 egz., s. 35, 1972
30. Płoniny '72, *Krzysztof Druzgałski*, 600 egz., s. 157, 1972.
Zawartość zeszytu:
15 lat SKPB — ilustrowana kronika przewodnicka, *Krzysztof Druzgałski*;
Jan Gerhard, *Krzysztof Druzgałski*;
„Powrót do kraju łagodności” — czyli o niektórych ludziach literatury związanych z Beskidami, *Maria Sokołowska*;
Zamek Sobień, *Przemysław Pilich*;
Komańcza, *Krzysztof Druzgałski*;
Operacja dukielsko-preszowska, *Danuta Nowakowska*;
Słowackie Powstanie Narodowe, *Andrzej Augustyniak*;
Historia ważniejszych rodów szlacheckich Beskidów i Pogórzy;
Toponomastyka Bieszczadów Zachodnich, *Tomasz W. Łękański*;
Chałupy ludowe w Karpatach Polskich, *Krzysztof Porada*;
Historia i zasięg występowania niektórych gatunków drzew liściastych w Beskidach, *Barbara Gabrył*;
Szata roślinna Beskidów Polskich, *Maria Lipszyc*, *Katarzyna Starosta*;
Rezerwaty przyrody i Parki Narodowe w Beskidach, *Katarzyna Starosta*;
Próby zagospodarowania Bieszczadów;



- Wspomnienie, *Elżbieta Baczyńska*, Wydawnictwa SKPB w Warszawie w okresie 1.07.71-1.07.72, *Ewa Pilich*.
31. Kronika studenckiej turystyki górskiej. Nasze piętnaście lat 1957-1972 400, egz., s. 58, 1972, Zawartość zeszytu:
 To już piętnaście lat...;
 Miłe złego początki?, *Irena Matjas*;
 Akcja Letnia, *Irena Matjas, Jerzy Korejwo*;
 Rajdowanie, rajdowanie, *Jerzy Korejwo*;
 Złazy tu i ówdzie..., *Tomasz Kowalik*;
 Bieszczadzka szkoła uczyć, *Bronisław Bremer*;
 Dziewczyny lat sześćdziesiątych, *Marta Korejwo*;
 A pamiętacie?...;
 Sprawy ważne i zupełnie drobne, *Jerzy Korejwo, Tomasz Kowalik*;
 Nicco statystyki.
32. *Katarzyna Starosta, Jerzy Wesołowski*, Informator krajoznawczy rajdu Powitanie wiosny, 300 egz., s. 10, 1973.
33. *Magury '73, Katarzyna Piwnicka, Przemysław Pilich*, 500 egz., s. 45, 1973, Zawartość zeszytu:
 Opis wybranych miejscowości, *Przemysław Pilich*;
 Wincenty Pol, *Tomasz W. Łękowski*;
 Zabytkowe cerkwie w Beskidzie Niskim, *Przemysław Pilich*;
 Śladem lotniczych znalezisk w Beskidzie Niskim, *Krzysztof Segit*;
 Bajeczny świat łemkowszczyzny, *W. Fusek*;
34. *Michał Świątalski*, Zamek w Krasiczynie 400 egz., s. 14, 1973.
35. *Magdalena Dietrich, Jan Jabłkowski*, Między Ostawą i Ostawicą, 5000 egz., s. 47, 1973.
36. *Poloniny '73, Tomasz W. Łękowski*, 800 egz., s. 53, 1973, Zawartość zeszytu:
 Góry wspólnie odnalezione, *Grzegorz Woroszytło*;
 Odkrywamy powtórnie Bieszczady;
 Nasz program działania — SKPB;
 Nie dajmy odejść legendzie, *Witold Michałowski*;
 Chwila uzasadnionej fantazji, *Jacek Mazur, Janusz Rygielski*;
 Historyczne drewniane budownictwo rzeszowskiego w aspekcie ochrony zabytków, *Michał Świątalski*;
 Studencka wioska turystyczna w Łopience, *Tomasz W. Łękowski*;
 Zmiany na mapie Bieszczadów, *Tomasz Kowalik*;
 Wschodnio-bieszczadzki obszar chronionego krajobrazu, *Tomasz Kowalik*;
 Od traktu winnego do obwodnicy i cięciwy, *Bronisław Bremer*;
 Śladem lotniczych historii nie z tej ziemi — Bieszczady, *Krzysztof Segit*;
 Bieszczadzka szkoła uczyć, *Bronisław Bremer*.
37. *Władysław Midowicz*, Początki polskiej turystyki w Beskidach Zachodnich i walka z naporem niemieckim (Beskidverein), 500 egz., s. 21, 1973.
38. *Halina Kazberuk*, Zasady żywienia obozów wędrownych 500 egz., s. 16, 1973.
39. *Jerzy M. Wesołowski*, Informator krajoznawczy rajdu Powitanie Wiosny 1974, Lasy Garwolińskie 400 egz., s. 11, 1974.
40. *Magury '74, Tomasz W. Łękowski*, 700 egz., s. 51, 1974 Zawartość zeszytu:
 IX rajdów w Beskidzie Niskim, *Adam Kulewski, Tomasz W. Łękowski*;
 Beskidzkimi roztokami, *Grzegorz Woroszytło*;
 Opis wybranych miejscowości;
 Jaskinie Bieszczadów i Beskidu Niskiego, *Andrzej Stanek*;
 Biskup warmiński rodem z Biecza, *Tomasz W. Łękowski*;
 Operacja gorlicka i cmentarze wojenne, *Adam Kulewski, Tomasz W. Łękowski*;
 Bajeczny świat łemkowszczyzny;
 Legendy Pogórza;
 Wydawnictwa SKPB poświęcone problemom Beskidu Niskiego, *Tomasz W. Łękowski*.

41. Śpiewnik rajdowy SKPB 1500 egz., s. 109, 1974.
 42. Vihorlat 100 egz., s. 16, 1974 (powielacz).
 43. Katalog miejscowości Zakarcia 100 egz., s. 7, 1974.
 44. Užhorod 100 egz., 1974.
 45. Zabytki Mukaczewa 100 egz., s. 3, 1974.
 46. Słowacki Kras, *Michał Ignatowicz* 100 egz., s. 15, 1975.
 47. *Mirosława Jabłońska, Tomasz Kowalik*, Materiały szkoleniowe. Ochrona przyrody i środowiska w Polsce 1230 egz., s. 50, 1974.
 48. Magury '75, *Tomasz W. Łękowski*, 1200 egz., s. 105, 1975,
 Zawartość zeszytu:
 Podanie o założeniu miasta Biecza ;
 Werbowny buk,
 Na tropach zbojeckiej piwnicy, *Janusz Rygielski*;
 Cerkiew w Hańczowej wyremontowana, *Józef Domurad*;
 Opis wybranych miejscowości;
 Zamek Odrzykoń, *Józef Domurad, Jan Patrzyłas*;
 Legendy Pogórza;
 Kamieniarstwo w Beskidzie Niskim, *Jan Bazyl Lipszyc*;
 Konfederacja Barska. Działania w Beskidzie Niskim, *Tomasz W. Łękowski*;
 Rezerwy przyrody Beskidu Niskiego i Pogórzy, *Barbara Gabryl*;
 Uwagi o genezie jaskiń w okolicy Dukli, *Stanisław Janiga*;
 Zabytki architektury powiatu gorlickiego.
 49. Śpiewnik SKPB zeszyt 1, 3000 egz. s. 66; zeszyt 2, 2000 egz., s. 54
 50. Alpy Rodniańskie. Słownik krajoznawczy 100 egz., s. 11, 1975 (powielacz)
 51. *Marek Ucieszyński*, Góry Rodniańskie. Opis fizjograficzny 100 egz., s. 8, 1975 (powielacz)
 52. Karpaty Marmaroskie. Opis fizjograficzny 100 egz., s. 8, 1975 (powielacz)
 53. Pasma wulkaniczne Karpat Wschodnich. Oas, Gutyi, Tibles, Calimani. Opis fizjograficzny 100 egz., s. 7, 1975 (powielacz)
 54. Magury '76, *Tomasz W. Łękowski*, 2000 egz., s. 60, 1976.
 Zawartość zeszytu:
 Dukla Amaliowa, *Miron Białoszewski*;
 Łowiectwo ludowe na terytorium Żmierzynie, *Roman Reinfuss*
 Legendy Pogórzy — Świąty Buk,
 Państwo Muszyńskie, *Ewa Piesiewicz*;
 Dominium Ropae, *Alicja Socha*;
 Karwacjanowie herbu Zadora, *Alicja Socha*;
 Stadniczy herbu Śreniawa ze Żmigrodu, *Alicja Socha*;
 Opis wybranych miejscowości;
 Historia przemysłu naftowego, *Irena Matias*;
 Magury 72-75, *Tomasz W. Łękowski*.
 55. Śpiewnik Beskid Niski '76 300 egz., s. 60, 1976.
 56. Piosenki lata 1976 s. 40, 1976.
 57. Wschodnia Słowacja *Michał Ignatowicz* 600 egz., s. 102, 1976.
 58. Połoniny '76, 1000 egz., s. 28, 1976.
 Zawartość zeszytu:
 Węże w Bieszczadach, *Joanna Stefanowska*;
 Na kolejowym szlaku, *Danuta Kazimierska*;
 Chatka socjologa, *Anna Rembelska*;
 Spór o Bieszczady, *Jan Bazyl Lipszyc*;
 Bieszczadzka piosenka turystyczna, *Adam Kulewski*.
 59. Romania Krzysztof Segit, *Józef Wróblewski*, 600 egz., s. 64, 1976
 60. Śpiewnik Beskid Niski '77, 300 egz., s. 31, 1977.
 61. *Jan Sołtyk*, Architektura, 300 egz., s. 33, 1977.
 62. *Jan Jabłkowski, Krzysztof Porada*, Budownictwo drewniane, 300 egz., s. 28, 1977.
 63. Romania, *Krzysztof Segit, Piotr Laskowski, Małgorzata Zięborak*, 300 egz., s. 111, 1977.
 64. Hindukusz-Jokham '77, *Edmund Kuna*, 1000 egz., s. 6, 1977 (folder).
 65. Informator SKPB '77, *Andrzej Wielocha*, 600 egz., s. 16, 1977.
 66. Połoniny '77, *Tomasz W. Łękowski*, 600 egz., s. 75, 1977
 Zawartość zeszytu:
 17 rajdów bieszczadzkich, *Tomasz W. Łękowski*;
 Kto cię ciął bieszczadzki lasie, *Bogdan Mościcki*;
 Rezerwy przyrody Bieszczadów i Pogórza Przemyskiego, *Maria Lipszyc*;
 Jaskinie w Nasicznem, *Agnieszka Iwanek*;
 O najstarszym osadnictwie na terenie Bieszczadów, *Jacek Strupiechowski*;
 Szlak bojowy oddziału „Muchy” na Pogórze i w Bieszczadach, *Adam Kulewski*;
 Bajki Wierchowy,
 Opis wybranych miejscowości.
 67. Historia Studenckiej turystyki górskiej. 20 lat Studenckiego Koła przewodników Beskidzkiej, *Grzegorz Jung, Jan Bazyl Lipszyc*, 300 egz., s. 91, 1977,
 Zawartość zeszytu:
 Historia Koła — koło historii, *Grzegorz Jung*;
 Wiosna, lato, jesień, zima prezes się za głowę trzyma, *Adam Kulewski*;
 Nasz organ, *Bogdan Mościcki*;
 Jarmark w Komańcy, *Tomasz W. Łękowski, Bogdan Mościcki*;
 Kartka ze wspomnień prezesa komisji egzaminacyjnej, *Adam Kulewski*;
 Printed by SKPB, *Tomasz W. Łękowski*;
 Szekspir jada w Bereżkach?, *Krzysztof Segit*;
 Spór o Bieszczady, *Jan Bazyl Lipszyc*;
 SKPB w górach świata, *Andrzej Huczko*;
 Moje pagonie, *Jan Bazyl Lipszyc*;
 Nasi w publikatorach, *Tomasz Kowalik*;
 A pamiętacie...;
 Sprawy rodzinne i inne;
 Co słychać u prezesów?;
 Pożegnania;



- Statystyki .
68. Idzie wiosna. Śpiewnik turystyczny 800 egz., s. 32, 1978.
69. Magury '78, *Andrzej Wielocha*, 1000 egz., s. 86, 1978
Zawartość zeszytu:
Sześć dni w dorzeczu Ropy i Białej, *Andrzej Wielocha*;
W kręgu wpływów kultury bizantyńskiej w południowo-wschodniej Polsce. Ikony, *Andrzej Wielocha*;
Bibliografia wydawnictw SKPB.
70. Hej góry, góry. Śpiewnik XIV Beskid Niski 1500 egz., s. 80, 1978.
71. *Jan Jabłkowski, Maria Keller, Zofia Szanter*, Materiały toponomastyczne, 150 egz., s. 18, 1978 (powielacz).
72. *Krzysztof Paring [Krzysztof Segit]*, Dolina Izy, 200 egz., s. 24, 1978.
73. Norwegia, *Andrzej Huczko*, 220 egz., s. 50, 1978
74. *Juliusz Marszałek*, Beskidy Wschodnie, 300 egz., s. 28, 1978.
75. Połoniny '78, *Emilia Lin, Marek Kupiszewski*, 1000 egz., s. 78, 1978.
Zawartość zeszytu:
Koleje w Bieszczadach, *Jan Gołąb*;
Dawna bieszczadzka wieś, *Tomasz W. Łękowski*;
Hej, Bieszczady, *Michał Jasińczyk [Witold Michałowski]*;
Charakterystyka sztucznych zbiorników w dorzeczu górnego Sanu, *Ewa Czeczott*;
Rozwój sieci drogowej w Bieszczadach, *Bronisław Bremer*;
Rolnictwo w Bieszczadach, *Olgiert Czeczott*;
Gospodarka leśna w Bieszczadach, *Jan Jabłkowski*;
- Do Bieszczadzkich wód, *Jerzy Will*;
Spotkamy się za dwadzieścia lat, *Michał Jasińczyk [Witold Michałowski]*.
- 76 Krótka historia UPA i OUN 300 egz., s. 35, 1978.
- 77 *Adam Skrzecz, Juliusz Zięborak*, Iran, 300 egz., s. 70, 1979.
- 78 Magury '79, *Tadeusz Pyrac*, 1000 egz., s. 47, 1979
Zawartość zeszytu:
Siedem dni na Słowacji, *Paweł Gajowniczek, Tadeusz Pyrac*;
Nowe zbiorniki wodne w Beskidzie Niskim i na Pogórzu, *Wojciech Jasiński*;
Widziane z marszu, *Jan Bazyl Lipszy*;
Z dziejów lecznictwa uzdrowskiego w Beskidzie Niskim i na Pogórzu, *Wojciech Jasiński*;
O wodach leczniczych słów kilka, *Wojciech Jasiński*;
Kwiaty wiosenne Beskidu Niskiego, *Tadeusz Pyrac*;
Dwór obronny w Jeżowie, *Jacek Katuszko*;
Wrzesień 1939 w Beskidzie Niskim, *Tadeusz Pyrac*.
79. Śpiewnik, XV Beskid Niski 2000 egz., s. 72, 1979.
80. Połoniny '79, *Jacek Katuszko* 700 egz., s. 93, 1979.
Zawartość zeszytu:
Legendy topograficzne w Bieszczadach, *Stanisław Iwaniszewski*;
Rzecz o wschodnio-karpackich opryskach, *Maria Lisowska*;
Z dziejów I wojny światowej,
Osadnicy greccy w Bieszczadach, *Jan Jacek Swianiewicz*;
Kultura pasterska w Bieszczadach, *Marek Kupiszewski*;
Krótka historia przemysłu naftowego w Bieszczadach, *Stanisław Wiczorkowski*;
Mielerze ciągle potrzebne, *Jacek Katuszko*;
Bieszczadzkie cerkwie, *Zofia Szanter*;
Nieistniejące cerkwie w Bieszczadach, *Stanisław Kryciński*;
Bibliografia zabytkowych cerkwi polskich Karpat, *Przemysław Piłch*.
81. *Krzysztof Dudek*, Kraszy Slovenska 1000 egz., s. 120, 1979
82. *Stanisław Kryciński*, Budownictwo drewniane część I, 720 egz., s. 26; część II 400 egz., s. 52, 1979
83. *Jan Jabłkowski, Maria Keller*, Tradycje walk partyzanckich w Bieszczadach. Konspiracja w sanockim i Ileskim w czasie II wojny światowej 500 egz., s. 22, 1979
84. Magury '80, *Maria Lisowska*, 1000 egz., s. 61, 1980
Zawartość zeszytu:

Ścieżę dnia na Słowacji, *Andrzej Huczko*;
 Dawna kuchnia Łemkowska, *Stanisław Iwaniszewski*;
 Z taktwem przez stulecia, *Stanisław Wieczorkowski*;
 O walkach Lisowczyków w Karpatach, *Tomasz W. Łękański*;
 Rzeczpospolita Iwonicka, *Paweł Gajowniczek*;
 Zarys cech charakterystycznych drewnianej architektury
 cerkiewnej na obszarze północnych Karpat i ich podnóża,
Jerzy Czarnocki.

85. Śpiewnik XVI Beskid Niski 500 egz., s. 80, 1980
 86. Połoniny '80, *Wojciech Komorowski, Paweł Luboński, Anna Zatorska*, 700 egz., s. 74, 1980

Zawartość zeszytu:

Licho nie śpi, *Anna Zatorska*;
 Trochę o stroju ludowym Bojków, *Anna Zatorska*;
 Jeziora Duszyńskie, *Wojciech Komorowski*;
 Wody podziemne polskich Karpat fliszowych, *Wojciech Komorowski*;
 Wśród bastionów, kopców i kaponier, *Paweł Luboński*;
 Z niespokojnych lat Rzeszowszczyzny, *Jeremi Melnik*;
 Pionierskie lata Lwowskiego AKT, *Paweł Luboński*;
 Program zagospodarowania turystycznego Bieszczadów,
Zbigniew Lonc;
 Monitor Polski nr 21, *Jarosław Iwaszkiewicz*.

87. *Daruta Koperska*, Geologia Beskidów, 500 egz., s. 32, 1980.

88. Magury '81, *Marek Kupiszewski*, 500 egz., s. 86, 1981

Zawartość zeszytu:

Poezje Pawła Stefanowskiego, *Krzysztof Kleszcz, Małgorzata Krakowiak*;
 Cmentarze wojenne Beskidu Niskiego i Pogorza, *Ryszard Montusiewicz*;
 Arianie i ich związki z Beskidami, *Tadeusz Pyrcak*;
 Kościół w Haczowie, *Barbara Malik*;
 Przejawy wulkanizmu rejonu Pienin, *Wojciech Komorowski*.

89. Śpiewnik, XVII Beskid Niski, 1000 egz., s. 80, 1981

90. Połoniny '81, *Paweł Luboński*, 700 egz., s. 80, 1981

Zawartość zeszytu:

Z notatnika bieszczadzkiego, *Tadeusz A. Olszański*;
 Zemsta Czerwonego Kapturka, *Jerzy M. Wesołowski*;
 Jeszcze raz o Unitach, *Andrzej Huczko*;
 Powstanie Leskie, *Jakub Lech*;
 Solidarność Bieszczadzka, *Bogdan Mościński*;
 Szansa dla zabytków, *Piotr Koperski*;
 „Karpaty”, *Ola Siwak*;
 Bieszczadzki Bilans, *Witold Michałowski*;
 Muzea skansenowskie w Karpatach Polskich, *Wojciech Komorowski*.

91. *Krzysztof Dudek*, Pogórze Dynowskie i Strzyżowskie, 500 egz., s. 55, 1980.

Od pozycji 92 zaczynają się wydawnictwa numerowane

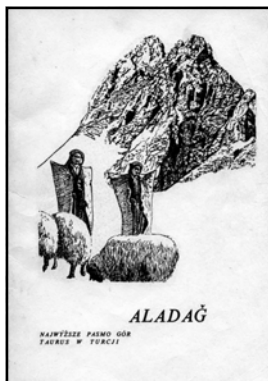
92. Śpiewnik XVIII Beskid Niski, 600 egz., s. 56, 1982.

93. Magury '82, *Anna Zatorska, Krzysztof Kleszcz*, 600 egz., s. 76, 1982.

Zawartość zeszytu:

Wilsznia, *Mikołaj Buriak*;
 Wiersze Pawła Stefanowskiego, *Małgorzata Krakowiak*;
 Medycyna ludowa na Łemkowszczyźnie, *Krzysztof Kleszcz*;
 Wigilia w Bartnem, *J. Bortniański*;
 Gorlickie;
 Zespół Pieśni i Tańca „Łemkowyna”, *Jarosław Trochanowski*;
 „Iskory” z Hańczonej, *Anna Zatorska*;
 Łemkowie w Talerhofie, *Paweł Stefanowski*;
 Krótko o Talerhofie, *Tadeusz A. Olszański*;
 Grabarz Kuźma, *J. Bortniański*;
 Wiersze Tadeusza Andrzeja Olszańskiego, *Małgorzata Krakowiak*;
 O dziegciu, *Anna Zatorska*;
 Dziegieć, *Paweł Stefanowski*;
 Akcja „Opis” — Łemkowyna, *Krzysztof Kleszcz*;
 Akcja „Opis” — Nadsanie, *Stanisław Kryciński*.

94. Połoniny '82, *Paweł Luboński*, 500 egz., s. 73, 1982.



Zawartość zeszytu:

- Od Komańczy aż po Kińczyk, *Jan Bazyl Lipszyc*;
 Pomysł, który ma już pięćdziesiąt lat, *Tomasz Kowalik*;
 Bohdan Ihor Antonowicz, *Ola Siwak*;
 Wojna polsko-ukraińska w Bieszczadach XI.1918-V.1919,
Tadeusz A. Olszański;
 Wiersze, *Tadeusz A. Olszański*;
 Działania II Brygady Legionów w Karpatach Wschodnich,
Janusz Szporer;
 Chcieli dobrze..., *Jacek Nieckała*;
 Dziesięć razy „Połoniny” (spis treści Połonin 1972-1981).
 95. *Marcin Sobkowski*, Beskidy Zachodnie, 500 egz., s. 76,
 1982.
 96. Z historii SKPB 1957-1982, *Wojciech Juszczyk, Jan
 Swianiewicz, Andrzej Wielocha*, 500 egz., s. 125, 1982

Zawartość zeszytu:

- Zamiast wstępu;
 Tekst ślubowania przewodnickiego;
 Kawal życia, *Jerzy Korejwo*;
 Wczoraj splecione z jutrem, *Tomasz Kowalik*;
 Rumunia czyli niedźwiedzie trasy beskidzkich, *Krzysztof Segit*;
 Słowacja, *Michał Ignatowicz*;
 Hinduksuz, *Andrzej Wielocha*;
 Łemkowszczyzna, *Krzysztof Kleszcz*;
 Przejście Łuku Karpat, *Andrzej Wielocha*;
 W górach Turcji, *Bogdan Mościcki*;
 Wspomnienia z Aladaghari, *Robert Matejko*;
 Z ostatniej chwili;
 Krzysztof i medal jego imienia, *Bogdan Mościcki*;
 Olgiard, *Jan Bazyl Lipszyc*;
 Nasza witrażowa wydawnicza, *Przemysław Plich*;
 Bibliografia wydawnictw SKPB Warszawa;
 A oto garść danych statystycznych...;
 Członkowie SKPB.

97. *Andrzej Wielocha*, Ikony. W kręgu wpływów kultury
 bizantyjskiej w pd.-wsch. Polsce, 3500 egz., s. 86, 1983.
 98. Magury '83, *Wiktor Hibner*, 1000 egz., s. 109, 1983.
 Zawartość zeszytu:
 25 lat w Beskidzie Niskim, *Bogdan Mościcki*;
 Kobylanka, *Andrzej Wielocha*;
 „Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi...”, *Krzysztof Dudek*;
 Szlachta zagrodowa na Podkarpaciu, *Tadeusz A. Olszański*;
 Ptaki drapieżne w Beskidach Wschodnich, *Krzysztof Filcek*;
 Powedu konyka na zelenu łuczku, *Marian Brzozowski*;
 Operacja dukielsko-preszowska, *Paweł Luboński*;
 Gdzie łemko tam łemkowszczyzna, *Andrzej Wielocha*.
 99. Śpiewnik Beskid Niski '83, *Krystyna Roguska, Andrzej
 Wesołek*, 1000 egz., s. 71, 1983.
 100. Połoniny '83, *Janusz Szporer*, 1000 egz., s. 91, 1983.

Zawartość zeszytu:

- Tęsknota do Karpat Wschodnich, *Mieczysław Orłowicz*;
 Hilariusz Illinicz (krótka biografia) ;
 Moje wspomnienia turystyczne, *Hilariusz Illinicz*;
 Beskid, bieszczad, krępak, *Tadeusz A. Olszański*;

- Jak to z pstrągiem było i jest, *Andrzej Tarnawski*;
 Bieszczady Wysokie, *Stefan Michalik*;
 Co dalej z Bieszczadzkiem Parkiem, *Janusz Szporer*;
 Dziesięć lat na Otrycye, *Tadeusz A. Olszański*;
 Kalwaria Paławska, *Paweł Wroński*.

101. Magury '84, *Krzysztof Kleszcz*, 1500 egz., s. 116, 1984.

Zawartość zeszytu:

- Akcja „Opis”: łemkownia i Nadsanie, *Krzysztof Kleszcz*;
 Wspomnienia z „Łemkowiny”, *Iza Kozłowska*;
 Cerkiew w Hyrowej, *Tomasz Traczyk*;
 Wiersze Pawła Stefanowskiego, *Małgorzata Owczarek*;
 Wiersze, *Paweł Stefanowski*;
 Jaskinie i cisy na Cergowej, *Bogdan Mościcki*;
 Kampania zimowa 1914/1915 r. w Beskidach, *Tadeusz
 A. Olszański*;
 Wiersze Tadeusza A. Olszańskiego, *Małgorzata Owczarek*;
 Wiersze, *Tadeusz A. Olszański*;
 Nykyfor Drewniak — Nikifor Krynicki, *Paweł Stefanowski*;
 X X X („Nykyfor krenycja seto...”), *Paweł Stefanowski*;
 Wincenty Pol — pionier turystyki beskidzkiej, *Paweł Fedak*;
 O liturgii grekokatolickiej, *Jarosław Laskowski*;
 Errata do mapy Beskidu Niskiego, *Bogdan Mościcki*;
 Robaczki i robale, *Krystyna Bednarek*;
 Magury 72-83 (spis treści), *Joanna Olech*.

102. Po Beskidzie z jajem. Śpiewnik, 1000 egz., s. 16, 1984.

103. Budownictwo drewniane, 400 egz., s. 44, 1983.

Zawartość zeszytu:

- Budownictwo drewniane, *Jan Jabłkowski, Krzysztof Porada*;
 Zarys cech charakterystycznych drewnianej architektury
 na obszarze pn. Karpat i ich podnóża, *Jerzy Czarnocki*.

104. Połoniny 84, *Wojciech Morawski*, 1500 egz., s. 119,
 1984.

Zawartość zeszytu:

- Bieszczadzcy ratownicy, *Jerzy Korejwo*;
 Kolonizacja Józefińska w Galicji, *Stanisław Kryciński*;
 Cerkiew obronna w Hujsku, *Stanisław Kryciński*;
 Zmiany nazw na terenie obecnych województw kroś-
 nieńskiego i przemyskiego, *Stanisław Kryciński*;
 Otrycki Park Krajobrazowy, *Paweł Swianiewicz*;
 „Iglopol” w Bieszczadach, *Paweł Swianiewicz*;
 Kiczery, magury, połoniny — etymologia nazw, *Tadeusz
 A. Olszański*;
 Wspomnienie o Aleksandrze Rybickim, *Stefan Stefański*;
 Odpust w Łopience, *Zygmunt Kaczkowski*;
 Zygmunt Kaczkowski — szlachciz Ziemi Sanockiej, *Andrzej
 Wielocha*;
 Zwierzęta karpackiej puszczy, *Krzysztof Filcek*;
 Pomniki przyrody w Bieszczadach;
 Krótka charakterystyka gatunkowa wymienionych drzew,
Dorota Szatańska.

105. Historia Ukrainy od 1914 r. 100 egz., s. 40, [T. A.
Olszański] brak roku wydania; poza cenzurą.

106. *Marta Kougan, Witold Gziesik, Tomasz Traczyk*, Okolice
 Ropianki 500 egz., s. 16, 1984.



107. Materiały szkoleniowe, 1000 egz., s. 86, 1984.

Zawartość zeszytu:

Krótką historią UPA i OUN;

Fragmencie najnowszej historii Łemków, *Andrzej Kwilecki*.

108. *Tadeusz Zagórzański*, Łemkowie i Łemkowszczyzna. Materiały do bibliografii, 1000 egz., s. 102, 1984.

109. *Stanisław Kryciński*, Drewniane cerkwie karpackie, 2000 egz., s. 134, 1984.

110. *Jerzy Korejwo*, Pierwsza pomoc w wypadkach górskich, 1000 egz., s. 61, 1985.

111. *Agnieszka Sadlej*, Astronomia dla turystów, 1000 egz., s. 52, 1984.

112. Aladag, *Bogdan Mościcki*, 500 egz., s. 84, 1984,

113. *Tadeusz Andrzej Olszański*, Bieszczady 1918-19, 1000 egz., s. 75, 1984.

114. *Jarosław Huńka*, Łemkowie dzisiaj, 400 egz., s. 12, brak roku wydania; poza cenzurą.

115. Magury '85, *Anna Zatorska*, 2500 egz., s. 112, 1985.

Zawartość zeszytu:

Trakowie w północnych Karpatach i problem pochodzenia Wołochów, *Tadeusz Sulimirski*;

Kościół w Szalowej, *Grażyna Jędrzejczak*;

Dzwony zabytkowe z Beskidów i okolic, *Wojciech Komorowski*;

Górskie nazwy, *Anna Zatorska*;

Na szlaku Przełęczy Tylickiej, *Tymoteusz Garbera*;

Jakubik, *Tymoteusz Garbera*;

Łemkowska Watra, *Tadeusz A. Olszański*;

Beskidy na starych mapach topograficznych, *Piotr Kamiński*;

Zmiany w osadnictwie Beskidu Niskiego przed II wojną, *Piotr Kamiński*;

Ruscy mieszkańcy gór..., *Tadeusz A. Olszański*;

116. *Paweł Stefanowski*, Łemkowski pejzaż — wiersze, 1000 egz., s. 79, 1985.

117. Magury 86, *Bogdan Mościcki*, 1100 egz., s. 136, 1986.

Zawartość zeszytu:

Franciszek Kotula o Jaśliskach;

Barwinek — Smereczne, *Bogdan Mościcki*;

Na tropie, czyli o rynku w Krośnie, *Jolanta Szmít, Witold Grzesik*;

Huta Krępska;

Pamiętnik ze Zmigrodu;

Piękne odpoczywanie, *Antoni Kroh*;

Obozowiska paleolityczne w Beskidzie Niskim, *Paweł Valde-Nowak*;

Od cerkwi do kościoła, *Włodzimierz Mokry*;

Pułaski w Izbach, *Bogdan Mościcki*;

Wiersze, *Tadeusz A. Olszański*;

Ruś Szlachecka ;

Na bezdrożach historii, *Monika Nyczanka*;

U Rusinów przed półwieczem, *Anna Ostrowińska*.

118. *Tadeusz Andrzej Olszański*, Notatnik bieszczadzki — wiersze, 500 egz., s. 42, 1985.

119. Adam Kulewski, Andrzej Wielocha Romania. Karpaty Marmaroskie, 1000 egz., s. 62, 1985.

120. Śpiewnik Poloniny, *Dorota Pycka, Piotr Kowalczyk*, 1500 egz., s. 131, 1985.

121. Poloniny '85, *Andrzej Wielocha*, 2500 egz., s. 89, 1985.

Zawartość zeszytu:

Trembita, *Stanisław Vincenz*;

Cerkiew w Posadzie Rybotyckiej, *Andrzej Wielocha*;

Nadsanie, *Piotr Waterny*;

Czarna, *Stanisław Kryciński*;

Bojkowie, opr. *Paweł Luboński*;

Studenci w Bieszczadach AD 1985, *Wojciech Juszczyk*;

U źródle Oslawy, tłum. *Witold Grzesik*;

Recenzja mapy turystycznej Bieszczadów, *Piotr Kamiński*;

Szturmując Kopystańkę, *Stanisław Kryciński*;

Bieszczadzkie panckerki, *Edward Wiczorek*.

122. *Hugo Zapłotowicz*, Z Czarnohory do Alp Rodneńskich, 1000 egz., s. 112, 1985.

123. Antologia Bieszczadzka, *Tadeusz Andrzej Olszański*, 1500 egz., s. 39, 1985.

124. I wojna światowa w Karpatach, *Tadeusz Andrzej Olszański*, 1500 egz., s. 131, 1985.

125. Szlakiem żydowskich zabytków Podkarpacia, *Tadeusz Andrzej Olszański*, 1500 egz., s. 103, 1985.
126. *Tadeusz Andrzej Olszański*, Historia Rusi Halickiej i Karpackiej, 1500 egz., s. 117, 1986.
127. *Tadeusz Romuald Topolski*, Nazwy miejscowe Beskidu Gorlickiego, 1000 egz., s. 90, 1985.
128. Płaj I, *Adam Kulewski, Andrzej Wielocha*, 1000 egz., s. 61, 1986.
- Zawartość zeszytu:
Skąd się wzięła Górską Odznakę Turystyczną, *Tomasz Kowalik*;
Wycieczki sierpniowe Orłowicza 1935 i 1939, *Tomasz Kowalik*.
129. *Roman Frodyma*, Cmentarze wojskowe z okresu I wojny światowej w rejonie Beskidu Niskiego i Pogórza, 1000 egz., s. 152, 1985.
130. *Juliusz Marszałek*, Archeologia Karpat, 1000 egz., s. 100, 1986.
131. Połoniny '86, *Marta Miedźwiecka*, 1500 egz., s. 76, 1986.
- Zawartość zeszytu:
80-lecie turystyki akademickiej w Polsce, *Tomasz Kowalik*;
Ze złażu wspomnienia Trzech Świnek, *Tomasz Staniszewski*;
Rok 1846 w Sanockiem, *Anna Raczkowska*;
Kim byli Dolinianie?, *Tadeusz A. Olszański*;
Glossa do dziejów powstania Ileskiego, *Waldemar Hauswedell*;
Huculszczyzna w poezji, *Andrzej Wielocha*;
Katalog wybranych miejsc obronnych w Bieszczadach i na Pogórzu, *Stanisław Kryciński*;
Recenzja dziewiątego wydania mapy Bieszczadów, *Piotr Kamiński*.
132. Łemkowie dzisiaj – polemiki, 300 egz., s. 15, 1986.
133. *Tadeusz M. Trajdos*, Spisz Śródkowy i Północny w naszym stuleciu, 500 egz., s. 19, 1987.
134. Magury '87, *Kajetan Gawarecki, Jan J. Swianiewicz, Andrzej Wielocha*, 1500 egz., s. 91, 1987
- Zawartość zeszytu:
Maziarze, *Władysław Piątkowski*;
Wojciech Bellon (1952-1985), *Tadeusz A. Olszański*;
Czarna, *Tadeusz M. Trajdos*;
Piorunka, *Tadeusz M. Trajdos*;
Jesienna wycieczka, *Mirek Michalik*;
Historia parafii w Świątkowej Wielkiej, *Wsewołod Jarosław-wycz*;
Wiersze łemkowskie, *Tadeusz A. Olszański*;
Mychajto Kaczkowski i czytelnicy jego imienia na łemkowszczyźnie, *Jarosław Moklak*;
Zmiany granic w Beskidzie Niskim i Bieszczadach w 1938 r., *Jan Jacek Swianiewicz*;
Zmiany w zaludnieniu Beskidu Niskiego i Bieszczadów w latach 1944-1947, *Monika Nyczanka*;
Polemiki, A.W. [*Andrzej Wielocha*].
135. Płaj II, *Andrzej Wielocha*, 1000 egz., s. 112, 1988.
- Zawartość zeszytu:
Krótka biografia *Władysława Midowicza*;
Historia PTT, *Władysław Midowicz*;
Notatki z Górskiego Życia, *Władysław Midowicz*;
Jak powstał Główny Szlak Beskidzki, *Władysław Midowicz*;
O Białym Stoniu na Czarnohorze, *Władysław Midowicz*.
136. Połoniny '87, *Jan Jacek Swianiewicz*, 1500 egz., s. 55, 1987.
- Zawartość zeszytu:
Podkarpacie w dniach Wiosny Ludów, *Tadeusz A. Olszański*;
Studentkie bazy namiotowe w Bieszczadach – tyk statystyki, *Paweł Swianiewicz*;
O polskich Dolinianach, *Janusz Kamocki*;
O Dolinianach raz jeszcze, *Tadeusz A. Olszański*;
Wielkanoc u Bojków, *mgr B. D.*
Wiersze, *Tadeusz A. Olszański*;
Z wycieczki na górę Halicz w Bieszczadach Zachodnich, *Stanisław Pawłowski*;
Granica polsko-radziecka w Bieszczadach, *Monika Nyczanka*.
137. Nadsanie. I Inwentaryzacja krajoznawcza gminy Czarna, *Stanisław Kryciński*, 1500 egz., s. 158, 1986.
138. Magury '88, *Monika Nyczanka*, 1500 egz., s. 96, 1988.
- Zawartość zeszytu:
Kamień, *Wojciech Krukar*;
Języcznik na Jeleniej Górze, *Bogdan Mościcki*;
Wyziewy dwutlenku węgla w Beskidzie Sądeckim, *Wojciech Komorowski*;
Geneza łemków – teorie i wątpliwości, *Tadeusz A. Olszański*;
Ruska Ludowa Republika łemków;
Wiersze, *Włodzimierz Witkowski*;
Te cerkwie są takie piękne... wywiad z księdzem M. Czekajem:
Przed wszystkim nie szkodzić, czyli rozmowa z Piotrem Antoniakiem o smutnym losie kamienia;
Babcia i dziadek, *Anna Ostrowińska*;
O cerkwi w Klimkowie raz jeszcze, *A.W.*;
Łemkowszczyzna, ludzie, poezja..., *Andrzej Wielocha*.
139. Połoniny '88, *Anna Kamińska*, 1500 egz., s. 126, 1988.
- Zawartość zeszytu:
Niec o „Bieszczadach” i innych nazwach geograficznych, *Adam Fastnach*;
Wolosate, wieś w Beskidzie Niskim, *Jan Falkowski*;
Z dziejów Włosatego, *Tadeusz A. Olszański*;
Zarys gospodarki leśnej u źródeł Sanu, *Zygmunt Rygiel*;
Wincenty Pol w Bieszczadach, *Józef Budziak*;
Mieszkańcy Leska w Włosnie Ludów i Powstaniu Styczniowym, *Józef Budziak*;
Zamek w Lesku, *Kasper Krasiński*;
Obóz „Nadsanie” 1987, *Stanisław Kryciński*;
Piosenka, *Dominik Księski*;
Co się kryje we wnętrzu Połoniny? *Jacek Grabowski*;
Łupki bitumiczne w Karpatach fliszowych, *Wojciech Komorowski*;
Co dalej z Parkiem? *Piotr Koperski*;
Znowu zmieniono nazwy, *Stanisław Kryciński*;

- Trzynasty rok wydania „Bieszczadów”, *Wojciech Krukar*.
140. *Wojciech Komorowski*, Historia dzwonów. Zabytkowe dzwony karpackie, 500 egz., s. 172, 1988.
141. Materiały z sesji krajoznawczej „Cmentarze z I wojny światowej na Podkarpaciu”, Wysowa 23-25.10.1987, *Bogdan Mościcki, Lucja Wierzycka*, 1000 egz., s. 42, 1989. Zawartość zeszytu:
Geneza, organizacja i przebieg sesji, *Bogdan Mościcki*;
Czego tu nie napisano;
Dušan Jurkovič a styl zakopiański, *Antoni Kroh*;
I wojna w świadomości historycznej Węgrów, *Akos Engelmayr*;
Istotniejsze głosy w dyskusji.
142. *Magury '89, Piotr Szczerbiak*, 1500 egz., s. 125, 1989. Zawartość zeszytu:
Od redakcji;
Łemkowie na Ukrainie i Towarzystwo „Łemkowszczyzna”, *Tadeusz A. Olszański*;
O wysiedleniu w Wysowej;
Jaskinie w Beskidach, *Wojciech Komorowski*;
Magurski Park Narodowy, czyli o ochronie przyrody w Beskidzie Niskim, *Piotr Koperski*;
Dawne ludowe zwyczaje świąteczne w Jasielskiem, *Józef Budziak*;
Bukowica, *Wojciech Krukar*;
Jakie jest pochodzenie nazw „Beskid” i „Bieszczad”, *Jan Baranowski*;
O strażnicy w Jasielu raz jeszcze, *Agnieszka Ciesielska i Jarosław Kaczkowski*;
Wiersze *Tadeusza A. Olszańskiego* — Kotań (II), Psalm bartnieński (137), Na starą cerkiew bartnieńską;
Wiersze *Rafała Rodziewicza* — x x x, Ty i ja, x x x
Zanikające ślady zachować w pamięci, czyli rozmowa z Krzysztofem Klezczem o akcji „Łemkowyna”;
Smakują te góry — Wojtek Stążewski o pierwszych rajdach „Beskid Niski”;
Wokół łemkowskich Watr i spraw, *Tadeusz A. Olszański*;
Hynki Leluchów, a dalej Čirč, *Anna Ostrowińska*;
Na luzie;
Zagadki ludowe, *Stanisław Iwaniszewski*;
Bajki;
Polemiki.
143. *Roman Frodyma*, Cmentarze wojskowe z okresu I wojny światowej w rejonie Beskidu Niskiego i Pogórza 2500 egz., s. 157, 1989 (wyd. 2 poprawione i rozszerzone).
144. *Połoniny '89 Jan Jacek Swianiewicz* 1000 egz., s. 116, 1989 (wklejka z mapą BPN), Zawartość zeszytu:
Krzyż ze Zwierzynia, *Michał Parczewski*;
Czy jest kosodrzewina w Bieszczadach?, *Wojciech Krukar*;
Powrót z Bieszczadów, *Tadeusz A. Olszański*;
Silva rerum z Bieszczadów, *Anna Kamińska*;
Maguryczne (883 m), *Wojciech Krukar*;
X X X, *Tadeusz A. Olszański*;
- Obóz Nadsanie '88 i '89, *Stanisław Kryciński*;
Jak młodzież rozwijała Towarzystwo Tatrzanie, *Władysław Midowicz*;
Co to jest fort? *Stefan Fuglewicz*;
Przeszość Rumunów, *Kurt Horedt*;
Bieszczady bez zawrotów głowy, *Tadeusz A. Olszański*;
Licholecie, *Tadeusz A. Olszański*;
Po wojnie?:
Wprowadzenie, *Tadeusz A. Olszański*,
List do Paryskiej Kultury, *Jerzy Bilas*,
Wolność w Mrzygłodzie, *Lucjan Pogromski*,
Z życia Cerkwi Grekokatolickiej ;
Bieszczadzki Park Narodowy powiększony! *Jan J. Swianiewicz*.
145. *Władysław Midowicz*, Życie i sny Tymoteusza Średniaka, 1000 egz., s. 144, 1990.
146. *Andrzej Potocki, Niżej Połonin. O ludziach, parafiach i duszpasterzach szkie socjologiczne*, 1000 egz., s. 111, 1990.
- Publikacje z numerem łamanym przez TK wydawane były pod wspólną firmą z Towarzystwem Karpackim.
- 147/TK. Płaj 3, *Andrzej Wielocha*, 1000 egz., s. 116, 1990. Zawartość zeszytu:
Saga Czarnohory, *Władysław Midowicz*;
Przez Bałtaguł na Hnatasie, *Kazimierz Hempel*;
Z wędrowki po Beskidach Wschodnich, *Agnieszka i Jerzy Montusiewiczowie*;
Sprawozdanie z wycieczki w Gorgany i Czarnohorę odbytej w sierpniu 1989 roku, *Andrzej Wielocha*;
Świat opryszków w literaturze polskiego romantyzmu, *Teresa Franiek*;
Nowe wschodniokarpackie arkusze wojskowej mapy Polski 1:100 000, *Henryk Gąsiorowski*;
Droga Legionów, *Józef Mączka*;
Przełęcz Legionów, Pantyrypass czy Rogodze Wielkie?, *Andrzej Wielocha*;
Towarzystwo Karpackie.
- 148/TK. Płaj 4, *Adam Kulewski*, 1000 egz., s. 55, 1990. Zawartość zeszytu:
Wstęp;
Gorgany;
Pasma Popadij;
Grupa Sywuli;
Otoczenie kotła Łomnicy;
Przełęcz Rogodze Wielkie (Legionów);
Połonina Czarna;
Niech się nade mną pochyla Pop Iwan ze swą Popadią (migawki z wyjazdu w 1988 r.).
149. *Magury '90, Tomasz Szatrawski, Paweł Luboński, Jan Jacek Swianiewicz*, 1000 egz., s. 164, 1990. Zawartość zeszytu:
Dubne w końcu XVIII wieku, *Tadeusz M. Trajdos*;
Osadnictwo na łemkowszczyźnie, *Tadeusz M. Trajdos*;
Drogi tożsamości Łemków, *Tadeusz A. Olszański*;
Wiersze, *Iwan J. Rusenka*;



- Polak – Węgier dwa bratanki? *Marek Kalupa*;
 Cerkwie łemkowskie w Polsce, *Tadeusz M. Trajdos*;
 Przyziarki – Mogiła – Kalwaria, *Wojciech Krukar*;
 Wyznaniowe dzisiaj łemkowszczyzny, *Anna Ostrowska*;
 tem adzinka, ale swoja! *Petro Murianka*;
 Z dni grozy w Gorlicach, *Bronisław Świeżykowski*;
 Wspomnienia korespondenta wojennego, *Ferenc Molnar*;
 Wokół Foluśa, *Witold Fusek*;
 Archiwa WOP o tragedii w Jasielu, *Jarosław Kaczkowski*;
 Wokół Tadeusza A. Olszańskiego i jego (?) spraw, *Piotr Trochanowski*;
 Deklaracja programowa Towarzystwa Karpackiego .
 150/TK. *Urszula Janicka-Krzywdą, Kapliczki i krzyże przydrożne polskiego Podkarpacia 2000* egz., s. 148, 1991.
 151. *Rafał Długaszek, U źródeł Wisłoki*.
 152/TK. Połoniny '90/'91, *Andrzej Wielocha*, 1000 egz., s. 124, 1992,
 Zawartość zeszytu:
 Od redakcji;
 Nie tylko na Chryszczatej, *Wojciech Krukar*;
 Wokół Otrytu, *Tadeusz A. Olszański*;
 Przywilej dotyczący wójtostw w Dwerniku i Polanie;
 Obóz Nadsanie '90, *Stanisław Kryciński*;
 Twórca Biblioteki Polskiej, *Maryla Orłowska*;
 Jak doszło do przywrócenia granicy polsko-węgierskiej w Bieszczadach, *Leszek Rymarowicz*;
 Śladami Jaśka z Beskidu, *Stanisław Orłowski*;
 Międzynarodowy rezerwat w Bieszczadach, *Tomasz Kowalik*;
 Beskidy 2000?, *Paweł Świaniewicz*;
 Miscellanea;
 Deklaracja Towarzystwa Karpackiego.
 153/TK. Magury 92, 500 egz., s. 116, 1992,
 Zawartość zeszytu:
 Bielanka, *Bogdan Mościcki*;
 Wenhrini jako grupa etnograficzna, *Roman Reinfuss*;
 Smreczek płynie szybko..., *Tadeusz M. Trajdos*;
 Wybrane nazwy topograficzne na mapach łemkow-
- szczyzny wschodniej, *Wojciech Krukar*;
 Miłik i Andrzejóвка, *Marek Kalupa*;
 O technice malarstwa ikonowego słów kilka, *Piotr Malec*;
 Pod Gorlicami, *František Mikulašek*;
 Wycieczka na Busov (1002 m n.p.m.), *Andrzej Łączyński*;
 Geologiczne ciekawostki okolic Dukli, *Tomasz Darmochwał*;
 Słowacy unicy (Można inaczej...), *Tadeusz M. Trajdos*;
 Grab, *Rafał Długaszek*;
 Śpiewniczek.
 154. Połoniny 92, ss. 112, nakł. 500 egz. 1993 r.
 Zawartość zeszytu:
 Od redakcji;
 Bieszczadzkie sanktuarium maryjne w Jasieniu, *Andrzej Potocki*;
 Nowa mapa – stare błędy, *Piotr Malec*;
 Wieś Bystre i jej świątynia, *Bogdan Augustyn*;
 Przełęcz Uzocka (Pamiętki z walk 1914-1915), *Ivan Honi*;
 Struktura armii austro-węgierskiej w Galicji przed wybuchem Wielkiej Wojny, *Tomasz Nowakowski*;
 Śladami Powstania Styczniowego, *Marek Kalupa*;
 Drzewa, *Ewa Ćwiklińska, Piotr Szulewski*;
 Wrak samolotu na stokach Okraglika, *Marek Kalupa, Piotr Szulewski*;
 Festiwal w Svidniku, *Michał Rudziecki*;
 Śpiewniczek.
 155/TK. Magury 91, *Andrzej Wielocha, Tadeusz A. Olszański, Paweł Luboński*, 1000 egz., s. 144, 1992,
 Zawartość zeszytu:
 Słowo wstępne;
 Dokąd pójdziesz łemkowszczyzną?, *Andrzej Wielocha*;
 Łemkowie w Polsce, *Helena Duć-Fajfer*;
 Rusini Karpaccy – lud nowy czy odrodzony?, *Paul R. Magocsi*;
 Polityczny rusinizm w praktyce, *Mykoła Muszyńska*;
 O pochodzeniu łemków z punktu widzenia językoznawstwa, *Bohdan Strumiński*;
 Szkolnictwo na łemkowszczyźnie 1866-1947, *Paweł*

Wroński;

Cerkiew — dom Boży, ks. *Mieczysław Czekaj*;
 Problematyka łemkowska w polskim czasopiśmiennictwie
 krajoznawczym, *Wiesław A. Wójcik*;
 Mówią dokumenty, *Andrzej Wielocha*.

156. Bibliografia wydawnictw SKPB, Warszawa, *Jan J. Swianiewicz, Andrzej Wielocha*, 1992 s. 16, 400 egz.

157. Magury '93, *Andrzej Wielocha, Tadeusz A. Olszański, Paweł Luboński*, 1000 egz., s. 144, 1994,

Zawartość zeszytu:

Słowo wstępne;

Skąd przybyli przodkowie łemków? O osadnictwie...,
Z. Szanter;

Kiedy powstał i skąd się wziął dialekt łemkowski,
B. Strumiński;

Wiersze, *W. Hraban*;

Materiały do historii Olchowca, *T. Kiełbasiński*;

Materiały do historii Huty Połańskiej;

Księga sądowa kresu klimkowskiego czyli..., *R. Długaszek*;

Materiały Archiwum Państwowego w Przemysłu dotyczą-
 czące łemków, *Z. Konieczny*.

158. Śpiewniczek. Beskid Niski '95. (42 piosenki) ss. 38,
 nakł. 200 egz. 1995 r.

159. Magury 96. Rocznik krajoznawczy pod red. *Macieja Filochy*, ss. 122, nakł. 1000 egz. 1996 r.,

Zawartość zeszytu:

Łemkowie w świadomości społecznej, *Jan Grudnicki*;

Moje wspomnienia, *Mieczysław Orłowicz*;

Błogosławiony Jan z Dukli, *Hieronim Wyczawski*;

Ochrona przyrody w Beskidzie Niskim, *Mariusz Pietrzak*;

Magurski Park Narodowy już istnieje — rozmowa
 z dyrektorem MPN, *Martyna Dzieciół, Wojciech Dorabiński*;

Przewodnictwo studenckie w Beskidach, *Jan St. Baran*;

Nowa mapa Beskidu Niskiego — recenzja, *Piotr Malec*.

160. Magury 97. Rocznik krajoznawczy pod red. *Jakuba Gąsiorowskiego, Sławomira Michalika i Aleksandry Sadowskiej*.
 ss. 117, nakł. 1000 egz. 1997 r.,

Zawartość zeszytu:

Byłem więzieniem Jaworzna, *Michał Gabło*;

Kształtowanie się struktury kościoła prawosławnego na
 łemkowszczyźnie w Drugiej Rzeczypospolitej, *Jarosław
 Moklak*;

Ołtarze w cerkwiach Muszynki, Polan i Berestu, *Tadeusz
 M. Trajdos*;

Opiekunączy obraz z Izb, *Tadeusz M. Trajdos*;

Konfederacja Barska w Sądeckiem, *Kazimierz Przyboś*;

Zawłoki, Indianie, barbarzyńcy, *Zdzisław Skrok*;

Chatupa, która mówi, *Zdzisław Skrok*;

Wiersze, *Władysław Graban*;

Odmienicy — rozmowa z Michałem Żrotką, *Aleksandra
 Sadowska, Sławomir Michalik*;

Zwyczaże, obyczaje i wierzenia łemków, *Seweryn Udziela*;

Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego
 wydanych w 1996 roku, *Tadeusz Kiełbasiński*.

161. 40 lat minęło... Z historii studenckiej turystyki górskiej,
 pod red. *Sławomira Michalika, Roberta Olszewskiego
 i Aleksandry Sadowskiej*. ss. 35, nakł. 250 egz. 1997 r.

162. Magury 98. Rocznik krajoznawczy pod red. *Jakuba
 Gąsiorowskiego, Sławomira Michalika i Aleksandry Sadowskiej*.
 ss. 120, nakł. 1000 egz. 1998 r.

Zawartość zeszytu:

Oppidum Schonberg, *Roman Reinfuss*;

Jałiska — sanktuarium Matki Bożej Beskidu Niskiego,
Urszula Janicka-Krzywdą;

Ruska Ludowa Republika łemków, *Tadeusz A. Olszański*;

Obrazy Matki Boskiej Opiekuńczej w cerkwiach klucza
 muszyńskiego, *Tadeusz M. Trajdos*;

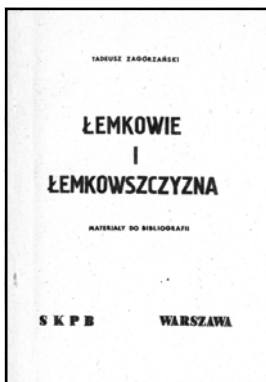
Tchnienie wieków, *Stanisław Kryciński*;

O pochodzeniu słowa „magura”, *Fejls Rosca*;

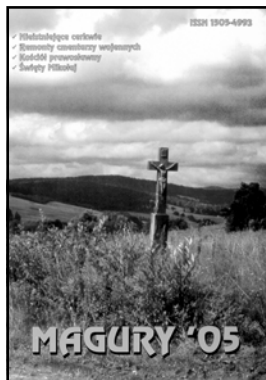
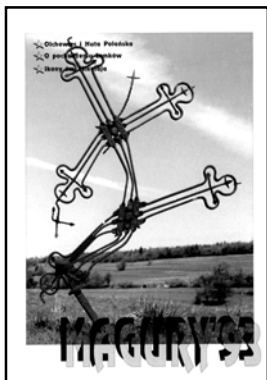
Łemkowskie cerkwie z muraowanymi prezbiteriami,
Stanisław Kryciński;

Chatupa z Wólki czyli w pułapce szufladek, *Stanisław
 Kryciński*;

Poszedłem po śladach ojca, *Mikołaj Gabło*;



- Po leśnych „zaświatach” błędzenie, *Zdzisław Skrok*;
Trochę dalej, *Antoni Kroh*;
Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego
wydanych w 1997 roku, *Tadeusz Kiełbasiński*;
163. Magury 99. Rocznik krajoznawczy poświęcony
Beskidowi Niskiemu. Redakcja: *Jakub Gąsiorowski, Sławomir
Michalik, Aleksandra Sadowska*. Warszawa 1999. 127 s.
Zawartość zeszytu:
Malowidła na cokołach ikonostasów łemkowskich, *Tadeusz
M. Trajdos*;
Zapomniane sanktuarium Maryjne w Nowym Żmigrodzie,
Urszula Janicka-Krzywdą;
Dyskretny urok Landspharrkirche, *Stanisław Kryciński*;
Mistrz Liści Dębowych, *Stanisław Kryciński*;
Sanktuarium na górze Jawor, *Jarostaw T. Leszczyński*;
Kazimierz Pułaski na Ziemi Gorlickiej, *Jerzy D. Tomasiak*;
„Nadsanie” pod Rymanowem, *Stanisław Kryciński*;
Na północ od Pasma Bukowicy, *Sławomir Michalik, Aneta
Załuga*;
Moje wspomnienia o Nikiforze, *Michał Żrółka*;
Piotr miał pecha, *Mikołaj Gabło*;
Chodząc za wilkami, *Zdzisław Skrok*;
Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego
wydanych w 1998 roku, *Tadeusz Kiełbasiński*.
164. Magury 00. Rocznik krajoznawczy poświęcony
Beskidowi Niskiemu. Redakcja: *Jakub Gąsiorowski, Sławomir
Michalik, Aleksandra Tkaczyk*. Warszawa 2000. 136 s.
Zawartość zeszytu:
Niemieckie strażnice graniczne, *Stanisław Kryciński*;
Wiersze, *Urszula Janicka-Krzywdą*;
Konwersja Łemków na prawosławie w Drugiej Rzeczy-
pospolitej, *Andrzej Stachowiak*;
Zwyczaje i wierzenia Łemków związane ze śmiercią,
Małgorzata Wosiek;
Ostatni taki Cygan, *Andrzej Kubik*;
Zapomniany kaznodzieja konfederacji barskiej, *Maciej
Nowakowski*;
Magurski Park Narodowy okiem przyrodnika, *Piotr Kardaś*;
Tajemnica słupka granicznego 116,5, *Andrzej Olejko*;
Rymanów i okolice, *Sławomir Michalik, Aneta Załuga*;
Pieski los artysty, *Michał Żrółka*;
Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego
wydanych w 1999 roku, *Tadeusz Kiełbasiński*;
Recenzja nowej mapy Beskidu Niskiego, *Adam Panasik*;
Łemkowskie cmentarze, *Małgorzata Wosiek*;
Kamieniarstwo ludowe w rejonie Jaślisk, *Andrzej
Stachowiak*;
A myśmy też tam byli, miód i wino pili, *Justyna Giedyk,
Marta Wąsowska*;
Czy rośla tu puszcza? *Piotr Kardaś*;
Ostatnia wycieczka Piotra po rodzinnym Beskidzie, *Mikołaj
Gabło*;
Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego
wydanych w 2000 roku, *Tadeusz Kiełbasiński*.
- Świat Łemków wg J. Nowaka, *Andrzej Stachowiak*.
165. Łem. Śpiewnik łemkowski. Redakcja: *Daria i Sławomir
Michalikowie*. Warszawa 2001. 100 s.
166. Magury '01. Rocznik krajoznawczy poświęcony
Beskidowi Niskiemu. Redakcja: *Jakub Gąsiorowski, Sławomir
Michalik, Aneta Załuga*. Warszawa 2001. 172 s.
Zawartość zeszytu:
Ratujemy cmentarz na Rotundzie!
Tyrolczycy w Górach Hańczowskich, *Jerzy D. Tomasiak*;
Duszan Jurkowicz: 1868-1947, *Andrzej Pecuch*;
Cmentarze wojenne Duszana Jurkowicza w Beskidzie
Niskim, *Andrzej Pecuch*;
Z przeszłości Boguszy, *Tadeusz M. Trajdos*;
Latarnie na Wałaskiem, *Stanisław Kryciński*;
Wałaskie, czyli pasterskie, *Anna Kamińska*.
167. Potoniny '02. Rocznik krajoznawczy poświęcony
Beskidom Wschodnim. Redakcja: *Sławomir Michalik, Adam
Panasik, Aneta Załuga*. Warszawa 2002. 92 s.
Zawartość zeszytu:
Urszula Janicka-Krzywdą, Cudowna Madonna z Kołomyi;
Katarzyna Łebkowska, Pisanki;
Stanisław Kryciński, Jawor, jawor, jaworowi ludzie...;
Andrzej Olejko, Widzieliśmy rozbitego Ławoczki...;
Andrzej Olejko, Pamiętajmy o cmentarzach;
Andrzej Olejko, Zapomniane bieszczadzkie panckerki;
Sławomir Michalik, O złoczyńcach grodu sanockiego;
Piotr Kardaś, Puszcze i połoniny. Garść informacji o Rezer-
wacie Biosfery „Karpaty Wschodnie”;
Aneta Załuga, Bois debout en Pologne;
Witold Michałowski, Szlakami Bessów.
168. Magury '02. Rocznik krajoznawczy poświęcony Bes-
kidowi Niskiemu. Redakcja: *Sławomir Michalik, Aneta Załuga*.
Warszawa 2002. 152 s.
Zawartość zeszytu:
Od redakcji;
Łemkowskie krzyże kamienne i ich twórcy, *Andrzej Sta-
chowiak*;
Jaskinie Beskidu Niskiego, *Tomasz Mleczek*;
Motyw śmierci w poezji łemkowskiej, *Małgorzata Wosiek*;
Jak to z Bieczem było? *Stanisław Kryciński*;
Lekcja życia pod sklepem w Olchowcu, *Zdzisław Skrok*;
Początki Magur, *Przemysław Pilich*;
Zawartość Magur 72-01;
Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego
wydanych w 2001 roku, *Tadeusz Kiełbasiński*;
Beskid Niski w wydaniu VKU Harmanec, *Adam Panasik*;
Varia.
169. Magury '03. Rocznik krajoznawczy poświęcony
Beskidowi Niskiemu. Redakcja: *Sławomir Michalik, Aneta
Załuga*. Warszawa 2003. 136 s.
Zawartość zeszytu:
Od redakcji;
Mirosław Łopata Groby żydowskich żołnierzy na cmen-
tarzach I wojny światowej w Beskidzie Niskim;



Paweł Przybylski Powrót do Polski wszystkiego, co polskie;

Stanisław Kryciński, Tajemnica Żmigrodu;

Andrzej Olejka, Lotnicza tajemnica Olszyn i Banicy;

Bartosz Pająk, Ziemia biecka w wybranych utworach „Ogrodu nie plewionego...” Wacława Potockiego;

Bartosz Pająk Wiersze;

Artur Jachna, Łemkowie powiatu gorlickiego, a sprawa przysposobienia wojskowego w okresie międzywojennym;

Robert Drobyś, Łemkowski bal w Nowym Jorku;

Rozmowa z Paul'em Robertem Magocsim;

Tadeusz Kielbasiński, Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego wydanych w 2002 roku. Varia.

170. Połoniny '03. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidom Wschodnim. Redakcja: *Jędrzej Gąsiorowski*, *Sławomir Michalik*. Warszawa 2003. 90 s.

Zawartość zeszytu:

Wojciech Krukar, Nazwy terenowe Bieszczadów Zachodnich;

Stanisław Kryciński, Nazwy obronne południowej części ziemi sanockiej;

Jan A. Chorosz, Na płaju „Wysokiej Połoniny”;

Andrzej W. Kaczorowski, Jordan nad przemyskim Sanem;

Artur Janusz, Euroregion Karpacki;

Tadeusz A. Olszański, Jak pamiętać o Akcji „Wisła”;

Varia.

171. Magury '04. Rocznik krajoznawczy poświęcony

Beskidowi Niskiemu. Redakcja: *Sławomir Michalik*, *Aneta Żaługa*. Warszawa 2004. 175 s.

Od redakcji;

Fedor Gocz, Asymilacja: wynarodowienie i polonizacja Łemków w Polsce;

Paweł Przybylski, łemkowszczyzna bez łemków;

Michał Wirchniański, Książd Andrzej Złupko;

Robert Drobyś, Ratowanie zapomnianej przeszłości;

Tadeusz M. Trajdos, Bardowska pracownia malarska na pograniczu Galicji i Górnych Węgier w 3. ćwierci XIX w.;

Miroslaw Łopata, Cmentarz wojenny nr 91 w Gorlicach;

Urszula Janicka-Krzywdą, Święty Jerzy – pogromca zła;

Stanisław Kryciński, Bastiony w Dukli;

Stanisław Kryciński, Dawna Klimkówka;

Miroslaw Łopata, Szukajcie, a znajdziecie... coś innego;

Tomasz Mleczek, Nietoperze w Beskidzie Niskim;

Tomasz Mleczek, Jaskinia Słowińska;

Tadeusz Kielbasiński Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego wydanych w 2003 roku. Varia.

172. Połoniny '04. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidom Wschodnim. Redakcja: *Jędrzej Gąsiorowski*. Warszawa 2004. 112 s.

Zawartość zeszytu:

Od redakcji;

Urszula Janicka-Krzywdą, Bojkowie. Encyklopedyczna notka o kulturze ludowej;

Andrzej Potocki, Z archiwum „Chrynia”;

Stanisław Kryciński, Pańszczyzna pochowana;

Stanisław Kryciński, Orelec. Przyczynki do dziejów wsi;

Andrzej Olejka, Działania lotnicze w Karpatach w pierwszej połowie XX wieku z uwzględnieniem wybranych przykładów „archeologii lotniczej”;

Alicja Słoma, Lata 1944-1947 i ich konsekwencje w poezji J. Harasymowicza;

Szymon Modrzejewski, Skrócone sprawozdanie z XVIII sezonu Nieformalnej Grupy Kamieniarzy „Magurycz”;

Artur Janusz, Przedsiębiorczość w gminach bieszczadzkich;

Andrzej Potocki, Bieszczady – Marek Motak;

Varia.

173. Magury '05. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidowi Niskiemu. Redakcja: *Sławomir Michalik*. Warszawa 2005. 172 s.

Zawartość zeszytu:

Od redakcji;

Damian Nowak, Nieistniejące cerkwie łemkowszczyzny;

Stanisław Kryciński, O cerkwiach w Klimkówce słów kilka;

Miroslaw Łopata, Remonty cmentarzy żołnierskich w Bes-

kidzie Niskim;

Bogdan Huk, Pustynia księdza Kostyszyna;

Grzegorz Bowanko, Krótki opis o błogosławionym księdzu Władysławie Findyszu z Nowego Żmigrodu;

Ks. Roman Dubec, Proces odradzania się Kościoła prawosławnego na Łemkowszczyźnie w okresie międzywojennym;

Tomasz Mleczek, Stare sztolnie na Pogórzu Dynowskim;

Urszula Janicka-Krzywdą, Święty Mikołaj Cudotwórca; W dorzeczu Ropy;

Stawomir Michalik, Śladami Franciszka Kotuli błądząc;

Zdzisław Skrok, Beskidzkie odczarowanie;

Mikołaj Gabło, Czy robić kermesz i jak?

Anna Kamińska, Czy Łemkom grozi polonizacja?

Tadeusz Kiełbasiński, Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego wydanych w 2003 roku; Varia.

174. Poloniny '05. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidom Wschodnim. Redakcja: *Jędrzej Gąsiorowski*. Warszawa 2005. 80 s.

Zawartość zeszytu:

Od redakcji;

Andrzej Olejko, Przełamanie Przemyskiego Rejonu Umocnionego;

Andrzej Potocki, Zbrodnia NKWD w Lesku;

Stanisław Kryciński, Zawój – wspomnienia mieszkańca;

Stanisław Orłowski, Łopienka;

Artur Janusz, Wiele tym górom zawdzięczam;

Grzegorz Demel, Bieszczadzkie mity – instrukcja obsługi; Varia.

175. Magury'06. Rocznik poświęcony Beskidowi Niskiemu. Redakcja: *Stawomir Michalik*, *Aneta Załuga*, Warszawa 2006. 225 s.

Zawartość zeszytu:

Stanisław Kryciński, Olchowiec;

Michał Wirchniański, Kronika szkoły w Gładyszowie;

Anna Ostrowińska, W dorzeczu Białej – część I;

Tatiana i Grzegorz Bowanko, Krótki opis nieistniejącej już wsi Żydowskie;

Adam Baniak, Uroczy to polski zakątek, owo Oderne;

Paweł Stefanowski, Klimkówka;

Tomasz Ch. Fuerst, Restauracja murowanej cerkwi w Boguszy;

Urszula Janicka-Krzywdą, Święty Onufry – eremita z Pustyni Tebaidzkiej;

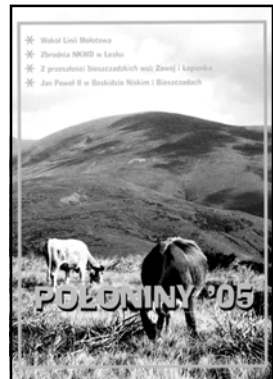
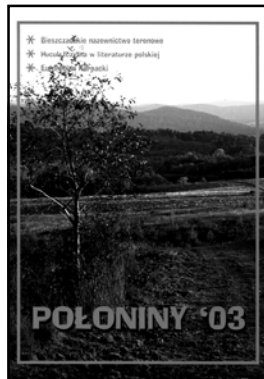
Roman Węgrzyniak, Związki biskupa Jozafata Kocytowskiego z jego rodzinną miejscowością – Pakoszówka;

Wojciech W. Wiśniewski, Beskid Niski i Pogórza Środkowo-Beskidzkie w życiu i twórczości Macieja Bogusza Zygmunta Szczyńskiego (1814-1890);

Kamil Ruszałta, Sprawozdanie z działalności w roku 2006 Stowarzyszenia Aktywnej Ochrony Cmentarzy z I Wojny Światowej w Galicji;

Tadeusz Kiełbasiński, Przegląd pozycji wydawniczych na temat Beskidu Niskiego wydanych w 2005 roku;

Varia.





Wybrane (dość przypadkowo) teksty o naszym Kole

Barbakan Warszawski. Biuletyn Stofecznego Zarządu Wojewódzkiego PTTK. Ukazuje się od 1969 r. jako miesięcznik, do 1975 r. jako Biuletyn Zarządu Okręgu Warszawskiego PTTK.

[...] Przewodnicy beskidzcy. 1971 r. nr 2/15/ 8.16. [Studencka działalność przewodnicka w Beskidach Wschodnich];

Przemysław Pilich: Studenci przed sezonem górskim. 1971 r. nr 5/18/ ss. 16-18. [Przygotowania turystów środowiska akademickiego do sezonu letniego]

Marcin Garczyński: Lato pachnące miętą. 1971 r. nr 7-8 /20-21/ ss. 8.46-47. [Akcja letnia „Bieszczady 1971”];

Przemysław Pilich: Turystyczne wydawnictwa studenckie. 1973 r. nr 1-2/38-39/ s.49. [Omówienie wybranych wydawnictw akademickiego środowiska turystycznego];
Tomasz Kowalik: Warszawscy przewodnicy góry. 1973 r. nr 5-6 /42-43/ ss. 32-34. [Dlaczego warszawscy przewodnicy studenci chodzą po Beskidach];

Przemysław Pilich: Połoniny i Magury. 1973 r. nr 5-6/42-43/ ss. 42-45. [Charakterystyka wydawnictw SKPB];

Aleksander Prażmowski: Po raz szesnasty w Puszczy. 1876 r. nr 1-2 ss. 37-38. [Relacja z XVI Zjazdu Kampinoskiego im. A. Harskiego];

Marek Kupiszewski: SKPB ma 20 lat. 1978 r. nr 1 s. 19. [Jubileusz, osiągnięcia, perspektywy SKPB];

Gościńcic. Miesięcznik turystów i krajoznawców. Ukazywał się od 1969 r. do lat 90.

[...]: Studencki rajd. 1970 r. nr 11 s. 2. [informacja o XVI Ogólnopolskim Rajdzie Studenckim SKPB];

Jerzy Korejwo: Bieszczadzka szkoła działania. 1973 r. nr 45, ss. 8-9. [Działalność turystyczna i wydawnicza Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich];

Jerzy Korejwo: A mogą być jak drożdże..., 1973 r. nr 53, ss.2-4. [Rozważania na temat modelu studenckiej turystyki górskiej];

Tadeusz Wojnowski: Za granicę jak w Bieszczady. 1973 r. nr 53 a. 8, [Wędrowne obozy zagraniczne];

Jan Lipszyc: Student przewodnik. 1973 r. nr 53 ss. 10-11. [Rola przewodników studenckich w rozwoju ruchu turystycznego];

[...]: Taki był Andrzej. 1973 r. nr 53 s. 11. [Wspomnienie o Andrzeju Harskim];

Tomasz W. Łękwski, Bogdan Mościcki: Jarmark w Komaricy. 1973 r. nr 53 ss. 12-13. [Impreza „folklorystyczna” organizowana przez SKPB]

Tomasz Kowalik: Kto następny – czym chata bogata. 1973 r. nr 53 ss. 16-17. [Rozwój bazy studenckiej]

Tomasz Kowalik: Publikacje studenckich oficyn wydawniczych. 1973 r. nr 53 ss. 29-30. [Dorobek wydawniczy studenckiego środowiska turystycznego]

Jerzy Korejwo: O własne schronienie na szlaku. 1974 r. nr 6/60/ ss. 14-15. [Rozważania o celowości budowy studenckich baz noclegowych]

Andrzej Huczko: Na wulkanach Iranu. 1975 r. nr 3/69/ ss. 20-21. [Relacja z wyprawy SKPB w góry Iranu]

[...]: Studenci na połoninach. W: Gościńcicem po kraju. 1977 r. nr 1-2/91-92/s.40. [XVII Jesienny Rajd Bieszczadzki] (tel): Biuletyn SKPB, 1977 r. nr. 9-10

(TEL): Połoniny, 1978 r. nr 2

[G.S.]: Dwudziestolecie Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich. 1978 r. nr 3-4 /105-106/ s. 27.

[GAD]: Najlepiej po regionie wodzą. 1978 r. nr 7/109/ ss.24-25. [Sylwetki laureatów konkursu na najlepsze studenckie wydawnictwo turystyczne]

[Z. W.]: Studencka oficyna turystyczna 1978. 1979 r. nr 1-3/115-117/ s.26. [Omówienie niektórych studenckich wydawnictw turystycznych środowiska warszawskiego]

Bogdan Mościcki, Bieszczadzkie „hotele”, Gościńcic 1/84, str. 8-9;

Bogdan Mościcki, Niekochane żyże, Gościńcic 2/84, str. 22-23 [o Nowicy];

Stanisław Stolarczyk, W obronie starych nazw w Bieszczadach. Świadeactwa historii i kultury, Gościńcic 4/81 [Materiały toponomastyczne, Jabłkowski, Keller, Szanter];

Bogdan Mościcki, Studenckie bazy noclegowe. Bractwo chatkowe, Gościńcic 5/81, str. 15;

Bogdan Mościcki, Co wyniknie z FAKT-u? Gościńcic 2/83, str. 5;

Bogdan Mościcki, Pomóżmy cerkwiom, Gościńcic 3/83 str. 11-13;

Bogdan Mościcki, Mój pierwszy obóz, Gościńcic 10/83, str. 28-29, [O Jagodzie Jastrzębskiej];

Bogdan Mościcki, Cud na górze Jawor, Gościńcic 11/83, str. 12-13 [Wykorzystano materiał zebrany podczas studenckich obozów krajoznawczych „Łemkownia”];

Tomasz Kowalik, Studenckie bazy noclegowe, Gościńcic 4-5/79, str. 22-25;

Stanisław Kryciński, Piotr Wiaterny, Akcja „Nadsanie”, Gościńcic 7/86 str.18-19;

Tadeusz Jastrzębski, 25 lat Bieszczadzkiej Grupy GOPR. Wyszedł w góry i dotychczas..., Gościńcic 1/87, str. 6;

TK VIII Konkurs wydawnictw akademickich. Grand Prix dla „Cmentarzy wojskowych”, Gościńcic 12/87, str. 9;
Bogdan Mościcki, Szaniec Pułaskiego, [w:] Gościńcic nr 7 (188), lipiec 1985

Ilustrowany Magazyn Turystyczny Świątovid. Ukazywał się od 1952 r. W latach 1952-1961 jako Turysta, w latach 1961-1972 jako Świątovid, od roku 1973 jako IMT ŚWIATOWID.

- [...]: Szkolenie przewodników. 1957 r. nr 7 /60/ s.2. [kurs dla przewodników obozów wędrownych w Karpaczu]
- Szymon Wdowiak*: Gaudeamus w górach. 1964 r. nr 45 s.5.
- Marcin Willman*: Coś dla wędrujących studentów. 1965 r. nr 27 s. 2. [O bazach turystycznych];
- Szymon Wdowiak*: Biecz w rusztowaniach. 1965 r. nr 29 s. 8. [I Rajdu w Beskidzie Niskim];
- Szymon Wdowiak*: Akademicy zapraszają na Łopiennik, 1966 r. nr 49/450/ s. 4. [Schronisko pod opieką SKPB];
- Bronisław Bremer*: Pochwała dobrej roboty i słowo o „brygadzie tankującej”, w: Między nami turystami. 1967 r. nr 28/481/ s. 6. [III Ogólnopolski Rajd Studencki w Beskidzie Niskim]
- Jerzy Korejwo, Tomasz Kowalik*: Zaczęto się od legendy o Bieszczadach. 1968 r. nr 27/533/ s.3. [Działalność SKPB];
- Tomasz Kowalik*: Dobry przykład zaraźliwy, w: Między nami Turystami. 1969 r. nr 17/575/ s. 6. [IX Złaz Kampinoski im. A. Harskiego organizowany przez SKPB];
- Tadeusz Olszewski*: Słomiane panny zimę zabrały. 1970 r. nr 16/625/ ss. 8-9. [UKT „Unikat” i Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich witają wiosnę nad Liwcem];
- Tomasz Kowalik*: Jedenasty raz w Kampinosie. 1971. nr 1/663/s. 6. [XL Złaz Kampinoski im. A. Harskiego];
- Tomasz Kowalik*: Dorobek warszawskiego SKPB. 1971 r. nr 10 /672/ s. 6. [Dotychczasowe osiągnięcia SKPB]
- Tomasz Kowalik*: Na Podlasiu wiosna. 1971 r. nr 15-16/ 677-8/ s. 6. [Wiosenna impreza organizowana przez SKPB i UKT „Unikat”];
- Tomasz Kowalik*: Jak ryterskość Polaków na próbę była wystawiona. 1972 r. nr 40 /754/ s.12. [Wspomnienia z wyprawy w Pireneje francuskie];
- Krzysztof Ohtarzewski*: Jesienne dumania, w: Między nami. 1972 r. nr 50 /764/ s.6. [Wspomnienia o minionym sezonie turystycznym w Bieszczadach];
- Tomasz Kowalik*: Legenda trwa. 1972 r. nr 52/766/ s. 10. [Historia powstania i działalności SKPB];
- [...]: Precz z komfortem, w: Problemy i dyskusje. 1973 r. nr 770 /maj/ s.12. [Wypowiedź członków SKPB]
- Jan Bazyl Lipszyc*: Trasa rodzinna. 1978 r. nr 829/kwiecień/ s. 13. [Trasa rodzinna na Żłazie Kampinoskim];
- Jerzy Czarnowski*: Przez tureckie góry. 1978 r. nr 83 /czerwiec/ ss. 28-29. [Wyprawa studencka w góry Turcji];
- [LOK]: Studenci w Bieszczadach. 1978 r. nr 832/lipiec/ s. 9. [Schronisko studenckie w Bieszczadach];
- [...]: Spartańska edukacja. 1980 r. nr 850/styczeń/ ss.15 i 19. [Sylwetka Witolda Michałowskiego];
- Liliana Olchowik*: But na stole. 1980 r. nr 851/luty/ ss.13-14. [Rola architektury w bieszczadzkiem pejzażu];
- Liliana Olchowik*: Czysta praca. 1980 r. nr 851/luty/ ss. 14-15. [Sylwetka Krzysztofa Ohtarzewskiego];

Politechnik. Tygodnik studencki. Pismo społeczno-polityczne. Ukazywał się od 1930 r., po wojnie od 1953 r.

- [Janusz] *Kozioł, J[erzy] Wicher*: O nowe formy turystyki studenckiej. 1960 r. nr 23/137/ s. 33. [O kierunkach rozwoju turystyki na przykładzie Politechniki Warszawskiej]
- Grzegorz Woroszytło*: Czy jest rada na Bieszczady? 1969 r. nr 33 /456/ s. 6. [„Ekspancja” turystyczna w Bieszczady – motywacje – działalność – efekty];
- Grzegorz Woroszytło*: Beskidzkimi roztokami... 1971 r. nr 18. /519/ s. 6. [Studenckie wyjazdy turystyczne w Beskidy Wschodnie]
- Grzegorz Woroszytło, Jerzy Pełka*: Chwała Ci, kurna chato! 1971 r. nr 35 /536/ s. 11. [Problemy z zapewnieniem wędrującym studentom sieci baz noclegowych];
- Grzegorz Woroszytło*: W okolicach południka O. 1972 r. nr 29/569/ s.10. [Relacja z wyprawy w Pireneje zorganizowanej przez BPiT „Almatu”];
- Grzegorz Woroszytło*: Góry wspólnie odnalezione. 1972 r. nr 38-39/578-579/ s. 5. [Działalność SKPB];
- Jan B. Lipszyc*: Przejście Karpat. 1973 r. nr 32 /611/ s.10. [Wyprawa zorganizowana przez SKPB];
- Tomasz Kowalik*: Studencka Rzeczpospolita Bieszczadzka. 1-973 r. nr 36 /615/ s. 11. [„Koncepcja zagospodarowania turystycznego Bieszczad”];
- Andrzej Huczko*: W górach Iranu. 1974 r. nr 31 /649/ s.10. [Relacja z wyprawy SKPB];
- Juliusz Zięborak*: Silniejsi od mułów. 1975 r. nr 32 /689/ s. 9. [relacja uczestnika wyprawy SKPB w góry Iranu];
- Jan B. Lipszyc*: Olgierd. 1977 r. nr 5/743/ s.1,11. [Wspomnienie o Olgierdzie Lotocko];
- Tadeusz Jastrzębski*: Idziemy dalej i dalej. 1977 r. nr 15 /753/ s. 11. /SKPB obozy, rajdy, bazy namiotowe, działalność szkoleniowa];
- Tadeusz Jastrzębski*: Beskidy i co dalej. 1977 r. nr 39/777/ s. 11. [Obozy SKPB w Bieszczadach i Beskidzie Niskim];
- Tadeusz Jastrzębski*: Pałatki przeciw idei. 1978 r. nr 6 /784/ s. 10. [Wkład studenckich turystów w zagospodarowanie doliny topienki]
- Marek Kupiszewski*: Foki i San Marco. 1978 r. nr 13/791/ s. 10. [Studencka turystyka, narciarska];
- Jan B. Lipszyc*: Paniasi turystycznych szlaków. 1978 r. nr 20 /798/ ss.1,10, [Problemy turystów indywidualnych];
- Jan B. Lipszyc*: Zaryzkuj, zabierz go w góry. 1978 r. nr 28 /806/ ss. 14 - 15. [Spojrzenie z dystansu na turystykę studencką – Tadek Dąbrowski, przewodnik beskidzki];
- Jan B. Lipszyc*: Krzysztof. 1978 r. nr 29 /807/ s. 11. [O Krzysztofie Poradzie];
- Jan B. Lipszyc*: Drużyna imienia Żubra Pulpita, 1978 r. nr 32, /810/ ss. 10-11. [Studencka baza noclegowa w Ustrzykach Górnych];
- Jan B. Lipszyc*: Sporu ciąg dalszy. 1979 r. nr 25 /845/ s. 1. [O książce „Spór o Bieszczady”];

Jan B. Lipszyc: Od Dunaju do Dunaju. 1980 r. nr 6/866/s.9. [Przygotowania SKPB do przejścia Łuku Karpat];

Jan B. Lipszyc: Nie ma sporu o Bieszczady. 1980 r. nr 7/867/ss.8-9. [Relacja ze spotkania z Januszem Rygielskim i Witoldem Michałowskim];

Władysław Majewski: Zostanie po nas dom. 1980 r. nr II/871/ss.I i 9. [Sprawa budowy skansenu w dolinie Łopienki];

Jan B. Lipszyc: Tam, gdzie nie było szosy. 1980 r. nr 27-28/887-888/ ss. 1 i 13. [Bieszczady obecnie i 12 lat temu];

Andrzej Wielocha: Łuk Karpat pokonany. 1980 r. nr. 31/891/ s. 11. [Relacja z wyprawą];

Inne

T. A. Olszański, 3 maja A.D. 1985 w Izbach, [w:] Młodzież katolicka. Pismo akademickie, nr 789, R XIII, lipiec-sierpień-wrzesień 1985;

Ks. Mieczysław Czekaj, Odsonięcie tablicy upamiętniającej pobyt Kazimierza Pułaskiego w Sanktuarium Matki Bożej Izbańskiej [w:] Currenda. Pismo urzędowe Diecezji Tarnowskiej, Rok 135, nr 8-11, sierpień-listopad 1985. str. 239-243;

(e.t.), Nowe sukcesy polskich alpinistów w Hindukuszu [w:] Express Wieczorny, nr 227, 7.X.1977 Warszawa;

(am), Polscy studenci zamierzają wymazać „białe plamy” z Hindukuszu Centralnego [w:] Express Wieczorny, 22.V.1977 Warszawa;

Jerzy Wala, Polskie wyprawy w Hindukuszu w 1977 roku [w:] Taternik, nr 2, Rok 55, str. 55-66, Warszawa 1979;

Andrzej Wielocha, Łuk Karpat 80, [w:] Taternik, nr 4 (249), str. 165, Warszawa 1980;

Andrzej Wielocha, Łemkowskie fascynacje warszawskich studentów, [w:] Odkrywcy i budziciele Łemkowszczyzny, s. 78-85, Miejska Biblioteka Publiczna, Sanok 2007;

Stefan Robotowski, Studenckie gospodarowanie w Bieszczadach, [w:] Dziennik Ludowy, R. 17:1973, nr 182, s. 7;

Stefan Robotowski, Porządkowanie Bieszczadów, [w:] Dziennik Ludowy, R. 19:1975, nr 206, s. 7;

Rygielski Janusz, Studenci obronią Bieszczady, [w:] Przyroda polska, R. 18:1974 nr 10, s. 9;

Ryszard Zatorski, W Cisnej ciasno, [w:] Profile, R.4:1969 nr 3, s. 60;

Ryszard Zatorski, Studenckie królestwo w Bieszczadach, [w:] Profile, R.4:1969 nr 5, s. 52;



Mieczysław Sakowski przed „budynkiem bratniaka” (na prawo od bramy głównej UW) udekorowanym z okazji zapisów na rajd „Beskid Niski” 1975. Za tymi oknami przez wiele lat mieścił się Oddział Międzyuczelniany PTTK i znajdowała się siedziba Kofa. Niestety dekoracje po dwóch dniach kaznano nam zdjęć, fot. arch.



Spis treści

Słowo od redaktora	3
Rok po roku czyli zwięzła historia SKPB w Warszawie	5
<i>Tomasz Kowalik</i> , W pięćdziesiąt lat później – złoty jubileusz	35
<i>Waldemar Ufnalski</i> , Kilka wspomnień	45
<i>Irena Matjas</i> , <i>Jerzy Korejwo</i> , Akcja letnia	55
<i>Jan Kwiatowski</i> , O ile dobrze pamiętam...	59
<i>Witold Michałowski</i> , Kraina Biesów	61
<i>Ewa Beynar-Czczcott</i> , 49 lat z Bieszczadami w tle	71
<i>Lesław Karst</i> , Dwa wspomnienia	77
<i>Bronisław Bremer</i> , Pożegnanie	79
<i>Wilhelm Mieczysław Orsetti</i> , Epizod	83
<i>Jerzy Korejwo</i> , Przewodnicy z błękitnym krzyżem	89
<i>Witold Cygan</i> , Początek	95
<i>Barbara Walicka</i> , Późną jesienią	99
<i>Szymon Wdowiak</i> , Akademicy zapraszają na łopiennik	101
Studenckie Bazy Namiotowe	103
Smakują te góry..., wywiad z Wojciechem Stążewskim	107
<i>Wojciech Wiatr</i> , Beskidzkie reminiscencje	111
<i>Jan Bazyl Lipszyc</i> , Spór o Bieszczady	119
<i>Adam Kulewski</i> , Wiosna, lato, jesień, zima prezes się za głowę trzyma	123
<i>Edmund Kuna</i> , Jarmarki bieszczadzkie w Komańczy	125
<i>Tomasz Kowalik</i> , Pierwsze kroki po Pirenejach	131
<i>Andrzej Huczko</i> , O początkach wyjazdów w „Góry Egzotyczne”...	135
<i>Juliusz Zięborak</i> , Iran 1975 – z Dziennika Podróży	139
<i>Edmund Kuna</i> , Iran 1976	147
<i>Andrzej Wielocha</i> , Hindukusz	149
Sprawozdanie z obchodów 20-lecia SKPB	157
Zakończenie sezonu 1979	159
<i>Andrzej Wielocha</i> , Przejście Łuku Karpat	161
<i>Krzysztof Dudek</i> , Trasa nr 3	175
Akcja Opis – Łemkowiyna	178
<i>Marcin Sobkowski</i> , Wirunga 82	179
Tablica w Izbach	185
<i>Andrzej Huczko</i> , O nartowaniu (też w Kole) refleksji garść...	187
<i>Stanisław Kryciński</i> , 20 lat „Nadsania” (1980-2000)	195
<i>Edmund Kuna</i> , Pierwsza brygada	217
Sprawozdanie z 25-lecia	221
<i>Danuta Koperska</i> , Wspominki	225
<i>Andrzej Wielocha</i> , O Komisji Wydawniczej	229
<i>Jagoda Jastrzębska</i> , Mój pierwszy obóz	233
<i>Robert Olszewski</i> , Spełnione marzenia	235
<i>Sławomir Michalik</i> , Ostatnie lata działalności Komisji Wydawniczej	241

<i>Agnieszka Czarnecka i Jan Baran</i> , Dlaczego powstał Beskidzki Trakt?	245
<i>Paweł Wroński i Bogusław Wajland</i> , Egzamin na przewodnika w latach 1992-1998	249
<i>Daria i Sławek Michalikowie</i> , Baza w Regetowie	253
<i>Radek Baranowski</i> , O tym jak Baranek dzieci po górach wodził...	259
<i>Agnieszka Skieterska</i> , O beskidzkim domu, co stoi pod starym orzechem	261
<i>Grzegorz Tyliński</i> , W hołdzie wyznawcom krzala czyli rajd wiosenny na przelomie wieków	263
<i>Alicja Słoma</i> , Czy miałam pojęcie jak to będzie?	269
O tych co po błękitnych wędrują połoninach....	275
Taki był Andrzej (o Andrzeju Harskim)	275
Wspomnienie o Marku Borkowskim	276
Wspomnienie o Bronku (Bronisław Bremer)	277
Nasza Prezes Zosięka (Zofia Szajuk)	280
Adam Skrzec	282
Stefan Robotowski	283
Krzysztof Ohtarzewski	283
Krzysztof (o Krzyśku Poradze)	286
Krzysztof i medal Jego imienia	288
Waldemar Postek. Pożegnanie 1954-2001	290
Janusz Lonc (1954-1983)	291
Ania i Janusz, moi kołowi Przyjaciele	292
Lista członków (wszechlista)	295
Nasi prezesi	302
Nasze wydawnictwa	303
Bibliografia publikacji o SKPB	317

I to by było na tyle – jak na razie!





Poczet prezesów naszych: Jan Kwiatowski, Radosław Baranowski, Wojciech Juszczyk, Marek Patrzykont, Andrzej Wielocha, Jan Swianiewicz, Ewa Włodarczyk, Juliusz Marszałek, Adam Kulewski, Tomasz Szumniak, Andrzej Stanek, Jerzy Korejwo, Ewa Janko (Piątkowska), Julian Bystrzenowski, Tomasz Wojciech Łękowski, Edmund Kuna, Adam Panasik, Krystyna Kowalska, Anna Trochimiuk (Skrocka), Zofia Kowalska, Sławomir Michalik, Mariusz Pietrzak, Jędrzej Gąsiorowski, Jerzy Rejman, Karol Jasiński, Krzysztof Dźwigąła, Kuba Gąsiorowski, fot. A. Leszczyński

Deklaracja Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich

Koło nasze jest dobrowolnym zrzeszeniem ludzi, którzy w sposób świadomy decydują się być przewodnikami górskimi działającymi w środowisku akademickim, społecznie i bezinteresownie wykonującymi swoje obowiązki. Zrzeszając się dobrowolnie w Kole świadomie decydujemy się przestrzegać wspólnie ustalonych reguł funkcjonowania i zgadzamy się podporządkować swoje własne interesy, sprawom wspólnie uznanym za nadrzędne. Łączy nas idea przewodnictwa. Ona też wyznacza sens istnienia Koła i określa wartość wszystkich jego działań. Przewodnictwo traktujemy jako coś więcej, niż tylko zwykłe hobby, raczej jako swego rodzaju posłannictwo, rozumiejąc je bardzo szeroko. Celem nadrzędnym wszystkich naszych działań jest oddany naszej pieczy człowiek, jego bezpieczeństwo i górskie wychowanie. Łączy nas także określony stosunek do gór oraz wynikający z niego model uprawianej turystyki. Wszelako aby móc go realizować zgodnie z naszymi aspiracjami bierzemy na siebie także ciężar działań organizatorskich.

*Opracowana przez Adama Kulewskiego, Andrzej Wielochę
i Józefa Wróblewskiego w czerwcu 1984 r.*



ISBN 83-89819-46-58

**Studenckie Koło
Przewodników Beskidzkich
w Warszawie**

